

**WILLIAM WHARTON**

**AL**

**TYTUŁ ORYGINAŁU WORTH TRYING  
PRZEŁOŻYŁ KRZYSZTOF FORDOŃSKI**

Życzę szczęścia wszystkim czytelnikom tej książki. Nigdy się nie poddawajcie. Życie pełne jest cudownych niespodzianek.

William Wharton

*Ale próbować warto.*  
Ostatnie słowa powieści *Ptasiek*,  
wypowiedziane przez Ptaśka do Ala.

## ROZDZIAŁ I

Nie sądziłem, że tak długo potrwa, zanim się stąd wydostane. Staram się, by doktor Weiss zrozumiał, co naprawdę się wydarzyło, co nadal się ze mną dzieje, ale on nie potrafi tego pojąć, nie chce nawet słuchać, co do niego mówię. Upiera się, że wszystko to jedynie ukryta kontynuacja fantazji, w której przeżyłem znaczną część swojego życia. Nigdy nie zrozumiał ulotnego charakteru Ptaśka — cudownego wytworu mojej wyobraźni, niezbędnego dla mojej osobistej reinkarnacji — który potrafił sprawić, że moje życie na powrót nabiera sensu, a ja odzyskuję wiarę w ludzi.

W końcu rezygnuję z dalszych prób. Weiss przekonuje władze wojskowe, że nigdy nie będę w stanie pozbyć się tego alter ego, które przejęło nade mną kontrolę. Nigdy nie uda mu się zrozumieć tego, co się we mnie dokonało. Powoli dociera jednak do mnie, że to zupełnie niepotrzebne. Przynajmniej próbując wyjaśnić mu, co się stało, pojąłem wiele ze swojego życia wewnętrznego, tego, co — miejmy nadzieję — stanie się moim nowym życiem.

Ostatecznie uzyskuję siedemdziesiąt procent inwalidztwa, pod warunkiem że co dwa lata będę zgłaszał się do szpitala wojskowego na badania kontrolne. Stwierdzono zatem oficjalnie, że nie stanowię dla nikogo zagrożenia, a moje tak zwane szaleństwo jest łagodne, choć nieuleczalne. Po przejściu do cywila otrzymam zaległy żołd za cały okres spędzony w szpitalu, a na dokładkę trzysta dolarów rozłakowego. Ze szpitala wychodzę więc bez żółtych papierów, za to z ponad dwoma tysiącami zielonych w kieszeni. Dopóki będę inwalidą, będę dostawał co miesiąc dwieście dolców. Powinienem za to podziękować doktorowi Weissowi. Zdołałem go przekonać, że jestem szczęśliwym człowiekiem, a to, co nazywa moimi fantazjami, nie ma na mnie żadnego negatywnego wpływu. W końcu chyba zostaliśmy przyjaciółmi, dowodem na to były warunki, na jakich mogłem przejść do cywila.

Jak to ujął Weiss, ogólnie rzecz biorąc, nie jestem wcale inwalidą. Prawdopodobnie, gdyby wojna trwała nadal, można by mnie wysłać z powrotem na front. Moje inwalidztwo ma charakter osobisty. Po tym jak zwykle następuje długa pogadanka o tym, że szaleństwo może być rozumiane dwojako: w pierwszym przypadku człowiek staje się zagrożeniem dla społeczeństwa, w drugim zaś choroba powoduje jedynie dyskomfort psychiczny chorego i alienuje go ze społeczeństwa. Mnie można zaliczyć do drugiej grupy, ale wygląda na to, że sam nawet nie zdaję sobie sprawy ze swojego stanu. Chyba tylko w wojsku można wygadywać podobne bzdury.

Nie chcę jeszcze wracać do domu. Podczas wojny moi rodzice przeprowadzili się do Kalifornii. Wiem, że mnie porzucili, przekonani, że resztę życia spędzę w jakimś wariatkowie. Należy mi się bilet do miejsca, w którym zostałem powołany, lub tam, dokąd przeniosła się moja rodzina. Wybieram tę pierwszą możliwość. Wiem dobrze, co chcę teraz zrobić. Wojsko opłaca mi przejazd do Filadelfii, gdzie mieszkałem przez całe dzieciństwo, ale z pociągu jadącego ze szpitala w Kentucky wysiadam po drodze w Fort Dix w stanie New Jersey.

Dowiedziałem się, że armia prowadzi aukcje, podczas których wyprzedawane są zapasy z demobilu, a wśród nich jeepy, które nigdy nie wyjechały na drogi, niektóre jeszcze zabezpieczone towotem. Inwalidzi wojenni, którym przyznano powyżej pięćdziesięciu procent inwalidztwa, mają na takich aukcjach prawo pierwokupu.

Docieram na miejsce dzień przed aukcją, akurat w chwili, kiedy tony wojskowego sprzętu wyładowywane są ze statku. Cały dzień spędzam na poszukiwaniu potrzebnych mi rzeczy. Przede wszystkim chcę kupić jeepa, zaopatrzonego w dodatkowe kanistry na wodę i łańcuchy na koła, a do tego dwa koce i wodoodporny śpiwór oficerski. Kręcę się po okolicy, zagaduję

chłopaków z kolumny transportu i zaznajamiam się z sytuacją. W końcu udaje mi się znaleźć prawie wszystko, czego mi potrzeba.

Aukcję ma prowadzić niejaki sierżant Walters, postarałem się więc poznać go osobiście. Wypijamy po kilka piw w kantynie, a później Walters znajduje dla mnie wolną pryczę w koszarach. Prawdę powiedziawszy, i tak większość prycz stoi pusta.

Umawiamy się, że Walters napisze w papierach, że sprzedał na aukcji upatrzonemu przeze mnie jeepa, który przyszedł w ostatnim transporcie. Czteryście dolarów zaniósę oficerowi płatnikowi. Walters dorzuca mi jeszcze kanistry na wodę, śpiwór i koce. Dokładam za to pięćdziesiąt dolarów, z czego dwadzieścia idzie dla płatnika, i w ten sposób dobijamy targu. Jeep nigdy nie trafia pod młotek.

Doprowadzenie wozu do stanu używalności zajmuje mi kilka tygodni pracy w warsztacie. Większość części, które mogłyby zardzewieć od morskiej wody w czasie postoju w porcie czy podróży przez ocean, pokryto smarem i towotem, usunięcie tej warstwy to iście piekielna robota. Chłopaki z kolumny transportowej pożyczają mi wszystkie niezbędne narzędzia, w tym palnik acetylenowy. Pokazują, jak mam się nimi posługiwać, i wypytują, co planuję.

— Przejadę tym cudem przez całe Stany, żeby się dowiedzieć, za co tak naprawdę omal nie zginąłem.

Wybuchają śmiechem, ale czuję, że są po mojej stronie. Mogę liczyć na ich pomoc we wszystkich poczynaniach przeciwko wojsku. Większość czeka już jedynie na powrót do cywila, muszą jeszcze tylko zebrać odpowiednią liczbę punktów. „Służba krajowa” daje zaledwie jeden punkt za miesiąc, więc wszyscy nienawidzą wojska z całego serca. Rozumiem ich.

Prawie za każdym razem, kiedy proszę o jakieś potrzebne mi narzędzie, słyszę, że mogę je sobie zatrzymać, na pewno mi się przyda w czasie tak długiej podróży. Narzędzia podwędzone w ten sposób armii wypełniają w końcu całą skrzynkę po amunicji.

Przerabiam jeepa tak, by stracił nieco ze swego militarnego charakteru. Ćwiczę jazdę na placu manewrowym. Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z samochodem z napędem na cztery koła. Chłopaki dochodzą do wniosku, że muszę mieć nierówno pod sufitem, skoro wybieram się w tak daleką podróż, a nie potrafię prowadzić własnego wozu. Teraz już wszyscy uważają mnie za niegroźnego świra.

Okazuje się jednak, że wystarczy niewiele czasu, bym się wszystkiego nauczył. Ćwiczę parkowanie i inne manewry, które zdaniem chłopaków muszę umieć, by zdać na prawo jazdy. Nie pamiętałem już, że prowadzenie może sprawiać taką przyjemność. Chłopaki wyjaśniają mi, że muszę zarejestrować wóz, załatwić tablice rejestracyjne i zrobić prawo jazdy. Jestem już właściwie gotów, żeby zająć się tym wszystkim. Najpierw jednak chcę zbudować składany dach i znaleźć hamak odpowiednich rozmiarów. Zamierzam przecież zamieszkać w tym jeepie.

Potrzebny materiał udaje mi się znaleźć w Trenton, w sklepie ze sprzętem żeglarskim. Płótno jest mocne i wodoodporne, zwykle szyje się z niego osłony dla łodzi. Materiał jest bardzo ciężki, postanawiam więc zaryzykować i jadę po niego do sklepu jeepem. Przy okazji rejestruję wóz, wykupuję tymczasowe tablice rejestracyjne i przykręcam je zdobycznym śrubokrętem.

Skoro już trafiłem do wydziału komunikacji, pytam, czy będę mógł przystąpić do egzaminu na prawo jazdy stanu New Jersey. Proszą o poprzednie prawo jazdy, odpowiadam, że ostatnie cztery lata spędziłem w wojsku i skradziono mi je razem ze wszystkimi rzeczami. Pokazuję papiery przeniesienia do cywila.

Muszę jeszcze trochę pozmyślać, ale w końcu dostaję egzemplarz kodeksu drogowego stanu New Jersey. Dowiaduję się, że kiedy się wszystkiego nauczę, mogę przystąpić do testu. Wychodzę z budynku i siadam w jeepie z broszurką w rękę. Większość zasad kodeksu opiera się na zdrowym rozsądku, więc po półgodzinie uznaję, że jestem gotów. Za biurkiem siedzi już inna

urzędniczka, która daje mi formularz, test wielokrotnego wyboru. Wypełniam go szybko, myślę się jedynie przy trzech pytaniach, każde z nich dotyczy lokalnego przepisu stanu New Jersey, który nie jest tak do końca logiczny.

Nie miałem starego prawa jazdy, nie mogłem więc go złożyć i urzędnicy upierają się, że muszę zdać egzamin praktyczny z egzaminatorem z wydziału komunikacji. Biuro jest zamknięte do drugiej, idę więc kupić sobie coś do jedzenia i siadam w jeepie, sprawdzam przy okazji światła przeciwmgielne i postojowe, i hamulec ręczny. Ćwiczę włączanie napędu na cztery koła. W jeepach jest to dość szczególna umiejętność.

Po pewnym czasie podchodzi do mnie mężczyzna w średnim wieku, który ma mnie przeegzaminować. Wsiadamy do wozu, on wyraźnie zaskoczony, że to jeep. Rzuca okiem na rejestrację. Sprawdza przebieg — na liczniku nie ma jeszcze stu mil.

— Kupiłeś go na aukcji w Dix?

— Zgadza się.

— Ile dostałeś inwalidztwa?

— Siedemdziesiąt procent.

Zaczynam się zastanawiać, co to wszystko ma wspólnego z uzyskaniem prawa jazdy.

— W jakiej jednostce?

Mówię, a on spogląda na mnie uważnie. Mam nadzieję, że to mu wystarczy. Jeśli nie, będę kłamał.

— Ja też, w korpusie sygnałowym. Dobra, zobaczymy, czy potrafisz radzić sobie z tym potworem. Nie siedziałem w takim od dwóch lat.

Przekręcam kluczyk w stacyjce, wrzucam pierwszy bieg i czekam na polecenia. Najpierw przejeżdżam na plac manewrowy za budynkiem, później wyjeżdżamy na ulicę. Muszę pokonać kilka zakrętów, żadnego parkowania tyłem, żadnych sztuczek. Egzaminator podpisuje kartkę przypiętą do podkładki.

— Wszystko na piątkę. Ale prowadź ostrożnie, pamiętaj, że wojna już się skończyła.

Pamiętam. Podaje mi kartkę i wyskakuje z wozu. Już po sposobie, w jaki wysiada, mogę się przekonać, że nie pierwszy raz siedział w jeepie.

— Ustaw się w kolejce do okienka G, niech sprawdzą ci wzrok i to już powinno być wszystko. Ten grat ciągnie benzynę, jak gdyby była za darmo, ale mimo wszystko to lepszy wóz niż większość tych, które można spotkać na naszych drogach. Większość jeepów wyprodukowanych po czterdziestym piątym to szmelc, a i reszta nadaje się tylko do szybkiego złomowania.

— Dzięki.

Zatrzymuję wóz na parkingu i wracam do budynku. Staję w kolejce jako trzeci, mam doskonały wzrok, dwadzieścia punktów na dwadzieścia możliwych. Zostawiam jeszcze swoje zdjęcie. Pytają tylko, pod jakim adresem mają wysłać prawo jazdy. Podaję adres sierżanta Waltersa w Dix. Fort Dix to dla mnie w tej chwili jedyny dom. Prawo jazdy powinno dotrzeć w ciągu trzech, czterech dni. Pewnie tyle czasu jeszcze potrzebuję, żeby dokończyć moją pracę. Dostaję tymczasowe prawo jazdy ważne przez trzydzieści dni.

Jadę do śródmieścia Trenton. Świetnie się czuję. Kierowca jeepa ma w czasie jazdy uczucie, jak gdyby był częścią wozu, niczego takiego nie odczuwa się za kierownicą innych samochodów. Kiedy byłem w wojsku, jeździłem wyłącznie po bezdrożach albo w konwoju, na ogół z prędkością pięciu mil na godzinę, po ciemku i bez świateł, nie spuszczać wzroku z czerwonego światełka na zderzaku jadącego przede mną wozu. Taki widok może wręcz zahipnotyzować.

Pytam o drogę do sklepu z farbami. Trafiam do wielkiego magazynu, gdzie kupuję w sumie pięć galonów lakieru do metalu, jeden kanarkowożółtego, jeden białego i trzy cytrynowożółtego.

Kupuję też pędzle i rozpuszczalnik. Chcę sam mieszać farby, aby uzyskać pożądaną kolor. Dokupuję jeszcze galon farby podkładowej i antykorozyjnej. Mógłbym użyć pistoletu z warsztatu, ale wolę malować pędzlem, poza tym nie mam ochoty na osłanianie szyb, opon i reszty.

Ustawiam wóz w kącie dziedzińca i rozpuszczalnikiem usuwam tłusty brud z nadwozia. Przygotowuję podkład i po ponownym oczyszczeniu nadwozia zabieram się do zamalowywania oliwkowego lakieru, jakiego używa się do większości wojskowego sprzętu i pojazdów. Farba antykorozyjna ma barwę rdzawej czerwieni, już w miarę jak ją nakładam, jeep traci nieco swój wojskowy wygląd. Jestem przekonany, że oliwkowa farba sama w sobie jest antykorozyjna, ale zamierzam dać swojemu jeepowi nieźle w kość, a nadmiar ostrożności na pewno nie zaszkodzi. Nałożenie pierwszej warstwy zajmuje mi cały dzień. Podwozie nie ma ochrony antykorozyjnej, więc na nim skupiam się szczególnie i kładę podwójną warstwę. Farba schnie w dwie godziny, więc jeden dzień wystarcza na dwukrotne malowanie. Kiedy kończę, jeep wciąż wygląda na pojazd wojskowy, niekoniecznie jednak należący do armii Stanów Zjednoczonych.

Następnego ranka zabieram się do mieszania farby. Łączę niewielkie porcje z każdego koloru i wypróbuję je na nadwoziu, żeby przekonać się, jak będą wyglądać po wyschnięciu.

Pod wieczór jeep wygląda jak wielobarwna pikowana kołdra. Przy każdej mieszaniu dokładnie notuję zastosowane proporcje. Do wieczora farba wysycha dostatecznie, bym mógł podjąć decyzję. Mieszam dwie części kanarkowej żółci i po jednej bieli i cytrynowej żółci. Farba była droga, ale zamierzam żyć z tym cudeńkiem nieco dłużej i chcę pomalować je, jak należy.

Kiedy rozprawdzam pędzlem przygotowaną mieszaninę, dochodzę do wniosku, że podjąłem właściwą decyzję — jeep zaczyna emanować własnym światłem. Maluję starannie, upewniając się, że docieram do każdego zakamarka. Na tym etapie postanawiam, że deskę rozdzielczą, pałaki foteli i zderzaki pomaluję białą farbą zmieszaną z cytrynowożółtą, tym razem jednak z przewagą bieli. Uzyskuję w ten sposób dostateczny kontrast. Podwozie zostawiam na koniec, tam zużyję resztki. I tak przecież nie będzie tego widać.

Chłopaki z warsztatu witają mój pojazd z aplauzem.

— Twój wóz wygląda teraz jak wielkanocny kurczak! — krzyczy jeden. — Musisz go jakoś nazwać. Jak chcesz, dam ci trochę czarnej farby, będziesz mógł domalować nazwę.

Nic podobnego nie przyszło mi do głowy, ale dobrze wiem, jak chcę nazwać swojego jeepa — MOTYL. Tak właśnie się teraz czuję, to próbowałem wyjaśniać Weissowi. Do tej pory czułem się tak, jak gdybym żył w kokonie, który sam wokół siebie opłotłem.

— Dzięki, Mike. Jak tylko wyschnie, wymaluję na burcie nazwę. Czarny napis będzie świetnie wyglądał na żółtym tle.

— A jak go nazwiesz?

Mówię im, jaki mam zamiar, wszyscy milkną.

— Czuję się teraz jak motyl, Mike. Będę sobie latał z kwiatka na kwiatek, niewiele myśląc i nie planując, dokąd mam dotrzeć. Przez ostatnie cztery lata wszystko ustalała za mnie armia, teraz jestem gotów, by wyruszyć w drogę sam, bez żadnego celu.

W odpowiedzi słyszę śmiech, ale faceci już zbierają się do kantyny, gdzie zakończą dzień przy cienkim wojskowym piwku. Zostaję sam na dziedzińcu i z podziwem obchodzę swoje чудо. Jutro, jak wyschnie farba, zajmę się dachem. Białe płótno będzie świetnie pasować do żółtego lakieru.

Następnego dnia przycinani płótno i przy pomocy Luke'a, chłopaka z kolumny transportowej, mocuję je na dachu. Zawieszam też kupiony w Trenton hamak. Owijam się ciasno kocem i wypróbuję go. Powinno mi być tutaj wygodnie.

Zbijam skrzynkę, którą wcisnę z tyłu, pod złożony dach, zamierzam w niej chować ubrania i

zapasową parę butów. Chciałbym mieć jeszcze lodówkę, ale zajmowałaby zbyt wiele miejsca. Będę więc codziennie kupował jedzenie i woził ze sobą jedynie ubrania i narzędzia.

Wymontowuję tylne siedzenia i palnikiem acetylenowym odcinam podstawę karabinu maszynowego. Nie chcę, by w samochodzie zostało cokolwiek, co przypominałoby mi o strzelaniu. W to miejsce montuję kwadrat grubej blachy o rozmiarach sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów, który znalazłem za szopą z narzędziami. Zagaduję sierżanta z kolumny, czy mogę to kupić, ale on patrzy tylko na mnie i na mojego Motylka i potrząsa głową przecząco.

— Od roku już się zastanawiałem, co mam zrobić z tym fantem, weź go sobie. Widzę, że wybudowałeś sobie niezły dom na kółkach. Zabierzesz kogoś ze sobą?

— Nie, to zadanie dla jednego.

\* \* \*

Nadchodzi poniedziałek, a ja jestem gotów, by wyruszyć na próbną wycieczkę do Filadelfii. Chcę odwiedzić znajome miejsca i szeregowie domki, gdzie kiedyś mieszkałem. Nigdy przedtem nie przyszło mi to do głowy, dochodzę jednak do wniosku, że odległość jest akurat odpowiednia na taką próbną wyprawę. Dzięki chłopakom z kolumny mam pełen bak benzyny i zapas oleju. Próbuję im zapłacić, ale nie chcą ode mnie żadnych pieniędzy. Dzięki takim chwilom udaje mi się zapomnieć, jakie paskudne bywa czasem życie. W końcu postanawiam, że przywiozę dla wszystkich smakowite hoagies ze wszystkimi dodatkami.

Dobrze jest znaleźć się wreszcie na drodze. Najpierw przez dwa lata byłem pod stałą kontrolą, przez następne dwa pod obserwacją. Jadę sześćdziesiątką, postanawiam, że właśnie z taką prędkością przejadę przez cały kraj. Nie muszę zmieniać biegów i widzę wszystko, co mijam po drodze. Mamy właśnie początek czerwca, drzewa są już zielone. Złożyłem dach i czuję się, jakbym jechał prawdziwym kabrioletem. Właściwie przecież tak jest.

Kiedy przejeżdżam przez małe miasteczka w stanie New Jersey, przechodnie posyłają mi niekiedy dziwne spojrzenia. Kieruję się na Benjamin Franklin Memorial Bridge. Teraz dopiero dociera do mnie, że przez całe życie nigdy nie byłem wolny. Opiekowali się mną rodzice albo wojsko, raz wprawdzie byłem na przepustce, ale to też trudno nazwać wolnością. Tak samo było w szpitalu. Nie mogłem nigdzie się ruszyć, bo nie miałem pieniędzy.

Rodzice potrzebowali pieniędzy na przeprowadzkę do Kalifornii. I tak nigdy o nic ich nie prosiłem. Właściwie nawet lepiej, że nie wiedzą, co się teraz ze mną dzieje, w końcu dla nich już nie żyję, jeśli nie gorzej. Większość ludzi nie potrafi pogodzić się z myślą, że ktoś, kogo kochali, jest świrem. Nie mogę ich za to winić.

Właściwie nigdy nie miałem pieniędzy. Wcale ich nie potrzebowałem, nie brałem nawet zaliczek na poczet żołądu. Chciałem żyć z dala od wszystkiego, co mnie otacza, aż do chwili, kiedy wreszcie się wykluję.

Przejazd przez most przypomina lot. To cud, że nie zderzam się z nikim ani nie wpadam na bariery mostu. Chociaż niewiele czasu spędzałem w centrum Filadelfii, czuję, że wracam do domu. Tu spotykam więcej ludzi, którzy aż się zatrzymują, żeby gapić się na mojego Motyla. Może to dlatego, że wielkie firmy samochodowe wypuszczają właśnie nowe modele, myślą, że to jeden z nich?

Skręcam w prawo, w Walnut, mijam szkołę Philadelphia West Catholic, do której chodziłem przez rok, zanim przeniosłem się do liceum Upper Merion. Przejeżdżam Cobb's Creek Park i wreszcie docieram na Marshall Road.

Jadę Marshall Road pod górę, aż w końcu skręcam w Church Lane i dojeżdżam do

Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Dawne wysypisko po lewej stronie przecina teraz droga. Skręcam w nią i znajduję się w miejscu, gdzie jako dzieciak rozbijałem się na rowerze. Clover Lane, moja dawna ulica, prawie wcale się nie zmieniła, tylko na dawnym boisku baseballowym wznoszą nowe budynki. Zwalniam, kiedy dojeżdżam do swojego dawnego domu. Wydaje się teraz taki mały. Wygląda na to, że ktoś w nim mieszka. Przychodzi mi do głowy, że mógłbym odwiedzić ciotki i wujków mieszkających w południowo-zachodniej części miasta, ale nie jestem jeszcze na to gotów. Nie chcę też wracać do Dix po zmroku. Nie chcę spotykać się z nikim, kto wie, że przez ostatnie dwa lata byłem, przynajmniej oficjalnie, świrem. Zbyt wiele czasu zajęło mi dotarcie do punktu, w którym się teraz znajduję.

Ruszam Garrett Road, mijam stary zbiornik na gaz, a potem wzdłuż torów jadę do Lansdowne Avenue. Wjeżdżam na podjazd prowadzący do mojej dawnej szkoły, liceum Upper Merion. Niewiele się tu zmieniło. Wokół pusto, nic dziwnego, mamy właśnie wakacje. Na boisku za szkołą bawi się kilku chłopaków. Zdziwiający, że zaledwie pięć lat temu to miejsce było dla mnie tak bardzo ważne. Zbyt wiele o nim myślałem, ale teraz również z nim mogę się pożegnać. Umysł to takie dziwne urządzenie, czuję się tak, jakby mój mózg podzielony był na niezależne przedziały. Dopóki nie otworzę drzwi, które do nich prowadzą, nie pamiętam niczego, ale starczy je uchylić, a wszystko wraca w jednej chwili. Jednak teraz i tego nie chcę, nie jestem jeszcze gotów.

Dojeżdżam do State Road, gdzie mieści się stacja benzynowa. W pobliżu znajduje się sklepik z *hoagies*, kupuję więc całą dziesiątkę dla chłopaków z kolumny. Kelnerka, która je dla mnie przygotowuje, przez cały czas gapi się przez okno na mojego jeepa. Może nie powinienem był go przemalowywać, ale tak bardzo chciałem wyzwolić się od wszystkiego, co ma jakkolwiek związek z wojskiem i wojną. W tej chwili mój jeep jest najmniej militarnym sprzętem wojskowym w okolicy.

Kupuję benzynę i biorę ze stojaka darmową mapę hrabstwa Delaware. W drodze powrotnej do Dix chcę wybierać jak najbardziej boczne drogi. Zaczynam się zastanawiać, czy nie zatrzymają mnie przy bramie. Walters załatwił mi wprawdzie przepustkę, ale mimo wszystko, kiedy przyjadę żółtym jeepem, wartownicy pewnie się trochę zdziwią. Nie mam na sobie munduru, jestem więc dla nich tylko cywilem, który kupił na aukcji dziwnego jeepa. Zakładam więc na wszelki wypadek odznakę, którą dostałem, kiedy zwolniono mnie do cywila.

Nie mam jednak żadnych kłopotów. Wojna się skończyła i wygląda na to, że ludzie zaczynają już o niej powoli zapominać. Wartownik przygląda się mojemu Motylkowi, ale nie zatrzymuje mnie, odznaki chyba nawet nie zauważył. Może pomyślał, że odpicowałem jeepa na przyszłoroczną Paradę Przebierańców. Ciekawe, czy wciąż się odbywają, pewnie urządzano je przez całą wojnę. Dociera do mnie, że ze wszystkich ludzi, których znam, tylko ja jeden traktowałem wojnę serio. Parkuję jeepa na dziedzińcu i wracam na swoją prycę w koszarach. Jestem już prawie gotów do odlotu.

\* \* \*

Przygotowuję się właśnie do wyjścia, kiedy do sali wchodzi Walters z płóciennym workiem pełnym ciuchów. Opiekuje się mną jak ojciec. Wiele czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni ktoś zatroszczył się o mnie z dobrego serca, a nie z obowiązku.

— Słuchaj, AL. Przyda ci się pewnie trochę ubrań na drogę. Zapakowałem wszystko, czego możesz potrzebować, od butów do bielizny, dwie pary spodni, trzy koszule z krótkimi rękawami, wełnianą czapkę i kurtkę.

Nie wiem, co mam powiedzieć, kradzież tyłu wojskowych ciuchów to wielkie ryzyko, a ja



chciałem uciec od wszystkiego, co choćby przypomina wojsko.

— Słuchaj, wiem, co sobie myślisz, ale chyba znalazłem rozwiązanie. Chodź no tutaj.

Przechodzimy na zaplecze warsztatu. Walters wskazuje wielką balię.

— Używamy jej do czyszczenia większych elementów ze smaru. Wlej do środka porządny wybielacz, postaw na ogniu i mieszaj. W ten sposób wywabisz każdy kolor, tylko uważaj na ręce. Ten roztwór jest jak dynamit, a będziesz musiał trzymać go stale na ogniu i mieszać.

Przerywa i spogląda w moją stronę. Uśmiecham się w odpowiedzi. Świetny pomysł. Martwiłem się trochę o ciuchy, ale zaplanowałem już sobie, że obkupię się w sklepie Armii Zbawienia.

— Super, potem kupię barwniki i pofarbuję wszystko na takie kolory, jakie tylko będę chciał. Będę wyglądał jak motyl, powinienem pasować do jeepa.

Następnego dnia zaczynam robotę od wyczyszczenia wielkiej balii. Na tyłach warsztatu zbieram połamane skrzynki i robię z nich ognisko. Balię ustawiłem na kilku cegłówkach, mogę więc rozpaść pod nią ogień. Napełniam ją do połowy wodą i wrzucam na próbę parę spodni i koszulkę. Dotychczas, wyjąwszy kradzież tych ciuchów, nie złamałem żadnych przepisów wojskowych. Wlewam do balii litr wybielacza, zostawiam wrzącą wodę i jadę do Trenton, do sklepu, o którym dowiedziałem się od Waltersa. Mają tu na składzie barwniki we wszystkich kolorach. Wybieram niebieski, żółty i czerwony, będę mógł z nich uzyskać prawie każdy kolor, na jaki przyjdzie mi ochota. Pierwotne kolory pewnie nie zejdą całkowicie, więc efekt końcowy nie powinien być zbyt jaskrawy.

Kiedy wracam do Dix, widzę, że ogień prawie zupełnie wygasł, dorzucam więc trochę drewna. Koszula i spodnie są już wyraźnie jaśniejsze, jeszcze nie białe, ale na pewno nie oliwkowozielone. Znajduję długi kij, parę rękawic i skrzynkę, na której mogę przysiąść, i zabieram się do mieszania. Po godzinie rzeczy są prawie zupełnie białe. Wyciągam je kijem z balii i rozkładam na kawałku płótna żaglowego.

Dolewam do balii wybielacz i wodę. Płuczę wyprane rzeczy. Wyglądają całkiem porządnie, wciąż jednak mają w sobie coś wojskowego. Rozwieszam je na sznurze do bielizny, właściwie w tej roli występuje kawał drutu. Mam nadzieję, że żaden oficer nie zaskoczy mnie przy tej robocie. W pewnej chwili podchodzi do mnie Walters.

— Co się stanie, jeśli przyłapie mnie jakiś oficer?

— Powiemy mu, że przeprowadzamy eksperyment, czy można jakoś wykorzystać stare szmaty. Wyluzuj się, nikt tu nie przyjdzie, a nawet gdyby, nic się nie stanie. W końcu wojna już się skończyła.

Woda, w której pływa druga porcja ciuchów, zaczyna wrzeć, kolor puszcza. Tę porcję postanawiam zafarbować na czerwono.

Bielenie i farbowanie ubrań zajmuje mi następne trzy dni. Trochę się przy tym kurczą, ale ostatnio schudłem, więc rzeczy świetnie na mnie pasują.

Najtrudniejszym wyzwaniem jest kurtka, ostatecznie więc farbuję ją na ciemnoniebiesko. Kiedy przymierzam wszystko, odnoszę wrażenie, że użyłem do barwienia farbek, jakimi zwykle maluje się wielkanocne pisanki. Wojskowe zostały tylko guziki, ale z tym mogę się jakoś pogodzić.

Pożyczam żelazko od jednego z podoficerów, który przed każdym wyjściem do miasta stroi się, jak gdyby był oficerem. Prasuję wszystko, łącznie z kurtką. Wiem, że to pewnie ostatnie prasowanie w historii mojej garderoby, ale po bieleniu i farbowaniu jest ono niezbędne. Składam wszystko i pakuję do skrzynki z tyłu jeepa.

Do skrzynki na narzędzia ładuję także podręczny ekwipunek, mały palnik i lampkę naftową. Nie zakładam osłony — zostaje w tylnym schowku, który zaopatrzyłem jeszcze w dodatkowe

przykrycie, by deszcz nie zbierał się w fałdach płótna. Nauczyłem się już, jak działa cały system, więc montowanie osłony zajmuje mi teraz zaledwie godzinę. Kiedy ją postawię w deszczowy lub chłodny wieczór, dodatkowa część posłuży jako obrus na mój stalowy stół.

Wyznaczam trasę na mapie. Chcę najpierw skierować się do Cumberland Gap. Wszyscy twierdzą, że o tej porze roku jest tam wyjątkowo ślicznie. Tam właśnie zaczęła się moja kariera wojskowa, kiedy po pięciu dniach w centrum przysposobienia omal nie stanąłem po raz pierwszy przed sądem wojskowym za uderzenie podoficera szpadłem w twarz. Kurczę, ale był ze mnie wtedy dupek. Fort Cumberland mieści się na przedmieściach Harrisburga. Wydaje mi się, że to dobre miejsce, by zacząć zrzucić z siebie dawnego ALa, rozpocząć powrót do prawdziwego życia.

Kiedy wszystko mam już zapakowane, obchodzę garaż i ściskam dłonie wszystkim chłopakom, dziękując za pomoc. Wiem dobrze, że bez nich na pewno by mi się nie powiodło. Obiecuję wysłać do nich kartki z mojej wyprawy, choć wiem, że nigdy tego nie zrobię.

\* \* \*

Podróż jest cudowna. Droga wije się pomiędzy zielonymi wzgórzami, pełno tu parkingów i punktów widokowych na szczytach. Bez problemu udaje mi się jechać ze stałą prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, co jakiś czas tylko zbiera się za mną kolejka spieszących się samochodów, ale wtedy zjeżdżam na parking albo przystaję na szerszym odcinku, by mogły mnie wyminąć. Uśmiecham się i macham do wszystkich, a oni w większości odpowiadają mi uśmiechem. To pewnie przez te kolory, wszyscy chyba sądzą, że to wędrowny cyrk.

Na przegubie mam wojskowy zegarek, który dostałem od Boba Waltersa. Zegarek fosforyzuje w ciemności, zawsze o takim marzyłem. Czuję się o wiele bardziej bezpieczny i wolny, kiedy niezależnie od tego, czy jest dzień czy noc, wiem, która godzina. Staram się rozkoszować wolnością, nie chcę przegapić ani jednej jej chwili. Nie wiem jeszcze, ile mam czasu.

Mijam New Cumberland i postanawiam jechać przełomem rzeki Delaware. Dolina, nietknięta przez człowieka, jest tak piękna, że aż dech w piersiach zapiera. Zatrzymuję się na małym targowisku, żeby kupić coś do jedzenia. Wybieram kilka hamburgerów i bułek, paczkę ziemniaczanych chipsów, do tego parę pomidorów, sałatę i cebulę. Dorzucam jeszcze butelkę wody mineralnej i dwa pączki. Cudownie jest mieć pełno pieniędzy w kieszeniach i nie martwić się o tuszę. Ostatnio ważyłem sześćdziesiąt pięć kilogramów. Kiedy uprawiałem zapasy w szkole, ważyłem siedemdziesiąt pięć, całymi godzinami przesiadywałem wtedy w saunie, żeby zbić wagę. Fajnie jest być nowym ALem.

Mam w jeepie menażkę i zestaw sztućców. Sprzęty te są trochę za bardzo wojskowe jak na mój gust, ale dostałem je w prezencie od jednego z chłopaków z warsztatu. Przy następnej okazji kupię sobie prawdziwe garnki i naczynia. W małym sklepiku, przy którym się dzisiaj zatrzymałem, nie było takich towarów.

Wracam do jeepa, zapada już zmierzch. Naciągam daszek, zapalam lampkę i w środku robi się bardzo przytulnie. Światło odbija się od białych płóciennych ścian, które dobrze trzymają ciepło. Przycinam bułki na pół, układam sałatę i plasterki pomidora, a na tym hamburgera. Nalewam do kubka wody mineralnej. Nie jest to może szczególnie wykwintna kolacja, ale mi wystarczy. Na deser zjadam pączki, a potem sprzątam.

Zaczynam układać listę przedmiotów, które będę musiał dokupić. Niezbędna mi jest miska do zmywania naczyń i do porannej toalety. Nie mam mydła, więc nie mogę się nawet ogolić, choć wcale nie jestem pewny, czy mam na to ochotę. Zastanawiam się, jaką będę miał brodę. Jestem prawie pewien, że będzie gęsta, rano zwykle trudno mi się dogolić, a wieczorem i tak mam silny

zarost.

Kończę kolację, opłukuję się wodą mineralną i dorzucam kolejne punkty do mojej listy — szmatka do naczyń i ręcznik. Przez całe życie ktoś się mną opiekował. Nawet w ciągu ostatnich kilku dni, które spędziłem w Dix, większość potrzebnych mi rzeczy była zawsze na miejscu, w koszarach.

Wszystko jest przygotowane na noc, postanawiam więc pójść jeszcze na spacer. Zaskakuje mnie mrok panujący na zewnątrz. Wyciągam latarkę, o której na szczęście pomyślałem, i zaciągam osłonę, żeby uchronić się przed wizytą niepożądanych gości.

Ruszam wzdłuż lasu i dalej drogą. Przez chwilę zastanawiam się, czy straż leśna albo ktoś inny nie będzie się mnie czepiał. Nie, nie sądzę, by chcieli im się włączyć po nocy.

Staję na drodze i podnoszę głowę. Wiele czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni mogłem oglądać niebo. W szpitalu musieliśmy meldować się przed zmrokiem, a w Dix zbyt wiele było świateł, by móc oglądać gwiazdy. Stoję na środku drogi z odchyłoną w tył głową i gapię się w niebo. Tak łatwo można zapomnieć, jak cudowny jest świat.

Chyba powinienem rozwiesić hamak, zanim zrobi się zbyt ciemno. Ruszam więc z powrotem w stronę jeepa. Nie pomyślałem o tym, ale teraz cieszę się, że zostawiłem zapaloną lampę. Gdyby nie biała osłona świecąca w mroku, nigdy bym go chyba nie znalazł. Żyjemy w tak bardzo uporządkowanym świecie, pełnym latarni ulicznych, oświetlonych okien, chodników, dróg, ogrzewania, że zapominamy nie tylko o tym, jak piękny jest świat, ale także o tym, co niezbędne do przetrwania. Już sama ta myśl jest dostatecznym powodem, bym podjął wyprawę, którą zaplanowałem.

Nigdy w życiu nie spałem w hamaku. Będę musiał dobrze owinąć się kocami, żeby nie zmarznąć, gdyż zamierzam spać wbieżnie. Nie lubię sypiać w ubraniu, a choć sam jeszcze nie wiem dlaczego, nie mam ochoty na spanie z gołym tyłkiem.

Zapomniałem jeszcze o jednym — papier toaletowy. Na razie musi mi wystarczyć papierowa torba, w której kupiłem pączki. Biorę saperkę, odchodzę na dwadzieścia metrów od jeepa i wykopuję dołek. O tak wielu rzeczach trzeba w życiu pamiętać. Ale cały czas się uczę.

Wracam do jeepa, gaszę lampę, składam rzeczy i wyciągam się w hamaku. W ciemnościach okazuje się to trudniejsze, niż przypuszczałem. Wkrótce jednak układam się wygodnie i zapadam w sen.

## ROZDZIAŁ II

Moje życie wpada w regularny rytm. Uczę się żyć w moim Motylu i nie pragnąć niczego więcej. Nieczęsto zdarza mi się przebywać w towarzystwie ludzi, niespecjalnie też go szukam. Wciąż jeszcze nie wróciłem do ludzi, co budzi mój niepokój. Sam nie wiem, kiedy utraciłem wiarę w bliźniego, wciąż nie potrafię jej odzyskać, choć pewien jestem, że pod wieloma względami człowiek jest najwspanialszym ze wszystkich żyjących na Ziemi stworzeń.

Próbuję nawiązywać rozmowy z pracownikami stacji benzynowych, gdzie kupuję paliwo. Staram się rozmawiać ze sprzedawcami w sklepach, w których kupuję jedzenie. Stopniowo dociera do mnie, że ani ja, ani oni nie mamy najmniejszej ochoty na to, by się poznać. Wszyscy tylko gramy, odgrywamy farsę, udajemy, że nam na sobie zależy.

Zaczynam dostrzegać podobieństwa i różnice między ludźmi, nie tylko te wynikające z geografii — między mieszkańcami Nowej Anglii i Teksaszczykami i tak dalej. Oczywiście, widzę wyraźnie te różnice — w języku, opiniach, potrzebach — ale teraz dostrzegam także różnice pomiędzy poszczególnymi osobami. Nabieram coraz silniejszego przekonania, że nie istnieje coś takiego jak „człowiek”, każdy jest jedyny w swoim rodzaju, niezależnie od religii, rasy czy miejsca zamieszkania. Jednak czuję także, że im bardziej ludzie skupiają się na tych pozbawionych znaczenia kwestiach, tym mniejszą mają szansę, by być naprawdę sobą.

W czasie pobytu w szpitalu przeczytałem prawie wszystkie książki, które udało mi się zdobyć, nie było ich jednak zbyt wiele. Niektóre czytałem wiele razy. Personel szpitala wychodził z założenia, że książki nie są właściwe dla ludzi takich jak ja, mających kłopoty psychiczne, nie chcieli, bym miał do czynienia z czymkolwiek, co mogłoby wywołać niepotrzebne podniecenie. A przecież właśnie za tym najbardziej tęskniłem. Rozmawiałem o tym z Weissem, który próbował sprowadzić nowe książki, ale bez powodzenia.

Teraz więc moja podróż przez Amerykę, poszukiwania własnej tożsamości — Amerykanina, mężczyzny, młodego człowieka — wszystkiego tego, czym, jak sądzę, jestem, odchodzi w cień, kiedy odkrywam książki. Powinienem szczerze powiedzieć, że podróż z jednego stanu do drugiego, z miasta do miasta, z gór na równiny, znad rzek na pustynie, choć interesująca, nie wpłynęła na mnie w takim stopniu jak wędrówka od antykwariatu do antykwariatu.

Wszystko zaczyna się w Bostonie. Ze szkoły i nielicznych mniej lub bardziej ważnych książek, które przeczytałem w szpitalu, wiem dostatecznie wiele o literaturze amerykańskiej, by zdawać sobie sprawę z tego, że znalazłem się w ośrodku wczesnych amerykańskich wizjonerów. Zwiedzam domy Alcottów, Hawthorne'a, Emersona, Thoreau. Odwiedzam Walden i ogarnia mnie rozczarowanie. Widywałem już w miejskich parkach bardziej interesujące stawy. Nie ma to jednak znaczenia. Bardziej liczy się dla mnie to, co kryli w sobie owi ludzie i ich przywiązanie do słowa.

W antykwariatach wynajduję książki, które czytali i pisali, czasami zdarza mi się trafić na prawdziwy klejnot za jedyne dziesięć centów. Robi się z tego wyprawa po skarby. Na miesiąc osiedlam się pod Bostonem, aby przekopać się przez tę żyłę intelektualnego złota.

Rozmawiam ze wszystkimi księgarzami. Na ogół są to ludzie, z którymi mogę rozmawiać, których nie odstrasza moje dziwne ubranie i broda. Postanowiłem, że nie będę się golił. Widziałem portrety Whitmana i Emersona, teraz otaczający mnie mężczyźni wydają mi się jedynie wyrosniętymi chłopcami. Mężczyzna powinien nosić brodę, golenie się jest jedynie dziwną perwersją. Mój problem polega jednak na tym, że nie żyję w czasach Emersona i na ulicach nie widuje się bród poza moją. Moim zamiarem jest jak najmniej rzucać się w oczy ale z

powodu Motylka, farbowanego ubrania i czarnej brody nic z tego nie wychodzi. Uczę się ostrożności, próbuję być niewidzialny, na ile to możliwe.

Moja podróż przez Amerykę staje się coraz bardziej podróżą przez książki i księgarnie. W księgarni w jednym mieście czy miasteczku dowiaduję się o następnej znajdującej się na mojej trasie. Często oddaję przeczytane książki w zamian za inne, nowe. Większość czasu zajmuje mi teraz lektura. Odkrywam biblioteki publiczne i chronię się w nich w zimne lub deszczowe dni. Wypożyczam tytuły, o których dowiedziałem się z wcześniejszej lektury, a których nie udało mi się znaleźć w antykwariatach na półkach z tanimi książkami.

Czuje, jak zmienia się moje życie. Ludzie, który napisali te książki, i ci, o których pisali, sprawiają, że moja wiedza o świecie poszerza się, staję się bardziej tolerancyjny, dowiaduję się więcej o człowieczeństwie. Nazbyt łatwo ulegamy rozpacz. Świat wydaje mi się teraz bogatszy, większy, a jednocześnie mniejszy, nieskończenie interesujący.

Mniej więcej w tym samym czasie pojawiają się w moim życiu dwa nowe zainteresowania. Zastanawiam się nad nimi głęboko, zanim zaangażuję się w nie zbyt mocno, ale mój wewnętrzny żyroskop i kompas wskazują właśnie ten kierunek, muszę więc ich posłuchać. Kupuję teczkę, papier, kilka rodzajów ołówków, dwa różne pióra, piórko, atrament i pudełko akwarel. Chcę zachować dla siebie wiele rzeczy, które widziałem. Mógłbym posłużyć się aparatem fotograficznym, ale nie chcę, poza tym aparaty są bardzo kosztowne. Drugie moje zainteresowanie, pewnie po części wynikające z nazwy mojego jeeпа, to motyle. Zaskakuje mnie ich różnorodność, czytam kilka książek o ich obyczajach, przemianie z gąsienicy w motyla, o smakowaniu nektaru, obyczajach godowych. Odkrywam w tym wszystkim coś ze swego wysiłku transformacji.

Zaczynam rysować liście, źdźbła trawy, dzikie kwiaty, wszystko, co ma jakiś związek z motylami. Na ile tylko to możliwe, pragnę poznać ich życie, tak jak tworząc Ptaśka, poznałem życie ptaków. Tym razem podchodzę do tego bardzo ostrożnie, wsłuchując się w siebie, starając się pozostać Alfonsem Columbato.

Zaskakuje mnie, że tak dobrze potrafię rysować. Właściwie nigdy w życiu nie rysowałem ani nie malowałem, ale pewnie zawsze miałem w sobie tę umiejętność, Ptasiek był świetnym rysownikiem, a ja w jakiś dziwny sposób byłem Ptaśkiem.

W miarę jak coraz bardziej interesuję się motylami i czytam o nich wszystko, co wpadnie mi w ręce, zaczynam dostrzegać kokony na gałązkach zwisające z drzew i fascynujące tańce motyli, które, jak się domyślam, oznaczają ich zaloty. Niestety, w dostępnych książkach pisze się głównie o tym, jak łapać motyle w siatki i jak umieszczać je na szpilkach. To akurat wcale mnie nie interesuje, więc początkowo oglądam je w locie, kiedy tylko mogę, i obserwuję kokony na gałązkach drzew czy krzewów. Czasami są tak zabarwione, że prawie wcale ich nie widać, czasami zaś są doskonale widoczne. Mam wciąż nadzieję, że uda mi się zobaczyć motyla wydostającego się z kokonu, ale minie jeszcze wiele czasu, zanim do tego dojdzie.

Próbuję także rysować je albo malować pośród traw i dzikich kwiatów. Często, kiedy wiatr cichnie, wydaje mi się, że poruszają się tylko motyle, dopiero po pewnym czasie dostrzegam inne owady, najpierw mrówki, a potem przeróżne chrząszcze. Raz nawet udało mi się zobaczyć, jak modliszka chwytła i pożera żuka.

Pewnego dnia natrafiam na krzak obsypany żuczkami, które pożerają liście. Nie ruszają się prawie, więc mogę je rysować i malować. Ich kolory tak bardzo zmieniają się w blasku słońca, że nie potrafię zdecydować, jakimi farbami mam je malować. Biorę żuczka na dłoń i przyglądam mu się z bliska. Nie wygląda na to, by miał coś przeciwko temu, aż do chwili, kiedy odwracam go do góry nogami, aby namalować go od strony brzucha, zaczyna wtedy szaleńczo wymachiwać czarnymi nóżkami, a w końcu rozwija skrzydła i w ten sposób udaje mu się odwrócić i odlecieć.

Uczę się, jak wiele można zobaczyć, jeśli tylko patrzy się uważnie.

Moja droga wiedzie przez góry Catskill i dalej przez Arondiracks. Zaskakujące, jak bardzo różnią się od siebie te łańcuchy górskie, jak różne porastają je trawy i drzewa. Trzymam się stale bocznych dróg, czasami właściwie ścieżek, rzadko więc spotykam ludzi.

Kiedy przyjeżdżam do jakiejś wsi, żeby kupić jedzenie lub paliwo i uzupełnić zapas wody, ludzie na ogół są bardzo życzliwi, kiedy już przywykną do mojego wyglądu. Cudowne jest to, że w każdym, nawet najmniejszym miasteczku znajduję jakieś miejsce, gdzie sprzedaje się używane książki. Uczę się oddawać te, które przeczytałem, aby móc kupić następne. Księgarze są zawsze najmiłsi. Wielu z nich to bardzo nieśmiali ludzie, wydaje się wręcz, że się mnie lękają, ale kiedy chwilę porozmawiamy i poznamy się lepiej, zawsze udaje nam się znaleźć wspólny język. Dwa razy zdarza się, że księgarze zapraszają mnie do swych domów, na ogół mieszczących się w pobliżu księgarni.

Jeden z nich mieszka w małym pokoiku oddzielonym od księgarni jedynie zasłoną. Razem jemy przywiezione przeze mnie chleb i miód. Rozmawiamy o tym, co ludzie nazywają mitami greckimi. Przeczytałem na ten temat zaledwie jedną książkę, ale mój gospodarz wie o wiele więcej. Jest przekonany, że nie są to wcale mity, a rzeczywiste wydarzenia, które z czasem przekształcono, aby stały się bardziej interesujące. Uważa, że tak właśnie wygląda cała historia — składają się na nią przeróżne wersje autentycznych wydarzeń.

Kłopoty miewam jedynie wówczas, kiedy ktoś na tyle przestraszy się mnie i mojego jeepa, by wezwać policję. Kiedy dochodzi do tego po raz pierwszy, jestem wystraszony ich wyglądem i pytaniami, które zadają. Policjanci często sądzą, że ukradłem jeepa i przemalowałem dla niepoznaki. Wyjaśniam, jak tylko potrafię, że nie byłby to chyba zbyt dobry sposób, aby cokolwiek ukryć, ale w końcu wyciągam dowód rejestracyjny i dokumenty jeepa, w tym kwit z Dix.

Często, kiedy pytam, dlaczego mnie zatrzymali, nie potrafią odpowiedzieć, chcą jednak wiedzieć, skąd pochodzę i tak dalej. Na ogół muszę wtedy pokazać papiery z wojska i prawo jazdy, mimo wszystko jednak moja broda i ubranie budzą ich niepokój.

Dwa razy zabierają mnie na komisariat, do sierżanta, bo sami nie wiedzą, co ze mną zrobić. Pytam tylko, czego chcą się ode mnie dowiedzieć i jakie przestępstwo popełniłem. Opowiadam o swojej wyprawie z Fort Dix, gdzie kupiłem jeepa, przez całą Amerykę. Pokazuję dokumenty i papiery ze szpitala, potwierdzające moje inwalidztwo. Wszystko to sprawia, że są jeszcze bardziej zdziwieni. Raz trzymają mnie przez noc w areszcie. Kiedy mówię, że martwię się o jeepa i rzeczy, policjanci mówią, że będą mieli na niego oko. Jedzenie w areszcie nie jest wcale złe.

Policja przypomina mi nieco wojsko, człowiek się zmienia, kiedy dostaje do ręki broń. Sądzę, że czuje się wtedy lepszy od wszystkich innych, nie musi więc okazywać uprzejmości.

Pewien sierżant nazywa mnie „pacyfistą”, ja zaś odpowiadam, że to prawda, ale uważam, że mam do tego prawo, ponieważ walczyłem na wojnie i dowiedziałem się, czym ona jest. Wścieka się na mnie i stwierdza, że nie jestem prawdziwym Amerykaninem. Odpowiadam, że jestem Amerykaninem, bo tutaj się urodziłem. Mówię, że byłbym Niemcem, gdybym urodził się w Niemczech. Po tych słowach wścieka się jeszcze bardziej, właśnie tamtą noc spędzam w areszcie. Następnego ranka sprawdzam jeepa, wszystko jest w porządku. Kiedy odjeżdżam, widzę, że sierżant i jego podwładni stoją przed drzwiami komisariatu z dłońmi opartymi na biodrach tuż nad kaburami rewolwerów. Odjeżdżam powoli, wolniej nawet niż sześćdziesiątką na godzinę. Nie chcę dać im żadnego powodu, by użyli swoich czterdziestek piątek.

A przecież wielu policjantów bardzo mi pomaga. Przekonuję się, że najlepiej zaraz po przyjeździe do każdego miasta znaleźć policjanta i zapytać, gdzie mogę coś zjeść i kupić

jedzenie. Kilka razy pytam, czy w miasteczku jest antykwariat, a jeśli tak, to gdzie się znajduje. Żaden policjant nigdy nie udzielił mi takiej informacji, ale po tym pytaniu nigdy nie mam z nimi kłopotów. Uznają mnie po prostu za niegroźnego świra. Dochodzę do wniosku, że gdybym postanowił zostać przestępcą, mogłoby mi się to powieść. Nikt nie będzie podejrzewał, że facet w pastelowym ubraniu i żółtym jeepie może być niebezpieczny. A może się mylę?

Dopiero w stanie Illinois, w okolicach Peorii, znalazłem księgarnię z książkami o motylach, jakich od dawna szukałem. Kupiłem od razu cztery, uzupełniłem zapasy jedzenia i zatankowałem jeepa, a potem wjechałem do pustego lasu i zabrałem się do czytania. Czekala mnie największa niespodzianka mojego życia. Sądziłem dotąd, że ptaki są interesujące, ale motyle okazały się wprost magiczne, cudowne. Naprawdę przechodzą przeobrażenie, metamorfozę, jak się to czasami nazywa, zupełnie jak ja teraz. Właściwie uczę się tych książek na pamięć, chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że dotyczą one zaledwie najbardziej oczywistych kwestii. Poza tym dowiaduję się, że w wielu sprawach nawet specjaliści od motyli wiedzą bardzo niewiele.

## ROZDZIAŁ III

Dowiaduję się na przykład, że motyle migrują, podobnie jak ptaki i trochę tak jak ja. Nie dotyczy to wszystkich motyli, niektóre spędzają całe życie w jednym miejscu. Na ogół jednak pewna ich liczba wyrusza w drogę, kiedy robi się zbyt zimno, by mogły znaleźć kwiaty z ulubionym przez nie nektarem. Jeden gatunek, monarch, potrafi wędrować na odległość trzech tysięcy kilometrów z północy na południe i z powrotem. Migrują z Kanady aż do południowej Kalifornii i Meksyku, gdzie znajdują pożywienie. Pod koniec zimy albo wczesną wiosną motyle odbywają gody, składają jajeczka, które przechodzą następnie cały proces przeobrażenia, a wtedy kolejne pokolenie motyli wyrusza w drogę na północ.

Jadę do Austin, gdzie mieści się wielki uniwersytet. Policjanci są tu wyjątkowo wredni, ale księgarnie po prostu znakomite. Znajduję dwa podręczniki, które zawierają wszystkie potrzebne mi informacje. Gliniarze czepiają się mnie jak zawsze, ale tutaj są o wiele bardziej brutalni niż gdzie indziej. Nie wiem, jakie są przepisy dotyczące traktowania podejrzanych typów takich jak ja, ale kiedy teksański glina rzuca mnie na maskę samochodu i obszukuje, a potem przeszukuje wszystko, co do mnie należy, trochę się denerwuję. Nie siedziałem w areszcie w Austin ani żadnym innym mieście w Teksasie, ale czasami niewiele brakowało.

Staram się zawsze wyglądać jak najbardziej niewinnie, dopóki sobie nie pójdą. Dla policjantów szczególnie zabawne jest przeszukiwanie mojego jeepa, zwłaszcza odkąd zaczynam zbierać kokony motyli wraz z gałązkami, do których są przyłączone. Zawieszam je z tyłu wozu na cienkich linkach. Jeden z policjantów dotyka ich, a wtedy budzi się we mnie „dawny AL”, omal się na niego nie rzucam, ale opanowuję się, wyjaśniam, co robię, pokazuję swoje książki o motylach i stwierdzam, że jestem studentem. Pokazuję też papiery zwolnienia z wojska. Policjant uspokaja się, rzuca jeszcze coś o „najróżniejszych świrach, jakich teraz spotyka się na drogach”. Sam nawet nie wie, jak bliski jest prawdy.

W małym miasteczku w Oklahomie natrafiam w lombardzie na mały mikroskop w drewnianym pudełku. Właściciel cieszy się, że się nim zainteresowałem.

— Kurka, trzymam tego grata już od trzech lat i nikt nie chciał go ani kupić, ani odebrać. Straciłem już wszelką nadzieję.

— Pamięta pan może, kto i dlaczego go zastawił?

— Pamiętać, nie pamiętam, ale gdzieś powinienem mieć dokumenty. Zaraz poszukam.

Wyciąga długą wąską szufladkę pełną małych karteczek. Zdmuchuje z nich kurz, trafiłem najwyraźniej do pylistej części Oklahomy. Przegląda karteczki, aż wreszcie wyciąga jedną z nich.

— Proszę, tu jest. Zastawiono go jeszcze podczas wojny. Proszę, proszę. O tutaj, Arnold Matthews. Bałem się, że gdzieś go ukradł razem z innymi rzeczami, które do mnie przyniósł, ale powiedział, że powołali go do woja i chce przed wyjazdem po — spłacać długi. — Milknij, patrzy mi prosto w oczy. Przeciera pudełko i zaczyna się bawić zamknięciem. — Wiesz, może ten chłopak już nie żyje. Może dlatego nigdy nie wrócił. Chyba nie uwierzyłem wtedy, że mówi prawdę, ale to taka dziwna robota. — Spogląda na kartkę. — Dałem mu za ten mikroskop osiem dolarów. Większość rzeczy, które przyniósł, już poszła, sprzedana. Myślałem, że tego nigdy nie uda mi się pozbyć, tutejsi nie kupują takich zabawek, sądziłem, że będę musiał go spisać na straty.

Otwiera zameczek i podsuwa mi pudełko, bym mógł zajrzeć do środka. Widzę śliczny mały mikroskop na ruchomej podstawie z trzema soczewkami. Z boku pudełka umieszczone są ramki, w których można mocować oglądane preparaty. Nie ma oświetlenia lusterka. Ostrożnie wyjmuję



mikroskop. Leżał cały czas w pudełku, nie widzę więc żadnego śladu rdzy czy kurzu. Podnoszę go, by się przekonać, czy soczewki są nietknięte. Wyrrywam sobie włos z głowy i układam go na szklanej podstawce, przypominając sobie lekcje biologii. Właściciel lombardu przygląda się uważnie każdemu mojemu ruchowi. Ustawiam stukrotne powiększenie, a potem przestawiam na dwieście. Włos powiększa się na moich oczach. W lombardzie jest dość ciemno, ale dla mnie tyle światła wystarczy. Włos wygląda teraz jak długa rura. Ustawiam na trzystukrotne powiększenie i wiem już, że właśnie tego potrzebowałem. Podnoszę głowę i uśmiecham się. Właściciel odpowiada uśmiechem.

— Chcesz go kupić?

Kiwam głową i sięgam po portfel. Łapie mnie za rękę.

— Byłeś na wojnie? Kiwam głową.

Przesuwa mikroskop w moją stronę.

— Tak właśnie myślałem, weź go, proszę. W tych okolicach naprawdę wysoko cenimy sobie to, co zrobiliście, chłopcy, żeby uratować świat.

Próbuję wcisnąć mu osiem dolarów.

— Proszę przynajmniej pozwolić go wykupić. Ten mikroskop jest wart o wiele więcej niż osiem dolarów.

— Dobra, jak długo byłeś w wojsku?

Mówię mu, że cztery lata, nie dodaję jednak, że połowę tego okresu spędziłem w szpitalu.

— W takim razie za każdy rok w wojsku odliczę ci dolara. Czyli razem należą się cztery dolary.

Odliczam cztery dolary, wręczam je właścicielowi lombardu i dobijamy targu uściskiem dłoni. Później w małym pokoiku za półkami, na których leżą przedmioty najwyraźniej nikomu niepotrzebne, rozmawiamy przy kawie i ciastkach. Właściciel byłby pewnie świetnym księgarzem, jest tak spokojny i cierpliwy.

— Skąd i dokąd jedziesz, że znalazłeś się na tym kompletnym odludziu?

Opowiadam mu, że jadę przez cały kraj swoim jeepem, aby się rozejrzeć. Podnosi się wolno i wygląda przez okno na wóz.

— Fajny jeep. Dlaczego pomalowałeś go na żółto?

— Mi podobał mi się oliwkowy kolor. Widzi pan tę białą osłonę z tyłu?

Wychyla się ponownie, kiwa głową z podziwem.

— A to dopiero. Założę się, że mieszkasz w tym jeepie, synku.

— Zgadza się. Ruszyłem z New Jersey i krążę tak tu i tam, rozglądam się po kraju.

— I co myślisz o dzisiejszej Ameryce?

— Wydaje mi się, że ma się całkiem nieźle. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie są szczęśliwi. Jest lepiej, niż myślałem, aleja i tak wolę swoje gąsienice.

— A po co ci ten mikroskop?

— Będę oglądał motyle. Obserwowałem je przez całą drogę. Próbuję dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

— Tak, tak. Naprawdę dziwny z ciebie chłopak.

I na tym kończymy rozmowę. Próbuje jeszcze oddać mi moje cztery dolary. Mówię jednak, że dostałem za nie aż nadto dobrej kawy, ciastek i do tego jeszcze miło mi się rozmawiało. Wychodzę z lombardu, wskakuję do jeepa i odjeżdżam pylistą drogą. On zaś macha mi na pożegnanie. Wiem, że jeśli będę spotykał takich ludzi, wszystko będzie ze mną w porządku.

\* \* \*

Dzięki książkom, mikroskopowi i lupie dowiaduję się o wiele więcej o motylach. Z dwóch z moich poczwerek wylęgają się nawet motyle. To zwykle cytrynki, ale wyglądają naprawdę wspaniale, kiedy odlatują, po raz pierwszy unosząc się w powietrze. Mam nadzieję, że znajdą sobie coś do jedzenia. Nie wiem, czego właściwie potrzebują, ale nie chcę ich łapać.

\* \* \*

Dowiaduję się, że ciało motyla dzieli się na trzy części. Na przednią składa się głównie głowa z oczami i czułkami. U spodu głowy mieści się zwinięta trąbka, obok niej zaś jakieś włoski.

Oglądam bardzo uważnie dużego motyla, którego znalazłem na ziemi w pobliżu granicy Oklahomy. Ustawiam trzystukrotne powiększenie i widzę, że oko rzeczywiście składa się z małych płytek zwanych fasetkami, tak jak opisują je w książkach. Próbuję się domyślić, jak działa takie oko. Czy oczy motyli pozwalają im widzieć przedmioty, czy rozróżniają jedynie barwy.

Następną częścią motyla jest tułów. Tu mieści się serce i mięśnie, które pozwalają mu latać. Z tułowia również wyrastają nogi i skrzydła. Motyl ma sześć odnóży kroczych, każde zaopatrzone w stawy, prawie jak u ludzi. Dzięki mikroskopowi widzę, że nóżki zakończone są pazurkami. Są niezbędne, by motyl mógł się wspinać i przyczepiać do roślin, ich liści i kwiatów. Według książek, na odnóżach umieszczone są kubeczki smakowe, ale nawet przy trzystukrotnym powiększeniu nie jestem w stanie ich dostrzec.

Motyl ma cztery skrzydła, dwa przednie i dwa tylne. Na ogół przednie są większe. Pokrywają je tak zwane łuski. Godzinami przypatruję się przez okular mikroskopu, jak wyglądają i jak są ułożone. Dostrzegam co najmniej sześć różnych odcieni brązu, żółci i pomarańcza. U znanych mi motyli te właśnie kolory pojawiają się najczęściej. Książki twierdzą, że niektóre motyle mają łuski, które załamują, a nie odbijają światło, dając w efekcie piękne, błękitne, fioletowe i srebrne barwy, zwłaszcza przy krawędziach skrzydeł. To tak cudowny widok, że mogę wpatrywać się weń godzinami. Wydaje się, że łuski na motylich skrzydłach ułożone są jak łuski węży, mają różne kształty i rozmiary, w zależności od tego, gdzie się mieszczą.

Wyczytałem też, że samczyki niektórych gatunków mają specjalne łuski połączone z gruczołami czy czymś, co wydziela zapach, który podobno wabi samiczki. Wszystko to jest tak bardzo ciekawe, że czasami nie kładę się w ogóle spać, tylko przez całą noc oglądam motyle. Kupiłem małą latarkę i dwadzieścia baterii, mogę więc obserwować motyle pod mikroskopem ustawionym na moim stalowym stoliku. Wydaje mi się, że nigdy w życiu nie widziałem niczego równie pięknego. Gdyby malarze mogli namalować to, co teraz oglądam, nasz świat stałby się o wiele lepszy. Muszę nauczyć się dobrze malować, abym sam mógł spróbować.

Trzecia i największa część ciała motyla to odwłok. Wyczytałem, że mieści w sobie organy rozrodcze, organy zajmujące się trawieniem nektaru i innego pożywienia, nerwy i serię małych otworków zwanych przetchlinkami. Powietrze przechodzi przez przetchlinki do systemu tchawek, który obejmuje całe ciało motyla.

Nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że motyle mają „pneumatykę”, ale przetchlinki i tchawki są jak system hydrauliczny przenoszący powietrze, prawie tak jak płuca, do każdej części ciała motyla. Zastanawiam się teraz, jak mogłem myśleć, że świat jest nudny i nie warto żyć. A już jeden motyl potrafi nadać życiu sens.

\* \* \*

Przejeżdżam przez stany Południowego Zachodu, Nowy Meksyk, Arizonę i wreszcie Kalifornię. Nie jestem jeszcze przygotowany na spotkanie z rodzicami, na odpowiadanie na ich pytania. Chciałbym jednak zobaczyć się z bratem, który był zbyt młody, by wyruszyć na wojnę. Chciałbym porozmawiać z nim o sprawach, nad którymi się ostatnio zastanawiałem. Z nim jednym zawsze mogłem się porozumieć. Problem jednak polega na tym, że AL, którego znał i podziwiał, już nie istnieje. Jestem nowym ALem, mam przynajmniej taką nadzieję. Mimo wszystko chciałbym z nim porozmawiać, choćby po to, by pomóc mu uniknąć błędów, które sam popełniłem, pułapek, w które wpadłem.

Ruszam z San Diego w stronę Los Angeles, jak poprzednio wybierając najmniej uczęszczane drogi. Stałem się specjalistą w czytaniu map. Docieram do Mount Wilson, żeby zobaczyć tutejszy teleskop. Okazuje się ciekawy, ale do niczego by się nie przydał w moich badaniach nad motylami. Jadę dalej wzdłuż wybrzeża autostradą numer 1 do parku narodowego Sequoias, gdzie obozuję przez kilka tygodni. Czuję się bardzo mały pośród potężnych, starych drzew. Rozmyślałem o motylach, które latały wśród nich przed tysiącami lat. Nawet teraz motyle zamieszkujące te gigantyczne lasy różnią się od innych.

Później ruszam dalej na północ, przez Oregon do lasów, gór i rzek stanu Waszyngton. Czystość powietrza, piękno wody i ziemi wprost zapierają dech w piersiach. Zostawiam jeepa w garażu, pożyczam rower, na którym zwiedzam wyspy San Juan. Z jednej na drugą mogę dostać się promem, zwiedzam zatem same wyspy, jak i inne mniej znane atrakcje tego stanu. To najwspanialsza część mojej wyprawy, może kiedyś właśnie tutaj się osiedle.

Kiedy ruszam z powrotem do Kalifornii, czuję się bardzo silny. Kilka z moich poczwerek otwarło się, uważnie obserwowałem, jak motyle smakują powietrze i ruszają ku nowemu życiu. Teraz jestem pewien, że i ja będę w stanie stworzyć sobie nowe życie. Motyle pomogły mi dostrzec w przyrodzie magię.

\* \* \*

Wiem, że motyle czują zapachy czułkami i smakują za pomocą odnóży. Jeśli nektar jest słodki, trąbka rozwija się, aby go ssać. Motyle, oprócz kilku wyjątków, żywią się nektarem wszystkich kwiatów. Jednak jako gąsienice są bardzo wybredne. Żywią się jedynie wybranymi roślinami, samica musi więc złożyć jajeczka dostatecznie blisko takiej rośliny, by gąsienice, które się z nich wyklują, przeżyły.

Głównym zajęciem dorosłego motyla jest dawanie życia jak największej liczbie małych motylków. Na ogół mają przed sobą zaledwie tydzień życia, w tym czasie muszą znaleźć sobie partnera. Samczyki potrafią rozpoznać odpowiednią partnerkę po takich cechach jak rozmiar skrzydeł, kształt, deseń, kolor i tak dalej. Na ogół wygrzewają się w słonecznych miejscach, czekając, aż zbliży się do nich samica, czasami podejmują bohaterskie wyprawy w korony drzew, w poszukiwaniu „słoneczka swego życia”. Czasami samczyki są tak namiętne, że próbując znaleźć odpowiednią samicę, ścigają spadające liście albo inne samczyki.

Kiedy ją znajdują, starają się zwrócić na siebie uwagę i podejmują tańce godowe. Często samczyk spotyka partnerkę w locie, a wtedy tańczy wokół niej w powietrzu, rozpylając tak zwane feromony, które mają skłonić ją do uległości. Jeśli samiczka daje do zrozumienia, że jest zainteresowana, samczyk próbuje zwabić ją w bezpieczne miejsce, ponieważ sam akt kopulacji trwa od dwudziestu minut do kilku godzin. Zdarza się niekiedy, że motyle spędzają całą noc splecione odwłokami w miłosnym akcie.

Samiczka unosi nasienie i wyrusza na poszukiwanie odpowiedniej rośliny, na której będzie mogła złożyć jajeczka. Składa do kilkuset jajeczek, różnią się one kształtem w zależności od

gatunku, każde jednak ma mały otworek; samiczka wkłada tam porcję nasienia, które od kopulacji przechowywała w swoim ciele.

Gąsienice wykluwają się zazwyczaj po kilku dniach, chyba że nagle się ochłodzi, wtedy proces ten trwa nieco dłużej. Wydostają się za pomocą ostrych żuwaczek: najpierw pożerają osłonkę, a potem zabierają się do błyskawicznego pochłaniania liści i pączków. W ciągu dnia lub tygodnia mogą urosnąć kilkadziesiąt razy, z tego powodu muszą wciąż zrzucić nierozciągliwy oskórek.

Po pewnym czasie gąsienica przestaje jeść, znajduje sobie ustronne miejsce, aby rozpocząć trzeci etap życia. Przyczepia się do liścia lub gałązki i zaczyna owijać się jedwabistą nicią, w tym samym czasie linieje po raz ostatni. Staje się wtedy miękką poczwarką, która stopniowo twardnieje. Przez kilka dni lub miesięcy, zależy to od pogody i gatunku motyla, poczwarka wisi nieruchomo, oczekując ostatecznego przeobrażenia, metamorfozy.

## ROZDZIAŁ IV

Mam jedynie adres moich rodziców w Kalifornii, miasto, w którym mieszkają, nazywa się Venice. Zastanawiam się, czy mają tam kanały. Z mapy wynika, że jest ono położone blisko Oceanu Spokojnego. Nie pisałem do rodziców od ponad dwóch lat, ale właściwie to typowe dla naszej rodziny. Domyślam się, że Mario powinien być już w liceum.

Ulica, na której mieszkają, nazywa się Crestmore Place. Pytam na pięciu kolejnych stacjach benzynowych, zanim udaje mi się ją odnaleźć. Okazuje się, że jest bardzo krótka, a dom, w którym mieszkają, jest jeszcze gorszy od naszego starego szeregowca. W Kalifornii nazywa się takie domostwa *court*. Parkuję Motyla przy krawężniku, ale nie zabieram nic ze sobą. Jest około wpół do czwartej, mamy słoneczne styczniowe popołudnie. Trudno uwierzyć, że to styczeń. Mam na sobie jedynie koszulę, nie wzięłem nawet kurtki. Domyślam się, że papa powinien być w pracy, jeśli jakąś tu sobie znalazł. Przed drzwiami rosną kwiaty, jakich nigdy w życiu nie widziałem. Dzwonię.

Po drugim dzwonku mama uchyla drzwi. Wciąż nie lubi rozmawiać z nieznajomymi, wstydzi się swojego akcentu. Jest piękna jak zawsze, tylko w jej kruczoczarnych dawniej włosach pojawiły się pierwsze siwe pasemka. Wbija we mnie wzrok.

— Czym mogę panu służyć?

— Mogłabyś mnie uściskać i wyciąłować. Cofa się o krok, próbuje zamknąć drzwi.

— Mamo, to ja, AL! Nawet nie wpuścisz mnie do domu?

— To ty, Alfonso? Ty nie umarłeś?

— Jeszcze nie. Nawet armia przyznała, że jestem mniej więcej żywy. No, wpuść mnie do środka. Pocałuj swojego syna.

Mama wybucha płaczem i niemal wypada za drzwi prosto w moje objęcia. Przyciskam ją mocno do siebie. Tak dobrze znaleźć się w domu. Tak naprawdę nigdy nie myślałem, że kiedyś jeszcze zobaczę moją rodzinę. To miejsce nie jest dla mnie prawdziwym domem, ale na nic więcej nie mogę teraz liczyć. Sam już nie wiem, ile czasu minęło od naszego rozstania. Poza tym naprawdę byłem daleko, nie tylko na drugim końcu kraju.

Przytulam ją i całuję na progu domu.

— Och, Alfonso, jak się tu dostałeś? Jak nas znalazłeś? Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że to ty. Taki jesteś szczupły, taki błydy. Dlaczego się nie ogoliłeś? Czy zostałeś zraniony w twarz i chcesz to ukryć? Dobrze się czujesz?

— Nie czułem się tak dobrze od bardzo dawna, mamo. Z moją twarzą wszystko w porządku, po prostu nie chcę się golić. Długo chorowałem.

— Dowiedzieliśmy się, że zwariowałeś, miałeś złamaną szczękę, cierpiełeś na zmęczenie frontowe i lekarze nie wiedzieli, czy kiedyś znowu będziesz sobą. Vittorio twierdzi, że doznałeś wstrząsu, jak jego brat Francisco podczas pierwszej wojny. — Odsuwa mnie, aby lepiej mi się przyjrzeć. — Co ty masz na sobie? Czy to ubranie ze szpitala? Uciekłeś? O nic się nie martw, zaopiekujemy się tobą. Mam wszystkie twoje ubrania, przewiozłam je z drugiego końca kraju.

Ponownie wybucha płaczem, przyciska mnie mocno do siebie. Wyczuwam perfumy, których zawsze używała. Myślałem, że już o tym zapomniałem. Rozglądam się po pokoju, jest niewielki, zauważam kuchenkę i drzwi, które pewnie prowadzą do łazienki.

— Jak się mają papa i mały Mario?

— Mały Mario jest wyższy od ciebie, Alfonso. Gra w piłkę, tak jak ty kiedyś. A mój Vittorio znalazł sobie dobrą pracę, buduje samoloty w Santa Monica. Nie pracuje już jako hydraulik.

Dostał pracę w narzędziowni, gdzie przechowuje się i wydaje pracownikom najcenniejsze narzędzia. Teraz jest ważnym człowiekiem. Twierdzi, że sam nie wie, dlaczego płacą mu tak dużo za tak prostą pracę. Wraca do domu czysty, jak gdyby chodził na spacer do parku albo nad ocean, nigdy nie jest zmęczony ani zły. Życie w Kalifornii jest takie cudowne. Och, Alfonso, będzie taki szczęśliwy, kiedy cię zobaczy.

Mówi tak szybko, a jej włoski akcent jest tak silny, że ledwie ją rozumiem. Zauważa, że rozglądam się po domu.

— W Kalifornii trudno znaleźć porządny dom, Alfonso. Kiedy tu przyjechaliśmy, ten był najlepszy, na jaki mogliśmy sobie pozwolić. Szukamy nowego, teraz, kiedy wróciłeś, będzie nam koniecznie potrzebny. Jakie to cudowne.

Znowu mnie obejmuje. Wiele czasu minęło od chwili, kiedy po raz ostatni trzymałem w ramionach kobietę. Chociaż to moja matka, uczucie to jest cudowne. Wydaje mi się, że tego właśnie potrzebowałem.

Ktoś staje w otwartych drzwiach, jakiś potężny facet. Nieruchomieje, kiedy dostrzega mnie w objęciach mamy. Podchodzę do niego, a on robi krok w tył, ale rozpoznaje mnie w końcu.

— Wielki Jezu! To AL. Boże, nigdy bym cię nie poznał z tą brodą! Wyglądasz przez nią jak staromodny zapaśnik. Jak się masz, u diabła?

W rękę trzyma książki owinięte paskiem, rzuca je na kanapę. Ściskamy się, ale nie całujemy. Jesteśmy na to za bardzo amerykańscy. Obejmuje mnie potężnymi ramionami.

— Mój Boże, jaki ty jesteś chudy. Wszystko w porządku, AL?

— Tak, w jak najlepszym, Mario. Myślę, że nadal mógłbym bez kłopotu rozłożyć cię na łopatki.

— Nie musisz mnie rozkładać, AL, w końcu jestem twoim bratem, no nie?

Mama pokazuje mi mieszkanie. Naprawdę tutaj ciasno, tylko jedna sypialnia, w jadalni pod ścianą stoi rozkładane łóżko, na którym pewnie sypia Mario. Łazienka jest malutka, emalia w starej wannie zaczyna obłazić. Bardzo tu jednak czysto, mama zawsze o to dbała.

— Jesteś śliczna jak zawsze, mamó. Nie mogę w to uwierzyć. Tak wiele się wydarzyło. Mario z gąsienicy przeobraził się w prawdziwego motyla. Czy zrzucasz skórę, kiedy rośniesz, czy rozciąga się sama?

Spoglądają na siebie z niepokojem. Pierwszy błąd. Uśmiecham się.

— Żartowałem tylko, mały. Wyglądasz teraz jak prawdziwy facet. Jak tam w szkole?

— Żaden tam ze mnie geniusz, chociaż ostatni też nie jestem. Jeśli zechcę, mogę iść do Santa Monica Junior College, tam nie trzeba nic płacić. Ale będę musiał jakoś zarobić trochę pieniędzy. Nie mam jeszcze samochodu, a w Kalifornii bez samochodu jesteś nikim.

— Jak ci się podoba mój jeep?

Wbija we mnie wzrok. Mama odchyła się, unosi kieliszek, więc obydwaj sięgamy po nasze. Przy pierwszym łyku o mało co się nie krztuszę. Z tym też nie miałem do czynienia przez ostatnie dwa lata. Zresztą nigdy zbyt wiele nie piłem, nawet zanim jeszcze zacząłem dostawać leki.

— Widziałeś mojego jeepa przed domem?

— Ta żółta bryka jest twoja?

— Zgadza się, prosto spod igły. Jeśli będziesz miał wystarczająco dobre stopnie, żeby iść do college'u, dostaniesz go ode mnie w prezencie. Przysięgam.

Mario wstaje od stołu, otwiera drzwi wejściowe i wychodzi na schodki.

— Gdzieżeś, u diabła, dostał taką brykę i kto ją pomalował na żółto? I co to jest, to białe z tyłu? Nigdy nic podobnego nie widziałem, a w Kalifornii można zobaczyć prawie wszystko.

— Później ci to wyjaśnię, Mario. Mamó, możesz się nie martwić o łóżko dla mnie. W jeepie

mam rozkładane posłanie, mieszkam w nim od pół roku. Mam tam wszystko, stół, łóżko, krzesła, grzejnik, lampę. Na razie mogę tam mieszkać, a kiedy znajdę sobie jakiś pokój, dam go Mariowi, żeby mógł zadawać szyku na kampusie.

Wpatrują się we mnie bez słowa. Wiem, że nie potrafią mi uwierzyć. Wciąż postrzegają mnie, myślą o mnie, jako o wariacie.

— O której papa wraca do domu? Mama spogląda na zegar na ścianie.

— Zazwyczaj o piątej, ale czasami zatrzymuje się w parku koło liceum, żeby popatrzeć albo samemu pograć w *baccia*. Wtedy wraca na kolację o szóstej. Och, tak bardzo się ucieszy na twój widok.

Tego akurat nie jestem tak bardzo pewien. Mój staruszek był zawsze twardzielem i lubił wszystkimi rządzić. Wiele z cech dawnego ALa odziedziczyłem właśnie po nim. Będę się musiał bardzo pilnować. Mieliśmy parę spięć, jeszcze zanim zaciągnąłem się do wojska. Nie potrafiłem wytrzymać jego krzyków, a na dodatek bracia mamy należeli do filadelfijskiej mafii — Tata uważał, że właśnie tacy powinni być prawdziwi mężczyźni. Nigdy nie zapominałem, jak ukradł mój samochód, jedyny, jaki miałem, zanim kupiłem Motyla. Może przyjazd tutaj nie był wcale takim świetnym pomysłem. Chyba nie jestem jeszcze na to gotowy.

— Powinien być tu za chwilę. Nakryję stół do kolacji. Dzisiaj przygotowałam *manicotti*, uwielbia je.

Zaczyna kręcić się po pokoju, kładzie na stole cztery serwetki. Nigdy nie robiła tego w domu, Kalifornia wyraźnie zmieniła i ją. Opieram się o ścianę pod zegarem, starając się nie wchodzić jej w drogę. Wyglądam przez drzwi, ale z moim Motylkiem wszystko w porządku. *Manicotti* pachną cudownie. Wiem, jak się je przyrządza, zajmuje to mnóstwo czasu, przygotowanie makaronu i cała reszta. Mama spędza bardzo wiele czasu na gotowaniu. Zawsze myślałem, że to dlatego, że jest w tym dobra i lubi to robić, ale byłem chyba za mały, żeby cokolwiek zrozumieć. Kiedy ją teraz obserwuję, dociera do mnie, że to właśnie jest jej sztuka. Mama każe Mariowi zetrzeć parmezan.

Właśnie w tej chwili otwierają się drzwi. Oto on, sam Vittorio. Gapi się na mnie, a potem zwraca do Maria:

— Kto, do cholery, zaparkował ten wóz cyrkowy przed naszymi drzwiami? Zaraz zadzwonię po gliny, żeby go odholowali.

Rusza w stronę telefonu, stary Vittorio. Staję przed nim.

— To mój jeep, papo. Nie dzwoń po gliny.

Robi krok w stronę aparatu, nagle nieruchomieje i patrzy na mnie.

— To ty, Alfonso? Jezu, co ci się stało? Uważasz, że jesteś Jezusem Chrystusem, czy co? Dlaczego się u diabła nie ogolisz, wyglądasz jak jakiś anarchista. To właśnie przez takich jak ty ludzie źle mówią o Włochach.

Nawet się nie zdążył przywitać, a już na mnie wsiada. — Miło cię widzieć, tato. Jak słyszałem, znalazłeś sobie w Kalifornii dobrą pracę.

Robię krok w jego stronę, ale on się odsuwa.

— Dalej jesteś wariatem? Pewnie jesteś chory. Wyglądasz, jakbyś był chory, sama skóra i kości.

— Jestem zdrow, tato. Przepraszam za tego jeepa, przestawię go po kolacji. A ty, jak się czujesz?

— Starzej. Nawet w Kalifornii człowiek się starzeje.

— Mama wygląda na taką szczęśliwą. Sądząc z zapachu, nie zapomniła, jak się robi *manicotti*.

— Lepiej, żeby nie zapomniła, bo w przeciwnym razie wylądowałyby na ulicy, prawda, Ido?

Dobrze o tym wie. My, Włosi, wiemy, jak utrzymać nasze kobiety w ryzach. Ale co działo się z tobą, skoro nie jesteś wariatem? Uznałem, że już nie żyjesz. Dlaczego przynajmniej do nas nie napisałeś, nie dałeś znaku życia?

— Gdybym umarł, dostalibyście dziesięć tysięcy dolarów. Co na to powiesz?

— Powiem tyle, że powinienem szybko pobiec po jakiś pistolet. I dobrze wiem, skąd mógłbym go wziąć, gdyby był mi potrzebny.

— Skoro mówimy o pieniądzach, czy moje czeki z rentą inwalidzką tu przychodzą? Uznałem, że to będzie najlepszy adres, teraz to mój dom.

Mama podnosi się i wyciąga z najwyższej szuflady komódki koperty.

— Odkładałam je dla ciebie, Alfonso. Nie wiedziałam, co to takiego i czy naprawdę są przeznaczone dla ciebie, więc wolałam odkładać je w bezpieczne miejsce.

— Ukrywałaś coś przede mną, Ido? Powinienem dać ci po twarzy.

— To tylko rzeczy ALa, Vittorio. Nie chciałbyś chyba otwierać jego poczty.

Kopert jest siedem, a w każdej czek. Gotówka właśnie mi się kończy, więc pieniądze bardzo się przydadzą. Otworzę sobie rachunek w Bank of America w Santa Monica, zauważyłem go, kiedy szukałem domu rodziców. Bank jest włoski, więc powinien być bezpieczny. Pieniądzy w zupełności wystarczy na moje utrzymanie. Świetnie, że nie muszę szukać pracy, pieniądze wydaję tak naprawdę jedynie na jepea. Facet, który egzaminował mnie na prawo jazdy, miał rację, ciągnie benzynę jak smok.

Tata ustawia dla siebie krzesło przy stole, nie myje nawet rąk. W jednej trzyma już nóż, w drugiej widelec. A więc tak wyglądało radosne powitanie. Wszyscy staramy się myśleć, że nie potrafi okazywać dobroci i miłości, bo tak go wychowano, ale wydaje mi się, że nie potrafi nawet spróbować. Ogarnia mnie wrażenie, że chciałby płakać i nie może. Wiem, bo sam tak się teraz czuję.

*Manicotti* są przepyszne, Mario i ja wychwalamy je, tata tylko chrząka, ale po tylu latach mama rozumie już jego chrząknięcia i wie, że mu smakuje. Po obfitej dokładce tata uśmiecha się. To najważniejsza nagroda dla mamy.

Rodzice nie chcą, żebym spał w Motylku. Mówię im, że jest mi tam bardzo wygodnie, zapraszam, żeby zajrzeli do środka, kiedy ustawiłem już samochód na podjeździe sąsiedniego nie zamieszkanego domu. Nie ciekawi ich to. Mama upiera się, że powinienem spać w jednym łóżku z Mariem.

— Ależ, Alfonso, w tym łóżku starczy miejsca dla trzech. We dwóch będziecie mieli jeszcze mnóstwo miejsca.

Mama pochodzi z bardzo licznej rodziny, zwyczaj i konieczność sprawiały, że w południowej Filadelfii dzieci sypiały po troje w jednym łóżku. Ja jednak przez całe życie sypiałem zawsze sam, z wyjątkiem kilku nocy spędzonych w wojskowym namiocie. Zawsze śpię bardzo lekko. Przez ostatnie cztery lata sypiałem zawsze sam, czy to w koszarach, czy w namiocie, czy w szpitalnym łóżku.

— Mamo, nie dawałbym tylko spać Mariowi. Jutro rano musi iść do szkoły, powinien być wypoczęty.

— Mnie tam nie będziesz przeszkadzać, AL. Ja prześpię nawet trzęsienie ziemi, zresztą jedno już tu mieliśmy, czułem się wtedy, jak gdybym leżał w kołysce.

— Nie, wszystko, co mam, jest w jeepie. Jeśli zostawię go bez opieki, ktoś na pewno mnie okradnie.

Sam tak naprawdę w to nie wierzę, ale z tym argumentem potrafią się pogodzić. Tę noc spędzę więc w Motylku. Wychodzę wkrótce po kolacji. Nie mam ochoty na rozmowę, a po długiej podróży przez pustynię jestem wciąż zmęczony. Tata jednak chce rozmawiać ze mną o



wojnie.

— Ilu Hunów tak naprawdę zabiłeś, AL? To znaczy, zabiłeś, patrząc im prosto w oczy.

Podnosi do oka wyimaginowany karabin i uśmiecha się krzywo. Zauważam teraz, że zaczyna łyścić. Takich rozmów na pewno mi teraz nie potrzeba. Muszę się raczej nad czymś zastanowić. Jadąc Pacific Coast Highway, zauważyłem autobus z oznaczeniem UCLA. Jutro pojedę jeepem za tym autobusem i dowiem się, gdzie to jest i czego potrzebuję, by rozpocząć studia na wydziale sztuk pięknych. Moje stopnie z liceum nie były może imponujące, ale powinny wystarczyć, bym dostał się na uniwersytet stanowy. Zgodnie z paragrafem szesnastym ustawy o szkolnictwie wszystkie moje wydatki na kształcenie zostaną pokryte. Dlaczego nie miałbym z tego skorzystać? Zawsze przecież mogę zrezygnować.

I z tą myślą zamykam się w Motylu i odpływam w sen. Noce w Kalifornii są o wiele zimniejsze, niż można by się tego spodziewać.

\* \* \*

Następnego ranka jem śniadanie z mamą. Maria i ojca już nie ma. Opowiadam jej o pomysłе zapisania się na UCLA. Muszę najpierw wyjaśnić, co oznacza ten skrót. Tak naprawdę sam tego nie wiem, ale próbuję zgadywać, jak się później okazało, słusznie.

— Ależ, Alfonso, dlaczego chcesz wrócić do szkoły? Przecież już chodziłeś do szkoły. Powinieneś porozmawiać o tym z ojcem.

— Mamo, jestem już dorosły. Nie muszę o nic pytać taty. Chcę zostać malarzem i mogę studiować na UCLA. To wielki uniwersytet niedaleko stąd. Mogę też pojechać na inny uniwersytet daleko stąd, do Waszyngtonu.

— Do Waszyngtonu, tam gdzie mieszka prezydent? Mówisz, że to niedaleko? Twój ojciec nigdy ci na to nie pozwoli.

Wypijam kawę i zjadam dwa jajka na bekonie. To oczywiste, że nigdy nie zdołam przekonać mamy. Chciałbym bardzo, ale ona nie zrobi niczego wbrew woli ojca.

Jadę jeepem z opuszczonym dachem do drogi nad oceanem, gdzie zobaczyłem autobus z UCLA. Kiedy pojawia się ponownie, ruszam jego śladem. Po mniej więcej piętnastu minutach jazdy autobus zatrzymuje się na przystanku położonym na kampusie. Faceta, który wygląda na pracownika ochrony, pytam, gdzie mogę zaparkować jeepa. Przygląda się Motylowi przez dłuższą chwilę i wskazuje miejsce. Pytam także, gdzie mogę zapisać się na zajęcia, w odpowiedzi wyciąga rękę w kierunku pobliskiego wzgórza.

— Tam, przy dziedzińcu. Trzeba przejść przez mostek za Royce Hall i biblioteką.

Wjeżdżam na niewyasfaltowany parking. Zaskakuje mnie widok wznoszonych budowli, wygląda na to, że budowa uniwersytetu dopiero się rozpoczęła. Pytam przechodzącą dziewczynę, gdzie mieści się biblioteka, a ona wskazuje budynek na szczycie schodów.

Widok jest fascynujący, biblioteka okazuje się powiększoną wersją włoskiego kościoła, o którym czytałem kiedyś w książkach o architekturze. Myślę, że styl ten można by nazwać kalifornijskim stylem potworomańskim. Przechodzę niewielki mostek i znajduję budynek administracji.

O wszystkie dokumenty, których, jak sądzę, mogę potrzebować, poprosiłem listownie jeszcze z Nowego Orleanu: metryka urodzenia i wyciąg stopni z liceum. Mam ze sobą również papiery przejścia do cywila i świadectwo inwalidztwa.

Po długim krążeniu i rozmowach z urzędnikami siedzącymi w różnych biurach udaje mi się ustalić, że mam do rozwiązania dwa problemy. Po pierwsze moja metryka i dokumenty wojskowe wypisane są na nazwisko Alfonso Carmen Columbato, a wyciąg z liceum zaś tylko na

Alfonso Columbato. Nie chciałem wtedy, by ktokolwiek dowiedział się, że mam na drugie imię kobiece, Carmen, jak bohaterka słynnej opery. Urzędnicy sugerują, że powinienem przesłać kopię mojej metryki do liceum Upper Merion i poprosić, by potwierdzili, że Alfonso Carmen Columbato i Alfonso Columbato to jedna i ta sama osoba. Szczerze mówiąc, nie potrafię uwierzyć, że na świecie jest jakiś drugi Alfonso Carmen Columbato, ale zgadzam się. Wszystkie pozostałe dokumenty są w porządku. Fakt, że kiedy zostałem zwolniony do cywila, podałem kalifornijski adres rodziców, oznacza, że jestem obywatelem stanu Kalifornia, co z kolei oznacza niższe czesne, ale ponieważ rząd i tak płaci za wszystko, tylko on na tym zaoszczędzi. Jest już zbyt późno, bym mógł rozpocząć studia od razu, będę musiał poczekać do lutego, do początku następnego semestru, ale na szczęście to już niedługo.

Dowiaduję się też, że kiedy zostanę oficjalnie przyjęty, powinienem spotkać się z doradcą weteranów.

— Muszę?

— Tak, każdy, kto korzysta z paragrafu szesnastego, musi odbyć rozmowę z doradcą.

Niech to diabli, wojsko ma długie łapy. Nie dadzą mi nic, jeśli będę chciał wyzwolić się spod ich kontroli. Proszę urzędniczkę, aby umówiła mnie z doradcą, mam się z nim spotkać następnego dnia o dziesiątej.

Spaceruję po kampusie — gdyby nie trwające budowy, byłoby to prześliczne miejsce. Jestem właśnie w budynku zwanym Royce Hall, kiedy rozlega się bicie dzwonów oznaczające przerwę. Wychodzę na dziedziniec, pełno tu teraz ludzi. Kobiety wyglądają zwyczajnie, wydaje mi się, że wielu mężczyzn to byli żołnierze. Są starsi, podobnie jak ja, i mają na sobie części wojskowego ekwipunku, na ogół buty, tak jak i ja. Jednak w ogóle nie czuje się tu wojskowej atmosfery. Wszyscy noszą książki i śpieszą się na zajęcia. Czuję, że polubię to miejsce. Będę musiał znaleźć sobie w okolicy jakieś mieszkanie.

Kiedy wracam do domu rodziców, ojciec już na mnie czeka. Ma rozgniewaną minę, dyszy, byłby z niego niezły sierżant. Nie, wywaliliby go od razu, pewnie nigdy by go nie przyjęli, nawet gdyby nie był za stary. Widać, że kroi się coś niedobrego. Uznaję, że powinienem przejść od razu do sprawy.

— Pojechałem na uniwersytet i zapisałem się na studia. Jutro rano mam się spotkać z doradcą weteranów.

Ojciec wbija we mnie wzrok, wargi zaczynają mu drżeć.

— Chcesz przez to powiedzieć, że chcą przyjąć świra na uniwersytet? Dowiedzą się o wszystkim i wywalą cię na zbity pysk. Szkoła nie ma sensu. Już się tam nachodziłeś. Pora stać się mężczyzną i znaleźć sobie zajęcia, zacząć zarabiać prawdziwe pieniądze.

— Nie muszę zarabiać, tato, rząd wypłaca mi dostatecznie wysoką rentę, abym mógł żyć, a szkołę, czesne, książki także będzie opłacał rząd.

To trochę go uspokaja.

— Prawie załatwiłem ci już pracę u Giovanniego, dekarza, płaci niezłe pieniądze. Nauczyłbyś się rzemiosła. Nie musisz iść na uniwersytet. Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie. Kim właściwie chcesz zostać, jakimś lekarzem czy prawnikiem?

— Zamierzam podjąć studia malarskie i przekonać się, czy mi to odpowiada.

Kilka razy otwiera i zamyka usta, zanim udaje mu się coś powiedzieć. Mama wycofuje się w kąt koło zlewu. Ojciec wybucha.

— Ty chcesz zostać malarzem? Co jest grane, chyba nie jesteś jakimś pedziem? Niepotrzebne ci żadne studia, żeby zostać malarzem. Wystarczy, że pójdziesz do sklepu i kupisz sobie pudełko farb. Ale w ten sposób nie zarobisz na życie, to zajęcia dla małych dzieci. AL, w końcu musisz dorosnąć. Z tym twoim zwariowanym jeepem i przefarbowanymi wojskowymi ciuchami od razu

cię przyjmą, poznają, że świetnie do nich pasujesz. Widzę teraz, że naprawdę zwariowałeś, a pewnie nic się od tamtej pory nie zmieniło. Musimy coś zjeść, Ido. Umieram z głodu. Aż mnie głowa rozboleła od rozmowy z twoim synem idiotą.

Siadamy więc do stołu. Nie ma sensu rozmawiać o czymkolwiek. Dzisiaj jemy *osso bucco*, a nikt nie potrafi przygotować *osso bucco* tak jak mama. Jemy, nikt się nie odzywa. Mario mruga do mnie, że chciałby porozmawiać na zewnątrz. Kiedy ostatnie kęsy znikają z talerzy popite ostatnim łykiem wina, Mario i ja kierujemy się ku drzwiom. Ruszamy w stronę wesołego miasteczka rozłożonego nad oceanem.

— Chryste, AL, doprowadziłeś staruszka do wrzenia!

— A więc nic się nie zmieniło. Zawsze taki był, Mario. Jestem specjalistą od świrów, a on na pewno jest świrem. Dlaczego, u diabła, próbuje unieszczęśliwić wszystkich wokół siebie. Nie odpowiadaj, wiem. Tego także nauczyłem się przez ostatnie dwa lata. Wszyscy mamy w sobie odrobinę szaleństwa, ale niektórzy lubią się odgrywać na innych. Nazywa się ich socjopatami. Taki właśnie jest nasz tato.

— Gdzieżeś ty się tego wszystkiego nauczył, AL? Mówisz, jak gdybyś sam był jakimś psychiatrą. Gdzie się podział dawny AL? Prawie cię nie poznaję. I co zamierzasz zrobić ze swoją brodą? Żadna dziewczyna nawet nie spojrzy na faceta, który wygląda, jakby tylko chciał rzucać bomby.

— Spróbuję odpowiedzieć na twoje pytania, Mario. Myślę, że przynajmniej ty mnie wysłuchasz. Wiele się nauczyłem o chorobach umysłowych, najpierw z doświadczenia, a potem z książek. Miałem ze sobą wielki problem, podobnie jak tato, i chciałem coś z tym zrobić. Jeśli chodzi o moją brodę, przez kilka ostatnich miesięcy mieszkałem w jeepie, stale podróżując, i golenie się sprawiało kłopot. Chyba ją polubiłem. Próbuję odnaleźć siebie, Mario, zmienić się z wielkiego macho, którym byłem, w kogoś zupełnie innego. Dawny AL zniknął, Mario, mam przynajmniej taką nadzieję. Zawiodł mnie, kiedy najbardziej go potrzebowałem, więc teraz próbuję zbudować siebie na nowo.

— To coś takiego jak kulturystyka, AL? Boja ćwiczę ze sztangą w siłowni na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy i Baltimore Pike. Potrafię poderwać dziewięćdziesiąt kilogramów. Nieźle mi to idzie.

— A co ze szkołą? Co chcesz robić, kiedy ją skończysz? Masz przed sobą długie życie i niewiele czasu, by się do niego przygotować. Podrywanie sztangi nie jest na to najlepszym sposobem.

— Kurczę, AL. Nigdy tak nie gadałeś. Potrafiłeś wyciskać nawet sto trzydzieści kilogramów. Co się stało?

— Wojna, Mario. Po prostu wojna. Dowiedziałem się, że kiedy doszło co do czego, nie okazałem się taki, jak sądziłem. Oszukiwałem samego siebie. Drobnie chłopaki bez żadnych mięśni potrafiły wytrzymać, nie wpaść w panikę i nawet nie wyglądały na przestraszonych. Mieli coś, o czym tak łatwo zapomnieć, Mario, odwagę, jaja, możesz powiedzieć. Ja tego nie miałem. Myślałem, że potrafię pokonać cały świat, a przegrałem z samym sobą. Przez całe życie kryłem się za swoimi mięśniami. Nie zamierzam tego więcej robić, mam nadzieję, że ty też.

— Daj spokój, AL. Założę się, że teraz, kiedy straciłeś na wadze, mógłbyś zacząć uprawiać zapasy nawet na UCLA, i założę się też, że pokonałbyś wszystkich gości w twojej wadze, a może i cięższych. Obserwowałem cię, kiedy byłem jeszcze mały. Widziałem, jak łatwo pokonywałeś każdego chłopaka z okolicy, a potem omal nie zdobyłeś mistrzostwa stanu. Nie opowiadaj mi więc, że nie masz jaj. Masz aż za dużo.

— Może kiedyś, Mario, dawno temu. Teraz znalazłem lepszy sposób na życie. Nie jestem jeszcze tak naprawdę szczęśliwy,

ale na pewno szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem. Jestem szczęśliwy już choćby dlatego, że staram się być sobą, nie porównywać siebie ze wszystkim i wszystkimi innymi.

— A co opowiadałeś o tym, że chcesz zostać malarzem? Nie umiesz przecież rysować ani malować, czy co tam potrzeba. Daj spokój, zastanów się chwilę. Ojciec ma rację. Malarze to przeważnie cioty. Zwariujesz, obracając się w ich towarzystwie na UCLA. A tak przy okazji, wcale nie tak łatwo się tam dostać. Nigdy nie byłeś szczególnie dobrym uczniem, o ile pamiętam.

— Wszystko poszło okay. Na dokumentach ze szkoły brakowało tylko drugiego imienia, opuściłem Carmen, ale już sami się tym zajmą. Trochę słabo poszła mi historia, ledwo ledwo wystarczyło na minimalną średnią, ale najważniejsze, że błysnąłem na egzaminach w college'u, a potem już w wojsku miałem wysoki wynik na testach AGCT\*, właśnie dzięki temu mnie przyjęli. Przystąpiłem do egzaminu w college'u wyłącznie dlatego, że chciał go zdawać jeden z moich kolegów i dostaliśmy na to dzień wolny od szkoły. Wydaje mi się, że mogli coś pomieszać w dokumentach, ale najważniejsze, że oni są zadowoleni. Już mnie przyjęli. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co zamierzasz ze sobą zrobić? Miesiąc miodowy już się skończył. Chcesz nadal mieszkać z rodzicami?

— No, mówiłem ci już, że zastanawiam się nad Santa Monica Junior College. Mogę się tam dostać bez żadnych kłopotów, moje stopnie w zupełności wystarczą, ale jakoś nie jestem wcale pewien, czy tego właśnie chcę. Tato znalazł mi robotę u dekarza Giovanniego, dobrze płaci, na początek pół dolara za godzinę, ale jeśli się postarasz, podnosi stawkę do dolara. To niezła forsa. Wystarczyłoby na samochód, życie, piwko i wszystkie panienki, na jakie mogę mieć ochotę.

Jest zdenerwowany. Sięga do kieszeni koszuli i wyciąga camela. Widzę, że pali, ale nie odzywam się słowem, nie jestem w końcu jego ojcem. Idziemy dalej brzegiem oceanu. Przed nami widać wesołe miasteczko, rzeczywiście, mają tu kanały, ale pełno w nich puszek po piwie i najróżniejszego śmiecia.

Cuchnie to wszystko wprost potwornie. Zastanawiam się, czy mogę próbować narzucać Mariowi swoje pomysły. Może się mylę. Jestem pewien, że dawniej nie miałem racji.

— Nie żartuję, Mario, jeśli pójdziesz do Santa Monica Junior College i zaczniesz studia, dostaniesz mój wózek. Jest prawie nowy. Jeśli kolor ci się nie podoba, możesz go sobie przemalować, na jaki tylko zechcesz. Z osłoną, którą zamontowałem, to prawie kabriolet. Założę się, że na taki wóz poderwiesz każdą panienkę.

— Sam nie wiem, AL. Ja już mam dziewczynę, porządną włoską dziewczynę, też katoliczkę, jeszcze lepszą niż my. Kiedy skończy szkołę, dostanie pracę jako kelnerka w koktajlbarze w Santa Monica, wszystko jest już załatwione. Za to, co razem będziemy zarabiać, możemy się pobrać, a ja będę się mógł wyprowadzić od mamy i taty.

Wydmuchuje dym pionowo w górę, trzyma papierosa tak, jak robiliśmy to, gdy ktoś nas obserwował albo gdy chcieliśmy osłonić go przed wiatrem. Czuję ogromny smutek. Ale on wydaje się szczęśliwy. Może się mylę. To chyba w moim stylu. Stoimy chwilę na moło, rozglądając się na boki, a potem ruszamy w stronę domu. Wieczorem znów kładę się w jeepie. Dwie poczwarki powinny się już otwierać, kiedy zobaczą wszystkie te kwiaty, pomyślą pewnie, że już umarły i trafiły prosto do raju. Zastanawiam się, czy Mario nie zrobi swojej katolickiej dziewczynie dziecka. To by po prostu zamknęło sprawę raz na zawsze.

---

\* AGCT (Army General Classification Test) — test ogólnej przydatności do służby wojskowej (przyp. red.).

## ROZDZIAŁ V

Następnego ranka krążę wokół uniwersytetu, aby rozejrzeć się za jakimś mieszkaniem. Wszystkie są bardzo drogie. Dobrze, że mam jeepa, bo dzięki niemu mogę się zgodzić na mieszkanie stosunkowo daleko od kampusu. Przed umówionym spotkaniem z doradcą rozpytuje się i dowiaduję, że jest także doradca weteranów do spraw mieszkaniowych. Postanawiam to sprawdzić zaraz po pierwszym umówionym spotkaniu.

Doradca weteranów to wysoki, dość młody mężczyzna, który przypomina nieco aktora Vincenta Price'a. Siadamy przy stole. Ma już kopie moich dokumentów. Przegląda je i siedzimy przez chwilę w milczeniu.

— Jesteś pewien, że chcesz studiować malarstwo, Alfonso?

— Tak, stuprocentowo pewien.

— Ale z takimi wynikami egzaminów mieścisz się w najwyższym przedziale. Możesz zostać, kim tylko zechcesz, lekarzem, prawnikiem, kimkolwiek. Wystarczy tylko, że postawisz sobie taki cel, a w ramach paragrafu szesnastego państwo pokryje wszelkie koszty. Tracisz ogromną szansę, idąc na malarstwo. Dlaczego nie spróbujesz się zająć czymś bardziej poważnym? Niewielu podobnych do ciebie ludzi przychodzi na ten uniwersytet, wydaje mi się, że należysz do tych, którzy raczej późno ujawniają swoje talenty.

Na swój sposób ma rację, wiele czasu zajęło mi osiągnięcie tego, co teraz mam — samego siebie.

— Czy ma pan coś przeciwko temu, bym studiował malarstwo, proszę pana? Naprawdę chcę podjąć te studia.

— Ale z twoich świadectw wcale to nie wynika. Z tego, co widzę, w liceum nie miałeś żadnych zajęć z plastyki. Dlaczego nie spróbujesz czegoś, co byłoby większym wyzwaniem, może ekonomii albo psychologii?

— Tylko nie psychologia, proszę pana. Chcę zostać malarzem. Nauczyć się malować obrazy. Nic więcej.

Znowu zaczyna przeglądać moje dokumenty, przekłada je przez chwilę.

— Alfonso, czy zechciałbyś poddać się testowi zdolności artystycznych? Może to pomoże ci podjąć decyzję.

— Nie potrzebuję żadnej pomocy, ale zgodzę się na każdy test, jakiego pan sobie zażyczy.

Sięga więc po kartonowe pudełko i wyjmuje z niego ilustrowaną broszurkę.

— Czy jesteś dostatecznie wypoczęty, Alfonso? To nie powinno być dla ciebie zbyt trudne. Będę ci pokazywał jednocześnie dwa prawie identyczne obrazki. Ty zaś powiesz mi, który jest twoim zdaniem lepszy. Zgoda?

— Pewnie.

Zaczyna więc pokazywać mi obrazki. Wiele spośród nich znam już z książek o malarstwie. Na ogół coś w nich zmieniono, jakiś fragment, tak że czasami wyglądają gorzej, ale bardzo często lepiej. Mówię, co sędzę o każdym z nich. Nie jest to trudne. Doradca zaznacza coś na kartce w linie. Kiedy kończymy, sumuje wyniki i spogląda na mnie.

— Alfonso, przykro mi to powiedzieć, ale uzyskałeś bardzo niski wynik w tym teście, a to najlepszy test uzdolnień artystycznych, jaki istnieje. Nie powinieneś studiować malarstwa. Nie wykazujesz w tym kierunku żadnych uzdolnień.

Przez chwilę siedzę nieruchomo. Widzę teraz wyraźnie, jak bardzo uniwersytet podobny jest do armii. Psycholog jest tak bardzo pewny siebie. Podnoszę wzrok. Pochyliła się nad biurkiem z

moimi wynikami w dłoni.

— Czy to znaczy, że nie mogę studiować malarstwa?

— Nie, znaczy to tylko tyle, że nie sędzę, aby było to dla ciebie najlepsze rozwiązanie. Paragraf szesnasty został wprowadzony po to, byś, jako weteran inwalida, mógł jak najlepiej wykorzystać swoje możliwości i wieść szczęśliwe i udane życie.

— Ale nie osiągnę tego, jeśli nie będę studiował malarstwa, proszę pana. Wiele się nad tym zastanawiałem i tego właśnie chcę. Wiem, że mi się powiedzie, chociaż brakuje mi doświadczenia.

— A może jednak chciałbyś studiować coś innego?

— Motyle. Chciałbym też badać motyle. Bardzo mnie interesują.

To wyraźnie go zaskakuje. Nie chcę doprowadzić do takiego starcia, jakie miałem z Weissem, ale wygląda na to, że może do tego dojść. Pospiesznie zastanawiam się nad tym, co właściwie robię. Wiem, że racja jest po mojej stronie.

— Może w takim razie chciałbyś wybrać jako przedmiot główny biologię, może botanikę, a malarstwo jako przedmiot dodatkowy. Co o tym myślisz?

— Wolałbym, aby było na odwrót. Chcę studiować malarstwo jako przedmiot główny, a biologię jako dodatkowy.

Poprawia się na krześle i powoli kiwa głową. Odkłada dokumenty i opiera głowę na rękach. Co za pieprzona robota, zmuszać ludzi do czegoś, co wcale nie przyniesie im szczęścia.

— W porządku, proponuję ci pewien układ, Alfonso. Możesz studiować malarstwo i biologię, jak tego chcesz, wybierz inne kursy, żeby uzupełnić program. Ale kiedy skończy się pierwszy semestr, przyjdiesz tu do mnie i jeszcze raz o tym wszystkim porozmawiamy. Zgoda?

— Jak najbardziej. Ale powinien pan wiedzieć, że w tym teście jest błąd. Niektóre z dokonanych zmian naprawdę poprawiają obrazy.

Wstaję i wychodzę. Nie chcę więcej konfrontacji, to najgorsze, co może mnie spotkać.

\* \* \*

Trafiam do biura zakwaterowania dla weteranów. Za biurkiem siedzi bardzo miła, piękna kobieta. Przede mną czeka trzech mężczyzn. Kiedy nadchodzi moja kolej, wiem już, że niewiele się tu dzieje.

Kobieta uśmiecha się do mnie, a ja odpowiadam jej uśmiechem. Cudownie jest być znów wśród kobiet.

— Chciałbym znaleźć jakieś mieszkanie jak najbliżej szkoły, wystarczy mi pokój z toaletą. Gotowanie jakoś sobie załatwię.

— Czy chciałbyś mieszkać razem z kimś czy sam? Zastanawiam się przez chwilę. Dochodzę do wniosku, że wolałbym raczej sypiać dalej w jeepie, niż dzielić z kimś mieszkanie.

— Nie, proszę pani. Zbyt długo już mieszkalem z innymi, chciałbym znaleźć jakieś miejsce tylko dla siebie.

Sięga po książkę przypominającą kolorowy magazyn i zaczyna ją kartkować. Kilka razy przerywa i zaczyna od nowa.

— Obawiam się, że niczego takiego nie mamy, a pewnie będzie jeszcze gorzej. W tej chwili dysponujemy jedynie kwaterami dla żonatych weteranów. Jesteś żonaty?

— Nie, raczej nie.

Spoglądam na nią i zastanawiam się, jak zareagowałaby, gdybym poprosił, by za mnie wyszła, a przynajmniej zechciała udawać. Obserwuje moją twarz i uśmiecha się coraz szerzej.

— Wydaje mi się, że nie jestem jeszcze gotów, by znowu z kimś zamieszkać, a ten, kto

chciałby ze mną zamieszkać, nie miałby lekkiego życia.

— Masz może rodzinę w okolicy?

— Nie — kłamię.

— No cóż, w tej chwili chyba nic dla ciebie nie znajdę, AL. Może jednak coś się pojawi. Czy masz jakiś numer telefonu, pod którym mogłabym się z tobą skontaktować?

— Niestety, nie. Jestem zupełnie sam. Sięga do biurka i wyciąga wizytówkę.

— Tu masz mój numer telefonu, zadzwoń do mnie za jakiś czas, spróbuję coś dla ciebie znaleźć. Nie powinieneś być sam.

Czy to znaczy, że ona coś wie, że coś po mnie widać? Ale myli się, właśnie powinienem być sam. Postanawiam jednak, że kiedyś do niej zadzwonię, choćby po to, by porozmawiać z kimś, kto wydaje się mną przejmować.

Teraz przechodzę rejestrację. Nadal wszystko zależy od tego, czy sprawa mojego drugiego imienia się wyjaśni, ale nie przejmuję się tym, podobnie zresztą jak wszyscy inni. Podpisuję się pięć razy na dokumentach, dostaję legitymację studencką. Dowiaduję się, gdzie będę mógł kupić książki i że, jeśli będę potrzebował podręczników i pomocy naukowych, wystarczy tylko pokazać inną kartę, którą od razu dostałem, stwierdzającą, że obejmuje mnie paragraf szesnasty. Przypomina to trochę zgłaszanie się do magazynu po zaopatrzenie, ale tym razem dostanę to, czego naprawdę potrzebuję.

Znajduję stołówkę studencką, jem hamburgera i sałatkę. Niedrogo tutaj. Odwiedzam księgarnię i uniwersytecki sklep z przyborami malarskimi. Dowiaduję się, że powinienem dostać kwit zapotrzebowania od nauczyciela, żeby cokolwiek kupić. Mogę poczekać.

Wracam do swego Motyla i ruszam na wycieczkę. Tym razem wyjeżdżam na Sepulveda Boulevard i skręcam w prawo do Venice. Zapamiętuję drogę na uniwersytet. Rozglądam się wszędzie w poszukiwaniu ogłoszenia DO WYNAJĘCIA, ale nic takiego nie widzę. Venice Boulevard jeździ tramwaj wielki jak wagon kolejowy, w połowie bulwaru skręca w prawo. Zaskakuje mnie to, zatrzymuję się więc i przyglądam kilku kolejnym tramwajom. Wygląda na to, że jadą z plaży aż do Los Angeles. Będę kiedyś musiał się nim przejechać.

Na rogu Venice Boulevard i małej uliczki Wade stoi staromodny ceglany budynek, który nie pasuje wcale do Kalifornii. Mieści się w nim mały sklepik. Potrzebuję ołówków, gumki i szkicownika. Nie chcę czekać na żadne kwity. Zatrzymuję się więc i wchodzę do środka. Widzę, że szyba w jednym z frontowych okien została wybita, jak gdyby ktoś wrzucił do środka kamień czy cegłę. Dziura jest zaklejona taśmą, ale nie wytrzyma to zbyt długo.

Z zaplecza wychodzi kobieta w średnim wieku, chyba rówieśniczka mojej mamy. Mówię sprzedawczyni, czego potrzebuję, ale ma tylko zwyczajne ołówki 2HB i mały liniowany szkicownik. Kupuję je.

— A co tu się stało? — pytam, wskazując na okno.

— Jakiś zwariowany złodziej wrzucił cegłę i zabrał kilka drogich maszyn do pisania i kalkulator. Ta okolica schodzi na psy. Z każdym rokiem jest coraz gorzej.

Rozmawiamy sobie o różnych rzeczach, o tramwaju, o tym, że psuje jej interesy, bo zachodzą tu ludzie wyłącznie z tej strony ulicy. Prowadzi ten sklep od ponad dziesięciu lat i ledwie wiąże koniec z końcem. Wpatruje się w wybite okno, ja także patrzę — w tym kierunku.

— Potrzebny pani nocny strażnik, proszę pani. Ktoś, kto siedziałby tu przez całą noc przy zapalonym świetle. To by powstrzymało złodziei.

— Nie mogę sobie na to pozwolić. Mój mąż jest bardzo chory i wieczorami muszę z nim siedzieć. Nie wiem sama, jak długo jeszcze zdołam utrzymać ten sklep, a nie mam pojęcia, co zrobimy, kiedy go stracimy.

Odwraca na bok głowę, bym nie widział jej łez. Wyciąga chusteczkę, ociera oczy i

wydmuchuje nos. Czuję się okropnie, patrząc, jak płacze kobieta. Wiele razy widywałem płaczących mężczyzn, ale mamie nigdy się to nie zdarzało.

— A gdyby znalazła sobie pani darmowego stróża? Płaciłbym nawet jakiś czynsz. Położyłbym sobie na zapleczu śpiwór i pilnował tego wszystkiego nocą.

Odsuwa się ode mnie i mierzy mnie podejrzliwie wzrokiem. Posyłam jej mój brodaty uśmiech. Wydaje mi się, że ludzie, a szczególnie kobiety, boją się bród.

— Proszę posłuchać, nie wiem, jak się pani nazywa, ale sądzę, że możemy sobie nawzajem pomóc.

Wyciągam moje dokumenty z wojska, legitymację UCLA, prawo jazdy.

— Jestem inwalidą wojskowym. Właśnie przyjechałem ze szpitala na Wschodnim Wybrzeżu. Tym jeepem przemierzyłem przez cały kraj. Zapisalem się do UCLA na semestr zimowy, ale nie mam gdzie się zatrzymać. To byłoby dobre rozwiązanie dla nas obojga.

Wpatruje się we mnie, a potem gestem zaprasza na zaplecze. Odwraca się w moją stronę.

— Nazywam się Weidemeyer. Pewnie zwariowałam, ale odchodzę po prostu od zmysłów. — Wskazuje mi pryczę w kącie. — Mógłby pan sypiać tutaj, mój mąż tu spał, dopóki jego stan się nie pogorszył. Cierpi na rozedmę płuc, nie wiemy, jak długo jeszcze pożyje. — Otwiera małe drzwiczki, za nimi mieści się toaleta ze zlewem — Mógłby pan tu zamieszkać za piętnaście dolarów miesięcznie, ale chciałabym, żeby zostawał pan tu również na weekendy i nie sprowadzał żadnych kobiet.

Uśmiecham się.

— Mam na imię Alfonso, może mi pani mówić AL. Nie sądzę, by jakaś kobieta chciała tu do mnie przychodzić i spać na tym łóżeczku.

— Nigdy nic nie wiadomo. Kobiety mają najdziwniejsze pomysły. Przystojny z ciebie chłopak, nawet z tą czarną brodą. Jakaś dziewczyna mogłaby się w tobie zakochać.

— Nie podejrzewam. Nie wiem, czego kobiety szukają w mężczyznach, ale ja na pewno tego nie mam. To jednak najmniej istotny z moich problemów. — Rozglądam się dookoła, właśnie czegoś takiego było mi potrzeba. A gotować mogę sobie w jeepie. — Czy mógłbym gdzieś w okolicy zaparkować mojego jeepa? Mam tam wszystkie moje rzeczy, a jeśli włamują się tutaj do sklepów, z łatwością mogą okraść i jeepa.

— Za budynkiem jest parking. Skręć za rogiem i zaparkuj blisko domu. Gdyby ktoś próbował się włamać do twojego samochodu, na pewno usłyszysz. Mamy też tylne wyjście, dam ci do niego klucz.

— Zgoda. A zatem piętnaście dolarów miesięcznie, proszę, oto mój czynsz za pierwszy miesiąc. Nie potrzebuję rachunku. Proszę tylko poinformować mnie na tydzień wcześniej, gdyby miała mnie pani już dosyć.

I właśnie tak dobijamy targu. Uśmiechamy się do siebie i wymieniamy uścisk dłoni. Wydaje mi się, że to dobra kobieta, trochę może wystraszona. Jestem pewien, że wszystko pójdzie jak najlepiej. Zaczynam przenosić swoje rzeczy z jeepa, opowiadam o motylach, nie wydaje mi się, żeby jej przeszkadzały.

— A tak przy okazji, jeśli pani chce, mogę zająć się tym oknem. Będzie pani tylko musiała zapłacić za szkło.

— Och, dziękuję, AL. Nie miałam pojęcia, co z tym zrobić. Jak sądzisz, ile to będzie kosztować?

— Nie wiem. Gdzie mógłbym kupić taką dużą szybę? Będę jeszcze potrzebował czegoś, żeby wziąć wymiary.

Sięga do kieszeni i wyjmuję taśmę mierniczą.

— Używam jej do mierzenia wstążek i wszystkiego, co sprzedaje się na metry.



Wchodzę na wystawę i zaczynam wyjmować odłamki szkła. Podchodzi do mnie z pustym pudełkiem i parą rękawic. Dobrze jest robić coś, co łączy pracę fizyczną i konstruktywne działanie. Wyciąganie kawałków szkła tkwiących wciąż w ramach nie jest przyjemne, ale jakoś mi się to udaje. Wyrzucam szkło do kosza na śmieci stojącego w zaułku. Starannie mierzę otwór.

— Gdzie w okolicy mogę kupić szybę?

— Na Sepulveda Boulevard jest wielki magazyn z materiałami budowlanymi. Jeśli nie prowadzą sprzedaży szkła, powinni przynajmniej powiedzieć, gdzie możesz je kupić. Proszę, masz tu trochę pieniędzy.

— Dziękuję, mam swoje. Przywiozę rachunki i wtedy się rozliczymy. Będę też potrzebował małych gwoździków i kitu, by zamocować szybę.

— Mam tu w sklepie mały młoteczek.

— Doskonale. Młotki, które mam w jeepie, byłyby za duże i za ciężkie. Proszę uważać na to okno, aż wrócę. Ktoś mógłby panią obrabować w biały dzień.

— Och, nie jest tu jeszcze tak źle, AL. Ale będę uważać.

Zawracam na pierwszym skrzyżowaniu, gdzie można przejechać przez tory, i jadę Beethoven Street. Kiedy dojeżdżam do Sepulveda Boulevard, skręcam w lewo. Jadę wolno, rozglądając się dookoła, i rzeczywiście, po prawej stronie widzę wielki magazyn. Wjeżdżam na parking i wchodzę do środka. Takich miejsc nie odwiedzałem w czasie mojej podróży przez kraj. Wielkość i zapach drewna i farby cieszą moją duszę. Mają tutaj także szkło. Facet upewnia się, czy podane rozmiary są poprawne, i przycina mi odpowiednią szybę. Owijamy ją w gazety i układamy na moim stalowym stoliku i złożonej osłonie. Wystaje po obu stronach, będę musiał uważać. Kupuję też kit i gwoźdźki do umocowania szyby. Zaskakuje mnie kwota, jaką muszę zapłacić. Zbyt długo trzymałem się z dala od prawdziwego życia.

Wracam do sklepu, parkuję przed wejściem. Pani Weidemeyer stoi w drzwiach. Będę potrzebował jej pomocy, by przenieść tego szklanego potwora przez drzwi i umieścić w ramie. Wyjaśniam jej, jak poradzimy sobie z szybą.

Udaje nam się niczego nie stracić i nie obtłuc rogów. Ustawiam szybę na miejscu, pani Weidemeyer podtrzymuje ją od zewnątrz, by nie wypadła. Zaczynam ostrożnie przybijać gwoźdźki. Wychodzę na chwilę na zewnątrz, żeby zobaczyć, jak to wygląda. Pani Weidemeyer staje obok mnie z uśmiechem.

— No cóż, pani Weidemeyer, udało nam się!

— Mów mi Alice, AL. AL I ALICE. SZKLARZE SPECJALIŚCI.

Wybuchamy śmiechem i wracamy do środka, by opatrzeć okno kitem. Nie robiłem nic podobnego od bardzo dawna, nie mam też szpachelki, więc nie wychodzi to tak, jak powinno. Alice obserwuje moje wysiłki, a potem przynosi mi nożyk do obierania ziemniaków. Teraz robota jest o wiele łatwiejsza. Po godzinie praca jest skończona. Schodzę z wystawy i wyjmuję z kieszeni rachunki.

— Przepraszam, Alice, ale kosztowało to o wiele więcej, niż się spodziewałem.

Alice spogląda na rachunki i uśmiecha się.

— To o wiele mniej, niż ja się spodziewałam. Szklarz, który tu przyszedł, żeby oszacować koszty, podawał pięciokrotnie wyższą kwotę.

— No tak, ale on był profesjonalistą.

— Moim zdaniem z ciebie też jest niezły profesjonalista, AL. Dziękuję, nie musiałeś tego robić.

— Świetnie się bawiłem. Do rozpoczęcia zajęć niewiele mam do roboty prócz czytania książek i obserwowania motyli.

— Motyle? Zbierasz motyle?

— Nie zbieram, obserwuję je tylko, badam. Wiele można się nauczyć od motyli.

— Przepraszam, ale chyba powinnam już iść do domu, AL. Clarence zastanawia się pewnie, co się ze mną stało. Będzie zaskoczony, kiedy mu powiem, że okno zostało już naprawione. Wiem, że się o to martwił. AL, mam w piekarniku pieczeń. Może do nas dołączysz? Clarence będzie pewnie chciał wszystkiego się od ciebie dowiedzieć.

— Przepraszam, Alice, muszę się wprowadzić, przenieść swoje rzeczy i rozpakować. Jestem raczej samotnikiem.

— Zgoda. Jak sobie życzysz, ale jestem pewna, że wystarczy dla trojga.

— To bardzo miłe z twojej strony, ale dziękuję, nie. Jak mam zamknąć sklep? A może ty chcesz go zamknąć?

— Przepraszam. — Sięga do kieszeni fartuszka i wyjmuje zapasowy komplet kluczy. — Tych kluczy używał kiedyś Clarence, możesz je zatrzymać.

\* \* \*

Do wieczora kończę przeprowadzkę. Jadę do centrum Venice na mały targ, kupuję hot dogi, puszkę fasolki i ciemny chleb, do tego butelkę mleka. Nie mam lodówki, nie mogę więc kupować jedzenia na zapas. Wysprzątałem zaplecze, poustawiłem skrzynki z towarami, mam więc dla siebie trochę miejsca. Prycza zaopatrzona jest w całkiem wygodny materac. W kącie znalazłem składany stolik do kart, ustawiłem go na środku pokoiku. Moje książki ustawiłem na półce zawieszanej tak wysoko, że Alice nie sięga do niej, więc jej nie używa.

Przez małe okienko z tyłu widzę jeepa, drugie okienko mam w łazience. Mam więc prawie wszystkie wygody jak w prawdziwym domu. Przygotowuję sobie dobry, prosty posiłek na mojej kuchence i siadam, aby poczytać książkę o motylach, którą kupiłem w studenckiej księgarni. Książka ma kolorowe ilustracje i zawiera mnóstwo informacji. Nigdy nie znalazłem niczego podobnego w antykwariatach. Po prostu musiałem ją kupić. Wiele się z niej dowiaduję.

Dwa z motyli, które mam w jeepie, bliskie są już wydostania się z kokonów. Właśnie teraz dokonuje się ostatnia faza metamorfozy. Chcę wiedzieć dostatecznie dużo, by zrozumieć, co naprawdę się dzieje. Siedzę do drugiej nad ranem, obserwując je uważnie. Przeczytałem, że uważa się, iż to hormony wywołują tę dramatyczną przemianę. Kłopot polega na tym, że za mało wiemy o tych substancjach, podobnie jak i o samych motylach. Podejrzewa się, że hormony wytwarzane są przez pewne gruczoły. Wywołują linienie u gąsienic, warunkują zachowanie gąsienicy pomiędzy linieniami i tworzenie się poczwarki.

Największą jednak tajemnicą jest to, jak te hormony wewnątrz kokonu przemieniają podobną do robaka gąsienicę w zupełnie inne stworzenie. Gąsienica dosłownie rozpuszcza się — magia przemieniają w dorosłego motyla. W krótkim czasie jej krótkie nóżki zmieniają się w długie i cienkie. Proste oczy, które pomagają gąsienicy w poszukiwaniu pożywienia, stają się bardziej złożone. W tym samym czasie tłusty odwłok szczupleje. W końcu stworzenie, które dotychczas pełzało po ziemi lub liściach, może oderwać się od ziemi i wzlecieć. Trudno w to uwierzyć.

Obserwuję uważnie. Kokon zaczyna pękać i widzę, jak nowy motyl powoli wydostaje się z poczwarki. Motyl, wiem to już ze swoich wcześniejszych obserwacji, wychodzi głową do przodu. Kiedy już się uwolni, zwiesza się na pustym już kokonie. Jego ciało jest teraz miękkie i obrzmiałe, a skrzydła wilgotne i pogniecione. Mniej więcej w tym czasie usunięte zostają pozostałości z poczwarki, a płyn zwany hemolimfą jest wpompowywany do skrzydeł, które w ciągu kilku godzin rozwijają się do całej okazałości. Skrzydła wysychają i twardnieją. Patrzę, jak motyl, któremu przyglądałem się najuważniej, ćwiczy machanie skrzydłami, a potem wlatuje. Pozwalam mu krążyć po pokoju, wtedy odlatuje również drugi. Zostawiam włączone światło i

kładę się spać. Wypuszczę je rano, kiedy wzejdzie słońce. Wiem, że kiedy wyfruną na wolność, odkryją, że w Kalifornii jest więcej kwiatów, niż mogły sobie wymarzyć, to po prostu motyli raj.

Śpię lepiej, niż zdarzało mi się ostatnio. Wszystko wydaje się teraz możliwe. Wszystko stale się zmienia, ale u motyli dzieje się to tak szybko, że można dostrzec te zmiany. Śnią mi się motyle skrzydła. Prawie nie słyszę ruchu na Venice Boulevard, nawet odgłosów przejeżdżającego tramwaju.

## ROZDZIAŁ VI

Kiedy następnego ranka budzę się około wpół do ósmej, motyle siedzą na zasłonce przy tylnych drzwiach. Ostrożnie otwieram drzwi, a one wylatują na zewnątrz. Patrzę, jak kręcą się i wirują w słonecznym blasku. Chciałbym śledzić je przez cały dzień, ale dzisiaj są zapisy na zajęcia i muszę się zgłosić na uniwersytet. Obawiam się, że będzie tam mnóstwo ludzi i długie kolejki.

Przekonuję się, że jest dokładnie tak, jak się tego spodziewałem. Parkuję jeepa, parking jest prawie pełen. Od drzwi budynku administracji ciągną się ogonki studentów; stoją wszędzie — na trawniku, na mostku, w ogrodzie i dalej przez dziedziniec aż do siedziby stowarzyszenia studentów. Ustawiam się w kolejce. Żałuję, że nie mogę tu obserwować moich motyli. Rozglądam się za motylami wśród żakarand, ale żadnego jeszcze nie zauważyłem. Może, chociaż jest stosunkowo ciepło, wciąż jest za zimno albo za mało słońca, by mogły latać.

Kolejka posuwa się w tempie gąsienicy. Czekam ponad godzinę, a docieram zaledwie do dziedzińca. Przedemną stoi młoda, przystojna para, zaczynamy rozmawiać. Pytam, czy zechcą popilnować mojego miejsca, kiedy pójdę do toalety. Obiegam dookoła budynek administracji. Na drugim piętrze zauważam otwarte okno, prawdopodobnie łazienki. Wspinam się po winorośli i po kilku skokach łapię za ramę okienną. Okno ma zawiasy u dołu, otwiera się od góry. Podciągam się więc i wsuwam w szczelinę. Rozglądam się, by sprawdzić, czy nie trafiłem przypadkiem do damskiej toalety, ale nie. To chyba raczej jakiś magazynek albo schowek. Wsuwam się do środka i podchodzę do drzwi. Są zamknięte, ale zamek otwiera się też od środka. Odczekuję chwilę, aż korytarz opustoszeje, i już jestem w budynku.

Układ jest taki, że wykładowcy z różnych wydziałów siedzą za stołami rozstawionymi w głównym biurze i w poszczególnych pokojach. Studenci wchodzą ze swoimi kartami rejestracyjnymi, które są podpisywane i stemplowane, a potem dokonuje się wpisu do rejestru zajęć, na które chcą chodzić. Widzę, że już teraz trudno będzie się zapisać na niektóre zajęcia, zwłaszcza w godzinach, które sobie zaplanowałem. Liczba studentów wzrasta szybciej, niż uniwersytet jest w stanie wznosić nowe budynki. Domyślam się, że jest tak po części przez byłych żołnierzy, podobnych do mnie.

Znajduję pokój, w którym dokonuje się zapisów na zajęcia wydziału sztuk pięknych. Zapisuję się na kursy według katalogów, które otrzymałem, kiedy poszedłem opłacić czesne. W pierwszym semestrze na zaliczenie przedmiotu kierunkowego potrzebuję kursów rysunku i perspektywy, projektowania i teorii koloru oraz historii sztuki. Zapisuję się na wszystkie. Mój indeks jest już wypełniony do połowy. Zapisuję się także na biologię I, botanikę I i angielski I B. W sumie mam osiemnaście jednostek, więcej, niż mi wolno. Gdybym miał z tego powodu jakieś kłopoty, po prostu coś wykreślę. Wychodzę frontowymi drzwiami, którymi powinienem był wejść do — środka. Czuję się paskudnie, że postąpiłem nieuczciwie, ale czasami tak trzeba. Tak przynajmniej myśli AL nr 1, a ja jestem jeszcze zbyt słaby, by go powstrzymać. Naprawdę nienawidzę stania w kolejkach. Po czterech latach mam ich serdecznie dosyć.

Wracam jednak do pary, która pilnuje dla mnie miejsca. Mówię im, że zapisałem się już na swoje kursy, i proponuję, że i dla nich załatwię wpisy, jeśli zaopiekują się moim indeksem. Zgadzą się, chociaż oboje wiedzą, że nie jest to do końca uczciwe. Na swoich kartach wypisali zajęcia, jakie są im potrzebne, plus zajęcia alternatywne, gdyby na wybranych przez nich kursach był już komplet.

Raz jeszcze więc dostaję się do środka, rozglądając się uważnie, czy ktoś mnie nie zauważy.

Udaje mi się zapisać ich na wszystkie zajęcia, jakie sobie wybrali. Nazywają się Grant . Reynolds i Holly Jolly. Kiedy po raz pierwszy przeczytałem jej nazwisko, wydało mi się, że musi to być żart, ale nie, naprawdę się tak nazywa. Kiedy wracam do nich, są mi bardzo wdzięczni. On wygląda jak Francis Scott Fitzgerald, a ona jest po prostu cudownie piękna. Nie mówię im zbyt dokładnie, jak udało mi się zapisać ich na zajęcia, i tak pewnie by mi nie uwierzyli. Zapraszają mnie do kantyny studenckiej na pizzę i colę. Porzucamy więc kolejkę i ruszamy do kantyny.

Okazuje się, że oboje są byłymi mormonami. Właściwie niewiele wiem o przedstawicielach tej religii, nie spotykałem ich w okolicy, w której dorastałem. Prawdopodobnie wszyscy sąsiedzi byli zbyt biedni, by być mormonami, a poza tym mieszkali tam właściwie wyłącznie katolicy. Grant i Holly wzięli ślub w kościele mormońskim w Salt Lake City. Oznacza to, że nie tylko pobrali się na to życie, ale na wszystkie żywoty, jakie ich oczekują. To odbiera mi mowę.

— To znaczy, że mormoni wierzą w reinkarnację jak Hindusi?

Grant wyjaśnia, że w dziewiętnastym wieku pewien Amerykanin nazwiskiem Joseph Smith znalazł w swoim ogrodzie miedziane tablice najwyraźniej zapisane przez samego Boga, który wyjaśnił na nich, jak powinni żyć ludzie.

— Tak jak Mojżesz? — pytam.

— Tak, coś w tym rodzaju. Po najróżniejszych kłopotach niejaki Brigham Young poprowadził mormonów na zachód, gdzie osiedlili się w swojej ziemi obiecanej, obecnym stanie Utah. Ich ośrodkiem jest Salt Lake City.

Słucham tego wszystkiego. Gdyby moi rodzice się o tym dowiedzieli, umarliby na miejscu. Są katolikami, włoskimi katolikami. Chodzą do kościoła na Wielkanoc i Boże Narodzenie, ochrztili swoje dzieci, przystąpili do pierwszej komunii i bierzmowania, i to by było na tyle, nie mają jednak żadnej tolerancji dla innych wyznań. Holly podejmuje opowieść, kiedy wchodzimy do budynku stowarzyszenia studentów. Jest naprawdę piękna, ma gęste, długie rzęsy, ciemne włosy, bardzo białą skórę i wspaniałą figurę.

— Ponieważ wśród mormonów było więcej kobiet niż mężczyzn, wprowadzili poligamię, to znaczy zezwolili, by mężczyzna mógł poślubić kilka kobiet. A to w końcu sprawiło, że weszli w konflikt z prawem Stanów Zjednoczonych.

Wydaje mi się, że kiedyś o tym słyszałem. Jako dzieci wyobrażaliśmy sobie, jak wspaniale byłoby mieć harem albo zostać mormonem i mieć dziesięć żon. Byliśmy wtedy z pewnością bardzo młodzi i niedoświadczeni.

— Prawo powstrzymało więc w mniejszym lub większym stopniu wielożeństwo, choć matka Granta była jedną z czterech żon. Uznawano, że kobieta nie powinna żyć samotnie, a mężczyźni mieli obowiązek poślubić kobietę wskazaną przez starszych Kościoła.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

— Ale, Grant, przecież tak właśnie dzieje się w przyrodzie, wśród fok i kilku gatunków małp, na przykład u pawianów.

Grant wybucha śmiechem.

— Wydaje mi się, że jesteśmy nieco bardziej rozwinięci, choć czasami trudno w to uwierzyć. Foki i pawiany najwyraźniej mają więcej z życia niż my.

W czasie obiadu omawiamy też inne kwestie ich religii, dziesięcinę, koncepcję poszukiwania przodków, których należy wprowadzić do ich Kościoła i w ten sposób zapewnić im zbawienie, po to także, aby mogli wszystkie swoje żywoty przeżyć w Kościele.

— Chcicie przez to powiedzieć, że Joe Smith otrzymał wszystkie te wiadomości na miedzianych tablicach znalezionych w swoim ogrodzie?

Holly o mało co nie krztusi się pizzą.

— Nie, większość praw została ustanowiona w ciągu ponad stu następnych lat. Tak jest we

wszystkich religiach. Przede wszystkim chodzi o to, by ludzie nie żyli zgodnie z naturą.

Obiecujemy sobie, że jeszcze kiedyś się spotkamy. Grant studiuje filologię angielską i obydwaj zapisaliśmy się na te same zajęcia z angielskiego. Holly jest na naukach politycznych. Sama nie wie, co zamierza z tym robić, ale uważa, że świat trzeba zmieniać, a politycy mają największe szansę, by tego dokonać. Szczególnie interesuje ją Charles de Gaulle, chce poświęcić mu pracę magisterską. Grant chce po prostu pisać wiersze. Wie, że raczej nie będzie mógł w ten sposób zarobić na swoje utrzymanie, ale jeśli będzie to konieczne, może zostanie nauczycielem.

Opowiadają, że zaledwie miesiąc temu wynajęli stary, zniszczony dom w Ocean Park, niedaleko oceanu. Prawie codziennie pracują przy jego remoncie. Grant służył w marynarce wojennej i studiuje dzięki paragrafowi szesnastemu, podobnie jak ja. Za studia Holly płacą jej rodzice. Nie pytam o to, ale Holly wyjaśnia, że ona i Grant nie są z prawnego punktu widzenia małżeństwem, wiedzą jednak, że łączy ich coś ważniejszego niż ślub — ceremonia w świątyni w Salt Lake City.

— Napisaaliśmy do ojców Kościoła, że nie jesteśmy już mormonami, i chcemy, by nasze imiona skreślono ze złotych list. Oni jednak nie zwracają na to najmniejszej uwagi i wciąż nas niepokoją.

Holly uśmiecha się i zapisuje adres ich domu na serwetce, którą wsuwam potem do kieszeni. Mówię, że mieszkam i pracuję jako nocny stróż w sklepie przy Venice Boulevard. Oboje znają ten budynek, ponieważ wyróżnia się wyglądem, codziennie dwa razy przejeżdżają obok niego tramwajem.

Żegnamy się i idę do biblioteki. Mam legitymację studencką, okazuje się jednak, że korzystanie z tej biblioteki jest o wiele trudniejsze niż z którejkolwiek, z którymi miałem do tej pory do czynienia. Trzeba najpierw przejrzeć katalog i znaleźć w nim potrzebną książkę, a potem wypełnić rewers. Następnie trzeba czekać, aż książka przyjedzie miniaturową windą. Przychodzi mi do głowy, że w podziemiach mieszkają pewnie książkowe elfy, które wciąż podają książki. W końcu dochodzę do wniosku, że skorzystam z biblioteki kiedy indziej.

Schodzę do sklepu studenckiego i zamawiam książki z list, które otrzymałem przy rejestracji. Dostaję wcale imponujący stos. Najpierw *Sztuka poprzez wieki* Helen Gardner. Następnie podręcznik do perspektywy, wygląda na dobry i prosty, a jego autorem jest mój przyszły wykładowca, doktor Hull. Na zajęcia z angielskiego kupuję pięć powieści i dramat, do tego jeszcze obszerny podręcznik z kolorowymi ilustracjami na zajęcia z biologii i drugi imponujący podręcznik do botaniki z barwnymi zdjęciami i rysunkami kwiatów i liści. Oba są bardzo interesujące, a nigdy nie mógłbym sobie na nie pozwolić — każdy kosztuje ponad dwadzieścia dolarów. Ja zaś pokazuję tylko moją legitymację studencką i drugą legitymację, stwierdzającą, że obejmuje mnie paragraf szesnasty, i dostaję potrzebne książki w pudełku. Bycie studentem nie jest wcale takie złe. Nie mogę się już doczekać chwili, kiedy wrócę do mego małego pokoiku na zapleczu sklepu i będę je mógł przejrzeć.

Docieram na miejsce około czwartej. Parkuję jeepa za domem i wchodzę do sklepu tylnym wejściem. Alice jest jeszcze w sklepie. Nie ustaliliśmy, o której mogę wracać, by jej nie przeszkadzać, ale wyraźnie cieszy się na mój widok. Pokazuję jej moje nowe książki. Opowiada, że sama nigdy nie skończyła college'u, ale książki robią na niej ogromne wrażenie.

— Dziękuję, że wysprzątałeś zaplecze. Sama nie potrafiłam po prostu ruszyć tych wielkich pudeł. Zrobiło się tu o wiele więcej miejsca.

— Czy możesz teraz znaleźć wszystko, czego potrzebujesz? Starałem się poukładać kartony jeden na drugim na boku, wiekiem na zewnątrz, nie wiedziałem jednak, czy ci się to spodoba.

— Jest znakomicie. Kiedy zaczynasz zajęcia?

— Dowiedziałem się, że w poniedziałek jest dzień otwarty dla nowych studentów, ale zajęcia

zaczną się dopiero w środę.

Wyciągam karty rejestracyjne i zaczynam układać plan swoich zajęć, w jakie dni i w jakich salach będą się odbywać. Nauczyłem się już tego właściwie na pamięć, ale wolę się upewnić, że o niczym nie zapomniałem. Zajęcia z malarstwa odbywają się w Moore Hall, podobnie jak zajęcia z historii sztuki. Spoglądam na mapkę, którą dostałem przy rejestracji. Moore Hall mieści się na szczycie wzgórza za budynkiem zwanym Kirchoff Hall, w którym kupowałem książki i jadłem obiad z Grantem i Holly. Kiedy tam szliśmy, pomyślałem, że wygląda jak wzniesiony z cegły gotycki kościół, który zapadł się w ziemię. Wydaje mi się, że wrażenie to wywołuje przede wszystkim gotycka wieża. Na szczęście budynek stoi na wzgórzu i częściowo zasłaniają go drzewa, gdyż inaczej byłby niewiarygodnie brzydki.

Moore Hall to po prostu prostokątny, trzypiętrowy budynek o Ceglanej fasadzie. Moore Hall i Kirchoff Hall dzieli pusta przestrzeń zastawiona stolikami i krzesłami. Domyślam się, że w pogodne dni korzysta z nich studencka kantyna albo można tam zjeść przyniesiony z domu posiłek.

Niewiele w życiu widziałem uniwersytetów. Ten w Austin i Uniwersytet Stanu Waszyngton wyglądały mniej więcej tak samo. Tak jakby architekci byli rozdarci pomiędzy pokusą, by stworzyć coś klasycznego, co będzie choć wyglądać na stare, a na ścianach można będzie puścić bluszcz, i chęcią, by zaprojektować praktyczny budynek przeznaczony na sale wykładowe.

Zajęcia z biologii i botaniki odbywają się przy tym samym dziedzińcu, przy którym mieści się biblioteka i Royce Hall. W porównaniu z Royce Hall i biblioteką budynki te nie wyróżniają się niczym szczególnym. Cały uniwersytet rozmieszczony jest na wzgórzach, ma bardzo przyjemną lokalizację. Pokazuję Alice wszystkie budynki na planie. Jest równie podniecona jak ja.

Okazuje się, że do korzystania ze studenckiego parkingu będzie mi jeszcze potrzebna legitymacja stowarzyszenia studentów. Zajmę się tym podczas przerwy w zajęciach przygotowawczych. Przy okazji dowiem się też, gdzie dokładnie mieszczą się wszystkie sale.

Po rozpisaniu całego planu okazuje się, że mam wolne w piątek i sobotę. We wtorek i czwartek zaczynam zajęcia o dziesiątej rano. Nie mogę w to uwierzyć. Wydaje mi się, że to mało męczący plan, ale zdecydowanie przekraczam wszelkie granice obciążeń dozwolonych na jeden semestr. Chcę się jednak przekonać, czym to się skończy.

Przed wszystkim chcę przekonać psychologa, doktora Wileya, że mogę studiować malarstwo. Jestem pewien, że wszystkie zajęcia będą mi się podobały, ale najbardziej ciekawią mnie zajęcia z malarstwa.

\* \* \*

Kiedy kończę, nadchodzi pora, by Alice zamknęła sklep i wróciła do domu, do Clarence'a. Zaciąga story na frontowych oknach, zamyka drzwi i wraca do mojego pokoiku. Wyciągnąłem właśnie książkę do biologii i oczywiście czytam, co napisano w niej o motylach. Podnoszę wzrok znad książki, by pożegnać się z Alice.

— Chodź ze mną, AL. Przygotowałam prawdziwą duszoną baraninę, jestem pewna, że będzie ci smakowała, a Clarence bardzo chciałby cię poznać.

Jak mogę się oprzeć, uwielbiam baraninę. Zamykam książkę.

— Czy mogę coś przynieść? Poszedłbym na targ i kupić jakiś deser albo cokolwiek, może chociaż bochenek chleba?

— Dziękuję, wszystko już przygotowałam.

— Może więc piwo albo butelkę wina?

— To bardzo miły pomysł. Clarence uwielbia wino, a ostatnio bardzo rzadko je pija. Ciągle

zapominam o tym, by kupić butelkę. Sklep z alkoholem jest na rogu obok targu. — Zbiera jeszcze kilka drobiazgów, które chce zabrać do domu, paczkę papierowych serwetek i parasolkę. — Łatwo znajdziesz nasz dom przy Wadę Street, po drugiej stronie torów tramwajowych. Uważaj tylko, jak będziesz przechodził. Mieszkamy w trzecim domu za przecznicą, po prawej stronie. Dom ma numer 10816. Trafisz?

— W wojsku służyłem w zwiadzie. Jestem pewien, że potrafię znaleźć dom w Venice. A tak przy okazji, czy my jesteśmy jeszcze w Venice, czy już w Palms?

— Granica przebiega właśnie wzdłuż Wadę Street. Mieszkamy w Palms, ale pracuję w Venice. Podoba mi się to, że codziennie chodzę do pracy do innego miasta.

Oboje wybuchamy śmiechem. Wychodzę tylnymi drzwiami. Miałem mnóstwo szczęścia, że znalazłem takie wspaniałe miejsce na mieszkanie, Alice zaś jest wspaniałą gospodynią.

Muszę teraz pamiętać tylko o tym, by zanieść swoje czeki do Bank of America. Będę potrzebował książeczki czekowej, by płacić za różne rzeczy. Nie chcę nosić wszędzie ze sobą gotówki, jak w czasie wędrowki przez kraj. A zresztą plik pięciodolarówek, który ze sobą zabrałem, już prawie się kończy... Lubię mieć zawsze w kieszeni trzy, cztery dolary, ale nigdy nie lubiłem nosić portfela. Teraz kiedy dorobiłem się legitymacji studenckiej, prawa jazdy i jeszcze karty bankowej, będę musiał się poddać i zacząć zachowywać jak dorosły mężczyzna, a więc kupić portfel. Zapytam Alice, gdzie mieści się najbliższy sklep Armii Zbawienia.

Niewiele wiem o winach, więc w sklepie z alkoholem kupuję butelkę kalifornijskiego wina Galio, które nie kosztuje zbyt wiele. Ekspedientka starannie owija butelkę w brązowy papier, jak gdybym był jakimś drobnym pijaczkiem, który zamierzają opróżnić zaraz na ulicy. Nawet bez mojego jeepa dla wielu ludzi wciąż wyglądam dziwacznie ze względu na ubranie i brodę, nie ufają mi albo nie mają o mnie najlepszego zdania. Nie przeszkadza mi to jednak zbytnio.

Z łatwością odnajduję dom Alice. Jest niewielki, ale to prawdziwy dom, postawiony według kalifornijskiej mody — konstrukcja z drewna, drutu i gipsu. Może obawiają się trzęsień ziemi, gdyby budowano tu prawdziwe domy z cegieł czy kamienia, mogłyby się rozpaść przy silniejszych wstrząsach.

Naciskam dzwonek i Alice otwiera drzwi. Ma na sobie fartuszek. Na mój widok uśmiecha się radośnie. Za jej plecami dostrzegam Clarence'a. Siedzi w blezerze na kanapie, a obok niego stoi butla z tlenem, ale nie jest do niej podłączony. Próbuje się podnieść, ale prosi go gestem, by nie wstawał. Powoli opada na kanapę ze świszczącym westchnieniem. Wyciągam do niego rękę na powitanie. Jego dłoń jest lodowato zimna.

— Naprawdę bardzo miło mi pana poznać, panie Weidemeyer. Wiem, że jest pan chory, czy jest pan pod opieką lekarza?

— Och tak, chwilami mam wrażenie, że prawie codziennie odwiedza mnie jakiś lekarz. No i mam jeszcze to. — Wskazuje na swoją butlę z tlenem. — Trzeba ją napełnić co trzy dni. Sypiam w masce na twarzy, wpompowuje mi tlen do płuc.

— Bardzo mi przykro, panie Weidemeyer.

— Mów mi Clarence, dobrze, AL? Ostatnio, odkąd zachorowałem, niewielu ludzi zwraca się do mnie w ten sposób. Lekarze i pielęgniarki są mili, ale zawsze zwracają się do mnie „panie Weidemeyer”, jak gdybym był jakimś domokrażcą.

— Zgoda, Clarence, uważaj na siebie.

Niełatwo mi rozmawiać z chorymi. Pewnie dlatego, że sam zbyt długo byłem chory. Czuję, że w każdej chwili spodziewają się najgorszego. Alice woła nas z jadalni.

— AL, proszę, usiądź tutaj, Clarence usiądzie na swoim zwykłym miejscu, a ja tutaj, stąd mam najbliżej do kuchni. Ostrzegam, nie przygotowałam nic szczególnego, ale mam nadzieję, że będzie ci smakowało.



Zdejmuję kurtkę i wyjmuję z kieszeni butelkę wina.

— Przyniosłem coś, co powinno poprawić nam nastrój. Możemy zrobić sobie małe święto.

— Jakże to miłe. Lubimy Galio, zwłaszcza muszkatelowe. Alice przynosi z kuchni trzy kieliszki.

— Zazwyczaj nie pijemy alkoholu. Mnie boli po winie głowa, a Clarence ma kłopoty z oddychaniem, ale jak powiedziałeś, dziś wieczorem mamy święto.

Czuję się tak, jak gdybym podawał im truciznę, wyciągam jednak butelkę z brązowego papieru i otwieram. Wino nie ma korka. Mój tato kupuje wino w beczce, rozlewa je do butelek, które następnie korkuje, wszystko to w bardzo włoskim stylu. Rozlewam wino, zakręcam butelkę i wznoszę toast.

— Za wasze zdrowie, za nas wszystkich.

Clarence pochyla głowę, pociąga łyk i spogląda na mnie.

— Nigdy już nie będę zdrowy, już nigdy, AL. Alice kładzie dłoń na jego dłoni.

— Ależ, Clarence, polepszy ci się w końcu, przecież dobrze o tym wiesz.

— Może masz rację, Alice, aleja nic o tym nie wiem. Palisz, AL?

— Nie, kiedyś grałem w piłkę i jako prawdziwy sportowiec nigdy nie nauczyłem się palić. W wojsku też nie, chociaż wydawało mi się, że wszyscy inni palą, armia dawała nam darmowe papierosy.

— Równie dobrze mogli wam rozdawać kule, byście po kolei strzelili sobie w łeb. Byłby to szybszy sposób na popełnienie samobójstwa. Pewnie uważali, że wyświadczają wam przysługę.

— Tak, większość chłopaków odpalała jednego papierosa od drugiego. Wyglądało na to, że nigdy nie mają dosyć.

— Posłuchaj, jeden papieros to więcej niż dosyć. Paliłem przez całe życie, lekarze mówią teraz, że właśnie dlatego dostałem rozedmy. Moje płuca są zatkane przez nikotynę albo smołę czy coś takiego. Lubiłem palić jak każdy inny, ale teraz coś ci powiem: nie zaczynaj, bo skończysz tak jak ja.

Baranina jest naprawdę wyśmienita, a wino znakomicie do niej pasuje. Kupiłem czerwone wino, okazuje się, że zazwyczaj pijają białe, ale to bardzo im smakuje. Wypijamy całą butelkę. Od sklepu dzieli mnie jedynie krótki spacer, nie powinienem więc mieć kłopotów z powrotem. Kłopot polega jedynie na tym, że mój organizm nie przywykł do alkoholu, a wciąż biorę dwa lekarstwa. Nie wiem, jak działają, ale wyjąwszy nocne koszmary, utrzymują mnie w równowadze psychicznej.

Wracam do domu, na wszelki wypadek nadkładam drogi do Beethoven Street, żeby tam przejść na drugą stronę torów. Nie czuję się pijany, tylko bardzo odprężony. Tęsknię już za łóżkiem i snem.

\* \* \*

Budzę się w środku nocy. Drzę, jestem zlany potem. Dawno już nie nachodził mnie ten upiorny sen, który zawsze kończy się tak samo. Znowu jestem na polu walki, w głębokim okopie, tak głębokim, że nie widzę wcale jego krawędzi. Niewiele wokół światła, prawdopodobnie zbliża się właśnie świt, mamy atakować, ale ja nie tylko nie jestem w stanie wydostać się z okopu, ale nie mam też nabojów do mojego M1, a w ciemnościach nie potrafię znaleźć pasa z amunicją. Padam na kolana i szukam pasa w błocie na dnie okopu, nagle podnoszę wzrok i widzę szkopa, który patrzy na mnie z góry i z uśmiechem celuje we mnie z karabinu. Próbuję się poddać i budzę się z krzykiem.

Leżę na łóżku i przez chwilę łapię oddech. Dyszę jak po długim biegu albo przegranej walce

zapaśniczej.

Siadam, podnoszę się i zaczynam chodzić po pokoju, dotykam otaczających mnie przedmiotów, próbując przypomnieć sobie, gdzie jestem; na zapleczu sklepu przy Venice Boulevard w Venice w stanie Kalifornia, wkrótce zacznę studia na UCLA. Trochę pomaga, ale wciąż się boję. Spoglądam na zegarek, jest pięć po trzeciej. Idę do łazienki zrobić siusiu. Widzę siebie w lustrze i czuję się tak, jak gdybym znowu zobaczył twarz niemieckiego żołnierza. Moje odbicie jest kredowobiałe, a światło w ciasnej łazience wydaje się bardzo jaskrawe. Wiem, że nie uda mi się ponownie zasnąć, nigdy mi się to nie udaje. Wychodzę z łazienki i włączam światło. Szukam szkicownika i ołówków, które kupiłem od Alice. Naciągam kurtkę i siadam w bokserkach przy stoliku. Górne światło sprawia, że wszystko znowu wydaje się nierzeczywiste. Zabieram się do pisania. Nie piszę dokładnie o tym, co mi się przyśniło, ale o wszystkim, co pamiętam, piszę o tamtym poranku, kiedy oberwali Gettinger i Edwards. Próbuję opisać rozszarpaną pociskiem twarz tamtego nowego żołnierza. Nie po raz pierwszy próbuję to wszystko opisać. Zapisywanie koszmarów było jednym z najlepszych pomysłów Weissa. Kiedy próbowałem opowiadać mu swoje sny i opisywać strach, jaki we mnie wywoływały, nie byłem w stanie tego zrobić — najpotworniejsze szczegóły zdawały się rozmywać. Wtedy właśnie poradził mi, bym je zapisywał, odtwarzając jak najwięcej szczegółów i odczuć.

Trochę to pomaga, ale i tak nie udaje mi się zasnąć. Piszę przez całą noc, aż przez okienko w tylnych drzwiach zaczynają wpadać pierwsze promienie słońca. Jest siódma trzydzieści. Robi mi się zimno. Patrzę na to, co napisałem. Nie chcę tego czytać. Drę kartki na drobne kawałeczki i wrzucam do toalety. Z doświadczenia wiem, że teraz będę musiał zrobić kupę. Zawsze tak jest.

Teraz czuję się lepiej. Przeliczam czas, udało mi się przespać sześć godzin. Jak na mnie to bardzo dużo. Wciąż jest mi zimno. Wracam do łazienki i nalewam do zlewu ciepłej wody. Ściągam kurtkę, podkoszulek i bokserki. Namydlam się starannie i szoruję, skupiając się na moich klejnotach. Nocne koszmary oznaczają także, że kiedy się budzę, cuchnę brudem, szczególnie silny jest odór mastki na członku. Odsuwam napletek, nie jestem obrzezany, i myję żołądź mydlaną pianą. Płuczę się w umywalce. Wypuszczam wodę, napełniam ponownie umywalkę, teraz myję pachy i stopy. Zaczynam czuć się lepiej. W notatniku dopisuję, że potrzebuję jeszcze nowej kostki mydła i porządnego ręcznika. Z tego, który zabrałem ze sobą w podróż, została tylko szmata. Wyjmuję z kompletu do paznokci pilnik i piluję paznokcie. Zawsze tak właśnie kończę moje ablucje po nocnych koszmarach. Wydaje mi się, że chciałbym wyczyścić nawet moją krew.

Ubieram się dzisiaj na niebiesko, jasnoniebiesko, z wyjątkiem kurtki. Wyglądam jak gliniarz albo nocny stróż. Czeszę włosy i brodę. Mam kręcone włosy, podobnie jak brodę. Powiniennem być stosunkowo przystojny, ale tak nie jest. Wiele jednak czasu minęło od chwili, kiedy o jakimkolwiek mężczyźnie pomyślałem, że jest przystojny. Postrzegałem ich tylko jako przyjaznych lub niebezpiecznych. To dotyczyło również mnie. Wciąż jestem zbyt wojowniczy, niebezpieczny, wciąż pozostało we mnie coś z „dawnego ALA”. Próbuję się uśmiechnąć. Kiedy się uśmiecham, wyglądam o wiele lepiej. Czasami staram się uśmiechać przez cały dzień, ale nigdy mi się to nie udaje. Moja twarz automatycznie przybiera wyraz trochę smutny, a trochę Szalony. Muszę się jakoś z tego wyleczyć. Nie będę naprawdę zdrowy, dopóki nie nauczę się uśmiechać naturalnie, bez udawania.

Idę na Sepulveda Boulevard do kawiarni. Zamawiam filiżankę gorącej herbaty i dwa pączki z galaretkowym nadzieniem. Znowu jestem sobą. Kończę jedzenie i wracam do sklepu. Alice jeszcze nie ma. Powiedziała, że przychodzi o dziewiątej. Wychodzę tylnym wejściem i zamykam je za sobą na klucz. Jeep wygląda teraz jak dom na kołach. Wyjeżdżam na Beethoven Street, przejeżdżam przez tory i ruszam Sepulveda Boulevard.

\* \* \*

„Wprowadzenie” okazuje się zajęciem dla nieco starszych dzieciaków, które pokazują szkołę nowym kolegom. Mam to już za sobą. Wyruszam na poszukiwanie swoich klas. Sala, w której będę miał zajęcia z angielskiego w Royce Hall, jest szeroka i krótka, ma tylko jedne drzwi. Nikogo tu nie ma, więc wchodzę do środka. Siadam na jednym z krzeseł z szeroką poręczą do pisania. Wybieram sobie miejsce w jednym z trzech rzędów krzeseł, blisko okna z przodu sali.

Przechodzę do innych klas, w których będę miał zajęcia. Ta, w której pan Hull będzie nas uczyć perspektywy, mieści się w Moore Hall, ale ma prawie identyczne wymiary jak sala do angielskiego, różni się tylko tym, że ma dwoje drzwi. Tutaj ustawione są stoły ze zwykłymi krzesłami. Blaty są poobijane, pełno tu powypisywanych imion i kilka „kurew”.

Sala, w której odbywać się będą zajęcia z teorii koloru i projektowania, jest prawie identyczna, z tym tylko wyjątkiem że ktoś spróbował wyczyścić tu stoły. W tym pomieszczeniu jest najlepsze światło. Zastanawiam się, jaka będzie pani Baker, która ma prowadzić te zajęcia. Jaki stopień naukowy trzeba mieć, by uczyć takiego przedmiotu?

Przechodzę przez kampus do budynku chemii, gdzie będą się odbywać zajęcia z biologii. Cały budynek przesycony jest ostrymi chemicznymi zapachami. Moja klasa w liceum to była właśnie pracownia chemiczna, naszym wychowawcą był wtedy pan Kehl. Na stołach zamontowano palniki Bunsena, których nie wolno nam było dotykać. Nie wiem właściwie, po co mieliśmy „swoje klasy”, pan Kehl siedział przez cały czas za biurkiem i poprawiał nasze prace. Ja sam na ogół odrabiałem wtedy lekcje, później nie musiałem ich robić w domu.

Znajduję swoją salę, dwie ściany zastawione są szafkami o szklanych drzwiach, w środku pełno jest chemikaliów, retort, probówek, stoi tam około dziesięciu mikroskopów, każdy dwa razy większy od mojego. Tutaj także zamontowano palniki Bunsena. Stoły są tu wyższe od biurek, wszystkie pomalowano na czarno. Na tylnej ścianie wiszą puste półki. Najprawdopodobniej jest to laboratorium chemiczne, w którym jedynie wykłada się biologię. Wszystko na to wskazuje.

Z przodu znajduje się biurko wykładowcy z przymocowanym na stałe mikroskopem oraz półkami na chemikalia. Nad biurkiem wisi ekran, na końcu sali stoi rzutnik do slajdów. Dobry nauczyciel pewnie może tu wykładać biologię, ale powinno tu być przynajmniej trochę roślin i może jakieś zwierzę w klatce. A może na uniwersytecie nauka polega głównie na studiowaniu podręczników, nie ma tu kontaktu z rzeczywistością. Mnie to nie przeszkadza.

Sala do botaniki, która mieści się we Franz Hall, rzeczywiście wygląda na salę do botaniki. Pełno tu roślin pod szkłem. Pod oknami rosną kwiaty, przy każdym na patyku umieszczono karteczkę z nazwą. Są tu również mikroskopy, po jednym na stół. Wyraźniej czuć tutaj zapach roślin niż chemikaliów. W salach do biologii i botaniki rozglądam się za szklanymi gablotkami z motylami, ale nie udaje mi się ich znaleźć. Jestem pewien, że sam znajdę jakieś motyle, które będę mógł obserwować, jak dotąd jednak nie widziałem ich zbyt wiele w Kalifornii.

Schodzę na dół do sali gimnastycznej dla studentów, aby i tu się rozejrzeć. Znajduję spory basen, przebieralnię i prysznice, tych ostatnich właśnie szukałem. Ciekawe, o której tu otwierają. Jestem pewien, że będę mógł z nich skorzystać dzięki legitymacji studenckiej. W sklepie trochę mi tego brakuje. Nie brałem prysznica ani razu w czasie całej podróży przez Stany, ale co kilka dni znajdowałem jakiś staw czy strumień, w którym mogłem się wykąpać. Jednak o tej porze roku nawet w Kalifornii jest na to za zimno.

Ponieważ studiuje w ramach paragrafu szesnastego, nie muszę zaliczać żadnych zajęć z wychowania fizycznego. Domyślam się, że nie chcą, by kaleki albo psychole psuli im program.

Wielkie uniwersytety, do których niewątpliwie należy UCLA, skupiają się głównie na sporcie wyczynowym, a zwłaszcza na grach zespołowych, na których można dużo zarobić, jak puka nożna, koszykówka czy baseball. Zauważyłem już facetów w wielkich, ciężkich kurtkach z wypisanymi literami UCLA. Wszyscy noszą podkoszulki z napisem: „Własność wydziału wychowania fizycznego UCLA”. Nie wiem, czy to oni sami są własnością wydziału, czy tylko ich koszulki.

Chciałbym trochę poćwiczyć, znalazłem już boisko i nie ogrodzoną bieżnię. Będę musiał kupić sobie dres, szorty i koszulkę w sklepie Armii Zbawienia, który zauważyłem w Santa Monica, koło Jedenastej Ulicy. Będę też musiał postarać się o sportowe buty. Charakterystyczny znak Armii Zbawienia dostrzegłem, kiedy poszedłem do Bank of America, aby złożyć pieniądze i otworzyć rachunek. Kiedy wszystko załatwię na uniwersytecie, pójde tam po czek.

Nigdy nie byłem szczególnie zdolnym biegaczem, wolałem sporty kontaktowe czy rzut dyskiem, ale teraz jestem o wiele szczuplejszy i myślę, że mogę zacząć biegać. Ptasiak, jedna z moich osobowości, potrafił biegać jak wiatr, może więc w tej górze mięśni, jaką byłem, zawsze tkwił ukryty biegacz.

Raz jeszcze obchodzę cały kampus. Znajduję kilka stoisk, na których można kupić coś do jedzenia. Nie jestem zbyt głodny po duszonej baraninie, którą zjadłem wczoraj na kolację, ale zamawiam pizzę i butelkę coli, siadam przy jednym ze stolików i obserwuję przechodzących ludzi.

Prawie wszyscy są ode mnie młodszy, wprost niewiarygodnie młodzi. Pewnie jednak tylko mi się tak wydaje. Gdybym na tak długi czas nie znalazł się poza nawiasem normalnego życia, pewnie kończyłbym właśnie studia, jeśli by udało mi się w ogóle je zacząć, nie jestem więc aż tak bardzo od nich starszy. Odnoszę takie wrażenie, ponieważ wszyscy wyglądają i zachowują się tak młodzieńczo.

Miło jest obserwować, jak się bawią. Faceci są tacy sami jak ci, których spotykałem w wojsku, bardziej jednak swobodni, na luzie. Na ogół noszą dzinsy i sportowe buty, a do tego sweter albo kurtkę. Niektórzy mają wspomniane już kurtki z nazwą uniwersytetu, wyglądają jak zawodnicy z liceum Upper Merion, tylko że ci faceci są naprawdę potężnie zbudowani. Jeden z nich wygląda na sto dwadzieścia kilogramów, ma małą główkę i blond włosy. Widzę też Murzyna, który ma pewnie ze dwa metry wzrostu. Dziewczyny wyglądają przy nich jak małe dzieci, ale krążą wokół nich bez przerwy. Pełno tu nerwowych wybuchów śmiechu i chichotów. Mój starszek dostałby pewnie apopleksji, gdyby zobaczył białe dziewczyny flirtujące z Murzynami. Nie sądzę, bym mógł mieć z tymi dziewczętami kiedyś do czynienia, ale kto wie?

Siedzę więc sobie, pojadam i popijam, przyglądając się panienkom. Noszą krótkie spódniczki, a do tego skarpetki i czar — no — białe lub brązowo — białe buty. Niektóre mają na sobie puchate sweterki z kaszmiru. Pamiętam, że w liceum chodziłem z dziewczyną, która nosiła coś takiego, po każdej randce cały byłem zawsze pokryty kaszmirowym meszkiem czy włoskami. Musiałem nosić przy sobie szczotkę do ubrań i czyścić się przed powrotem do domu.

Ciekawe, co się stało z Betsy. To ona była moją dziewczyną. Nie wiem nawet, czy poszła do college'u. Jeśli nawet poszła, pewnie już go skończyła, jeśli oczywiście nie wyszła wcześniej za mąż i nie zaszła w ciążę — gorąca z niej była dziewczuszka. Nieźle nam było ze sobą, ale nie szukam teraz kogoś takiego jak ona. Była dziewczyną „dawnego ALA”, a z tym już koniec. Nie tego teraz chcę. Sam nie jestem do końca pewien czego, ale na pewno nie Betsy ani nikogo podobnego do niej.

Postanawiam pojechać do sklepu Armii Zbawienia, zanim go zamkną. Później zabiorę się do lektury podręcznika biologii. W czasie studiów nad motylami przeczytałem sporo książek o biologii i spodobały mi się bardzo, tak naprawdę opowiadają przecież o życiu. Najpierw jednak

muszę kupić benzynę do jeepa i zajrzeć do Bank of America, żeby dowiedzieć się, czy przygotowali już dla mnie książeczkę czekową. Kończą mi się pieniądze. Zaskakujące, jak szybko się rozchodzą, tak naprawdę większość znika w baku jeepa. Mam szczęście, jeśli galon wystarczy na przejechanie piętnastu mil. Powinienem pewnie znaleźć sobie jakiś lżejszy, tańszy w eksploatacji samochód, ale nie potrafię pogodzić się z tym, że miałbym sprzedać Motylka, jeszcze nie, wciąż jest to mój „kocyk bezpieczeństwa”.

Tankuję na stacji przy Lincoln Boulevard, to szeroka ulica biegnąca równoległe do oceanu. Nabieram do pełna i sprawdzam przy okazji poziom oleju. Wygląda na to, że Motyl prawie wcale nie zużywa oleju. W czasie podróży zmieniałem go tylko raz, w Nowym Orleanie. Nadal jednak poziom trzyma się w normie, a olej jest czysty. Jeepy należą do nielicznych porządnych rzeczy, jakie robiło wojsko. Sprawdzam przy okazji licznik, przejechałem już ponad czterdzieści pięć tysięcy kilometrów.

Wyjeżdżam na Jedenastą Ulicę i skręcam w prawo. Jadę przed siebie, aż dostrzegam znak Armii Zbawienia. Zatrzymuję się na niewielkim parkingu. Oto sklep dla mnie. Zaglądam przez okno i zauważam jedenaście stołów z używanymi książkami. Być może miejsce to stanie się dla mnie drugim domem. Rozglądam się szybko, w większości to śmieci, ale widzę kilka książek, które chciałbym przeczytać. Czytam teraz dużo o kulturach Bliskiego Wschodu, szczególnie ciekawi mnie starożytny Egipt.

Ubrania wiszą na ścianach, podzielone na męskie i damskie. Jest też wydzielona część dla dzieci. Przeglądam kilka par dżinsów i bawełnianych dresów. Znajduję pomarańczową bluzę dresową z żółtym napisem PASADENA. Wciąż mam słabość na punkcie motyli kolorów. Przymierzam ją na ubranie, pasuje jak ulał. W kieszeniach są co prawda dziury, pewnie dlatego właśnie ta bluza tu trafiła. Kosztuje jednego dolara. Odkładam ją na kupkę z wybranymi wcześniej dżinsami i dresem. Jak mógłbym oprzeć się takiej pokusie? Jeszcze trochę, a ludzie zaczną mi dawać ziarno dla ptaków. Oto strój dla Ptaśka, prawdziwy ptasi kostium.

Znajduję dwie pary szortów, niebieskie i ciemnofioletowe. Przymierzam na spodnie, nie ma tutaj przymierzami ani możliwości wymiany źle dobranego zakupu. Szorty mają gumkę i dodatkowy sznurek w pasie, powinny więc pasować prawie na każdego. Kupuję je za następnego dolara.

Teraz zabieram się do szukania butów. To już jest trudniejsze, mam krótkie, ale szerokie stopy. W wojsku nosiłem numer 8C, ale buty zawsze były na mnie zbyt wąskie. Mam stopy Włocha z południa, stworzone do pracy w polu. Po przymierzeniu ze dwudziestu par sportowych butów znajduję płytke buty na swój rozmiar. Podeszwy są nieco starte, ale powinny mi jeszcze posłużyć. Buty nie mają podanej ceny.

Niosę teraz wszystko do kasy. Potrzebuję jeszcze slipków, ale te wolę kupić nowe w normalnym sklepie. Rachunek wynosi dziewięć dolarów, wyciągam więc ostatnią dychę. Ekspedientka pakuje moje zakupy do brązowej papierowej torby.

Przeglądam jeszcze książki, najtańsze kosztują zaledwie nieć centów. Kupuję kilka po dziesięć centów, w tym jedną o Wyżynie Anatolijskiej. Na jej terenie znajdują się jedne najciekawszych wykopalisk na świecie. Kupuję też stary atlas świata. Jest tak stary, że nazwy większości krajów dawno już się zmieniły, oglądając go, czuję się więc, jak gdybym odbywał podróż w czasie, zaopatrzone jest jednak w dobre mapy fizyczne. Książka ma pęknięty grzbiet, ale mnie to nie przeszkadza. Rozszalałem się do tego stopnia, że za dwadzieścia pięć centów kupuję książkę o Średnim Państwie egipskim. Książka jest wielka, gruba i są w niej kolorowe ilustracje.

Podchodzę do tej samej grubej, uśmiechniętej ekspedientki, której płaciłem za pierwszą część swoich zakupów.

— No cóż, młodzieńcze. Wygląda na to, że czeka cię sporo czytania. Zamierzasz wkładać

swój strój sportowy do tej lektury?

Wybucham radosnym śmiechem jak Murzynki z filmów. Spoglądam na nią i również się uśmiecham, a potem wybucham śmiechem.

— Mam nadzieję, że uda mi się to jakoś zaplanować. Będę czytał książkę, a kiedy mi się znudzi, będę od niej uciekał.

Ponownie oboje wybuchamy śmiechem. Wkłada moje książki do drugiej papierowej torby, rozgląda się po sklepie i oddaje mi pieniądze.

— Przeczytaj te książki, wrócisz tu kiedyś i opowiesz mi o nich. W ten sposób za nie zapłacisz.

Nie potrafię odmówić tak spontanicznej szlachetności. Uśmiecham się ponownie. Jeśli dostatecznie wiele czasu spędzać będę wśród takich ludzi, może w końcu nauczę się uśmiechać. To byłby wielki krok naprzód.

Idę do banku w Santa Monica, ale jest już zamknięty, kończą pracę o trzeciej. Słyszałem co prawda o godzinach pracy banków, nigdy jednak nie miałem z nimi do czynienia. Tabliczka na drzwiach głosi, że otwierają jutro o dziewiątej.

Jadę Lincoln w stronę Venice, po drodze zauważam małą meksykańską restaurację. Zatrzymuję się. Mają specjalne menu za jedyne siedemdziesiąt pięć centów, dwa *tacos*, *enchilada*, smażona fasolka i ryż. Nigdy wcześniej nie próbowałem meksykańskiego jedzenia i nie potrafię się oprzeć. Umieram wprost z głodu. Parkuję jeepa przed samymi drzwiami, podnoszę maskę, wyjmuję palec rozdzielacza i wsuwam go do kieszeni, a potem wchodzę do środka. Same aromaty wypełniające to miejsce wystarczyłyby, abym najadł się do syta. Kelner, który mnie obsługuje, podchodzi do drzwi, aby spojrzeć na Motyla.

— To twój wóz? To naprawdę jeep?

— Tak, to najprawdziwszy jeep i jest mój.

Na stole stoją twarde frytki i jakiś czerwony sos. Zanurzam frytkę w sosie, a wtedy na stole pojawia się danie główne. Obzerał się jak świnia. Nigdy nie jadłem czegoś tak wyśmienitego! Kelner staje w drzwiach, aby obejrzeć mój wóz. Zapada już zmrok.

— Nie wiedziałem, że produkują też żółte jeepy.

— Bo nie produkują. Sam go pomalowałem. Lubię żółty kolor.

— Kurczę, sam chciałbym zrobić coś takiego. Z takim jeepem każdy by mnie od razu rozpoznawał.

— Dzięki, mi też się taki podoba. Nazwałem go Motylkiem. Na boku ma wypisaną nazwę.

— Serio?

Stoi w drzwiach jeszcze przez kilka minut, a potem wraca do kuchni. Do restauracji wchodzi dwie pary. Wydaje mi się, że w Kalifornii widuje się więcej par niż osób samotnych. To miłe.

Kończę właśnie smażoną fasolkę, która smakuje mi bardziej niż jakakolwiek fasola, jaką zdarzało mi się jeść wcześniej. Wycieram talerz frytką, która smakuje tak, jakby zrobiono ją z kukurydzy. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem coś tak smacznego.

— Masz ochotę na filiżankę kawy? Na koszt firmy.

Na ogół nie pijam kawy, zwłaszcza tak późno, ale tak jak w wypadku książek w Armii Zbawienia nie potrafiłbym odmówić tak miłej propozycji.

Kiedy dopijam kawę, kelner siada przy moim stoliku.

— Nie pochodzisz z tych okolic, prawda?

— Nie, urodziłem się na Wschodnim Wybrzeżu, w Filadelfii.

— Tego się domyślałem, ale nie mówisz tak, jak znani mi ludzie ze Wschodu.

— Przez ostatnie kilka lat mieszkałem w Kentucky, prawdopodobnie to właśnie cię zmyliło.

— Tak, pewnie to. Mówisz bardzo miękko, inaczej niż wszyscy ludzie ze Wschodniego

Wybrzeża, których poznałem. To pewnie dlatego.

Płacę i wychodzę na ulicę. Samochody pędzą w obie strony, słońce zanurza się w oceanie. W domu dosłownie padam na łóżko. Minionej nocy jednak niewiele spałem. Mam nadzieję, że dzisiaj nic podobnego mi się nie przyśni. Zaskoczył mnie wczorajszy koszmar, ostatnio naprawdę czułem się odprężony i szczęśliwy. Zasypiam od razu i śpię do jedenastej.

Kiedy się budzę, przez kilka minut nie wiem nawet, czy jest jedenasta w nocy czy przed południem. Wokół panują jednak ciemności, więc musi to być noc. Znowu czuję głód. Idę do kawiarni, w której zjadłem śniadanie. Zamawiam jajecznicę i sok pomarańczowy. Na deser biorę jeszcze kawałek cytrynowego torciku beżowego.

Kończę jedzenie i wychodzę na Venice Boulevard. Zaskakujące, że o tej porze, jest przecież prawie północ, tak wiele tu samochodów. Po chwili mija mnie tramwaj jadący w stronę plaży. Kiedy zwalnia przy Beethoven Street, mam nawet ochotę wskoczyć do niego, ale rezygnuję. Robię sobie spacer małymi uliczkami w pobliżu sklepu. Mijam po drodze dom Weidemeyerów. Przespałem się trochę i nie czuję się wcale zmęczony. Kieruję się z powrotem w stronę sklepu, wchodzę do środka i wyciągam się na łóżku z książką do botaniki. Muszę dopisać do listy zakupów małą lampkę, przy której mógłbym czytać w łóżku, kiedy będę miał na to ochotę. Lista coraz bardziej się wydłuża. Będę musiał znaleźć jakiś sklep ze sprzętem elektrycznym, chociaż może uda mi się kupić lampkę w sklepie Armii Zbawienia. Rozglądam się dookoła i znajduję kontakt niedaleko stóp łóżka. Przeniosę więc poduszkę na ten koniec. Wreszcie zasypiam nad książką, rozmyślając o tym, że powinienem był nauczyć się łaciny w liceum. Dzięki Bogu, nic złego nń się nie śni.

Cały następny dzień spędzam na czytaniu. Wspaniale jest po prostu odprężyć się w samotności. W końcu czytanie mnie męczy i zapadam w sen. Ciekawe, jakie będą zajęcia z perspektywy.

## ROZDZIAŁ VII

Pierwsze wypadają zajęcia z perspektywy. Kiedy wchodzę do sali, siedzą już w niej dwie studentki. Obie usiadły z tyłu, z dala od drzwi. Zajmuję miejsce przy środkowym stole nieco z tyłu klasy. Wydaje mi się, że potrafię całkiem nieźle rysować, chociaż o perspektywie nie wiem zupełnie nic. Kupiłem książkę pana Hulla i już ją przejrzałem. Jak na podręcznik malarstwa wydała mi się bardzo techniczna.

Pan Hull jest wysoki, szczupły, ani śladu brzuszka, ma siwiejące, prawie białe włosy. W garniturze, białej koszuli, kamizelce i krawacie wygląda raczej na inżyniera niż na artystę. Siada na biurku z książką w dłoniach i unosi ją w górę.

— Mam nadzieję, że wszyscy obecni nabyli już moją *Perspektywę bez kłopotów*. Możecie ją kupić w księgarni uniwersyteckiej. Jako że są to zajęcia z rysunku, zakładam, że wszyscy macie też papier i ołówki.

Kilku spośród obecnych podnosi do góry książki, ołówki i szkicowniki.

Pan Hull odwraca się do nas plecami i zaczyna wypisywać na tablicy listę przedmiotów, w które powinniśmy się zaopatrzyć na jego zajęcia. Wszyscy przepisujemy, czym kto ma. Pan Hull otwiera szafkę pod oknem. Wyjmuje z niej i ustawia na biurku drewniane modele sześcianu, prostopadłościanu, piramidy, stożka i walca.

— Ilu z was miało już do czynienia z rysunkiem i perspektywą?

Całkiem sporo rąk podnosi się do góry, pan Hull uśmiecha się, a ja zsuwam się niżej na swoim krześle. Przed tym właśnie ostrzegał mnie doktor Wiley. Większość z otaczających mnie ludzi od dawna już wiedziała, że chcą zostać malarzami, i przygotowywała się do tego.

— Podstawowe zasady są stosunkowo proste, istnieją jednak pewne odmiany, które powinniście znać i nauczyć się ich na tym kursie. Najpierw chciałbym się dowiedzieć, czy potraficie zastosować zasady perspektywy w praktyce. Wiem, że wielu spośród was chciałoby przejść od razu do konkretnego i zabrać się do malowania, ale najpierw musicie nauczyć się rysunku. Mamy tu przed sobą najprostsze formy, jakie możecie znaleźć w przyrodzie. Cezanne podobno powiedział kiedyś, że „wszystko w przyrodzie można sprowadzić do sześcianów, równoległoboków, walców i stożków”. — Uśmiecha się ponuro jak właściciel zakładu pogrzebowego. — Chciałbym zobaczyć, w jakim stopniu jesteście gotowi wprowadzić w życie optymistyczny postulat Cezanne’a. Teraz każdy z was narysuje przedmioty, które umieściłem na stole. Będę chodził po klasie i poprawiał was, jeśli będzie to konieczne.

Kurczę, no to mnie załatwił. Jestem pewien, że potrafię narysować te przedmioty, ale nie mam zielonego pojęcia o perspektywie. Mimo wszystko zamierzam je narysować, zabieram się więc do roboty i modlę się w duchu. W sali zapada cisza, wszyscy pochylają się nad swoimi stolikami. Pan Hull siada na chwilę za swoim biurkiem, a potem zaczyna krążyć po sali. Przekonuję się, że trudno mi rozmieścić kształty na papierze, wydają się pokrzywione i koślawe. Rozglądam się dookoła i widzę, że pozostali rysują za pomocą linijek jakieś długie linie, które nie mają nic wspólnego z tym, co widzę przed sobą. Nie będzie mi tu łatwo. Wytrzymam, ale sporo mnie to będzie kosztowało.

Kiedy pan Hull zatrzymuje się obok mnie, podnoszę wzrok. Uśmiecha się.

— Nigdy wcześniej nie uczyłeś się perspektywy, prawda?

Kiwam głową potakująco. Mój pierwszy sześcian wygląda jak sześcian, drugi też zaczyna się już pojawiać. Każdy jednak może od razu rozpoznać, że nie mam pojęcia o tym, co robię. Pan Hull przysuwa sobie krzeselko, podciąga rękaw, a potem, bez linijki, rysuje na mojej kartce linię



prostą.

— Nie zajrzałeś nawet do mojej książki?

— Nie, a powinienem? Myślałem, że poczekam do zajęć i dowiem się, który rozdział jest zadany. Potrafię przecież rysować.

— Być może, ale nie potrafisz rysować w perspektywie. Wygląda na to, że nie masz o tym zielonego pojęcia. — Wskazuje ołówkiem na linię, którą narysował w poprzek mojego rysunku. — To jest poziom wzroku. Normalnie odpowiada on w rzeczywistości linii horyzontu. Jeśli podniesie się poziom wzroku, wszystko się zmienia, trzeba więc wiedzieć, gdzie jest. Wstań teraz i spójrz na te przedmioty na stole.

Wstaję. Czuję się jak głupek. Oczywiście, że każdy z tych przedmiotów wygląda inaczej. Mogę chociażby zobaczyć ich górne powierzchnie.

— Czy wyglądają tak samo? — Nie, inaczej.

— I właśnie po to jest nam potrzebny poziom wzroku. Zacznijmy zatem od sześcianu. — Rysuje pionową linię przecinającą poziom wzroku. — To jest przednia krawędź sześcianu. Rozumiesz?

Czuję się jak przedszkolak. Prawdę powiedziawszy, jeśli chodzi o perspektywę, wiem nawet mniej od przedszkolaków. Przecież nigdy nie chodziłem do przedszkola.

— Przyjrzyj się teraz bocznym krawędziom sześcianu. Czy coś widzisz?

Patrzę uważnie, ale niczego szczególnego nie zauważam.

— A teraz patrz.

Robi kropki na końcach swojego „poziomu wzroku”. Następnie bez linijki rysuje kreskę łączącą linię, która stanowić ma górną krawędź sześcianu, z obiema kropkami na końcach „poziomu wzroku”.

Wciąż nic z tego nie rozumiem. Co to wszystko ma wspólnego z rysowaniem sześcianu?

— Teraz rysujemy pionowe linie pomiędzy tymi dwoma, aby zaznaczyć, gdzie są tylne krawędzie sześcianu. — Rysuje linie i spogląda na mnie. — Już widzisz?

Potrząsam przecząco głową. Jak na razie widzę tylko, że psuje mój rysunek, wymalowując na nim jakieś dziwaczne kreski. Spoglądam na niego, a on się uśmiecha. Może rzeczywiście byłbym lepszym lekarzem albo prawnikiem. To się po prostu nie uda. Jeszcze nie jest za późno.

— A teraz patrz. — Rysuje linie prowadzące od poziomu wzroku po obu stronach do punktów, gdzie tylne krawędzie sześcianu przecinają linie biegnące do krawędzi poziomu wzroku. — A teraz?

Widzę. Nie mogę w to uwierzyć. Narysował sześcian, który nie jest skrzywiony i leży płasko na papierze.

— I b cudowne, naprawdę się udało.

Pan Hull unosi ołówek.

— Teraz znasz już podstawowe zasady perspektywy, poziom wzroku i punkt zaniku, gdzie linie znikają na poziomie wzroku. Wszystko w przestrzeni stosuje się do tych zasad. Później staje się to bardziej skomplikowane, ale takie są podstawy.

Podchodzi do studenta siedzącego po mojej lewej stronie. Próbuję sam narysować sześcian, z powodzeniem. Eksperymentuję teraz ze stożkiem i piramidą. Pojawiają się co prawda pewne problemy, ale udaje mi się je rozwiązać.

Pomagając sobie książką, odkrywam, jak wiele mogę narysować, posługując się perspektywą. Zaczynam kreślić najróżniejsze przedmioty. Uczę się rysować pudełka ponad poziomem wzroku, które zdają się unosić w powietrzu czy latać. Sześć arkuszy papieru zapełniam rysunkami w perspektywie.

Pan Hull przechodzi do swego biurka.

— Chciałbym teraz zademonstrować wam w prosty sposób, na czym polega fenomen perspektywy linearnej. Poproszę dwóch ochotników.

Z miejsca podnosi się tylko drobna dziewczyna o orientalnej urodzie. Rozglądam się dookoła i wstaję. Pan Hull zaprasza nas gestem do siebie.

Wręcza dziewczynie dwie linijki i umieszcza je poziomo w jej dłoniach.

— Chciałbym teraz, abyś trzymała te linijki tak, aby jedna wskazywała na stopy, a druga na głowę twojego kolegi. Rozumiesz?

Kiwa głową potakująco.

— A teraz pora na ciebie. — Podchodzi do mnie. — Zaczynaj powoli się od niej odsuwać.

To wszystko robi się bardzo dziwne. Czuję, że kpi sobie z nas. Może rzeczywiście powinienem był wybrać botanikę na przedmiot kierunkowy z dodatkową biologią.

Cofam się, obserwując dziewczynę przez cały czas. W miarę jak się oddalam, coraz bardziej przysuwa do siebie linijki, mrużąc oczy, aby utrzymać linijki w odpowiedniej odległości. Kiedy docieram do okna, linijki znajdują się w odległości zaledwie trzydziestu centymetrów.

— A teraz idź wolno przed siebie.

Ruszam przed siebie, a ona rozsuwa linijki. Kiedy stoję trzydzieści centymetrów przed nią, trzyma je tak daleko, jak tylko może. Uśmiecha się do mnie nieśmiało.

— Zademonstrowaliśmy właśnie oczywisty fakt, którego większość ludzi zdaje się jednak nie zauważać. W miarę jak przedmioty oddalają się od nas, zdają się zmniejszać. Ten prosty, łatwo zauważalny fakt stanowi tajemnicę perspektywy linearnej. Czy wszyscy zrozumieli?

Kilka osób kiwa głową, na kilku twarzach maluje się jedynie znudzenie.

— A teraz idźcie jak najszybciej do sklepu i zaopatrźcie się w potrzebne materiały. Spotkamy się w czwartek o dziewiątej rano. Powodzenia.

Odwraca się na pięcie i wychodzi z sali. Mam ochotę klaskać, ale wszyscy pchają się już do drzwi. Ogarnia mnie poczucie, że całe moje życie eksploduje, rozszerza się, a to dopiero pierwszy dzień zajęć. Wiem też, że będę musiał bardzo ciężko pracować.

Po drugim śniadaniu mam zajęcia z historii sztuki. Wcześniej jednak jadę do Santa Monica, by sprawdzić moje konto. Nie chcę, by zupełnie skończyły mi się pieniądze. Mam już czeki, ale wolę gotówkę, mam ciągle wrażenie, że kradnę, kiedy przychodzi mi za coś płacić czekiem. Wypłacam więc dwadzieścia dolarów gotówką.

Zajęcia z historii sztuki odbywają się w wielkiej sali audytoryjnej ze wznoszącymi się rzędami. Zajmuję miejsce na środku w trzecim rzędzie. Kilkoro studentów siedzi już w sali, inni dopiero się schodzą, nawet wtedy, kiedy zajęcia powinny się już zaczynać. Nauczycielka wchodzi do środka i zasiada na podwyższeniu, jej widok trochę mnie zaskakuje. Jest to pani w nieco bardziej niż średnim wieku, ubrana w powiewną suknię, przewiązaną w pasie szarfą. Jest też stosunkowo pulchna.

Z pewnym trudem udaje jej się uspokoić grupę, aby móc rozpocząć zajęcia. Studentów jest bardzo dużo, wypełniają prawie całą salę wykładową. Wykładowczyni ma wprawdzie mikrofon, ale wygląda na to, że nie potrafi go włączyć. Mikrofon piszczy albo głos brzmi nieprzyjemnie głośno. Nauczycielka pyta nas ciągle, czyją słyszymy. W końcu udaje jej się ustawić mikrofon, otwiera więc teczkę z notatkami.

— Nazywam się Anita Delano. Prowadzę kurs historii sztuki I. Czy wszyscy państwo wybrali właśnie te zajęcia? Jeśli nie, prosiłabym, aby osoby nie zainteresowane wyszły od razu, aby później nie przeszkadzać innym.

Nikt się nie rusza. Ponownie zagląda do swoich notatek.

— Czy wszyscy zakupili już podręcznik do tego kursu, *Sztuka poprzez wieki* Helen Gardner?

Nie czeka na odpowiedź. Kilka osób podnosi do góry ciężką, jasnozieloną książkę. Nie

miałem czasu, by przejrzeć swój egzemplarz. To wspaniałe uczucie, mam na własność zupełnie nową książkę o sztuce. Zaglądam do środka, nie widzę jednak żadnych kolorowych reprodukcji, czeka nas więc „czarno–białe” malarstwo. Pani Delano przegląda swoje notatki.

— W trakcie tego kursu omówimy historię sztuki, poczynając od prehistorycznych malowideł naskalnych w Lascaux do początków europejskiego renesansu. Podczas wykładów będę się posługiwała slajdami, które w większości wykonałam osobiście w czasie moich podróży. Mam nadzieję, że uznacie je za interesujące. Proszę, aby wszyscy notowali to, co mówię, co widzicie na slajdach, i zapoznawali się z tekstem odpowiednich rozdziałów książki. Zamierzam regularnie robić testy.

Rozgląda się po sali, nikt się nie porusza. Kilka osób kiwa głową, jak gdyby zapadali w sen. Ciemna sala, pora zaraz po drugim śniadaniu — to nie jest najlepszy termin na wykład z historii sztuki.

Pani Delano daje znak obsłudze projektora stojącego w tyle sali — Jej suknia wygląda tak, jakby pochodziła z lat dwudziestych. Mogłaby od razu zatrudnić się jako statystka w *Wielkim Gatsbym*.

Naprawdę chcę się nauczyć jak najwięcej o historii sztuki. Książki, które dotychczas przeczytałem, obudziły we mnie zainteresowanie wszystkim, co uczynił przez stulecia człowiek, by przekazać swoje myśli i uczucia ludziom z przyszłych wieków, nawet jeśli mieliby to być jedynie studenci z tej grupy.

Światła gasną, promień białego światła z projektora oświetla ekran za panią Delano. Najpierw kilka falstartów, slajdy ustawione do góry nogami albo zaklinowane w projektorze, ale w końcu wykład się zaczyna. Pierwsze diapozytywy pochodzą z groty w Lascaux. Te zdjęcia są również czarno–białe. Pani Delano opowiada historię chłopców, którzy odnaleźli jaskinię, o tajemnicach i przesądach żywych w tej części Francji. Kiedy chce zmienić slajd, naciska guzik małego pilota trzymanego w dłoni.

To fascynujące, wyobrażam sobie tych ludzi w ciemnościach, jak głęboko w trzewiach ziemi malują, a właściwie rzeźbią wspaniałe byki, konie, a czasami nawet ludzi. Pani Delano szemrze dalej. Wydaje się zainteresowana i podniecona tym, co oglądamy, ale nie potrafi nam tego przekazać. Jej głos brzmi monotonicznie, podnosi się jedynie gwałtownie, kiedy uznaje, że to, o czym mówi, powinno nas ekscytować. Może jednak próbuje jedynie przebudzić niektórych z nas. Znaczna grupa studentów zapadła w poobiednią drzemkę. Prawdopodobnie widzieli już to i słyszeli, dla mnie jednak wszystko jest nowe i podniecające. Postanawiam sobie, że jeszcze dzisiaj wieczorem zabiorę się do czytania tej książki. Słucham pani Delano, ale myślami jestem zupełnie gdzie indziej. Próbuję umieszczać przedmioty w perspektywie.

\* \* \*

Następnego dnia rano idę do sklepiku studenckiego i pokazuję moją listę ładnej ekspedientce z działu przyborów malarskich. Widzę, że kilku z moich kolegów już tu dotarło. Spogląda na listę.

— Kurs pana Hulla?

— Zgadza się. Książkę już kupiłem.

Uśmiecha się, w jej uśmiechu jest coś radosnego. Przechodzi od półki do półki, zbierając potrzebne przedmioty. Zatrzymuje się, spogląda na mnie z tym samym uśmiechem.

— A może jeszcze jedna gumka? Nie robisz żadnych błędów? Czuję, że się rumienię. Od razu poznała, że nie wyglądam na studenta malarstwa. Wcale zresztą się nie czuję jak student.

— No cóż, chyba masz rację, dołóż jeszcze jedną gumkę.

Wyciągam swoją legitymację stwierdzającą, że obejmuje mnie paragraf szesnasty. Tym razem

patrzy mi prosto w oczy.

— Pacyfik?

— Europa.

— Późno cię puścili.

— Leżałem w szpitalu. Musieli trochę popracować, zanim złożyli mnie z powrotem.

— Według mnie całkiem nieźle im wyszło.

— Tak to tylko wygląda.

Rozmawiamy tak sobie, a ona nabija na kasie moje zakupy. Wszystkie te drobiazgi służące do rysowania kosztują w sumie sześćdziesiąt dolarów! Obserwuję ją i bardzo mi się podoba.

— Mam to wszystko zapakować?

— Nie, wystarczy, że włożysz do takiej zielonej wiązanej teczki. Nie muszę daleko chodzić.

Teraz jest dobry moment, żeby coś zrobić, jeśli w ogóle mam taki zamiar. Nie potrafię wprost uwierzyć, jak bardzo czuję się zakłopotany. Zdecydowanie nie jestem już „dawnym ALem”.

— Wybieram się do kantyny na obiad, nie przesłabys się ze mną?

Uśmiecha się i spogląda na zegarek.

— Mam wolne dopiero za godzinę. I mam już chłopaka.

— Czy to znaczy, że jego też powinienem zaprosić?

Nie chciałem, by zabrzmiało to żartobliwie czy jak próba nawiązania flirtu, po prostu był to pierwsze, co przyszło mi do głowy. Chyba „dawny AL” nie całkiem jeszcze umarł.

— Nie, niekoniecznie. Zgoda, jeśli zechcesz poczekać do dwunastej trzydzieści.

Za moimi plecami ustawia się już kolejka.

— Zaczekam.

— Tutaj?

— Zgoda.

Wysuwam się z tłumu. Sklep jest pełen ludzi. Wychodzę na zewnątrz i siadam na ceglanej ławeczce stojącej pod drzewem. Drzę na całym ciele. Co ja najlepszego zrobiłem? Zaprosiłem na obiad pierwszą kobietę, która się do mnie uśmiechnęła. Chyba zbyt długo trzymałem się z dala od prawdziwego życia.

Spoglądam na zegarek, właśnie dochodzi południe. Dzwony na Royce Hall zaczynają bić. Kiedy tak sobie siedzę w słońcu, czekając na dziewczynę, wsłuchując się w melodię dzwonów, czuję się prawie tak, jak gdyby nigdy nie było wojny. Otwieram teczkę i zaczynam przeglądać zabawki, które sobie kupiłem, a raczej które kupił mi Wuj Sam. Mam trzydzieści arkuszy porządnego grubego i bardzo białego papieru. Cały podwójny komplet twardych ołówków od 6H do 2HB i miękkich do 6B zapakowany do małej papierowej torebki. Dostałem też podkładkę do rysunków, mniej więcej sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów, czyli rozmiarów teczki. Do tego trzy różne gumki, w tym ta, którą kupiłem na sugestię dziewczyny. Kilka pisaków i piórko. Biorąc pod uwagę, ile to wszystko kosztowało, nie jest tego wiele, ale sama teczka jest dla mnie wiele warta. O dwunastej trzydzieści ruszam z powrotem w kierunku sklepu. Czuję się teraz jak prawdziwy student malarstwa z zieloną teczką wetkniętą pod pachę.

Kiedy przeciskam się w końcu przez tłum do kontuaru, dziewczyna macha w moją stronę ręką i sprawdza godzinę, a potem kobiecie, którą właśnie obsługuje, podaje plakatówki. Zdejmuje fartuszek i wychodzi zza kontuaru.

— Naprawdę przyszedłeś. Myślałam, że tylko żartowałeś.

— Ja nigdy nie żartuję.

— No właśnie, znowu żartujesz!

Milknę. Rozmowa utkwiała w martwym punkcie. Oboje wybuchamy śmiechem. Dziewczyna staje obok mnie. Kiedy była za kontuarem, nie zauważyłem, że jest tak dobrze zbudowana. Rusza

tak szybkim krokiem, że ledwo mogę ją dogonić, a ona nawet nie oddycha szybciej.

— Zjedźmy coś w kantine, tam jest tanio, a ja muszę wrócić do pracy za godzinę. Normalnie mamy tylko pół godziny przerwy, ale Shirley obiecała, że zostanie za mnie.

Wchodzimy do Kirchoff Hall. Sporo tu ludzi. Decydujemy się na kanapkę z tuńczykiem i colę. Kupuję do tego paczkę chipsów. Znajdujemy wolny stolik przy oknie wychodzącym na zakarandy. Odnoszę tace na stojak. Rozwijamy papierowe serwetki. Ma duże, ładne dłonie.

— Dlaczego postanowiłeś studiować malarstwo?

Milczę przez minutę, po prostu nie wiem, co powinienem powiedzieć. Być może w ogóle nie znam odpowiedzi na to pytanie.

— O to samo pytał mnie doradca weteranów. Chciał, żebymostał lekarzem, prawnikiem albo przynajmniej biologiem. Wydaje mi się, że odpowiedź jest stosunkowo prosta, tego właśnie chcę. Lubię rysować.

— Lekarze, prawnicy czy nawet biolodzy zarabiają o wiele więcej niż malarze. Chyba o tym wiesz?

— Niewiele się nad tym zastanawiałem, ale pewnie masz rację.

Teraz dopiero dociera do mnie, że to prawda, nigdy nie zastanawiałem się nad finansową stroną mojej decyzji. Podchodzi do tego tak samo jak tato i doktor Wiley. Chciałbym jednak żebyśmy przestali rozmawiać o mnie. Próbuję dowiedzieć się czegoś o niej.

— Studiujesz tutaj? Na jakim wydziale?

— Tak. — Odgryza kęs kanapki. — Studiuję wychowanie fizyczne. Pływam i gram w piłkę ręczną. Michael, mój chłopak, gra w obronie w drużynie piłki nożnej. Jest w drugiej drużynie uniwersyteckiej, a studiuje dopiero na drugim roku. Razem chodzimy na wszystkie zawody, kiedy któryś z nas bierze udział. Pewnie jestem dla ciebie „sportówką”.

Nigdy nie słyszałem słowa „sportówką”, pewnie ma to być rodzaj żeński od „sportowca”. A może to nowe słowo? Widzę, że naprawdę będę się musiał jeszcze wiele nauczyć. Czasami czuję się jak Rip Van Winkle, który powraca po dwudziestu latach, choć przecież w moim przypadku minęły tylko dwa. Ale wyprawa, którą odbyłem, byłaby pewnie warta i dwudziestu.

Dziwne, ale większa część moich wspomnień dotyczy albo wojny, albo czasów, kiedy próbowałem zostać Ptaśkiem i zapomnieć o wojnie. Niewiele mam wspomnień osobistych. Nie pomogło mi też, że Mario i rodzice przenieśli się do Kalifornii, kiedy byłem z dala od domu. Czuję się bardzo samotny. Na ogół mi się to podoba, ale teraz chcę do czegoś należeć. Otwieram paczkę chipsów i kładę ją na stole.

— Lubisz grać w piłkę i pływać? Kiwa głową, żując kanapkę.

— A co lubisz bardziej?

— Pływanie, w tym jestem lepsza. Mam silne ramiona, moja specjalność to motylek. Czasami czuję się, jakbym naprawdę latała, zwłaszcza kiedy uda mi się wyrzut i unoszę się nad Powierzchnię wody. Umiesz pływać?

— Niespecjalnie, tylko na tyle, żeby nie utopić się w wannie.

— No nie, powiedz prawdę, umiesz pływać?

— Chyba tak. Najbardziej lubię wypływać poza zasięg łamiących się bałwanów i pływać wśród fal.

— Nienawidzę pływać w oceanie. Fale psują mi rytm.

Przypomina mi się Ptasiek, który twierdził, że pływanie jest najbliższą lataniu czynnością. Pływał pod wodą, aż mu prawie płuca pękały. Wciąż wydaje mi się bardziej rzeczywisty od większości ludzi. Może teraz sprawiłoby mi przyjemność pływanie pod wodą z otwartymi oczami. Pewnie poczułbym się jak motyl. Czy mogę opowiedzieć jej o motylach? Nie, uznałaby mnie za wariata, a na to nie mogę sobie pozwolić.

Kiedy tak sobie rozmyślam, do naszego stolika podchodzi potężnie zbudowany facet. Staje tak blisko, że przysuwa stół do ściany. Twarz dziewczyny rozjaśnia uśmiech. Ociera usta papierową serwetką.

— Michael, chciałabym, żebyś poznał.... Wiesz, wciąż jeszcze nie wiem, jak masz na imię.

— AL, mów mi po prostu AL.

— AL studiuje malarstwo. Przyszedł do sklepu, żeby kupić przybory na zajęcia starego Hulla. Studiuje w ramach paragrafu szesnastego. AL, to jest Michael, mój chłopak, o którym ci opowiadałam.

— Tak, miło cię poznać, AL.

Wyciąga do mnie rękę na powitanie. Już widzę, co się święci. Dawny AL byłby zachwycony taką okazją. Ścisnął gumowe piłeczki, by mieć jak najsilniejsze dłonie, a jego ulubionym sportem było miażdżenie dłoni takich właśnie nadętych mięśniaków.

Udaje mi się wytrzymać jego uścisk. Trwa to odrobinę dłużej, niż powinno, ale nieźle mi poszło, dłonie ma wprawdzie duże, ale wcale nie aż tak silne. Dawny AL jest zadowolony z siebie. Wielki mięśniak inaczej teraz na mnie patrzy.

— Malarstwo, co? Jaki sport uprawiasz?

— Żadnego. Jestem weteranem, nie muszę zaliczać wuefu.

— Szkoda. Viv, mam zajęcia o drugiej, ale czy mogłabyś spotkać się ze mną na bieżni, przebiegliibyśmy się. Czuję, że tracę formę. To jak, zobaczymy się na boisku?

Rusza, a właściwie toczy się przez kantinę. Viv patrzy na zegarek.

— Mam jeszcze tylko parę minut, AL. Nie chciałabym nadużywać uprzejmości Shirley, jest dla mnie taka miła. Powiedz, AL czym się interesujesz oprócz malarstwa? Co robisz dla zabawy, skoro nie uprawiasz żadnego sportu?

Dojada swoją kanapkę z tuńczykiem, kropla majonezu spływa jej po dłoni.

— Pewnie mi nie uwierzysz, Viv, ale mamy to samo hobby.

— Wydawało mi się, że mówiłeś, że nie lubisz pływać. Na koszykówkę jesteś za niski. Więc jakie to hobby?

— Motyle. Lubię motyle, to moja wielka pasja.

— Motyle? Pasja? Kurczę, zabrzmiało trochę dziwnie. Uganiasz się za nimi, a potem przypinasz je szpilkami w gablotce? Jeden z moich wujków się tym zajmował. Niektóre z jego okazów były naprawdę śliczne.

— Nie. Ja je tylko obserwuję. Czytam o nich, uczę się i obserwuję. Ich cykl życiowy to jedna z najciekawszych rzeczy, o jakich w życiu słyszałem. Wiesz coś o metamorfozie?

— Tak, uczyliśmy się o tym na angielskim. To znaczy, że mówisz o czymś, że jest do czegoś innego podobne. Na przykład ona pływa jak ryba, coś takiego.

— Nie, metamorfoza to coś, co dzieje się z motylami. Najpierw są jajeczka, przemieniają się one w gąsienice, które potem owijają się w kokony, a kiedy z nich wychodzą, przechodzą metamorfozę. Zmieniają się w motyle. Tak po prostu. To prawdziwa magia.

Spogląda na mnie po raz ostatni i podnosi się od stołu. Wydaje mi się, że wystraszyło ją słowo „magia”.

— AL, powinnam już wracać do sklepu. Bardzo miło mi się z tobą rozmawiało, dziękuję za obiad.

I już jej nie ma. Zostaję ze swoją kanapką z tuńczykiem i chipsami. Kończę jeść, popijając colą.

O drugiej udaję się do budynku chemii na zajęcia z biologii. Po drodze idę jeszcze po książkę do biologii, którą zostawiłem w jeepie razem z notatnikiem kupionym w sklepiku studenckim. Biegnę przez kampus, żeby się nie spóźnić. Budynki stoją w sporej odległości od siebie, a od

parkingu dzieli je kawałek drogi.

Dzwonek rozlega się właśnie, kiedy zajmuję swoje miejsce. W sali wciąż unosi się woń chemikaliów. Domyślam się, że będzie jeszcze gorzej, kiedy będziemy dzielić tę salę ze studentami chemii. Pan Kehl siedzi już za biurkiem. Wcale nie wygląda na nauczyciela biologii.

Odzywa się, nie podnosząc wzroku, jak gdyby mówił sam do siebie. Ma bladą twarz, rzadkie włosy i ostre rysy. Do tego cienkie wargi i okulary, które zdają się powiększać jego oczy. Mam nadzieję, że okaże się dobrym wykładowcą, bo już go nie lubię. W sali jest zaledwie siedem osób. Na pewno jest jeszcze jakiś inny wykładowca biologii, do którego chodzą ci studenci, którzy mieli czas zorientować się w sytuacji.

Pan Kehl chrząka i zaczyna mówić.

— Na początek chciałbym powiedzieć, że nie jestem wcale wykładowcą biologii. Jestem chemikiem, w tej sali zwykle wykładam. Najwyraźniej władze uniwersytetu nie zdołały znaleźć wykładowcy biologii, który odpowiadałby ich wymaganiom, zostałem więc wybrany na to stanowisko. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. Osobiście uważam, że biologia nie jest prawdziwą nauką, bliższa jest raczej anatomii czy wychowaniu fizycznemu niż nauce w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Nie podejrzewam, by choć jeden nauczyciel biologii czy botaniki znał tablicę Mendelejewa. — Unosi się z krzesła. Garbi się nieco, nie ma może prawdziwego garbu, jedynie kłopoty z postawą, pewnie od ciągłego pochylania się nad probówkami. Odwraca się i staje twarzą do sali. — Postarałem się ułożyć listę tego, co będzie wam potrzebne na zajęcia z biologii. Jeśli o czymś zapomniałem, proszę powiedzieć.

Odwraca się i zaczyna pisać żółtą kredą na zielonej tablicy. Jego lista stanowczo pasuje bardziej do kursu chemii niż biologii. Wszyscy przepisujemy ją tak samo szybko, jak on pisze. Nikt się nie skarży. Pismo wykładowcy jest prawie nieczytelne, spiczaste litery stawiane blisko siebie, każdy wyraz kończy się nieczytelnym mazajem. Są na liście zlewki, próbówki, pipety, retorty, typowe pomoce chemika. Przerywa pisanie.

— Nie mamy tu dosyć mikroskopów, by prowadzić prawdziwe obserwacje. Zaledwie cztery. Jeśli ktoś z państwa ma własny mikroskop, proszę go przynieść. Jeśli rząd płaci za wasze studia, spróbujcie go przekonać, żeby kupił jeszcze jakiś niedrogi sprzęt.

Zaczyna dyszeć, choć tylko stanął, wyprostował się i napisał kilka słów na tablicy. Ciągle strzepuje kredowy pył z klap marynarki.

— Będę wykladał głównie z podręcznika. Wykonamy kilka drobnych eksperymentów, ale przede wszystkim będziecie musieli wiele czytać, ja zaś będę przeprowadzać cotygodniowe sprawdziany dotyczące zadanej lektury.

Całą niewielką grupę przebiega stłumiony jęk. Rozglądam się dookoła i przekonuję, że w grupie są wyłącznie mężczyźni. Podejrzewam, że nie ma wśród nas nikogo, dla kogo biologia byłaby przedmiotem kierunkowym. Prawdziwej biologii uczą gdzie indziej, a ja będę musiał się zaraz dowiedzieć, gdzie to jest. Podczas pierwszego tygodnia można zmieniać kursy i to właśnie zamierzam zrobić.

— Dzisiaj nie mam wam już nic więcej do powiedzenia. Następne zajęcia odbędą się w czwartek o drugiej. Oczekuję, że przyniesiecie wymagane przeze mnie pomoce. Czy są jakieś pytania albo sugestie?

Odpowiedzią jest cisza. Podejrzewam, że wszyscy jesteśmy w szoku.

— Lektura na pierwsze zajęcia to rozdział pierwszy z Rogersa i Corneta. Omówimy go, a później zrobimy pierwszy test. Każdy, kto opuści trzy zajęcia, nie dostanie mojego zaliczenia. Koniec zajęć.

Wychodzi z sali, a my siedzimy oszołomieni. Spoglądamy na siebie nawzajem. Drobny chłopak o wyglądzie naukowca odzywa się pierwszy.

— Mój Boże, to katastrofa. Co można zrobić?

Drugi, elegancko ubrany w jasnoniebieski sweter od Bruma i koszulę z krawatem, podnosi się zza biurka.

— Skreślam te zajęcia i idę zająrzeć do spisu. Do niczego mi to niepotrzebne.

I wychodzi z sali. Na zewnątrz podchodzę do niego. Przegląda spis zajęć, którego nigdy wcześniej nie widziałem, nie wiedziałem nawet, że coś takiego istnieje. Szukamy pod punktem biologia I. Mamy do wyboru aż pięć różnych kursów. Jeden, który wydaje się najbardziej interesujący, odbywa się we wtorki, czwartki i soboty o ósmej rano w budynku Franz Hall, raju dla ludzi, którzy nie znają tablicy Mendelejewa. Zapisuję sobie numer sali, postanawiam przejść się tam i zobaczyć, jak wygląda to miejsce.

\* \* \*

To prawdziwa pracownia biologiczna z odpowiednimi stołami i sprzętem. Są tu różne zwierzęta, rośliny, czuć świnkami morskimi, szczurami i myszami. W sali jest tylko jedna osoba. Mężczyzna ogląda coś pod mikroskopem stojącym na stole z przodu sali. Podchodzę do niego, po chwili podnosi się i uśmiecha do mnie.

— Chcesz zobaczyć komórki, które właśnie zabarwiłem?

Odsuwa się, a ja pochylam się i zaglądam w okular. Poprawiam nieco lusterko. Widzę komórki zabarwione na jasnoczerwono. To zupełnie inny świat. Podnoszę wzrok i też się uśmiecham.

— Proszę pana, czy mógłbym się zapisać na pańskie zajęcia na ósmą rano?

— Pewnie jesteś jednym ze studentów byłych żołnierzy. Nikt oprócz was nie zwraca się do mnie „proszę pana”. Program kursu jest bardzo obszerny, tak że nie ma mowy o opuszczaniu zajęć w soboty. Tylko dlatego mam jeszcze dwa wolne miejsca. Większość studentów należących do bractw nie chce przegapić meczów.

— Byłbym bardzo wdzięczny, gdybym mógł chodzić na te zajęcia. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż przychodzenie do tej sali w sobotnie poranki, zwłaszcza w czasie sezonu futbolowego.

Wiem, że mi nie wierzy, ale taka jest prawda. Nie planuję udziału w weekendowych przyjęciach ani chodzenia na mecze. Tego miałem aż nadto. Ten facet wygląda na dobrego, spokojnego człowieka, który naprawdę interesuje się biologią. Chciałbym bardzo porozmawiać z nim o motylach, ale mogę z tym poczekać, aż zapiszę się na jego zajęcia.

— Co muszę zrobić, żeby zrezygnować z jednych zajęć i zapisać się na inne?

— Tam, przy drzwiach, znajdziesz formularze. Zapisz, z których zajęć rezygnujesz, i dopisz moje. Ta sala ma numer 11, a nazywam się doktor Marcus. Lepiej się pośpiesz i zanieś papier od razu do administracji. Domyślam się, że chcesz zrezygnować z zajęć Kehla. Nie mam ci tego za złe, to po prostu nie jego dziedzina, a wydział chemii stara się tylko go ukarać, zmuszając go do wykładania biologii. Ale niech to zostanie między nami, dobrze?

— Tak jest, proszę pana.

Znajduję formularz i wypełniam go. Dziękuję Marcusowi z całego serca i biegnę przez kampus do budynku administracji. Znajduję odpowiednie okienko i składam w nim swój formularz. Panienska przegląda rozkład zajęć.

— Jesteś ostatni. Powodzenia. Przyjdź jutro na zajęcia. Powiem doktorowi Marcusowi, że może się spodziewać jeszcze jednego studenta.

— Już z nim rozmawiałem.

— To dobrze. Dobry z niego nauczyciel, może nie ma takich osiągnięć badawczych jak inni,



ale kocha swoją pracę i dobrzy studenci naprawdę go lubią.

Wychodzę. Czuję się teraz o wiele lepiej. Czekają mnie zajęcia z perspektywy w poniedziałki, środy i piątki o ósmej i biologia we wtorki, czwartki i soboty o tej samej porze. Stanowczo nie będę się wysypiał do południa. Muszę tylko ustalić terminy zajęć z botaniki, a później teoria koloru, no i historia sztuki.

Zachodzę znowu do studenckiego sklepiku i kupuję plan zajęć. Dostrzegam Viv i machamy do siebie na powitanie. Książkę do biologii już mam, a nie zamierzam kupować pomocy chemicznych. Poczekam do czwartku. Zaglądam do planu zajęć, nic się nie nakłada, nadał mogę chodzić na wszystkie pozostałe zajęcia, na które zapisałem się pierwszego dnia. Wygląda na to, że albo sytuacja się poprawia, albo ja zaczynam się już we wszystkim orientować.

Naprawdę cieszę się, że zapisałem się na te zajęcia z biologu. Czuję, że właśnie one, bardziej nawet niż perspektywa, pomogą mi stać się prawdziwym malarzem. Chciałbym już teraz znaleźć chwilę, by przejrzeć podręcznik pełen barwnych ilustracji.

Zajęcia z botaniki odbywają się w tym samym budynku co biologia. Budynek nazywa się Franz Hall, wyklada się tu, jak zauważyłem, głównie psychologię. Może powinienem później zajrzeć na takie zajęcia. Wykładowcy mogliby się pewnie wiele ode mnie nauczyć. W ciągu kilku ostatnich lat stałem się ekspertem od szaleństwa.

Znajduję salę do botaniki w tej samej części budynku co pracownia biologiczna, ale piętro wyżej. Pusto; albo poprzednia grupa skończyła wcześniej zajęcia i poszła kupować sprzęt, albo przyszedłem o wiele za wcześnie. Jest za dziesięć trzecia, a zajęcia powinny się zaczynać o trzeciej. Zajmuję miejsce za jednym ze stołów ustawionych wzdłuż ścian. Przypominają te z laboratorium chemicznego, ale w powietrzu nie unosi się zapach chemikaliów. Wychodzące na południe okna pełne są roślin, niektóre tkwią pod szklanymi kloszami. Układam swoje sprzęty malarskie na sąsiednim krześle i przechadzam się po sali. Pod oknami rośnie wprost miniaturowa dżungla, składa się na nią całe mnóstwo przeróżnych roślin, jakich nigdy wcześniej nie widziałem. Kilka jednak rozpoznałem. Tak wiele muszę się jeszcze nauczyć, dowiedzieć, ale naprawdę tego chcę. Jak można być dobrym artystą, jeśli nie ma się prawdziwego kontaktu z przyrodą?

Zza pleców dobiegają mnie jakieś głosy, odwracam się i widzę trzy młode kobiety i mężczyznę. Wygląda na to, że już się znają, przynajmniej rozmawiają ze sobą. Jedna z kobiet, wysoka i szczupła, zwraca się do mnie:

— Czy tutaj odbywają się zajęcia z botaniki I A?

— O ile wiem, tak, tak jest napisane na planie wiszącym na drzwiach.

— Dzięki. Nie jest pan chyba wykładowcą?

Wiem, że wyglądam starzej niż ci młodzi studenci, ale chyba nie aż tak staro. Do diaska, przecież mam tylko dwadzieścia dwa lata, ale to dopiero nastolatki.

— Nie, ja też jestem studentem, po prostu przyszedłem trochę wcześniej. Siadajcie, firma stawia. Myślę, że nauczyciel pojawi się tu za parę minut:

Gadają jeszcze przez chwilę, a potem siadają w grupce z tyłu sali. Wchodzi jeszcze czterech czy pięciu studentów, a po nich wykładowca. Nie mamy żadnych wątpliwości, że to on. Ma na sobie garnitur, białą koszulę i krawat, około czterdziestki. Wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać profesor uniwersytecki.

Przechodzi na przód sali, otwiera teczkę, wyjmuje z niej jakieś dokumenty i siada. Dzwonek już zadzwonił, ale kilku studentów pojawia się jeszcze w drzwiach. Na tych zajęciach będzie komplet, może nawet trzydziestu studentów. Wykładowca odwraca się do nas plecami, bierze do ręki kawałek żółtej kredy i pisze na tablicy: „Doktor Morrison”, a potem odkłada kredę na półeczkę. Uśmiecha się do grupy i machnięciem dłoni wskazuje na tablicę za swoimi plecami.

— Gdybyście tego jeszcze nie wiedzieli, tak właśnie się nazywam. Możecie zwracać się do mnie: panie Morrison, ale zasłużyłem sobie na tytuł doktora ciężką pracą i cenię go sobie, mam nadzieję, że wy też. — Rozgląda się po sali, kilka studentek wyjęło już notatniki i pióra. — Nasze zajęcia będą, przez wzgląd na charakter przedmiotu i mój własny, nieformalne. Dzisiaj prawdopodobnie po raz ostatni oglądacie mnie w garniturze. Mieliśmy oficjalny obiad na wydziale nauk ścisłych i ubrałem się tak na tę okazję.

Sięga do węzła swego krawata, rozluźnia go, a potem zdejmuje. Rozpina marynarkę, zdejmuje ją i wieszka na oparciu krzesła.

— Najpierw chciałbym się dowiedzieć, czego wy chcecie się nauczyć na kursie botaniki.

Milknie. Nikt się nie odzywa. Podnoszę do góry rękę. Co u diabła mogę stracić, taka okazja zdarza się raz na całe życie.

— Chciałbym poznać różne kwiaty i krzewy, które wabią do siebie różne gatunki motyli.

W grupie rozlega się chichot. Wykładowca przygląda mi się uważnie.

— Jesteś zbieraczem motyli?

— Nie, proszę pana, to znaczy, doktorze Morrison. Ja je tylko obserwuję.

Mówię poważnie, ale w klasie rozlega się jeszcze głośniejszy chichot, już prawie śmiech.

— Myślę, że będziemy mogli ci pomóc, ale nie będzie to główny temat naszych zajęć. Oczywiście, przeprowadzimy zajęcia o temat budowy kwiatów i sposobów rozmnażania roślin, ale moja specjalność to oznaczanie roślin. Mam nadzieję, że przed końcem tego kursu każdy z was będzie w stanie oznaczyć co najmniej sto roślin i kwiatów.

Milknie ponownie. Grupa jest teraz bardzo cicha.

— Mam ogromne szczęście, ponieważ w naszym kampusie mieści się najlepszy ogród botaniczny w Kalifornii. Dlatego właśnie tutaj pracuję, zamierzam z niego korzystać w czasie naszych zajęć. Myślę, że wszystkim się to spodoba, kiedy dowiecie się czegoś więcej o roślinach.

Wydaje mi się to całkiem interesujące. Przypomina perspektywę. Nauczę się czegoś, z czego będę naprawdę mógł korzystać. Będę mógł lepiej malować moje kwiaty, trawy, liście i wszystko, co sprawia mi radość.

— Najpierw jednak zamierzam podać listę podstawowych pomocy, które powinniście mieć. Niektóre z nich to sprzęty domowe, które z łatwością znajdziecie u siebie, niektóre będziecie zmuszeni kupić w studenckim sklepiku, a jeszcze inne w specjalistycznym sklepie. Czy ktoś z was ma może mikroskop albo silne szkło powiększające?

Tylko ja podnoszę rękę do góry.

— Czy korzystasz z niego do mocowania swoich okazów?

— Nie, proszę pana, to jest doktorze Morrison, obserwuję przez nie tylko szczegóły budowy motyli.

Uśmiecha się i kiwa głową. Wszyscy są teraz nieco bardziej odprężeni. Odwraca się i na zielonej tablicy zaczyna wypisywać listę. Przepisujemy ją do swoich notatników. Zapada cisza, przerywana jedynie skrzypieniem kredy na tablicy, zwłaszcza kiedy doktor Morrison zaczyna pisać kolejne słowo. Wreszcie kończy i strzepuje kredę z palców.

— Mogłem skopiować tę listę na powielaczu, co oszczędziłoby nam wszystkim wiele pracy, ale nie zrobiłem tak z trzech powodów. — Ponownie milknie i uśmiecha się. — Po pierwsze, przekonałem się z własnego gorzkiego doświadczenia, że około połowy kopii, które rozdają, ginie albo ląduje w koszach na śmieci, co bardzo źle wpływa na moje ego. Drugi powód jest taki, że niezależnie od tego, jak bardzo się staram, obsługując powielacz, zawsze plamię sobie dłonie na czarno i niebiesko.

Grupa reaguje dość żywo na ten żart.

— Po trzecie i najważniejsze, przekonałem się, że studenci lepiej zapamiętują to, co sami

zapisali, niż to, co jedynie usłyszeli albo zobaczyli na kawałku papieru. — Spogląda na zegarek a potem przenosi wzrok na grupę. — Spodziewam się, że wszyscy macie już podręcznik, który będzie nam potrzebny na następne zajęcia. Sprawdziłem, w sklepiku studenckim znaj — dziecię zarówno nowe, jak i używane egzemplarze. Co tydzień będę przeprowadzał testy, aby przekonać się, jaki dobry ze mnie nauczyciel i jacy dobrzy z was studenci. — Po tych słowach zdejmuje marynarkę z oparcia, zakłada krawat i kłania się nam lekko. — Do zobaczenia w piątek o tej samej porze.

Po tych słowach wychodzi, wszyscy zbieramy swoje rzeczy, a ja porównuję jeszcze swoją listę z tablicą. Mój charakter pisma jest mało czytelny, na wszelki wypadek nanoszę więc kilka poprawek. Wychodzę z sali na końcu. Moje ostatnie dzisiejsze zajęcia to teoria koloru, ale to dopiero między czwartą a piątą. Zostało mi dosyć czasu, by zrobić zakupy w sklepiku. Mam nadzieję, że spotkam tam Viv.

Nie ma jej jednak w sklepie. Obsługuje mnie wysoki chłopak. Podaję mu swoją listę. Spogląda na nią i uśmiecha się.

— Botanika u doktora Morrisona, zgadza się? Kiwam głową.

— To najlepsze zajęcia, jakie miałem w tej szkole. Kiedy skończyłem jego kurs, chciałem robić botanikę jako przedmiot kierunkowy. Moi rodzice się wściekli. Przygotowuję się do studiowania medycyny, a oni postanowili sobie już, że będą mieli w rodzinie lekarza. Ale ja nadal chciałbym zostać botanikiem. Tak to czasem bywa.

Zaczyna wybierać potrzebne sprzęty. Jest tego całkiem sporo, pakuje je więc do średnich rozmiarów kartonu. Kiedy już kończy, pokazuję mu legitymację i podpisuję rachunek z numerem. I to już wszystko. Zupełnie mnie tu rozpieszcza.

Patrzę na zegarek, już prawie czas na moje zajęcia z teorii koloru, które odbywają się w sali 136 w Moore Hall. Biorę pod pachę karton i ruszam po stoku wzgórza na zajęcia. W sali siedzi już parę osób, głównie kobiet. Siadam przy stoliku z tyłu sali.

Z przodu siedzi piękna dojrzała kobieta, ma może trzydzieści pięć lat. Jest nieskazitelnie ubrana, co więcej, z doskonałym smakiem. Przyglądam się jej uważnie. To cudowny widok dla mężczyzny, który aż nazbyt długo oglądał pielęgniarki w mundurach czy nastoletnie koleżanki ze szkoły. Ma włosy ułożone odpowiednio do kształtu twarzy, makijaż dobrany akurat, nie za dużo cienia do powiek, odrobina różu, żadnego pudru i jasna szminka. Siedzi za biurkiem i czyta, podnosząc wzrok za każdym razem, kiedy do sali wchodzi następny student.

Kiedy rozlega się dzwonek, staje przed nami z uśmiechem.

— Nazywam się Marjorie Baker, nasze zajęcia to teoria koloru. Mam nadzieję, że wszyscy jesteście we właściwym miejscu. Zakładam, że większość spośród was stanowią studenci malarstwa.

Przerywa i podchodzi do biurka. Siada na jego krawędzi, zakłada nogę na nogę z szelestem jedwabnych pończoch. Jeśli chodzi o mnie, na pewno jestem we właściwym miejscu. Prawie całkiem już zapomniałem, jak piękne potrafią być kobiety.

— Na naszych zajęciach będziemy się zajmować barwami. Omówimy barwy dopełniające i inne. Będziemy też mówić o wzajemnych związkach między barwami i o tym, jak można je wykorzystywać, aby uzyskać maksymalny efekt. Jestem pewna, że wszyscy skorzystacie z tych zajęć, niezależnie od tego, czy chcecie zostać malarzami albo dekoratorami, czy też zamierzacie projektować ubrania lub kostiumy dla teatrów. — Spogląda na nas i ponownie się uśmiecha. — Ostrzegam was, że jestem bardzo wymagająca. Oczekuję, że będziecie pracowali na pełnych obrotach, aby otrzymać moje zaliczenie i swoje dwa punkty. Wymagam regularnej obecności na zajęciach.

Wiem już, że ręce sobie urobię dla takiej kobiety. Pani Baker nie zdaje sobie pewnie sprawy z

tego, jak bardzo głodny jestem widoku kogoś takiego jak ona.

Odwraca się i podnosi plik kartek z biurka.

— Przygotowałam dla was listę materiałów, które będą potrzebne na te zajęcia. Będziemy używali farb plakatowych, gwaszy, tempery, kolorowego tuszu i kredek. Jeśli się pospieszycie, sklepik studencki powinien być jeszcze otwarty. Przy wyjściu będę rozdawała listy. Oczekuję was w środę gotowych do pracy.

Staje przy drzwiach i wręcza nam kolejno kartki papieru. Znajduję się na końcu sali, ale szybko przeciskam się do drzwi. Podaje mi kartkę, kiedy przemykam tuż obok niej.

Biegnę z Moore Hall do sklepiku. Staję drugi w kolejce, drobna Japoneczka, która siedziała z przodu sali, dotarła na miejsce przede mną. Uśmiechamy się do siebie.

Tym razem obsługuje nas śliczna, błękitnooka dziewczyna. Za nami już ustawia się kolejka. Do kontuaru podchodzi więc drugi ekspedient, który bierze ode mnie listę. Zaczyna zbierać z półek farby, pędzle, małe naczynia, słoiczki i napełnia nimi kolejny karton. Kupiłem dzisiaj dwa pełne kartony różnych pomocy. Kupiłem też następny zestaw do rysunków. Armia w końcu zbankrutuje, ale ja jakoś to zniosę.

Pokazuję swoją legitymację, on wypisuje mój numer, a ja podpisuję rachunek. Udaje mi się jakoś umieścić karton pod pachą, w drugiej ręce mam już teczkę. Naprawdę mi ciężko, ale nie zamierzam się skarżyć. Docieram do Motyla, nie upuściwszy niczego. Układam zakupy z tyłu wozu, siadam za kierownicą i przez chwilę próbuję złapać dech. Spociłem się jak świnia. Będę musiał popracować nad kondycją.

Parkuję jeepa za sklepem. Otwieram drzwi, ale Alice już nie ma. Wpół do szóstej, pewnie poszła do domu. Wypakowuję się i próbuję porozkładać nowe sprzęty i książki, tak żeby mi nie przeszkadzały, a jednocześnie były łatwo dostępne. Dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo jestem głodny — kanapka z tuńczykiem i chipsy nie starczyły na długo.

Myję się, zmieniam koszulę i jadę do meksykańskiej restauracji. Wiem już, że smakuje mi tamtejsze jedzenie, a to chyba najtańsze miejsce, jakie znalazłem. Mam szczęście, bo znowu udaje mi się zaparkować Motyla przed samym wejściem. Wyjmuję palec rozdzielacza, tak samo robię na parkingu na uczelni, dla pewności. Przekonałem się, że w Kalifornii naprawdę niełatwo jest poruszać się bez samochodu. Jedyne środki transportu publicznego, jakie zauważyłem, to autobus z Santa Monica, który jedzie do UCLA, i tramwaj kursujący Venice Boulevard.

W restauracji jest tłoczno. Facet, z którym rozmawiałem poprzednim razem, jest dzisiaj w pracy. Macham do niego. Biega z talerzami tak gorącymi, że musi je trzymać przez ręcznik — Dostaję mój „zestaw” w niecałe pięć minut. Muszę jeść powoli, bo potrawy nie tylko są gorące, ale także bardzo pikantne. Kończę, płacę i wracam do sklepu. Chcę jeszcze trochę popracować.

Siadam i czytam pierwszy rozdział książki o historii sztuki Helen Gardner. Podkreślam ważne fragmenty. Ogarnia mnie poczucie winy, że niszczę nową książkę, ale chcę dobrze zapamiętać ustępy, które szczególnie mnie ciekawią.

Po zakończeniu lektury zabieram się do ćwiczenia rysowania w perspektywie. Wspaniale jest pracować, kiedy ma się do dyspozycji wszystkie potrzebne materiały. Rysuję kilka pudełek, które porozstawiałem po pokoju. Trzy z nich ustawiam na stole, frontem ku sobie. Sięgam po książkę pana Hulla. Jako blat służy mi teczka oparta o stolik do kawy, na której kładę kartkę papieru. Jestem trochę zdenerwowany, ale bardziej jeszcze podekscytowany. Na to właśnie czekałem.

Najpierw rysuję przednie ściany wszystkich pudełek. Później kreślę w poprzek kartki kreskę, którą pan Hull nazywał poziomem wzroku. Na jej końcach umieszczam kropki — punkty zaniku. Mam linijkę, którą kupiłem zgodnie z listą pana Hulla. Rysuję odpowiednie kreski, ale po chwili muszę zajrzeć do książki, by się dowiedzieć, co mam dalej robić. Perspektywa wciąż jest dla mnie wielką tajemnicą. Jednak rysuję dalej zgodnie z książką i na rysunku coś zaczyna się

wyłaniać. Proszę, wygląda zupełnie jak w rzeczywistości.

Próbuję przesuwac kartony po stole i rysować je na nowo. Później, zgodnie z instrukcjami z książki, obniżam poziom wzroku. Tym razem kartony na moim rysunku wyglądają, jak gdyby uniosły się w powietrze, a ja widziałbym ich spody. To naprawdę zadziwiające!

Cztery godziny zajmuje mi rysowanie pudełek, czasami otwieram wieczka, tak bym mógł rysować także wewnątrz. Wykorzystuję pudełka o różnych rozmiarach i kształtach. W końcu nie są mi już wcale potrzebne.

Z książki dowiaduję się także o perspektywie punktowej. Próbuję rysować z jednym punktem zaniku, ale bez powodzenia. W końcu, znowu z pomocą książki, pojmuję, o co chodzi.

W rozdziale o perspektywie punktowej jest ilustracja przedstawiająca stację kolejową i tory. Wszystko narysowane w perspektywie punktowej. Odkrywam, że w tej perspektywie wszystkie linie poziome pozostają poziome, nie zbiegają się do punktu zaniku. Po wielu błędach i długim mazaniu miękką, kwadratową gumką, którą kupiłem wraz z innymi materiałami i w końcu udaje mi się skopiować rysunek z książki. Nie muszę korzystać z wyobraźni, stosuję się wyłącznie do prostych zasad perspektywy. Jestem dumny ze swojego rysunku, próbuję nawet uczynić go bardziej rzeczywistym, dodając cienie rzucane przez ściany. Do tego też będzie mi potrzebna pomoc. Na przykład, czym różni się cień od półcienia? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Jednak czegoś się uczę. Zastanawiam się tylko, czy pomoże mi to rysować motyle.

Dorysowuję więc trzy motyle przelatujące nad stacją kolejową — Nie wiem, czy narysowałem je zgodnie z zasadami perspektywy, jeden wydaje się wielki jak sokół. Odkrywam, że motyle znajdujące się blisko są większe niż te, które znajdują się daleko. Zaskakujące, jak ten prosty pomysł sprawia, że papier zdaje się mieć dodatkowy wymiar.

Jest już późno i kiedy odstawiam pudełka na miejsce, jestem zmęczony. Pakuję sprzęty, przypinam rysunki i padam na łóżko. Nigdy nie sądziłem, że rysowanie może mnie tak bardzo zmęczyć.

## ROZDZIAŁ VIII

Następnego ranka, o dziewiątej, mam zajęcia z angielskiego w Royce Hall. Znowu zjawiam się pierwszy, zajmuję miejsce w środku trzeciego rzędu. W tej sali jest to ostatni rząd, ale mimo wszystko będę siedział dostatecznie blisko wykładowcy. Szukam wzrokiem Granta Reynoldsa, ale nigdzie go nie widzę. Może on też zmienił sobie zajęcia.

Wykładowca pojawia się dokładnie o dziewiątej i natychmiast po wejściu przesuwa krzeselko koło drzwi, tak że blokuje klamkę oparciem. Szkoda, Grant.

W sali siedzi zaledwie siedmiu studentów. Może miało nas być więcej, ale tego nigdy się nie dowiem.

Wykładowca odwraca się i patrzy na nas.

— Wszyscy, którzy chcą uczestniczyć w moich zajęciach, muszą przychodzić punktualnie. Jeśli spotkacie spóźnialskich, którzy dzisiaj nie zdążyli, przekażcie im to.

Odwraca się do tablicy, w Royce Hall są czarne, we wszystkich innych budynkach zielone. Wielkimi, pięknymi literami wypisuje swoje nazwisko i podkreśla: DOKTOR WORTHAM!, dopisuje też nazwę kursu Angielski I B. Ostrożnie odkłada kredę na półeczkę. Obchodzi biurko, siada na jego blacie i kładzie na kolanach książkę, którą przyniósł. Uśmiecha się pusto.

— No cóż, nie wiem, czy to, że zapisaliście się na moje zajęcia odbywające się tak wcześnie rano, jest miarą waszej inteligencji, czy głupoty. Wkrótce się jednak o tym dowiemy, ponieważ chcę teraz, aby każdy z was napisał liczące tysiąc słów wypracowanie o ważnym okresie swojego życia. Zbiorę je pod koniec zajęć. Zakładam, że każdy z was ma papier i pióro albo ołówek, w końcu są to zajęcia z języka angielskiego. Teraz musicie nauczyć się pisać. Z doświadczenia wiem, że bardzo niewielu studentów to potrafi.

W sali zapada cisza. Kilka osób wyciąga pióra albo ołówki, słychać szelest notatników i zeszytów.

— Chciałbym, żebyście następne prace pisali czarnym atramentem na papierze w linie. Możecie używać długopisów, jeśli macie ochotę, wolę jednak pióro. Będę czytał wasze prace, a im łatwiej będzie mi sieje czytało, tym lepiej dla nas wszystkich. Zalecałbym wam również zakup dobrego słownika, *Webster's Collegiate* byłby najlepszy. Nie tyle chodzi mi o definicje, ile o to, że można w nim sprawdzać ortografię.

Wiem, że słownik dostanę w sklepiku studenckim, na szczęście mam też ze sobą czarny pisak, ale nie mam papieru w Unie, tylko szkicownik. Wyrwam kartkę i zaczynam zastanawiać się, o czym mógłbym napisać. Od skończenia liceum pisałem jedynie nieliczne listy oraz opisywałem moje sny, a notatki topiłem w toalecie. Nie chcę pisać o niczym, co mogłoby mieć związek z wojną czy pobytem w szpitalu. Postanawiam napisać o motylach, ich życiu, o tym, co do nich czuję. Kiedy tylko udaje mi się zacząć, dalej pisze się samo. Po raz pierwszy mogę naprawdę głęboko przemyśleć moje badania nad motylami.

Koncentruję się na metamorfozie i jej magii. Piszę o mitach Greków i Indian. Jestem już w połowie, kiedy dociera do mnie, że nie piszę wcale o ważnym wydarzeniu swojego życia, ale o wielu wydarzeniach czy rzeczach, od mikroskopu, który kupiłem w Oklahomie, po łuski na motylich skrzydłach. Nie liczę też słów.

Podnoszę wzrok na doktora Worthama. Nie zwraca na nas uwagi. Czyta grubą książkę, która leży otwarta na jego biurku, tak grubą, że wydaje się, że to dwie książki oprawione razem. Wyrwam następną kartkę i piszę dalej. Szkicownik nie ma linijek, więc moje zwykle mało czytelne pismo jest jeszcze gorsze niż zazwyczaj, czasami linijki podjeżdżają do góry, a kiedy

zdają sobie z tego sprawę, zjeżdżają w dół.

Kiedy dzwonek oznajmia koniec zajęć, nie zbliżam się wcale do końca, piszę więc tylko u dołu strony dużymi literami: DZWONEK WŁAŚNIE ZADZWONIŁ. Podpisuję się i oddaję moją pracę wraz z innymi. Dopiero teraz, kiedy wszyscy zaczynają mówić naraz, orientuję się, jaka cisza panowała w sali. Kiedy wręczam swoje wypracowanie na postrzępionych kartkach większych niż wszystkie pozostałe, doktor Wortham przerzuca je, obraca na lewo i prawo, wreszcie uśmiecha się do mnie.

— Może powinieneś używać maszyny do pisania, a przynajmniej kupić porządny papier. Tu jest o wiele więcej niż tysiąc słów, pewnie ze dwa tysiące, a ja będę je musiał wszystkie odcyfrować.

Składa je razem z pozostałymi pracami i posyła mi jeszcze jeden automatyczny uśmiech. Wychodzę z sali. Teraz dopiero dociera do mnie, że spościłem się tak okropnie, iż wręcz śmierdę. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że pisanie może być tak bardzo męczące.

W końcu zgromadziłem wszystkie pomoce, które zaczynają powoli wypełniać cały magazynek Alice. Nie mogę trzymać ich w jeepie, bo nie ma tam dosyć miejsca, a poza tym byłyby bezpieczne jedynie, gdybym na stałe podniósł budę.

W sobotę, po zajęciach z biologii, zajmuję się przemeblowaniem. Alice przygląda się wszystkiemu uważnie. Pakujemy kartony, by zajmowały mniej miejsca, ja zaś układam książki i pomoce na wolnych miejscach. Jak na razie wszystko jest w porządku, ale kiedy naprawdę zacznę malować, będę musiał znaleźć sobie jakieś inne mieszkanie.

Na następne zajęcia z perspektywy przynoszę wszystkie rysunki, które wykonałem. Pan Hull przegląda je kolejno uważnie.

— No cóż, widzę, że szybko wszystko pojąłeś i ciężko pracowałeś. Jeśli utrzymasz takie tempo, zasłużysz sobie u mnie na piątkę.

Zajmujemy się teraz perspektywą zewnętrzną i jej zastosowaniem przy komponowaniu martwych natur. Rozwiązaniem jest maksymalne oddalenie punktu zaniku, w innym wypadku martwa natura się rozpada. Rysuję kilka martwych natur w sklepie, gdzie mogę posługiwać się sznurkami, by zaznaczyć linie w przestrzeni, co trochę pomaga. Pojmuję jednocześnie, że kiedy zna się już zasady perspektywy, zbyt duża dokładność nie jest już konieczna. To raczej ogólne zasady dla malarzy niż coś, czego trzeba bezwzględnie przestrzegać.

Kiedy przychodzę na drugie zajęcia do doktora Worthama, ten wita mnie ponurym spojrzeniem. Dopiero po godzinie, kiedy przeczytał już fragmenty prac innych studentów, które chciał omówić, i wszyscy zaczynają wychodzić, woła mnie do siebie.

Oddał wszystkie prace oprócz mojej, która leży na jego biurku. Poznają ją po wystrzępionych brzegach kartek. Podnosi ją teraz i kartkuje powoli. Wypisane czerwonym atramentem uwagi zajmują chyba więcej miejsca niż mój tekst. Spogląda na mnie.

— Jak w ogóle udało ci się ukończyć kurs A? Nie wiem, o czym mówi. Stoję bez słowa.

— Nie wiesz nawet, co to takiego kurs A, prawda?

Kiwam głową. Widziałem takie oznaczenie w katalogu, ale dotyczyło osób rozpoczynających kurs angielski I. Angielski I zaliczyłem już, kiedy wojsko posłało mnie na uniwersytet stanu Floryda w Gainesville.

— Tak jest, proszę pana, czytałem o tym w katalogu, ale uznałem, że jest on wymagany wyłącznie w wypadku osób, które wybierają angielski jako przedmiot kierunkowy. Zaliczyłem już angielski I.

— Na jakiejś innej uczelni, jak się domyślam.

— Tak jest, proszę pana, na uniwersytecie stanu Floryda. Wojsko wysłało mnie tam na studia.

— No cóż, niewiele cię tam nauczyli. Nie masz zielonego pojęcia, jak należy posługiwać się

językiem angielskim. — Ponownie przekłada poznaczone czerwonym atramentem kartki i uśmiecha się do mnie. — Ale potrafisz pisać! Skąd dowiedziałeś się tak wiele o motylach? Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogę zainteresować się motylami, ale zdołałeś sprawić, bym zmienił zdanie. A to jedna z cech prawdziwego pisarza, musi być w stanie zmieniać opinie ludzi o różnych sprawach, musi sprawiać, by myśleli.

Stoję nadal bez słowa. Ten facet na pewno zwariował.

— Przeanalizowałem twoje wypracowanie bardzo dokładnie, starając się ustalić, jak udało ci się być tak przekonującym, mimo wszystkich błędów ortograficznych, gramatycznych i niejasnych konstrukcji zdań. Jednak jakoś ci się udało. Myślę, że mógłbyś zostać pisarzem. A tak przy okazji, co studiujesz?

— Sztuki piękne, mój przedmiot kierunkowy to malarstwo, a dodatkowy biologia.

— Co za marnotrawstwo, wkrótce będziesz musiał to zmienić. A teraz popatrz.

Grzebie w szufladzie biurka i wyciąga z niej cienką książeczkę, mocno już zniszczoną.

— To pozwoli ci przygotować się do egzaminu zamykającego kurs A. Nie zamierzam się upierać, żebyś przystępował do tego egzaminu, jakoś się bez tego obejdziemy, poza tym mógłbyś po nim wylądować na jakichś innych zajęciach.

Podnosi ponownie wzrok i posyła mi pusty uśmiech. Czuję się tak, jak gdybym stał przed sądem polowym przed obliczem jakiegoś podpułkownika. Podaje mi książeczkę i moją pracę.

— Zaznaczyłem wszystkie błędy, a także strony w książce, z których dowiesz się, jak je poprawić. Chciałbym, żebyś teraz przeczytał swoje wypracowanie, przepisał je, uwzględniając to, czego dowiesz się z moich uwag i z tej książki, a potem oddał mi je do ponownego sprawdzenia. Jeśli tak zrobisz, dostaniesz A z plusem, bo na to zasługujesz. Jeśli nie, dostaniesz F, niedostateczny, bo na to też zasługujesz.

Podnosi się. Biorę od niego książkę. Rusza do drzwi, a ja odprowadzam go wzrokiem. Odwraca się do mnie.

— Pamiętaj. Wszystko zależy od ciebie. Nie zmarnuj swojego talentu.

Jak gdybym znowu słyszał doktora Wileya. Patrzę na książkę i moje wypracowanie. Niezły początek. Mam nadzieję, że nie wszystkie zajęcia będą tak wyglądać.

I mam rację. Nie wszędzie spotykam się z tak osobistym podejściem jak u doktora Worthama. Ale zajęcia, z wyjątkiem historii sztuki panny Delano, są ciekawe i dzięki nim zaczynam lubić moje życie. Po raz pierwszy czuję się prawie jak Ptasiek. Zawsze zdawał się tak bardzo cieszyć życiem, chcę się tego nauczyć.

Same zajęcia z biologii i botaniki wystarczyłyby w zupełności. Na biologii naprawdę uczymy się o życiu, o tym, jak powstało, o fotosyntezie, teoriach dotyczących DNA, o sprawach, o których nigdy wcześniej nie słyszałem. Doktor Morris jest pełen entuzjazmu i zaraża nim nas wszystkich. Zajęcia z botaniki zaś są wprost wspaniałe. Większość czasu spędzamy ogrodzie botanicznym. Zaczynamy od roślin jednoliściennych uczymy się, jak je rozpoznawać po unerwieniu równoległym, później przechodzimy do dwuliściennych, z dwoma liścieniami i siatkowatym unerwieniem. Wszystko to jest wprost fascynujące i zaczynam rozumieć, że byłbym szczęśliwy, gdybym jako swój przedmiot kierunkowy wybrał botanikę, a malarstwo jako dodatkowy.

Większość czasu, który spędzamy w ogrodzie botanicznym, i tak zajmuje nam rysowanie. Szkicujemy dla wiedzy, nie dla ozdoby. Jak sądzę, tego właśnie zawsze chciałem. Na własną rękę rysuję coraz więcej traw i innych roślin, które zwykle nazywa się chwastami. Wynajduję je wszędzie, znalazłem nawet mały, porośnięty chwastami skrawek koło słupa telefonicznego na parkingu za sklepem. Nasz wykładowca botaniki podał nam dobrą definicję chwastu. „Chwast to każda roślina, która wyrosła tam, gdzie sobie tego nie życzymy”.



Zajęcia z teorii koloru są także interesujące na swój abstrakcyjny sposób. Tutaj wszystko wiąże się z kwestią dekoracyjności, a także analizy kolorów. Konstruujemy kręgi podzielone na dwanaście pól pomalowanych na różne kolory o różnych walorach lub odcieniach. Wszystko to jest ciekawe, ale nie ekscytuje mnie tak jak biologia czy botanika. Uczymy się też, które kolory wspierają inne albo przez umieszczenie obok, albo przez połączenie. Nigdy nawet nie zastanawiałem się nad tymi cechami kolorów, by nie wspominać nawet o eksperymentowaniu. Muszę przyznać, że im dłużej studiuję każdy z tych przedmiotów, tym prawdziwsza wydaje mi się myśl jednego z greckich filozofów, o którym kiedyś czytałem. Wydaje mi się, że należał do kręgu sokratejskiego. Powiedział: „Im więcej wiesz, tym więcej wiesz, że nie wiesz”. Kurczę, o tym właśnie przekonuję się przez cały pierwszy semestr.

Czuję, że pod wieloma względami dojrzewam, ale jednocześnie zaczynam pojmować, jak wiele jeszcze nie wiem. Martwi mnie, kiedy myślę o tym, jak wielu ludzi nigdy nie miało możliwości zdobywania wiedzy i przeżyli swoje życie, nie uzyskawszy najdrobniejszej nawet szansy, by przynajmniej się dowiedzieć, jak wiele nie wiedzą. Myślę o mamie, tacie, ale także o Mario. Zostali pozbawieni albo nie wykorzystali swych możliwości. Przysięgam sobie, że od tej pory będę wykorzystywał swoje życie do maksimum.

Kiedy kończy się semestr, dostaję A ze wszystkich kursów, nawet z historii sztuki. Wcale nie starałem się zdobywać dobrych stopni, odpowiadałem jedynie na pytania, które wcześniej sam sobie zadawałem. Nie zawsze chodziłem na zajęcia z historii sztuki, ponieważ znacznie ciekawsza od slajdów panny Delano okazała się wybrana przez nią książka. Czytałem ją tyle razy, że prawie nauczyłem się jej na pamięć. W bibliotece wyszukuję i czytam, a przynajmniej przeglądam wszystkie albumy o sztuce, jakie uda mi się znaleźć. Nie wypożyczają ich do domu, ale czytelnia jest czysta i dobrze oświetlona, więc spędzam tutaj mnóstwo czasu. Czytam o sztuce i artystach z różnych okresów i krajów. Tylko temu można by spokojnie poświęcić całe życie. Zaczynam pojmować, że jedno życie to zdecydowanie za mało.

\* \* \*

W ostatnim tygodniu zajęć ktoś telefonuje do sklepu. Mam się stawić w biurze doradcy weteranów. Doktor Wiley chce spotkać się ze mną przed końcem semestru.

Idę od razu do jego biura w przyziemiu Royce Hall. Na szczęście zastaję go na miejscu. Uśmiecha się i wychodzi mi na powitanie z wyciągniętą dłonią.

— Właśnie otrzymałem wyniki twoich egzaminów, myślę, że nie uda mi się powstrzymać cię od zrealizowania szalonego marzenia o zostaniu malarzem. Jednak to, że otrzymałeś same A, wcale nie znaczy, że się myliłem. Wciąż uważam, że powinieneś poważniej potraktować studia i stać się wartościowym członkiem społeczeństwa.

Obchodzi biurko i siada na krześle. Trzyma przed sobą wyniki moich egzaminów.

— No cóż, nie sądzę, by pisane mi było, abym został historykiem sztuki, chociaż jako malarz zawsze będę się tym interesował, doktorze Wiley. Sądzę jednak, że mogę być wartościowym członkiem społeczeństwa jako malarz. Szanuję potrzeby ludzi, to, że ktoś musi dbać o ich zdrowie i rozstrzygać spory, ale wydaje mi się, że jako malarz albo muzyk mogę zaproponować coś przynajmniej równie ważnego dla ludzi. Chcę panu powiedzieć, że jestem tutaj bardzo szczęśliwy i dziękuję za pomoc w zrealizowaniu moich marzeń.

W odpowiedzi wzrusza ramionami i uśmiecha się.

— Może masz rację, Alfonso. Myślę, że będziemy musieli po prostu poczekać.

Wstaje zza biurka, zegnamy się uściskiem ręki. Wychodzę z nadzieją, że wszystko zostało załatwione i mogę wyruszyć dalej w moją tak dobrze rozpoczętą magiczną podróż przez życie.

Ttego lata postanawiam wyjechać. Między innymi chcę zobaczyć miejsca, do których migrują motyle. Wyciągam z konta pięćset dolarów, pakuję rzeczy, żegnam się na pewien czas z Alice i Clarence'em i ruszam Pacific Coast Highway wzdłuż oceanu. Kieruję się do San Diego, chcę zobaczyć tamtejszą kolekcję żywych motyli. Po drodze rozglądam się w poszukiwaniu nowych motyli, najróżniejszych owadów i pól pełnych kwiatów. Zapakowałem znaczną ilość papieru, który mi został, plakatówki, farby olejne i szkicownik do akwarel. Jadę jak zwykle z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, chociaż kalifornijscy kierowcy prowadzą dużo szybciej i czasami próbują mnie poganiać klaksonami. Ja jednak trzymam się po prostu prawego pobocza.

Jest prawdziwe lato, wiatr smaga mi twarz. Opuszczam przednią szybę, co można zrobić tylko w jeepie, muszę tylko kupić sobie okulary przeciwsłoneczne, które ochronią mnie też przed kurzem i owadami. Czuję się jak motyl. Zatrzymuję się co dwie mile albo kiedy zobaczę coś interesującego. Wiele szkicuję i rysuję.

Dzięki kursom biologii i botaniki wiem teraz o wiele więcej o owadach i roślinach. Godzinami leżę wyciągnięty na trawie, starając się uchwycić piękno tego miniaturowego świata. Trawy są na ogół suche, ale to pozwala lepiej zobaczyć, co się między nimi kryje. Czerwone mrówki chodzą po mnie i, kiedy poruszę się gwałtownie, zaczynają mnie gryźć, ale nie jest to szczególnie bolesne. Po pewnym czasie prawie wcale już tego nie zauważam. Na szczęście nie jestem uczulony na dąb trujący ani na sumaka jadowitego.

Podróżuję od księgarni do księgarni, od antykwariatu do antykwariatu. Przejeżdżam przez Long Beach, Seal Beach i Capistrano. Niektóre z tych miast są naprawdę śliczne, mam nadzieję, że kiedyś jeszcze do nich wrócę. Na stacji benzynowej, gdzie kupuję paliwo, dostaję darmową mapę Kalifornii.

Teraz staram się tak planować trasę, by nie jechać dalej szosą wzdłuż wybrzeża. Znajduję piękne miejsca na nocleg. Za dnia bywa upalnie, ale noce nie są zbyt ciepłe. Kiedy zbliżam się do oceanu, zatrzymuję się czasem, żeby popływać. Chodzę bez koszuli, obciążam nogawki moich wojskowych spodni i zrobiłem sobie z nich szorty. Teraz jest mi o wiele przyjemniej. Kupuję jedzenie w małych sklepikach, w długie wieczory przyrządzam sobie kolacje na kuchence. Przyjemność sprawia mi wymyślanie własnych potraw, na ogół gotuję warzywa, czasami dodaję trochę mięsa. Wypijam cztery butelki wody dziennie.

Każdego dnia maluję przynajmniej jeden obraz. Jestem coraz lepszy, zarówno jako malarz, jaki jako naukowiec, postrzegam teraz każdą roślinę i każdego owada jako oddzielną istotę. Jednak najwięcej radości sprawiają mi małe księgarenki. Spotykam w nich takich samych ludzi jak wtedy, gdy podróżowałem przez cały kraj. Jak dawniej kupuję i sprzedaję używane książki. Nigdy nie biorę za nie więcej, niż zapłaciłem. Nie próbuję zarabiać na książkach. Zaskakujące, jak dobrze Kalifornijczycy znają się na ich wartości. Patrzą na datę wydania, wydawcę, nakład, notatki w tekście i starają się ze mną targować. Nie niszczę książek, staram się je szanować.

San Diego okazuje się większym miastem, niż się tego spodziewałem. Ogród zoologiczny mieści się w centrum, w ogromnym parku. Znajduję miejsce, gdzie mogę zaparkować Motylka i zaczynam zwiedzać zoo. Oczywiście mam ze sobą szkicownik. Oglądam klatki ze zwierzętami, owady i terraria. Mógłbym spędzić całe życie na badaniach zwierząt.

Znajduję pawilon motyli — mają tu wszystko, rośliny, którymi się żywią, jajeczka, gąsienice, dorosłe motyle i cmy. Wszystkie żyją w prawie tropikalnym świecie, ogrzewanym i wilgotnym, pełnym egzotycznych roślin, drzew i papug. Spaceruję, a motyle latają wokół mnie. To wszystko jest jak sen. Siadam sobie w kąciku z dala od tłumu i próbuję rysować rośliny, motyle, które przysiadają albo unoszą się wokół mnie. Pora zamknięcia zbliża się niepostrzeżenie i muszę już iść.

Jadę teraz w góry, by zwiedzić Mount Palomar, gdzie znajduje się gigantyczny teleskop.

Rozmawiam z pracującymi tam ludźmi — Naprawdę pasjonuje ich niebo i gwiazdy, potrafią opowiadać bez końca, jeśli tylko ktoś zechce ich słuchać. Słucham więc i wiele się uczę. Postanawiam zapisać się na kurs astronomii na UCLA. Już teraz mam więcej przedmiotów ścisłych niż artystycznych. Ale w końcu artysta to szczególnego rodzaju naukowiec, nie dokonuje tylko tak wielu pomiarów. Obserwuje i prowadzi obrazkowe notatki z tego, co widzi.

Skoro dotarłem aż tak daleko na południe, chcę odwiedzić Meksyk — Wiele motyli leci na zimę do Meksyku, zwłaszcza monarch, czyli wędrowiec. Twierdzi się, że obsiadają pnie drzew tak gęsto, że nie widać wcale kory. Chciałbym to zobaczyć.

Próbuję się dowiedzieć, czy do przekroczenia granicy będzie mi potrzebny paszport, wszyscy twierdzą, że nie. Jadę zatem na granicę. Jakie to dziwne, widzę ludzi, którzy próbują udawać, że są właścicielami czegoś, czego nikt nie może mieć na własność. Granicę wyznacza płot, po obu stronach pilnują jej mężczyźni z bronią. Nie mam żadnych kłopotów z jej przekroczeniem, nikt nie chce nawet oglądać mojego prawa jazdy. Jakie to dziwne, kiedy tylko przekraczam niewidzialną linię, wszystko się zmienia. Tijuana to bardzo biedne miasto, pełne żebraków i budynków z blachy falistej i drewna. Wygląda na to, że nie ma tu kanalizacji i są kłopoty z wodą bieżącą. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego po jednej stronie granicy jest takie bogactwo, a po drugiej tyle ubóstwa. Jeżdżę przez pewien czas, przeciskając się przez tłumy ludzi na ulicach. Małe dzieci podbiegają do Motylka, próbują mi sprzedać swoje towary. Uśmiecham się, ale niczego nie chcę kupować. Nie mam zresztą meksykańskich pieniędzy. Czuję się jak obcy, Meksykanie nazywają ich *gringo*. Nie widzę na drzewach żadnych motyli, a nie potrafię o nie zapytać. Macham rękami jak motyl, próbując przekazać, czego szukam, ale wszyscy patrzą na mnie jak na wariata i w końcu zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie mają racji.

Ruszam na północ i przed zmierzchem ponownie przekraczam granicę. Później jadę tak długo, aż znajduję wzgórze, „środek których się zatrzymuję. Noc jest bardzo ciepła, wyciągam się więc na kocu rozłożonym na ziemi.

\* \* \*

W ciągu minionego semestru odwiedzałem rodzinę tak często, jak tylko mogłem. Spotykam się właściwie tylko z mamą i Mariem. Tata jest nieznośny. Na ogół mijam się z nim, gdy przychodzę do domu w ciągu dnia, ale często zdarza się, że tata nie chodzi do pracy. Tak naprawdę nie pracuje dla nikogo, wyłącznie dla siebie, daje mamie tylko tyle pieniędzy, by mogła przeżyć. Nigdy w życiu nie chciałbym zatrudnić u siebie takiego faceta.

Mama jest bardzo ciekawa, co robię w szkole. Próbuję tłumaczyć jej najdokładniej, jak potrafię, czasami pokazuję jej coś w książkach albo przynoszę prace wykonywane na zajęcia z perspektywy lub teorii koloru. Nie może uwierzyć, że to moje rysunki.

Raz zdarza się, że tato jest właśnie w domu, kiedy przynoszę kilka rysunków. Ogląda je uważnie.

— No i co, przerysowałeś to pewnie z jakiejś gazety, co?

— Nie, to rysunki na zajęcia z perspektywy, tato, uczę się tam tak rysować.

— Nie kpj sobie ze mnie, żaden tam z ciebie malarz. Przerysowałeś to wszystko.

Kłótnia nie ma sensu. Kiedy dostaję wyniki egzaminów, pokazuję je mamie. Wyjaśniam jej, co oznaczają. Ścisła mnie i całuje.

— Wiedziałaś, że ci się powiedzie, AL, potrafisz osiągnąć wszystko, co sobie postanowisz, w tym przynajmniej jesteś podobny do swojego ojca.

Tata jest w domu.

— Co to niby są za stopnie, te A, coś jak mleko klasy A? Kiedy ja chodziłem do szkoły,

dawali nam liczby, jak osiemdziesiąt pięć czy dziewięćdziesiąt pięć, a nie żadne tam litery.

— Ale to było dawno temu, a ty doszedłeś tylko do czwartej klasy. Wszystko się zmienia, Cezarze.

— Nic mi nie mów. Swoje o szkole wiem, to tylko strata czasu. Ucieszę się, kiedy Mario wreszcie skończy szkołę i znajdzie sobie porządną robotę, jak prawdziwy mężczyzna.

Więc tak to wygląda. Chciałbym spotkać się z mamą gdzieś poza domem, zabrać ją na wycieczkę Motylkiem. Wpatruje się we mnie zaskoczona.

— Nie mogłabym tego zrobić, AL. On by mnie zabił.

Mama jest dosłownie niewolnicą, więźniem w tym małym domku. Wychodzi jedynie na zakupy do małego włoskiego sklepiku przy Ocean Park Boulevard. Wie, jak tam trafić i jak dojść do supermarketu Safeway, nic więcej. Nie wiem, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, że jest więźniem. Jednak milczę. Samo patrzenie na nią sprawia mi ból.

Mario w końcu dostaje pracę u dekarza. Jego porządna katolicka dziewczyna zachodzi w ciążę, we wrześniu biorą ślub. Znajdują sobie małe mieszkanko, podobne do tego, w którym mieszkają nasi rodzice, Mario kupuje samochód. Wydaje mi się, że są szczęśliwi. Wygląda na to, że tylko ja jeden nie jestem zadowolony z takiego obrotu sprawy. Staram się jednak z tym walczyć.

Szukam sobie miejsca, żebym mógł się odizolować od wszystkiego. Venice i Santa Monica to miłe miasta, aleja chcę czegoś innego. Robię wycieczki po okolicy i rozglądam się. Miejscowości takie jak Brentwood, Bel Aire czy Pacific Palisades są piękne, ale bardzo drogie. Nie chciałbym mieszkać w takim miejscu.

W końcu jadę Pacific Coast Highway dalej niż zwykle i skręcam w drogę o nazwie Topanga Canyon Boulevard. Wznosi się ostro, jest wąska i jakby wycięta między wysokimi zboczami. Mijam źródło, przy którym ludzie napełniają butelki wodą. Jadę dalej w górę, na coraz niższym biegu, zastanawiam się, czy nie powinienem już włączyć napędu na cztery koła, tak bardzo tu stromo.

Nagle droga wyrównuje się i trafiam do małego miasteczka, podobnego do tych, przez które przejeżdżałem w czasie podróży przez kraj. Sklep spożywczy, sklep z materiałami budowlanymi, mały bar i stacja benzynowa to całe centrum miasteczka.

Wjeżdżam w wąskie dróżki odchodzące od głównej drogi. Te dopiero są strome i kręte. Wzdłuż nich wznoszą się prymitywne domostwa. Każda z drózek kończy się pustym terenem. Jedna tylko ciągnie się dalej, postanawiam więc zobaczyć, dokąd mnie zaprowadzi. Najpierw jednak zatrzymuję się w miejscu, gdzie jest już tylko niebo, strome zbocza wzgórz, słońce i krzaki. Zaciągam hamulec ręczny i wysiadam. Zapachy są tu wprost niewiarygodne. Nie pamiętam nawet, kiedy czułem coś Podobnego, jednocześnie słodkiego i ostrego. W powietrzu słychać bzykanie owadów, żadnych jednak nie widzę. Wydaje się wręcz, że istnieją tylko po to, by zagłuszać ciszę. Bo naprawdę jest tutaj cicho. Żywa cisza, taka, w której w każdej chwili można oczekiwać pojawienia się jakiegoś dzikiego zwierzęcia. Ruszam dalej przed siebie, słyszę tylko własne kroki na żwirze i piasku. Czuję też zapach ziemi, suchej ziemi. Rozglądam się dokoła i dostrzegam motyle, po raz pierwszy w Kalifornii, oprócz tych z zoo w San Diego. Latają swobodnie, przenoszą się z krzaka na krzak i nie zwracają uwagi na mnie i mojego jeepa. Siadam przy drodze i patrzę w kierunku odległych wzgórz. Jeszcze dalej dostrzegam następne pasmo górskie. W takim miejscu mógłbym zamieszkać. Rozejrzę się po okolicy, może znajdę jakieś miejsce dla siebie. Nie chciałbym wyprowadzać się od Alice, ale na zapleczu sklepu jest dla mnie zbyt ciemno i za ciasno. Nie potrzebuję jeszcze prawdziwej pracowni, ale właśnie miejsca, gdzie mógłbym rozłożyć swoje rzeczy, ołówki, tusz, papier. Muszę zacząć myśleć jak prawdziwy malarz, jeśli kiedykolwiek chcę nim zostać.

Wracam do jeepa, włączam silnik i ruszam przed siebie. Chcę się dowiedzieć, dokąd prowadzi ta droga. Nie mijają mnie żadne inne samochody, ale wydaje mi się, że dokądś tędy dojadę. Droga zwęża się coraz bardziej, wymijanie byłoby tutaj kłopotliwe, ale wciąż jadę przed siebie. Kiedy dojeżdżam do kolejnego ostrego zakrętu, naciskam na klakson, żeby ktoś nadjeżdżający z przeciwnej strony wiedział, że się zbliżam.

Droga wije się przez osiem kilometrów i właśnie kiedy chcę już zrezygnować i rozglądam się za miejscem, gdzie mógłbym zawrócić, docieram do szczytu pasma górskiego. Znajduję miejsce, gdzie mogę zawrócić i spojrzeć na drugą stronę zbocza. Cudownie tutaj. W oddali widzę ocean. Zapachy wydają się jeszcze silniejsze, głębsze, wyrazistsze. Widzę, że droga wije się w dół, ale nie dostrzegam stąd miejsca, w którym dociera do oceanu. Muszę się sam o tym przekonać.

Wskakuję z powrotem do jeepa. Droga w dół jest stroma, przez większą część muszę jechać na drugim biegu. Wygląda na to, że nie jest używana, nie widzę ani jednego samochodu. Nie mogę w to uwierzyć. Dzieli mnie zaledwie piętnaście kilometrów od wielkiego uniwersytetu, a znalazłem tak wielkie, nie tknięte przez człowieka miejsce.

Kiedy tak zjeżdżam w dół, zaczynam czuć chłód napływający z oceanu. Wśród wzgórz było bardzo sucho, o wiele bardziej niż w Venice. Powietrze wydawało się przeredzone i cudownie świeże. Zjeżdżam bardzo wolno, ciesząc się drzewami, krzakami, każdym zakrętem drogi. Po niemal piętnastu kilometrach wyjeżdżam na Pacific Coast Highway. Dochodzę do wniosku, że znalazłem się dalej na północny zachód w stronę San Francisco niż miejsce, w którym odbiłem od głównej drogi.

Na plaży natrafiam na niewielką kawiarnię — restaurację. Suche górskie powietrze i ciepły wiatr wiejący prosto w twarz sprawiły, że czuję ogromne pragnienie. Zatrzymuję się obok i wchodzę do środka. Podają tu wyłącznie hamburgery i hot dogi, które można jeść przy stolikach ustawionych na tarasie wychodzącym na ocean. Zamawiam hamburgera i colę. Czuję się tak, jak gdybym stanął w obliczu wielkiej zmiany w swoim życiu. Nie wiem jeszcze, na czym ona będzie polegać, ale jestem bardzo podniecony.

Jadę wolno Pacific Coast Highway, w stronę domu, ruch nie jest tak nasilony, jak się tego spodziewałem. Mijam zjazd, którym wjechałem do kanionu. Jadę jak zawsze sześćdziesiątką, spoglądam na zegarek, żeby się zorientować, jak długo trwałby dojazd, gdybym zdecydował się tu zamieszkać. Droga do sklepu zajmuje mi czterdzieści minut, ale gdybym jechał pierwszą trasą, byłoby to zaledwie pół godziny. Tę noc znów przesypiam bez snów, to znaczy bez koszmarów. Kiedy się budzę, wciąż czuję w nozdrzach zapach górskiego powietrza.

Następnego dnia postanawiam wrócić do tej magicznej krainy. Zabieram ze sobą rysownicę, tusz, plakatówki i akwarele, żeby się przekonać, czy uda mi się uchwycić coś z prymitywnej tajemnicy, jaką tam wyczułem. Chcę też zajrzeć do biura handlu nieruchomościami, które zauważyłem u stóp wzgórza, kiedy przejeżdżałem przez miasteczko. Prawdopodobnie sprawa jest beznadziejna, ale gdybym mógł chociaż kupić spłachetek ziemi i rozbić na nim namiot, wiem, że chętnie bym tam zamieszkał.

Wyjeżdżam wcześniej rano, kiedy słońce oświetla zaledwie Grabki fal. Mewy już się obudziły, krążą w powietrzu i krzyczą do siebie. U stóp wzgórza wznoszącego się tuż nad drogą biegnącą brzegiem oceanu zatrzymuję się przy małym sklepiku, gdzie kupuję filiżankę kawy i dwa pączki. Pączki są świeże i prawdziwe, to nie zwykłe ciastka z dziurką, jakie dostają czasami w mieście. Nigdzie mi się nie spieszy, wyciągam więc szkicownik i próbuję uchwycić szybujące mewy. Okazuje się to trudniejsze, niż początkowo sądziłem, ale udają mi się dwa szybkie szkice.

Kiedy ruszam w górę, czuję się tak, jak gdybym porzucał ten świat. Znowu zanurzam się w tych ożywczych zapachach. Tak cudownie jechać jeepem z opuszczoną przednią szybą i złożonym dachem. Teraz jeszcze większe wrażenie robi na mnie stromość zboczy i skał

schodzących aż do samej drogi.

Wjeżdżam wolno do miasteczka i parkuję na placyku obok remizy. Biuro pośrednika handlu nieruchomościami jest otwarte. Kiedy wchodzę do środka, mężczyzna podnosi się.

— Co mogę dla ciebie zrobić, młodzieńcze? Chcesz może kupić dom?

— Chciałbym bardzo, ale nie mam tyle pieniędzy. Chciałbym się dowiedzieć, czy ma pan może na sprzedaż jakiś kawałek gruntu na zboczu wzgórza za pańskim domem.

Spogląda na swoje biurko, a potem wyciąga z szuflady książkę. Zaczyna przerzucać jej strony.

— Ile mniej więcej chciałbyś wydać?

Nosi okulary, które teraz podsuwa nieco wyżej.

— Mam w tej chwili trzysta dolarów, do Bożego Narodzenia mógłbym mieć pięćset.

— Wiesz, że mógłbyś wziąć pożyczkę? Jesteś weteranem? Potakuję. Zawsze jestem zaskoczony, kiedy ktoś pyta mnie o to tak zwyczajnie. Pewnie, w wypadku mężczyzny w moim wieku jest to dość naturalne. Ciekawe, jak radzą sobie w takich sytuacjach ci, których nie wzięto do wojska, albo ci, którzy odmawiają służby woskowej? Dla mnie każda rozmowa o wojnie jest trudna ze względu na czas, który spędziłem w szpitalu.

— Mógłbyś dostać pożyczkę na cztery procent rocznie. Mógłbyś albo wziąć kredyt równy wkładowi własnemu, albo zapożyczyć się na hipotekę i w ten sposób kupić sobie prawdziwy dom.

— Nie chcę niczego pożyczać. Chcę, żeby to miejsce należało wyłącznie do mnie. Nie sądzę też, bym chciał od razu kupować dom. Zaczyna kartkować swoją książeczkę tam i z powrotem, wciągając powietrze przez zęby.

— No cóż, jeśli naprawdę tak uważasz, mogę ci pokazać całe mnóstwo zarośli. Ostrzegam tylko, że na ogół nie ma tam elektryczności i bieżącej wody, a jedyny dostęp zapewnia droga gruntowa albo zaledwie ścieżka. Woda jest tutaj ogromnym problemem. Jeśli nawet ma się do niej dostęp, trzeba płacić facetowi, który ma największą studnię w kanionie, na szczycie Fernwood.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu i ma pan trochę czasu, chciałbym obejrzeć działki, o których mowa. Tak naprawdę chcę tylko widoku i miejsca, gdzie miałbym spokój.

— Och, spokojnych, odizolowanych miejsc mamy tutaj całe mnóstwo. Mógłbym ci je pokazywać przez cały dzień. Za swoje pięćset dolarów możesz z pewnością kupić to, czego chcesz.

Znowu zasysa powietrze przez zęby. Wychodzi zza biurka ze spisem ofert. Po wyjściu z biura zamyka drzwi na klucz.

— Pojedziemy twoim wozem czy moim? Ten jeep jest twój? No, w takim razie jedziemy jeepem. Niektóre z miejsc, które chcę ci pokazać, są naprawdę trudno dostępne. Kilku sam nigdy nie oglądałem, mój stary plymouth po prostu tam nie dociągnie. Masz napęd na cztery koła?

Kiwam głową i ruszam w stronę jeepa. On wsiada z drugiej strony. Nie przypuszczam, by miał już kiedyś okazję jeździć takim wozem.

— Zaczniemy od tańszych działek, a potem pojedziemy do takich, na które musiałbyś wydać odrobinę więcej. Będę cię prowadził, tylko nie jedź za szybko, niektóre z tych dróg to ścieżki kozic.

— Chciałbym kupić coś na tym wzgórzu za nami. Wtedy miałbym dwie drogi dojazdu.

— Sprytny z ciebie chłopak. Racja, Fernwood Pacific schodzi prosto do Kanionu Tuńczyka i dochodzi do plaży na południe od Malibu. Okropnie tam pusto, ale ma się widoki na obie strony. Dobrze; w takim razie ruszamy Fernwood Pacific, a ja będę ci po drodze pokazywał, co mam na sprzedaż.

I tak właśnie robimy. Pokazuje mi małe domki, chatki właściwie, które kosztują od pięciu do

dziesięciu tysięcy dolarów. W niektórych z nich, choć są w marnym stanie, z przyjemnością bym zamieszkał, gdybym tylko miał na to pieniądze.

Jedziemy coraz wyżej. Prawie na samym szczycie facet kieruje mnie na poszarpaną drogę poprzecinaną korytami strumyków. Wskazuje, bym zatrzymał się na poboczu. Widok jest stąd rzeczywiście wspaniały. Zatrzymuję jeepa i zaciągam ręczny hamulec.

Wysiada z jeepa, a ja idę w jego ślady.

— Spójrz, ten teren ma mniej więcej ćwierć akra. Ma kształt półksiężyca, który dociera do tego miejsca i schodzi w dół do tamtych drzew. Nie mam dokładnego planu, ale jeśli chcesz, mogę się o niego postarać.

To w zasadzie powinno być to, czego szukam, ale tak nie jest. Zbocze jest tak strome, że z trudnością udaje mi się ustać na nogach, nie ma mowy o tym, by znaleźć dostatecznie duży płaski teren, by dało się rozbić namiot.

— Spójrz, tam na grani widać linię elektryczną między słupami. Doprowadzenie elektryczności nie kosztowałoby zbyt wiele.

Spogląda na mnie. Potrząsam głową i kierujemy się z powrotem do jeepa.

— Mam jeszcze jedną działkę, podobnie odludną i nie tak stromą, ale nie ma tam w pobliżu linii elektrycznej. Cena jest taka sama: pięćset dolarów.

Dojeżdżamy do przełęczy, tam skręcam w wąską ścieżkę. Jadę na jedyńce z włączonym napędem na cztery koła. Nawet konno trudno byłoby tędy przejechać. Docieramy do zakrętu oddalonego od drogi o jakieś czterysta metrów i pośrednik każe mi się zatrzymać.

Muszę przyznać, że i stąd rozciąga się wspaniały widok. Wsiadamy z wozu. Na ogół nie mam lęku wysokości, ale stoję dokładnie na szczycie i wieje silny wiatr.

— Spójrz tam, na dół, widzisz ten kawałek równego terenu? Leży w odległości zaledwie stu metrów od drogi i na pewno nikt nie będzie się budował w sąsiedztwie. Mógłbyś z łatwością dokupić grunt pod drogę dojazdową. Znam właściciela okolicznych terenów, oddałby ci ziemię za koszt pomiarów geodezyjnych.

Nie chcę okazać się zbyt wybredny, ten facet jest naprawdę miły, ale to także nie jest to. Może oczekuję zbyt wiele za swoje pieniądze. Uśmiecham się i potrząsam przecząco głową.

— Wiesz co? A może tak naprawdę potrzebny ci mały domek, za jakieś tysiąc pięćset, góra dwa tysiące dolarów. Mam całe mnóstwo ofert w tym przedziale cenowym. Za twoje pięć setek i z pożyczką dla weteranów spłacałbyś nie więcej niż dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie.

Wsiadamy z powrotem do jeepa. Diabelnie trudno mi znaleźć miejsce, gdzie mógłbym zawrócić. Kiedy wreszcie je znajduje, pośrednik wysiada z wozu, by mi pomóc. Może podobnie jak ja, nie ma specjalnej ochoty spaść na dół.

Podróż powrotna jest prawie tak samo trudna, choć teraz znam już najtrudniejsze odcinki i nie patrzę wcale na boki. Jestem pewien, że nie chciałbym jeździć tędy w nocy albo po choćby jednym piwie.

Bez kłopotów docieramy z powrotem na drogę. Kiedy dojeżdżamy do głównej drogi, którą tutaj dotarliśmy, Fernwood Pacific, ruszamy w dół. Trafiamy na drewniany drogowskaz z napisem Horseshoe Drive. Zakręt jest tak ostry, że z ledwością udaje się go pokonać jeepem. Znowu wrzucam jedyńkę i uruchamiam napęd na cztery koła. Objeżdżamy potężną skałę wyrastającą z lewej strony drogi, Motylek omal się o nią nie ociera. Za tym zakrętem droga trochę się wyrównuje, chociaż nadal wznosi się stromo. Mój przewodnik kieruje mnie do samego końca. Przez całą drogę nie widziałem ani jednego domu. Dojeżdżamy do końca, zawracamy na małym placu i zaczynamy zjeżdżać z powrotem. Mniej więcej w jednej trzeciej bardziej płaskiego odcinka poleca mi się zatrzymać. Hamuję, wrzucam luz i zaciągam ręczny hamulec. Widok jest naprawdę imponujący. Po prawej stronie prawie pionowe zbocze, przed nami

rozległa panorama leżącego w dole miasteczka, o oddali następne pasmo górskie. Siedzę w Motylku, a widok ten wsącza się we mnie, podczas gdy pośrednik wysiada z wozu. Wciąż jednak nie widzę żadnego domu.

Obchodzi jeepa dookoła i wskazuje coś prosto w dół. Zgadza się, widzę teraz krętą ścieżkę, a na jej końcu dach z papy, który może osłaniać jakąś chatkę.

— Posłuchaj, jeśli masz ochotę na coś naprawdę interesującego za niewielkie pieniądze, oto propozycja specjalnie dla ciebie. Miejsce jest trochę zwariowane, ale ma ciekawą historię. — Podciąga skarpetki i otrzepuje nogawki z kurzu. — Jakies pięć, sześć lat temu sprzedałem tę działkę pewnej młodej parze. Oboje byli dekoratorami wnętrz. Podobnie jak ty, szukali jakiegoś miejsca z dala od ludzi.

Przygląda mi się uważnie. Wciąż wpatruję się w rozciągający się przede mną widok. Nie jest tak dramatyczny jak widok z góry, ale ponieważ widać stąd domy, wydaje mi się bardziej interesujący. W nocy musi być miło oglądać wszystkie światła miasteczka, choć pewnie nie ma ich wcale aż tak wiele.

— Tak więc przyjechali tutaj i zabrali się do pracy, własnymi rękami, łopatami i kilofami wycięli płaski kawałek terenu w stromym zboczu wzgórza. Pracowali w weekendy, przyjeżdżałem tu czasami, by przyjrzeć się, jak im idzie, ale czułem, że nie chcą oglądać nikogo w okolicy ani dzielić się z nikim tym, co robią. W tamtych czasach było tu jeszcze mniej ludzi niż teraz. Byli tu naprawdę sami. Zakradałem się tu czasem w ciągu tygodnia, kiedy ich nie było. Zobaczyłem coś wspaniałego. Bezpośrednio na ziemi ułożyli bloki dwa na sześć, wyrównali tylko teren. Uzyskali w ten sposób niewielki prostokąt ziemi pod budowę domu. Możesz to sobie wyobrazić?

Kiwam głową.

— I tak bez żadnych fundamentów zaczęli stawiać drewnianą konstrukcję. Przypominało to trochę japońskie domy. Ale dach zrobili jak trzeba, kupili deski w Fernwood Hill, przybili nawet papę, którą widzisz. Później postawili ściany ze sklejki, od środka przybili deski na drewnianą ramę. Zostawili tylko miejsca na drzwi i okna. Mają wielkie okno z widokiem na miasteczko. Ale to jeszcze nie wszystko. Musisz zejść na dół i sam wszystko zobaczyć. Nikomu jeszcze tego miejsca nie pokazywałem, oferta pojawiła się dopiero trzy miesiące temu, a niewielu ludzi byłoby zainteresowanych czymś równie zwariowanym.

Rusza ścieżką na dół. To prawdziwa ścieżka. W ziemię wkopano kilka kamieni, które służą jako stopnie, ale zejście mimo wszystko jest nie lada sztuką. Kilka razy facet omal się nie przewraca, ale jakoś udaje nam się zejść.

Teren jest zarośnięty, co dziwne, dzikim geranium. Nigdy w życiu nie widziałem takiego ogromnego skupiska tej rośliny. Niewiele tu wody, choć rośliny są bardzo bujne, to jednak mają niewiele kwiatów. Przedzieramy się do wejścia do domku. Drzwi nie są szczególnie eleganckie, bez okienka. Po ich lewej stronie znajduje się co prawda okno, ale jest kompletnie wypaczone. Wygląda tak, jak gdyby przed chwilą wciśnięto je na siłę. Drzwi są zamknięte na klucz. Na kłamce pajak zdążył już rozpiąć pajęczynę. Pośrednik wyciąga pęk kluczy, przegląda je, próbuje, dopiero trzeci okazuje się właściwy. Dziwnie się czuję w takim miejscu. Drzwi otwierają się z wielkim trudem, trzeba je mocno kopnąć od dołu.

Nie mogę wprost uwierzyć własnym oczom, coś takiego pośród wszystkich tych chwastów! Wnętrze wygląda jak miłosne gniazdko zbudowane na planie filmowym. Na tle ciemnozielonych ścian kolorowa tapeta. W kącie stoi wspaniałe podwójne łóże ustawione na wprost okna, które jest brudne, pełne pajęczyn, a w dodatku zasłonięte pędami geranium, które zdążyło wyrosnąć również na dachu. Łóże nakryte jest żółtą kapą z frędzlami, osłonięte baldachimem w takim samym kolorze. Bardzo seksowne, nawet wśród brudu i śmieci rozrzuconych dookoła. Poduszki



leżą na swoim miejscu, na ścianie wisi nawet zegar z wahadłem. Dom wydaje się zbudowany wokół wielkiej szafy, która dzieli pomieszczenie na dwie części. Obchodzę ją i wchodzę do kuchni. Nad zlewem umieszczono miedzianą suszarkę do naczyń i dwie lampki z miedzianymi kloszami. Jest tu też niewielka lodówka. Rozglądam się dokoła.

Ten domek jest zadziwiający, bo wszystko jest tu jakieś pokrzywione. Wygląda to tak, jak gdybym trafił za Alicją wprost do Krainy Czarów. Ani jedna ściana nie stoi prosto, a niektóre okna są tak spaczone, że szyby same wychodzą z ram. Zastanawiam się, o czym właściwie myśleli jego budowniczowie. Trwałość stanowczo nie należała do ich priorytetów. Całe to miejsce sprawia wrażenie domku dla lalek albo szałasów zbudowanego w lesie przez chłopców, miejsca stworzonego dla zabawy.

Meble są naprawdę piękne. Niski stolik do kawy, chyba z klonowego drewna, dwa fotele na biegunach, jeden z klonu, drugi chyba też. Myszy albo jakieś inne gryzonie próbowały już dobierać się do obicia. Tyle mebli w zupełności wystarczy w tak niewielkim pomieszczeniu.

Podłoga umieszczona jest bezpośrednio na legarach. Jedyne połowa domu opiera się na ziemi, druga stoi na słupach. Część podłogi przerosło geranium, niektóre deski zaczynają próchnieć. Podłoga wsparta na słupach ma tylko jedną warstwę, więc przez szczeliny między deskami podłogi można oglądać leżące w dole kamienie. Oczywiście, tam, gdzie nie leżą dywaniki. Większa część domu, z wyjątkiem kuchni, wyłożona była pięknymi kiedyś dywanami. Ten dom na pewno zbudowano z miłością. Czuję, że sam mógłbym tu zamieszkać. Sam widok z okna mógłbym malować wciąż od nowa przez wiele lat.

Pośrednik chodzi za mną krok w krok i prawie się nie odzywa. Kiedy rozejrzałem się już dostatecznie, zapytałem, choć domyślałem się już odpowiedzi:

— Czy oni mieli jakieś pozwolenie na budowę?

Kiwa głową przecząco i uśmiecha się.

— A elektryczność? Widzę tu lampy. Czy mieli prąd? Ponownie się uśmiecha.

— W pewnym sensie. Mieli zezwolenie na podłączenie się do linii przyjaciół, którzy mieszkali niżej.

— Woda?

— Nie. Myślę, że przywozili ją w kanistrach. Mieli duży samochód.

— A kanalizacja? Nie widzę tu łazienki.

— 1 nie zobaczysz. Mieli pod domem beczkę wkopaną w ziemię, podejrzewam, że opróżniali ją co kilka tygodni.

— Kurczę, mieli takie piękne meble, zegar, lodówkę, po prostu wszystko, można by pomyśleć, że powinni się postarać o kanalizację.

— Co ja na to poradzę, nie ja to wybudowałem. Pomyślałem tylko, że ten domek może ci się spodobać. Jak już mówiłem, jeszcze go nikomu nie pokazywałem, niewielu ludzi wie, że w ogóle istnieje. Turyści nie wjeżdżają w Horseshoe Drive, a z dołu wcale go nie widać. To prawdziwa kryjówka, wydawało mi się, że być może chciałbyś go zobaczyć. Czy nie jest niezwykły?

Rozglądam się jeszcze przez chwilę. Nad sufitem przydałoby się trochę popracować, na razie widać ocieplenie i papę,

która zapada się między deskami. Na szczęście nauczyłem się trochę dekarstwa od wuja.

— Ile chcą dostać za to miejsce? Nie mówię, że chcę kupić, chciałbym się tylko dowiedzieć.

— Za działkę zapłacili pięćset dolarów gotówką. Teraz chcą trzy tysiące dolarów za działkę, dom i wszystko, co w nim jest. Prawdę powiedziawszy, od razu im mówiłem, że ta chata nie jest nic warta, jeśli ktoś to kupi, będzie ją musiał od razu rozebrać. Gdybyś im zaproponował dwa i pół tysiąca, na pewno by się zgodzili.

— Nie mam dwóch i pół tysiąca dolarów. Już mówiłem, mam tylko trzysta. A poza tym, nie

potrafiłbym sam doprowadzić tego miejsca do takiego stanu, by dało się tu zamieszkać.

— Mógłbyś to rozebrać i wykorzystać materiały na nowy dom. Masz tutaj co najmniej dwa i pół tysiąca w materiałach budowlanych, a do tego jeszcze meble.

Odwracam się i ruszam ścieżką w górę. Na razie mam dość oglądania miejsc, z których nie mogę mieć żadnego pożytku. Może kiedyś jeszcze tu wrócę. Jedziemy z powrotem do biura. Mówię właścicielowi nieruchomości, że dam mu znać, kiedy będę miał pieniądze, żeby kupić coś większego, i proszę go, by rozglądał się za jakimś kawałkiem mniej więcej płaskiego terenu z ładnym widokiem za mniej niż pięćset dolarów. Niczego więcej nie potrzebuję. Prosi mnie o numer telefonu, na wypadek gdyby coś takiego znalazł. Podaję mu numer do sklepu. Żegna mnie z uśmiechem. Kurczę, naprawdę nie chciałbym robić w handlu nieruchomościami.

Wracam do sklepu. Alice jest w pracy, siedzi na zapleczu, w moim mieszkaniu. Siedzi na krześle i wpatruje się we mnie.

— Cześć, Alice. Szukałem działki w Topanga Canyon. Ślicznie tam dzisiaj, gorąco, słonecznie, ani śladu smogu.

Ona jednak wciąż wbija we mnie wzrok. Teraz dopiero widać, że płakała. Ma zaczerwienioną twarz. Znowu zaczyna płakać,

— Clarence jest w szpitalu. Mimo podawania tlenu wczoraj w nocy nie mógł złapać oddechu. Myślałam już, że umrze.

Klękam obok niej. Nie mogę znieść płaczu, zwłaszcza ostatnio, sam nie wiem dlaczego. Patrzę w oczy Alice, a ona pochyla się ku mnie. Biorę ją w ramiona. Wciąż do mnie mówi, jej łzy spływają mi po karku. Jest pewna, że to już koniec, że już nigdy go nie zobaczy. Za mało wiem o rozedmie, by cokolwiek powiedzieć, więc tylko przytulam ją mocno do siebie.

— Jestem pewien, że wszystko dobrze się skończy, Alice. Nie płacz.

Ale ona płacze coraz mocniej. Nie wiem, co mam robić. Wstaję i przynoszę jej szklanek wody. Bierze ją do ręki, ale nie pije.

— Nie wiem, co teraz pocznę, AL. Nie chcę sama prowadzić tego sklepu, ale muszę jakoś żyć. Clarence ma niskie ubezpieczenie, wystarczy akurat na to, by go pochować, ale ten sklep to wszystko, co mamy. Sama nie wiem, co zrobię.

Przysuwam sobie krzesło i siadam obok niej. Właśnie w tej chwili rozlega się dzwonek telefonu. Choć to głupie, w pierwszej chwili myślę, że to pośrednik handlu nieruchomościami. Podaję słuchawkę Alice. Jest bardzo wystraszona. Siedzi i powtarza trzy razy „tak”, a potem oddaje mi słuchawkę. Nie płacze już.

— Dzwonili ze szpitala. Clarence zmarł dwie godziny temu. Chcą, żebym tam przyjechała. Zawieziesz mnie, AL? Leży w Santa Monica Hospital, niedaleko Dwudziestej Ulicy.

Milknie. Kiwam głową.

— To się stało naprawdę, AL. Clarence nie żyje, a my nawet nie mieliśmy dzieci. Jestem zupełnie sama. Mam siostrę w Kolorado, ale ona ma męża i trójkę dzieci. Chyba jedyne, co mi pozostało, to zostać tutaj i prowadzić ten sklep, żeby zarobić na czynsz i jedzenie, ale odtąd będę zupełnie sama.

Nie wiem, co powiedzieć. Wstaję. Ona również się podnosi. Otwieram tylne drzwi i pomagam jej wsiąść do jeepa.

Do szpitala docieramy w dziesięć minut. Przez większą część drogi Alice płacze. Wysiada z wozu, zanim zdążyłem go obejść, by jej pomóc. Wchodzimy do środka, pielęgniarka zna już nasze nazwiska, prosi koleżankę, by nas zaprowadziła.

Idziemy więc za nią, ja z nadzieją, że nie zobaczymy po drodze żadnych trupów. Dostyc już się ich naoglądałem. Łyknąłem przed wyjściem kilka tabletek, które powinny mi pomagać, kiedy jestem w depresji albo kiedy czuję, że może się zbliżyć. Kiedy wysiadamy z windy, Alice

zwiesza się na moim ramieniu, pojmuję, że za chwilę zemdleje. Pielęgniarka kładzie ją delikatnie na podłodze. Wzywa pomoc, a pielęgniarki przyprowadzają wózek. We trzech unosimy Alice z podłogi, po chwili przychodzi do siebie. Jest zaskoczona, że znalazła się na wózku, i próbuje się podnieść. Pielęgniarka mierzy jej puls.

— Wszystko w porządku, kochanie. Zrobiło się pani tylko troszkę słabo. Wszystko będzie dobrze. Proszę chwilę odpocząć.

Alice kładzie się i wbija wzrok w sufit. Pielęgniarka kiwa na mnie.

— Czy jest pan członkiem rodziny?

Potrząsam głową przecząco.

— Wie pan, gdzie mieszka pani Weidemeyer?

— Tak, na Wadę Street w Venice. Wynajmuję pokój na zapleczu jej sklepu.

Pielęgniarka najwyraźniej nie wie, co ma zrobić.

— Czy ona już wie, że jej mąż nie żyje?

— Tak, zostaliśmy tu wezwani telefonicznie. — I o wszystkim już wam powiedziano?

— Tak. Byliśmy właśnie w sklepie. Kiedy wróciłem, znalazłem ją we łzach, powiedziała mi, że jej mąż się tu znalazł.

Spogląda na Alice, która płacze, ale nie jest już tak bardzo blada.

— Sądzi pan, że może teraz zobaczyć swego męża? Widzi pan, to nie jest wcale konieczne.

Alice zaczyna się podnosić.

— Chcę zobaczyć Clarence'a. Chcę go natychmiast zobaczyć.

Pielęgniarka i ja pomagamy jej usiąść na brzegu wózka, a potem opuścić stopy na podłogę. Wygląda już całkiem dobrze. Przechodzimy korytarzem do pokoju. Łóżko Clarence'a jest zasłonięte parawanem. Pielęgniarka wprowadza nas do środka i zwraca się do mnie:

— Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Ale jego płuca odnowiły już posłuszeństwa. Co za straszna śmierć. Czy może się pan teraz zająć panią Weidemeyer?

Kiwam głową i uśmiecham się do pielęgniarki. Okazała nam mnóstwo cierpliwości.

Alice staje obok łóżka, na którym leży Clarence. Ma spokojny wyraz twarzy i zamknięte oczy. Alice pochyla się nad nim i całuje go. Opanowała już rozpacz, tylko policzki ma jeszcze wilgotne od łez. Zwraca się do mnie:

— Tak dobrze zobaczyć, że wreszcie jest spokojny. Tak wiele wycierpiał przez ostatnie lata. Byłabym egoistką, domagając się, by nadal żył, teraz jest mu dużo lepiej.

Wpatruję się w Clarence'a. Czuję, że i mnie robi się słabo. Prawie wcale go nie znałem, ale bliskość śmierci okazuje się dla mnie trudniejsza do zniesienia, niż się tego spodziewałem. Alice odwraca się i bierze mnie pod ramię.

— Cieszę się, że tu przyszedłem. Chciałem go zobaczyć. A teraz chodźmy.

Razem załatwiamy wszystkie formalności. Podaje nazwę firmy ubezpieczeniowej i numer polisy i automatycznie uruchamia wszystkie sprawy związane z pogrzebem.

Trzy dni później odbywa się ceremonia w protestanckiej kaplicy, a potem pogrzeb na pobliskim cmentarzu. Znalazłem czarny garnitur w sklepie Armii Zbawienia i wraz z pracownikami zakładu pogrzebowego niosę trumnę. Wygląda na to, że Clarence i Alice nie mieli zbyt wielu przyjaciół. W czasie mszy kościół jest prawie pusty.

— Tego właśnie życzył sobie Clarence. Chciał, bym go pochowała na tym cmentarzu bez żadnych zbędnych ceregieli. Nie wierzę w życie po śmierci, ale mam nadzieję, że Clarence jest teraz szczęśliwy.

Po paru dniach wszystko wraca do dawnego rytmu. Alice zaprasza mnie kilka razy w tygodniu na kolację. Postanawiam zapisać się na drugi semestr szkoły letniej. Pierwszy przegapiłem, bo nie wiedziałem, że coś takiego w ogóle istnieje i że rząd pokryje koszty zajęć i materiałów w

ramach paragrafu szesnastego. Wybieram drugą część kursu historii sztuki, panna Delano nie będzie już uczyła, a w ten sposób uzyskam potrzebne punkty. Zapisuję się także na lektorat francuskiego. Muszę zaliczyć w ramach studiów kurs języka obcego. Zastanawiałem się nad hiszpańskim, ponieważ wielu mieszkańców Kalifornii włada tym językiem, ale pewnego dnia przyszło mi do głowy, że kiedyś będę chciał odwiedzić Francję, żeby zobaczyć katedry i miejsca, gdzie pracowali słynni malarze. Nauka francuskiego wydaje się więc całkiem niezłym pomysłem.

Między zajęciami włóczę się po Moore Hall, gdzie prowadzone są zajęcia z malarstwa. Większość sal popačkana jest farbą, wszędzie stoją porozstawiane sztalugi. Zaglądam na kilka zajęć i wiem już, że radziłbym sobie na nich lepiej niż wielu studentów. Ale w końcu to lato, może najlepsi studenci uczestniczą wyłącznie w zajęciach prowadzonych w ciągu roku akademickiego.

Widzę, że studenci pracują głównie nad martwymi naturami Raz jednak trafiam do sali z nagą modelką. Jeden ze studentów pilnujący wejścia odgania mnie od drzwi. Domyślam nie że chcą uniknąć kłopotów, ludzie potrafią zachowywać się bardzo dziwnie, kiedy mają do czynienia z nagością.

Na lektorat francuskiego zapisali się głównie ludzie, którzy uczyli się już tego języka w liceum. Nigdy w życiu nie słyszałem słowa po francusku, jeśli nie liczyć chwil, kiedy wyzwalaliśmy francuskie miasteczka i mieszkańcy witali nas kwiatami. Dla mnie był to jednak tylko bełkot, teraz będę musiał jakoś sobie z nim poradzić.

Przechodzimy od razu do gramatyki i długich list słówek. Wieczorami godzinami próbuję mówić do siebie po francusku. W książce jest trochę dialogów, odgrywam obie role, ale mój akcent jest nieznośny. To, że nasz wykładowca jest Meksykaninem, który zwykle uczy hiszpańskiego, wcale mi nie pomaga. Okazuje się, że mówi po francusku z silnym hiszpańskim akcentem. Na UCLA najwidoczniej naprawdę brakuje wykładowców.

Mam jednak taśmy i salę, w której można ich słuchać. Przesiaduję tam godzinami, słuchając i starając się naśladować to, co słyszę. Problem jednak w tym, że tak naprawdę nie słyszę tego tak, jak powinienem. Na szczęście końcowy test jest pisemny, a jestem pewien, że słownictwo i gramatykę opanowałem równie dobrze jak wszyscy inni, niezależnie od mojego opóźnienia. Na egzaminie końcowym po sześćdziesięciu godzinach zajęć dostaję A.

Kurs historii sztuki jest o wiele lepszy od zajęć z panną Delano. Teraz też oglądamy slajdy, nadal czarno-białe, ale wykładowca, doktor Harris, prowadzi prawdziwy wykład i wygląda na to, że wie, o czym mówi. Chodzę na jego zajęcia, jak chodzi się do kina. To dla mnie prawdziwa rozrywka. Z tego kursu także dostaję A. Na egzaminie końcowym doktor Harris wyświetla slajdy, a naszym zadaniem jest przekazanie wszystkiego, co wiemy na temat przedstawionych na nich dzieł sztuki. Do tego rozwiązujemy łatwy test wielokrotnego wyboru.

Staram się jak najczęściej dotrzymywać towarzystwa Alice. Dochodzi do siebie znakomicie, zrzuciła kilka kilogramów, wygląda teraz jak dziewczyna, a nie dojrzała kobieta. To zdumiewające. Rozmawiamy o moich zajęciach, zwłaszcza o historii sztuki. Bardzo ją to ciekawi, znakomicie zapamiętuje szczegóły. Zadaje trafniejsze pytania niż te, które zwykle padają na zajęciach. Próbuję namówić ją, by zapisała się do Junior College w sąsiedztwie, ale wstydzi się, bo nie skończyła liceum.

Odbywam regularne wyprawy do Topanga Canyon, by tam rysować i malować. Coraz lepiej wychodzi mi malowanie krajobrazów. Wciąż pracuję temperą albo akwarelami na papierze Strathmore. Nie naciągam go, bo jeszcze się tego nie nauczyłem. Później się tym zajmę. Wydaje mi się jednak, że moje obrazki są całkiem niezłe, Alice także się podobają.

Pewnej niedzieli zabieram ją ze sobą, nigdy tu wcześniej nie była. Bardzo boi się drogi, chociaż jadę powoli, ale podoba jej się jazda z opuszczoną przednią szybą. Włożyła tylko chustkę

na włosy.

Wjeżdżam na wzgórze Fernwood nad miasteczkiem i tą zwariowaną chatą. Siadamy na zboczu. Alice zabrała koc, rozkładamy go więc przy drodze. Przywiozła też kanapki, butelkę wina oraz książkę.

Odchodzę kawałek drogą do miejsca, gdzie drzewa nie zasłaniają pięknego widoku. Ustawiam tutaj sztalugi i zabieram się do rysowania. Drobne muszki, których tu pełno, mogą co prawda doprowadzić człowieka do szału, ale kiedy się wciągnę do pracy, w ogóle ich nie zauważam. Zanim przejdę do malowania, zostawiam podkład i farby na miejscu i wracam do Alice, aby zobaczyć, jak się czuje. Siedzi na kocu i przygląda się widokowi. Otworzyła butelkę wina i rozłożyła kanapki.

— Pora zrobić przerwę, AL. Za ciężko pracujesz.

Siadam na drugim końcu koca. Jestem rzeczywiście głodny, ale cóż, taki już jestem. Potrafię zupełnie zapomnieć o jedzeniu. Zaglądam do jednej z kanapek, tuńczyk z selerem. Gryzę kęs i pijam winem z butelki. Nie wzięliśmy kieliszków. Alice również zabiera się do jedzenia.

— Nie masz dziewczyny, AL? Nigdy nie widziałam cię z dziewczyną, a w sklepie też nie ma żadnych śladów po damskich odwiedzinach.

— Nie mam teraz czasu na kobiety, Alice.

— Ale jesteś przystojnym młodym mężczyzną. To niezdrowe, by w twoim życiu nie było żadnej kobiety.

— Może nie, Alice. Kiedy byłem młodszy, miałem zawsze jakąś dziewczynę, ale nie przypominam sobie, bym był od tego zdrowszy. — Milknę, odgryzam następny kęs. — Od wojny kobiety nie interesują mnie tak jak dawniej. Szczerze mówiąc, ludzie w ogóle mało mnie obchodzą. Zrobił się ze mnie samotnik.

— Posłuchaj, mówię do ciebie jak matka. Nigdy wprawdzie nie miałam własnych dzieci, ale jestem dostatecznie stara, by być twoją matką, więc posłuchaj mnie uważnie. To okropny wstyd, że taki przystojny młodzieniec jak ty miałby się zmarnować. Co się z tobą dzieje? To po prostu nienaturalne, że ciągle jesteś sam.

Nie czuję się obrażony. Sam wiele razy zadawałem sobie te same pytania. Odwracam się ku niej.

— Posłuchaj, Alice. Wydaje mi się, że dziewczęta i kobiety czują, że nie interesuję się nimi dostatecznie mocno. Próbowałem nawiązać kontakt z kilkoma, ale bez skutku. Wydaje mi się, że one szukają jakiegoś bohatera — sportowca. Kiedyś byłem kimś takim, teraz już nie. Zresztą mam jeszcze mnóstwo czasu.

— Mam nadzieję, że nie masz mi za złe tego, co powiedziałam, AL. Martwię się tylko o ciebie. Chcę, żebyś był szczęśliwy.

— Wydaje mi się, że jestem szczęśliwszy niż większość ludzi, Alice.

Taki był początek długich wysiłków Alice, by znaleźć mi dziewczynę. Była to nie lada gra.

## ROZDZIAŁ IX

Kiedy zajęcia zaczynają się na nowo, zapisuję się na drugą część kursu perspektywy, botaniki, biologii i teorii koloru, co prawie wypełnia mój plan. Mam szczęście, że żadne zajęcia się nie nakładają. Tym razem wiem już dobrze, na które zajęcia chcę się zapisać, wykorzystuję tę samą metodę, by to sobie zapewnić. Inaczej prawdopodobnie nie udało by mi się tego osiągnąć. Rozpocząłem studia w lutym, więc wszystko muszę robić na opak. Nie zapisuję się tylko na angielski, bo poprzedni kurs wypełnił już wymagany limit. Zapisuję się za to na francuski II, ale muszę zrezygnować, bo przekroczyłbym granicę piętnastu zajęć tygodniowo.

Nadal mieszkam na zapleczu sklepu. Alice gotuje dla mnie, w końcu umawiamy się, że będę jej za to płacił. Wiem, że jej się nie przelewa. Ciągłe też stara się dbać o moje życie towarzyskie. Przynoszę do domu studencką gazetkę „The Daily Bruin”, którą ona czyta o wiele częściej niż ja. Z niej właśnie dowiedziała się, że w każdy piątkowy wieczór odbywa się spotkanie towarzyskie połączone z pływaniem w basenie, ping-pongiem i tańcami. Są to wieczory koedukacyjne. Przypomina mi o tym tyle razy, że w końcu zgadzam się pójść. Przyda mi się trochę życia towarzyskiego, co do tego ma na pewno rację.

Co dwa tygodnie odwiedzam rodzinę, zawsze starając się robić to tak, by unikać spotkania z tatą. Mama tak bardzo się cieszy na mój widok, że czuję się fatalnie, iż nie odwiedzam jej częściej, ale wydaje mi się, że każda moja wizyta wywiera odwrotny skutek, niż zakładałem. Mario i Claudia wydają się naprawdę szczęśliwi. Oboje mają pracę i umeblowali swoje małe mieszkanko. Skierowałem ich do Armii Zbawienia i kupili tam większość tego, czego potrzebowali. W pewnym sensie był to mój prezent ślubny. Dostali ode mnie radio tranzystorowe, które mogą zabierać na plażę i urządzać sobie przyjęcia nad oceanem. Dziecko przyjdzie na świat w kwietniu lub maju. Są bardzo podekscytowani, a ja cieszę się wraz z nimi.

Nie mam pojęcia, jak powinienem się ubrać na tańce. Po kolacji Alice doprowadza mnie do porządku, prasuje koszulę, każe mi wypastować wojskowe buty i czesze mi włosy. Nie miałem pojęcia, że wyglądam jak zwierzak.

W sklepie Armii Zbawienia kupiłem sobie kąpielówki za pięćdziesiąt centów, zabieram też ze sobą ręcznik. Tak jak pisali w „Bruin”, wstęp jest bezpłatny. Przechodzę do szatni, przebieram się i wychodzę na basen. Umiem pływać, ale nie jestem mistrzem pływackim. Wskakuję do wody. Basen jest oświetlony, letnia woda wydaje się błękitna. Chlapiąc, posuwam się niezbyt amerykańskim kraulem w stronę płytkiego końca basenu. Świetnie się czuję. Alice miała rację, teraz czuję, że żyję.

Pluskam się w basenie przez pół godziny, a potem przechodzę na salę gimnastyczną. Ustawiono tu bramki do piłki ręcznej, boiska do badmintonu i cztery stoły do ping-ponga. Czuję się jak kompletny głupek. Przez chwilę wydaje mi się, że nigdy w życiu nie grałem w żadną z tych gier. Zawsze uznawaliśmy je za zabawy dla dziewczynek. Kiedy jednak przyglądam się teraz grającym, dochodzę do wniosku, że te gry wymagają zręczności.

Krażę po sali i w końcu zatrzymuję się koło stołów do ping-ponga. Grają w debła. Oglądam kilka meczów. Przypominam sobie, że jednak kiedyś, jako dzieciak, grywałem w ping-ponga w YMCA. Miałem wtedy chyba ze trzynaście lat, ale powinienem jeszcze pamiętać, jak się serwuje i liczy punkty. Stoję „tik sobie, próbując coś sobie przypomnieć, kiedy zbliża się do Mnie jedna z grających, młoda kobieta z paletką w dłoni.

— Może do nas dołączysz? Brakuje nam czwartego.

Kiwam przecząco głową i próbuję się odsunąć na bok.

— Nie grałem od lat, zepsuję wam tylko zabawę.

— Przecież możesz spróbować. Nie zjemy cię chyba.

Wtyka mi paletkę do ręki, a sama staje za stołem. Druga para wydaje się gotowa do gry. Próbuję się skoncentrować. Pierwszą piłeczkę, która leci w moją stronę, odbijam wysoko ponad głowami przeciwników na boisko do piłki ręcznej.

Wszyscy wybuchają śmiechem, ale życzliwym, nie śmieją się wcale ze mnie. Dziewczyna, która zaprosiła mnie do gry, rzuca się między grających i łapie piłeczkę. Jestem zaskoczony, że cała i zdrowa wraca do stołu. Przysuwa mi piłeczkę przed oczy.

— Popatrz, to jest tylko mała piłeczka, a nie piłka do baseballu, starczy ją lekko uderzyć paletką. To bardzo prosta gra. — Chwyta mnie za rękę i ustawia moją dłoń na paletce. — A teraz słuchaj: kiedy piłeczka znajdzie się przed tobą, odbij ją z taką siłą, by nie uderzyła o siatkę, ale zmieściła się na stole. Zrozumiano?

Staje obok mnie i przygotowuje się do serwu. Para po drugiej stronie stołu czeka cierpliwie. Serwuje i piłeczka wraca do mnie. Jakoś udaje mi się ją odbić, po trzykrotnej wymianie otrzymuję oklaski, ale za trzecim razem trafiam w siatkę.

— Przepraszam, nigdy się tego nie nauczę. Może powinniście poszukać kogoś innego.

— Nie. Już w ciebie zainwestowałam i jak na razie świetnie sobie radzisz. Nie chodzi przecież o to, by wygrać, ale o zabawę. A tak przy okazji, jak masz na imię?

— Jestem AL.

— A ja Althea, głupie imię, ale moje.

Serwuje ponownie. Nie wiem, ani jak następuje zmiana serwującego, ani jak liczy się punkty, a najgorzej już wychodzi mi trafianie w piłeczkę. Ale przeciwnicy są dla mnie naprawdę mili i zachęcają mnie do dalszej gry niezależnie od tego, co zrobię. Czuję, że pot występuje mi na czoło. To efekt połączenia nerwów, lęku, a także koncentracji. Jeszcze przed końcem pierwszego meczu udaje nam się kilka ładnych wymian. Zmieniamy strony stołu, ale nie partnerów. Nie wiem, czy tak się to robi, ale nie mam nic przeciwko temu. Okazuje się, że przegraliśmy 21 do 3. Nie zdobyłem żadnego z tych trzech punktów. Zaczynamy ponownie grać. Tym razem radzę już sobie nieco lepiej i zdobywam nawet dwa punkty. Gramy jeszcze, kiedy rozlega się muzyka. Ktoś puszcza pierwszą płytę i zaraz wszyscy zabierają się do rozbierania bramek do piłki ręcznej i siatek do badmintonu oraz stołów do ping-ponga, które ustawiamy pod ścianami. Oddaję swoją paletkę Althei, która zaraz ją odnosi. Podchodzę bliżej. Puszczają Benny'ego Goodmana, nagłośnienie jest całkiem niezłe.

Zanim pierwsza melodia dobiega końca, na parkiecie pojawiają się tańczące pary. Tańczą w skarpetkach, jak zwykle robiliśmy to w liceum, żeby nie niszczyć podłogi sali gimnastycznej. Tańce są różne, ale stary jitterbug, którego nauczyłem się jeszcze przed wojną, trzyma się wciąż mocno. Pojawił się jakiś nowy taniec, który polega na przytulaniu się do siebie i wymachiwaniu nogami. Miło jest usłyszeć znów śmiechy i muzykę. Znowu czuję się młodo.

Stoję tak sobie i patrzę, kiedy z głośników słyszę orkiestrę Harry'ego Jamesa. Zauważam Altheę, która idzie przez parkiet w moim kierunku.

— Co, nie tańczysz?

— Tańczę prawie tak dobrze jak gram w ping-ponga. — Powiedz, AL, jak właściwie brzmi twoje imię? Albert czy może Alfred?

— Prawdę powiedziawszy, Altheo, na ciebie też można by mówić Al.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— No cóż, mam na imię Alfonso, na drugie Carmen. Już dawno postanowiłem, że chcę, aby mnie nazywano AL. Ty masz na imię Althea i też mogłabyś nazwać się Al, chociaż mnie bardziej podoba się Althea. Mam jednak nadzieję, że nie będziesz mnie nazywać Alfonso.

Spogląda na mnie i uśmiecha się.

— Przez „F czy „ph”?

— „F”, jestem Włochem, nie Francuzem. Ale wybór należy do ciebie, zmienię imię, jeśli tylko tego sobie zażyczysz.

— Chodź, AL, zatańczmy. To łatwe, a jeśli nie umiesz tańczyć balboa, mogę cię nauczyć. To najgłupszy taniec, jaki znam.

Bierze mnie za rękę i prowadzi na parkiet. Większość ludzi wokół nas kołysze się w tył i w przód. Miała rację. Wygląda to 08 wyjątkowo głupi taniec, jakby wymyślony dla takich jak ja, którzy niespecjalnie umieją tańczyć. Wkrótce jednak przekonuję się, że nie jest to wcale takie proste. Po pierwsze Althea trzyma mnie za lewą rękę, podczas gdy moja prawa dłoń spoczywa na jej plecach, a właściwie dokładnie tam, gdzie plecy się kończą. Althea ma na sobie bardzo lekką bawełnianą sukienkę w drobne, niebieskie kwiatki. Prawą rękę trzyma na moim ramieniu, prawie że na karku. Dopiero teraz zauważam, że jest ode mnie niższa zaledwie o kilka centymetrów. Kołysze się rytmicznie w tył i w przód z wielką werwą, próbując mnie prowadzić. Ja zaś staram się kołysać wraz z nią, nie słucham muzyki, robię, co mogę, by dać się jej poprowadzić.

— Dobrze, AL. Zaczynasz łapać.

I ma rację. Właśnie w tej chwili zaczynam słuchać muzyki i nasze rytmiczne kołysanie zgrywa się jakoś z jej rytmem. Althea odchyła się w tył i uśmiecha do mnie.

Odpowiadam jej uśmiechem i rozglądam się dokoła. Wygląda na to, że kołysze się cała sala gimnastyczna. Większość par przytula się mocno do siebie i porusza jak jedno ciało. Althea zauważa, że się rozglądam.

— Wiesz, jak się nazywa to, co teraz tańczymy? Potrząsam głową w odpowiedzi.

Przytula się do mnie, tak że moja dłoń prawie zsuwa się na jej biodro. Jej twarz jest tak blisko, że włosy łaskoczą mnie wnoś.

— Mówią na to taniec „po-co”. Po co jeszcze tańczyć? Odchyła się w tył i wybucha śmiechem. Śmieję się wraz z nią. Wciąż podziwiam, jak bardzo jest radosna i pełna życia. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek poznał taką dziewczynę jak ona. Czuję się nagle bardzo młody i bardzo męski. To wspaniałe uczucie.

Nie wiem, dlaczego nie tańczy z kimś innym, z jakimś lepszym tancerzem, który z pewnością potrafiłby z nią rozmawiać. Próbujemy różnych tańców, w tym także i jitterbuga. Staralem się tego nie robić, kiedy byłem jeszcze „dawnym ALem”, bałem się, że zrobię z siebie idiotę. Ale tego wieczoru nic mnie to nie obchodzi. Wiem, że jest tak dlatego, że cokolwiek robię, jest przy mnie Althea. Wydaje się, że ona wszystko wytrzyma. Tańczymy tak przez cały wieczór, aż do jedenastej. Oboje nieźle się spociliśmy. Jej sukienka na plecach jest zupełnie wilgotna, a ja czuję pot spływający mi z czoła.

— AL, masz przy sobie jakieś pieniądze?

Spoglądam na nią. Chyba nie każe mi płacić za te tańce? Jeśli tak, proszę bardzo.

— Tak. Ile? Dlaczego?

— Pomyślałam sobie, że moglibyśmy pojechać do miasta, napić się coli albo koktajlu mlecznego. Wiesz, że w Westwood nie wolno sprzedawać alkoholu?

— Serio? To chyba niezły pomysł. — Co, prohibicja czy napicie się czegoś?

Łapie mnie za ramię. Nie mogę się do tego przyzwyczaić. Jest taka bystra, a jednocześnie tak bardzo na luzie.

— I jedno, i drugie.

Wybucha śmiechem i prowadzi mnie przez kampus.

— Jeśli nie masz przy sobie pieniędzy, mam tyle, że wystarczy na dwie cole.

— Zaszalejmy, Altheo, i zamówmy po koktajlu. Dla mnie czekoladowy. Nie piłem takiego od



czterech lat.

Zatrzymuje się i odsuwa mnie od siebie.

— Co? Cztery lata bez koktajlu mlecznego? Nie wierzę.

— To szczerą prawdą.

Zastanawiam się, czy powinienem spróbować jej to wyjaśnić.

Spogląda na mnie, ale nie zadaje żadnych pytań, czeka tylko. To także mi się w niej podoba.

— Walczyłem na froncie. Byłem tylko mięsem armatnim, pionkiem na wielkiej szachownicy wojny.

Mógłbym na tym skończyć, ale pojmuję nagle, że naprawdę chcę jej o tym opowiedzieć. Bardzo długo już nie rozmawiałem o tym z nikim oprócz psychiatrów.

— Walczyłem w polu, w Europie, poczynając od Normandii, a kończąc na prawdziwym polu pod miasteczkiem Reuth w Niemczech. Przez dziewięć miesięcy bez przerwy brałem udział w walkach.

— Ale mówiłeś przecież, że nie piłeś koktajlu od czterech lat.

— To prawda, w wojskowych szpitalach także nie podają koktajli.

— Mój Boże! Co ci się stało?

— Zostałem ranny. Zrobiłem zyg, kiedy powinienem był zrobić zag — To prostsze, niż się wydaje.

— Ale nie wyglądasz przecież na inwalidę. Masz obie ręce, obie nogi, widzisz i potrafisz grać w ping-ponga; możesz nawet tańczyć. Przecież z tobą tańczyłam, pamiętasz?

— To prawda, ale armia przyznała mi siedemdziesiąt procent inwalidztwa. Teraz próbują mnie rehabilitować, dlatego właśnie znalazłem się na UCLA, to część mojej rehabilitacji. Poszukałem tego słowa w słowniku, to znaczy, że jestem jak Humpty Dumpty. Mają wszystkie królewskie konie i wszystkich ludzi króla, ale nie potrafią złożyć mnie z powrotem. Przypomina to pewnie coś z *Bajek Babci Gąski*, zgadza się?

— Ależ, AL, to straszne. Mówisz poważnie?

— Aż za poważnie. Poszukajmy lepiej naszych czekoladowych koktajli. Zbyt długo już na nie czekałem.

Biorę ją pod ramię i ruszamy w stronę świateł Westwood Village. Wiem, że to jeszcze nie koniec, i choć to dziwne, cieszy mnie to. Prawdopodobnie czekałem na kogoś, z kim mógłbym porozmawiać, a ta cudowna młoda dama, która wcale nie wygląda jak dziewczyna, jest właśnie tą osobą.

Nie odzywamy się przez chwilę, a ona prowadzi mnie do nowoczesnego sklepu z barem. Siadamy naprzeciwko siebie. Zamawiamy po koktajlu, a ona wpatruje się we mnie. Odpowiadam jej spojrzeniem, rozbawiony, a jednocześnie zakłopotany naszą bliskością. Czekam na to, co nadejdzie, kiedy po raz drugi pociągnie koktajl przez słomkę.

— Czy ty sobie ze mnie żartujesz, AL? To niemożliwe, byś był aż tak poważnie ranny, nie na siedemdziesiąt procent inwalidztwa.

— A na sześćdziesiąt byś się zgodziła? Wiem, że to nadal sporo, ale co powiesz na sześćdziesiąt?

Wbija we mnie wzrok i podnosi się z fotela.

— Przestań, AL! To nie jest zabawne, i nie życzę sobie, abyś mnie obrażał albo kpił sobie ze mnie!

Mówi poważnie. Patrzy mi prosto w oczy, widzę w jej oczach ogień i gniew. A jednocześnie na rękach dostrzegam ślady łez. Ociera je nadgarstkiem, a potem sięga po papierową chusteczkę, by wydmuchać nos. Wpatruję się w nią, nie wiedząc, co mam teraz zrobić. Jak dotychczas jedynie moją mamę tak bardzo obchodził mój los.

— Chcesz posłuchać? Nie jest to wcale interesująca opowieść, w każdym razie dość ponura... jak w tej piosence, *Tobie jest smutno, kochanie, i mnie jest smutno*, coś podobnego, tylko że tu będzie ponuro. Nie chcę, żebyś była smutna czy ponura. Rozumiesz?

— Nie. Przestań się wygłupiać, to do ciebie nie pasuje. Jeśli chcesz, opowiedz mi o wszystkim, jeśli nie, zmienimy lepiej temat. Rozumiesz?!

Biorę w obie dłonie kubek z koktajlem, który traci powoli bąbelki — Wbijam w niego wzrok, a potem podnoszę oczy na Altheę. Nie rusza się, wierząc we mnie dziurę ślicznymi brązowymi oczami. Znowu patrzę na swoje dłonie.

— Niewiele mam do opowiedzenia, w każdym razie sam niewiele z tego rozumiem. Byłem zwyczajnym żołnierzem piechoty. Nigdy nie zrobiłem nic wartego uwagi i nikt nigdy nie zwracał uwagi na to, co robiłem. Byłem ranny w twarz pod koniec wojny, ale lekarze załatali mnie całkiem szybko. Nie, nie dlatego noszę brodę. Nie próbuję ukrywać przed tobą jakichś blizn, Altheo.

Naprawdę mnie słucha, tak uważnie, jak jeszcze nikt mnie nie słuchał, nawet żaden z lekarzy, a już na pewno nie doktor Weiss.

— To mój umysł odniósł w czasie wojny najpoważniejsze obrażenia, Altheo. Nie, nie musisz się bać. Zostałem zwolniony do cywila jako niegroźny schizofrenik. Oznacza to w zasadzie, że mogę być niebezpieczny jedynie dla siebie samego. — Ponownie podnoszę wzrok na jej skupioną twarz. Próbuję się uśmiechnąć, ale zapomniałem już, jak się to robi. — A kiedy ma się wroga w środku, ma on nad nami przewagę. Przed samym sobą nie można uciec, a ja boję się nawet próbować. Jesteś pewna, że chcesz tego wszystkiego słuchać?

Kiwa tylko głową. Z jej twarzy wyraźnie czytam, że nic z tego nie rozumiem. Czegóż innego mogłem się spodziewać? Dochodzę jednak do wniosku, że skoro posunąłem się już tak daleko, mogę opowiedzieć więcej.

— Widzisz, moje kłopoty polegają głównie na tym, że nie lubię już ludzi. Powinienem stać się socjopata, ale w moim przypadku nie jest aż tak źle, prawdopodobnie dlatego, że do ludzi, których nie lubię, zaliczam również samego siebie. Straciłem wiarę prawie we wszystko. W pewnym okresie nie chciałem wręcz dopuścić do tego, że mógłbym być sobą. Stworzyłem sobie alter ego. Kogoś, kim sam chciałem być. Stworzyłem je na podstawie wspomnień o przyjacielu z college'u. Wiele czasu spędzaliśmy razem, ale przede wszystkim hodowaliśmy wspólnie gołębie.

Dostrzegam na jej twarzy znaczący wyraz, ale nie przerywam.

— Tyle pamiętam, ale stałem się swoim przyjacielem, nadałem mu nawet imię, Ptasiek, i poprzez niego żyłem jako ptak, kanarek, zakochałem się w samiczce, kochałem się z nią, mieliśmy młode, śpiewaliśmy razem, latałem z nią. To było cudowne życie, tak cudowne, że chciałem w nim pozostać, nie chciałem na powrót stać się człowiekiem.

Ostrożnie pociąga łyk koktajlu, może powinienem na tym skończyć, pewnie tak byłoby lepiej. Cały drzę, prawie tak jak wtedy, w czasie tych pierwszych miesięcy, kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że nie jestem Ptaśkiem, że Ptasiek nigdy nie istniał. To było takie straszne. Wiem, że robię w tej chwili wszystko, co w mojej mocy, by się nie rozplakać. Tego by jeszcze brakowało.

— Powiedz mi proszę, AL, co takiego stało się w twoim prawdziwym życiu, że zrobiłeś coś podobnego, że odrzuciłeś samego siebie i wolałeś zostać chłopcem-ptakiem? Nadal tego nie rozumiem.

A więc wracamy do punktu stopowego. Powinienem dać sobie spokój. Nic na to nie można poradzić.

— Altheo, o ile wiem, a nie wygląda na to, by ktoś mógł wymyślić jakiś lepszy powód, zanim zostałem ranny, tak bardzo bałem się śmierci czy bólu, że nie potrafiłem znieść tego, że mógłbym dłużej być sobą. Co gorsza, byłem w jakiś dziwaczny, pokręcony sposób przekonany, że to

wszystko, całe to cierpienie, wynika z mojego „tchórzostwa”. Dlatego właśnie mnie trafili, nie mogłem dłużej być sobą. Najwyraźniej zacząłem bać się samego siebie tak bardzo, że porzuciłem siebie i nie chciałem już być ani sobą, ani nikim innym.

Pociągam kilka łyków koktajlu i spoglądam na nią ponownie. Po jej twarzy spływają łzy. Wyciąga ku mnie ręce i obejmuje moje dłonie. Siedzimy tak przez chwilę. Rozglądam się dokoła. Jesteśmy ostatnimi gośćmi. Czuję się bardzo słaby.

— Chodźmy stąd, Altheo, zanim nas wyrzucą.

— Która jest godzina, AL? Nie mam zegarka.

Jej twarz jest zaczerwieniona od łez. Patrzę na zegarek, ale nie mogę wydusić z siebie słowa. Podnoszę rękę, by mogła sama sprawdzić godzinę.

— O mój Boże! AL, w moim akademiku jest już cisza nocna. Miałam już pięć ostrzeżeń, to może być koniec. Powinnam wracać przed dziesiątą. Co ja teraz zrobię?

Biorę głęboki wdech i chwytam jej dłonie.

— To wszystko moja wina. Gdzie jest twój akademik? Zawiozę ją cię tam i wszystko wyjaśnię.

— Och, AL, to się nie powinno tak skończyć. Czy powiedziałaś, że masz samochód?

— Jeepa.

— W takim razie, jeśli się pospieszymy, może zdążę przed zamknięciem drzwi. Muszę dzwonić, jeśli wracam po dziesiątej trzydzieści, naprawdę mogą mnie wyrzucić.

— Przyprawdę jeepa, stoi na studenckim parkingu. Zawiozę cię tak szybko, jak tylko będę mógł. Pobiegnę po wóz i zaraz tu wrócę. Weź pieniądze i zapłać. Poczekaj na mnie na zewnątrz.

Wypadam sprintem przez drzwi, obok kasjera, który myśli pewnie, że próbuję uciec bez płacenia. Pędzę przez kampus na parking, na którym jeep stoi zupełnie sam. W jednej ręce trzymam palec rozdzielacza, a w drugiej kluczyki. Silnik zapala t za pierwszym razem, startuję z parkingu, nie jestem nawet pewien, która droga prowadzi do Westwood Village, ale jakoś trafiam na miejsce, Althea już na mnie czeka. Wskakuje do wozu i raz jeszcze patrzy na mój zegarek. Potrząsa głową.

— Nie kiwaj głową, tylko powiedz, gdzie mam jechać.

— AL, za nic nie zdążymy. Akademik jest na Hilgard, to po drugiej stronie kampusu.

— Wskazuj tylko drogę. Zdążymy.

Pilottuje mnie, a ja zmieniam tylko biegi. Po niespełna pięciu minutach stajemy przed dużym budynkiem obok ogrodu botanicznego. Złamałem wszystkie zasady dotyczące nieprzekraczania prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, jechałem dziewięćdziesiątką po mieście.

Zatrzymujemy się, wyłączam silnik. Wbiegam z Altheą po schodach. W oświetlonych drzwiach widać jakąś sylwetkę. Oboje jesteśmy zdyszani. Kobieta otwiera drzwi, ma pewnie z sześćdziesiątkę. Włosy nawinęła na lokówki i okryła przezroczystą chustką.

— Już dawno trwa cisza nocna, Altheo. Powinnaś wiedzieć, że lepiej będzie, jeśli nie będziesz pojawiać się tu o tej porze. Już kładłam się do łóżka.

Staję przed Altheą, która znowu wybucha płaczem.

— Proszę pani, to ja jestem wszystkiemu winien. Althea i ja po prostu nie zorientowaliśmy się, że jest aż tak późno.

— To zwykła wymówka. Czy nie mógłby pan wymyślić czegoś lepszego, młody człowieku?

— Proszę pani, to najczystsza prawda. Obiecuję z całego serca, że jeśli Althea jeszcze kiedyś się ze mną spotka, nigdy już się nie spóźni.

— Jest pan bardzo elegancki, młody człowieku, ale musimy stosować się do pewnych zasad wobec naszych dziewcząt, bo kto wie, co mogłoby się wydarzyć.

— Proszę. Obiecuję. Oboje obiecujemy.

— Proszę, pani Loughran. To się nie powtórzy. Spogląda na mnie, a potem na Altheę.

— Wiesz, Altheo, że jeśli stracisz miejsce w tym akademiku, nie masz już dokąd pójść. Wiem, że twoi rodzice mieszkają daleko, a moja praca polega na tym, by ich zastępować. — Milknie na chwilę, a potem się uśmiecha. — Dobrze, Altheo, zmykaj do łóżka, przez najbliższy tydzień czeka cię dyżur przy zmywaniu w kuchni. Przez dwa tygodnie masz się codziennie meldować o siódmej wieczorem. Zrozumiano?

— Dziękuję, pani Loughran. Nie wiem, jak mam pani dziękować.

Althea wchodzi do środka, a kobieta zamyka drzwi.

— Przepraszam, pani Loughran. Chciałbym pani podziękować i obiecać, że to się więcej nie powtórzy, jeśli tylko będzie to ode mnie zależało.

— W takim razie mam nadzieję, że coś pan w tej sprawie zrobi.

Z tymi słowami zamyka drzwi, słyszę jeszcze tylko brzęk łańcucha, a potem trzask zamka.

Stoję tam jeszcze przez pięć minut, nagle dociera do mnie, że może się pojawić jakiś wóz policyjny albo ochrona kampusu i znajdę się w kłopotach. Akademik znajduje się pomiędzy siedzibami bractw, wśród innych akademików, nie jest to najlepsze miejsce dla kogoś takiego jak ja, brodacza w żółtym jeepie stojącym pod zakazem parkowania.

Schodzę po schodach i wsiadam do wozu. Nie mogę powiedzieć że źle się bawiłem, wieczór wcale nie był nudny. Mam nadzieję, że spotkam się jeszcze z Altheą. Zapisałem sobie na wszelki wypadek numer akademika. Nie znam jej nazwiska, ale nawet jeśli podam tylko imię i adres, list prawdopodobnie do niej dotrze. To jedna z zalet posiadania rzadkiego imienia.

Piszę do niej jeszcze tej samej nocy, przepraszam za to, że przeze mnie się spóźniła, za to, że ją zanudzałem, a potem piszę, jak bardzo jestem wdzięczny za jej dobroć, za to, że wciągnęła mnie do gry.

Następnego ranka budzę się po nocy bez koszmarów. Spodziewałem się, że znowu mi się przyśnią po tym, jak opowiedziałem o wszystkim Althei.

Na Venice Boulevard jest urząd pocztowy, idę tam więc, kapuję kilka kopert i znaczków i wysyłam list do Althei. Czuje, że próbuję ją wykorzystać, ale co mi tam.

Dwa dni później znajduję na podłodze sklepu liścik. To pierwszy list, jaki dostałem od ponad dwóch lat. Zanoszę go na zaplecze, mam jeszcze chwilę czasu dla siebie. Nie chcę czytać go w szkole ani w obecności Alice.

Althea nie wspomina ani słowem o spóźnieniu. Nie pisze też nic o moim liście. Domyślam się, że poszła pewnie do Kirchoff Hall i tam w dziekanacie zdobyła mój adres. Pisze, że u niej wszystko w porządku, twierdzi nawet, że polubiła zmywanie. Przyznaje, że inne dziewczęta pokpiwają sobie z jej spóźnień. Prosi, abym do niej napisał. Nie możemy się spotykać, więc to jedyne możliwe kontakty. Podaje mi swój adres w akademiku Hilgard.

Nie jest to może szczególnie długi list, ale za to pierwszy od dwóch lat. Siadam od razu przy stoliku i zabieram się do pisania odpowiedzi, która zajmuje w końcu cztery strony. Od czasów liceum nie napisałem nic tak długiego. Wkładam list do koperty i naklejam znaczki. Po drodze wrzucam go do stojącej na rogu skrzynki.

Przez następny tydzień prowadzimy regularną korespondencję, jak Heloiza i Abelard. Każdego ranka czekam na list, który wpadnie przez szczelinę w drzwiach, a potem wrzucam odpowiedź do skrzynki na rogu Venice i Wadee.

Zaskakujące, że o wiele łatwiej jest „konwersować” listownie niż prowadzić zwyczajną rozmowę. Nie chodzi o to, że pisujemy o rzeczach wyjątkowo ciekawych, a już z całą pewnością nie wymieniamy typowych listów miłosnych, są one jednak bardzo osobiste. Może dzieje się tak dlatego, że Althea studiuje historię literatury angielskiej i coś z tego przenosi się na jej pisanie, może dlatego, że tak naprawdę nie jesteśmy razem, nie stajemy twarzą w twarz. Jej listy są dla

mnie fascynujące, odkrywcze, zabawne, czuję też, że moje listy są lepsze niż wszystko, co do tej pory napisałem. To akurat nie jest trudne, ponieważ w ogóle niewiele dotąd pisywałem oprócz esejów dla doktora Worthama i zapisów nocnych koszmarów.

Trudno mi się skupić na nauce, przypadkiem opuszczam nawet jedno zajęcia. Przyjaźń z Altheą to dla mnie bardzo dziwne doświadczenie. Do tej pory najbliżej byłem z Ptaśkiem — przypominało to nieco zapiski, które topiłem w toalecie. Wtedy jednak pisałem do siebie, mówiłem do siebie, a teraz piszę do kobiety; staram się jej pomóc zrozumieć mnie, a jednocześnie staram się zrozumieć i ją, i siebie samego.

Z listów Althei dowiaduję się, że również ona nie pochodzi z Kalifornii, przyjechała tutaj, by uciec od mroźnego klimatu Chicago, a po części dlatego, że została przyjęta na tutejszy uniwersytet. Nie potrafi wprost uwierzyć, że przyjmując mnie na UCLA, nie brano pod uwagę moich stopni z liceum. Odpisuję, że możliwe, iż wynika to z tego, że zostałem studentem na podstawie paragrafu szesnastego. Nie wiem, jak mam jej to wyjaśnić, po prostu sam nie wiem, dlaczego tak się stało. Dopiero później napisałem jej o doktorze Wileju i jego dziwnym teście.

Jej rodzice pracują w barze w centrum Chicago, ojciec jest barmanem, a matka kelnerką. Althea twierdzi, że to dobra praca i przynosi sporo pieniędzy, ale nie jest najbardziej wskazana dla nich dwojga, ponieważ oboje mają problemy z alkoholem. Na dodatek pracują zwykle do drugiej, trzeciej w nocy, a później przesypiają większą część dnia. Pisze o tym zwyczajnie, nie prosząc o współczucie. Po prostu taka jest.

Ja zaś opowiadam jej o przeprowadzce moich rodziców, o Mariu. Staram się wyjaśnić, jak bardzo chciałbym, żeby poszedł do college'u, lecz teraz to niemożliwe, bo chociaż skończył zaledwie dwadzieścia lat, ma już żonę i dziecko. Piszę, że moim zdaniem mój brat jest już przegrany.

Althea wcale tak nie uważa. W swoim trzecim liście pisze, 'e życie można przeżyć na różne sposoby i powinniśmy pozwolić innym, by żyli tak, jak sami zechcą.

Przyznaje, że przeniosła się do Kalifornii, by uciec od rodziców. Oni uważali, że najlepiej by było, gdyby sobie znalazła posadę sekretarki, wyszła za męża i miała dzieci. Czuła, że uważają iż jest dla nich ciężarem, a tego nie chciała. Tutaj, w Kalifornii, ma większe szanse stać się tym, kim chce.

W czwartym liście wyjaśnia, jak udaje się jej utrzymywać bez pomocy z domu. Pracuje na pół etatu w bibliotece. To ona jest jednym z elfów, które mieszkają w podziemiach i przenoszą książki. Na tym właśnie polega jej praca, odbiera rewersy, wyszukuje książki na półkach, a potem wkłada do windy. Twierdzi, że lubi tę pracę, przede wszystkim dlatego, że ma wiele wolnego czasu dla siebie. Otaczają też to, co kocha najbardziej: **KSIĄŻKI!!!** Należy do tych osób, które stanowczo powinny znaleźć się na uniwersytecie, gdyż naprawdę mogą wiele na tym zyskać. Chciałbym, aby było tak również w moim wypadku.

Opowiadam jej o tym, jak bardzo rozczarowują mnie wykładowcy wydziału sztuk pięknych. Wszystko, czego próbują mnie uczyć, nie zbliża mnie ani trochę do tego, czego potrzebuję. Chcę malować, zostać artystą. Piszę jej o tym w moim czwartym liście. Wiem, że nie jestem zbyt sprawiedliwy, muszę przecież przyznać, że czegoś się nauczyłem, zwłaszcza z perspektywy i teorii koloru.

Odkrywam, że zdecydowanie więcej dają mi kursy botaniki i biologii. Na wydziale sztuk pięknych w tym semestrze mam zajęcia z projektowania z panem Swoopsem, które są jedynie stratą czasu, oraz zajęcia ze szkicowania z natury z jakimś panem Stussym, który wygląda i zachowuje się tak, jak gdyby był młodszy ode mnie. Zachowuje się po prostu jak błazen. To, co dzieje się na jego zajęciach, nie ma żadnego związku z tym, czego chciałbym się nauczyć.

Wygłasza na przykład długą przemowę o tym, jak przywiązał się do klamki za ręce i zawiesił na niej, żeby poczuć bicepsy i tricepsy. Słucham tego i nie potrafię wprost uwierzyć, dla mnie wszystko to jest strasznie teatralne. Wydaje mi się, że wszystko na wydziale sztuk pięknych jest jednym wielkim teatrem, nic tu nie dzieje się naprawdę. Wiem, że moje kłopoty wynikają po części z tego, że nie umiem myśleć artystycznie. Althea wścieka się na mnie.

*Nie powinieneś traktować uniwersytetu jako swego rodzaju „lepszej” szkoły zawodowej. Byłbyś o wiele szczęśliwszy, gdybyś potrafił akceptować rzeczy takimi, jakie są, i starał się korzystać z nich do maksimum. Oczywiście, powinieneś próbować malować po swojemu, na własną rękę rozwijać swoje pomysły, jak ja to robię z książkami. Gdybym czytała tylko to, co mi każą, nigdy nie odkryłabym tego, czego szukam.*

Nie pytam jej, czego szuka. Być może ona to wie, ja stanowczo nie. Za bardzo pochłania mnie opowiadanie jej o sobie, o kłopotach ze szkołą, żeby się nad tym zastanowić.

Później próbuję opowiedzieć jej o doktorze Worthamie. Staram się napisać, jak wydawało mi się, że on jeden naprawdę widzi we mnie człowieka, a nie tylko studenta, i że chciał, abym zmienił kierunek studiów i zajął się angielskim. Staram się wyrazić swój entuzjazm wywołany jego pochwałami, chociaż to nie o nie mi chodzi. W końcu przyznaję, że tak naprawdę sam nie wiem, czego chcę, i to jest główne źródło moich kłopotów.

W ostatnim liście zaproponowałem, byśmy spotkali się na głównych schodach biblioteki, kiedy w sobotnie południe skończy pracę. Ja kończę wtedy zajęcia z botaniki, kurs, który rozpocząłem jeszcze w pierwszym semestrze. Mam nadzieję, że się zgodzi, ona jednak nie ma już czasu, by odpisać na mój list. Nie mogę zadzwonić, bo nie znam jej numeru. Kurczę, niezły ze mnie adorator. W końcu dochodzę do wniosku, że to wyłącznie moja wina, postanawiam więc zaryzykować.

Na zajęciach z biologii zajmowaliśmy się preparowaniem owadów, więc kiedy z książkami w rękę przysiadam na schodach, cuchnę cały formaldehydem. Najpierw chcę iść na parking, żeby zostawić książki w samochodzie, ale postanawiam nie ryzykować. Umyłem wprawdzie ręce w laboratorium, ale niełatwo pozbyć się takiego smrodu. Nie przeszkadza mi, kiedy moje ubranie jest przesiąknięte zapachem terpentyny, ale teraz śmierdzę jak właściciel zakładu pogrzebowego, a nie jak artysta.

Nie mija nawet dziesięć minut i w drzwiach pojawia się Althea. W pierwszej chwili mnie nie zauważa. Podnoszę się z nadzieją, że szuka mnie wzrokiem. Nie myślę się. Rusza ku mnie, podbiega kawałek i zatrzymuje się przede mną. Uśmiechamy się do siebie, wiem; że się zarumieniłem. Czuję się tak, jak gdybym wrócił z wojny do swojej dziewczyny, a przecież prawie się nie znamy.

Ona także ma ze sobą podręczniki, biorę je więc od niej. Nie spuszcza ze mnie wzroku.

— Naprawdę przyszedłeś. Trudno było mi do ciebie pisać, bo prawie nie pamiętałam, jak wyglądasz. Jestem teraz taka zakłopotana.

— Ja też. Czy to nie śmieszne? Kurczę, zachowujemy się jak przedszkolaki.

— Ja tam wcale nie czuję się jak przedszkolak.

— Nie? A jak się czujesz?

— Czuję się jak szczęśliwa młoda kobieta, która właśnie spotkała szczęśliwego młodego mężczyznę.

Wybucham śmiechem, który brzmi tak sztucznie, tak do mnie niepodobnie, że milknę.

— Nie przestawaj, tak miło słuchać, jak się śmiejesz. Proszę, śmieć się jeszcze.

— Nie potrafię. Szczerze mówiąc, śmiech wychodzi mi równie marnie jak taniec.

Kiedy tylko wypowiadam te słowa, dociera do mnie, że nie jest to już prawda. Oboje wybuchamy śmiechem. Kilkoro studentów wychodzi z biblioteki i dołącza do nas. Biorę ją za

rękę i wyprowadzam z tłumy.

— Pójdiesz ze mną na obiad, Altheo? Nie zdążyłem jeszcze dzisiaj nic zjeść.

Kiedy mówię te słowa, jak gdyby cudownym zrządzeniem losu, zaczynają bić dzwony Royce Hall. Zatrzymujemy się i słuchamy. Grają *Corning Through the Rye*. Zatrzymujemy się i podnosimy wzrok ku niebu, po którym przelatuje mały samolot. Stoimy tak, a studenci wymijają nas i schodzą po schodach. Dzwony kończą melodię i pojedynczy dzwonek oznajmia południe.

Nie mogę z siebie wykrztusić słowa. W końcu udaje mi się odezwać.

— Czyżby pora na łzy?

Ponownie wybucha śmiechem, a potem rusza wraz ze mną do Kirchoff Hall.

— AL, obiecuję, że nie będę płakała, jeśli zaprosisz mnie na obiad. Umieram z głodu. Ostrzegam, że mam w środku automatyczny zegar, który uruchamia się, kiedy nadchodzi pora posiłku. Muszę coś zjeść i to szybko.

W Kirchoff stoją już kolejki. Nie możemy tutaj spokojnie porozmawiać, gadamy więc o tym, co mielibyśmy ochotę zjeść. Sama rozmowa o jedzeniu sprawia, że czuję głód. Może ja też mam w sobie taki zegar, tylko nic o tym dotąd nie wiedziałem. Zamawiamy porcje, które wystarczyłyby dla czterech głodomorów, i przeciskamy się do pustego stolika. Mamy szczęście, że udało nam się go znaleźć, bo choć to sobota, w kampusie jest całkiem sporo studentów.

Oboje zamówiliśmy pizzę, sałatkę i podwójne frytki. Althea wzięła do tego małą colę, a ja koktajl mleczny. Wiem, że zamówiłem koktajl, żeby uczcić nasze pierwsze spotkanie.

Oboje zaczynamy jedzenie od frytek. Althea spogląda na mnie i mruga. Ona też to zauważyła. Siedzimy przez chwilę w milczeniu, skupiając się na jedzeniu. Nasze usta uśmiechają się, a nasze dusze śmieją się w głos.

— AL, przez ciebie mam w głowie kompletny mętlik. Opowiedz mi teraz wszystko do końca.

Odkładałam kawałek pizzy, który chciałem właśnie wsunąć do ust.

— Do końca? Napisałem do ciebie i opowiedziałem ci o sobie i swoim życiu więcej niż komukolwiek innemu, nawet mojemu wojskowemu psychiatrze. Co chcesz wiedzieć? Pytaj, nie jestem żadnym tajemniczym facetem. Mówię szczerze, chcę powiedzieć ci wszystko, co tylko zechcesz wiedzieć.

— Naprawdę? Tak właśnie to czujesz? Nie potrafię w to uwierzyć, AL.

— Co chcesz wiedzieć, Altheo?

— No cóż, jestem nieco zakłopotana...

— Nie masz żadnych powodów. Zabiłem kilku ludzi, bo oni próbowali zabić mnie. Ale to była wojna, takie rzeczy przydarzały się wszystkim. Czuję się winny, to cały mój problem, ale ty nie powinnaś się tym przejmować.

— Nie o to mi chodzi, AL, i dobrze o tym wiesz.

— Więc o co? Ja się poddam.

Biorę do ust kawałek pizzy, który przed chwilą odłożyłem.

— To niemożliwe, byś miał siedemdziesiąt procent inwalidzka. Widziałam, jak chodzisz, tańczyłam z tobą. Wiem, że widzisz dobrze. Obserwowałam cię bardzo uważnie, jestem pewna, że także słyszysz, więc nie chodzi również o słuch. Co jest tobą nie tak, AL? Przynajmniej pomóż mi zgadnąć, proszę.

Wybucham śmiechem w momencie, kiedy sięgam po koktajl krztuszę się i o mało co nie wylewam wszystkiego na Altheę. Chyba nie do końca jeszcze udało mi się rozszyfrować wszystkie tajemnice śmiechu, nie wiem, kiedy należy, a kiedy nie należy się śmiać. Althea podrywa się przerażona. Zaczyna wycierać ślady koktajlu z twarzy, a potem z koszuli, wreszcie z blatu. Widzę wyraźnie, że jest zaniepokojona. Mija jednak kilka minut, zanim udaje mi się coś powiedzieć.

— Altheo, proszę, nie wpadaj w panikę. To nie jest powód mojego siedemdziesięcioprocentowego inwalidztwa. Wydaje mi się, że nawet gdybym robił coś podobnego dziesięć razy dziennie, w najlepszym razie daliby mi dziesięć procent. Możesz się odprężyć.

Mija jeszcze chwila, zanim oboje dochodzimy do siebie. Althea przechyla głowę na bok i patrzy na mnie. Nie pamiętam, by ktokolwiek przyglądał mi się tak uważnie przez całe moje życie.

— Zgoda, Al, skoro tak cię interesuje moje inwalidztwo. Siedemdziesiąt procent, wydaje się, że to całkiem sporo, prawda? Może gdybym stracił obie ręce i obie nogi, siedemdziesiąt procent miałyby sens, ale armia nie myśli w ten sposób.

— A więc straciłeś siedemdziesiąt procent siebie, a to, co teraz widzę, to tylko cień?

— W pewnym sensie tak. Ale to też nie jest cała prawda. Szczerze mówiąc, wolałbym o tym nie rozmawiać. Zbyt wiele razy już o tym mówiłem ze zbyt wieloma ludźmi, to dla mnie bardzo nieprzyjemne.

Przechyla głowę w drugą stronę. Wciąż mi się przygląda, ale z jej twarzy zniknął uśmiech, nic nie mogę z niej wyczytać.

— Altheo, stygnie ci jedzenie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zabrać cię w jedno z moich ulubionych miejsc. Obiecuję, że tam opowiem ci o wszystkim. Naprawdę, opowiem ci o wszystkim, co wiem, co rozumiem. Zgoda?

Kiwa głową i zaczyna skubać frytki, a potem odłamuje kawałek pizzy. Nigdy nie widziałem, by ktoś jadł pizzę od brzegu. Nie odgryza też kawałków, odrywa je palcami i wsuwa do ust. Co jakiś czas przegryza frytką. Wygląda to niezbyt elegancko, ale praktycznie. Zaczynam jeść w ten sam sposób. Ona obserwuje mnie i znów się uśmiecha.

— Jeśli masz siedemdziesiąt procent inwalidztwa, to jak dostałeś prawo jazdy?

— Mam prawo jazdy z New Jersey, nie powiedziałem im o tym, a oni nie pytali.

— Myślisz, że kiedyś postarasz się o kalifornijskie prawo?

— Nie wiem, czybym chciał, Altheo, wystarczy, że widzę, jak prowadzą Kalifornijczycy.

Uśmiechamy się i wracamy do jedzenia. Wciąż jestem głodny. Kiedy kończymy posiłek, wciąż nie wiem, czy zechce ze mną pojechać. Oczywiście chcę jej pokazać Topanga Canyon, jedyne miejsce w Kalifornii, gdzie naprawdę czuję się jak w domu. Wstaje, więc ja podnoszę się także.

— Zgoda, AL, zabierz mnie, dokąd chcesz. Pojadę wszędzie, jeśli tylko zechcesz się przede mną otworzyć. Rozumiesz?

Kiwam głową i obchodzę stolik.

— Al, nie wiem, czy powinienem wszystko to na ciebie zrzucać, ale jeśli naprawdę tego chcesz, zgoda. Ostrzegam, że nie będzie to piękny obrazek, nawet jeśli jestem studentem malarstwa.

Bierze mnie pod ramię.

— Przestań się ociągać, AL. Jestem już dużą dziewczynką. Nawet jeśli jesteś gwałcicielem i mordercą, który uciekł z więzienia, i tak cię lubię.

Prowadzę ją w stronę parkingu. Nie mam teraz ochoty na rozmowę. Jestem szczęśliwy, że mam ją u swego boku, chociaż wysunęła rękę spod mojego ramienia.

— Zgoda, Al. Jestem zbiegłym mordercą, ale takich znajdziesz w tym kampusie całe mnóstwo, nie jestem jednak gwałcicielem, raczej wprost przeciwnie. Być może sama się o tym przekonasz. — Urywam, a ona nie naciska.

Kiedy dochodzimy do Motyla, zakładam palec rozdzielacza, w tym czasie Al obchodzi samochód. Zwinąłem osłonę, więc widać dokładnie wszystkie zmiany, jakich dokonałem. Al



widziała Motylka jedynie w ciemnościach, jest więc wyraźnie zaintrygowana.

— AL, co właściwie ma znaczyć ten zwariowany jeep? To wygląda jak jednoosobowy cyrk. I do czego właściwie służą te dziwne patyki wystające z tyłu jak suszarka do bielizny? Czy musisz być aż tak bardzo tajemniczy?

— Wskakuj do środka, AL Zapewniam, że jesteś bezpieczna, ale pewnie każdy morderca czy gwałcień zapewniałby cię o tym samym, więc niewiele to znaczy. Toczmy się wolno Westwood Boulevard do Olympic, a potem w stronę Santa Monica. Rzucam okiem na Altheę, cieszy ją wiatr wiejący prosto w twarz i rozwiewający jej włosy. Zamyka oczy.

Skręcam w Pacific Coast Highway, a potem ruszam na północ. Dzień jest przepiękny, na błękitnym niebie widać zaledwie kreski chmur. Choć jest jeszcze dość chłodno, na plażach robi się już tłok.

— AL, dokąd jedziemy? Nigdy nie zapuszczałam się w tym kierunku tak daleko od Santa Monica.

— Jedziemy do mojej tajemnej kryjówki, do mojej nory, kochanie.

Uśmiecham się do niej, a ona odpowiada mi uśmiechem.

— AL, powiedz mi wreszcie, do czego służą te patyki wystające z tyłu wozu? Czy coś na nich suszysz?

Odwracam głowę i rzucam okiem. Zwalniam. Jadę jak zwykle sześćdziesiątką, inne samochody mijają mnie ze świstem.

— Kurczę, AL, świetny z ciebie kierowca. Z początku bałam aie nawet patrzeć, ale teraz widzę, że jednak wiesz, co robisz.

— Powiedz to tym z wojska. Kiedyś w śniegu zjechałem z drogi i ledwie zdążyłem wyskoczyć, zanim jeep zaczął się zsuwać po górskim zboczku.

— Ale za coś takiego nie dostałbyś siedemdziesięciu procent inwalidztwa, prawda?

— Nie, ale powinienem. Gdyby wiedzieli, co dzieje się w mojej głowie, pewnie nie wahałoby się ani chwili.

Milknie. Jest taka śliczna, kiedy jest podekscytowana.

— AL, powiedz mi tylko, czy daleko jeszcze do tej twojej nory?

— Jesteśmy prawie na miejscu, Altheo, ale te wzgórza będą wyższe, więc gdybyś zaczęła się bać, powiedz tylko. Nie jadę szybko, bo nie lubię prędkości, a kalifornijscy kierowcy z przyjemnością wjechałoby mi w rurę wydechową, gdyby tylko mogli. Zapomniałem, że to sobota i że ruch będzie większy niż w ciągu tygodnia. Na ogół nie ma tu żadnych samochodów. Po obu stronach drogi wznoszą się coraz większe skały. Zbocza są prawie zupełnie nagie, tylko tu i tam widzę pojedyncze kępy mącznicy, szafwii czy karłowatych dębów. Kanion zwęża się, a droga przeciska się teraz pomiędzy wystającymi skałami. Jadę na dwójce, ale silnik pracuje ostatkiem sił. Mijamy miejsce, gdzie woda tryska ze skał. Koło źródła zebrało się parę osób, które napełniają butelki wodą. Założę się, że jest o wiele smaczniejsza od tego, co pijemy w Venice. Kiedy przejeżdżamy obok, wskazuję Al źródło.

— Tutaj wypływa magiczny napój, który warzy się w tych wzgórzach, starczy kropla, a będziesz chciała skakać ze skały na skałę. Nie polecam.

— Picia wody czy skakania po skałach?

— Woda jest świetna, ale kiedy się jej napijesz, poczujesz, że każda inna woda smakuje jak piwo bez bąbelków albo ścieki. Będziesz chciała skakać, rzucać się ze skał z rozłożonymi rękami.

Docieramy do miejsca, gdzie droga nieco się wyrównuje, mogę wreszcie wrzucić trzeci bieg. Skalne ściany po obu stronach rozsuwają się nieco i widzimy już pierwsze domy, a po prawej sklep spożywczy z blachy falistej. Parkuję obok niego. Al siedzi w wozie i wpatruje się w

wysokie zbrocza porośnięte krzakami. Decyduję, że nie będę wyjmował palca rozdzielacza, tutaj nikt nie ukradnie nam jeepa. Podchodzę do wozu od strony Althei.

— Altheo, chodź, kupimy sobie coś na piknik. Nie chciałabyś chyba umrzeć z głodu w mojej norze. A tak przy okazji, czy pijasz coś oprócz coli i koktajli mlecznych?

Wciąż rozgląda się dookoła, nawet nie patrzy, dokąd ją prowadzę.

— AL, to miejsce jest takie spokojne, a jednocześnie niepokojące. Teraz wierzę już w twoją norę i magiczne napoje. Tu naprawdę jest pełno magii.

— Cieszę się, że ty też to poczułaś, Altheo. Nie sądzę, bym mógł się ożenić z kimś, kto tego nie czuje.

Powiedziałem to bezmyślnie. Wiem, że nie był to jedynie żart, kpina, nie chciałem wyrzucić tego z siebie ot, tak sobie, mówiłem serio. Wiem jednak, że po raz drugi zrobiłem nie to, co należało.

Staje przed Altheą. Patrzy na mnie tak jak zawsze, kiedy robię coś, co ją przestraszy. Ma szeroko otwarte oczy. Bierze z pięć głębokich wdechów, zanim zdoła coś wykrztusić.

— Nie psuj wszystkiego, AL. Nie kłam, nie mów niczego, czego naprawdę nie myślisz. Za dobrze się razem bawimy.

— Nie mogę sam w to uwierzyć, Al, ale ja naprawdę tak myślę — Wiem, że zachowuję się jak wariat, ale czasami jednak wiem, co robię. Spróbuj jednak zapomnieć, co powiedziałem, jeśli tylko potrafisz. Porozmawiamy o tym później. Potrzebuję trochę czasu, żeby przemyśleć, zrozumieć, co się dzieje ze mną, z tobą, może z całym światem. Wymaż ze swojej pamięci to, co powiedziałem, i, proszę, pojedź ze mną do mojej nory. Całe moje życie pełne jest spraw, o których chciałbym ci opowiedzieć, i mam co najmniej tysiąc pytań, które chciałbym ci zadać. Zgadzasz się? Czy może wolisz, żebym odwiózł cię na uniwersytet? Wystarczy, że powiesz.

Blednie, usta jej drżą. Odwraca głowę na chwilę, a kiedy spogląda na mnie ponownie, widzę łzy w jej oczach. Wydaje się mienić wszystkimi barwami tęczy. Nie mogę na to patrzeć.

— Nie, AL. Nie chcę wracać. Zrobmy sobie piknik, jak proponowałaś. Zabierz mnie do swej nory, mój panie. Ostrzegam jednak, boję się mężczyzn w ogóle, a ciebie boję się bardziej niż kogokolwiek do tej pory, nawet tych, których miałam powody się bać.

Czekam, aż się opanuje. Wiem, że coś tracę. Biorę ją za rękę i wprowadzam do sklepu z blachy falistej. Czuję się tak bardzo oderwany od samego siebie, że sam już nie wiem, co robię. Nietęgo oczekiwałem. Wszystko jest takie nowe, takie przerażające, takie inne od tego, czego spodziewałem się po swoim synu.

Oboje drżymy. Althea unosi dłoń, żeby mi to pokazać. Uśmiecham się i w odpowiedzi wskazuję na swoje dłonie, drżą jak liść na wietrze. Udaje nam się jednak jakoś kupić paczkę chipsów i składniki niezbędne do przygotowania filadelfijskich *hoagies*. Nie będą pewnie takie, jak należy, ale czego można się spodziewać po delikatnym kalifornijskim jedzeniu. Kupujemy też dużą butelkę coli i lód. Manierka i zakrętka posłużą nam za naczynia. Chyba naprawdę nie czujemy się najlepiej. Althea wskakuje do wozu, a ja układam zakupy z tyłu. Staję za jeepem, próbując zebrać się jakoś do kupy. To chyba zbyt wiele dla kogoś o tak delikatnej osobowości jak moja.

Obchodzę wóz i siadam obok niej. Patrzy prosto przed siebie. Biorę kilka głębokich wdechów i przekręcam kluczyk w stacyjce. Spoglądam na Altheę, a ona uśmiecha się do mnie. Jestem już prawie gotów wyłączyć silnik. Czy naprawdę powinienem w takim stanie wjeżdżać na wzgórze? Czy to jest warte, by ryzykować życie Althei?

— AL, czy ty aby na pewno wiesz, dokąd jedziemy? Przecież to strome zbocze. Przepraszam, wiem, że ci w ten sposób nie pomagam, ale bardzo denerwuję się w samochodzie. Obiecuję, że nic nie będę mówić, a ty tylko prowadź, skoncentruj się na jeździe.

— Nic się nie stało, Altheo. Ja też jestem zdenerwowany, ale znam drogę na górę. Kiedy dotrzemy na szczyt, zobaczysz, że było warto.

— Na szczyt?! Jak na Mount Everest?

— Nie, nic podobnego. To tylko wzgórze. Nie ma się czego bać.

— Ale ja się boję.

Zatrzymuję Motylka i zaciągam hamulec.

— Mogę zawrócić, Al. Nie chcę, żebyś się bała.

— Jedź, AL, tu nie ma gdzie zawrócić, a zresztą ja wcale nie chcę zawracać. Jedź naprzód.

Puszczam hamulec i wrzucam jedynkę. Gdyby nie napęd na cztery koła, na pewno nie udałoby mi się teraz ruszyć Motylkiem. Zjeżdżamy w dół kilkadziesiąt centymetrów, a potem zaczynamy się wspinać. Po obu stronach leżą kamienie, które spadły z góry; zapomniałem już, jak wiele tu niebezpiecznych zakrętów. Kiedy wjeżdżałem tu po raz pierwszy, byłem tak podekscytowany, że prawie nie rozglądałem się dookoła. Teraz jednak jestem o wiele bardziej przerażony.

Wreszcie docieramy na szczyt. Wrzucam luz i przez chwilę siedzę nieruchomo, silnik pracuje na wolnych obrotach. Przed nami rozciąga się piękny widok, mnóstwo odcieni zieleni, niebo i ocean, a po niebie płyną chmury. Chociaż znam już to miejsce, widok zapiera mi dech w piersiach. Spoglądam w stronę Althei, żeby zobaczyć, jak ona się czuje. Widzę, że szlocha, po jej policzkach płyną łzy. Pochyla się ku mnie, a ja biorę ją ramiona. Przeszkadza nam potężna dźwignia zmiany biegów ale czuję, że ona chce być blisko mnie. Ja też to czuję. Wciąż boję się ludzi, nawet Althei, choć sam już nie wiem dlaczego. Otaczam ją ramieniem i biorę jej dłoń w swoją.

— Boże, AL, chyba nigdy w życiu nie widziałam nic tak pięknego, a jednocześnie przerażającego. Nigdy nie leciałam samolotem. To połączenie nieba, ziemi i wody jest doskonałe. Każdy z żywiołów jest jedyny w swoim rodzaju, ale tutaj łączą się, zlewają w jedno. To takie niewiarygodne, że nie mogę wprost na to patrzeć, a jednocześnie nie potrafię oderwać wzroku. Dziękuję, że chciałeś się tym ze mną podzielić, AL. Czuję, że moje życie zaczyna się właśnie w tej chwili, właśnie tutaj. Czy to jest ta twoja nora?

— Znakomicie cię rozumiem, AL. Ja też tak się teraz czuję, wciąż działa na mnie magia tego miejsca. Nie, Altheo, to nie jest moja nora, ale jesteśmy już blisko. Chciałem tylko najpierw podzielić się z tobą tym widokiem. Jestem bardzo podekscytowany, wręcz czuję uniesienie, tak się cieszę, że tobie też się podoba.

Prawie godzinę siedzimy tak bez słowa, trzymając się tylko za ręce i przypatrując się, jak słońce przesuwa się po niebie i chowa za chmurami. W końcu wysuwam swoją dłoń z jej dłoni.

— Zróbmy sobie teraz piknik, AL. Moglibyśmy poczekać, aż dotrzemy do mojej nory, ale to miejsce będzie jeszcze lepsze, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Możemy zawsze poczekać. Atak w ogóle, to nie jest tak naprawdę moja nora. Podoba mu się jednak ta myśl.

— Dobrze, AL, pokaż mi w takim razie, jak się przygotowuje filadelfijskie *hoagies*. Naprawdę chciałabym się tego do wieniec. Nigdy czegoś takiego nie jadłam, nigdy nawet o nich nie słyszałam. Całe to niewiarygodne piękno i te uczucia, jakie mnie ogarnęły, sprawiły, że zrobiłam się strasznie głodna, a na taki głód pomoże tylko magiczny filadelfijski *hoagie*.

— Nie możemy zrobić prawdziwego *hoagie*, Al, do tego potrzeba specjalnych składników, głównie włoskich, można je dostać tylko w Filadelfii. Możemy jednak spróbować. Wykorzystamy naszą prywatną magię, zgoda? Powinno nam się udać.

Zabieramy się więc do roboty. Rozkładałam serwetę na moim stoliku zamontowanym na dawnej podstawie karabinu maszynowego i rozkładałam składniki. Najpierw, ku wielkiemu zaskoczeniu Althei, przecinam bochenek wzdłuż. Teraz zaczynam układać na przemian plasterki serów i wędlin, które kupiliśmy w sklepie na dole: salami, kiełbasę, szynkę, włoskie kiełbaski.

Sery są głównie amerykańskie, ale, ku mojemu zaskoczeniu, znalazł się wśród nich także *provolone*. Posypuję całość włoskimi przyprawami, które trzymam w skrzynce po amunicji razem z solą i pieprzem. Teraz skrapiam odrobiną najlepszej włoskiej oliwy, którą dostałem od mamy. Używam jej po raz pierwszy, a kiedy otwieram butelkę, czuję zapach domowej kuchni.

Składam bochenek z powrotem i przekrawam całość na cztery części. Al otwiera butelki coli i nalewa do zakrętki i menażki, do których wcześniej wysypała pokruszony lód.

Otwieram paczkę chipsów i kładę na stoliku obok kanapek i już jesteśmy gotowi do jedzenia. Mamy nawet papierowe ręczniki. Nie możemy odwrócić siedzeń, siadamy więc tyłem do naszej „kuchni” i zabieramy się do kanapek. Althea proponuje jednak, byśmy najpierw stuknęli się naszymi „szklankami”.

— Wypijmy toast za nas, AL, i za wszystkie posiłki, które przyjdzie nam jeszcze dzielić.

Trącemy się, przez krótką chwilę patrzymy sobie w oczy i pijemy. Jestem jednocześnie rozbawiony sytuacją i przestraszony. Sam nie wiem, czemu słowa „wszystkie posiłki” przeraziły mnie. Dociera do mnie nagle, że nasz związek nabiera charakteru czegoś stałego, niezmiennego. Boję się, że sytuacja wymyka mi się spod kontroli, a jednocześnie wiem, że tego właśnie chcę. To jedna z pierwszych chwil od prawie roku, kiedy staję twarzą w twarz z moim osobistym szaleństwem.

Piknik udaje się nam jednak wyśmienicie. Jemy i zaśmiewamy się. Wypijamy colę i zjadamy prawie wszystkie chipsy. Lubię jeść i cieszę się, że Althei również sprawia to przyjemność.

Po jedzeniu sprzątamy resztki do worka, który kupiliśmy w sklepie na dole.

— AL, czy masz coś przeciwko tłustym kobietom? Moja mania twierdzi, że jem jak koń i wcześniej czy później odbije się to na mojej figurze, a w końcu będę mogła występować w cyrku jako kobieta-słoń.

— Nie, nie podobają mi się tłuści ludzie, AL. Wiem, że tak nie powinno być, ale uważam, że to nieestetyczne i niezdrowe. Ale jeśli chcesz, jedz wszystko, co chcesz. Nauczę się kochać kobietę-słonia.

— Jesteś niemożliwy, AL. Porozmawiajmy jednak o twoim inwalidztwie. Mam nadzieję, że nie jesteś zły, że jestem taka uparta, ale powiedziałeś przecie, że o wszystkim mi powiesz, a ja naprawdę chciałabym się wiedzieć. Myślę o wszystkich znanych mi facetach, żaden z nich nie jest nawet w jednym procencie inwalidą. Wydaje mi się niemożliwe, byś miał aż siedemdziesiąt procent.

— Może któryś z twoich znajomych jest inwalidą, a ty nawet o tym nie wiesz, może nawet on sam nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Masz na myśli drewnianą nogę albo szklane oko? — Posłuchaj, Al, mówię całkiem poważnie. Rozumiem, o co ci chodzi, doceniam twoją troskę, ale najpierw chciałbym zabrać cię do mojej nory.

— Zdawało mi się, że wspomniałeś, że tak naprawdę ona nie jest twoja.

— Niczego nie zapominasz, prawda? Nie, według prawa własności stanu Kalifornia nie należy do mnie. Jest to jednak mogą nora, bo ja tak ją nazywam. Na razie zjedźmy kawałek łtego szczytu.

— Nie masz nic przeciwko temu, jeśli wsiądę dopiero, kiedy Wwrócisz?

— Oczywiście, wsiądziesz, kiedy zjadę ze szczytu.

Jakoś udaje mi się zawrócić. Zatrzymuję się przy wjeździe do Fernwood Pacific.

## ROZDZIAŁ X

Powoli i ostrożnie zjeżdżam ze wzgórza. Zastanawiam się, co powinienem jej odpowiedzieć. Do tej pory tak bardzo otaczałem się tajemnicą, że sam już nie wiem, co w moim życiu jest prawdą. Przychodzi mi do głowy, że im bardziej się staram wyjaśnić coś Althei i sobie samemu, tym bardziej niejasne staje się to, co chcę, co mogę powiedzieć.

Kiedy dojeżdżamy do Horseshoe Drive, biorę ostry zakręt. Jednocześnie walczę z napędem na cztery koła, musiałem go włączyć, żeby objechać wielką skałę z lewej strony, inaczej nie dotarlibyśmy na miejsce. Al trzyma się uchwyty zamocowanych na bocznej ścianie jeepa. Nie mówi nic, ale na jej twarzy maluje się strach.

— Nie martw się, Al, jechałem już kiedyś tędy. Włączam napęd na cztery koła i objeżdżam skałę. Jadę na pierwszym biegu, jeśli nie uda mi się przejechać tego odcinka za jednym zamachem, będę musiał wyjechać stąd tyłem. To byłaby niezła zabawa. Jeep jednak posuwa się naprzód, ślizgając się na żwirze, i wolno wspina się coraz wyżej.

Spoglądam w bok, kiedy docieramy do bardziej płaskiego odcinka. Althea opuściła głowę i obejmuje ją dłońmi.

— Udało nam się, słoneczko. Nikt nas nie dopadnie w naszej norze. Jesteśmy bezpieczni.

— AL, jesteś nienormalny! Jeśli to jest dla ciebie bezpieczne, to co byłoby niebezpieczne? Powinnam była cię zostawić, żebyś sam uczył się grać w ping-ponga. Popatrz tylko, w co się wpakowałam. Do niczego mi to nie było potrzebne. Mój Boże, wyjrzyj tylko na bok, ledwie trzymamy się drogi. I proszę, żadnych „słoneczek”!

Przez sekundę z przerażeniem spoglądam w jedną, a potem drugą stronę. W końcu, po około pół kilometra krętej drogi, docieramy do końca, gdzie muszę zrobić ostry zwrot, a potem jeszcze raz się cofnąć, żeby zacząć zjeżdżać w stronę domku. Dawno już zacząłem żałować, że w ogóle przyszło mi do głowy, by zabrać Altheę w to zwariowane miejsce. Wręcz ogarnia mnie rozpacz. Nie wiem sam, co mnie podkusiło.

Zatrzymuję jeepa na skraju drogi, a Althea omalże wrywa mi ramię z barku, próbując przytrzymać się, by nie wypaść z samochodu.

— Starczy tego dobrego, AL, już się zabawiłeś. Zabierz mnie z powrotem na dół. Twoja nora to jedna wielka bzdura. Tutaj nie ma nic wartego oglądania, chyba że ktoś ma ochotę spojrzeć śmierci prosto w oczy.

Czuję się fatalnie z wielu powodów, których nie jestem w stanie przeanalizować. Zaciągam ręczny hamulec do oporu, wrzucam wsteczny, powoli wysiadam i przeciągam się. Nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, w jakim jestem napięciu. Dopiero teraz czuję, że cały spociłem się z nerwów. Spoglądam na Altheę, która wciąż siedzi w jeepie. Trzyma się uchwyty w rozpaczliwy, bezsilny, żaloszny sposób. Obchodzę wóz i stoję po jej stronie. Siedzi nieruchomo, nawet na mnie nie patrzy.

— AL, proszę, zabierz mnie stąd. To wcale nie jest zabawne. Teraz mogę już uwierzyć, że masz co najmniej siedemdziesiąt procent inwalidztwa, może nawet dwieście procent. Nie musiałeś mi jednak tego udowadniać w taki sposób. Tego już zbyt wiele.

Stoję z jej strony wozu. Althea wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami. Już na sam jej widok chce mi się płakać.

— Naprawdę strasznie przepraszam, AL. Tak bardzo skupiłem się na prowadzeniu, na tym, by pokazać ci moją norę, że nie zwracałem na nic uwagi.

— Och, AL! Nawet mi nie mów, że nie zwracałeś uwagi! Ja zwracałam, ty też powinieneś!

Wpatruje się w moje oczy jak kot syjamski. Nie widzę w jej wzroku ani odrobiny litości. Spieprzyłem sprawę.

— Już w porządku, Al, przeprosiłem i naprawdę jest mi przykro. Może masz rację, to właśnie za takie niewybaczalne, niewytłumaczalne zachowanie wylądowałem w szpitalu, przekonałem ich, że trzeba mnie zamknąć. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Mogę tylko błagać cię, byś mi wybaczyła, a potem odprowadzę cię na dół albo odwiozę, albo nawet zniosę na własnych plecach, co tylko zechcesz, ale bezpiecznie sprowadzę cię nad ocean. Wydawało mi się, że jest to odpowiednie miejsce, by wyjaśnić ci moje kłopoty, ale myliłem się.

Teraz w jej oczach dostrzegam łzy, zarzuca mi ręce na szyję. Przytulam się do niej i nie potrafię się już opanować. Potrząsam głową, zanurzając twarz w jej włosach. Powtarzam ciągle „przepraszam, przepraszam”.

— AL, proszę, przestań mnie przepraszać. Wiem już, że jest ci przykro. Teraz, kiedy dowiedziałeś się już, jaka ze mnie beksa, choć zazwyczaj nie płaczę aż tak dużo, przyznaję, mam okropny lęk wysokości. Czy zawsze doprowadzasz kobiety swego życia do łez? To nieuczciwe.

— Altheo, w moim życiu nie ma żadnych innych kobiet. Nie potrafię sobie z nimi radzić, nawet z tymi, które nie mają lęku wysokości, nawet z moją matką. To część mojego problemu. Pozwól odwieźć się do domu, zanim skrzywdzę cię i siebie jeszcze bardziej. Chodź.

Wysuwam się z jej objęć, a ona puszcza moją szyję. Próbuję spojrzeć jej w twarz. To straszne, nie umiem nic zrobić, nie krzywdząc innych i siebie samego. Obchodzę jeepa dookoła i wskakuję do środka.

— AL, nie. Nie chcę wracać. Chcę jeszcze z tobą porozmawiać. Jesteśmy już w twojej norze, cokolwiek miałyby to znaczyć, gdziekolwiek miałyby to być. Musimy teraz powiedzieć sobie wszystko, co zostało nam jeszcze do powiedzenia, zanim będzie za późno.

Nieruchomieję i spoglądam na nią. Wydaje się, że mówi serio. Spoglądam w dół wzgórza.

— Jeśli mamy iść do mojej nory, musimy jakoś zejść po tym zbocz. Jest tu bardzo stromo i nie ma stopni, tylko kilka kamieni, na których można się oprzeć, a w dodatku ścieżka jest piaszczysta. Jeśli chcesz, wciąż jeszcze możesz zrezygnować. Nie wiedziałem, że masz lęk wysokości.

— Ruszajmy, AL. Pójdę za tobą. Nie oddalaj się tylko za bardzo, a gdybym wpadła w panikę, wróć, żeby mi pomóc. Zgoda?

— Jeśli ty tego chcesz, to i ja chcę.

Ruszam w dół. Już tędy schodziłem, wiem więc, gdzie szukać oparcia dla stóp. Podaję Althei rękę, kiedy podąża moim śladem. Drży, ale nie mówi ani słowa.

Schodzę bardzo wolno, na trudniejszych odcinkach zsuwam się w dół na butach. Al trzyma się bardzo blisko mnie. Staram się nie patrzeć w dół, chyba że po to, by poszukać oparcia dla stóp. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak trudna może to być przeprawa dla kogoś cierpiącego na lęk wysokości.

Docieramy do bardziej płaskiego odcinka mniej więcej w połowie wysokości zbocza i opieram się plecami o skalną ścianę. Chwytam Al za rękę i pomagam jej stanąć obok mnie. Dyszy ciężko, twarz ma kredowobiałą, ale nie wpada w panikę.

— Czy to już tu, AL?

Rozgląda się dokoła, ale nic nie widzi, tylko krzaki i skalne zbocze.

— Nie, jeszcze nie, Al, ale już prawie dotarliśmy na miejsce. Jesteś pewna, że chcesz iść dalej?

— Niczego już nie jestem pewna, AL, poza tym, że chcę jakoś zejść z tego wzgórza i już się zastanawiam, jak wdrapię się z powrotem na górę.

Spoglądamy na siebie i oboje wybuchamy śmiechem. Czuję, że drży, kiedy biorę ją w

ramiona. Wiem, że nie powinienem spoglądać w dół, bo możemy tu utknąć i nie będziemy w stanie ani zejść na dół, ani wejść na górę. Biorę ją za rękę i ruszamy w dalszą drogę. Następny odcinek nie jest tak stromy, ale łatwo się pośliznąć, to prawie naga skała. Znowu idę przodem. Posuwamy się w dół, nie oglądając się za siebie.

Zatrzymuję się, by złapać oddech, kiedy docieramy do miejsca, z którego widać narożnik pokrytego papą dachu. Al zsuwa się obok mnie. Przytulamy się do siebie.

— Czy to już to, AL? Czy to jest twoja nora? — Dyszy ciężko, Spogląda w dół na dach, a potem patrzy mi w oczy. — AL, przyznaję. Nie wierzyłam, że to miejsce w ogóle istnieje. To jedna z najlepszych kryjówek na świecie. Prawdziwa nora, nie ma co. Boże, AL, dziękuję, że zabrałeś mnie w tak magiczne miejsce.

— Zejdźmy więc jeszcze kawałek i obejrzymy sobie wszystko z bliska, Al. Jestem pewien, że będziesz zaskoczona.

Schodzimy ostatnie dwadzieścia metrów do kilku popękanych schodków, które kiedyś prowadziły na niewielki betonowy podest. Althea zeskakuje z ostatnich stopni.

— Al, poczekaj tutaj. Drzwi są zamknięte na klucz, ale znam sposób, by dostać się do środka. Zaraz wracam.

— Proszę, nie zostawiaj mnie tutaj, AL!

Mówi serio, poznaję to po jej głosie. Nie zdawałem sobie wciąż sprawy z tego, jak trudne to dla niej doświadczenie.

— Nigdy cię nie zostawię, Altheo. Pamiętaj, obiecuję.

Po tych słowach wchodzę między gigantyczne krzewy dzikiego geranium rosnące po prawej stronie domu i przeciskam się do obluzowanego okna, które zauważyłem w czasie poprzedniej wizyty. Wchodzę pod dom, przechodzę pomiędzy podporami spoczywającymi na skałach albo na betonowych podstawach.

Sprawdziłem to już wcześniej, wiem więc, że mogę od dołu dostać się do środka. Chwytam się spróchniałych belek podłogi i podciągam się. Chyba można by mnie aresztować za włamanie, ale gliniarz, który miałby dokonać tego aresztowania, musiałby być niezłym alpinistą.

Wyjmuję okno i wychylam się na podest do Althei.

— AL, czy ty jesteś włamywaczem? Jak tam wszedłeś?

Wyjaśniam jej, a potem wskazuję na kawałek sklejki, którym zakrywam dziurę w podłodze i pomagam Al wejść przez okno.

— Myślisz, że mogą nas aresztować za włamanie, AL?

— Wątpię. Nawet gdyby w pobliżu był jakikolwiek policjant, uznałby nas pewnie za wariatów, że włamaliśmy się do czegoś takiego. Rozejrzyj się, ale poczekaj, aż pokażę ci, gdzie możesz chodzić. Podłoga jest w niektórych miejscach spróchniała.

Dla pewności sadzam Al na krawędzi łóżka, twarzą ku oknu.

— Czy to tutaj spróbujesz nastawać na moją cześć? — Wygląda przez okno, potem rozgląda się po pokoju. — To miejsce wygląda jak pokój panny Haversham w *Wielkich nadziejach* Dickensa. Gdzie jest tort weselny? Kurz i pajęczyny już są, brakuje tylko tortu.

— Masz rację, Al. Zaraz pobiegnę i przyniosę tort, jeśli tylko tego chcesz.

Przyciąga mnie ku sobie i bardzo delikatnie całuje spierzchniętymi wargami, obawiam się, że spróbuje posunąć się dalej, zanim zdążę cokolwiek wytłumaczyć. Nie pociąga mnie jednak na łóżko. Od razu orientuję się, że jest ono tak zakurzone, że normalna kobieta musiałaby być naprawdę bardzo zdesperowana, żeby się na nim kłaść, nie wspominając już o próbie uwodzenia niemożliwego do uwiedzenia faceta jak ja.

Odkurzam bujany fotel i rozglądam się za miejscem, gdzie mógłbym go ustawić, nie ryzykując, że przelecę razem z nim przez dziurę w podłodze. Althea obserwuje mnie uważnie.

Siadam na fotelu, wydaje się dość solidny. Odchylam głowę w tył i zaczynam mówić, wpatrując się w sufit. Widzę wyraźnie dziury w papierze.

— No cóż, Altheo. Zaczynamy. Powinienem chyba najpierw powiedzieć, że nigdy nie zamierzałem iść na wojnę. Zastanawiam się czasami, jak wielu amerykańskich żołnierzy miało taki zamiar. Miałem siedemnaście lat, kiedy ukończyłem szkołę średnią. Wojna nabierała właśnie rozmachu. Wiedziałem tylko, że nie chcę zginąć. Wiedziałem jednak także, że nie mam dosyć odwagi, by odmówić stanięcia do poboru. Lęk przed tym, że uznano by mnie za tchórza, już działał. W ostatniej klasie liceum wszyscy chłopcy przechodzili specjalny egzamin. Twierdzono wtedy, że jest to wstęp do programów szkolenia inżynierów lub lekarzy, po ukończeniu studiów i zwycięstwie mieliśmy zostać wysłani do odbudowy pokonanych krajów. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się to bardzo naiwne. Wtedy wydawało mi się jedynie, że to bardzo optymistyczne podejście, ponieważ, na ile mogłem to ocenić, opierając się na docierających do nas wiadomościach, wątpliwe było, czy, jak i kiedy wygramy. Każdy przystępujący do tego testu dostawał wolny dzień od szkoły, daliśmy się przekonać, że jesteśmy lepsi od innych, ponieważ zostaliśmy do niego wyznaczeni. Większość moich kolegów, którzy kwalifikowali się do testu, zgodziła się do niego przystąpić.

Prostuję się w fotelu i zaczynam się kołysać. Althea obserwuje mnie.

— AL, jesteś pewien, że chcesz mi o tym opowiadać? Wydaje się to bardzo skomplikowane.

— Sama mnie o to prosiłaś. Postaram się skrócić całą opowieść. Mniej więcej po miesiącu otrzymaliśmy wyniki. Większość mojej klasy oblała. Rezultaty zostały wywieszane na tablicy ogłoszeń. W moim roczniku na pięciuset było dziesięciu chłopaków, którym się powiodło. Odnależliśmy się nawzajem i choć niektórzy, jak się okazało, przygotowywali się do studiów, pozostali, jak i ja sam, byli zwykłymi uczniami. Zostaliśmy wezwani przez naszych wychowawców, każdy otrzymał gratulacje. Uzyskaliśmy teraz więcej informacji o różnych programach i kazano nam wybrać jeden, ASTP albo V5. ASTP oznaczał piechotę, V5 lotnictwo marynarki wojennej. Nie miałem ochoty na żaden z nich, ale zapisałem się do V5, ponieważ podobał mi się mundur oficera marynarki. Pamiętaj, że byłem wtedy bardzo młody, nie skończyłem jeszcze siedemnastu lat. Poza tym nie wierzyłem, że to wszystko jest na serio. Ach, tak. Zapomniałem powiedzieć, że cały plan polegał na tym, że mieliśmy wszyscy zostać oficerami, kiedy ukończymy najlepsze uniwersytety w kraju. Wszelkie koszty oraz chesne miało pokryć wojsko. Po ukończeniu studiów mieliśmy dostać nasze przydziały. Studia miały trwać trzy lub pięć lat, w zależności od tego, czy chcieliśmy zostać inżynierami, czy pilotami w ramach programu V5. Poszedłem do biura i poprosiłem o zmianę z V5 na ASTP. To powinno było zasugerować im, co jest grane. Nie chciałem latać samolotem, bałem się zginąć. Pan Boyd, nasz wychowawca, był zaskoczony, kiedy powiedziałem, że chcę zmienić swój wybór, ale skreślił V5 i wpisał do formularza ASTP. W głębi ducha wcale w to wszystko nie wierzyłem. Zostałem już przyjęty na uniwersytet w Pensylwanii i chociaż nie wiedziałem jeszcze, skąd wezmę pieniądze na studia, nie miało to dla mnie znaczenia. Wciąż nie docierało do mnie, że w rzeczywistości moje życie zawisło na włosku. Myślałem, że znajdę sobie jakąś pracę w fabryce produkującej na potrzeby frontu i wszystko jakoś się ułoży. Tak naprawdę nie wierzyłem w wojnę, nie sądziłem, że mogą kazać mi walczyć. Ukończyłem szkołę średnią. Moi rodzice przeprowadzali się właśnie do Kalifornii, bo tam była lepiej płatna praca w fabryce samolotów. Taka praca również chroniła przed poborem. Doszedłem do wniosku, że znajdę sobie pracę razem z ojcem i przesiedzę całą wojnę, nitując kawałki blachy aluminiowej, żeby robić latające pudła, którymi inni będą mogli latać i zrzucić bomby albo strzelać do innych samolotów jak w komiksach. Sprzedaliśmy meble, zapakowaliśmy wszystko, czego mogliśmy potrzebować, do dodge'a model 1939, który ojciec właśnie kupił, najnowszego i najlepszego samochodu, jaki kiedykolwiek mieliśmy. Gotowi



byliśmy, by wyruszyć w podróż przez cały kraj ze sfalszowanymi przez mafię kartkami na benzynę. Samochód i to, co do niego załadowaliśmy, to był cały dobytek naszej rodziny. Mój tata pracował ciężko przez całe życie, ale nigdy nie zdarzyło się, by zarobił przez rok więcej niż trzy tysiące dolarów. Byliśmy jak uciekinierzy, którzy na własnych plecach unoszą cały dobytek. Stoimy właśnie w drzwiach, kiedy pojawia się listonosz. Podaje nam kopertę. Tata bierze ją od niego i podaje mnie. „To do ciebie, AL. Kto, u diabła, chciałby do ciebie pisać?” Pospiesznie otwieram kopertę i szybko czytam list. Cała rodzina jest już gotowa do drogi. Tata wsiada do samochodu. Czytając, pojmuję od razu, że muszę podjąć ważną decyzję. Zostałem skierowany na Wydział Inżynierski uniwersytetu stanu Floryda w Gainesville. Jeśli chcę wziąć udział w programie, muszę zgłosić się jak najszybciej do najbliższego centrum rekrutacji. Czytam list kilka razy, podczas gdy wszyscy na mnie czekają. W końcu podejmuję decyzję. Wygląda na to, że to świetny sposób, by trzymać się z dala od frontu. Wojna skończy się za trzy lata, a ja zacznę w tym czasie niezłe studia. Siadam na stopniach werandy. „To list z wojska. Piszą tutaj, że chcą, bym się zaciągnął, a później zapisał na uniwersytet na Florydzie. Zapłacą za wszystko, nawet za przejazd. Co o tym sądzicie?” Tata wyrzywa mi list. Myślę, że albo wszystko to zmyśliłeś, albo oni robią sobie z ciebie jaja, AL. Wkrótce sam się przekonasz, że ten zwariowany pomysł nie może wypalić”. Oddaje mi list. „No już, wsiadaj do wozu, głupku. Nie mamy całego dnia, żeby na ciebie czekać”. Czuję się zagubiony. Wszyscy z nadzieją myśleliśmy o podróży na drugi koniec kraju, czekaliśmy na tę wielką zmianę w naszym życiu. Teraz jednak pojawia się przede mną szansa, która odsuwa na bok wszystkie wcześniejsze plany. Podejmuję decyzję. „Mamo, tato, nie jadę do Kalifornii. Wolę iść na uniwersytet, to jest moja szansa”. Mama wybuchła płaczem, przyciska mnie do siebie. „Nie, AL, nie możesz nas zostawić. Potrzebujemy cię, poprowadzisz samochód. Co my bez ciebie zrobimy?” „Nie martw się, świetnie sobie bez niego poradzimy, Ido. Jeśli chce zostać, niech zostaje. Chodź no tu, Mario, pomóż mi ściągnąć jego rzeczy z dachu. Może masz rację, AL, może to lepsze, niż dać sobie odstrzelić tyłek za starego Franklina Delano Rosenfelda”. „Mamo, mogę się zatrzymać na jakiś czas u Dicka i jego rodziców, dopóki nie wyślą mnie do tego uniwersytetu na Florydzie. Nic mi się nie stanie. Zaoszczędziłem trochę pieniędzy”. „Co? Ukrywałeś coś przede mną? Dawaj mi wszystkie te pieniądze, i to już. Nam są bardziej potrzebne”. „Tato, te pieniądze to nagroda w szkolnym konkursie na wypracowanie. Należą do mnie”. „Dobrze, ale w takim razie ode mnie nic już nie dostaniesz. Wojsko może cię karmić i ubierać. Skoro żydokomuna chce wojny, będzie musiała za nią zapłacić”.

\* \* \*

Spoglądam na Altheę, która siedzi na skraju łóżka.

—Mój ojciec był do końca przekonany, że to Włosi wygrają wojnę, nawet wtedy, kiedy przegrali z Etiopczykami. Miewał takie zwariowane pomysły.

\* \* \*

— Ja i mój brat Mario ściągamy z dachu moje dwie zniszczone walizki. Nie mieliśmy bagażnika, więc wszystko poprzywiązywaliśmy sznurkami. „AL, zapłaciliśmy czynsz do końca tygodnia, więc nikt nie wyrzuci cię z domu. Rozumiesz?” „Tak, tato. Wyniosę się stąd do tego czasu”. Odwracam się do mamy. Płacze i przytula się do mnie. „Uważaj na siebie, AL, proszę, mam tu coś dla ciebie”. Wsuwa mi do ręki zwitek banknotów ukryty w chusteczce do nosa.

„Pamiętaj, AL, jedziesz na wojnę. Bądź ostrożny. Nie zwracaj uwagi na ojca. Jest po prostu zdenerwowany. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani”. I po tych słowach puszcza mnie i rusza do samochodu. Siada z tyłu. Mario z przodu, obok taty. Odjeżdżają wolno i wszystko się kończy. Stoję samotnie na werandzie z dwiema walizkami. Macham im na pożegnanie, aż znikają na Copley Road.

\* \* \*

— Tak zaczęła się dla mnie wojna, AL. Stoję z dwiema odrapanymi walizkami, kawałkiem papieru i tym, co dostałem od mamy przed domem, w którym mieszkałem przez długie lata. Wsuwam pieniądze do kieszeni. Spoglądam na pismo z ministerstwa wojny i widzę numer telefonu. Zostawiam wszystko na werandzie i idę do małego sklepiku, gdzie jest automat, którego mogę skorzystać. Dzwonię pod ten numer. Wyjaśniam, kim jestem, oni zaś mówią, co mam teraz zrobić: stawić się następnego dnia o dziewiątej do poboru pod podany adres. „Panie Hershey, czuję się tak, jak gdybym grał w jakimś filmie”.

\* \* \*

— Potem idzie już szybko, AL. Stawiam się na miejscu, przechodzę bardzo szczegółowe badania przed komisją lekarską, ponieważ mam być szkolony na oficera. Rozmawia ze mną T4, co mniej więcej oznacza sierżanta. Ma już moje dokumenty, wyniki testu i wyniki badania komisji lekarskiej. Przegląda je pospiesznie. „No cóż, żołnierzu, zostaliście przydzieleni na jesienny semestr na uniwersytet w Gainesville. Wcześniej jednak przejdziecie dodatkowe szkolenie. Nauczycie się procedur wojskowych, w tym musztry, i zaznajomicie się z bronią. Wyjeżdżacie za mniej więcej dwa tygodnie. Pod podany przez was adres wyśle bilety kolejowe i wszystko, czego będziecie potrzebować. Pociąg odchodzi z dworca przy Trzydziestej Ulicy. Peron zostanie podany na bilecie. Tutaj macie wszystkie niezbędne dokumenty, pokażecie je podoficerowi w pociągu”. I podaje mi papiery. Nie wiem, co mam teraz zrobić. Czy powinienem zasalutować, ukłonić się, czy po prostu odwrócić i wyjść. W końcu decyduję się na salut, choć nie mam jeszcze na sobie munduru. „Tego też będziecie się musieli nauczyć, żołnierzu. Nie salutuje się podoficerom, tylko oficerom. Te paski na moim ramieniu oznaczają, że jestem tylko podoficerem. Stanowczo nie należy mi salutować. Nie jestem nawet w wojsku z zaciągu, tylko z poboru. Wy za to będziecie mieli wątpliwy zaszczyt służyć jako prawdziwy żołnierz z zaciągu. Zostaniecie zaprzysiężeni, kiedy dotrzecie do centrum przysposobienia”. Uśmiecha się, a ja czuję się coraz bardziej zagubiony. Podaje mi rękę na pożegnanie. „Nie przejmujcie się, bycie kotem nie jest takie złe, zwłaszcza że wkrótce macie dostać pagony, wszystkiego nauczycie się w swoim czasie”. Jestem wprawdzie nadal zagubiony, ale wychodzę z pokoju.

\* \* \*

— Po dwóch tygodniach oczekiwania, w czasie których nieraz żałowałem, że nie jadę z całą rodziną do Kalifornii, znalazłem się na dworcu na Trzydziestej Ulicy. Jestem zdenerwowany i czuję się samotny. Na dworcu czeka na nas młody człowiek z walizką, jak my wszyscy. Prowadzi nas, próbujemy maszerować, na ile potrafimy maszerować poborowi, do wojskowych ciężarówek, które zawiozą nas do centrum przysposobienia w śródmieściu Filadelfii. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, ale staramy się tego nie okazywać. Zapędzają nas na wykład

indoktrynacyjny, a potem na nasz pierwszy wojskowy posiłek. Podają go na metalowych tacach. Po obiedzie ustawiają nas znowu w szeregach, a potem prowadzą jak bydło do wielkiej sali, gdzie mamy zostać zaprzysiężeni. Nie zdawałem sobie wtedy tak naprawdę sprawy z tego, jak ważna jest to chwila w moim życiu. Po przysiędze o wszystkim, co robiliśmy, decydowali inni. Na dobre i złe staliśmy się żołnierzami Armii Stanów Zjednoczonych. Przez chwilę wszyscy kręcą się po sali, podczas gdy z przodu staje oficer. Kładzie jedną dłoń na Biblii, wymawiając słowa, które pozbawią nas wolności. Powtarzamy za nim te magiczne słowa. Obiecujemy, że będziemy walczyć z wrogami naszego kraju, tak nam dopomóż Bóg. Stajemy się teraz żołnierzami Armii Stanów Zjednoczonych i pozostaniemy nimi aż do końca wojny. Wszystko to jest jak film, zły film.

Urywam. Patrzę na Altheę, która położyła się na łóżku.

— Nie chcesz tego słuchać, AL. Kiedy już zacznę, nie potrafię przestać, to część moich kłopotów. W czasie ostatniej wojny nazywano to nerwicą wojenną. Teraz mówi się: „zmęczenie frontowe”. Nie jestem jednak wcale wyczerpany, co najwyżej samym sobą. Początkowo wydawało mi się, że jest tak dlatego, że jestem po prostu zmęczony wszystkimi tymi głupimi, marnującymi czas zajęciami, które wypełniały nasze dni. Moja prywatna wojna trwała nadal, ale stan ten się nie zmieniał, Al, byłem wciąż zmęczony. Nie, to było coś więcej. Byłem śmiertelnie przerażony i z upływem czasu robiło się coraz gorzej. Mówię prawdę, Al, pod koniec wojny byłem już w takim stanie, że dosłownie bałem się poruszyć. Jednocześnie bałem się nie ruszać. Innymi słowy, było to jak paraliż psychiczny. Zacząłem się ukrywać. I przez cały czas lękałem się, że ktoś dowie się o tym, że się boję. Bałem się nawet stanąć w kolejce po jedzenie, kiedy znaleźliśmy się w rezerwie, w tak złym byłem stanie. Nie potrafiłem tego dłużej znieść. Byłem pewien, że zostaniemy ostrzelani przez artylerię. Nie miało dla mnie znaczenia czyją, byłem przekonany, że zabije mnie jakiś lecący kawałek metalu. Nie obchodziło mnie zwycięstwo. Nie miało dla mnie znaczenia, która ze stron będzie miała więcej trupów płożonych w cuchnących namiotach. Podałem się. A jednocześnie obserwowałem, jak inni chłopacy podejmują ryzyko, którego ja nie byłem nawet w stanie sobie wyobrazić. Wydawało się, iż uważają, że są nietykalni dla artylerii, moździerzy, ognia karabinowego czy co tam jeszcze na nas przyszykowani. Trudno było mi się do tego przyznać, ale odkryłem, że jestem urodzonym tchórzem, być może największym tchórzem na całym europejskim froncie.

Widzę z jej twarzy, że zaczyna coś rozumieć. Gestem zaprasza, bym usiadł obok niej na łóżku. Przesuwa się i opiera głowę na moim ramieniu.

Teraz dopiero dociera do mnie, że płaczę. Nie potrafię w to uwierzyć. Przez cały ten czas, kiedy siedziałem samotnie w namiocie, chciałem zapłakać i jednocześnie bałem się tego najbardziej. Teraz łzy popłynęły obficie. Nie potrafię ich powstrzymać. Próbuję tylko opanować łkanie.

Kiedy Al pociąga mnie ku sobie, nie potrafię w to uwierzyć — leżymy razem na tym zakurzonym łóżku, a wokół nas zapada zmrok. Wszystko jest dokładnie tak, jak powinno, i zaskakuje mnie, że nie jestem przestraszony.

Nie wiem, jak długo to trwa. W końcu przestaję płakać. Otwieram zaciśnięte powieki i patrzę prosto w oczy Al. Nasze nosy prawie się stykają.

— AL, ja też chciałabym ci o czymś opowiedzieć.

Łzy napływają mi do oczu, ale powstrzymuję je, biorę głęboki wdech.

— Nigdy nie leżałam tak z nikim w łóżku. Po prostu nie mogłam. Chodziłam z chłopcami, którzy tego chcieli, ale zawsze w takim momencie zaczynałam się bać, drżałam cała i odpychałam ich od siebie. Wierzysz mi? Mam nadzieję, że tak, bo taka właśnie jest prawda. Dwa razy omal mnie nie pobito, jeden z moich chłopaków uderzył mnie w twarz, a drugi w brzuch. A

ja nic nie zrobiłam. Nie chcę nawet próbować się tłumaczyć. Nie jestem wcale pewna, czy sama naprawdę wiem, dlaczego tak jest.

Milknie. Leżę obok niej i czuję, że jednocześnie chcę opowiadać jej o swoich problemach i słuchać o tym, jak doszło do tego, że stała się tak bardzo do mnie podobna. Nie przeżyła przecież wojny, a może spotkało ją coś jeszcze gorszego...

— Al, przykro mi słuchać, że masz taki stosunek do mężczyzn, do mnie, choć nie jestem wcale pewien, czy można mnie uznać za mężczyznę, przynajmniej biorąc pod uwagę opinię większości ludzi. Z przyczyn, które właśnie ci wyjaśniłem, boję się kobiet. Widzisz, jestem taki sam jak ty, tylko że mój lęk budzą kobiety. Wiem, że nie zawsze tak było, choć może się mylę, może to ja sam nie dopuszczałem do siebie tej myśli. Mój przypadek jest jednak gorszy, ja nie czuję się wcale dobrze także w towarzystwie mężczyzn. Mój wojskowy psychiatra był przekonany, że jestem mizantropem albo socjopatą. Psychiatrzy mają odpowiednie słowa prawie na wszystko. Al, proszę, spójrz na mnie. Mówię serio. Od końca wojny, z wyjątkiem pewnej starszej pani, która miała umierającego męża, jesteś pierwszą osobą, której towarzystwo sprawia mi przyjemność, dotyczy to także mojego brata. I nie dzieje się tak tylko dlatego, że się ciebie nie boję. Choć może powinienem. Jest tak dlatego, przygotuj się, Altheo, bo jestem pewien, że cię kocham. Nie wiem sam, dlaczego jestem tego tak bardzo pewien, może to część mego szaleństwa, ale to właśnie teraz czuję. Co o tym myślisz? Co powinienem z tym począć? Czy się mnie boisz? A może powinienem właściwie zapytać: „Co powinniśmy z tym począć?”

Al wciąż patrzy mi w oczy, z których spływają łzy. Przysuwamy się bliżej do siebie, ale nie przytulamy. Po chwili nasze twarze rozjaśniają się w uśmiechu, aż w końcu wybuchamy śmiechem.

Zaczynamy kulać się po łóżku tam i z powrotem. Śmiejemy się jak wariaci. Patrzę na łzy spływające po jej policzkach, wyglądają teraz jak warstwa błyszczącego werniksu.

W końcu Althea siada na mnie na oklep. Sukienka jej się podwinęła, siedzi na moich biodrach i obiema rękoma naciska mocno na moje piersi, tak że prawie tracę dech.

— Mówisz serio, AL, czy tylko chcesz, żebym poczuła się lepiej, bym była szczęśliwa jak nigdy wcześniej? Nie potrafię w to uwierzyć.

Przewracam ją na plecy i unieruchamiam jej ramiona nad głową. Przypomina to zapasy, ale nikt tu nie chce nikogo skrzywdzić, nikt nie chce wygrać, dominować, to wyłącznie czysta radość.

— Naprawdę tak myślę, Al, to najprawdziwsza prawda na świecie. Sam nie wiem, czy kiedykolwiek byłem czegoś tak bardzo pewien. Wiem też, że za nic nie chciałbym cię skrzywdzić. Czy to jest miłość? To coś więcej, niż mogłem sobie wymarzyć. Czy mnie rozumiesz, wierzysz mi?

— Tak, AL. Rozumiem i wierzę we wszystko, co teraz mówisz, bo sama to czuję. Wypowiadasz na głos moje marzenia. Tylko co teraz zrobimy? Oboje pochodzimy z biednych rodzin, musimy pracować. Mam nadzieję, że cię nie wystraszę, ale chciałabym wyjść za ciebie za mąż, Alfonso. Co więcej, chciałabym urodzić ci dzieci. Powiedz mi teraz, czy ty też tego chcesz. Czy przeraża cię to tak samo jak mnie?

— Altheo, ja także chcę tego wszystkiego. Nie wiem, czy uda nam się urzeczywistnić nasze sny, ale zrobię wszystko, co będzie konieczne. Czy chcesz teraz poznać moje marzenia, Al? Niektóre z nich mogą wydać ci się szalone, ale powinnaś je znać. Wyjdiesz za człowieka, który został oficjalnie uznany za wariata. Na dodatek jestem o wiele bardziej szalony, niż oni myślą, o wiele więcej niż na siedemdziesiąt procent.

— Opowiedz mi o wszystkim, AL. Chcę oszaleć razem z tobą, ale najpierw puść mnie, miażdżysz mnie, choć pewnie sam tego nie czujesz.

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że w całym tym szaleństwie położyłem się na niej całym ciężarem, jak gdybym chciał ją zgnieść. Nawyków zapaśnika nie można się tak łatwo pozbyć.

Zsuwam się i masuję jej ramiona, by odzyskała w nich czucie. Pomagam jej się podnieść i siadamy twarzą w twarz. Sam nie wiem, dlaczego się nie całujemy. Wszystko wydaje się jednocześnie tak naturalne i niezwykle zarazem.

Przytulam Altheę do siebie. Oboje spociliśmy się jak po trzech rundach ciężkiej walki.

— Zamknij oczy, Altheo. Chcę, byś posłuchała o moich marzeniach.

Przysuwa swą twarz ku mnie, włosy łaskoczą mnie w nos.

— Altheo, bardzo interesują mnie motyle. Nie chwytam ich i nie układam w gablotkach, lubię tylko obserwować, jak latają. Ich lot jest tak cudowny, tak bardzo inny niż ptaka czy samolotu, przypominają liście spadające z drzew, które stawiają opór prawu powszechnego ciężenia. Obserwuję je i czuję, jak wraz z nimi unoszę się w powietrzu. Przyglądam się ich metamorfozie od gąsienicy w poczwarkę, potem w dojrzałego motyla i znów od nowa... Obserwuję, jak tańczą w powietrzu, kopulują i wytwarzają wokół siebie kokon, z którego wylęga się nowy motyl.

Patrzy mi z uśmiechem w oczy, przecierając dłonią czoło. Nie wydaje mi się, by rozumiała to, co mówię.

— Altheo, chciałbym założyć w tych górach hodowlę motyli. Patrzy mi prosto w oczy i uśmiecha się.

— Mówię serio, Al, chciałbym to zrobić. Posłuchaj mnie uważnie. W ciągu ostatnich kilku dni mój sen zaczął się ziszczać. Na okolicznych wzgórzach znalazłem wiele kokonów. Poza tym chcę odnowić ten dom, sprawić, by ożył. Czy zechcesz pomóc mi zrealizować moje marzenia?

— AL, chcę je śnić wraz z tobą. Ib taki piękny pomysł. Czy wpuścisz mnie do swego snu? Jestem pewna, że wspólnie pokonamy wszystkie przeciwności. Powiedz tylko, od czego chcesz zacząć, żebyśmy mogła ci pomóc. Zrobię wszystko, co zechcesz, tylko kochaj mnie i nie ponaglaj. Dopiero teraz pojmuję, jak bardzo jesteś silny, fizycznie silny, i budzi to mój lęk. Proszę cię, nie spieszmy się z niczym.

## ROZDZIAŁ XI

Ta chwila jest dla mnie początkiem zupełnie nowego życia. Jestem nadal ALem, ale teraz jest już nas dwoje — AL i AL Jesteśmy jak stworzeni dla siebie, jak gdybyśmy byli małżeństwem od urodzenia albo, jakby określili to Grant i Holly, przez wszystkie nasze żywoty.

Leżąc na zakurczonym łożu, zaczynamy planować, co teraz zrobimy. Wszystko jest teraz tak piękne i ulotne, że przywodzi mi na myśl motyle.

Przekonuję się, że Al jest jednak prawdziwą realistką. Chce, żebym znalazł jakąś deskę, kawałek papieru i pióro albo ołówek.

Dwa razy omal nie wpadam w dziurę w podłodze. W przechylonej szafce znajduję żółty notatnik, jakiego zwykle używają prawnicy. Wracam do łóżka ze wszystkim, o co mnie prosiła. Mam nawet porządną podkładkę zamiast deski. Zastanawiam się, co knuje Althea.

— Od czego twoim zdaniem powinniśmy zacząć, aby przygotować się na długie, szczęśliwe wspólne życie pełne miłości i radości? Powiedz, naprawdę chciałabym to wiedzieć. Jeśli mam żyć w twoim śnie, chciałabym przynajmniej wiedzieć, kiedy powinnam się obudzić, jeśli w ogóle.

— Al, skoro w jakiś magiczny sposób, którego sam nie rozumiem, wiemy już, że się kochamy, zacznijmy właśnie od tego miejsca, od tego, co nas otacza. Zacznijmy od tchnięcia nowego, pięknego życia w to niewiarygodne schronienie, które nazywałem swoją norą. Co o tym sądzisz?

— Myślę, że to cudowne. Ale ten dom nie należy do nas, gdyby ktoś nas tutaj znalazł, mógłby nas natychmiast wyrzucić, a pewnie nawet wsadzić do więzienia za naruszanie własności prywatnej. Musimy podchodzić do tego praktycznie.

W skupieniu wpatruje się w moje oczy, jakby tam czegoś szukała.

— Al, przejedźmy się najpierw do biura obrotu nieruchomościami, które już odwiedziłem, to właśnie jego właściciel pokazał mi to cudowne miejsce. Dowiedzmy się, czy domek jest nadal na sprzedaż, a jeśli tak, kupmy go. Będziemy mieli wtedy swoje miejsce na ziemi.

— Ależ, AL, przecież nie mamy pieniędzy. Ja żyję z dnia na dzień. Czasami, kiedy wydział astronomii spóźnia się z moją wypłatą, przez dzień lub dwa nie mam nic do jedzenia. Ty chyba nic nie rozumiesz.

Chwytam ją za ramiona, sadzam obok siebie, zwracając jej twarz ku sobie. Potrząsam nią łagodnie.

— Dajże spokój, Altheo. Powiedziałaś, że będziesz poważna. Nikt na UCLA nie umiera z głodu, nie ma tam może zbyt wielu bogaczy, ale na pewno nikt nie głoduje. Odrobinę realizmu.

— To właśnie ja staram się być realistką, AL, a ty mówisz o kupieniu domu. To tobie brakuje realizmu. — Uśmiecha się. — No tak, wydaje mi się, że to nasza pierwsza kłótnia, pierwsza kłótnia zakochanych. Pomyśl tylko.

\* \* \*

Wydostajemy się przez okno i zamykamy je za sobą. Potem wdrapujemy się na górę i docieramy do drogi, gdzie stoi wciąż nasz Motylek. Al nie mówi ani słowa, wsiada do wozu, podczas gdy ja zakładam palec rozdzielacza i wskakuję za kierownicę.

— Wiesz, dokąd teraz pojedziemy, Al? — Nie daję jej czasu na odpowiedź. Uśmiecha się niepewnie, kiedy przekręcam kluczyk w stacyjce. — Jedziemy kupić dom. Co o tym sądzisz?

Pytam, czy naprawdę podoba ci się moja nora i czy chcesz, żeby była to nasza pierwsza wspólna nora.

— Już wystarczy, AL. Nie psuj najpiękniejszego dnia w całym moim życiu.

— Postaram się. Nie zrobię nic wbrew tobie.

Zjeżdżamy ze wzgórza. W powietrzu unosi się cudowny, słodki zapach tego niezwykłego miejsca. Światło gaśnie powoli na stoku po drugiej stronie doliny, jak gdyby nasze wzgórze było chmurą, która zasłania słońce.

Kiedy docieramy do krańca Fernwood Pacific, skręcam na parking obok biura pośrednika handlu nieruchomości. Widzę, że w środku pali się światło, mamy więc szczęście. Mógł przecież pójść już do domu albo pokazywać naszą chatę jakimś innym romantycznym głupcom.

Kiedy wysiadam z jeepa, Al wciąż mnie obserwuje, uśmiechając się z niedowierzaniem.

— Daj spokój, AL. Nie kpij sobie z tego człowieka. Pomyśli, że zwariowaliśmy. Zachowuj się rozsądnie.

— Ja właśnie zachowuję się rozsądnie, Al, na tyle rozsądnie, aa ile stać człowieka podwójnie szalonego. Po pierwsze jestem szalony według psychiatrów, a po drugie oszalałem na twoim punkcie. To prawdopodobnie najrozsądniejsza rzecz, jaką zrobiłem w całym swoim życiu.

Biorę ją za rękę i pociągam za sobą. Otwieram drzwi, rozlega się dźwięk małego dzwoneczka zawieszzonego na sznurku. Mężczyzna podnosi wzrok. Rozpoznaje mnie i uśmiecha się.

— Witam, młody człowieku. Co ty tu robisz o tej porze? Wracając do miasta, utkniesz w korku. Czym mogę wam służyć?

Nie mogę przypomnieć sobie jego nazwiska, nie podejrzewam też, by on pamiętał moje. Jemu łatwiej się usprawiedliwić, na pewno widuje tu mnóstwo ludzi, którzy chcą zamieszkać wśród chmur z dala od tłoku.

— Mam na imię AL, a ta młoda dama ma również tak na imię, tylko przez małe „l”. Czy sprzedał pan już tę zwariowaną, pokrzywioną chatkę na Fernwood?

Uśmiecha się, ogląda się za siebie, jak gdyby mógł w ten sposób przekonać się, czy domek ciągle stoi na swoim miejscu.

— Nazywam się Hal Rolphe. Co się tyczy twojego pytania, nie podejrzewam, by kiedykolwiek miało to nastąpić. Ten domek trzeba chyba będzie w końcu zburzyć. Nie powinienem był ci go w ogóle pokazywać. — Uśmiecha się. — Mógłbym stracić uprawnienia za udział w przestępstwie. Chyba nie chcesz go kupić?

— Wprost przeciwnie. Właśnie takiego miejsca szukamy. Czy cena jest nadal taka sama?

— Prawdę powiedziawszy, jest jeszcze niższa. W zeszłym tygodniu zadzwonił do mnie właściciel i opuścił o trzysta dolarów, a jeszcze wcześniej obniżył cenę o pięć setek. Czyli w sumie domek kosztuje dwa tysiące dwieście dolarów. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że romans się skończył, a on chce już tylko pozbyć się tego miejsca. Za taką cenę, muszę przyznać, to znakomita okazja. Najprawdopodobniej będziecie musieli rozebrać całość i zacząć budowę od nowa, ale materiały są w porządku, lokalizacja zaś, choć trochę tam stromo, jest bardzo dobra, z widokiem na zbocze i dalej w dół aż do Topanga Canyon Road. No to co, dobijemy targu?

Spoglądam na Al, która przez cały czas kiwała z niedowierzaniem głową. Dociera do mnie, że dla niej to już zbyt wiele.

— Czy mogę coś powiedzieć, AL?

— Oczywiście, ale nie mów „nie”. Złamiesz mi serce, a wtedy będziesz musiała sama zjechać biedną Madame Butterfly.

— Nie. Myślę, że ta chatka jest cudowna, ale nie możemy jej rozebrać. Jest magiczna właśnie taka, jaka jest, możemy ją naprawić, ale gdybyśmy ją rozebrali, zabilibyśmy ducha tego miejsca.

— Kiedy zostaniemy właścicielami chatki, będziesz mogła z nią zrobić, co tylko zechcesz.

Althea blednie. Jest poważna, wydaje mi się, że za chwilę zemdleje. Przysuwam krzesło i pozwalam jej na nie opaść.

— To chyba znaczy „tak”, panie Rolphe. Gdzie mamy podpisać?

Al błyskawicznie dochodzi do siebie. Podrywa się i bierze mnie w ramiona.

— Tego już zbyt wiele, AL. Wiesz, że cię kocham, ale nie musisz zaraz kupować domu. Nie wiesz, w co się pakujesz. Zresztą nigdy nie mieszkałam we własnym domu. Moi rodzice nigdy nic nie mieli, nawet samochodu. AL, pomyśl tylko!

Sam nie wiem dlaczego, ale ja też bliski jestem łez. Pan Rolphe odwraca wzrok. W jego małym biurze rozgrywa się wielki dramat.

— Al, ja też nigdy nie mieszkałem we własnym domu, wyłącznie w małych domkach wynajmowanych przez moich rodziców. Zawsze ledwie starczało im na wynajem. Ojciec przez całe życie pracował jako hydraulik, naprawiając zapchane toalety i przeciekające krany albo grzebiąc w kanalizacji. Ani jego rodzice, ani rodzice mojej mamy nie mieszkali nigdy we własnym domu. Pamiętają zresztą tylko dzieciństwo we Włoszech, w starym kraju. Przez większą część życia byli szczęśliwi, że mieli wynajęty kąt. Często się przeprowadzaliśmy, kiedy nie było nas dłużej stać na płacenie czynszu. Najczęściej uciekaliśmy nocą, zostawiając wszystko, czego nie byliśmy w stanie zabrać.

— Więc chyba mnie rozumiesz, AL.

— Tak, Altheo, rozumiem. Nigdy nie sądziłem, że mogę mieć z kimś tak wiele wspólnego.

— a więc sprawa jest jasna — mówi pan Rolphe. — Nie pamiętam, by kiedykolwiek sprzedaż domu dała mi tyle radości. Wiem, że będą z was dobrzy sąsiedzi.

Obchodzi biurko i wyciąga z szuflady jakieś formularze. Jesteśmy tak podekscytowani, że ledwie mogę przeczytać umowę, zrozumieć, co właściwie kupuję. Nagle pojawia się problem.

— Na jakie nazwisko mam wystawić umowę?

Spogląda na nas, trzymając pióro we wzniesionej dłoni. Al odzywa się pierwsza.

— Nie jesteśmy małżeństwem, panie Rolphe, ale chcemy, żeby umowa była na nas dwoje. Czy to możliwe?

Spogląda na nas w inny sposób, domyślam się, że uznał nas za dwoje pogan, którzy chcą żyć w grzechu.

— Mnie tam wszystko jedno, ale czy w ogóle zamierzacie się kiedyś pobrać?

Znowu odpowiada Al.

— Nie jesteśmy jeszcze tego pewni, prawdopodobnie tak. Chcemy najpierw się lepiej poznać. To chyba rozsądne, prawda? To będzie nasz domek z marzeń.

Pan Rolphe patrzy na Altheę, a ona na mnie.

— Tak naprawdę, właścicielem domu będzie AL — mówi Al.

Pan Rolphe podaje nam umowy i pióro.

— Zgadza się, panie Rolphe, dom będzie należał do Al.

Pośrednik odchyła się na obrotowym krzeselku i uśmiecha się niepewnie.

— Ale tak nie można, AL. Nie mogę dołożyć żadnych pieniędzy do tego zakupu. Dom należy do ciebie. Będę bardzo szczęśliwa, mogąc w nim zamieszkać, nawet jeśli będzie twój. Wiesz o tym przecież.

— Mylisz się, Al, to będzie nasz dom. Najlepiej nazwiemy go Hour House\*, możemy nawet wywiesić taką tabliczkę. Nazwiemy go tak od tego wspaniałego ściennego zegara. Będzie nasz na zawsze, na najcudowniejszy czas pod słońcem.

Pan Rolphe odchrząkuje.

---

\* Słowa *our* — nasz i *hour* — godzina wymawia się po angielsku tak samo



— A co powiecie na to? Tak napiszę w umowie i nie powinno być z tym żadnych kłopotów: „Dom na Horseshoe Drive w Topanga Canyon zostaje sprzedany Althei Grimes, stanu wolnego, i Alfonsowi Columbato, stanu wolnego, by mogli w nim mieszkać wedle życzenia”.

I tak to zostało napisane. Pan Rolphe wypełnia kontrakt dla właściciela, czy raczej właścicieli, podpisujemy go we wskazanym miejscu i po wielu wybuchach śmiechu transakcja zostaje dokonana.

Podpisujemy umowę, wypełniam czek z mojej dziewiczej książeczki czekowej, by zapłacić za dom, i odjeżdżamy. Był to pierwszy czek, którym za cokolwiek zapłaciłem, a nie zrealizowałem w banku. Zaczynam się czuć jak dorosły człowiek.

\* \* \*

Każdego dnia spotykamy się na schodach Moore Hali i idziemy na obiad. Dla Al to jedyna wolna chwila w tygodniu. Szesnaście kursów, które wzięła, z czego połowa na wydziale anglistyki, i kursy uzupełniające zajmują jej prawie cały czas wolny od pracy. Oprócz pracy w bibliotece jest zatrudniona przez cztery godziny w tygodniu jako sekretarka—księgową w katedrze astronomii. Pracują tam tylko cztery osoby — doktor Herrick, szef katedry, doktor Popper, który zajmuje się mierzeniem odległości między gwiazdami przy użyciu efektu Dopplera. Al próbuje mi wyjaśnić, na czym to polega, wreszcie po dwóch dniach wypożycza z biblioteki odpowiednią książkę. Fascynujące, że można zająć się takim drobiazgiem i rozdać go do takich rozmiarów, że stanie się zajęciem na całe życie.

Trzecim pracownikiem jest doktor Morris, który zajmuje się meteorytami. Oprócz pisania korespondencji na maszynie, przygotowywania listy płac i utrzymywania jakiegoś takiego porządku w rozkładzie zajęć, do zadań Al należy odkurzanie meteorytów. Tę część swojej pracy lubi najbardziej. Bardzo często jednak musi pracować po godzinach, kiedy nie ma już nikogo w biurze. W połączeniu z jej zajęciami, pracą w bibliotece i pracą, którą musi wykonywać w akademiku, w którym mieszka, nie zostawia jej to zbyt wiele czasu dla siebie.

Jest także najpilniejszą studentką, jaką znam. Gdyby mogła, siedziałaby przez cały weekend nad swoimi pracami domowymi. Nauczyła się pisania na maszynie i stenografii, ciągle więc przepisuje swoje notatki. Zanim się poznaliśmy, zajmowało jej to większość niedzielnych popołudni.

Ja też wiele pracuję. Z nauką radzę sobie znakomicie. Zazwyczaj, kiedy nie mam zajęć, pracuję na zapleczu sklepu. Jednak najwięcej czasu, który chciałbym spędzać z Altheą, wypełnia mi praca w studio albo w pracowni ceramicznej, gdzie przy kole garncarskim przygotowuję naczynia do naszego domu. Ma to być bożonarodzeniowa niespodzianka dla AL Jest także wiele zwariowanych kursów, które muszę zaliczać jako student wydziału sztuk pięknych, jak projektowanie kostiumów teatralnych, cztery kursy projektowania przemysłowego, oprawa książek, projektowanie wnętrz, tkactwo. Podobne miczałki nigdy się nie kończą, zajmują mnóstwo czasu, a za każdy dostają zaledwie dwa punkty.

Nauczyłem się zostawać w pracowni malarskiej po zakończeniu zajęć. Mam wtedy całe atelier dla siebie. Eksperymentuję z kolorami, bawię się nimi tak, by zaczęły śpiewać i grać. W głębi serca wciąż próbuję malować swoje sny, które nawiedzają mnie od czterech lat. Wydaje mi się, że im bliższy jestem ich wyrażenia, tym dalej się ode mnie odsuwają.

Najlepsze jednak są weekendy. Wstaję wcześniej rano, poprzedniego dnia kładę się spać tuż po dziesiątej, kiedy tylko wyrzucają mnie z pracowni. O siódmej przebijam się przez korki na drodze wzdłuż wybrzeża i wśród woni szalwii wspinam się do naszej nory. Niestety, ze względu na swoją pracę Al może przyjeżdżać tu ze mną tylko raz na dwa tygodnie. W czasie sesji

egzaminacyjnej nie przyjeżdża w ogóle. Strasznie ją to frustruje. Staram się tłumaczyć, że prace, które teraz muszę wykonać, i tak byłyby dla niej zbyt ciężkie, ale mi nie wierzy, nie chce uwierzyć. Taka jednak jest prawda. Najpierw wyjmuję z zawiasów wszystkie pokrzywione okna i drzwi. Ustawiam je w niewielkiej wnęce, którą wykopałem w zboczu przy zejściu do domu. Poczyniłem pierwsze inwestycje w narzędzia, kupiłem kilof, łopatę, łom i młot kamieniarski. Nie są to może instrumenty precyzyjne, ale robota, jaka mnie czeka, z pewnością nie jest zbyt precyzyjna. Minie trochę czasu, zanim będę mógł oderwać się od łopaty. Cieszy mnie jednak ta praca. Nigdy nic podobnego nie robiłem. Właściwie na razie bardziej rozbieram, niż buduję. Twórczą częścią mojej pracy jest malowanie. Sporządziłem sobie pudełko na farby, pędzle i małe sztalugi, które wożę w Motylku.

Jedyną użyteczną rzeczą, jakiej nauczyłem się w wojsku, jest kopanie. Kopałem okopy w całej Europie. Byłem tak potwornie przerażony, że stały się dla mnie symbolem bezpieczeństwa. Prawdę powiedziawszy, kilkakrotnie nie tylko symbolem.

Nie ma nic straszniejszego od siedzenia w okopie z kimś albo, co jest jeszcze gorsze, samotnie, kiedy ziemia trzęsie się od niemieckich dział kaliber osiemdziesiąt osiem lub amerykańskich sto pięćdziesiątek piątek, z których walą chłopa pod niemieckim ogniem. W takich chwilach wykopana w ziemi dziura staje się domem.

Kopanie nie sprawia mi więc trudności. Poprawiam trochę ścieżkę i uzupełniam ją o prymitywne stopnie wykute przy użyciu oskarda i łopaty. Jestem dumny z siebie i swojego dzieła. Jestem chyba jedynym studentem wydziału sztuk pięknych z odciskami, skaleczeniami i siniakami na rękach i nogach. W porównaniu z tym, co teraz robię, zapasy wydają się zabawą małych niedźwiadków.

Usuwać też chwasty, które zarosły prawie całą działkę. Postanawiam pozbyć się geranium, które sprawia, że panuje tu niepokojąca atmosfera. Zarosło boczne okna tak skutecznie, że do środka prawie nie dostaje się światło, jedynym jego źródłem jest wielkie okno od frontu. Wydobyć tego okna z ramy było nie lada wyczynem. Okazało się, że w rzeczywistości są to trzy połączone okna. Dwa razy omal nie wypadło mi z rąk, w ostatniej chwili udało mi się je chwycić albo zaprzec. Kiedy w końcu je wyciągnąłem, okazało się, że te trzy otwierane do góry okna połączono w wyjątkowo prymitywny sposób. Były bardzo ciężkie, ale udało mi się zaciągnąć je do mojego schowka, nie tłukąc ani jednej szyby. Następnego dnia jednak słono zapłaciłem za wszystkie wynikające z tego oszczędności, byłem bowiem zupełnie połamany.

Opowiadam o wszystkim AL Bardzo chciałyby mi pomóc i na następny weekend wybiera się do pracy razem ze mną. Nie mogę już doczekać się chwili, kiedy pokażę jej, czego dokonałem.

\* \* \*

Wyjeżdżamy z kampusu o szóstej trzydzieści. Zabieram ze sobą farby i trzy paczki gwoździ różnej wielkości, które kupiłem w składzie przy Sepulveda Boulevard. Do jeepa wrzuciłem też cztery lewarki samochodowe pożyczone od kolegów z wydziału. Jeśli złapią gumę przez weekend, utkną gdzieś pewnie przy drodze. Mam też wiadro wody i trzydzieści metrów przezroczystego plastikowego węża, kupionego w sklepie przy Centinella Boulevard. Nie zapomniałem też o pysznym obiedzie.

Al włożyła dzinsy i moją kurtkę mundurową. Wypytuje mnie o sprzęty, które zapakowałem do wozu, a ja obiecuję pokazać wszystko, kiedy dotrzemy do naszej nory, Naszego Domu. Namalowałem też tabliczkę z nazwą, przybiję ją przy okazji na froncie.

Praca, jaką dotychczas wykonałem, robi na Al ogromne wrażenie. Już samo zejście, dzięki wyrąbanym stopniom, nie jest tak niebezpieczne jak poprzednio.

— AL, czy musiałeś ściąć to geranium? Czuję się teraz jak Jaś z bajki o ziarnku fasoli, kiedy ściął już fasolę i nie może wrócić do domu olbrzyma.

— Musimy najpierw sami zająć się naszym domkiem olbrzyma, Al. Kiedy skończymy, założymy sobie wspaniały ogród.

Trochę martwię się o pieniądze, obliczam, ile musimy wydać, by wprowadzić nasze plany w życie. W porę przypominam sobie, że w przyszłym tygodniu na moje konto w Bank of America wpłynie renta inwalidzka.

\* \* \*

Po południu znów ciężko pracujemy. Przygotowujemy szalunki i wypełniamy wykopy. Kiedy jesteśmy już bardzo głodni, Al podaje obiad: miskę surówki. Rozglądam się, czy będzie coś jeszcze do jedzenia, ale to już wszystko. Stanowczo jestem wielbicielem kanapek i makaronów. Sałatki jadam rzadko. Althea przyrządziła surówkę z sałaty z kukurydzą i pomidorem. Będę głodny. Jak mam jej to powiedzieć, nie raniąc jej uczuć? Ale jeśli mamy być wobec siebie szczerzy, będę musiał. Po tym skromnym obiadku zabieramy się do dalszej pracy — pracujemy aż do zmierzchu. Jesteśmy śmiertelnie zmęczeni i brudni, kończy się też zaprawa. Proponuję Al, byśmy zatrzymali się koło sklepu, w którym mieszkam, mam tam przecież umywalkę z ciepłą wodą i inne luksusy.

— Nie zamierzasz mnie chyba uwieść, AL?

— Czy jeszcze tego nie zrobiłem? — Odwracam się ku niej. Wygląda teraz naprawdę apetycznie.

— Oczywiście, AL, przepraszam.

Zajeżdżam na parking za sklepem. Alice już poszła do domu. Al staje na chwilę w drzwiach, rozgląda się dokoła. W pokoju mam kilka moich szkiców i prób malarskich. Część poprzypinałem do kartonów sięgających po sam sufit. Chodzi po pokoju i przygląda im się po kolei.

— Muszę cię odwiedzić na czas do domu, Altheo, więc umyj się pierwsza. Znajdziesz w łazience ręcznik i mydło.

Al dalej chodzi po pokoju, chyba czeka nas dyskusja o moim malarstwie.

— AL, może jednak uda ci się utrzymywać z malowania. Twoje prace są śliczne, zwłaszcza te obrazy z motylami i owadami, i te piękne rysunki traw. Są takie jak ty, unoszą się nad ziemią. Fajnie będzie żyć z malarzem.

Widzę wyraźnie, że mówi serio. Nie wiem, co powiedzieć. Nie spodziewałem się czegoś takiego. Jestem naprawdę zakłopotany.

— Dzięki, Al. Z wyjątkiem kilku kolegów, którzy oceniali moje prace na zajęciach, jesteś pierwszą osobą, która chce zrozumieć, co próbuję osiągnąć.

Zamyka za sobą drzwi do łazienki i słyszę plusk wody. Ja już nie zdążę się teraz umyć.

Odwożę Al do akademika i wracam do sklepu. Jestem cały obolały i okropnie brudny. Zaskakujące, człowiek myśli, że jest w niezłej formie, a wystarczy, że zrobi coś wymagającego odrobinę więcej wysiłku niż zwykle i czuje to potem w każdym mięśniu. Myję się starannie, potem przygotowuję się na zajęcia z historii sztuki. Kładę się na łóżku i zasypiam w jednej chwili — Przesypiam spokojnie całą noc.

\* \* \*

Następnego dnia budzę się wcześniej rano. Czytam fragment podręcznika teorii barw. Szybko sprawdzam kilka kokonów, które powiesiłem na sznurku do bielizny za sklepem, ale żaden nie zaczął jeszcze pękać. O dziewiątej jadę Westwood Boulevard do Hilgard. Al już na mnie czeka. Jestem prawdziwym szczęściarzem. Zastanawiam się, czy też jest taka obolała. Zatrzymuję jeepa przy krawężniku. Już po sposobie, w jaki się porusza, widzę, że ją też wszystko boli. Siada bardzo ostrożnie na twardym siedzeniu Motylka. Zabrała dzisiaj ze sobą notatnik i podręcznik. Chyba raczej powinienem zaproponować jej przejażdżkę na plażę.

— Jak się czujesz, Al? Mnie boli całe ciało. Wiem, że ciężko pracowaliśmy, ale nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak ciężko. Boli mnie absolutnie wszystko.

— Muszę przyznać, że potrafisz doprowadzić kobietę do bólu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, AL, ale muszę się przygotować na jutrzejsze zajęcia. Zasnęłam wczoraj nad pracą.

— Ja też zasnęłam nad Babilończykami. Może powinniśmy po prostu pojechać na plażę i odpocząć.

Althea posyła mi cierpkie spojrzenie.

— Spróbujmy może najpierw coś zrobić, AL, a potem zobaczymy, w jakim będziemy stanie. Nie cierpię przerywać pracy w ołowie.

— Pomyślałem, że powinniśmy zrobić sobie dzień wolnego. Najprawdopodobniej wczorajsza zaprawa nie zdążyła jeszcze wyschnąć, a dzisiaj nie uda nam się jej dokupić, przecież to niedziela.

— Założę się, że skład materiałów budowlanych jest dzisiaj otwarty, popracujemy jeszcze jeden dzień.

Po drodze zatrzymujemy się więc na Sepulveda Boulevard. Kupuję zaprawę i jeszcze parę drobiazgów. Starszy facet, który tam pracuje, udziela mi kilku porad.

Mówi, że zamiast kupować gotową zaprawę, mogę zastosować mieszankę jednej części cementu z trzema częściami piasku i dwiema częściami żwiru. Obliczam to sobie szybko i dochodzę do wniosku, że będzie to o wiele tańsze. Możemy umówić się na dostawę w ciągu tygodnia. Nie musimy nawet odbierać jej osobiście, wystarczy, że oznaczmy odpowiednio miejsce, żeby wiedzieli, gdzie wyładować.

Jedziemy na górę i zabieramy się do roboty. Dzisiaj idzie nam szybciej i trochę łatwiej. To bardzo męcząca praca, ale daje nam mnóstwo satysfakcji.

\* \* \*

W czasie pracy próbujemy rozmawiać o tym, co —jak mamy nadzieję — będziemy robić w życiu.

W tych sprawach Althea jest ekspertem. Ja wiem tylko, że chcę być malarzem, nie zastanawiam się nad rozwiązaniami praktycznymi. Al pyta mnie, jak chcę sprzedawać obrazy. Nie mam pojęcia. Po prostu jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

— Ależ, AL, musisz podchodzić do tego bardziej praktycznie. Będziemy potrzebować pieniędzy na życie. Ja może znajdę sobie pracę jako sekretarka, niewiele jednak jest ofert pracy dla absolwentek anglistyki, zwłaszcza jeśli specjalizują się w poezji.

— Nie martw się, Al. Doprowadzimy ten dom do porządku, zamieszkamy w nim, a ja wciąż będę dostawał rentę inwalidzką. Może założymy ogród.

— Nic nam nie wyrośnie na tym stromym stoku, AL! Rozejrzyj się dookoła siebie, przecież to prawie pionowa skalna ściana!

— Wszystko po kolei. Coś wymyślimy.

Wiem, że ma rację, ale nie chcę zepsuć wszystkiego praktycznym myśleniem, w końcu to mój sen. Wieczorem, zmęczeni, ale zadowoleni, wspinamy się do jeepa. Prowadzę powoli, żebyśmy mogli przyglądać się zachodowi słońca. Odwożę Al do akademika i wolno jadę do domu.

## ROZDZIAŁ XII

cej słucham, tym mniej rozumiem. Powoli dociera do mnie, że powody, dla których chcę malować, niewiele mają wspólnego z motywacją innych, zwłaszcza wykładowców. W końcu zaczynam się zastanawiać, czy ten przeklęty test nie wykazał prawdy i czy powinienem był w ogóle rozpoczynać studia na wydziale sztuk pięknych, może zacząłem zbyt późno albo nie jestem dostatecznie wrażliwy.

Może inni nauczyli się już w liceach czegoś, czego ja, zajmując się wtedy matematyką i naukami ścisłymi, nie opanowałem. Może to, że pochodzę z rodziny, która nie miała nigdy szczególnych ambicji akademickich czy artystycznych, stanowi większe ograniczenie, niż sądziłem.

Doszedłem do tego, że potrafię mówić o malarstwie równie dobrze, a może nawet lepiej niż większość moich kolegów. Osiągnąłem taki poziom, że moje krytyki przyjmowane są z uwagą przez kolegów i wykładowców. Sam jednak w nie nie wierzę, nie mam ani odrobiny zaufania do swoich opinii. Mówię tylko to, czego się po mnie spodziewają!

Nie chcę niepokoić tym wszystkim Althei. Podobają jej się prace, które jej pokazuję, więc nie zamierzam utracić mojej jedynej wielbicielki.

W jakiś sposób jestem przekonany, że trwając przy swoim, malując to, co lubię i tak jak lubię, rozwinę swoje umiejętności. Być może to właśnie ta naiwna wiara jest źródłem moich kłopotów.

Ostatecznie, zbieram się na odwagę, by porozmawiać z kimś z zewnątrz, kto mógłby zrozumieć, o co mi chodzi. Może ten ktoś mógłby dać mi jakieś wsparcie albo przynajmniej podsunąć sensowne powody, by porzucić cały ten bezsens, zając się studiowaniem biologii lub czegoś podobnego.

Między czwartą po południu a północą jeden ze stróżów sprząta Moore Hall. To on najczęściej wyrzuca mnie z pracowni o dziesiątej. Zawsze uważnie przygląda się temu, co mam właśnie na sztalugach. Na ogół nic nie mówi, ale posyła mi swój szczególny luzacki uśmiech i dalej zbiera śmieci albo zamiata. Otacza go cudowna aura spokoju i pewności siebie.

W pewne piątkowe popołudnie, kiedy wszyscy już sobie poszli, zbieram się na odwagę, by z nim porozmawiać. Odchodzę od swojego płótna, trzymając w ręku paletę. Uśmiecham się do niego, a on odpowiada mi uśmiechem.

— Czy mógłby mi pan oddać przysługę?

Uśmiecha się ponownie i kiwa głową, opierając się na szczotce.

— jak pan widzi, ciężko pracuję. Wiem, że rozumiem, o czym mówi się na zajęciach, i myślę, że jestem równie uzdolniony malarsko jak większość moich kolegów, ale wygląda na to, że nie jestem w stanie zadowolić moich wykładowców. To jest dla mnie niezrozumiałe, czy potrafi pan to jakoś wytłumaczyć?

Pochyla się do przodu, wciąż oparty na swojej szczotce. Płótno przedstawia motyla, duże zbliżenie łusek na motylich skrzydłach, całe w żółciach. Stoi tak i nic nie mówi. Dochodzę do wniosku, że nie podoba mu się mój obraz. Wreszcie przenosi wzrok na mnie.

— Tak, chyba mogę ci pomóc. Chodź ze mną, to ci powiem, o co mi chodzi.

Odwraca się i wychodzi z pracowni, pchając przed sobą szczotkę. Odkładam paletę i spoglądam na zegarek. Minęła już ósma. Idę za nim do magazynku sprzątaczek. Włącza światło i wchodzi do pomieszczenia. Gestem zaprasza mnie do środka.

Całkiem tu przyjemnie. Z tyłu stoi niewielkie biurko, przy którym stoją dwa krzesła. Ściany pokryte są półkami. Ustawia szczotkę przy drzwiach, siada i zaprasza, bym zajął drugie krzesło.

— Powiem ci, co moim zdaniem się dzieje. Po pierwsze, wydaje mi się, że za bardzo się martwisz i za bardzo starasz. Powinienem jednak chyba zacząć od tego, że kiedyś sam byłem swego rodzaju artystą, miałem własną agencję reklamową i sporo na niej zarabiałem. Trwało to dopóty, dopóki nie zacząłem nadużywać alkoholu i nie straciłem wszystkiego. Właściwie nie była to zbyt wielka strata, przynajmniej z mojego obecnego punktu widzenia. Straciłem jednak także dwoje dzieci i żonę. Moja żona szybko znalazła sobie innego mężczyznę, a ja tęsknię za moimi dziewczynkami, chociaż teraz są już dorosłe i możemy widywać się od czasu do czasu. Posłuchaj, alkoholizm to straszna choroba, która całkiem odmienia życie człowieka. Ale to też jest dobre. Przepraszam, że zanudzam cię tym wszystkim, kiedy, jak widzę, sam masz problemy ze swoim życiem, ale chciałbym, abyś wiedział, że mam pojęcie o cierpieniu, jakie cię teraz dotyka. To bardzo wyraźne w twoich obrazach. Obserwuję cię już od dłuższego czasu. — Urywa. Patrzy na mnie spokojnym wzrokiem. Trudno uwierzyć, że jest alkoholikiem. — Od pięciu lat nie miałem kropli alkoholu w ustach. Oczywiście, straciłem swoją agencję, straciłem wszystko, co miało wówczas dla mnie jakąś wartość, teraz jednak mam swój pokój i zarabiam więcej, niż potrzebuję. Nie podejrzewam, bym miał kiedyś znowu malować, lubię jednak przebywać wśród malarzy. To szczególna magia. Wydaje się, że malarze odrzucają codzienność i zatracają się w swych marzeniach, a te stanowią przecież najlepszą część życia. — Sięga na półkę i zdejmuje z niej elektryczny czajnik. — Nie napiłbyś się herbaty ziołowej?

— Z przyjemnością, dziękuję.

Kiwam głową. Nigdy wcześniej nie piłem herbaty ziołowej. Właściwie prawie w ogóle nie piję herbaty.

— Nie mów nikomu o tym czajniku, to wbrew przepisom uniwersyteckim.

Starannie odmierza dwie łyżeczki i zalewa je gorącą wodą.

— Teraz jestem buddystą, a przynajmniej staram się stosować w swoim życiu do zasad buddyzmu. Wiesz coś o tej religii?

Kiwam przecząco głową. Zaczynam żałować, że zwróciłem się do niego z moim kłopotem. Ten człowiek jest bardzo miły, ale chyba tracę cenny czas, który mógłbym poświęcić na malowanie. Nalewa herbatę do małych filiżanek, nie podaje cukru. Dla mnie herbata ma sens tylko wtedy, gdy można w niej rozpuścić cukier. A teraz czeka mnie picie herbaty na serio.

Unosimy filiżanki jak do toastu. Zapach unoszący się z nich jest piękny. Herbata ma bardzo delikatny smak, ale dopiero po chwili wyczuwam jej niezwykły aromat.

— Jeśli zaś chodzi o twoje malarstwo... Myślę, że za bardzo się starasz. W tym, co robisz, jest pewien nacisk, który nie wydaje się naturalny, jesteś wręcz agresywny. Nie zrozum mnie źle, coś takiego można zauważyć w dobrym malarstwie, to wyraz woli artysty, ale wydaje mi się, że stać cię na coś więcej. Spodobały mi się szczególnie twoje obrazy przedstawiające trawę i chwasty. Na swój sposób są one lepsze nawet od obrazów motyli, które także bardzo mi się podobają. Och, tak, sprawiłeś mi wiele przyjemności.

Próbuję odpowiedzieć, on jednak unosi w górę dłoń, powstrzymując mnie. Jak to możliwe, że nocny stróż potrafi tak dobrze mówić o malarstwie? Może i miał agencję reklamową, ale to nie wyjaśnia wszystkiego.

— Nie chcę ci niczego narzucać, mógłbyś jednak skorzystać z pewnych koncepcji buddyzmu. Naprawdę dobry malarz buddysta, gdyby ktoś taki mógł istnieć, wiedziałby, co malować, ponieważ wpływałoby to bezpośrednio z niego, nie byłoby w tym żadnego planowania czy myślenia. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Malowanie powinno być czymś równie naturalnym jak sen albo oddychanie.

Mówi interesująco, ale to już dla mnie trochę za dużo. Lubię jednak słuchać, jak mówi. Nie chodzi właściwie o to, co mówi, ale o ten spokojny, naturalny sposób, w jaki jego głos otula

słowa. Przypomina to muzykę.

Przez ponad godzinę siedzimy tak i popijamy herbatę. Rozmowa z nim uspokaja mnie, a nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, w jakim napięciu żyję. Często uśmiechamy się do siebie. Na ogół nie miałem najlepszych relacji z innymi mężczyznami, może to skutek kontaktów z tatą, niełatwy z niego facet. Nie ufam mężczyznom. Wydaje mi się, że oprócz Al nikomu za bardzo nie ufam, nawet samemu sobie. Kiedy kończymy rozmowę, wracam do pracowni i pakuję się, odkładam farby, myję pędzle, odstawiam sztalugi do kąta.

Kiedy przed dziesiątą wychodzę z sali, dostrzegam stróża, który stoi koło wyjścia.

— Mam nadzieję, że nie gniewasz się na to, co ci powiedziałem, młody człowieku. Obserwuję cię od dawna i sądzę, że masz w sobie materiał na dobrego malarza. Ja tego nie mam, nigdy nie miałem. Miałem wrażliwość, namiętność, umiejętności, ale nie miałem w sobie prawdziwego malarskiego ducha, który mógłby się uzewnętrznić. Myślę, że z tobą jest inaczej. Mam taką nadzieję.

Mój nowy przyjaciel odchodzi korytarzem, pchając szczotkę, co chwila zatrzymuje się, by podnieść jakiś śmieć. Orientuję się nagle, że nie znam nawet jego imienia. Byliśmy sobie tak bliscy, że imiona jakoś nie były nam potrzebne. Przykładam dłoń do ust.

— Hej, mam na imię AL, nie wiem, jak ty się nazywasz! — wołam.

— Możesz mi mówić Paul. Podoba mi się to imię.

— Dobra, Paul. Miło mi się z tobą rozmawiało. Zapamiętam sobie, co powiedziałeś, i zobaczę, czy uda mi się jakoś to wykorzystać w moich obrazach.

Nie odwraca się, kiwa tylko głową i odchodzi.

\* \* \*

Polubiłem rozmowy z Paulem. Potrafi poddawać moje obrazy naprawdę sensownej krytyce. Nabieram więcej pewności siebie, wiary w to, co robię.

Nie pomaga mi to jednak w kontaktach z moim wykładowcą malarstwa olejnego. Nazywa się Clinton Adams. Jego obrazy są bardzo uporządkowane, to odmiana kubizmu z elementami tego, co jest coraz bardziej znane jako szkoła nowojorska. Nie dostrzegam w tym żadnej wartości, ale to on jest nauczycielem, więc nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie.

Nasz artystyczny konflikt wybucha z pełną mocą nagle, kiedy otrzymujemy od niego pewne proste zadanie. Profesor Clinton Adams kilka razy już zmył mi głowę w czasie zajęć. Pochodzi ze Środkowego Zachodu, ma głos podobny do Jimmy'ego Stewarda, cedzi i przeciąga słowa, robiąc długie przerwy. Ciarki mnie przechodzą, kiedy go słyszę, nawet kiedy nie pastwi się akurat nad moją pracą.

— Zadanie na ten tydzień to obraz, który będzie przedstawiał istotę mleka.

Podnosi wzrok i uśmiecha się do nas, podczas gdy my spoglądamy po sobie. Wyznaczył nam już kilka zwariowanych zadań, ale tego już za wiele. Odzywa się jedna z dziewcząt.

— Co to znaczy „istotę mleka”, profesorze Adams? Czy mamy pomalować płótno na białe albo namalować szklanekę, z której wylewa się mleko?

— Nie, macie zrobić dokładnie to, co powiedziałem, namalować istotę mleka, pełnię doświadczenia mleka. Spróbujcie wyrazić wasze uczucia wobec mleka. — Wbija wzrok w sufit i wskazuje palcem w pustkę, jak gdyby już widział przed sobą jeden z naszych mlecznych obrazów. — Skorzystajcie ze swojej wyobraźni. Wytężcie odrobinę umysły i przywołajcie swoje odczucia dotyczące mleka, to, że musieliście pić mleko, choć wcale wam nie smakowało, o butelkach, które dostawaliście jako niemowlęta, po prostu wszystko. Spróbujcie namalować zapach mleka prosto od krowy, uchwycicie swój osobisty obraz mleka, zrozumiano?



No cóż, może nie do końca zrozumiałem, ale na to nic już nie można poradzić.

Staram się przemyśleć to zadanie tak dogłębnie, jak tylko mogę — Wreszcie przychodzi mi do głowy krowa i to, jakie to niesamowite, że piękna, zielona trawa przemienia się w białe mleko. Zabieram się do malowania krowy. Kiedy kończę, jestem zadowolony. Myślę, że jeżeli można w ogóle przedstawić istotę mleka, a przynajmniej związek między krową a mlekiem, udało mi się to osiągnąć.

\* \* \*

W poniedziałek rano przynoszę mój obraz na uniwersytet. To jedno z większych płócien, jakie do tej pory namalowałem, ma dziewięćdziesiąt centymetrów na metr dwadzieścia, w końcu przedstawia wielką krowę. Obraz mieści się w jeepie, ale w czasie jazdy próbuje co rusz odlecieć o własnych siłach. Czuję się prawie tak, jak gdybym wiózł latającą krowę. Może następnym razem spróbuję to namalować. Adamsowi powinno się spodobać.

Ustawiamy nasze obrazy na sztalugach z przodu pracowni. Wszyscy siadamy na wysokich stołkach. Adams krąży wśród obrazów. Co parę chwil spogląda na nas przez ramię. Dyskusja ma się właśnie zacząć. Pospiesznie oglądam prace moich kolegów. Co oczywiste, większość spośród nich stanowią abstrakcje, mnóstwo bieli, trochę wrażenia płynności, wodniste obrazy. To rzeczywiście było trudne zadanie.

Moja krowa stojąca na zielonej łące, na tle niebieskiego nieba, po którym płyną podobne do krów chmury, rzeczywiście tu nie pasuje. Krowa ma odwróconą głowę, patrzy z obrazu, jak gdyby właśnie przerwano jej przeżuwanie.

Profesor chodzi po sali tam i z powrotem, a my zaczynamy wręcz wpadać w trans. Wiemy, że od tej pracy może zależeć nasza ogólna ocena, to, czy dostaniemy A, czy F, na wydziale sztuk pięknych panuje właśnie taki prymitywny system ocen. Poza tym większość spośród nas dała z siebie wszystko, a zgodnie z tym, co powiedział Adams, ma to być najważniejsza praca w tym semestrze. To szalone, że można w ogóle coś takiego wymyślić.

Siedzę cały w nerwach, podczas gdy on zatrzymuje się na chwilę przed każdym obrazem. Wszystkie są olejne albo akrylowe, żadnych gwaszy czy akwareli, ustalił to już z góry. Przekonałem się jednak już wcześniej, że ze wszystkich technik malarskich najbardziej lubię farby olejne, więc wcale mi to nie przeszkadzało.

Moja krowa pasuje do pozostałych jak przysłowiowy wół do karety. Ogarniają mnie dwie narastające, choć przeciwstawne chęci, by podejść i ściągnąć ją ze sztalug albo cichutko wymknąć się z pokoju. Siedzę jednak nieruchomo jak zahipnotyzowany.

Wydaje się, że wykładowca całkowicie ignoruje moje dzieło. Przy każdym obrazie, przy którym się zatrzymuje, wygłasza śmiercionośne uwagi, powołując się na istic biblijne kryteria, do których powinniśmy się stosować w malarstwie. Po pierwsze, odwołuje się do różnorodnych koncepcji koloru pojmowanego z jego praktycznie monochromatycznego punktu widzenia. Wszystko, co ma w sobie więcej niż jedną barwę, nazywa pstrokacizną.

Moja krowa wydaje się prawie różowa w świetle zachodzącego słońca. Stanowczo można obraz nazwać pstrokatym, jeśli wziąć pod uwagę żywe zielone tło. U góry połączenie błękitów nieba przechodzących z paryskiego w ultramarynę, choć obie barwy osłabiłem nieco odrobiną bieli tytanowej. Całość jest właściwie taka, że tylko sięść i płakać. Z jego punktu widzenia to pstrokacizną, dla mnie jednak wyraz siły i pełni życia.

Przeprowadza okrutny, prawie osobisty atak na jedną ze studentek, powołując się na, jak to określa, sentymentalne bzdury albo kicz, swoje ulubione określenie. Wiwisekcja trwa przez pięć minut. Nieszczególnie odpowiada mi styl tej dziewczyny, jest jak dla mnie odrobinę za bardzo

wymuskany, ale nie zasłużyła sobie na coś takiego. Cała grupa milczy, a profesor peroruje. Spoglądamy po sobie. Zapowiada się katastrofa i nie możemy zrobić nic, by ją powstrzymać.

W głosie Adamsa brzmi słabo tłumiona wściekłość, wygląda jak ksiądz, który odmawia penitentowi rozgrzeszenia. Wszyscy nadal milczymy. W końcu nie może już dłużej unikać mojej krowy. Ustawia sztalugi przed sobą i odwraca się twarzą w stronę grupy.

— I spójrzcie tylko na to. Podczas gdy większość obrazów dowodzi jedynie waszej niekompetencji, braku zrozumienia, czym może być obraz, to jednak jest już zniewaga. Potworne marnotrawstwo cennej farby. Czy ma to coś wspólnego z zadaniem? — Macha pogardliwie w stronę obrazu. — Zjadliwa zieleń na tle farbkowobłękitnego nieba, a na dodatek prymitywna krowa. Domyślam się, że to krowa, ponieważ ma wymiona. I to mają być zajęcia z malarstwa? — Coraz bardziej podnosi głos.

Zastanawiam się, komu to wszystko potrzebne. Grupa jest w szoku. Powoli podnoszę się, przechodzę przez salę i zabieram swój obraz.

— Proszę nie wychodzić, panie Columbato. Czy potrafi pan w jakikolwiek sposób uargumentować to, co pan zrobił? Czy potrafi pan podać choćby jeden powód, dla którego nie powinienem dać panu F za tę pracę? Jesteśmy tutaj, by się uczyć, a uczymy się poprzez krytykę. Co ma pan do powiedzenia?

Staję obok swojego obrazu, twarzą zwrócony do grupy. Teraz albo nigdy.

— No cóż, skoro nadeszła pora na krytyczną dyskusję, wydaje mi się, że właściwe będzie wygłoszenie kilku krytycznych uwag na temat samego zadania. Nie sądzę, by wyznaczył je pan całkiem serio, nie dał pan również jasno do zrozumienia, czego właściwie pan sobie życzy. Rozmawiałem na ten temat z kilkoma osobami z grupy, które w większości się ze mną zgadzały. Wiem, że nie ma tutaj miejsca na demokrację, ale to chyba odpowiedni moment, byśmy dali wyraz uczuciom, jakie większość z nas żywi wobec tego, czego uczy nas pan na swoich zajęciach i czego pan od nas wymaga.

Uśmiecha się krzywo i kiwa głową rytmicznie jak metronom. Wiem, że właśnie dostarczam mu argumentów, które mogą zakończyć moją studencką karierę.

W sali panuje martwa cisza. Przerywam na chwilę, patrzę na swoją krowę. Podnoszę ponownie wzrok i spoglądam najpierw na grupę, potem na Adamsa.

— Jest takie powiedzenie, panie Adams, nie to jest piękne, co jest piękne, ale to, co się komu podoba. Wydaje mi się, że nie chodzi panu o piękno. Chyba niedokładnie przemyślał pan zadanie, jakie przed nami postawił. Żal mi pana. Włożyłem wiele pracy w malowanie, starając się wyrazić moje rozumienie zadanego tematu. Wydaje mi się, że mi się to powiodło. Pan uważa, że nie. W tym przypadku, najwyraźniej to pan ma rację. Moja praca zasługuje na ocenę niedostateczną. Jak powiadał często mój ojciec, ze wszystkimi nie wygrasz.

Po tych słowach odwracam się i wychodzę z sali. W drodze do sklepu postanawiam sobie, że mimo wszystko zostanę malarzem.

Wracam na uniwersytet po obiedzie i jak zawsze zabieram się do malowania w pracowni. Po chwili pojawia się Paul. Chcę mu opowiedzieć o dzisiejszej dyskusji.

— Och, nie musisz mi nic mówić. Już kilku twoich kolegów opowiedziało mi o wszystkim. Mówili, że kiedy wyszedłeś z sali, wszyscy podnieśli się z miejsc i nagrodzili cię oklaskami. Na miłość boską, co takiego powiedziałeś? Z tego, co słyszałem, wynika, że mogą wyrzucić cię za to z uniwersytetu.

Gestem zaprasza, bym poszedł za nim, zamykam więc pudełko z farbami. Mam nowe płótno, ale zostawiam je po prostu obok sztalug. Wciąż jestem pod wrażeniem starcia z Adamsem. Wiem, co prawda, że to kretyń, ale zdaję sobie sprawę z tego, że może mi narobić kłopotów. Nie chcę nawet myśleć, co powie o tym wszystkim doktor Wiley. Wygląda na to, że mam szczególny

talent do pakowania się w kłopoty.

— Wiesz chyba, że nie ma żadnego powodu, byś utrudniał sobie życie w ten sposób — mówi Paul, gdy znajdujemy się w składziku na szczotki.

— Nie miałem pojęcia, że zrobi się z tego taki bajzel.

— Daj już spokój. Wiesz aż za dobrze, na czym polega jego kłopot. Kiedy spojrział na prawdziwą krowę, choćby nawet na płótnie, musiał przeżyć prawdziwy szok. Czy miałeś okazję spojrzeć mu w twarz?

— Pewnie miałem, ale nie zrobiłem tego, za bardzo byłem zdenerwowany.

— Chcesz mi więc powiedzieć, że nie miałeś pojęcia, co robisz? Czy mógłbyś w takim razie powtórzyć, co powiedziałeś? Z tego, co zrozumiałem, wygłosiłeś mu cały wykład. Żałuję, że mnie tam nie było.

— A ja żałuję, że nie było tam ciebie zamiast mnie. Powtarzam swoją tyradę tak dokładnie, jak potrafię.

— Naprawdę nieźle ci się udało. Dziekan McHenry będzie miał się z czego śmiać.

Nie wiem nawet, kim jest dziekan McHenry. Nie chcę wcale tego dowiadywać, choć obawiam się, że będzie to konieczne.

— Posłuchaj mnie, AL. Nie chcę cię martwić. Clinton Adams już ma kłopoty przez swoją arogancję. Jeśli grupa naprawdę wstała i nagrodziła cię oklaskami, nie będzie mógł narobić ci prawdziwych kłopotów. Ale może próbować się na tobie odegrać. Radziłbym, jeżeli to jeszcze możliwe, żebyś wypisał się z jego zajęć.

— Już za późno, wtedy automatycznie dostałbym F.

— Tego się właśnie obawiałem.

Wbija wzrok w swoje dłonie na długą chwilę. Potem spogląda na mnie.

— Powiem ci, co powinieneś zrobić. Nie będzie to łatwe, ale wiem, że ci się uda. — Patrzy mi prosto w oczy. Jest poważny, chociaż wciąż się uśmiecha. — Od tej chwili staraj się naśladować malarstwo Clintona Adamsa. Na twoim miejscu odszukałbym katalogi tych kilku wystaw, które miał, i studiowałbym je jak Biblię. Przekonasz się, że nie jest to szczególnie trudne. Jego system organizacji obrazu jest niewiarygodnie prosty. Sam zobaczysz. Niewiele będziesz miał z tego przyjemności, ale będzie to w końcu dość szczególny sposób nauki, jak w średniowieczu, a nawet w dziewiętnastym wieku, kiedy uczniowie opanowywali rzemiosło przez kopiowanie prac swego mistrza.

W pierwszej chwili nie potrafię uwierzyć w to, co mówi. Ale w końcu zaczynam pojmować. Może w ten sposób uda mi się jakoś wydostać z bagna, w które sam się władowałem, choć może sprawię tylko, że bagno wciągnie mnie jeszcze głębiej. Sam zaczynam się uśmiechać.

— Paul, wydaje mi się, że to niezły pomysł, i chyba naprawdę powinno mi się udać. Nie podejrzewam, żebym nauczył się wiele w ten sposób, ale skoro sam się w to władowałem, muszę teraz spróbować wszystkiego, by wyjść z kłopotów.

Podnoszę się i zaczynam chodzić po pokoiku, dwa kroki w jedną, dwa kroki w drugą stronę, na tyle tylko pozwalają jego rozmiary. Paul obserwuje mnie, w końcu obydwaj wybuchamy śmiechem.

\* \* \*

Robię dokładnie tak, jak mi poradził. Z biblioteki wydziału sztuk pięknych wypożyczam wszystkie trzy katalogi prac Adamsa. Jeden pochodzi z niewielkiej galerii we wschodnim Teksasie, drugi z jakiegoś miasta w stanie Illinois, a trzeci wydano przy okazji wystawy, jaką dwa lata temu miał na UCLA. Przyglądam się ilustracjom. W ciągu siedmiu lat jego obrazy nie

zmieniły się wiele, wyglądają prawie identycznie. Prawdę powiedziawszy, niektóre są identyczne, zmieniły się tylko ich tytuły. Już nie mogę się doczekać następnego zadania.

Jednak na następnych zajęciach okazuje się, że mój plan może wziąć w łeb. Naszą następną pracą ma być martwa natura w stylu Georgii O'Keefe, czaszka krowy lub konia z kawałkami drewna na tle draperii.

Wiem, że z łatwością potrafiłbym namalować coś takiego w stylu „adamsowskim”. Jednak kiedy wychodzimy z sali, Adams prosi mnie, bym poszedł z nim do jego gabinetu. Domyślam się, że dopiero tam powie mi, że skreśla mnie ze swojego kursu. Siada na narożniku biurka i gestem zaprasza, bym zajął miejsce na krześle.

— Zaprosiłem cię tutaj, żeby porozmawiać o występie, jaki urządziłeś sobie przed całą grupą. Było to absolutnie niepotrzebne. To jednak jeszcze nie wszystko. — Sięga za siebie po teczkę z moim nazwiskiem na okładce. — Poszedłem do dziekanatu, żeby dowiedzieć się, jak sobie radzisz na innych kursach. Ku memu zaskoczeniu przekonałem się, że na wszystkich zajęciach oprócz moich radzisz sobie wyśmienicie. Nawet na zajęciach na naszym wydziale, tych, które nie są bezpośrednio związane z malarstwem, plasujesz się wysoko powyżej średniej. — Urywa, wbija wzrok w teczkę z moimi papierami i kiwa głową. — Marnujesz jednak czas na zajęciach z malarstwa. Popatrz tylko, same znakomite stopnie i zaledwie C z przedmiotu kierunkowego, malarstwa. Dlaczego twoim zdaniem tak się dzieje?

Nie daje mi czasu na odpowiedź.

— Czy nie wydaje ci się, że być może wybrałeś niewłaściwe studia? Może powinieneś zająć się naukami ścisłymi, może nawet projektowaniem, a tylko malarstwo jest dla ciebie zbyt trudne. Co o tym sądzisz?

Milczę przez minutę. Jakiej odpowiedzi udzieliłby Paul?

— No cóż, panie Adams. Wydaje mi się, że potrafię malować. Wiem o tym. To właśnie chcę robić. Po prostu nie wszedłem jeszcze w system, nie przywykłem do metod nauczania stosowanych na UCLA, obiecuję jednak, że rozwiążę wszystkie problemy.

Wcale nie to chciałem powiedzieć, a on kiwa tylko głową. Zamyka swoją teczkę i odkłada ją na biurko.

— Studiujesz dzięki paragrafowi szesnastemu, prawda? Potakuję.

— Co powiedział ci twój doradca?

— Doktor Wiley powiedział, że mogę kontynuować studia malarskie. Zdaję wszystkie egzaminy i nie mam innych kłopotów.

— Tak, ale najwyraźniej inne przedmioty nie sprawiają ci tyle trudności. Dlaczego chcesz marnować swoje zdolności, wałąc głową w mur, którego nie jesteś w stanie przebić? Twoja krowa to była zniewaga dla całego wydziału.

— Rozumiem, profesorze Adams. To się więcej nie powtórzy. Nie wiedziałem po prostu, czego konkretnie pan sobie życzy.

Machnięciem ręki wyprasza mnie ze swojego gabinetu. Cieszę się, że mogę już iść. Przynajmniej nie wyrzucił mnie z kursu. Wracam do pustej pracowni. Przeszukuję materiały do martwych natur i zaczynam zbierać w głowie wszystko, co pamiętam z obrazów Georgii O'Keefe. Jestem zaskoczony, że żaden z moich kolegów nie zabrał się jeszcze do pracy. Szczerze mówiąc, ten temat niezbyt mnie interesuje, ale teraz gotów jestem malować wszystko. Chcę tylko malować. Nie sądzę, by ten obraz miał sprawić mi jakieś kłopoty, chociaż ma to być Georgia O'Keefe w wersji ALa Columbato, namalowana w pseudostylu Clintona Adamsa. Paulowi się to spodoba. Jest to do tego stopnia śmieszne, że prawie surrealistyczne z buddyjskimi akcentami.

Zabieram się szybko do pracy, ograniczając zakres palety i starając się podkreślić ostateczność czaszki. Odkrywam, że całkiem nieźle wychodzi mi malowanie w stylu „adamsowskim”.

Najlepiej zaś, kiedy za wiele nie myślę.

## ROZDZIAŁ XIII

Kiedy podjeżdżam po Altheę pod akademik Hilgard, mój jeep wygląda tak, jakbym zaczął dorabiać na boku jako pomoc drogowy. Pogadałem z kilkoma kolegami i przekonałem ich, żeby pożyczyli mi jeszcze cztery lewarki. W sumie wożę osiem, każdy zaopatrzony w korbkę i pokryty smarem.

— Co dzisiaj robimy, AL?

— Dzisiaj sami podniesiemy nasz dom z pomocą tych brudnych potworów, które widzisz tam z tyłu. Wskakuj do środka, specjalnie dla ciebie zostawiłem czyste miejsce.

— Zwariowałaś, AL. Czy nie mogłeś poprosić o pomoc jakiegoś kolegi? Nie potrafię nawet wyobrazić sobie, że będę mogła ci w tym jakoś pomóc. Mamy podnieść cały dom?

— Al, to dla nas kaszka z mlekiem. Daj spokój. Będzie fajnie, a jeśli dom zjedzie po zboczu, pobiegniemy za nim i pozbieramy, co się da, a potem od nowa zabierzemy do roboty.

Ostrożnie wsiada do samochodu. Ma na sobie stare dżinsy, które kupiłem za dwadzieścia pięć centów w sklepie Armii Zbawienia. Właściwie chodzimy tam nie po zbawienie, ale w poszukiwaniu podobnych okazji. Widzę, że zabrała obiad. Mam nadzieję, że przygotowała porządne kanapki. Będziemy dzisiaj potrzebowali dużo energii.

Wyjaśniam Al, co zaplanowałem na dzisiaj.

Tłumaczę jej, jak zamierzam podnieść domek, a ona słucha uważnie, jedynie od czasu od czasu pyta mnie o jakieś szczegóły.

*Robimy więc wszystko tak, jak mówi AL. Widzę, że prace są już bardzo zaawansowane. Musiał pracować jak wariat przez ostatni weekend. Może to właśnie wszystko wyjaśnia — on po prostu jest wariatem. Ale i tak go kocham!*

*Ustawienie lewarków zajmuje nam bardzo dużo czasu. Oboje jesteśmy zmęczeni i spoceni. W butach mam pełno piasku i żwiru. Kiedyś uznałabym to może za zabawne, teraz jednak mam ogromną ochotę spasować.*

— Al, wiem, że jesteś zmęczona, ale za piętnaście minut będziemy mogli zrobić sobie przerwę, oczywiście jeżeli nasza krzywa wieża nie runie.

— Nawet tak nie myśl, AL, a już na pewno nie mów!!!

— Teraz przejdę wokół domu i będę podkręcał lewarki, żeby przekonać się, czy cały dom podnosi się równomiernie. Powinno tak być, jeśli wszystko zrobiliśmy, jak należało. Zacznę od podnośników na dole. Na nich spoczywa największy ciężar. Jesteś gotowa?

*Nigdy nie będę gotowa, ale kiwam głową. W takich chwilach żałuję, że nie wierzę w siłę modlitw. Jestem absolutnie przekonana, że wyłącznie boska interwencja może powstrzymać naszą przechyloną, powykręcana chatkę od zsunięcia się w dół po stoku.*

*AL zabiera się do roboty. Nie widzę go, ale słyszę, jak trzeszczy nasz dom, kiedy podkręca kolejne lewarki. Wydaje mi się, że domek zaczyna się powoli prostować, ale jeszcze tego nie widać. Słyszę, że AL mnie woła.*

— Al, czy mogłabyś podkręcić o dwa oczka lewarek pod prawym narożnikiem, na prawo od ciebie?

*Przechodzę przez dawną werandę do wskazanego narożnika. Tym razem jednak udaje mi się to bez kłopotu. AL wspina się po zboczu z drugiej strony domu.*

— Świetnie sobie radzisz, Al. Teraz podciągnę drugi narożnik, a później możemy sobie zrobić przerwę. O ile nie nadciągnie tropikalny sztorm albo trzęsienie ziemi, prawdopodobnie nknam nie grozi. Dom powinien wytrzymać przynajmniej tak długo, aż zjemy obiad.

*Po tych słowach AL przewraca się i nieomal zsuwa po zboczu. Ruszam na górę, by przynieść nasz obiad, ale AL daje mi znać, bym została.*

— Ja pójdę, Al, ty odpocznij w cieniu, tylko uważaj na grzechotniki.

*Rusza w górę, przytrzymując się korzeni i zapierając stopami o kamienie — Po pewnym czasie wraca, niosąc obiad i jedną z wielkich manierek, w których przechowuje wodę.*

— Wiesz, Al, już teraz widzę, że nasz domek naprawdę zaczyna się prostować. Może to tylko moja wyobraźnia, ale tak mi się zdaje. Chyba nam się udało.

— Dlaczego jesteś taki zaskoczony? Myślałam, że wszystko sobie zaplanowałeś.

— Tak, Al, ale wiesz przecież, jak to bywa z planami. Jestem gotowy do jedzenia. Co mamy na obiad?

— Mam nadzieję, że coś, co będzie ci smakować. Ale w końcu nawet najlepsze plany... Będziemy musieli nad tym popracować.

Kurcze! Jaki wspaniały obiad przygotowała Althea! Nigdy jeszcze nie jadłem w Kalifornii niczego, co tak bardzo przypominałoby filadelfijskie *hoagies*. Nawet smakują tak, jak należy. Kroimy bochenek na pół, widzę, że Al jest tak samo głodna jak ja. Rozkoszujemy się każdym kęsem, oliwa i ocet spływają nam po podbródkach. Nie wiem, gdzie znalazła ostre papryczki, ale są wyśmienite i doskonale pasują do wędlin i serów.

— Althea, gdzie udało ci się kupić składniki? Wszystko jest doskonałe, nawet chleb.

— Wiesz przecież, że jestem czarownicą. Po prostu jedz.

— Nie, naprawdę, to po prostu cud. Jak to zrobiłaś?

— Czy uwierzysz, że mamy w akademiku Włoszkę? Nie tylko jest Włoszką, ale pochodzi z przedmieścia Filadelfii. Powiedziała mi o prawdziwych włoskich delikatesach we wschodnim Los Angeles, poszliśmy tam więc i zrobiliśmy zakupy. Pokazała mi odpowiednie składniki. Wiesz już, na czym polegał ten cud. Co teraz powiesz?

Pochyliłam się i całuję ją, kiedy próbuje przełknąć kęs. Być może to najsmaczniejszy pocałunek w całym moim życiu.

Po tym królewskim posiłku zabieramy się do pracy. Althea nadal ma wątpliwości.

— Jesteś pewien, że wiesz, co robisz, AL? To kompletnie zwariowany pomysł, podnosić dom z ziemi.

Przytulam się do niej. Drży na całym ciele. Teraz dopiero dociera do mnie, że chyba posunąłem się trochę za daleko. W końcu niewielu kobietom zdarzało się podnosić z ziemi cały dom. Spoglądam ponad jej głowę na fioletowawy blask oblewający zbocza po drugiej stronie kanionu. Widok ten dodaje mi sił. Gdyby tylko Althea potrafiła radować się tym fantastycznym przedsięwzięciem.

Opuszczam wzrok i widzę, że uśmiecha się do mnie.

— Zgoda, Supermanie, będę twoją Lois Lane, zabierajmy się do roboty.

Próbuje wysunąć się z moich ramion, ale przyciskam ją do siebie.

— Wiedziałem, że jesteś odpowiednią dla mnie kobietą, Lois. Mam tylko nadzieję, że okażesz się właściwym dla ciebie mężczyzną

— Nie martw się, Clark. Udało nam się unieść nasz dom tak wysoko; wiem na pewno, że uda ci się doprowadzić sprawę do końca.

Sam jej uśmiech sprawia, że wszystko, co robię, nabiera sensu.

— Jesteś pewna?

— No pewnie, że jestem pewna. Doprowadźmy nasz domek do porządku.

— Wystarczy, że doprowadzimy go do równowagi. Jeszcze przez chwilę stoimy przytuleni do siebie. Nigdy nie sądziłem, że drugi człowiek może sprawić, że poczuję się tak szczęśliwy.

A jednak krocze po krocze nasz dom zaczyna się wyrównywać. Wszystko skrzypi i

trzeszczy w czasie przesuwania. Przy wykrzywianiu, a właściwie wyrównywaniu, gwoździe wychodzą z desek, więc pospiesznie dobijam je młotkiem.

— Althea, uważaj, żeby nie uderzył cię któryś ze słupów.

— Teraz mi to mówisz? Już oberwałam w ramię jedną z krótszych desek.

— Nic ci się nie stało?

— Nie, oczywiście, że nie. Będę teraz pilnie uważać na kawałki naszego latającego domu.

W końcu poziom podłogi mniej więcej się wyrównuje. Dom nie wygląda jednak zbyt imponująco, szczerze mówiąc dopiero teraz wygląda tak, jak gdyby za chwilę miał się rozpaść na kawałki. Możemy jednak opuszczać już podpory na wylane uprzednio fundamenty. Wiąże się to z kolejną porcją trzasków i skrzypnięć, czemu towarzyszą nasze okrzyki i przekleństwa. Trochę to straszne, ale w końcu stopniowo udaje się nam osiągnąć punkt, w którym, choć wcale na to nie wygląda, dom spoczywa równo na ziemi, przynajmniej na tyle równo, na ile jest to możliwe na naszym stromym zboczu.

Kiedy kończymy pracę, naprawdę opadamy z sił. Wszystkie narzędzia razem z kanistrami na wodę chowamy pod krzakiem. Nikt nie zejdzie tutaj, żeby je ukraść, sama myśl o tym, że trzeba by je wciągnąć na górę, powinna wystarczyć, by zniechęcić potencjalnych złodziei.

Nas zresztą też. Ślizgamy się, zsuwamy, popychamy i podciągamy w górę. Kiedy wreszcie docieramy do samochodu, dosłownie padamy na ziemię. Muszę zebrać dość sił, by wrócić do miasta wściekle zatłoczoną drogą wzdłuż wybrzeża. Jak byłoby miło, gdybyśmy mogli tutaj zostać!

— No, Supermanie, jak się teraz czujesz?

Leżymy wyciągnięci na plecach. Czuję zapach rozgrzanego silnika jeepa. Założę się, że my też nie pachniemy zbyt pięknie. Odwracam się na brzuch i opieram głowę na dłoni. Łokieć też mnie boli.

— Chyba nie tak bardzo „super”, Lois. Czuję się raczej, jak Popeye, który obrywa, dopóki nie zje swojej porcji szpinaku. Nie masz może przypadkiem przy sobie puszczyki szpinaku?

— Szpinak nie wystarczy, AL. Potrzeba nam teraz całej dywizji, która doprowadziłaby nas do porządku i zwiozła na dół, do cywilizacji. Nie, AL, żartuję tylko. Nie chciałabym teraz znaleźć się w żadnym innym miejscu, chcę tylko leżeć na zboczu wzgórza, Naszego Wzgórza, u twojego boku.

Przewracam się raz jeszcze i obejmuję ją ramieniem. Sam nie wiem, dlaczego jestem zaskoczony, kiedy przekonuję się, że spływa potem. Nawet dzinsy są przemoczone.

— Przepraszam, Al, tak bardzo skupiłem się na pracy, nie pomyślałem nawet, że ty też mogłaś się zmęczyć. Powinniśmy być ostrożniejsi. Chyba przesadzamy. Zmywajmy się stąd, pojedziemy na dół znaleźć coś na kolację. A tak w ogóle, która jest godzina? Zostawiłem zegarek na dole na fundamentach i możesz być pewna, że nie zejdę teraz po niego. Będę musiał sobie jakoś bez niego poradzić.

Wstaję z wysiłkiem. Al również usiłuje się podnieść. Wiem, że cały jestem obsypany wilgotnymi trocinami i kurzem, podobnie jak ona. Spoglądam na nią i wybucham śmiechem. Ona wygląda mi się w odpowiedzi. Łapię ją za łokieć i pomagam się podnieść. Pociągamy mocniej, tak że wpada prosto w moje Miniona. Drżąc, przytula się do mnie. W pierwszej chwili wydaje mi się, że śmieje się wraz ze mną, ale potem dociera do mnie, że płacze. Mam nadzieję, że nikt nas teraz nie widzi. Ale to chyba oczywiste, przecież nikt nigdy tutaj nie zachodzi. Wtulamy się więc w siebie.

Wreszcie wysuwam się z jej objęć i pomagam jej wsiąść do wozu. Potem szukam palca rozdzielacza, który ukryłem pod stolikiem. Przez chwilę siedzimy, śmiertelnie zmęczeni, patrząc, jak noc obejmuje w posiadanie cały kanion.



— No cóż, Al, lepiej ruszajmy, zanim zrobi się całkiem ciemno. Nie chciałbym jechać sześćdziesiątką tą krętą ścieżką, kiedy wszyscy miejscowi wariaci będą się starali nas wyprzedzić. Już teraz ruch jest pewnie bardzo duży.

Motylek zapala od razu. Zanim złapię dźwignię zmiany biegów, ściskam dłoń Al. Spoglądamy na siebie, ale jesteśmy już tak zmęczeni, że nie mamy siły się uśmiechnąć.

— Posłuchaj, AL, jeśli nasza miłość przetrwa coś takiego, przetrwa wszystko, przez cały dzień ani razu się nie pokłóciliśmy. Stanowimy zgrany zespół.

— Nie mieliśmy po prostu czasu, by urządzać sobie awantury, Al, za bardzo byliśmy zajęci. Może właśnie dlatego wybuchają wojny: trzeba znaleźć chłopstwu jakieś zajęcie.

— Pewnie jakiś starodawny król na to wpadł, AL, zmęczenie to podstawa feudalizmu.

— Zgoda. A tak między nami, kto jest królem, a kto wasalem?

— Oboje jesteśmy chłopami pańszczyźnianymi. Chyba nikt w całej okolicy tak się dzisiaj nie narobił jak my. Ale tak przy okazji, panie i władco, niewiele się dzisiaj nauczyłam.

— Mam wspaniały pomysł, nadzorco niewolników, pojedźmy do pewnej małej restauracyjki wzmacnić nadwątlone siły.

— Masz znakomite pomysły, czcigodny. Ale czy masz przy sobie choć trochę pieniędzy? Ja nie mam ani grosza.

Naciskam sprzęgło, puszczam hamulec i ruszamy w dół zakrętami Horseshoe Drive. Nie jest już tak gorąco, jesteśmy spoceni, więc pęd powietrza cudownie nas chłodzi.

— Zobaczmy, dokąd uda nam się dojechać na luzie.

— Ostrożnie, AL! Nie chcesz chyba skończyć tak pięknego dnia wypadkiem. Ten wietrzyk jest cudowny, ale moja mama zawsze ostrzegała, że w ten sposób można się zaziębić na śmierć.

Przejeżdżam bez zatrzymywania przez Fernwood Pacific. Na krótkich odcinkach pod górkę zwalniamy, ale kiedy włączamy się do ruchu na Topanga Boulevard, wciąż mamy sporą prędkość.

Althea chwyta mnie za rękę, którą przerzucam biegi.

— Nie martw się, Al, obiecuję, że nie przekroczę sześćdziesiątki.

— Jeśli to zrobisz, wypadniemy z trasy, AL. Zresztą, kiedy miniemy ten płaski kawałek i wjedziemy do miasta, i tak będziesz musiał zwolnić.

Tak docieramy do miejsca, gdzie wytryska źródło. Mimo że zjeżdżamy ostro z górki, już teraz zebrała się za mną spora kolejka wariatów, którzy chcieliby mnie wyprzedzić.

— Zatrzymajmy się i napełnijmy kanistry, Al. Nie widzę nikogo przy źródle. Nigdy wcześniej nie widziałem, by było tu tak pusto, to jakby dar od Boga, więc uważaj, czy nie stanie się zaraz jakiś cud, mógłby cię potrafić przelatujący anioł.

Zjeżdżam na pobocze i zatrzymuję się naprzeciwko strumyczka wypływającego z kamiennej ściany kanionu. Najpierw podsuwam głowę pod strumień lodowatej wody, a potem napełniam kanistry. Al staje obok mnie i również podtyka głowę pod spadającą wodę.

— Kurczę, AL, przecież to płynny lód!

— Ale dobrze robi, prawda? Jestem pewien, że wyleczy nas ze zmęczenia, a wszystko będziemy zawdzięczać Fatimskiej Panience z Topanga Canyon.

Podsuwam pod strumień wody trzydziestolitrowy kanister, kiedy tylko się napełnia, ustawiam następny. Z lekcji fizyki pamiętam, że trzydzieści litrów wody powinno ważyć trzydzieści kilogramów. Kanister trzymany pod strumieniem wody dowodzi tego ponad wszelką wątpliwość. Musimy we dwójkę podźwignąć go, żeby wstawić go na tył Motylka. Myśl o jedzeniu wydaje nam się teraz coraz słodsza.

Przed meksykańską restauracją jest na szczęście trochę miejsca. Okazuje się, że Al lubi meksykańską kuchnię, nie ma tylko pieniędzy, by często z niej korzystać. Kelnerowi, któremu

tak spodobał się Motylek, podoba się także Althea. Przez chwile rozmawiają po hiszpańsku. Okazuje się, że uczyła się tego języka w liceum.

Zajmujemy stolik koło okna, gdzie nie ma zbyt wiele dymu tytoniowego. Zamawiam stały zestaw, a Al coś, co chyba nazywa się *fajitas*. To mieszanina kurczaka, dwóch rodzajów papryki, sosu i innych składników, których nie potrafię rozpoznać.

— AL, jak udało ci się znaleźć miejsce, gdzie podają *fajitas*. Szukałam ich wszędzie i, proszę, wszedłeś do pierwszej lepszej meksykańskiej restauracji i od razu je znalazłeś.

Nakłada porcję *fajitas* na *taco*. Sporo się chyba dzisiaj nauczę o meksykańskim jedzeniu. Przypomina mi trochę kuchnię włoską, dużo pomidorów i pikantnych sosów, nie ma jednak makaronu, chyba że mają go zastąpić *taco*. Wydaje mi się, że to najtańsze jedzenie, jakie można znaleźć w Kalifornii.

— Tu podają wyśmienite jedzenie, Al, ale może znasz jakieś inne niezbyt drogie restauracje, gdzie moglibyśmy dostać coś smacznego?

— Nie zamierzasz chyba przejechać pieniędzy potrzebnych na nasz domek? Zawsze tak dużo jesz?

Kończymy i płacę rachunek. Czuję się znakomicie. Ryż i fasolka nie miały może zbyt wyrazistego smaku, tak że musiałem połączyć je obficie pikantnym sosem, ale niewątpliwie były sycące. Wszystko kosztowało nas niewiele więcej niż dwa dolary. Gdybyśmy zamówili do tego pepsi czy colę, wyszłoby pewnie więcej, ale byliśmy tak bardzo spragnieni, że mieliśmy ochotę jedynie na wodę z karafki stojącej na stoliku. Po cudownej wodzie z kanionu Topanga nic nie będzie nam już smakować.

Zatrzymujemy się jeszcze przy moim mieszkanku, chcę pokazać Althei, nad czym ostatnio pracowałem. Ogromne wrażenie robią na niej moje tkackie eksperymenty, szczególnie maty, które wyplotłem. Również podoba się jej mój projekt okładki książki. Za ćwierć dolara znalazłem w antykwariacie stare wydanie Edgara Allana Poe i rozłożyłem je na strony, usuwając starannie ślady starej oprawy i zwilżając kartki. Później kupiłem kawałek kozłej skóry i po zszyciu kartek uważnie oprawiłem ją na nowo. Dostałem za to tylko B, bo w czasie pracy przypadkowo zadrapałem grzbiet książki. Nie sądzę, bym kiedyś mógł zostać prawdziwym rzemieślnikiem. Malarstwo olejne w zupełności mi wystarczy.

Najbardziej jednak podobają się Althei moje obrazy, zwłaszcza te w stylu „adamsowskim”. Namalowałem trzy płótna, które wyglądają, jak gdyby wyszły spod pędzla Georgii O’Keefe, właśnie one wzbudzają zachwyt Althei. Chyba nie mogę liczyć na to, że zostanie moją żoną. Na słowach zna się o wiele lepiej niż na obrazach. Nic nie irytuje mnie tak jak dyskusje o obrazach, nie ma przecież nic bardziej efemerycznego. Nie odzywam się więc ani słowem. Nawet Paul czasami mnie nie rozumie, choć bardzo mi pomaga, no ale w końcu to on zachęcił mnie do całego tego zwariowanego eksperymentu.

Pojmuję powoli, że moje malarstwo nigdy nie spotka się z burzliwym przyjęciem, za mało we mnie uporczywości. Ja jednak jestem zadowolony, a to już bardzo dużo. Pod każdym innym względem Al jest moją najlepszą towarzyszką. Odkrywam, że cieszę się, że jest kobietą i możemy dzielić nasze ciała i uczucia w sposób, do jakiego nigdy nie byłbym zdolny z mężczyzną. Dotyk mężczyzny budzi we mnie silny opór.

Na wydziale sztuk pięknych liczba homoseksualistów, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, chyba znacznie przekracza średnią. Staram się trzymać od nich z dala i nie robić z tego problemu, czasami jednak nie potrafię się opanować. Prawdopodobnie to skutek tego, że w młodości byłem taki *macho*, a także tego, że w ogóle jestem taki aspołeczny. Mam nadzieję, że z tego wyrosnę.

Rozmawiam o tym sporo z Paulem. Uważa, że powinienem robić dalej to, co dotychczas, twierdzi, że sam artysta jest swoim najlepszym krytykiem. Zgadzam się z nim, stosuję się więc

do jego rady. Poza malarstwem niewiele z tego, co dzieje się na wydziale, ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Nie mogę też liczyć na niczyje wsparcie prócz Paula. Mam szczęście, że pozwala mi zostawać w pracowni po zajęciach.

\* \* \*

Zaczyna się czwarty semestr moich studiów. Pewnego dnia Paul zachodzi do pracowni. Jest już prawie ósma wieczorem, w budynku nie ma więc prawie nikogo.

— AL, czy mógłbyś przerwać na pół godziny? Chciałbym coś ci pokazać. Wydaje mi się, że może cię to zainteresować.

Jest to akurat dobry moment, by zrobić sobie przerwę. Próbuje namalować powiększenie trąbki motyla na płótnie formatu piętnaście na dwadzieścia cali. Staram się sprawić, by fuchy tej niewielkiej części motylej fizjonomii zdeterminowały przestrzeń płótna. Każdy widz, który podszedłby do tego obrazu, nie wiedząc, co w rzeczywistości przedstawia, uległby pewnie złudzeniu, że jest to abstrakcja. Wycieram ręce, oczyszczam pędzle i ruszam za Paulem. Jeden z pędzli zabieram ze sobą. Idziemy korytarzem w kierunku jego „szafo–biura”. Na końcu korytarza docieramy do drzwi, których nigdy wcześniej nie zauważyłem. Paul wyciąga z kieszeni pęk kluczy i otwiera drzwi, a za nimi widzę klatkę schodową prowadzącą na górę. Gestem zaprasza mnie, bym poszedł za nim.

— Proszę tylko, byś nikomu nie mówił o tym, co ci pokażę, zgoda, AL?

Kiwam głową. W co mnie wciąga ten tajemniczy buddysta? Piętro nad wydziałem sztuk pięknych zajmuje wydział muzyczny. Ruszam za Paulem. Na schodach leży warstwa kurzu i pajęczyn. Zapala małą gołą żarówkę. Znowu wyciąga z kieszeni pęk kluczy i pokazuje, że powinienem się pochylić. Oboje skłaniamy głowy i wchodzimy na strych Moore Hall. Powinienem był się domyślić, że budynek ma strych, w końcu dach jest spadzisty.

Paul wyciąga z obszernej kieszeni sporą latarkę. Staje obok mnie i oświetla wnętrze. Nieczęsto zdarza mi się wystraszyć, ale to miejsce naprawdę sprawia, że dostaję gęsiej skórki. Wszędzie porozstawiane są ludzkie ciała i ich części. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to gipsowe odlewy. Paul oświetla latarką cały strych. Mnóstwo tu miejsca, choć wszędzie pełno śmieci, no i tych upiornych gipsowych postaci.

— I co o tym sądzisz, AL? Wspaniałe miejsce, prawda? Nikt tu nie zagląda, nawet się tu nie sprząta.

Przesuwa dłonią po ramieniu stojącej najbliższej gipsowej postaci. Pokazuje mi dłoń pokrytą warstwą kurzu.

— Przez pierwsze kilka lat pracy przychodziłem tutaj, przestawiałem tych gości, odkurzałem ich i zmiatałem podłogę, ale w końcu zrozumiałem, że nikt tutaj nie zagląda. Nikt nie maluje już z gipsowych odlewów. To zbyt staromodne. Sam też bardzo rzadko tu zaglądam. I co o tym sądzisz?

Światło latarki jeszcze raz omiata całe wnętrze.

— Może to dziwne, Paul, ale to miejsce budzi we mnie nadzieję, że UCLA jeszcze nie umarło. Tak właśnie wyobrażałem sobie pracownię malarską, zanim rozpocząłem studia. To jest prawdziwe studio malarza, tak wyglądały one pięćdziesiąt lat temu i pewnie pięć tysięcy lat temu w starożytnym Egipcie.

— O czym myślisz?

Wciąż oświetla latarką zakamarki.

— Jakie wspaniałe atelier można by zrobić z tego strychu, gdyby tylko było tu światło.

— Och, tu jest światło, nie chcę tylko, by ktokolwiek dowiedział się, że tu jesteśmy.

— Co za marnotrawstwo. Dookoła wszędzie wznoszą nowe budynki, robią tyle hałasu, niszczą zieleń, podczas gdy takie wspaniałe miejsce stoi nie wykorzystane. Wystarczyłoby trochę tu posprzątać, wstawić kilka okien w dachu i byłaby tu wspaniała pracownia.

Paul kiwa przecząco głową. Odchodzi ode mnie na trzy metry i klęka na podłodze. Odkurza kawałek podłogi.

— Popatrz, AL. Tu nie ma posadzki. To miejsce nie zostało nigdy ukończone. Niewiele potrzeba, a przeleciałbyś do wydziału sztuk pięknych. Może wpadłbyś do gabinetu Clintona Adamsa albo pokoju panny Baker, w którym trzyma wszystkie swoje słoiczki z farbami. Zastanów się przez chwilę. Być może to właśnie jest rozwiązanie twoich problemów.

— No cóż, mógłbym zabrać stąd trochę drewna, te deski, które leżą w kącie, wykorzystałbym je do budowy swego domu.

Paul posyła mi grecko–archaiczno–buddyjski uśmiech i ponownie kiwa przecząco głową.

— Już bliżej, AL. Pomyśl o Mahomecie.

— Dlaczego o Mahomecie?

— Jest takie stare powiedzenie. Skoro Mahomet nie przyszedł do góry, góra przysłała do Mahometa.

Nie mam pojęcia, o czym mówi.

— Chcę po prostu zaproponować ci, AL, żebyś się tutaj wprowadził — Mówiłeś przecież, że nie masz dosyć miejsca do pracy na zapleczu swojego sklepu, tutaj miałbyś aż nadto miejsca. Wpatruję się w niego. Nie mogę uwierzyć w to, co właśnie usłyszałem.

— Ja miałbym się tutaj wprowadzić?

— Zgadza się. Wtedy nie tylko wychodziłbyś ostatni ze szkoły ale byłbyś zawsze pierwszy na zajęciach. Mógłbyś pewnie nawet zostawać tutaj na weekendy. Nikogo to miejsce nie obchodzi. Jestem zaskoczony.

— Nie ma żadnych nocnych stróżów?

— No cóż, gdybyś tu zamieszkał, musiałbyś zachowywać się bardzo ostrożnie. Postaram się o dodatkowy klucz. Wiem, że będziesz tu utrzymywał porządek i nie będziesz nic zostawiał. Nie sądzę, by ktoś mógł odkryć, że tu mieszkasz. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział tutaj nocnego stróża. Zazwyczaj śpi na swojej kanapce w Kirchoff Hall.

Powoli dociera do mnie, co właściwie mi zaproponował. Nie będę musiał dojeżdżać, mógłbym przechowywać tu swoje obrazy, nie zajmując dłużej niewielkiego zaplecza sklepu Alice. Będę musiał z nią porozmawiać o całej sprawie. Nie wiem nawet, czy ten niewysoki czynsz, który płacę, ma dla niej znaczenie, ale gdybym się wyprowadził, straciłaby nocnego stróża. Wszystko to może być dosyć skomplikowane, ale chciałbym mieszkać i pracować w tym samym budynku. Czułbym się wtedy jak prawdziwy artysta, a nie jedynie student malarstwa. Będę musiał omówić całą sprawę z Altheą. Do niej też miałbym bliżej.

— Kurczę, Paul. To wspaniały pomysł. Jesteś pewien, że nie wynikną z tego żadne kłopoty? Nie chciałbym na przykład mieć do czynienia z policją.

— Nie będzie żadnych kłopotów. Mogę cię kryć przez cały tydzień z wyjątkiem niedzieli. Gdyby ktoś cię tu znalazł, zawsze możesz powiedzieć, że pracujesz dla mnie. I tak powinienesz robić sobie wolne w niedziele. Za ciężko pracujesz.

Rozmawiamy w chłodnym mroku. Dochodzę do wniosku, że w zimie nie jest tu na pewno zbyt ciepło, ale w końcu mam swój śpiwór, tak naprawdę przecież wyłącznie bym tutaj sypiał.

— Czy mógłbym od razu przynieść tu swój śpiwór i sprzęt do gotowania? Mam małą kuchenkę naftową, której używałem w czasie podróży jeepem.

Paul uśmiecha się.

— Nie mam nic przeciwko temu, ale byłoby lepiej, gdybyś wprowadził się w czasie

weekendu, kiedy prawie nikogo tu nie ma.

— Chyba się na to zdecyduję. O czymś takim właśnie marzyłem. Muszę tylko porozmawiać z Altheą. Może pomoże mi w przeprowadzce. Przede wszystkim musiałbym przenieść tutaj obrazy i sprzęty malarskie, ubrania i trochę zwariowanych przedmiotów, które robiłem na zajęcia. Jeepa mogę trzymać na parkingu dla studentów. Przenieść się tutaj w ciągu paru najbliższych dni. Powinno mi się udać, Paul. Miałeś wspaniały pomysł.

Stoimy wciąż w chłodzie i mroku. Będę musiał kupić sobie dużą latarkę, jak ta, którą ma Paul. Będę też musiał skoczyć do sklepu Armii Zbawienia, żeby zaopatrzyć się w kilka swetrów i ciepłych kurtek. Prawdopodobnie większe problemy będę miał z upałem, kiedy nadejdzie lato.

Schodzę za Paułem na dół. Kiedy znajdujemy się blisko wydziału sztuk pięknych, przykładam palec do ust, żeby mnie uciszyć. Zamyka drzwi i przechodzimy do jego pokoiku, żeby ustalić wspólne plany.

Postanawiam, że najpierw muszę się zająć wyprowadzką ze sklepu. Jest już późno, więc żegnam się z Paułem i jadę do domu Alice. Ledwo zdążyłem zapukać, a już otwiera mi drzwi i zaprasza do środka. W pierwszej chwili nie zorientowałem się, że ma gości, próbuję więc się wycofać, ona jednak nalega, żebym wszedł. Okazuje się, że to jej brat z żoną, który przyjechali ze stanu Waszyngton.

Chciałbym jak najszybciej podzielić się z nimi swoimi planami, ale oni mają inne zamiary. Pierwszy odzywa się brat Alice.

— Martwimy się o to, że Alice mieszka zupełnie sama w Kalifornii, AL. Chcielibyśmy, żeby przeniosła się do nas, do Bellingham. Prowadzenie tego sklepu to dla niej zbyt wielki wysiłek. Alice opowiedziała nam, co dla niej zrobiłeś, nie potrafię wprost wyrazić, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni, ale wydaje nam się, że lepiej jej będzie z nami. Mamy niewielką piekarnię będziemy szczęśliwi, jeśli zechce nam pomóc w jej prowadzeniu. Spoglądam na Alice. Jest wyraźnie zakłopotana.

— A co ty chciałabyś robić, Alice? Wiem, że czujesz się bardzo samotna, a prowadzenie sklepu to bardzo duży wysiłek dla jednej osoby.

Jest bliska łez. Nie wiem, czy dlatego, że chciałaby wyjechać, czy że wolałaby zostać, a może dlatego, że nie chce urazić swojego brata albo mnie.

— Alice, pomyśl, co ty chciałabyś robić, co sprawi, że będziesz szczęśliwa. Między nami mówiąc, mogłabyś albo wyprzedać towary, albo przekazać komuś cały sklep. Założę się, że jakaś młoda para z radością skorzystałaby z takiej możliwości.

— Jesteś dla mnie za dobry, AL. Nie sądzę, by ktoś chciał kupić ode mnie sklep. To ciężka praca i wiesz, jak mało przynosi dochodu. A poza tym, tak wiele mi pomogłeś, że nie chciałabym cię zmuszać, byś się wprowadził.

— Jeśli o to chodzi, to możesz się nie martwić. Mogę się prze — ‘nieść w inne miejsce, będę tam miał mnóstwo miejsca do pracy.

— Wymyśliłeś to na poczekaniu, żeby mnie pocieszyć.

— Nie, Alice, naprawdę, mogę mieć prawie za darmo obszerne studio w kampusie. Mógłbym tam trzymać swoje obrazy i wszystkie rzeczy, które zagracają twój sklep.

— Naprawdę, AL?

— Chyba bym cię nie okłamywał, Alice. Prawdę powiedziawszy, przyjechałem tutaj właśnie po to, żeby jakoś się z tobą umówić.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Najważniejsze jest jednak to, czego ty chcesz, najistotniejsze jest, żebyś ty była szczęśliwa. Wszyscy tak uważamy.

Podnosi się i rusza w moją stronę, a ja chwytam ją w ramiona. Mam wręcz wrażenie, że

przewróciłaby się, gdybym jej nie złapał. Trzymam więc w objęciach następną kobietę. Będę chyba musiał opowiedzieć o tym Althei.

— AL, naprawdę jesteś dla mnie za dobry. Bobby obiecał, że znajdzie kogoś, kto chciałby przejść ode mnie sklep. Mówi, że nawiązał wiele kontaktów w klubie kupców, do którego należy, a w ich lokalnym miesięczniku zawsze pełno jest ofert chętnych, którzy szukają podobnych drobnych interesów. Gdyby udało mi się sprzedać sklep, nie byłabym dla nikogo ciężarem. Bobby podchodzi do nas i przytula Alice.

— Nigdy nie będziesz dla nas ciężarem, Alice. Dobrze o tym wiesz. Mieszkamy w małym, miłym miasteczku pełnym dobrych ludzi. — Spogląda ponad jej ramieniem w kierunku drzwi wejściowych. — A na dodatek pociąg nie jeździ tam środkiem ulicy.

— To nie jest pociąg, tylko tramwaj, Bobby. Nie budzi mnie w nocy. Masz jednak rację. Potrzebuję towarzystwa. Potrzebuję rodziny. Jeśli naprawdę tego chcecie, wyjadę z wami, pod warunkiem że AL naprawdę znalazł dla siebie nowe mieszkanie.

I tak sprawa została załatwiona. Urządzamy wyprzedaż w zaułku za sklepem, wyzbywając się niepotrzebnych towarów, a potem następną, podczas której sprzedajemy zbędne sprzęty z domu. Wydaje mi się, że Alice pozbywa się ich z przyjemnością.

— Za długo już miałam te przedmioty, AL, a wszystkie tylko przypominały mi Clarence'a, a zwłaszcza te najgorsze ostatnie lata. Zaczęj teraz wszystko od nowa.

W ciągu miesiąca udaje nam się sprzedać sklep wraz z całym towarem pewnej parze w średnim wieku, która szukała sobie nowego zajęcia przed przejściem na emeryturę. Zaskakujące, jak znakomicie wszystko się ułożyło.

\* \* \*

Althea pomaga mi we wszystkim. Naprawdę zaprzyjaźniła się z Alice. Al potrafi błyskawicznie podejmować decyzje, a Alice właśnie ktoś taki jest teraz potrzebny. Próbuję im pomagać, ale na ogół tylko im zawadzam. Rzeczy, których nikt nie chciał kupić, odwożę do Armii Zbawienia w Santa Monica. Wszyscy cieszymy się, że sprawy zostały ostatecznie załatwione. Bobby musi wracać do swojej piekarni, sprzedajemy jeszcze tylko samochód Alice i mogą ruszać w drogę. Po ich wyjeździe robi się trochę pusto. Althea i ja sprzątamy dom, nie zajmuje nam to wiele czasu, i do sklepu wprowadzają się nowi właściciele. Większość swoich rzeczy zdążyłem już przenieść na strych.

\* \* \*

Oboje mamy zaległości w nauce. Ładuję ostatnią porcję swoich rzeczy do jeepa, ostrożnie, by nie uszkodzić gałązek z kokonami, które, jak przypuszczam, powinny się wkrótce otworzyć. Zrobiłem osiemnaście kursów na trzecie piętro Moore Hall — Jestem spocony, jak wtedy, kiedy na nowo osadzaliśmy nasz dom na fundamentach. Althea bardzo mi pomaga. Instalujemy trzy lampy, które można podłączyć do istniejącej sieci elektrycznej. Kupiliśmy je w Armii Zbawienia. Korzystając z narzędzi, które wożę w Motylku, doprowadzam je do stanu używalności i podłączam do gniazdka, tak bym mógł je swobodnie włączać i wyłączać. Będę się starał nie korzystać z nich zbyt często.

Upycham swój śpiwór i koc między legarami, na dzień będę je zwijał i chował w kącie. Obrazy ustawiłem pod ścianą w miejscu, gdzie dach prawie styka się z podłogą. Specjalna konstrukcja z drutów utrzymuje je w pozycji pionowej. Druty i gwoździki, na które je

naciągnąłem, znalazłem w śmieciach. W Ameryce tak wiele rzeczy uważa się za śmieci, nawet jeśli da się je jeszcze wykorzystać. Można by właściwie tutaj żyć, niczego nie kupując, gdyż wszystkie potrzebne sprzęty z łatwością znajdzie się w śmietnikach.

Althea sprząta i odkurza zakątek, w którym mam zamieszkać. Wyznaczam sobie spory pokój i obstawiam go gipsowymi figurami. Powinny odstraszyć każdego przypadkowego gościa. Wygląda to tak, jak gdyby gipsowe rzeźby miały nade mną czuwać.

Al potrzebuje trochę czasu, nim przyzwyczai się do tego widoku, ale nawet ona musi przyznać, że to znakomity sposób, by ochronić się przed wszystkimi, którzy mogliby trafić niechcący do mego „sanktuarium”. Lampy są zawieszane na długich przewodach, tak by można było przy nich wygodnie czytać. Z płótna robię nawet abażury w kształcie stożków, tak że światło prawie nie wydostaje się na zewnątrz. Przy lampie wiszącej nad moim posłaniem montuję dodatkowy włącznik. — Al wniosła właśnie na górę ostatnie z moich obrazów i pudło z farbami, cicho woła mnie od drzwi.

— AL, musisz to zobaczyć!

W pewnej chwili gaśnie światło. Zapadają egipskie ciemności. Już to jest dostatecznie przerażające, gdy jednak słyszę jej krzyk, podskakuję ze strachu. Szybko włączam lampę wiszącą nad moim legowiskiem, nic to jednak nie daje, ponieważ podłączona jest do głównego wyłącznika przy drzwiach. Stoję więc w całkowitych ciemnościach.

— Co się dzieje, Al? Chcesz, żebyśmy osiwieli? Daj spokój.

Al chichocze tak, że nie może prawie mówić. Zapala światło i wraca do mnie.

— To nawet lepsze, niż myślałam, AL. Chodź i sam się przekonaj.

— Mam iść do drzwi i zgasić światło, a ty tutaj zostaniesz? Oszalałaś albo próbujesz mnie doprowadzić do szaleństwa. To strata czasu, ja już jestem wariatem.

Al zaśmiewa się tak, że łzy spływają jej po policzkach.

— AL, naprawdę, podejdź do drzwi i zgaś światło. Chcę, żebyś sam to zobaczył. Już nigdy nie będziesz musiał się martwić o to, że ktoś mógłby cię tutaj podejść.

— Zgoda, ale już teraz wcale się o to nie martwię. Obiecujesz, że potem pomożesz mi dokończyć sprzątanie, żebyśmy mogli zejść na dół i spotkać się z Paulem?

— Obiecuję.

Potykając się o legary, przechodzę do drzwi i wyłączam światło, zostawiając tylko jedną lampę. W pierwszej chwili stoję oszołomiony. To najupiorniejsza scena, jaką kiedykolwiek widziano. Gipsowe posągi stoją w nikłym świetle, kiwająca się na kablu lampa sprawia, że wygląda to jeszcze straszniej. Al leży na materacu jak trup, wygląda tak realistycznie, a jednocześnie surrealistycznie, że trudno uwierzyć, że żyje. Gapię się tak przez co najmniej dwie minuty, a potem wybucham szalonym śmiechem, tak samo jak ona. Mój śmiech niesie się głośnym echem pod wysokim sufitem,

Podbiegam do niej, a Al unosi się z materaca jak upiór wstający z grobu z wyciągniętymi rękoma. Przytulam ją i śmiejemy się histerycznie. Czy to możliwe, że jestem tym samym człowiekiem, który zapomniał, co to śmiech? Ten człowiek zniknął! Opadamy na materac, wciąż śmiejąc się w głos.

— No i co, czy to nie najpotworniejszy widok, jaki kiedykolwiek widziałeś?

— Prawie, Al, a w moim krótkim życiu naprawdę widziałem niejedną straszną rzecz.

W końcu udaje nam się dojść do siebie i wśród śmiechów żartów układamy śpiwór i koc na swoim miejscu. Wszystkie brzozy stoją już po ścianą. Schodzimy na dół, do cichych i pustych sal wydziału sztuk pięknych. Pukamy do drzwi pokoiku Paula, który zaprasza nas do środka.

Przygotował herbatę i wysprzątał odrobinę swój „gabinet”. Wydaje się trochę zdenerwowany. Poznał już Al, ale nigdy jeszcze nie zapraszał jej do swojej kryjówki. — Już prawie straciłem

nadzieję. Wprowadziłeś się już, AL? Al i ja zaczynamy opowiadać mu o wszystkim, na koniec dochodzimy do naszego upiornego pokazu. Nigdy jeszcze nie widziałem, by Paul śmiał się tak serdecznie. W końcu wszyscy ryczymy ze śmiechu.

— Będzie ci wygodnie na strychu?

Al przysiadła na niewielkim krzesełku. Chociaż jest pokryta kurzem, a włosy związała w prosty kok, wygląda prześlicznie. Jestem z niej bardzo dumny.

— Nie wiem, jak ci dziękować, Paul. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że tak się do ciebie zwracam, ale znam cię tylko pod takim imieniem. AL wiele mi o tobie opowiadał, ale nigdy nie powiedział, jak masz na imię. Jesteś tajemniczym opiekunem Moore Hall.

— No cóż, ja znam was oboje pod jednym imieniem, więc chyba jest sprawiedliwie. Proszę, mów mi Paul, a ja będę nazywać was oboje AL, niezależnie od ortografii. Myślę, że nic nam się nie powinno pomylić. Co zrobiłeś ze swoimi obrazami, AL?

— Jest mi tu lepiej niż na Venice Boulevard. Poustawiałem je tak, że wyglądają, jak gdyby leżały tam od dwudziestu lat.

— Dobrze, wydaje mi się, że mniej więcej tyle czasu minęło, odkąd po raz ostatni ktoś tam zaniósł jakieś obrazy. Jak zamierzasz rozwiązać problem wody, oświetlenia i, hm, kwestii sanitarnych?

— Mam dwa duże kanistry, którymi woziliśmy wodę do naszej chaty. Możemy je wykorzystać, rozejrzę się też za gumowym pontonem z demobilu. Posłużyłyby mi za wannę, a wodę mogę nosić z wydziału muzycznego.

— Ja prawdopodobnie będę dalej mieszkała w Hilgard. Tam można korzystać z gorącej wody. Ale chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, że czasami zostanę na noc z ALem? Powiem opiekunce, że wyjeżdżam do przyjaciół. Co o tym sądzisz?

— Wszystko powinno być w porządku, pod warunkiem że nie będziecie za bardzo hałasować i palić światła w nocy. Dla uniwersytetu to wyłącznie „martwa przestrzeń”.

— Tak więc będziemy z Al nazywali to miejsce: „martwa przestrzeń”. Wszystko to przypomina mi gotyckie romanse.

Althea pochyła się w moją stronę.

— Nic nie wiem o gotyku, ale wiem dobrze, że połączył nas prawdziwy romans. Nie mówię tu wcale o seksie. Jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy cieszą się wzajemną bliskością. Czy to ci przeszkadza, Paul?

— Nie, jestem szczęśliwy, widząc wasze szczęście. AL krążył po wydziale jak jakiś Frankenstein. Minał rok, zanim uśmiechnął się po raz pierwszy. Myślę, że dobrze na niego działasz, Altheo.

— Wiem, że tak jest, Paul — wtrącam się. — Myślę, że nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy. Ciekawe, w jaki sposób wpłynie to na moje obrazy. Może będę w stanie przelać na nie część uczucia, którym darzę motyle. Jak dotąd moje obrazy były zbyt „insektowate”.

— Och, AL, zachowujesz się jak Szekspir, ciągle wymyślasz nowe słowa.



## ROZDZIAŁ XIV

W pewnym momencie Al postanowiła zacząć oszczędzać i wyprowadzić się z Hilgard do mnie.

— Pomyśl tylko, ile moglibyśmy zaoszczędzić, AL. Muszę też przyznać, że mieszkanie z dziewczynami może doprowadzić człowieka do szaleństwa. Wszystkie mówią tylko o Wallasie, Trumanie i Deweyu. Tymczasem oni wszyscy nic mnie nie obchodzą. Dla nich to coś bardzo istotnego. Co to za różnica, to przecież wszystko politycy i nikt nie wie, co tak naprawdę zamierzają zrobić. Obie moje koleżanki z pokoju, z którymi do tej pory świetnie się dogadywałam, kłócą się teraz bez przerwy. Ruth, która pomogła mi dostać miejsce w akademiku, popiera Wallace'a, a Annę jest za Deweyem. Każdego by to doprowadziło do szału. Kiedy zaczną się kłócić, nie można ich wprost powstrzymać. Schodzę na dół i uczę się w świetlicy z zatyczkami w uszach. Nie wytłumiają wszystkiego, ale przynajmniej nie muszę brać udziału w tych głupich dyskusjach. Chciałabym się dowiedzieć, co ty o tym sądzisz, ale, proszę, nie kłóćmy się.

— Wiesz, Al, że chciałabym bardzo, żebyś tu ze mną zamieszkała, jeśli uda nam się to załatwić. Zgodzę się na wszystko, co wymyślisz. Masz śpiwór?

— Tak, jeszcze ze skautowskich czasów.

— A dmuchany materac? Podłoga jest twarda i zimna.

— Materac też mam. Czy próbujesz mnie w ten sposób zniechęcić?

— Nie żartuj. Niczego tak nie pragnę, jak tego, by mieć cię blisko w nocy, żebyśmy mogli leżeć obok siebie, rozmawiać Wszystkim, co jest dla nas ważne. Nie mówię o polityce. Czy isz miała jakieś kłopoty z przeprowadzką? Czy musisz nowy adres?

— Nie sądzę, bym mogła mieć jakieś kłopoty. To nie jest więzienie i wciąż jakieś dziewczyny starają się o miejsce. Będę tylko musiała zapłacić za ostatni miesiąc i mogę odejść. Wiesz, że chcę z tobą zamieszkać, AL. Czuję, że to będzie prawdziwy początek mojego życia.

— Dobrze. W takim razie mogę ci powiedzieć, co sądzę o tym, co dzieje się w Ameryce i polityce. Zgadzam się z tobą, że nie ma specjalnego znaczenia, która partia polityczna jest u władzy. Wszystkie są niewiele warte. — Milknę, aby dać do zrozumienia, że dobrze to sobie przemyślałam. — Z tego, co słyszę, czego dowiedziałem się z gazet, wiesz przecież, że rzadko słucham radia, Tom Dewey jest narzędziem mafii. To zły człowiek. Miał walczyć z przestępczością w Nowym Jorku, ale sam jest jednym z największych przestępców. Na ogół nie wierzę w to, co mówi mój tato, ale czasami go słucham i wiem, że wszystko, co pochwali, na pewno jest złe. On głośnie na Deweya.

Milknę ponownie. Althea siada wygodniej. Przyglądam się jej i zastanawiam, czy to, co chcę teraz powiedzieć, zmieni w jakikolwiek sposób jej życie.

— Tato był „żołnierzem” mafii przez całe życie. Wydaje mi się, że nie ufali mu na tyle, by powierzyć mu jakieś poważne zadania, ale nie jestem tego tak do końca pewny. Zawsze mieliśmy samochody, na które nie było nas tak naprawdę stać, zwłaszcza kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Filadelfii. Z tego, co wiem, mafia to swego rodzaju klub, jak masoneria czy rotarianie. Różnica polega na tym, że ich metody działania to groźby morderstwa albo przysługi, za które oczekują wdzięczności. To brudny interes. Nigdy się nie dowiedziałem, do jakiego stopnia był w to uwikłany mój ojciec, nie chciałem wiedzieć. Wiem tylko, że ja nie chcę mieć nic do czynienia z mafią. Wydaje mi się, że jeśli ktoś pochodzi z włoskiej rodziny, a zwłaszcza emigrantów z Sycylii, takich jak moi rodzice, bardzo łatwo może w to wpaść. Czy chcesz tego wszystkiego

słuchać, Al? Wydaje mi się, że powinnaś dowiedzieć się pewnych rzeczy o mojej rodzinie. Jestem przekonany, że mój brat, Mario, dostał pracę u dekarza dzięki wujowi, który sam jest drobnym mafioso. Znaczy to, że Mario jest już w to uwikłany, ponieważ wszyscy moi wujowie ze strony mamy są w mafii. Z tego, co wiem, Dewey ma wsparcie mafii i nigdzie by bez niej nie doszedł. Nie chcę, by ubiegał się o prezydenturę.

— Ależ, AL, z tego, co słyszałam, on i tak wygra. O co więc tak naprawdę chodzi?

— Jak wiesz, Altheo, sytuacja jest dość skomplikowana. Truman nie może wygrać, jeśli Wallace zbierze tyle głosów, by mieć przewagę nad Deweyem. A to właśnie może się zdarzyć. W pewnym stopniu głosowanie na Wallace'a oznacza głosowanie na Deweya. To smutne, ale tak właśnie jest. Wiem, że ty nie możesz jeszcze głosować, jesteś za młoda, zresztą pewnie nie zarejestrowałaś się wcale w okręgu wyborczym, ale powinnaś zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje. A teraz, Al, pomóż mi ułożyć materac. Naprawdę będziesz musiała postarać się o dmuchany materac, bardzo tu ciągnie od podłogi. Przeżybisz się.

Zastanawiam się przez chwilę, czy robimy to, co należy. Podnoszę jednak wzrok i widzę twarz Al. Ten widok przekonuje mnie, że muszę spędzić z nią całe życie, niezależnie od tego, ile miałyby mnie to kosztować.

— Co byś zrobił, AL, gdybym mogła głosować i, wiedząc o tym wszystkim, co mi właśnie powiedziałeś, zagłosowałabym na Deweya?

— Chyba bym się rozplakał, Altheo. Nie mógłbym znieść myśli, że nasze dzieci mogłyby mieć matkę idiotkę, bo pewnie i one okazałyby się idiotami.

Celuje we mnie poduszką. Łapię i odrzucam. Podchodzi do mnie i kładzie mi głowę na kolanach.

— Biedny Dewey, właśnie stracił jeden głos, który mógł zaważyć na jego prezydenturze.

\* \* \*

Następnego dnia ruszamy do Naszego Domu. Dzień jest przyjemnie chłodny, wiatr znad oceanu przyniósł lekką mgiełkę. Kalifornia ma naprawdę wspaniały klimat. Złożyliśmy daszek Motylka, choć jak na kwiecień wciąż jeszcze jest niezbyt ciepło. Daję Al swoją kurtkę. Jest jeszcze wcześniej i chłodno, więc na drodze wzdłuż wybrzeża nie ma prawie ruchu. Czuję się tak, jak gdybyśmy byli pionierami ruszającymi do lasu, by ścinać drzewa na swój pierwszy własny dom, który będzie dla nich schronieniem. Wiem, że to głupie, ale tak się Właśnie czuję. Uznaję jednak, że lepiej będzie nie mówić o tym Althei. Jest taka poważna, może to wpływ naszej rozmowy o mafii.

Kiedy tylko wjeżdżamy do kanionu, wiatr cichnie, zбочa osłaniają nas przed jego powiewami. Im wyżej wjeżdżamy, tym bardziej mgła rzednie, w końcu otacza nas już tylko kryształowo czyste powietrze. Spoglądam na Altheę, z zachwytu aż otworzyła usta.

— AL, czuję się, jakbym miała na nosie nowe okulary. Jakbym przejrzała na oczy. Czy świat naprawdę tak wygląda? Teraz dopiero rozumiem, o co chodzi, kiedy ludzie opowiadają o powietrzu w Los Angeles i zanieczyszczeniach. Dzisiaj wszystko wygląda tak, jakby ktoś na nowo oświetlił cały świat. Czy ty też to czujesz? Musisz to czuć, przecież jesteś malarzem!

— Czuję to samo, AL Większość artystów poznaje to uczucie, kiedy naprawdę dobrze malują, wszystko świeci wtedy własnym światłem, nie tylko tym odbiciem, ale takim, które wydobywa się z wnętrza przedmiotów. My, malarze, staramy się pokazywać życie w ten sposób. Ja nazywam to surrealizmem, ale nie chodzi mi o taki surrealizm jak w obrazach Salvadora Dali czy jemu podobnych. To jest nad — realne, więcej niż rzeczywiste. Cieszę się, że ty też to dostrzegasz i po raz pierwszy zdarzyło ci się to przy mnie. Teraz zawsze będziemy już wiedzieć,

jak świat wygląda naprawdę, to nie tylko kwestia atmosfery. Naprawdę widzimy więcej, niż istnieje w rzeczywistości. Widzimy poprzez nasze uczucia, a nie tylko oczami. Tak bardzo chciałbym móc oddać to w choćby jednym obrazie.

— Czy dlatego chcesz malować, AL?

— Po części tak. Chcę dzielić się tym, czego teraz doświadczamy. Jestem przekonany, że gdyby więcej ludzi mogło właśnie tak jak my zobaczyć świat, kiedy każdy okruch kwarcu w skałach błyszczy jak diament, a ochrowy odcień ziemi odbija się na jasnym błękicie nieba, nie byłoby więcej wojen, nikt nie chciałby nikogo zabijać.

Milknijemy. Czuję się nieco zakłopotany i wydaje mi się, że Althea także. Trudno jest dzielić się głębokimi uczuciami, które zmieniają nas od wewnątrz. Naszemu społeczeństwu, a może większości współczesnych społeczeństw brakuje cierpliwości, zaufania, by wypowiadać je głośno, a nawet, by o nich myśleć.

Magia częściowo się rozwiewa, kiedy docieramy do miasteczka Wszystko jest wciąż piękne, prawie niewyobrażalnie piękne, — ale tutaj otaczają nas ludzie z krwi i kości. Dojmująca czystość uczucia znika. Powoli pojmuję ludzi, wiem, że jestem jednym z nich, ale wciąż ogarnia mnie czasami wrażenie, że duszę się w tłoku.

\* \* \*

Podróż w górę Fernwood jest wprost cudowna. Po drodze kupujemy chipsy i colę. Zatrzymujemy się dwa razy w najpiękniejszych miejscach. Gdybyśmy stawali w każdym punkcie, z którego rozpościera się piękny widok, nigdy nie dotarlibyśmy do celu. Pomimo postojów podróż wydaje się krótsza niż zwykle. Oto kolejny dowód na to, że to, co się myśli i czuje, jest najważniejsze, w tym przypadku ważniejsze niż strome wzgórza i wąskie zakręty.

Kiedy docieramy na dół, rozglądam się, wszystko jest dokładnie tak, jak powinno, żaden z filarów ani drgnął, fundamenty nie popękały, wszystkie wkrety trzymają. Al staje obok mnie.

—W porządku, zabieramy się do pracy. Obiecywałem, że wyjaśnię ci wszystko po drodze, ale było tak pięknie, że nie chciałem tego przerywać. Najpierw musimy sprawdzić, czy fundamenty są w porządku, a potem zaczniemy na nie opuszczać dom. Musimy uważać, prawdopodobnie kilka belek może się oderwać albo nawet spaść do piwnicy, myślę jednak, że powinniśmy zauważyć to dostatecznie szybko, by odskoczyć. Gdyby się coś działo, krzyknij na mnie, a przyjdę ci z pomocą. Gotowa?

Kiwa głową. Jest śmiertelnie poważna, mam nadzieję, że nigdy już jej takiej nie zobaczę. Zaczynamy powoli osadzać nasz domek, opuszczając po kolei lewarki, na których jest wsparty.

Tańczymy tak dookoła naszej chatki, przypomina to trochę fokstrota albo tango. Jeden krok, potem dwa ruchy potrzebne do opuszczenia lewarka i krok w bok do następnego lewarka. Wciąż widzimy się nawzajem pod opuszczającą się podłogą domu, nie musimy więc nawet dawać sobie znaków. Naprawdę wygląda to jak taniec, ale w takim razie tańczę z dwiema kobietami naraz, \*U Naszą Chatką. Czuję się jak bigmatysta. Chyba powinienem W powiedzieć „bigamista”. Dostyc tego słowotwórstwa, Alfonso.

## ROZDZIAŁ XV

Kiedy wreszcie udaje mi się osadzić naszą chatkę na fundamentach, jesteśmy głodni i wyczerpani, ale szczęśliwi. Dlaczego muszę od niej wymagać tak wiele?

Biorę ją w ramiona. Nogi jej drżą ze zmęczenia. Czuję się teraz jak prawdziwy brutal bez serca.

— Przepraszam, Al. Wiedziałem, że dla ciebie to zbyt wielki wysiłek, ale wciągnęło mnie całe to szaleństwo. Dziękuję, że ze mną wytrzymałaś. Pójdę przynieść obiad, a ty połóż się i nie ruszaj, dopóki nie wrócę. — Opuszczam ją delikatnie na ziemię, starając się wybrać najwygodniejsze miejsce. — Spróbuj zdrzemnąć się chwilę.

Ruszam na górę. Z trudnością wspinam się po stopniach, ja też mam nogi jak z gumy.

Kiedy docieram do Motylka, padam na siedzenie i próbuję złapać oddech. Jestem tak zmęczony, że nie mam nawet siły oganiać się od muszek. Będę musiał postarać się o jakiś środek odstraszający owady. Te małe potworki potrafiłyby zmienić w piekło nawet raj.

Wygrzebuję koszyk, do którego Al zapakowała nasz obiad. Pachnie smakowicie. Dokładam butelkę pepsi, udaje mi się szczęśliwie opanować pokusę, by od razu ją opróżnić. Większą część drogi powrotnej pokonuję na tyłku, przyciskając do piersi koszyk z obiadem i butelkę pepsi. Chwilami ogarnia mnie pokusa, by stoczyć się po zboczach, ale wtedy zostalibyśmy bez obiadu. Jestem bardzo zmęczony, ale głód jest silniejszy.

Kiedy docieram do domku, widzę, że Al wstała i powoli zbiera z ziemi porzucane deski podłogi. Głowę ma owiniętą koszulą. Porusza się tak, jakby była lunatyczką.

— Al, co ty robisz? Miałaś odpoczywać. Myślałem, że pośpisz chwilę, a ty snujesz się jak duch.

Odstawiam koszyk i butelkę i podchodzę do niej. Przytulamy się do siebie mocno. Al uśmiecha się do mnie.

— Popatrz, Al! Udało nam się, nasz domek będzie miał podłogę równą jak powierzchnia jeziora. Nie wierzyłem, że się nam to uda. Spójrz tylko!

Staralem się przez cały czas kontrolować sytuację w miarę postępów pracy, ale nie wybiegałem myślą dalej niż do następnego filaru. Teraz przyglądam się domkowi uważnie. Rzeczywiście, to imponujący widok, biorąc pod uwagę okoliczności. Kręcę głową z podziwem. Pomysł to jedna rzecz, ale kiedy się widzi, jak obrócił się w rzeczywistość, to coś zupełnie innego, prawie cud. Uśmiecham się do Althei.

— Unieśliśmy nasz dom, Al, pomyśl tylko. Czytałem o pionierach i osadnikach, którzy wznosili swoje domy, ale nam udało się coś jeszcze trudniejszego. Udało nam się! Teraz jednak powinniśmy zająć się czymś ważniejszym. Powinniśmy coś zjeść.

— Już myślałam, że nigdy tego nie powiesz. Znajdźmy jakieś bardziej płaskie miejsce i rozłóżmy obiad.

I tak właśnie robimy. Kanapki, które przygotowała, są jeszcze smaczniejsze niż poprzednim razem. W milczeniu delektujemy się połączeniem chleba, mięsa, sera, sałaty, pomidorów i cebuli polanych oliwą. Wszystko jest prawie tak smaczne, jak przygotowane przez mamę. Kolejno pociągamy z butelki. W miarę jak odzyskujemy siły, magiczne światło znów otacza nas ze wszystkich stron i tak zasypiamy prawie ukołysani przez woń szafwii i śpiew ptaków w zaroślach. Nawet muszki nam nie przeszkadzają. Może i one dały nam w końcu spokój.

Po drzemce zbieramy z ziemi porzucane belki podłogi. Sięgam po młotek i gwoździe i naprawiam podłogę. W ten sposób wzmacniam konstrukcję ścian. Są teraz prostsze, ale także

mocniejsze. Część belek będę musiał dokupić. Mam nadzieję, że dam radę przywieźć je Motylkiem. Pionowe belki prawie wszystkie trzymają się na miejscu albo z łatwością można je przybić z powrotem.

Potem zabieram się do ponownego montowania i wyrównywania ram okiennych. Stopniowo wszystko zaczyna wyglądać tak, jak powinno. Zamontowanie drzwi frontowych okazuje się nieco trudniejsze, bo zawiasy wygięły się nieco, ale to też udaje mi się naprawić. Teraz mogę otwierać i zamykać drzwi. Nie przypuszczałem, że może to być taka świetna zabawa. Postanawiamy też częściowo zastąpić ściany ze sklejk drewnem z szalunków.

Wstawienie wielkich okien na miejsce okazuje się o wiele większym wyzwaniem, niż się tego spodziewałem, ale jakoś nam się udaje. Nie potrafię wymyślić sposobu, by okna zamykały się i otwierały, to już przekracza moje ograniczone umiejętności ciesielskie. Przed zmrokiem wszystkie okna tkwią na swoich miejscach, a wszystkie szyby są całe. Nie wyszło to może zbyt imponująco, ale dla nas była to gigantyczna praca. Myślę sobie teraz o domku, który zbudowała sobie trzecia świnka, żeby nie dopadł jej wielki zły wilk.

Wciąż jednak gapią się na nas szpary w podłodze. Będziemy teraz musieli kupić także deski na podłogę. Jedyny problem to pieniądze.

Kiedy dojeżdżamy do składu drewna w Topanga, już zamykają, przyjmują jednak nasze zamówienie na drewno, dostarczą je na następny weekend. Jesteśmy śmiertelnie zmęczeni, kiedy wjeżdżamy na parking w kampusie. Kluczami, które dostałem od Paula, otwieram drzwi Moore Hall. Myjemy się nad zlewami w pracowni malarskiej. Wprawdzie nie ma tu ciepłej wody, ale jesteśmy już tak bardzo zmęczeni, że nie sprawia nam to żadnej różnicy.

\* \* \*

Jesteśmy tak bardzo zajęci, że przez następnych kilka dni nie widzimy się prawie wcale. Ja mam kilka zadanych prac i test z biologii, Al — kolokwium z osiemnastowiecznej literatury angielskiej i drugie z hiszpańskiego. Wracamy na strych tak zmęczeni, że nie mamy nawet sił rozmawiać. Zainstalowałem dla Al drugą lampę, podłączyłem ją do głównej linii tak jak moją. Zazwyczaj jednak do dziesiątej wieczorem Al pracuje w bibliotece, gdzie jest cicho i wygodnie. Píše też referat o Chaucerze. Wygląda na to, że studia nad literaturą angielską zajmują równie wiele czasu co malarstwo.

Zbliżają się ferie wielkanocne, oboje bardzo już za nimi tęsknimy. Postanowiliśmy, że w czasie tych ośmiu dni położymy podłogę i naprawimy ściany.

Budzę Al wcześniej rano pierwszego dnia ferii. Przyjeżdżamy do składu drewna przy Sepulveda, żeby dokupić gwoździ i zawiasów. Pogoda jest taka, jaką czasami chwalą się mieszkańcy Los Angeles: ciepło i słonecznie.

Wśród wzgórz jest jeszcze cieplej i słoneczniej. Wstępujemy do urzędu pocztowego i składamy podanie o skrzynkę pocztową. Dostajemy wszelkie informacje, gdzie powinniśmy ją ustawić, w jakiej odległości od drogi i na jakiej wysokości. Po drodze kupujemy skrzynkę. Jedziemy na parking na końcu naszej drogi. Zastanawiamy się, gdzie postawić skrzynkę, żeby było nam najwygodniej.

Najważniejsze jest, że zamówione drewno czeka już na miejscu. Powiązane deski spuszczaamy na dół. W ciągu dwóch godzin udaje nam się przetransportować na miejsce cały ładunek. Zniesienie drewna na dół zajęłoby nam cały dzień, a tak zyskaliśmy przy okazji zjeżdżalnię.

Zaczynamy od podłogi. Łomem pożyczonym od kolegi rzeźbiarza zrywam spróchniałe deski. Szybko mi to idzie. Al uczy się dobijać wystające lub zgięte gwoździe. Następnie zaczynamy układać nową podłogę, zaczynając od ściany. Na szczęście legary są w świetnym stanie, ani śladu

próchna.

Po pewnym czasie zauważam, że przybite deski nie biegną równolegle do ścian i legarów. Mówię o tym Al.

— Nie martwiłabym się tym szczególnie. I tak nikt nie zobaczy, że podłoga leży krzywo. Co to za różnica?

— Tak, ale Al, kiedy dojdziemy do końca, będziemy musieli przyciąć deski pod kątem, żeby je wcisnąć.

— Czy to coś zmieni, jeśli wszystkie deski będą ułożone prostopadle do ścian? Jeśli nie będzie się nam podobało, zawsze możemy położyć dywany albo płytki podłogowe. Nie utrudniajmy sobie, zgoda?

— Zgoda, Al. Chyba za bardzo skupiłem się na kwestii zachowania kątów prostych. Zabieramy się więc do roboty, postaramy się tylko utrzymać deski w jednej linii.

To wspaniałe uczucie, móc stanąć na własnej podłodze. Podskakujemy przez chwilę, wygląda na to, że wszystko trzyma jak należy.

Z przyjemnością jemy obiad i wracamy do pracy. Pracujemy, aż robi się tak ciemno, że prawie nic nie widzimy. Ostatnią deskę przybijamy w całkowitych ciemnościach, a później dodajemy jeszcze kilka krótszych kawałków, żeby zasłonić pozostałe szpary w kącie.

Al wyjmuje z plecaka dwie świece. Przywiozła je z naszej kryjówki, zabrała też zapalki. Ustawiam świece na kawałku drewna.

Ku mojemu zdumieniu Al wyciąga z plecaka butelkę wina. Otwieram ją korkociągiem, który mam przy scyzoryku.

Siedzimy na nowej podłodze, opierając się plecami o bok łóżka. Teraz zaczyna tu wyglądać jak w prawdziwym domu. Nasze cienie drżą na nierównym suficie. Pijemy prosto z butelki. Postanawiam sobie, że następnym razem kupię w Armii Zbawienia kilka kieliszków. Nie jestem pewien, czy z przyczyn religijnych organizacja ta nie walczy z alkoholem i nie sprzedaje kieliszków, ale postanawiam spróbować.

— AL, już chyba dosyć wypiełeś. Musisz sprowadzić jeepa na dół, a nie zamierzam z tobą jechać, jeśli będziesz pijany.

Podaję jej butelkę. Ma rację. Tak bardzo podekscytował mnie widok nowej podłogi, że nie pomyślałem o tym, choć pewnie bardziej pijany jestem radością niż winem.

Zbieramy powoli narzędzia i chowamy je w domu. Jeśli ktoś chciałby wejść do środka, nie miałby z tym żadnych problemów, więc ma to wyłącznie symboliczne znaczenie.

Przed wyjazdem mam jeszcze niespodziankę dla Al. Wyciągam z tylnej kieszeni spodni list z wydziału do spraw weteranów. Kiedy przyszedł, byłem nieprzyjemnie zaskoczony. Nie wiedziałem, w jakiej może być sprawie, a wszystko, co ma jakikolwiek związek z wojskiem, budzi mój niepokój. Przychodziły mi do głowy wszystkie najgorsze możliwości, poczynając od tego, że dowiedzieli się o moim szaleństwie, mój psychiatra domaga się, by zamknięto mnie ponownie w szpitalu, i cofnęli mi rentę inwalidzką. Ale wiadomość jest dobra.

Jest już za ciemno, by Althea mogła to przeczytać. Oddaje mi kopertę z niepewnym uśmiechem.

— Co to jest, AL, mam nadzieję, że wszystko w porządku?

— Nawet lepiej, Al. Władze stanu Pensylwania, gdzie się zaciągnąłem, przegłosowały specjalną nagrodę dla weteranów, do której mam prawo. Dostaniemy trzysta pięćdziesiąt dolarów, które na pewno przydadzą nam się na remont domu.

Althea przytula mnie tak mocno, że omal nie zjeżdżam z drogi.

— Och, AL, jestem z ciebie taka dumna. Nie powinieneś jednak przeznaczać wszystkich tych pieniędzy na dom. Możesz je wydać na co chcesz, zasłużyłeś sobie na nie.

— Nie żartuj, Al. Nie mógłbym wydać tych pieniędzy na nic lepszego. Nie kłóć się ze mną. Będziemy musieli założyć instalację elektryczną i zacząć myśleć o kanalizacji. To najważniejsze sprawy. Kiedy się z nimi uporamy, możemy się wprowadzić i zostać prawdziwymi topanganami. Pomyśl o tym tylko!

— AL, jesteś nieznośny! Ale to byłoby cudowne, moglibyśmy zapłacić za drewno. I rzeczywiście moglibyśmy tu zamieszkać, nasze marzenia stałyby się rzeczywistością.

Przytula głowę do mojego barku. Jestem już częściowo pijany od wina, zupełnie pijany radością że założyliśmy podłogę, teraz na dodatek czuję się pijany szczęściem. Zadziwiające, że jakoś udaje nam się bezpiecznie zjechać na dół. Po drodze rozmawiamy o tym, że będziemy musieli rozwiązać problem kanalizacji. Kiedy wprowadzimy się na stałe, prowizorka przestanie wystarczać.

— Al, czytałem ostatnio trochę o szambach, rozmawiałem też na ten temat z jednym sympatycznym sprzedawcą w sklepie. Mówił mi o nowych, kulistych, łatwych w transporcie plastikowych szambach i glinianych drenach. Nie wiem, jak mielibyśmy założyć kanalizację na stromym zboczu, ale jestem przekonany, że wymyślimy jakiś sposób. Mam mnóstwo pomysłów, ale brakuje mi konkretnej wiedzy.

Teraz dopiero przychodzi mi do głowy, że powinienem był zapakować do jeepa pożyczone od kolegów lewarki. Na szczęście ich właściciele rozjechali się najpewniej na ferie wielkanocne, mogę więc tymczasem odłożyć całą sprawę na później.

Choć może to dziwne, cieszę mnie te problemy i cieszę się, że mogę dzielić się swoimi pomysłami z Al. Podchodzi do sprawy z entuzjazmem równym mojemu, ale kwestia szamba i drenów to już chyba dla niej zbyt wiele. Przez chwilę jeszcze prowadzimy tę skatologiczną dyskusję, którą Al w końcu kwituje Śmiechem.

— To literatura, AL. Czysta poezja.

Słońce utonęło już w oceanie, kiedy zjeżdżamy z autostrady biegnącej jego brzegiem i wjeżdżamy na teren uniwersytetu. O tej porze mamy cały parking dla siebie, poza tym są ferie.

Postanawiamy umyć się w pustych łazienkach wydziału sztuk pięknych, a potem pojechać na kolację na Olympic Boulevard, do restauracji, o której opowiadała Al jedna z koleżanek z akademika. Nazywa się Kelbo's, jej specjalnością są żeberka.

— Od lat nie jadłem żeberka, Al. Uwielbiam je, a teraz jestem na dodatek głodny jak wilk.

Przebieramy się i jedziemy do restauracji. Trudno znaleźć wolne miejsce do parkowania, restauracja jest pełna gości, w większości studentów UCLA. Najpierw pijemy po szklance piwa, a potem siadamy do znakomitego posiłku.

Żeberka są wyśmienite, delikatne i polaną smacznym sosem. W dodatku porcje są ogromne. Objadamy się do syta. Czujemy w ten sposób nadejście czeku z nagrodą. Kolejna nagroda, chwile czułości, czeka mnie po powrocie na strych. Tak, życie bywa niekiedy wspaniałe, kiedy ma się dobrego towarzysza. Nie domagam się seksu, nie mogę, za bardzo szanuję Al, a ona nie próbuje się ze mną drażnić. Bawimy się jak małe szczeniaki. Zasypiam szczęśliwy. Choć był to długi, męczący dzień, nie mogę doczekać się jutra.

## ROZDZIAŁ XVI

Następnego dnia drzemię jeszcze, kiedy słyszę, że Althea krząta się po strychu. Obserwuję ją w słabym świetle. Robi porządki. Tak cudownie jest móc się jej przyglądać. Przez chwilę udaję, że jeszcze śpię, ale nie daje się oszukać. Podchodzi i rzuca się na mnie.

— Wstawaj, śpiochu. Czekają na nas wielki stos drewna.

Przyciągam ją ku sobie. Próbuję rozpiąć śpiwór, ale pukiel jej włosów zaczepia się o zamek błyskawiczny.

— Uważaj, AL, to boli.

Powoli wyplątuje jej włosy z zamka, a ona siada na mnie okrakiem, odsuwa włosy z twarzy. Pochyla się nade mną. Otacza ją przyjemny zapach, naturalny, nie pachnie perfumami, choć wyczuwam woń mydła. Pachnie tak, jak pachniał mój brat Mario, kiedy był jeszcze mały.

— O czym myślisz, AL? Uśmiechasz się tak słodko.

— Pomyślałem o moim bracie, o tym, jak pachniał, kiedy był małym dzieckiem. Ty właśnie tak pachniesz.

— Przed zmianą pieluchy czy po?

— Nigdy nie zmieniałem mu pieluch. Włoscy mężczyźni nie robią takich rzeczy.

— A zmieniałbyś pieluszki naszym dzieciom, gdybyśmy kiedyś je mieli?

Tu mnie ma. Dziwne, ale nigdy wcześniej nie pomyślałem o tym, że możemy kiedyś mieć dzieci. Przyciskam ją mocno do siebie.

— Będę zmieniał pieluszki wszystkim naszym dzieciom, AL. Niczego bardziej nie pragnę.

Odsuwa się ode mnie.

— No cóż, w takim razie ruszaj się, zjemy śniadanie, a potem Pojedziemy do naszego domu popracować, żeby nasze dzieci miały gdzie mieszkać i żebyś ty miał gdzie zmieniać im pieluchy.

O siódmej rano wychodzimy z Moore Hall. Po drodze kupujemy pączki oraz sok pomarańczowy. Jedziemy Pacific Coast Highway; Althea karmi mnie kawałkami pączka i poi sokiem z kubka. Oboje wybraliśmy zwyczajne pączki posypane cukrem pudrem. Są po prostu wyśmienite.

Nad oceanem jest dość chłodno, niebem przepływają ostatnie obłoczki porannej mgły. Ruch nie jest zbyt ożywiony, jedziemy więc szybko. Zdecydowanie panuje dziś atmosfera święta, choć większość ludzi będzie pracować przez cały Wielki Tydzień.

Kiedy wjeżdżamy wyżej, mgła rozwiewa się, robi się też coraz cieplej. Zatrzymujemy się koło naszej skrzynki pocztowej. Otwieramy ją i zamykamy kilka razy, ciesząc się jak dzieci. Zabrałem ze sobą pudełko z farbami, maluję więc na niej nasz numer: 621, z boku i z przodu. Mam nadzieję, że listonosz jakoś ją odnajdzie. Pod numerem wypisuję nawet drukowanymi literami HORSESHOE DRIVE. Gapimy się na to nasze arcydzieło, by odsunąć moment, gdy trzeba będzie wziąć się do roboty. Al jednak otrząsa się pierwsza.

— Mamy ze sobą wszystkie potrzebne narzędzia, AL?

— Tak jest, dwa młotki, ręczną piłę, dwa pudełka gwoździ, pędzel i pokost, żeby pomalować deski. Brakuje nam drabiny. Powinniśmy byli ją kupić, ale zupełnie o tym zapomniałem. No tak, zapomniałem też zabrać rzeczy do prania. Widziałem pralnię samoobsługową na Lincoln Boulevard. Ale tym możemy się zająć jutro.

— Świetna byłaby z ciebie gospodyni, AL. Ja nosiłam pranie do Westwood, ale pralnia, o której mówisz, jest po drodze. Świetnie.

Dom stoi tak, jak go zostawiliśmy. Przechadzamy się po nowej podłodze. Wygląda tak, jakby



była tu od zawsze, doskonale równa. Słońce wpada przez okno nad zlewem, gdzie wciąż nie ma wody. Będę się musiał tym zająć, ale na razie odsuwam od siebie tę myśl. Najpierw ściany.

Rozkładamy deski i wybieramy najładniejsze na front domu. Zamówiliśmy trzeci gatunek, mają więc sęki i nie zawsze są doskonale proste, ale za to są tanie, poza tym podobają nam się drobne nieregularności, zwłaszcza sęki.

Decydujemy, że zaczniemy od prawego narożnika frontu. Łatwo pracuje się z drewnem sekwojowym, gwoździe wchodzi jak w masło, a kiedy muszę przyciąć kawałek deski, żeby dopasować ją do spadzistego dachu, piła tnie lekko i gładko. Przypomina mi to trochę modele samolotów, które budowałem jako dziecko. Praca jest prawie tak samo łatwa. Przyglądamy się naszemu dziełu. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tego, jaką ogromną satysfakcję może dawać praca w drewnie, szczególnie wtedy, gdy jest słoneczny kalifornijski poranek, a u boku ma się ukochaną kobietę. Uśmiechamy się oboje jak koty nad spodeczkiem ze śmietanką.

Ruszamy dalej z robotą, przybijamy kolejne deski, niektóre, krzywe lub z sękami na krawędziach, musimy odrzucać. Idzie nam to szybciej, niż sądziliśmy.

— Spójrz tylko, Al. Pracujemy jak prawdziwi zawodowcy.

— A co ze ścianami w środku? Wydaje mi się, że jest tam tylko sklejka, i to niezbyt gruba, czy wytrzymają to walenie młotkiem?

— Myślę, że nic się im nie stanie, Altheo. Zastanowimy się nad tym, kiedy skończymy objąć dom od zewnątrz. Zdecydowanie od tego powinniśmy zacząć.

Nie ma jeszcze południa, gdy cała fasada jest już gotowa.

Kiedy otwieram wielką puszkę pokostu do drewna sekwojowego, żeby pomalować całość, orientuję się, że musimy jeszcze poprzybijać listwy, zanim będzie można zabrać się do malowania.

— Al, zabiorę się do przybijania listew, a ty zacznij malować to piękne drewno. Zgoda?

— Tak. Ty tu jesteś szefem.

— Tu nie ma żadnych szefów, Altheo. Sami szeregowi pracownicy, rozumiesz?

— Tak jest, szefie.

— Tylko bez żadnych szefów.

— Tak jest, szefie, jak sobie życzysz.

Przez chwilę przytulamy się do siebie. Nie wiem, jak mogłem tak długo żyć samotnie.

Kiedy kończymy pracę, fasada wygląda wprost wspaniale. Odchodzimy kawałek i podziwiamy nasze dzieło. Będziemy musieli nałożyć drugą warstwę pokostu. Ale to również może poczekać. Pora na obiad, a my nic nie przywieźliśmy.

— Al, słuchaj, ja przygotuję deski na ściany boczne, a ty zjedź na dół i kup coś na obiad. Gdyby udało ci się dostać bochenek francuskiego lub włoskiego chleba, trochę sera i wędlin, a do tego dużą butelkę coli, byłoby po prostu świetnie. Powiniennem skończyć swoją część roboty do twojego powrotu.

Al staje nieruchomo, przygląda mi się, a potem wybucha śmiechem.

— Wszystko to świetnie brzmi i wydaje się naprawdę proste, kiedy to mówisz, ale zapomniałeś o kilku ważnych kwestiach. Po pierwsze, nie mam ani grosza na zakupy.

Uśmiecham się głupkowato i wyciągam z kieszeni portfel. Niewiele mam gotówki, ale powinno starczyć. Będę musiał złożyć w banku otrzymany właśnie czek z kolejną rentą inwalidzką.

— Poza tym, „szefie”, nie potrafię prowadzić, nie mam prawa jazdy, a nawet gdybym miała, za nic nie zjechałabym jeepem z tego zbocza. To tylko tak na początek.

Teraz jestem naprawdę zakłopotany. O czym ja właściwie myślałem? To normalne, nie wierzę w innych, a jednocześnie zakładam, że posiadają umiejętności i zdolności, których mnie brakuje.

Doktor Weiss powiedział mi, że moje kłopoty wynikają po części z nieumiejętności współodczuwania. Nie jestem dość wrażliwy na uczucia innych, nie potrafię postawić siebie na ich miejscu, postrzegać ich takimi, jacy są. Może jednak powinno się mnie zamknąć i wyrzucić klucz. Nie nadaję się do życia na tym świecie.

Podchodzę do Althei, wciąż trzymając pieniądze w wyciągniętej ręce. Rzeczywistość wciąż jeszcze do mnie nie dociera. Biorę Al w ramiona, czuję, że za chwilę się rozplacę.

— Boże, Al! Przepraszam. Czasami nie zastanawiam się wcale nad tym, co mówię.

— To nie twoja wina, AL. Rozumiem. Pod pewnymi względami po prostu nie jestem jeszcze dorosła. Mogłam zdobyć prawo jazdy, mój ojciec wciąż proponował, że nauczy mnie prowadzić, ale ja nie chciałam. Podobało mi się, że nie muszę się o to martwić. Myślę, że podobało mi się właśnie to, że nie jestem jeszcze dorosła. Studiowanie poezji, mieszkanie w akademiku, życie na cudzy koszt, skupianie się wyłącznie na studiach, a wszystko to po to, by nie dopuszczać do siebie rzeczywistego świata. Chyba to właśnie w tobie kocham, AL. Na swój sposób robisz dokładnie to co ja, żyjesz w nierealnym świecie, odbudowujesz ten zwariowany dom na zboczu, kochasz mnie, jesteś artystą, mieszkasz na strychu. Jesteśmy do siebie tak bardzo podobni. Mam nadzieję, że jak najdłużej będziemy w stanie obronić się przed tym, co ludzie nazywają rzeczywistością, i po prostu się kochać. Rozumiesz?

Przytulam ją mocniej do siebie. Cała pachnie pokostem. Nie wiem, jak ona to robi, malowała przez cały poranek, a na jej ubraniu nie widzę ani kropli. Odsuwam ją od siebie i patrzę jej głęboko w oczy, dostrzegam w nich ślady łez.

— AL, najważniejsze jest to, że wiem, że cię kocham, a ty wiesz, że mnie kochasz. To powinno pomóc naszej miłości. Najważniejsza w miłości jest moim zdaniem świadomość, że ukochana osoba czuje dokładnie to samo. Rozumiesz?

— Absolutnie, AL

Oboje jesteśmy zbyt poruszeni, zbyt zdenerwowani, by kontynuować tę rozmowę.

— Dobrze, Al, w takim razie ja pojedę Motylkiem do miasteczka i zrobię zakupy, a ty spróbuj tu trochę uporządkować, żebyśmy mieli gdzie jeść, a potem może spróbuj wyrównać te pale, które stoją nierówno. Zgoda?

Kiwa głową. Odprowadza mnie na górę do Motylka. Kiedy jestem w środku, pochyla się ku mnie i całuje delikatnie w obie powieki.

— AL, niezależnie od tego, co mówisz, to ty jesteś tutaj szefem, zgoda?

Włączam silnik. Jestem tak poruszony, że chyba nie powinienem teraz pokonywać tej krętej trasy.

— Jak sobie życzysz, szefowo.

Ruszam, zanim jeszcze zdąży mi odpowiedzieć. Na rogu Horseshoe Drive odwracam się. Wciąż stoi koło naszej skrzynki na listy. Jeśli jedno z nas będzie uważać drugie za szefa, nasze życie będzie się toczyło jak w wojsku, gdzie kwestia hierarchii jest najważniejsza. Jadę powoli, by móc się uspokoić i zastanowić. Wiem, że dopóty, dopóki nie będziemy ze sobą współzawodniczyć, będzie nas łączyło coś cudownego. Ale to takie trudne.

Kupuję jedzenie na obiad i wielkanocny koszyczek z zajaczką dla AL. Wygląda strasznie sztucznie, wiem, że czekoladowe jajko jest puste w środku, na dnie koszyczka widzę jakieś galaretki. Czuję się okropnie głupio, kiedy niosę go do samochodu.

Mama zawsze robiła wiele szumu wokół Wielkiejnocy i Wielkiego Tygodnia. Przez większą część roku trudno byłoby ustalić nasze wyznanie, równie dobrze mogliśmy być muzułmanami, żydami, a nawet protestantami, jeśli brać pod uwagę wpływ, jaki religia miała na nasze życie. Rodzice zostawili wszystko, co mieli, w starym kraju, na Sycylii albo w Kalabrii. Często próbowałam ich namówić, by opowiedzieli mi o swoim dzieciństwie, ale nie chcieli o tym

rozmawiać.

Postanawiam przy okazji kupić lakier, żeby pomalować dom. W składzie drzewnym w Topanga proponują mi lakier morski, który, jak twierdzą, powinien wytrzymać i słońce, i deszcz. Kupuję puszkę lakieru i pędzel. Dowiaduję się, że mogę lakierować po kilku godzinach od nałożenia warstwy pokostu. Kupuję też małą butelkę terpentyny.

Wiem, że odsuwam tylko od siebie chwilę powrotu do AL. Bardzo trudno przychodzi mi dochodzenie do ładu ze swymi uczuciami. Nawet pozornie tak zwykła rozmowa, jak ta, którą odbyliśmy dzisiaj, znaczy dla mnie bardzo wiele. Nie wiem sam, co by było, gdybym zakochał się w kimś, kto wykorzystywałby moje problemy przeciwko mnie. Stanowczo nie jestem jeszcze zdrowym, pewnym siebie człowiekiem, niezależnie od tego, jak bardzo jestem teraz szczęśliwy, i od czasu, jaki zdążył już upłynąć. Zatrzymuję się nad brzegiem płynącego obok drogi strumienia. Znajduję kępy zielonej trawy, rosnącej koło wody. Zrywam kilka garści, otrzepuję korzenie z ziemi, wyrzucam papierową trawę z koszyka i zastępuję ją naturalną. Ruszam w drogę. Znow jestem mniej więcej sobą i czuję się o wiele lepiej.

Zawracam jepeem na końcu Horseshoe Drive. Al wspina się właśnie na zbocze, żeby mnie powitać. Wygląda na szczęśliwą. Wyskakuję z wozu i podbiegam do niej. Witamy się tak, jak gdybyśmy nie widzieli się przez miesiąc.

— Wszystko w porządku, AL? Martwiłam się już, nie spodziewałam się, że zajmie ci to aż tyle czasu.

— Przepraszam, musiałem kupić farbę i pędzle, potrzebowałem też chwili, żeby się zastanowić.

— Nad czym się zastanawiałeś?

Odwracam się w stronę jeepa, by nie widziała mojej twarzy, wyjmuję z samochodu zakupy.

— Powinnaś to już wiedzieć, AL. Jestem bardzo słaby psychicznie. Jedna rozmowa wystarczyła, bym dostał skurczu żołądka. Mam nadzieję, że to w końcu minie. Powinienem już z tego wyrosnąć. Ale czuję się coraz lepiej, więc nie powinnaś się martwić.

Wchodzimy do domu, widzę, że Al bawiła się w gospodynię. Zrobiła prowizoryczny stół, który ustawiła naprzeciwko wielkiego okna. Roztacza się z niego piękny widok.

Siadamy obok siebie na podłodze. Al wyjmuje zakupy, kroi bochenek chleba na pół, a potem na mniejsze części, i układa plasterki wędliny i serów. Siedzę, wsunąłem nogi pod nasz „stół” i wyglądam przez okno. Al rozumie, że nie czuję się najpewniej. Nalewa mnie i sobie po kubku coli. Upijam łyk i uśmiecham się do niej.

— Obiecuję, że nie będzie się to zdarzać zbyt często, Al. Nie jestem po prostu sobą, wciąż jeszcze nie potrafię sobie tego wszystkiego poukładać.

— Wszystko w porządku, jeżeli tylko to nie ja jestem za to odpowiedzialna, AL. Powinieneś mnie zobaczyć, kiedy mam okres. Potrafię zalewać się łzami bez żadnego powodu. Ostrzegam.

— Ostrzeżenie przyjęte. Ja nie mam „okresów”, to pewnie raczej coś takiego jak śpiączka, która przychodzi nagle.

— Kocham cię takim, jaki jesteś, AL. I pragnę tylko, żebyś ty ninie też kochał.

Nie potrafię nawet wyobrazić sobie, że mógłbym przestać ją kochać. Wsuwam kanapkę do ust, starając się nią nie zakrztusić. Popijam łykiem coli. Nie wydaje mi się, by ktoreś z nas miało w tej chwili ochotę na rozmowę.

Po obiedzie wyciągamy się na naszej nowej podłodze. Chyba nie ja jeden cierpię na emocjonalny bałagan, bo oboje zasypiamy natychmiast i budzimy się dopiero o drugiej. Obracam głowę i widzę, że Al ma otwarte oczy. Opieram się na łokciu, by spojrzeć na zegarek.

— Kurczę, to była prawdziwa kalifornijska sjesta, co, Al? Rzadko zdarza mi się spać tak długo.

Podnosimy się i przytulamy mocno do siebie. W tej samej chwili przypominam sobie, że znowu zapomniałem kupić drabinę. Postanawiam o tym nie wspominać. Zbyt wiele dałem już Al dowodów na to, że nie jestem dziś w najlepszej formie.

— AL, kupiłeś drabinę?

O niczym nie zapomina. Powinienem wziąć to pod uwagę, ale widać uczę się powoli.

— Nie, zapomniałem, ale przypomniałem sobie o czymś innym.

Puszczam się biegiem do jeepa, w którym schowałem koszyczek wielkanocny. Wyciągam go teraz, zadowolony, że nie dobrały się do niego mrówki. Zsuwam się w dół po zboczu, trzymając koszyczek wysoko w górze. Al czeka na mnie w domu, zachodzę ją od tyłu.

— Widzisz, nie o wszystkim zapomniałem. Podaję jej koszyczek.

— AL, to już zbyt wiele. Skąd ci to przyszło do głowy? — Łzy wzruszenia napływają jej do oczu.

— W niedzielę Wielkanoc. Pomyślałem, że pewnie ci się spodoba, więc go kupiłem. Nie ma nad czym płakać, za dużo ostatnio tych łez.

— AL, to pierwszy wielkanocny koszyczek, jaki w życiu dostałam. Moi rodzice nie dawali mi nigdy takich prezentów. Uważali, że to głupie. Twierdzili też, że od słodczy psują się zęby i że dostanę na dodatek wyprysków. A ja zawsze marzyłam o takim koszyczku i dostałam go właśnie od ciebie. Naprawdę się tego nie spodziewałam.

— Zawsze mogę go oddać, Al, albo zjeść wszystko sam. Nie sądzę, by słodczy, które są w środku, były wyjątkowo dobre. Pomyślałem po prostu, że może ci się to spodobać.

— Och, AL, jest cudowny, tak jak ty.

Sięgam do koszyczka. Wyjmuję małego czekoladowego zajączka. Rzeczywiście, niewiele tej czekolady. Biorę dwie galaretki, czarną i czerwoną.

— Proszę, możesz jeść, co tylko zechcesz, a jeśli będziesz miała kłopoty z zębami, osobiście zapłacę za dentystę. Bierzmy się jednak do pracy, możemy robić wszystko, do czego nie będzie potrzebna nam drabina.

Najpierw jednak mieszam lakier. Przypomina płynne szkło. Al obserwuje mnie, jak pokrywam nim deski, które wcześniej pociągnęła pokostem. Wygląda to wspaniale, lakier podkreśla fakturę sekwojowego drewna, nie spodziewałem się, że będzie aż takie piękne. Oboje przyglądamy się naszemu dziełu z zachwytem.

— To powinna być dla ciebie zabawa, Al. Wiem, że jesteś staranna, widziałem, jak nakładałaś pokost, ale lakier o wiele trudniej będzie usunąć, więc bądź bardzo ostrożna. Kupiłem terpentynę, która rozpuści prawie wszystko, ale staraj się nie pochłapać, bo to prawdziwe diabelstwo.

Przygląda mi się ze skupieniem. Pokazuję jej, jak zanurzać pędzel na całość, a potem ocierać go o krawędź puszek, by usunąć nadmiar lakieru. Zabiera się do pracy i od razu wychodzi jej to tak, jak gdyby przez całe życie pracowała jako malarz. Obserwuję ją, jak maluje pierwszą deskę, a potem wracam do dopasowywania desek.

Kiedy odrywam się od pracy, Al kończy malowanie ściany frontowej. Staję za nią i przyglądam się z podziwem. Al robi krok w tył, trzymając w dłoni puszkę. Ani kropla nie spływa z jej boków. To wprost niemożliwe.

Spoglądam na zegarek. Za kwadrans piąta. Jeżeli chcę kupić drabinę, powinienem pojechać jak najszybciej. Zamykamy lakier, wkładamy pędzel do puszek napełnionej terpentyną. Później ruszamy do miasteczka Topanga. Tak pewnie był podniecony pierwszy jaskiniowiec, kiedy wreszcie znalazł dla siebie odpowiednią jaskinię.

Idę na tył magazynu, gdzie wcześniej widziałem drabiny. Wybieram drewnianą, ciężką, ale dostatecznie długą, by mogła dosięgnąć dachu z samego dołu stoku. Drabina ma trzy metry długości, kosztuje dwadzieścia dolarów, ale jest niezbędna. Prawdopodobnie w składzie przy

Sepulveda Boulevard zapłaciłbym mniej, ale chcemy już zabrać się na powrót do pracy.

Dostaję kawałek mocnego sznurka, bym mógł przywiązać drabinę do Motylka, kupuję też następną puszkę lakieru. Mocuję drabinę, wystaje trochę z tyłu, więc Al musi stale patrzeć, czy o coś nie zaczepi. Ruszamy w drogę powrotną.

Kiedy docieramy na miejsce, ustawiamy drabinę, opierając ją o ścianę naszego domu. Podkładam pod nią te same płaskie kamienie, na których stawiałem krzesło.

— AL, nie zamierzasz chyba wspinać się po drabinie, która opiera się tylko na dwóch kamieniach? Zabijesz się. To nie ma sensu.

— A widzisz inną możliwość, Al? Nie mam lęku wysokości. Przytrzymaj mija tylko. Przysięgam, że nic mi się nie stanie. — Wkopuję drabinę głębiej w ziemię. — W porządku. Jeśli tak bardzo cię to denerwuje, możemy wziąć kogoś, kto zrobi to za nas.

— Nie, AL. Powinniśmy to zrobić sami. Nie chcę tylko na ciebie patrzeć, kiedy będziesz tak wysoko. Będę trzymała drabinę, ale nie zamierzam podnosić wzroku.

Kiedy w którymś momencie schodzę z drabiny, widzę, że Al trzyma drabinę z mocno zacisniętymi powiekami. Staram się jak najszybciej uporać z deskami.

Kiedy kończę pracę, jest już ciemno. Szczerze mówiąc, powinienem był skończyć już wcześniej, ale wciągnąłem się do roboty i nie chciałem przerywać.

Wsuwam drabinę pod dom. Obchodzimy naszą chatkę w zapadającym zmierzchu i podziwiamy, jak wspaniale wygląda. Jutro pociągniemy wszystko pokostem i polakierujemy.

Uznajemy, że powinniśmy uczcić ten dzień wspaniałą kolacją w meksykańskiej restauracji. Za tak zwany zestaw płacimy jedyne osiemdziesiąt pięć centów. Prosimy, by zapakowali jedzenie do papierowej torby. Kolację jemy już u siebie, na naszym strychu.

\* \* \*

Kiedy następnego ranka schodzę do jeepa, zauważam, że z dwóch poczwerek wykluły się motyle. Dokonała się wielka przemiana, a ja ją przegapiłem. Pozostałe kokony wciąż wiszą na swoim miejscu. Wyjaśniam Al, co stało się z moimi „patyczkami”. Nie jest szczególnie zaciekawiona. Ale gdybyśmy wszyscy interesowali się tym samym, życie byłoby przecież nudne.

Schodzimy na dół i w łazienkach kąpiemy się, myjemy zęby i korzystamy z toalet. Nikogo nie ma w budynku, nawet Paula. Mam wrażenie, że cały świat się zatrzymał. W końcu to poniedziałek Wielkiego Tygodnia.

Pamiętam, że jako dzieciak — nie miałem wtedy pewnie więcej niż dziesięć lat — narysowałem w Wielkanoc Mękę Pańską. Rysowałem kolorowymi kredkami, to tylko miałem, i uznałem obrazek za arcydzieło. Pracowałem, klęcząc na podłodze naszej wspólnej sypialni.

Może zrobiłem to tylko dlatego, żeby zdenerwować ojca. Rysowałem w Wielki Piątek. Mam nadzieję, że miałem jakieś lepsze powody niż drażnienie się z tatą.... Pamiętam, że uważał, iż tylko kobiety powinny klękać. On nie ugina kolan nawet w tych rzadkich momentach, kiedy zdarza mu się pojawiać w kościele.

Nigdy nie rozmawiałem z nim o religii. Uważa się za katolika, ale tak samo jak uważa się za Włocha, tak po prostu jest i nie zamierza nic z tym zrobić. Oczywiście, jest Amerykaninem, amerykańskim katolikiem włoskiego pochodzenia. Cieszę się, że nigdy się o to nie kłóciliśmy.

Kiedy miałem dwanaście lat, utraciłem, jak to się mówi, wiarę. Nie potrafiłem dłużej wierzyć w to, co próbowali nam mówić w szkole księża i zakonnice, nie chciałem jednak kłamać, nie dlatego, że kłamstwo to grzech, chciałem być tylko uczciwy. Oczywiście, dopóki mieszkałem z rodzicami, musiałem nadal chodzić na mszę, do spowiedzi i komunii, w przeciwnym wypadku groziłaby mi wojna domowa. Nawet czasami klękałem z mamą, jak na przykład wtedy, kiedy

umarła jej siostra, i udawałem, że odmawiam różaniec, ale już nigdy nie miało to dla mnie znaczenia. W wojsku nie chodziłem na msze polowe, ani katolickie, ani protestanckie czy żydowskie. Czułem, być może idiotycznie, że gdybym stał się hipokrytą, sam dopraszałbym się o to, żeby ktoś mnie zabił.

Wciąż jednak kocham Boże Narodzenie i Wielkanoc, tak jak uwielbiam święto Czwartego Lipca czy Halloween. Nie jestem pewien, co stanie się ze mną, kiedy umie, ale przekonany jestem, że nie czeka mnie nic takiego jak Niebo, Piekło czy Czyściec. Po prostu będę martwy. Widziałem już w swoim życiu tylu umarłych, że nie robi to na mnie wrażenia.

Althea i ja nigdy nie rozmawiamy o takich sprawach, ale powinniśmy o tym powiedzieć, zanim powiadomimy wszystkich o tym, że zamierzamy być razem. Tyle przynajmniej jesteśmy winni naszym rodzicom. Nie wiem, czyjej rodzice są katolikami, nie wiem nawet, czy są w ogóle chrześcijanami. Nic mnie to jednak nie obchodzi.

\* \* \*

Przez cały Wielki Tydzień pracujemy w naszym domku. Kończymy obijanie ścian, pokostowanie i lakierowanie. Chata zaczyna z zewnątrz wyglądać jak prawdziwy dom. Teraz musimy zająć się dachem. Deszcze nie padają tu zbyt często, ale lepiej byłoby naprawić dach od razu.

Któregoś dnia postanawiam przyjrzeć się dokładnie dachowi.

Widok z góry jest cudowny. Z trudem udaje mi się przekonać Al, żeby dołączyła do mnie. Pomagam jej wspiąć się po drabinie i obejmuję mocno ramieniem, bo drży na całym ciele. Z pobieżnych oględzin wynika, że dach jest w bardzo dobrym stanie. Chyba kładł go prawdziwy profesjonalista. Musimy tylko pokryć go czymś i będzie jak nowy! Musimy kupić rolkę papy i lepik. Wiem też, że można kupić specjalny kamień, który służy do pokrycia dachu. Nie tylko izoluje, ale także chroni przed ogniem. Nie powinniśmy zapominać, że gdyby w kanionie rozszalał się pożar, wszystko poszłoby z dymem.

\* \* \*

Raz jeszcze jedziemy do składu materiałów budowlanych w Topanga. Potrzebuję rękawic i sznurka do związywania chwastów. Na razie nie mieliśmy kłopotów z trującym dębem, ale Althea nie wie, czy jest na niego uczulona, większość życia spędziła w mieście, w Chicago.

Zauważyłem też, że w powietrzu unosi się jakiś pyłek. Wiem, że nie mam alergii na pyłki, ale Althea nie jest tego pewna. Będziemy musieli przekonać się doświadczalnie.

Skoro już zjechaliśmy do doliny, kupujemy składniki potrzebne do przyrządzenia kolejnego wspaniałego obiadu. Oboje czujemy, że nie zrobiliśmy jeszcze zbyt wiele, lecz postanawiamy, że do wieczora to nadrobimy.

Wracamy na górę i jeszcze przed obiadem zaczynamy wielkie pielenie. Przez trzy godziny bez przerwy ścinamy zielsko szpadłem i motyką. Wykorzystuję nawet hol, żeby wyciągać z ziemi większe krzewy, które potem wiążę i wynoszę na drogę. Strasznie się pocę, Al również sływa potem, przez podkoszulek widzę zarys jej biustonosza.

— Zróbmy sobie przerwę obiadową, Al, te krzaki mnie wykończyły. Odetchnij, a ja pójdę przynieść obiad z wozu.

Po powrocie ściągam przepoconą koszulkę i namawiam Al, by zrobiła to samo.

— Nie potrafię, AL. Jestem zbyt wstydliva.

— Przepraszam. Nie mam na myśli nic złego. Chciałem tylko, byś ty także poczuła lekki kalifornijski wietrzyk. Najlepiej udawajmy, że nic się nie stało.

— Wiem, że to niemądre, ale chcę być wobec ciebie uczciwa, AL.

— Może lepiej zabierzmy się do kanapek, potem zrobimy sobie małą drzemkę, a później wrócimy do naszych krzaków. Zgoda?

Kładziemy się na plecach i rozkoszujemy posiłkiem. Nie ma nic lepszego od dobrych kanapek po dniu ciężkiej pracy. Dochodzę do wniosku, że miałbym ochotę na piwo, ale cola wystarcza mi w zupełności.

Al jest bardzo milcząca i zamknięta w sobie. Po chwili robi się to nieprzyjemne. Powiniennem nauczyć się trzymać język za zębami. Odwraca się ku mnie i przesuwając dłonią po mojej twarzy, przeczesuje moją brodę palcami.

— Wiesz, że cię kocham, AL. Może to głupie, ale wciąż myślę o tym, co powinna, a czego nie powinna robić „porządna dziewczyna”. Odsłanianie biustu w obecności mężczyzny nie wchodzi w grę. Nie martw się, kiedyś mi to przejdzie. Czuję się taka zakłopotana. Dziewczyny z akademika mówiły, że jestem okropną cnotką, pewnie miały rację. Wiem, że mam opory, staram się z nimi walczyć. Daj mi trochę więcej czasu.

— Dam ci tyle czasu, ile tylko będziesz potrzebowała, Altheo.

Jeśli chodzi o mnie, może ci to zająć całe życie. Czy mi wybaczysz? Wiem, że w głupi sposób dotknąłem cię i bardzo mi z tego powodu przykro.

Podnoszę się z podłogi i wkładam koszulę. Jest ciepła, prawie wyschła. Podaję Al rękę i pomagam jej się podnieść.

Bierzemy łopatę i motykę i zabieramy się na nowo do pielienia. Praca dobrze mi robi na skołatane nerwy. Trochę niżej odkrywam dwa prawie płaskie fragmenty zbocza, które do tej pory zasłaniały gęste krzewy i rozrośnięte geranium.

— Wiesz, Al, jak powinniśmy wykorzystać ten płaski teren? Spogląda na mnie, jej włosy i moja broda mają w tej chwili prawie identyczny kolor, pylisty blond a la Topanga.

— Masz na myśli swoją hodowlę motyli?

— Tak, ale nie tylko.

Czeka. Biorę kilka głębokich wdechów. Zastanawiam się, czy sam wiem, co robię. Mogę ją wystraszyć swoimi zwariowanymi pomysłami.

— Chciałbym hodować tutaj także kurczęta i króliki, a na tym płaskim kawałku zbudować zagrodę dla kóz i studio malarskie.

Kiedy to mówię, wydaje się jeszcze gorsze, niż kiedy o tym pomyślałem. Prawie tak dziwaczne jak pomysły Ptaśka, który w moim „śnie” wybudował wielkie klatki dla ptaków na podwórku. Wciąż drzemie we mnie dawne szaleństwo. Powiniennem trzymać język za zębami.

— To chyba wspaniały pomysł, AL, ale mamy tylko pół akra, a większa część terenu to prawie pionowy stok. Jak chcesz hodować tutaj zwierzęta?

— Tego jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę. Chciałbym też sadzić warzywa: pomidory, dynie, cebulę, fasolkę, może nawet słodką kukurydzę. To byłoby wspaniałe. Miałbym naturalny nawóz dzięki kurczakom, królikom i kozom.

Al wciąż opiera się na swojej motyce. Wszystko to wydaje się niemożliwe, ale z początku naprawa naszego domu także wydawała się niemożliwa. Siadam obok Al. Wskazuję na nasz domek.

— Spójrz tylko. Teraz, kiedy pozbyliśmy się tych zarośli, naprawdę można mu się przyjrzeć.

Al nuci cicho, ale słyszę jej głos przez bzykanie owadów. Ma czysty, słodki głos.

*Althea sama i AL,  
Kiedy im potu nie żal,  
Na wzgórzu postawią dom  
Pośród błękitu nieba*

Znam tę melodię, ale nie potrafię przypomnieć sobie słów.

— Dobra, Al, koniec na dzisiaj — mówię, gdy czuję, że już nie mam siły. — Podobała mi się twoja piosenka. Chciałem się do ciebie przyłączyć, ale nie znam słów, a poza tym wcale nie jestem pewien, czy w ogóle potrafię śpiewać.

— Ależ daj spokój, AL. Wiem, że potrafisz śpiewać, sama przecież słyszałam.

— Kiedy to słyszałaś?

— Gdy spałeś. Zawsze wiem, kiedy naprawdę śpiesz, bo wtedy nie chrapiesz, ale śpiewasz.

— Śpiewam? Nie wierzę. Co śpiewam?

— Nigdy nie rozumiałam słów, ale to coś więcej niż tylko nucenie, to naprawdę śpiew, bardzo ładny, masz głos jak ten śpiewający kowboj, Gene Autry.

— Jesteś pewna? Ja śpiewam? Wydaje mi się, że nie znam słów do żadnej piosenki oprócz hymnu, a i to nie dokładnie. Jesteś pewna, że ci się to nie przyśniło?

— Stuprocentowo. — Uderza motylką, żeby oczyścić ją z ziemi, odwraca się do mnie z uśmiechem. — AL, czy myślisz, że mogłabym cię okłamywać? Uwierz, śpiewasz przez sen. Prawdopodobnie właśnie dlatego chcę zostać twoją żoną.

— Ale jak to możliwe, że śpiewam, kiedy mam takie okropne koszmary?

— Kiedy ostatnio przyśnił ci się straszny sen?

Milknę, muszę się zastanowić. Ma rację, ostatnio nie miałem koszmarów, prawdę powiedziawszy, skończyły się właśnie wtedy, kiedy poznałem Al.

— Słuchaj, masz rację. Jesteś lepsza niż wszyscy psychiatrzy. Może naprawdę zdrowieję?

— Miejmy nadzieję, że tak jest, AL.

— Dobrze, starczy już tego gadania o marzeniach, pora wytyczyć schody do naszego domu.

Wchodzimy na drogę i krążymy przez chwilę, próbując ustalić, gdzie chcemy mieć początek schodów.

— Poprowadzimy je zygzakiem. Nie wiem, co o tym sądzisz, ale wolę zbudować kilka dodatkowych stopni, niż czuć się za każdym razem jak mucha wspinająca się po ścianie.

Kilka godzin pracy, które pozostały do końca dnia, poświęcamy na wytyczenie stopni i wyrównanie ścieżki. Biegnie ona zakosami po zboczu. Udaje mi się wykonać połowę roboty. Ja chcę pracować dalej, Al protestuje, ale postanawiam wyrównać jeszcze ostatni odcinek i dopiero wtedy zakończyć pracę.

Jest już ciemno, kiedy zjeżdżamy nad ocean. W miejscu, gdzie fale rozbijają się o brzeg, woda wydaje się fosforyzować, jak gdyby świeciła. Zatrzymuję samochód, żebyśmy mogli się temu przyjrzeć. Prawdopodobnie są to jakieś morskie żyjątka. Zapytam o to mojego wykładowcę biologii, powinien wiedzieć, co to takiego, w końcu tutaj mieszka. Nie pamiętam, by ktoś wspominał na zajęciach o tym zjawisku, a jest to coś naprawdę niezwykłego.

Zostawiamy wóz na parkingu i idziemy przez oświetlony kampus. Czujemy się tak, jak gdyby należał on tylko do nas. W pewnym sensie tak właśnie jest. Dzięki Paulowi. Po kąpieli odpoczywamy przez kilka minut w ciszy wielkiego, pustego budynku.

Później, chociaż jest już naprawdę późno, jedziemy do tej znakomitej restauracji, w której podają wyśmienite żeberka. Okazuje się, że organizują tu również potańcówki, bawimy się więc wspaniale, jedząc, tańcząc i rozmawiając o tym, co już zrobiliśmy i co jeszcze zamierzamy zrobić. Na ścianie wyświetlają slajdy przedstawiające zespoły, których utwory odtwarzane są z



plyt. Czujemy się prawie jak w Casa Mariana albo w Palladium.

Jesteśmy tak zadowoleni, że tańczymy przez cały czas. Z pomocą Al udaje mi się nawet zatańczyć jitterbuga. Prawdę powiedziawszy, to ona prowadzi, ale nie ma to żadnego znaczenia, śmiejemy się tak głośno, że nic nas nie obchodzi, czy popełniamy jakieś błędy. Al twierdzi, że tańczę coraz lepiej, ale wiem, że depczę jej wciąż po palcach. Al śpiewa razem z wokalistami, zna więcej tekstów, niż mógłbym się tego spodziewać po poważnej studentce poezji angielskiej. Wciąż mnie zaskakuje.

Wracamy do siebie na kilka minut przed północą, jesteśmy tak zmęczeni, że z trudnością pokonujemy schody na strych. Wsuwamy się do śpiworów po kilku pocałunkach na dobranoc zastanawiam się, czy rano będziemy mieli dosyć siły i energii, żeby podnieść się z łóżek. Nie miałem pojęcia, jaka silna i wytrzymała jest Al.

Budzę się dopiero o dziewiątej. Wysuwam się ze śpiwora, ubieram się i zostawiając śpiącą Al, schodzę na dół. Na korytarzu wydziału muzyki jest automat telefoniczny. Dzwonię do składu materiałów budowlanych i zamawiam kilka dodatkowych narzędzi. Dostawę ustalamy na dziesiątą rano następnego dnia. Al i ja mamy cały dzień na wycięcie reszty stopni i przygotowanie form, do których można będzie wylać beton. Kończę rozmowę i pędzę na górę, by obudzić Al, ale ona już wstała i złożyła swój materac.

—Jak ci się spało, Al? Czy jesteś tak połamana jak ja? Ledwie mogę ruszać rękoma. — Wymachuję przez chwilę ramionami, żeby to pokazać. — Dzwoniłem do Hull, jutro dostarczą beton, czeka nas więc cały dzień roboty. Najlepiej zjedźmy teraz na dół i opłuczmy się trochę przed wyjazdem.

Kupujemy po drodze pączki i butelkę mleka, do kanionu docieramy o wpół do jedenastej.

Znowu jemy pączki i pijemy je mlekiem w czasie jazdy na górę. Mamy kolejny pogodny dzień, już teraz widać, że będzie bardzo gorąco.

Od razu zabieramy się do roboty, kopujemy, ryjemy w zboczu i wyrównujemy ścieżkę. To trudna i męcząca robota, ale daje mnóstwo satysfakcji. Wreszcie kończę ostatni zyg, a może zak, który wypada dokładnie na wprost drzwi wejściowych.

Jemy w pośpiechu obiad, a potem próbujemy doprowadzić wszystko do porządku i zaczynamy przygotowywać szalunki.

W drodze powrotnej niewiele rozmawiamy. To o wiele trudniejsze, niż się tego spodziewałem. Wydaje mi się, że jesteśmy przygotowani na jutrzejszą dostawę betonu.

Budzę się przed piątą, leżę w ciszy, starając się wszystko sobie przemyśleć, nagle orientuję się, że Al także nie śpi. Przenosi się do mojego śpiwora. Przytulamy się do siebie, narzekając na popękane pęcherze, siniaki, odciski, poobcierane i bolące ciała. Masuję Al, by rozluźnić jej mięśnie, potem ona robi masaż mnie. Kiedy tak leży na wznak, przychodzi mi do głowy, że jestem już gotów, by pomyśleć o prawdziwym seksie, ale jednak chyba jeszcze na to za wcześnie.

Ubieramy się niezgrabnie, pomagając sobie nawzajem zawiązać buty, i niepewnym krokiem, ostrożnie, schodzimy na dół. Muszę przyznać, że po wczorajszej pracy z o wiele większym szacunkiem podchodzę do schodów, jaki to wspaniały sposób na dostanie się na górę, prawie równie genialny jak winda.

Docieramy na miejsce o wschodzie słońca; jest dzisiaj wyjątkowo piękny. Wszystkie sklepy po drodze były jeszcze zamknięte, nie mogliśmy więc kupić nic na śniadanie, postanawiamy więc, że będziemy pracować, aż przyjedzie beton, a zjemy coś, kiedy skończymy. Gdybyśmy tylko wiedzieli wtedy, co nas czeka!

Obchodzę wszystko, poprawiam szalunki, dobijam kilka gwoździ dla pewności, okładam je ziemią. W zasadzie mamy już ścieżkę, po której, jeśli tylko będziemy ostrożni, możemy chodzić. Co chwila spoglądam na zegarek.

Za kwadrans dziesiąta dobiega nas warkot potężnej ciężarówki wtaczającej się Fernwood Pacific. Biegniemy do wjazdu do Horseshoe Drive, żeby zobaczyć, czy nie będziemy mogli jakoś pomóc.

Kiedy dobiegamy na miejsce, betoniarka z obracającą się gruszką stoi na drodze. W szoferce siedzi dwóch ludzi. Obydwaj wyskakują z wozu i podchodzą kawałek w naszą stronę, żeby rozpatrzeć się w sytuacji. Nie wyglądają na zdenerwowanych czy złych, co najwyżej zaskoczonych. Obydwaj są młodzi, mniej więcej w moim wieku. Jeden z nich podchodzi do nas.

— Kurczę, mieliście rację, to nie lada wyzwanie. Ale spróbujemy coś zrobić. Musicie tylko trochę nam pomóc.

Kiwam głową potakująco. Al uśmiecha się. Nie wierzymy, że naprawdę im się to uda. Kierowca cofa betoniarkę do niewielkiego placzyku odległego o pięćdziesiąt metrów. Zawraca, wrzuca wsteczny i rusza tyłem ku Horseshoe Drive. Widzę, że zamierza tak wjechać na wzgórze. Przetawiałem już jeepa tak daleko, jak tylko mogłem, więc nie powinien mu za bardzo przeszkadzać.

Razem z drugim facetem staramy się prowadzić kierowcę, wskazywać mu przeszkody, których nie może zobaczyć z szoferki.

Próbujemy dwa razy, ale nie udaje mu się wyminąć wielkiej skały. Wygląda na to, że utknęliśmy. W tej samej chwili pod — jeżdżą do nas druga ciężarówka. W szoferce siedzi trzech facetów, którzy, jak się okazuje, także chcą wjechać w Horseshoe Drive. To kompletne szaleństwo. Nigdy nie było na tej drodze żadnego ruchu. Wydawało mi się, że mieszkamy na końcu świata. Myliłem się jednak. Ciężarówki stają i kierowcy zaczynają debatę. Rzeczywiście chcą wjechać w Horseshoe Drive, ponieważ rozpoczynają pracę po drugiej stronie wzgórza, ponad Fernwood Pacific Drive.

W końcu wymyślają zwiariowane rozwiązanie: kierowca betoniarki wjedzie przodem w Horseshoe Drive, a wszyscy pozostali będą siedzieć na przednim zderzaku, przyciskając przód ciężarówki do dołu, żeby nie zrobiła salta w tył jak słoń w cyrku.

Zjeżdżają na dół, do miejsca, gdzie można zawrócić, co udaje się dopiero po dłuższej chwili. Teraz betoniarka rusza w górę na pierwszym biegu.

Wszyscy w piątkę, wliczając w to Altheę, wspinamy się na zderzak i maskę betoniarki. Ciężarówka wciąż próbuje zrobić salto w tył, a przynajmniej stanąć na tylnych kołach, ale nasza waga wystarcza, by jej w tym przeszkodzić. Wydaje się, że trwa to całą wieczność, w końcu jednak mijamy najtrudniejszy odcinek i docieramy do miejsca, gdzie zwykle parkuję jeepa. Dwaj kierowcy betoniarki szybko, ale bez paniki, zakładają wąż i przygotowują się do wylania betonu.

Teraz dochodzi do najbardziej imponującej sceny. Posługując się wszystkimi dostępnymi narzędziami, zaczynamy wlewać beton w przygotowane szalunki i wyrównywać go. Wszystko dzieje się tak szybko, że nie potrafię wprost uwierzyć.

Nie wiem, co robić. Nie mam przy sobie pieniędzy ani książeczki czekowej, żeby im zapłacić. Ale to nie ma znaczenia, traktują to wszystko jak jeden wielki żart, śmieją się przy tym jak dzieci w cyrku.

W końcu betoniarka odjeżdża. Machamy im na pożegnanie. Jeden z mężczyzn opuszcza szybę w oknie i podaje mi do podpisu rachunek za beton i transport. Mówię, że zapłacę jutro w składzie.

Druga ciężarówka jedzie do końca drogi. Jeden z facetów wraca do nas, pozostali dwaj schodzą po stoku tam, gdzie droga się kończy.

Cały się trzęsę w środku. Althea stoi obok mnie. Facet ma czapkę bejsbolówkę i robocze rękawice. Podchodzi do skraju drogi i wyciera rękawice o krzaki i trawę. Spogląda w moją stronę i uśmiecha się.

— Wiecie co, może moglibyście wyświadczyć nam małą przysługę.

Tego powinienem był się spodziewać, zapłata, na którą nie będzie mnie stać.

— Robimy wykop przy Fernwood Pacific. Blisko waszego domu, ale po drugiej stronie wzgórza. — Urywa, ściąga czapkę, ociera czoło wierzchem dłoni. — Potrzebujemy jakiegoś miejsca, by zsypać ziemię. Co byście powiedzieli, gdybyśmy zrzucili ją koło waszego domku?

Wskazuję pusty teren koło domku, którego na razie nie ruszaliśmy. Tutaj właśnie zaplanowałem sobie ogródek warzywny. Nie sądzę, by ten kawałek ziemi należał do nas, ale nikt z niego nie korzysta, a warzywa nie wyrządzą nikomu wielkiej szkody. Jestem w kropce. Spoglądam na Al, która odzywa się w tej samej chwili:

— Ile miałyby być tej ziemi, to znaczy ile pełnych ciężarówek?

Facet uśmiecha się ponownie, spogląda na swoje buty, a potem na Al.

— No cóż, myślę, że parę ciężarówek, powiedzmy ze czterdzieści.

Al i ja spoglądamy po sobie. Nie mamy pojęcia, ile to mogłoby zająć miejsca. Na chwilę zapada cisza. Wreszcie ja się odzywam:

— Kiedy chcecie zacząć?

— W przyszłym tygodniu. Sądzę, że tak naprawdę będzie to wyłącznie zwietrzały granit. Dobry wypełniacz.

— Czy moglibyśmy poczekać z odpowiedzią do poniedziałku?

Al patrzy na mnie, jak gdyby chciała się upewnić, czy nie zwariowałem.

Facet spogląda na swoich dwóch kolegów, którzy właśnie wrócili i kiwają lekko głowami.

— Możemy poczekać, ale dajcie nam znać jak najszybciej.

— Dobrze, skontaktuję się z wami do piątku.

Wymieniamy uściski dłoni i odchodzą. Boję się nawet spojrzeć na Al, lecz kiedy tylko mężczyźni znikają, ona rzuca się w moje objęcia.

— Mój Boże, AL, co my z zrobimy z taką ilością ziemi? To akurat wystarczy, żeby zasypać cały nasz domek! Jestem jednak dumna z ciebie, że potrafiłeś podjąć decyzję.

— Byłem w kropce. Nie miałem możliwości, by to z tobą omówić, ale posłuchaj, co mi przyszło do głowy. Pojedźmy do Malibu, dowiedzmy się w urzędzie hrabstwa, do kogo właściwie należy ten teren, a najlepiej najpierw zajrzyjmy do biura pośrednika handlu. Może on będzie to wiedział.

## ROZDZIAŁ XVII

Następnego dnia wstępujemy do biura Hala Rolphe, gdzie uzyskujemy szczegółowe informacje na temat tego, co powinniśmy teraz zrobić. Poznajemy nawet nazwisko właściciela terenu położonego koło naszej działki, który chcemy teraz zasypać zwietrzalym granitem. To niejaka pani Saint Claire. Dostajemy także jej numer telefonu. Rolphe stwierdza z uśmiechem, że jeśli ta pani zgodzi się sprzedać swoją działkę, nie będzie musiała mu płacić za pośrednictwo. Ani ja, ani Al nie mamy pojęcia, dlaczego się uśmiecha, ale żadne z nas o to nie pyta.

Dowiadujemy się tego, kiedy telefonujemy pod wskazany numer. Odbiera starsza pani o bardzo miłym głosie, która stwierdza, że nie jest zainteresowana sprzedażą. Kupiła działkę wiele lat temu wraz ze swoim mężem i była to ich ostatnia wspólnie nabyta nieruchomość. Mąż nie żyje od siedmiu lat.

— To ostatnia rzecz, jaką posiadaliśmy wspólnie, zawsze chcieliśmy wybudować tam dom, a teraz nigdy już tego nie zrobimy.

Althea przyciska głowę do mojej, tak że wszystko słyszy. Dzwonimy z automatu przy Bank of America w Santa Monica.

Kiedy jej słucham, ogarnia mnie uczucie, że wszystko stracone. Mam zamiar zrezygnować, kiedy Althea wyjmuje mi słuchawkę z dłoni.

— Pani Saint Claire, przepraszam bardzo, że się wtrącam, ale mój mąż, AL, i ja właśnie się pobraliśmy. Zakochaliśmy się nie tylko w sobie, ale także w niewielkim nie dokończonym domku stojącym na działce przylegającej do pani działki. Staramy się go wyremontować, zrobić z niego nasze miłosne gniazdko. Bardzo pragniemy mieć także mały ogródek, a pani działka jest wręcz wymarzonym miejscem. Bylibyśmy niezwykle wdzięczni, gdyby zechciała ją nam pani sprzedać i pomogła w ten sposób urzeczywistnić nasze marzenia. Mój mąż walczył na wojnie, wiele wycierpiał. Proszę nam pomóc.

Oddaje mi słuchawkę, uśmiecha się, ale w kącikach jej oczu widzę łzy. Nie wiem, co mam robić. Czy to ta sama Althea, którą pokochałem? Wiem, że powinienem coś powiedzieć, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Pani Saint Claire odzywa się po dłuższej chwili.

— Wydaje mi się, że mogłabym ją sprzedać, ale chciałabym was poznać. Wiem, że mój mąż by się ze mną zgodził. Jeśli przyjedziecie do mnie, będziemy mogli o wszystkim porozmawiać. Nie mogę już sama prowadzić samochodu, ale mieszkam niedaleko, w Santa Monica. Szósta Ulica 329 mieszkanie C. Czy możecie przyjechać jeszcze dzisiaj rano?

Wszystko dzieje się tak szybko, że nie wspomniałem jeszcze nawet, ba, nawet nie pomyślałem o cenie. Stoję więc bez słowa i spoglądam bezradnie na Altheę, która uśmiecha się i wyjmuje mi słuchawkę z ręki.

— Dziękujemy, pani Saint Claire. Będziemy u pani za dziesięć minut, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Uśmiecha się ponownie, tym razem nie do mnie, odkłada słuchawkę i rzuca się w moje objęcia.

— Przepraszam za to wszystko, AL. Wiem, że nie chcesz niczego zawdzięczać wojsku, ale ogarnęła mnie rozpacz. Naprawdę chcę mieć dom, który sobie wymarzyłeś, z królikami, kozami i warzywami. Nagle zobaczyłam, jak wszystko to się rozmywa i ogarnęła mnie rozpacz. — Patrzy mi w oczy. — Wszystko w porządku, AL?

Czuję, że chce mi się płakać. Nie wiedziałem, że Althea zdolna jest do tak impulsywnego zachowania.

— Jezu, Al, nie wiem nawet, ile może kosztować taka działka. A nawet gdybyśmy to wiedzieli, nie mamy zbyt wiele pieniędzy. Jak mielibyśmy za nią zapłacić?

— Twierdziłeś, że możesz dostać następny kredyt w ramach paragrafu szesnastego. Mógłbyś go teraz wziąć?

Zrobię wszystko, byśmy mieli nasz dom, nawet gdybym miał trafić do więzienia za długi. Jestem chyba w szoku.

— Chodź, AL. Znajdźmy jej mieszkanie. Kiedy dowiemy się, jaka jest cena, będziemy mieli prawdziwy powód do zmartwień, wszystko po kolei.

Wsiadamy do jeepa. Od domu pani Saint Claire dzielą nas zaledwie trzy przecznice. Althea znajduje nawet wolne miejsce do parkowania. Stanowczo nie czuję się najlepiej. Ogarnia mnie poczucie zagrożenia, które opanowywało mnie niekiedy w czasie walki. Biorę kilka głębokich wdechów, jak zalecał doktor Weiss.

Znajdujemy budynek, potem mieszkanie, dzwoniemy do drzwi. Po dwóch dzwonek słyszymy jakiś głos i drzwi uchylają się odrobinę. Przygląda nam się elegancka starsza pani. Zwalnia łańcuch i otwiera drzwi na całą szerokość. Wchodzimy do środka — Al pierwsza — i wymieniamy uścisk dłoni. Gospodyni wprowadza nas do schludnego, czystego, niewielkiego pokoju i wskazuje kanapę stojącą koło stolika do kawy.

— Zadzwoiłam do pana Rolphe, który zajmuje się również moimi sprawami. To znacznie wszystko ułatwia. To chyba niezbyt odpowiedni sposób załatwiania interesów, aleja nie jestem człowiekiem interesów. Czy moglibyście opowiedzieć mi coś o sobie? Wiem, że to nie moja sprawa, ale chciałabym coś o was wiedzieć. Często jeździłam na Horseshoe Drive po śmierci męża i obserwowałam tę młodą parę, która starała się wybudować sobie dom. To było takie smutne. Nawet ja widziałam wyraźnie, że robią wszystko na opak, ale kiedy się tam zjawiałam, prawie nigdy ich nie było i nie miałam okazji z nimi porozmawiać.

Al zaczyna opowiadać, mówi o tym, że jestem malarzem, że oboje studiujemy na UCLA, i o tym, że mieszkamy w kampusie, na szczęście nie wspomina, że na strychu Moore Hall. Opowiada, jak się poznaliśmy, o ping-pongu, moim fatalnym tańcu, o tym, jak za spóźnianie dostała szlaban w akademiku. Pani Saint Claire kiwa głową i uśmiecha się. Nigdy nie widziałem Al tak podekscytowanej, tak ożywionej.

Siedzimy zawstydzeni intymnością tej sytuacji. W końcu Connie, bo tak ma na imię pani Saint Claire, mówi:

— No cóż, Altheo, wydaje mi się, że znalazłaś sobie miłego męża i z przyjemnością sprzedam wam swoją działkę. Ile chcecie za nią zapłacić?

Althea spogląda na mnie. Dochodzę do wniosku, że skoro mówiliśmy tak otwarcie o wszystkim, w tej sprawie również powinniśmy być szczerzy.

— Pani Saint Claire, trudno podać cenę czegoś, co jest dla nas tak bardzo wartościowe. Możemy pani zapłacić jedynie w ratach, będziemy musieli wystąpić o pożyczkę dla weteranów, ale jestem pewien, że uda nam się ją uzyskać. Nie znamy rozmiarów pani działki, szczerze mówiąc, nie wiemy nawet, gdzie kończy się nasz teren, a zaczyna pani.

— AL, powinnam chyba powiedzieć ci, że wasz domek został częściowo wzniesiony na naszej działce, męża i mojej. Mówiłam o tym panu Rolphe, ale pewnie zapomniał. Nie ustaliliśmy oficjalnie granic. Przed wojną wszystkie takie sprawy załatwiano w niezbyt formalny sposób. Nie ma to jednak dla nas znaczenia. Chodzi pewnie zaledwie o metr. Nasza działka obejmuje teren o rozmiarach piętnaście metrów wszerz na sześćdziesiąt metrów wzdłuż. Wasza działka jest w przybliżeniu taka sama.

Przerywa jej gwizdek czajnika.

— Wybaczcie mi na chwilę, przygotuję herbatę. Macie ochotę? Oboje potakujemy. Althea

podrywa się i idzie do kuchni, by pomóc pani Saint Claire. Ja zapadam się głębiej w kanapę. Wkrótce wracają z herbatą i talerzykiem herbatników. Siadają, Althea nalewa herbatę, pani Saint Claire najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu. Pociągam łyk herbaty, jest gorąca i pachnie różami. Dłoń pani Saint Claire drży lekko, kiedy sięga po swoją filiżankę.

— No cóż, w takim razie sprzedam wam ją za taką samą cenę, jaką zapłaciliśmy za nią ponad dziesięć lat temu, za pięćset dolarów. Nie wiem, czy ceny w tym czasie się zmieniły, czy też pozostały na tym samym poziomie, nie ma to dla mnie znaczenia. Możecie zapłacić od razu albo w ratach po pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Opłacę honorarium pana Rolphe, i tak nie będzie to zbyt duża suma.

Nie mogę w to uwierzyć. Będziemy mieli dwa razy więcej ziemi! Spróbuję wziąć pożyczkę na cztery tysiące dolarów z kredytów dla weteranów, to powinno wystarczyć na założenie szamba, doprowadzenie wody, naprawę dachu, a może nawet na zainstalowanie toalety. Widzę, że Althea myśli o tym samym.

Odstawia filiżankę i podchodzi do pani Saint Claire, pochyla się i całuje ją. Pani Saint Claire również odstawia swoją filiżankę. Podchodzę do niej i biorę jej dłonie w swoje.

— Dziękujemy bardzo. Nie wiem, czy potrafię wyrazić, jak bardzo jesteśmy pani wdzięczni. Co mamy teraz zrobić?

— Po waszym telefonie zadzwoniłam do pana Rolphe'a i do mojego adwokata. Nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów. Adwokat powiedział, jak mam wypisać pełnomocnictwo, które mam tutaj, już je podpisałam. Możecie teraz pojechać do pana Rolphe'a, podpisać dokumenty i działka należy do was.

Althea i ja puszczamy się w tany, nasz wielki problem, problem czterdziestu ciężarówek ziemi został rozwiązany. Musimy teraz tylko porozmawiać z facetami od buldożera.

Bierzemy od pani Saint Claire pełnomocnictwo, ona zaś życzy nam szczęścia i żebyśmy nigdy nie zapomnieli, że kiedyś byliśmy młodzi. Mówi nam, gdzie powinniśmy zarejestrować nasz zakup, chociaż sądzi, że może się tym zająć pośrednik handlu nieruchomościami, powinien przecież coś zrobić za te swoje pięć procent.

Jedziemy do biura przy Fernwood Pacific. Gotujemy się aż z podniecenia. Pan Rolphe siedzi za biurkiem.

— A więc udało wam się. Naprawdę zgodziła się sprzedać ten splechetek nieużytku. Od lat próbowałam ją do tego namówić. Moje gratulacje.

Podaję mu pełnomocnictwo. Czyta je uważnie.

— To powinno wystarczyć.

Wyciąga następną umowę sprzedaży i wypełnia formularz. Pokazuje nam, gdzie mamy podpisać.

— Będziemy płacić w ratach, panie Rolphe. Pani Saint Claire się zgodziła.

— Nie powinniśmy mieć z tym żadnych kłopotów. Dopracuję szczegóły. Atak przy okazji, co zamierzacie zrobić z tym kawałkiem ziemi? Jest przecież okropnie mały.

— Jest taki sam, jak ten, który sprzedał nam pan wcześniej.

— Tak, ale tam przynajmniej stał dom.

Podczas naszej rozmowy wypełnia dokument sprzedaży. Składa jeden egzemplarz i wsuwa go do koperty, po czym podaje ją mnie.

— Zarejestruję zmianę właściciela w przyszłym tygodniu, kiedy pojedę do Malibu. Czy moglibyście mi jednak powiedzieć, co zamierzacie zrobić z tą działką?

Spoglądam na Al, która uśmiecha się i odpowiada:

— Zamierzamy zbudować zagrodę dla kóz, studio dla mojego męża, będziemy też sadzić tam warzywa. Takie mamy przynajmniej plany w tej chwili.

— Naprawdę jesteście szaleni. Czy macie zezwolenie na zabudowę tego terenu? Jak zamierzacie doprowadzić wodę?

— Poradzimy sobie z tym wszystkim, kiedy przyjdzie czas. Al zachowuje się dość agresywnie. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale ja czuję podobnie. Wkraczam jednak, by rozładować sytuację.

— Faceci, którzy przygotowują teren pod budowę domu na Fernwood, zaproponowali nam ziemię z wykopu. Usypimy ją na działce, którą właśnie kupiliśmy, zanim zabierzemy się do dalszej pracy.

Pan Rolphe rozsiada się wygodniej na krześle. Z namaszczeniem zapala papierosa.

— Znam tych facetów, nie jestem wcale pewien, czy oni mają zezwolenie, ale to nie moja sprawa. Uważajcie tylko, żeby nie narobili wam kłopotów. Myślę, że nic nie powinno wynikać z tego, że zsypią tę ziemię na waszej działce, ale upewnijcie się, że będą ją zrzucać tam, gdzie chcecie, i pilnujcie ich. Mają stary, poobijany spychacz i dwie ciężarówki. Pracują ciężko i szybko, ale zmuscie ich, by trzymali się jakiegoś rozkładu, i upewnijcie się najpierw, że wiecie, czego chcecie, a oni zgadzają się na to, co sobie zaplanowaliście.

Wydmuchuje dym pod sufit jak kowboj i wstaje. My również wstajemy. Chcę już stąd wyjść. Zarówno Althea, jak i ja nie cierpimy dymu tytoniowego.

Dobrze jest znaleźć się znów na powietrzu. Minęła już pora obiadu, a nie zjedliśmy dzisiaj jeszcze nic oprócz ciasteczek podanych u Saint Claire. Idziemy do składu materiałów budowlanych, musimy kupić gwoździe i jeszcze jeden szpadel. Będę musiał szybko załatwić sprawę z doradcą weteranów i bankiem. Liczę jednak, że wystarczy nam pieniędzy, by kupić coś do jedzenia.

Kiedy docieramy do domu, sprawdzamy beton. Nie zastygł jeszcze całkowicie, ale zachowując pewną ostrożność, możemy już zejść na dół po schodkach. Oboje jesteśmy pod wrażeniem. Trudno wprost uwierzyć, że nam się to udało. Wiemy dobrze, że nie byłoby to możliwe, gdybyśmy musieli wszystko zrobić sami. Porwaliśmy się na zadanie, które nas przerastało, ale trafiła nam się do pomocy cała ekipa, która wykazała się talentem i szaleńczym tempem pracy. Powinniśmy byli przynajmniej kupić im skrzynkę piwa.

Jest już trzecia po południu. Do tej pory dzień był raczej mglisty, teraz jednak mgła zaczyna się podnosić, spoglądamy przez okno na dolinę. Na naszym zaimprovizowanym stole rozkładamy obiad. Oboje jesteśmy wyczerpani, raczej z nerwów niż z wysiłku, nie dojadamy nawet obiadu, tylko padamy na zakurzone łóżko i zapadamy w sen.

Kiedy się budzimy, zapada już zmierzch, oboje jesteśmy jak pijani. Al budzi się pierwsza i trąca mnie lekko w ramię. Nie wiem sam dlaczego, ale przestraszyło mnie to, siadam więc pospiesznie na skraju łóżka.

— AL, co się stało?

— Nic. Spałem głęboko i kiedy obudziłem się tak niespodziewanie, nie wiedziałem, gdzie jestem. Wszystko w porządku. Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem.

Kładę się z powrotem na łóżku i wysuwam nogi spod kołdry. Spoglądam na zegarek. Jest wpół do dziewiątej wieczór. Kiwam głową. Nie śniły mi się żadne koszmary, ale wciąż drzę na całym ciele. Próbuję ukryć to przed Al, odsuwam się od niej i wstaję. Przeciagam się, stopniowo dochodzę do siebie.

— Kurczę, AL, naprawdę mnie wystraszyłeś. Często się tak budzisz? Miałeś złe sny?

Nie wiem, od czego zacząć. Wiem, że jestem winien Al jakieś wyjaśnienie, choć sam sobie niczego nie potrafię wytłumaczyć.

— Nie, nie miałem złych snów, a przynajmniej nic takiego nie pamiętam, wiesz jednak, jak to czasami jest ze snami, kiedy się budzisz, znikają tak szybko, że nie można ich zapamiętać. Ale

często się tak budzę, Al, zwłaszcza kiedy śpię w nowym miejscu. Musisz pamiętać, że w środku wciąż jeszcze nie doprowadziłem się do porządku, może nigdy mi się to nie uda. Mówiłem ci już o tym. Jestem z tobą szczęśliwy, zwłaszcza odkąd zamieszkaliśmy na strychu, czuję się tam bezpieczny, nabrałem wiary w życie, w nasze życie. A jednak kiedy obudziłem się w mroku, w naszym domu, poczułem się samotny, powrócił dawny lęk. Nie boję się niczego konkretnego. Ten lęk wciąż czyha, czeka na okazję, by uderzyć, a dzisiejszy dzień sprawił, że poczułem się niepewnie i nie byłem w stanie dać sobie z nim rady. Rozumiesz?

— Nie do końca, ale wiem, że jesteś wobec mnie szczery. Z pewnością takie lęki muszą utrudniać ci życie, AL. Jestem jednak pewna, że wspólnie uda nam się przepędzić twoje demony, będziemy tylko musieli się tym zająć.

Wciąż nie jestem przekonany. Spoglądam na zegarek, jest wpół do dziewiątej. W domu jest już zupełnie ciemno, a nie mamy tutaj światek. To następna rzecz, o której powinienem pamiętać.

Ścielimy łóżko, na ile jest to możliwe w ciemnościach, a potem, sprawdzając najpierw twardość betonu, ostrożnie wchodzimy po schodkach. Przychodzi mi na myśl wieża Babel. Mam nadzieję, że budowa tych schodów do naszego nieba nie popsuje porozumienia, jakie panuje między nami.

Ruch na drodze jest dość duży, ale kiedy mogę, zjeżdżam na pobocze, by przepuszczać tych, którzy się spieszą. Niewiele dzisiaj zrobiliśmy, ale bardzo potrzebowaliśmy odpoczynku. Po drodze wступujemy do znajomej meksykańskiej restauracji, zamawiamy *guacamole* i jemy jedną porcję na dwoje, do tego chipsy. Nie czujemy głodu, pewnie to działanie adrenaliny. Myślę, że jutro uda mi się skontaktować z facetem, który zaproponował nam ziemię.

Wszystko udaje się tak, jak chciałem. Al i ja jesteśmy wręcz zaskoczeni, kiedy następnego dnia natrafiamy na dwie ciężarówki i spychacz zaparkowane przy wjeździe do Horseshoe Drive. Nie miałem pojęcia, że będą naciskać tak bezpośrednio. Trzej faceci wysiadają ze swoich pojazdów i ruszają w stronę Motylka.

Nie wiem, od czego zacząć, ale facet mnie wyręcza.

— A zatem, co postanowiliście? Za jakieś piętnaście minut zabieramy się do kopania. Bałem się już, że nie przyjedziecie. Umowa stoi?

— Musiałem kupić ten kawałek ziemi obok naszej działki, żebyście mieli gdzie zsypać ziemię. Znalezienie właścicielki i dogranie sprawy zajęło trochę czasu, ale wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Gdzie konkretnie chcesz zrzucić ziemię i jak długo to potrwa?

Uśmiecha się i kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Jesteś w porządku. Mówiłem chłopakom, że na pewno się zgodzisz. Nie wierzyli mi. Ale może najpierw przejechalibyśmy się wszyscy na miejsce, żebym mógł pokazać wam, co właściwie mamy zrobić, a potem pokażecie, co chcielibyście zrobić z ziemią.

Althea siedzi obok mnie, więc dwóch facetów wskakuje na tył jeepa. Trzeci zostaje, żeby pilnować spychacza i ciężarówek. Odbijam od Fernwood Pacific i ruszam pod górkę. Dwieście metrów od drogi facet wskazuje miejsce na poboczu, gdzie mogę zaparkować. Po drugiej stronie znajdują się zjazdy w drogę, o której istnieniu nie miałem nawet pojęcia, która schodzi prosto w dół, nazywa się Sisco. Opada tak stromo, że z Fernwood Pacific prawie wcale jej nie widać. Wszyscy wysiadamy z jeepa.

Wspinamy się na strome zbocze po prawej stronie drogi w kierunku Horseshoe Drive. Nie jest tak strome jak to, na którym stoi nasz dom. W ziemię wbite są drewniane paliki, na których końcach zawiązano czerwone szmatki. Wspinamy się prawie do szczytu, gdzie mieści się placyk zamykający Horseshoe Drive. Facet zatrzymuje się. Brakuje mi tchu, takie tempo narzucił, ale jemu to najwyraźniej nie przeszkadza. Wydaje mi się, że ma około trzydziestki, ale jest tak pełen życia, że czuję się przy nim staro.



— Widzisz, AL, chcemy wciąć się w to zbocze, tak aby około dziesięciu metrów poniżej waszej drogi uzyskać płaską powierzchnię wytyczoną tymi palikami. W ten sposób przygotowujemy plac budowy.

Na pewno wywiezie stąd co najmniej czterdzieści ciężarówek ziemi, jeśli zamierza naprawę wyciąć taki kawał wzgórza. Mam nadzieję, że wie, co robi, i wszystko to nie zsunie się później na Fernwood.

— Masz coś przeciwko temu?

Nie mam, ale wspominam o możliwości obsunięcia się ziemi na Fernwood Pacific. Facet uśmiecha się.

— Właściciele mówią, że postawią zaporę ochronną w dolnej części działki. Twierdzą, że mają na to zezwolenie. To jednak nie mój problem, wam nie stanie się krzywda niezależnie od wszystkiego, co może się tu wydarzyć. Ja wykopię, gdzie mi każą, wywozę ziemię i zsypię ją na waszej działce, a potem mogą sobie robić, co im się podoba. Twierdzą, że mają już architekta i ekipę budowlaną, która zajmie się resztą, nie powinniśmy więc się przejmować. Przejdźmy się kawałek, rozejrzyjmy się w sytuacji.

Schodzimy ze wzgórza do drogi. Althea spogląda na mnie ze zmartwioną miną. Wiem, że na mojej twarzy również odbija się niepokój.

Kiedy wracamy do wjazdu w Horseshoe, okazuje się, że kierowca spychacza zdążył już przestawić ciężarówkę i spychacz tak, że możemy je wyminąć. Facet przedstawił się jako Steve Herman. Nie dostyszałem imienia drugiego. Mówię, że ja nazywam się AL, i przedstawiam Altheę. Bardziej jednak martwię się tym, co zamierzamy zrobić, niż grzecznościami. Myślę o ostrzeżeniach Hala Rolphe, teraz jednak trochę już na to za późno.

— Parkujemy jeepa tam, gdzie zwykle, a potem schodzimy na działkę, którą właśnie kupiliśmy od pani Saint Claire. Odmierzam piętnaście kroków wzdłuż drogi. Kiedy zatrzymuję się, spoglądam w kierunku domu. Pan Herman trzyma w ręku mały niebieski notes i dokonuje w nim jakichś obliczeń. Z kieszeni wyciąga miarę. Zapisuje coś w notesie i spogląda w moją stronę.

— Na tym wzgórzu możemy spokojnie zrzucić dwieście metrów sześciennych ziemi. Powstanie jednak spora piramida obok waszego domu. — Spogląda na mnie, żeby przekonać się, jak na to zareaguję. — Ale mamy spychacz i możemy tę ziemię rozprowadzić, uklepać i uzyskać w ten sposób płaski teren. Będzie to głównie zwietrzały granit, nie będziecie więc mogli i na nim nic wybudować, ale da się go porządnie ubić. Dla pewności przejadę po tym kilka razy spychaczem. Nie mam ubijarki, ale to powinno wystarczyć.

Czuję, że wpakowałem się w coś, nad czym nie mogę już zapanować, ale sama myśl, że możemy uzyskać kolejny kawałek płaskiego terenu wydaje mi się fascynująca.

— Ile nas to będzie kosztować? Nie mamy zbyt dużo pieniędzy. Będę teraz musiał załatwić pożyczkę, żeby zapłacić za tę działkę, a potem muszę jeszcze założyć szambo i jakoś doprowadzić tutaj elektryczność.

— Słuchaj, AL, nie będziesz musiał nic płacić za wyrównywanie terenu, jeśli pozwolisz mi zostawić tutaj spychacz. W przyszły poniedziałek zabieramy się do następnej roboty, a przewiezienie spychacza do bazy i z powrotem na wzgórze byłoby tylko kłopotem, poza tym nie mam ochoty ponosić związanych z tym kosztów i tracić czasu.

— Chcesz powiedzieć, że wyrównasz nam teren za darmo, tylko za to, że pozwolimy ci zostawić tutaj spychacz na parę dni?

— Dokładnie tak. Z mojego punktu widzenia to bardzo rozsądna propozycja.

Kręci mi się w głowie. W jednej chwili pojawia się tyle pomysłów!

— Mam pewien pomysł, Steve. Gdybym wykopał dół, umieścił w nim szambo, a potem ułożył drenaż, czy mógłbyś to zasypać i wyrównać? Miałbyś coś przeciwko temu?

— Nie potrzebujecie zezwolenia na budowę szamba?

— A miałbyś jakieś kłopoty, gdybyśmy go nie mieli? Biorę całą odpowiedzialność na siebie. Zgadzasz się?

— Wy, ludzie z Topangi, wszyscy macie zwariowane pomysły, ale to chyba najbardziej zwariowany, o jakim słyszałem. Zapłacisz dziesięć dolarów za każdą dodatkową godzinę pracy, nic więcej. Lepiej zabierzmy się do tego szybko. Inspektor budowlany ma obejrzeć teren, który przygotowujemy pod budowę na drugiej stronie wzgórza. Nie podejrzewam, by miał ochotę tutaj węszyć, ale nigdy nic nie wiadomo. Pamiętaj, że bierzesz na siebie całą odpowiedzialność. A tak przy okazji, u Searsa można kupić okrągłe plastikowe zbiorniki. Widziałem takie ostatnio. To powinno rozwiązać wasze problemy. Ułóżcie tylko dreny na głębokości trzydziestu centymetrów, w trzech rzędach i dajcie pięciocentymetrowe odstępki. To powinno wystarczyć. Ale zróbcie to szybko. Kupcie dreny już dzisiaj, żeby dostarczyli je na jutro, a potem zabierajcie się od razu do roboty, żeby je schować. Później wykopcie dół pod szambo, załatwcie ekspresową dostawę, wsadźcie zbiornik do dziury, zasłońcie na razie brezentem i zacznijcie się modlić. Za parę tygodni, kiedy już stąd znikniemy, możecie go podłączyć, napełnić wodą i odrobiną jogurtu czy jakąś pożywką dla bakterii zakryć i wszystko powinno być w porządku. Nie mówcie tylko nikomu, co robicie, a już zwłaszcza Halowi Rolphe, bo możecie wpaść w niezłe kłopoty. Moi chłopcy domyśla się wszystkiego, ale nie puszczą pary z gęby. Rozumiemy się?

Wymieniamy uścisk dłoni, stojąc na skraju drogi. Podrzucam ich kawałek, a potem pędzimy do Searsa w Santa Monica. Zgadza się, mają tu plastikowe szamba, wyglądają jak pojazdy kosmiczne z filmów science fiction. Znajdujemy ekspedienta, szamba sprzedawane są w dziale armatury i młody człowiek wie chyba więcej o kranach i zlewach, ale w końcu udaje mu się ustalić cenę i warunki transportu do naszego domu w Topanga Canyon. Szambo kosztuje dwieście dolarów, instrukcję obsługi dostaniemy razem z dostawą, która ma nastąpić w poniedziałek.

Jemy szybki obiad, po dwa *tacos* na głowę, a potem jedziemy do składu materiałów budowlanych, żeby zamówić dreny. Wyliczyłem sobie, że aby uzyskać niezbędną różnicę poziomów, będziemy potrzebować około stu drenów. Nie możemy załatwić dostawy na dzisiaj, kupujemy więc na razie pięćdziesiątkę i ładujemy na jeepa. Następne pięćdziesiąt ma do nas trafić jutro. Płacę czekiem. Podpisuję go, a kasjer przyjmuje bez żadnych pytań. Nie przywykłem jeszcze do tego, jak łatwo jest wydawać pieniądze.

Teraz jedziemy do banku w Santa Monica. Zamykają o trzeciej, docieramy na miejsce w ostatniej chwili. Wyjaśniam, że chcę wziąć następną pożyczkę w wysokości czterech tysięcy dolarów, pokazuję im moją legitymację stwierdzającą, że obejmuje mnie paragraf szesnasty, i małą kopię świadectwa przejścia do cywila. Po kilku telefonach do działu do spraw weteranów w UCLA ustalamy zasady płatności. Młoda urzędniczka zapewnia mnie, że za dwa dni będę mógł korzystać z kredytu i posługiwać się czekami. Twierdzi, że nie powinienem mieć z tym żadnych kłopotów. Zaskakujące, jak łatwo wyciągnąć pieniądze z banku, jeśli tylko uda się go przekonać, że ma się bogatego wujka, Wujka Sama. Około trzeciej ruszamy w stronę słonecznych wzgórz Topangi.

Już z daleka słyszemy warkot silników ciężarówek i spychacza. Kiedy dojeżdżamy, widzimy, że ciężarówki przewiozły już spory stos ziemi, który usypują prosto z drogi koło naszego domu. Chcę jak najszybciej wyładować dreny, wyskakujemy więc z wozu i od razu zabieramy się do roboty. Nie powinniśmy chyba nikomu przeszkadzać.

Przez cały czas ciężarówki zwożą ziemię na naszą działkę. Mężczyźni rozprowadzają ją łopatami. Ja i Althea przyłączamy się do nich.

Następnego dnia powtarza się to samo. Wieczorem koło naszego domku wznosi się prawdziwa piramida, a my dosłownie lecimy z nóg.

Steve chyba widzi, że padamy już ze zmęczenia, ale kiedy kończymy rozprowadzać ziemię z ostatniej ciężarówki, słyszymy warkot silnika spychacza. Padamy tam, gdzie stoimy.

Jest już prawie ciemno, kiedy Steve parkuje spychacz na naszej działce, a potem wyskakuje na stos ziemi. Podchodzi do nas jak gladiator, który chce zadać „cios łaski” swoim ofiarom. Ja gotów już jestem na śmierć, myślę, że Al też. Steve staje nad naszymi, prawie martwymi ciałami.

— No cóż, muszę wam pogratulować. Nasza ekipa jest naprawdę pod wielkim wrażeniem, że zostaliście do końca. Zakładali się, które z was zrezygnuje pierwsze, ale obydwaj przegrali.

— Steve, uczciwie mówiąc, skończyliście robotę w ostatniej chwili. Zawsze pracujecie tak ciężko?

Z góry dobiega mnie odgłos kroków, widzę, że pozostali faceci schodzą po stoku ku nam. Wszyscy zbieramy się na szczycie piramidy.

— Ile ziemi przewieźliście dzisiaj po południu, Steve?

— Jak pamiętacie, obliczałem, że będzie tego ponad czterdzieści ciężarówek. Okazało się, że było ich ponad pięćdziesiąt. Czy ja jestem wam winien za dodatkową ziemię, czy wy mnie?

Jego kumple wybuchają śmiechem. Gdybym miał dość sił, śmiałybym się razem z nimi.

Steve chodzi po usypanej piramidzie, która teraz nieco spłaszczona wygląda jak potężna mastaba.

— Przepraszam, ale nie możemy skończyć dzisiaj roboty, już za ciemno, a niebezpiecznie jest pracować po ciemku takim dużym sprzętem. Miałem nadzieję, że zdążę jeszcze splantować ten kawałek, ale coś mi mówi, że najwyższa pora na fajrant. Przyjadę jutro wcześniej rano i zabiorę się do roboty. AL, możesz tu być o ósmej? Jeśli zabierzemy się wspólnie do pracy, powinniśmy przygotować teren do kopania rowów i układania drenów. Potem możesz zacząć kopać dół pod szambo.

Kiwam głową, chociaż wcale nie jestem pewien, czy naprawdę będę w stanie obudzić się i zabrać do pracy tak wcześnie. Będę też musiał opuścić kilka zajęć. A przede wszystkim wszystko zależy od tego, czy zbiornik dotrze na czas. Znowu czuję, że ogarnia mnie panika.

Steve ustawia spychacz i wyłącza silnik. Cisza jest wprost rozkoszna. Jestem zaskoczony, że bębniaki nie popękały mi w uszach, przez cały dzień pracowałem wśród ryku silników.

Steve i jego ludzie odjeżdżają. My także wyruszamy w drogę powrotną.

Na parkingu siedzimy przez chwilę w Motylku. Dopiero teraz widzę, że wszystkie kokony popękały, a motyle odleciały. Byłem tak bardzo zajęty, że nie zwróciłem na to uwagi. Teraz dopiero dociera do mnie, jak wielką część naszego życia pochłania, zwłaszcza ostatnio, praca przy domu. Ferie wielkanocne zdecydowanie nie były dla nas okresem odpoczynku.

Z wysiłkiem docieramy na nasz strych. Nikt nawet nie wspomina o jedzeniu, ale niezmiernie Althea odzywa się po chwili:

— AL, pojedę z tobą jutro. Mogę opuścić zajęcia z komparatystyki angielskiej i wychowanie fizyczne, tego ostatniego na pewno mi już nie brakuje.

Zasypiamy wśród chichotów.

\* \* \*

Jakoś udaje nam się obudzić o siódmej rano. Nastawiłem co prawda swój budzik, ale albo on nie zadzwonił, albo ja go nie usłyszałem. O siódmej zapalam światło i próbuję się podnieść, ale z ledwością mogę się poruszyć. Spoglądam na Al, która także próbuje się zwlec z materaca.

— Nie musisz ze mną jechać, Al. Już i tak za dużo się napracowałaś. Nasz dom wytrzyma

jakoś jeden dzień bez ciebie. Jesteś mi bardziej potrzebna niż dom.

— AL, przestań. Komparatystyka to nudziarstwo, a wiesz, że przed ćwiczeniami fizycznymi i tak dzisiaj nie ucieknę. No, ruszajmy.

Kiedy docieramy na miejsce, piramida wydaje mi się jeszcze większa niż wczoraj. Steve już na nas czeka, właśnie wlewa paliwo do baku spychacza. Podchodzi do nas.

— Proszę, proszę, prosiłem o jednego pomocnika, a dostałem dwóch. Możemy brać się do roboty.

— Chociaż jest nas dwoje, sił mamy tyle co jedno, Steve. Jeszcze wszystko nas boli po wczorajszym. Nie wiem, jak tobie udaje się pracować tak codziennie.

— Ja siedzę tylko za kierownicą spychacza. Tak naprawdę nie pracuję ciężiej niż ty, kiedy kierujesz swoim jeepem. Tak zarabiam na życie.

Wyciągam plan, na którym rozrysowałem, co i gdzie chciałbym mieć. Steve przygląda mu się przez krótką chwilę.

— Tak, sam czegoś takiego się spodziewałem. Z pomocą Bessy powinniśmy uklepać tę piramidę do oczekiwanych rozmiarów. Niewiele możecie zrobić, dopóki nie rzucę trochę ziemi i nie wyrównam terenu. Jedliście śniadanie? Chciałem sam kupić coś do jedzenia, ale zupełnie o tym zapomniałem. Może któreś z was skoczy na dół po coś do zjedzenia i trochę kawy?

— Pojadę i zobaczę, co uda mi się załatwić. Al zostanie tutaj, przyniesie ci wszystko, czego będziesz potrzebował, kiedy mnie nie będzie.

— A może to ona pojechałaby na zakupy, a ty tu zostałbyś? Mogę potrzebować twojej pomocy.

— Al nie potrafi prowadzić, więc to ja muszę jechać.

— Właściwie które z was ma tu na imię Al? Nic już z tego nie rozumiem.

— Oboje mamy na imię Al. Ona jest Al i ja jestem AL, ale możesz mówić do Al Altheo, jeśli masz ochotę.

Kiwa głową i włącza silnik.

— Wygląda mi na to, że lubicie sobie utrudniać życie.

Jadę do sklepu spożywczego i kupuję gotowe kanapki. Pytam o kawiarnię albo jakieś miejsce, gdzie mógłbym kupić kawę.

Sprzedawca wie, że jestem tu nowy.

Odprowadza mnie do drzwi i wskazuje Topanga Road, prowadzącą w przeciwną stronę niż ocean i Santa Monica.

— Jedź tą drogą prosto do stacji benzynowej Chevron po prawej stronie i skręć w lewo, to jest Stary Kanion. Po lewej stronie zobaczysz wagon kolejowy ustawiony nad strumieniem mniej więcej sto metrów od zakrętu. Możesz się tam zatrzymać koło małego sklepiku, który na pewno zauważysz. Nie mają żadnej wywieszki, ale i tak znajdziesz.

Jadę we wskazanym kierunku i rzeczywiście trafiam na wagon. Obok wejścia stoi mała, zbita z desek budka, rzeczywiście, bez żadnej wywieszki. Pukam i wchodzę do środka. Widzę dwa tuziny pączków i dzbanek z gorącą kawą ustawiony na elektrycznej kuchence. Zapach kawy wypełnia całe pomieszczenie. Bardzo pulchna kobieta siedzi za prostą drewnianą ladą. Odkłada jakąś robótkę i wstaje.

Przypominam sobie, że nie mam termosu ani żadnego naczynia, w którym mógłbym przewieźć kawę.

Po krótkiej wymianie zdań miła sprzedawczyni pożycza mi swój termos. Wyciągam z kieszeni trzy pogniecione banknoty dolarowe i wręczam jej, a ona dokłada mi jeszcze kilka pączków. Żegna mnie i przypomina, że bym oddał termos.

Spychacz słyszę już z Fernwood Pacific. Mam nadzieję, że Al potrafiła pomóc Steve'owi.

Kiedy schodzę na miejsce, nie mogę wprost uwierzyć własnym oczom. Cała ziemia jest rozrzucana, teren wyrównany. Martwię się, czy nie wjechał przypadkiem na sąsiednią parcelę. Co za smutas ze mnie.

Steve wyłącza silnik spychacza, a Al wychodzi mi na powitanie. Widzę, że jest zarumieniona. W pierwszej chwili wydaje mi się, że to od pracy, ale jest po prostu podekscytowana.

— Popatrz tylko, AL! Spodziewałeś się czegoś takiego? Moglibyśmy sobie teraz zrobić tutaj małe boisko do baseballu.

Steve wysiada ze spychacza i rusza w naszą stronę. Uśmiecha się, wygląda na to, że jest zadowolony ze swojej roboty. Podaję mu termos, otwieram torbę, z której wyciągam kanapki i pączki. Steve i Al biorą sobie po kanapce, ja chwytam pączka.

— No i co, szefie? Co sądzisz o naszym lotniskowcu? Można by tu wylądować śmigłowcem.

Nalewa kawy, po obłoczku pary poznaję, że jest wciąż gorąca. Podaje kubek Althei.

— Nie, dzięki, Steve. Nie piję kawy, zresztą sam jej zapach za bardzo mnie podnieca.

Steve podaje mi kubek. Pociągam kilka łyków i oddaję kubek Steve'owi.

— Przepraszam, Steve, zapomniałem kupić cukier. Rzadko pijam kawę.

— Nie szkodzi. Kawę piję zawsze bez cukru, zabija jej smak. Po posiłku wracamy do pracy.

Wyznaczamy miejsce na szambo. Steve radzi nam, jak zabrać się do zakładania kanalizacji. Jak zwykle porywam się na robotę, o której mam w najlepszym razie blade pojęcie.

Teraz czeka nas naprawdę trudne zadanie. Zaczynając od miejsca, gdzie według naszych planów ma się znaleźć zbiornik, kopię oskardem i łopatą rów, w którym umieścimy dreny. Rów ma około trzydziestu centymetrów głębokości. Al wkłada do niego dreny, za radą Steve'a układamy na nich kamienie, żeby ziemia ich nie przysypała i nie zablokowała przepływu wody.

Po pewnym czasie słyszymy warkot następnej ciężarówki, która wspina się Horseshoe Drive. Dwaj mężczyźni wychodzą z szoferki i zaczynają ściągać z paki skrzynię. Wspinamy się na drogę, żeby im pomóc. Jeden podaje mi do podpisu kwit od Searsa.

— Gdzie mamy wam przenieść tego potwora? Nie jest może zbyt ciężki, ale niewygodny. A właściwie po co wam to tutaj? Budujecie basen?

— Mała domowa hydraulika.

Steve podchodzi do nas. Zostawił spychacz na dole i wyłączył silnik. Wkracza, zanim zdążę powiedzieć coś więcej.

— To batysfera. Będziemy z jej pomocą prowadzić badania oceanu. — Mruga.

Wszyscy razem zdejmujemy skrzynię i ją rozpakowujemy. Nie mam czym zapłacić tym facetom, ale Steve daje im piątkę i i odjeżdżają zadowoleni.

Postanawiamy umieścić zbiornik w odległości półtora metra od ściany domu. Oskardem wyrysowuję krąg, gdzie będziemy kopać. Mam wrażenie, że jesteśmy dostatecznie daleko od zbocza i nie będziemy musieli w nim ryć. Dochodzę do wniosku, że kiedy człowiek porywa się na coś takiego, nigdy I nie przewidzi, jak bardzo może skomplikować się jego praca.

Kiedy dół ma około sześćdziesięciu centymetrów głębokości, Steve podjeżdża swoim spychaczem. Parkuje go i podchodzi do nas. Z przyjemnością przyjmujemy każdy pretekst, by prze rwać na chwilę kopanie. Stoi przez kilka minut z dłońmi na biodrach i przygląda się nam.

— Słuchajcie, wydaje mi się, że pójdzie to szybciej, jeśli zaprzęgniemy do tej roboty moją Bessy.

Wykopanie dziury zajmuje mu zaledwie pół godziny, my musielibyśmy pracować co najmniej trzy. Wycofuje się z dziury i wyłącza silnik.

— No, to chyba powinno wystarczyć. Jeśli teraz uda nam się wsunąć tego malucha do dołka, będę miał dla was dobre wieści.

Gapimy się na niego. On jednak staje tylko obok zbiornika i patrzy na nas z uśmiechem.

Wygląda jak pozytywny bohater z westernu.

Każe nam stanąć po drugiej stronie zbiornika i razem zaczynamy kołysać nim i przesuwać go w stronę wykopu. Kiedy docieramy na krawędź, Steve daje nam znak, byśmy się zatrzymali.

— Upewnijmy się, że zbiornik jest właściwie ustawiony. Wyciąga składaną miarkę i mierzy dziury w zbiorniku.

— Teraz musimy nim trochę poobrać, żeby ustawił się tak, jak należy.

Bez słowa zabieramy się do dzieła. Po chwili zbiornik znika w wykopie, Al i Steve pilnują, żeby otwory ustawiły się w odpowiednim miejscu. Kręcimy nim jeszcze, by utknął ciasno w wykopie.

— Kurczę, Steve, nie mam pojęcia, jak byśmy właściwie zrobili to wszystko bez ciebie.

— Pewnie mielibyście problemy, ale skoro zrobiliście już tak wiele, jestem pewien, że jakoś będziecie sobie poradzić. Teraz musicie obsypać zbiornik ziemią, żeby go ukryć, a potem zasłońcie go kawałkiem brezentu. Jutro zabieram się do następnej roboty. Zostawię tutaj spychacz, ale wrócę po niego rano. Wtedy zakryję dreny i przysypię jeszcze trochę zbiornik. Nie możemy za bardzo go obsypywać, dopóki nie napełnicie go wodą, w przeciwnym razie może się załamać pod ciężarem ziemi. Prąd i wodę doprowadzono już do sąsiedniej parceli, możecie się więc podłączyć — mówi Steve na odchodnym.

Bierzemy nasze łopaty i oskard i zabieramy się do kopania i układania drenów w ziemi. Trudno teraz uwierzyć, że usypano ją zaledwie wczoraj. Ziemia z miejsca, w którym kopano, jest inna niż po naszej stronie wzgórza. Ma barwę żółtej ochry, jest drobniejsza, nie ma w niej tak wielu kamieni. Łatwo się w niej kopie. Kończymy robotę o drugiej po południu. Pakujemy narzędzia i ruszamy do Santa Monica.

Po drodze zajeżdżamy do banku, żeby dowiedzieć się, czy sprawa naszego kredytu jest już załatwiona.

Dokumenty nie przyszły, ale w banku mówią nam, że nie zdarzyło się jeszcze, by odrzucono wniosek o pożyczkę budowlaną dla weterana zabezpieczoną zakupem domu, więc możemy się nie martwić. Mam ponad sto dolarów na rachunku, więc nie jesteśmy jeszcze na lodzie.

Mam jeszcze część przefarbowanych wojskowych ciuchów, ale nie nadają się już do tego, by pokazywać się w nich publicznie.

— AL, nigdy cię nie porzucę, nawet kiedy będziesz śmierdział farbą, brudem i potem. Możesz się nie martwić — uspokaja mnie Al.

— Aleja mogą rzucić ciebie. Ubranie, które masz na sobie, ktoś przed tobą wyrzucił, a ty używałaś go już aż za długo. Tu i tam dosłownie puszcza w szwach. Chodźmy, powinniśmy się ubrać jak prawdziwi posiadacze ziemscy.

W sklepie znajdujemy prawdziwe kombinezony, są zielone, pewnie pochodzą z jakiegoś warsztatu samochodowego. Na kieszonce na piersi wyszyty jest napis „Pico — Serwis i Naprawy”. Są w całkiem niezłym stanie. W sklepach Armii Zbawienia nie można nic przymierzać, ale zdają się na nas pasować, więc kupujemy dwa komplety razem z czapkami i buty dla Al.

Nie możemy już się doczekać, kiedy znajdziemy się w domu, by je przymierzyć. Może będziemy w nich wyglądać jak ufoludki?

Od razu idziemy do sklepu z demobilem, żeby kupić brezent, którym moglibyśmy zakryć nasz zbiornik.

Później jedziemy na stację benzynową, kupujemy benzynę do Motylka i w toalecie przebieramy się w nasze kombinezony. Kiedy wychodzimy, przebrani za mechaników, znowu wybuchamy śmiechem. Z kurczącego się pliku banknotów wyciągam następną piątkę. Zbieramy razem nasze brudne ciuchy i wsadzamy je do pralki w samoobsługowej pralni na Czwartej Ulicy.

Kiedy nasze rzeczy się piorą, idziemy na hamburgery, frytki i pepsi.

Kończąc jeść, rozmawiamy o tym, czym się zajmiemy, kiedy będziemy mieli wreszcie czas. Oboje zaczynamy się trochę denerwować.

— Jak sądzisz, Al, czy powinienem odłożyć realizację dalszych planów do końca semestru? Latem oboje będziemy mieli czas, by pracować, a do września powinniśmy wszystko skończyć.

— Wszystko? Gdybym przerwała studia, nie dostałabym dyplomu z wyróżnieniem. Mam dobre stopnie, ale nie aż tak dobre. Wyróżnienie pomogłoby mi może znaleźć lepszą pracę. Nie pomyślałam o tym. To jednak ważna sprawa. Siadamy więc i zaczynamy się zastanawiać.

— Al, musimy ustalić, jakie są nasze priorytety. Dla mnie najważniejsza jesteś ty, a potem ukończenie naszego domu. Chcę móc utrzymywać nas oboje z renty inwalidzkiej i sprzedaży obrazów. Nie chcę uczyć i zmienić się w następnego Clintona Adamsa, nie chcę też wylądować na przykład w jakiejś agencji reklamowej. Dla mnie to by się równało kapitulacji. Czuję, że właśnie w tej chwili udaje mi się łączyć moje idee i cele jako malarza. Chciałbym dalej to robić i jestem pewien, że kiedy ukończę studia i nie będę już miał głupich zajęć, na które marnuję tylko czas, a które w niczym mi nie pomagają, będę mógł zebrać moje portfolio i pokazać je w galeriach na La Cienega Boulevard, może uda mi się nawet zorganizować wystawę, a przynajmniej umieścić w galeriach i sprzedać kilka z nich. Choć tak naprawdę nie wiem, jak się do tego zabrać.

Z drugiej jednak strony chciałbym jak najszybciej wykończyć nasz dom, żebyśmy mogli się tam wprowadzić, uprawiać ogródek, hodować kozy, króliki, kurczaki i zacząć prawdziwe życie. Kiedy założymy już wodę i elektryczność, tak jak poradził nam Steve, to będzie możliwe, zwłaszcza jeśli uda mi się jeszcze odłożyć trochę pieniędzy z renty. Co o tym wszystkim myślisz?

— Myślę, że to bardziej marzenia niż rzeczywistość, ale zasłużyłeś na to, by dostać wszystko, co sobie wymarzysz. Kiedy ukończę studia, nie będę się starała dostać na studia doktoranckie, znajduję pracę i będę zarabiać do czasu, kiedy zaczniesz sprzedawać swoje obrazy.

— W ten sposób stałbym się twoim utrzymankiem. To nieuczciwe, AL. Jeśli dostaniesz posadę na uniwersytecie albo stypendium doktoranckie, powinnaś skorzystać z tej okazji. Zasłużyłaś na to. Jestem pewien, że panna Nesbitt, dla której prowadziłaś badania, będzie w stanie coś dla ciebie załatwić, a wiem przecież, że o tym marzysz. To byłoby lepsze niż praca w szkole, miałabyś pieniądze i byłabyś niezależna. Szkoda, że oboje wybraliśmy sobie zawody, które nie przynoszą wielkiego dochodu. Któraś z nas powinno było iść na prawo albo ekonomię, coś bardziej praktycznego.

— Moim przedmiotem dodatkowym jest administracja i ekonomia, AL. Specjalizowałam się w kierowaniu personelem. Ale nie mam żadnej firmy ani personelu, którym mogłabym kierować. Nie sądzę, by którekolwiek z nas wykazało się zmysłem praktycznym w podejmowaniu decyzji o wyborze studiów.

— Dla mnie jesteś dostatecznie praktyczna. Nie chciałbym wcale, byś była bardziej praktyczna, a nie sądzę, byś potrafiła mnie kochać, gdybym był biznesmenem.

— Potrafiłabym, AL, kochałabym cię niezależnie od tego, kim byś był.

Patrzymy sobie w oczy z uśmiechem.

— Dobrze, AL. Myślę, że możemy już przełożyć nasze ubrania do suszarki.

Przytuleni ruszamy z powrotem do pralni. Po drodze prawie nie rozmawiamy. Zatrzymujemy się na światłach, łapię Al za ramiona.

— Wiem, że powinienem być lepszym żywicielem rodziny. Ale myślę, że jesteśmy szczęśliwi. Tylko to się liczy. Pamiętam taką starą piosenkę z czasów Wielkiego Kryzysu, która zawsze mi się podobała.

*Nie mogę dać nic ponad mą miłość, kochanie;  
Tego tylko pod dostatkiem mam, kochanie.*

Nie pamiętam, co jest dalej. Przyjmij moją miłość, Al. Nie potrzebuję pokwitowania. Wiedz tylko, że kochając cię, będę szczęśliwy. To się nigdy nie zmieni.



## ROZDZIAŁ XVIII

Postanawiamy się dowiedzieć, czy możemy doprowadzić do naszego domku wodę, a jeżeli tak, to ile to będzie kosztowało. Steve podał nam nazwisko faceta, który się tym zajmuje. To niejaki pan Starling. Al twierdzi, że najpierw powinniśmy się z nim skontaktować, a ja się z nią zgadzam.

Znajdujemy budkę, z której nie skradziono jeszcze książki telefonicznej, wyszukujemy takie nazwisko. Sekretarka łączy nas ze Starlingiem.

Wyjaśniam mu, że wybudowaliśmy sobie dom przy Horseshoe, on odpowiada, że już o tym wie, bo mówił mu o tym Steve Herman i informuje nas, jaka jest cena jego usługi.

— Pięćdziesiąt dolarów za podłączenie, cena obejmuje licznik. Możemy poprowadzić instalację do samego domu, to kosztuje dziesięć dolarów za metr bieżący, ale możecie to zrobić sami. Za siedem i pół metra sześciennego wody miesięcznie będziecie płacić pięćdziesiąt dolarów. Jeśli przekroczycie przydział, cena rośnie. Mamy w okolicy tylko jedną studnię, a razem z waszym będą z niej korzystać czterdzieści dwa domy. Musimy oszczędzać wodę, jak tylko możemy. Mam was wpisać?

— Byłbym bardzo wdzięczny. Od kiedy będziemy płacić?

— Od momentu gdy zostaniecie podłączeni na stałe. Powinniśmy to załatwić w ciągu tygodnia. Mój człowiek, Pyron, przyjedzie się tym zająć. Wie już, gdzie jest wasz dom, i też powinniście rozpoznać go z łatwością, ma tylko jedną rękę, drugą urwało mu, kiedy jako dzieciak bawił się dynamitem, pewnie ze dwadzieścia lat temu.

— Świetnie. Będziemy na niego czekać, może będziemy mogli mu w czymś pomóc.

— Muszę już kończyć. Zabezpieczcie porządnie waszą rurę, na waszym miejscu założyłbym dobry zawór i kupił od razu trochę węży na zapas. Zawsze wam się przyda w Topanga, tu nigdy nie wiadomo, kiedy może wybuchnąć pożar. Odkładam słuchawkę i uśmiecham się do AL

— Wszystko załatwione. Będziemy mieli wodę.

— Nie mogę w to uwierzyć!

— Ale to prawda. Będziemy mogli zainstalować zlew, a nawet łazienkę.

Wskakujemy do Motylka i jedziemy do Searsa. Dział ze sprzętem ogrodniczym mieści się na parterze, znajdujemy tu dokładnie to, czego nam potrzeba. Kupujemy wąż, dwa łączniki i końcówkę z rozpylaczem. Jestem zaskoczony, ile wszystko to kosztuje i ile waży. Facet, który nas obsługuje, dosłownie ugina się pod ciężarem i muszę mu pomóc.

W innym dziale kupujemy stos rurek, które sprzedawca nazywa złączkami, i powyginanych rur. Zaczynam żałować, że na wydziale sztuk pięknych UCLA nie ma nikogo, kto wiedziałby o malowaniu tyle, ile ten facet o kanalizacji, i tak jak on potrafił mi wszystko wyjaśnić.

Jeżeli wydawało mi się, że wąż i złączki są drogie, to ten stos rur kosztuje tyle co cadillac w porównaniu z moim jeepem. Przełykam ślinę i wypisuję kolejny czek. Skończą mi się чеки, zanim robota ruszy na dobre.

— AL, jesteś pewien, że wszystko jest w porządku? Wiesz, co robisz?

— Odpowiedź na oba pytania brzmi: nie. Nie wiem, co robię, ale nie wiem też, co innego moglibyśmy zrobić, żeby rozwiązać problem wody. Będziemy jeszcze musieli kupić gdzieś muszlę toaletową i prysznic. Może będą mieli coś takiego w Armii Zbawienia, a przynajmniej powiedzą nam, gdzie mamy szukać. Na razie zajmiemy się tą częścią roboty, a do reszty przejdziemy, kiedy przyjdzie pora.

Z trudem przenosimy wszystko na tył Motylka i ruszamy w stronę wzgórz, gotowi zabrać się

do pracy. To kolejny piękny dzień, znad oceanu wieje lekki wietrzyk. Trudno rozmawia się w jeepie, zbyt duży jest hałas mijanych samochodów i wiatru, ale robi się ciszej, kiedy skręcamy w Topanga Canyon Boulevard. Przede wszystkim jesteśmy chyba zbyt podekscytowani, żeby myśleć rozsądnie.

275

Kiedy docieramy na miejsce, jesteśmy naprawdę zaskoczeni. Ekipa Steve'a już zdążyła skończyć swoją robotę. My jednak szukamy wody, nie ziemi, znajdujemy ją prawie natychmiast.

— AL, spójrz no tutaj, to na pewno to.

Patrzę we wskazanym kierunku i widzę rurę wystającą z ziemi niedaleko naszej drogi. Rura ma zamocowany kran bez zabezpieczenia. Kucamy obok niej.

— Niech popłynie woda! — intonuję, kładąc na ziemi zwój węża i narzędzia.

Al wybuchając śmiechem, ale kiedy obracam kurek, z kranu tryska woda. Strumień jest silny, choć woda nieco rdzawa. Kran kilka razy parska powietrzem, a potem strumień wyrównuje się. Al i ja stoimy obok rury i tańczymy z radości. Zakręcam kurek.

Układamy wąż wzdłuż drogi prowadzącej do naszego domu. Na końcu jest już złączka, zaczynam modlić się w duchu, by pasowała do kranu, zakładam ją ostrożnie, a potem odkręcam kran, by przekonać się, czy nie przecieka. Dokręcam całość kluczem, ale pewność będę miał dopiero, kiedy podłączę cały wąż. Ten, który przyniosłem, ma trzydzieści metrów długości, to mniej więcej połowa odległości od domu. Dokręcam złącza.

— Al, czy mogłabyś przynieść drugi kawałek węża?

Już jej nie ma i po chwili nadchodzi z następnym kawałkiem węża. Jakie to typowe, nie pomyślałem nawet o tym, że jest dla niej za ciężki. Ciekawe, jak długo jeszcze ze mną wytrzyma. Biegnę, by jej pomóc.

— Przepraszam. Nie pomyślałem o tym, jakie to ciężkie.

— Nie gadaj głupot, AL. Dla mnie jest tak samo ciężki jak dla ciebie. Przestań zachowywać się tak, jak gdybym była ze szkła.

Zdejmuję z jej ramienia wąż. Jeśli dla niej jest tak samo ciężki jak dla mnie, znaczy, że jest o wiele za ciężki. Rozwijamy go wzdłuż drogi. Trzeci odcinek węża dociągam do naszych drzwi wejściowych. Nie układam węża dokładnie wzdłuż schodów, musiałbym mieć go więcej, na razie musi nam wystarczyć tyle, ile mamy. W Santa Monica jest pewnie z pięć miejsc, gdzie mógłbym kupić wąż taniej niż u Searsa, ale przywykłem kupować wszystko, czego mi potrzeba, kiedy tylko to znajdę. Będę musiał się zmienić, jeśli naprawdę chcę zakończyć budowę domu za pieniądze, którymi dysponujemy.

Podłączam wylot na końcu węża. Jeśli wszystko zrobiliśmy jak należy i mamy do dyspozycji wodę, możemy na przykład napełnić zbiornik, zanim go zasypujemy.

— Al, pójdę odkręcić kurek na górze. Otworzę go tylko odrobinę, na wypadek gdybyśmy mieli jakieś przecieki. Kiedy sprawdzimy wąż, odkręcę mocniej.

Kiedy wracam, Al szaleje z radości. Tak mi się przynajmniej wydaje, ponieważ łapie wąż i oblewa mnie zimną wodą. Śmieje się jak wariatka. Trafia mnie i po chwili jestem przemoczony do nitki, ale dzień jest ciepły, więc nie mam nic przeciwko temu. Składam na jej wargach wilgotny pocałunek, a potem wspólnie idziemy wzdłuż węża, szukając przecieków. Wygląda na to, że wszystko w porządku. Kiedy docieramy na górę, poddaję nasz system prawdziwej próbie, odkręcając kran na całość. Na pierwszym złączu mamy niewielki przeciek, ale wystarczy tylko dokręcić. Teraz zauważam, że aby napełnić zbiornik, będziemy musieli dołączyć jeszcze siedmioipółmetrowy odcinek węża. Pokładanie zaufania w szczęście nie zawsze ma sens.

Widzę, że wylot także nieco przecieka. To nic poważnego, ale dokręcam go na wszelki wypadek swoim wiernym kluczem, żeby nie uciekła ani kropla.

Bawimy się węzłem jak dzieci. Myjemy nowe schody, wypróbujemy różne opcje końcówki, spryskujemy cały teren albo silnym strumieniem usuwamy resztki ziemi i kawałki betonu z narożników i podestów. Robi się z tego jedna wielka wodna zabawa. Oblewamy się nawzajem i wszystko wokół, nawet świeżo pomalowaną ścianę.

W końcu jednak zabieramy się do roboty. Wiemy, że musimy obsypać zbiornik ziemią i podłączyć go do rozłożonych drenów. Próbuję przypomnieć sobie wszystkie szczegóły, o których mówił facet od Searsa. Al bardzo mi pomaga. Wygląda na to, że zapamiętuje wszystko, co usłyszy, poprawia mnie więc, kiedy robię coś nie tak, jak należy.

Montaż nie jest szczególnie skomplikowany i w niedługim czasie udaje nam się umieścić rurki w odpowiednich otworach zbiornika i ustawić je w odpowiednich pozycjach. Teraz wystarczy podłączyć końcówkę węża do wlotu i możemy już napełniać zbiornik.

Odkręcam kurek do maksimum. Woda z głuchym echem uderza o ścianę zbiornika. Owijam wąż koszulką, żeby nie wyleciał. Trzyma się, jak należy.

— Myślę, Al, że powinniśmy teraz zakopać dreny głębiej, żeby były gotowe, kiedy Steve przyjedzie je zasypać. Jak na razie mieliśmy sporo szczęścia, nikt nas nie zauważył.

— Mam nadzieję, że Steve niedługo przyjedzie. Robię się głodna — mówi Al.

Okazuje się, że podłączenie z drugiej strony jest bardzo prostą sprawą. Nie muszę niczego przycinać ani gwintować, ponieważ z tej strony nie będzie silnego ciśnienia. Wszystko jest podłączone do pierwszego drenu w ciągu pół godziny. Nie jest to może ciężka praca, ale cały spociałem się z nerwów.

Zaczynamy zakopywać dreny na głębokości co najmniej sześćdziesięciu centymetrów. Ziemia nie jest zbita, idę więc przodem i kopię motyką, a Al zasypuje dreny łopatą. Zbliżamy się do końca, kiedy słyszę silnik samochodu. Jeśli to Steve, zaraz będziemy mogli jechać do domu, jeśli to inspekcja, pewnie zabiorą nas do więzienia.

Biegnę schodami na drogę, czuję się teraz jak prawdziwy właściciel domu. To Steve. Parkuje obok Motylka. Wyskakuję z wozu i schodzi, by ocenić naszą pracę.

— Kurczę, powinniście zająć się budową domów. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby robota posuwała się w takim tempie. Bierzmy się do pracy i zakopmy całe to ustrojstwo. Zanim dojdę do zbiornika, powinien się napełnić, a wtedy będziecie mieli wszystkie miejskie luksusy i nikt nie będzie o niczym wiedział. Do roboty.

Sprawdza poziom paliwa, wlewa do baku następny kanister, a potem włącza silnik. Zabiera się do pracy w ciągu pięciu minut. Praca z profesjonalistą to przyjemność.

Stoimy z boku, kiedy najpierw zasypuje osadnik, a potem obsypuje ziemią zbiornik aż po rurę wylotową. Przynoszę brezent i rozkładamy go nad zbiornikiem. Steve podjeżdża spychaczem i włącza silnik.

— Dobra, docisnę brzegi brezentu ziemią, później możecie całkiem go zasypać. Na razie będziecie mieli mały garb koło

domu, ale po jakimś czasie zbiornik sam zapadnie się głębiej pod ciężarem wody. Gdyby ktoś ciekawski się o niego pytał, powiecie, że to tylko stos ziemi albo złoto, które zakopaliście na ciężkie czasy. Ja już się wynoszę, mam robotę w dole wzgórza. A tak przy okazji, kiedy skończycie już z tym zbiornikiem, powinniście zakopać także wąż. Później, kiedy wszystko się uspokoi, pogadajcie ze Starlingiem albo z Pyronem, żeby zainstalował rury trwalsze i zgodne z przepisami. Teraz mam nową robotę. Nie zgadlibyście, ale zakładam szambo i osadnik. Wszystko zgodnie z przepisami, więc zajmie mi to pewnie ze trzy dni, a nie będzie wcale lepsze niż wasze.

Wskazuje do spychacza i spogląda na swoje dzieło.

Wychyla się z szoferki i ściska nam obojgu dłonie.

— Miło mi się z wami pracowało. Odzywa się Al, ale mówi to, co i ja myślę.

— Nam też dobrze się z tobą pracowało, Steve. Wiele się nauczyliśmy przez kilka ostatnich dni, a poza tym bez ciebie nigdy byśmy tyle nie zrobili.

— Ile jestem ci winien, Steve? — pytam.

— Jakieś trzy stowy za wyrównanie terenu, ale ja jestem ci winien dwie stowy za przechowanie Bessy przez te parę dni. Jeśli dostanę stowę, będzie w porządku. Sam pozałatwiam wszystko z moimi chłopakami. Dostaliśmy już pieniądze za robotę, a możemy być tylko szczęśliwi, że nie musieliśmy daleko wozić ziemi. Spotkam się z nimi dzisiaj, więc wszystko załatwię. Pora już na mnie. Wpadnę do was później zobaczyć, jak sobie radzicie.

Wrzuca bieg, z trudem rusza po stoku i w końcu wjeżdża na drogę.

Choć zapada już zmierzch, musimy jeszcze zasypać zbiornik i przykryć ziemią wąż doprowadzający wodę. Jest chyba jeszcze bardziej niezgodny z przepisami niż nasze szambo.

Zaczynamy od góry. Staram się trzymać trzydzieści centymetrów od skraju drogi, ziemia jest tu twarda i sucha. Kopię w miejscu, gdzie rura wystaje z ziemi. Za każdym uderzeniem oskarda wycinam siedmiocentymetrowy rowek. Na ogół muszę uderzyć dwa lub trzy razy, żeby był dostatecznie głęboki. Al układa wąż, zasypuje rowek szpadlem i ubija nim ziemię, a potem jeszcze dociska nogą. Zajmuje nam to tyle, ile się spodziewałem, czyli o wiele za długo, ale wreszcie kończymy robotę na górze schodów. Wykopuję nieco głębszy rowek w miejscu, gdzie wąż zaczyna schodzić po zboczu.

— Widzisz, AL, udało nam się. A wszystko dzięki tobie. Przez następny tydzień możemy się odprężyć, jeżeli naukę można uznać za relaks.

Przytula się do mnie. Wygląda to pewnie jak drzeworyt Granta Wooda, ponieważ nie wypuszcza z rąk łopaty, a ja trzymam motykę. Wymieniamy długi, stanowczo nie pasujący do twórczości Granta Wooda, pocałunek. Wspaniale jest schodzić razem po schodach do wspólnego domu. Stopnie nie są na tyle szerokie, byśmy mogli schodzić ramię w ramię, ale nie można mieć wszystkiego.

Postanawiamy zjeść kolację w studenckiej stołówce. Jesteśmy za bardzo zmęczeni, by iść gdzieś dalej. Oboje jemy kanapki z indykiem na ciepło, które dodają nam trochę energii. Obsługa jest szybka i sprawna. Wszyscy wrócili już z ferii wielkanocnych, więc wokół panuje straszny rwetes. Zapomniałem już prawie, jak hałaśliwy bywa świat.

Żaden jednak hałas nie pomoże nic na naszą senność. Wracamy do naszego schronienia, kładziemy się i w połowie namiętnego pocałunku Al zapada w sen. Wysuwam się z jej objęć i opatulam śpiworem. Tuż przez zaśnięciem myślę jeszcze o tym, co będzie rano, nie mieliśmy już także dosyć siły, by się umyć. Może uda się nam obudzić dostatecznie wcześniej, by zejść na dół i trochę się opłukać.

## ROZDZIAŁ XIX

Budzę się na czas. Po ośmiu godzinach snu, właściwie niezależnie od tego, jak bardzo zmęczony byłem, kiedy kładłem się spać, budzę się zwykle wypoczęty.

Al pochrapuje lekko, wydaje mi się, że leży dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawiłem. Cicho wysuwam się ze śpiwora, zwijam go, wkładam koszulę, czyste spodnie, a potem na palcach podchodzę do drzwi i schodzę po schodach. Jest dopiero siódma rano, więc w łazience nie ma nikogo, jest za to ciepła woda. Urządzam sobie wielką kąpiel. Wspaniale, że nie muszę się golić. Czysty, odświeżony i ubrany wracam na strych, zanim ktokolwiek pojawi się w budynku. Pochylam się nad Al i budzę ją delikatnym pocałunkiem. Zasnęła z pocałunkiem i budzi się tak samo. Otwiera oczy i spogląda na mnie rozespana.

— Która godzina, AL?

— Wpół do ósmej, masz jeszcze mnóstwo czasu, jeśli zaczniesz zajęcia o ósmej.

— Nie, idę dopiero na dziewiątą, ale muszę się pospieszyć. Siada w swoim śpiworze, rozpina go i przygląda się sobie.

Wczoraj wieczorem zrobiła dokładnie to samo, co ja, położyła się w swoim kombinezonie mechanika, nie próbując nawet otrzepać się z kurzu czy umyć.

— Wielki Boże, AL. Spójrz tylko na mnie.

— Patrzę i wcale mi się nie podoba to, co widzę. Masz rację, powinnaś się umyć i przebrać. Chodź, zejdziemy na dół, ty się umyjesz, a ja stanę koło drzwi, żeby nikt ci nie przeszkadzał.

Podrywa się natychmiast, rozpina guziki i zamki błyskawiczne, rozbiera się do bielizny. Podaję jej ręcznik i mydło, którego używałem, i zbiegamy na dół. Zatrzymuję się, wyglądam na korytarz i dopiero daję jej znak, by wyszła. Czyste ubranie niesie pod pachą.

Przez następne kilka minut czatuję pod drzwiami łazienki, z nadzieją, że żadna studentka nie będzie musiała wejść do środka, zanim Al skończy się myć. Al musiała szaleć po łazience jak tańczący derwisz, bo nie mija nawet dziesięć minut, jak wychodzi nieskazitelnie czysta, umyła nawet głowę. Szybko dopadamy naszych drzwi, zamykamy je na zasuwkę i biegniemy na górę.

Mam o ósmej zajęcia z francuskiego, muszę się więc pospieszyć. Od razu zabieram ze sobą swoje pudło na farby. Al rozczesuje wilgotne włosy. Nie potrafię się opanować i przyglądam się jej. Przypominają mi się płótna i rysunki Renoira, Degasa czy Lautreca, przedstawiające kobiety w trakcie i po kąpieli. Na ogół malowali je w maleńkich wanienkach, odpowiednich chyba jedynie dla ptaków.

Czuję się bardzo szczęśliwy, a jednocześnie zaniepokojony. Miałem nauczyć się dwustu słówek i nie zrobiłem tego. Już z książkami w rękach całuję pospiesznie Al. Włożyłem dzisiaj przefarbowane na niebiesko wojskowe spodnie i koszulę. Althea pochyla się w moją stronę, czuję jej zapach. Nie jest to woń perfum, ale jej naturalny zapach, połączenie woni czystych włosów, czystej skóry i mydła.

— Spotkajmy się na schodach Moore Hall, zjemy coś razem. Zrobimy sobie prawdziwy *brunch*, połączenie śniadania i obiadu, bo na to pierwsze nie mamy już czasu. Masz nasz klucz?

Kiwa potakująco głową, rozczesując jednocześnie włosy. Zaraz po myciu widać w nich miedziane pasemka. Zbiegam po schodach, wyglądam, czy nie nadchodzi nikt z wydziału muzyki, zamykam za sobą drzwi i tak nonszalancko, jak tylko potrafię, ruszam na dół, na wydział sztuk pięknych. Muszę przyznać, że podnieca mnie tajemnica naszego mieszkania.

Radzę sobie jakoś z większością czasowników, na szczęście omija mnie pytanie ze słówek, a test się nie odbywa. Większość wykładowców zdaje sobie sprawę z tego, że trudno oczekiwać,

byśmy przez ferie zrobili wszystko, co nam zadali.

Siedzę na szerokiej kamiennej poręczy i patrzę na żakarandy, kiedy zauważam Al nadchodzącą ścieżką od strony biblioteki. Ruszam w jej stronę.

— Jak się masz, AL? Ja wciąż jestem okropnie zmęczona, chociaż tak długo spałam. Naprawdę udało nam się ostatni tydzień. Nie sądzę, bym kiedykolwiek w życiu tak ciężko pracowała.

— Wcale tego po tobie nie widać, wyglądasz równie świeżo i pięknie jak wszystkie dziewczęta dookoła, a pewnie żadna z nich nie zrobiła nawet połowy tego, co ty w ciągu minionych siedmiu dni.

Ruszamy w stronę Kirchoff Hall. Jest dopiero kwadrans po jedenastej, pora pomiędzy śniadaniem a obiadem. Ja jednak gotów jestem zjeść od razu obydwie posiłki. Wydaje mi się, że Al także.

Pięć dni w tygodniu spędzamy w różnych częściach kampusu, ale udaje nam się prawie codziennie spotkać na schodach Moore Hall i iść razem na obiad. Al pisze referat o związkach między braćmi Jamesami, Henrym i Williamem, a ja maluję jak wariat, korzystając z tego, że za materiały nadal płaci wojsko. Mam zadane prace, ale skończyłem już prawie wszystkie kursy artystyczno-rzemieślnicze i mogę skupić się wyłącznie na malowaniu. Krytyki, zarówno prywatne, jak i dokonywane na zajęciach, przyjmuję z dystansem, z każdym obrazem nabieram większej łatwości w malowaniu i uczę się zawierać więcej w swoich płótnach. Pod koniec trzeciego roku studiów, po zaliczeniu w letnim semestrze wszystkich kursów potrzebnych do ukończenia studiów, jestem już właściwie niezależnym artystą.

Poznaję profesora Billa Bowne'a, który nie ma może zbyt wielkich wpływów na wydziale, ale okazuje się właśnie kimś, kogo mi było potrzeba. Sam maluje bardzo wolno, poświęca się swojej pracy, ale w tym, co robi, jest wielka siła. Z łatwością dostrzega, co chcę osiągnąć, i podobnie jak Paul, mój przyjaciel stróż buddysta, pomaga mi zrozumieć, co robię albo co powinienem robić.

Częściowo pojmuję teraz, co wyrażam poprzez moje malarstwo. Po pierwsze zawieram w moich obrazach siebie. Przekonuję się, że każdy artysta musi poznać i nauczyć się wyrażać swój osobisty pogląd na świat. Dotyczy to każdego twórcy, czy będzie pisarzem, kompozytorem, rzeźbiarzem, matematykiem czy w jakikolwiek inny sposób będzie starał się przekazywać swoje myśli. Pojmuję, że wierność osobistej wizji jest siłą, która napędza twórczość.

Wydaje mi się, że na uniwersytecie zbyt wiele czasu spędza się na próbach nauczania nas, jak, w najszerszym znaczeniu tego wyrażenia, tworzyć malarstwo dekoracyjne — piękne, płaskie przedmioty, które można powiesić na ścianie. Innymi słowy, uczymy się rzucać wyzwanie sztuce, by połechtać przyjemnie widza. Co jeszcze gorsze, owoce takiej pracy muszą wyglądać jak „obrazy”. Wszyscy mówią o oryginalności, wyjątkowości i tak dalej, ale najwyżej cenią sobie w płótnie to, w jakim stopniu przypomina ich ideał obrazu. To klasyczny przypadek ogona merdającego psem.

Staram się, aby moje prace były wyraziste; próbuję dzielić się uczuciami, jakie żywię do drobnych, pięknych rzeczy w przyrodzie, malować je w takiej skali, jak gdyby oglądało się je pod mikroskopem. Kieruję się tym samym, co po raz pierwszy poczułem w czasie swej podróży przez kraj, kiedy obudziła się we mnie fascynacja motylami. Właściwie połowa, ta lepsza połowa moich obrazów przedstawia motyle.

Namalowałem około dziesięciu płócien w stylu pseudoadamsowskim, wiem, że jeśli zajdzie taka potrzeba, będę mógł je sprzedać. Następna piętnastka to prace na tematy zadane przez innych wykładowców. Do tego mam jeszcze mniej więcej dwadzieścia pięć obrazów, które są owocem mojej wyobraźni. Podoba mi się połowa z nich, pozostałe są mało istotne z punktu widzenia tego, co staram się osiągnąć.

Jestem przekonany, że dla mnie sens malarstwa polega na tym, by przedstawić świat takim, jakim ja go widzę. Lubię, kiedy moje prace mają znaczenie dla innych, ale nie jest to prawdziwym powodem, dla którego powstają. Czasami są prawie realistyczne, cokolwiek mogłoby to znaczyć, ale często są jedynie odbiciami samych siebie, jak gdyby cały świat nie miał żadnego znaczenia. Trudno to wyjaśnić, ale wiem, że robię to, co powinienem. Najważniejsze jest, że kiedy je oglądam, wiem, że pochodzą z mojego wnętrza, widzę w nich odbicie mojej osobowości, a jednocześnie nie są jedynie wyrazem mojego egotyzmu czy narcyzmu. Stanowią próby nawiązania komunikacji, jednak na warunkach, jakie stawia po pierwsze obraz, a po drugie ja, jego twórca. Widz musi stać się częścią procesu tworzenia, wiele zatem od niego wymagam. Czasami jest to bardzo deprymujące, ale zdarza się często, że czuję uniesienie, czuję, że nie jestem sam, kiedy kończę udany obraz.

Wiele czasu spędzam z Altheą, oglądając obrazy, próbując wyjaśnić jej, co właściwie robię. W tym dialogu przeszkadza nam najbardziej jej chęć, potrzeba, by obrazy przemieniły się w słowa, często tylko jej słowa. Szybko zdaję sobie z tego sprawę i nie staram się za bardzo zmieniać jej sposobu widzenia. Kocham ją taką, jaka jest, a obrazy pozwalają mi dostrzec, że właśnie ta wielka różnica jest częścią naszego wzajemnego oczarowania, przyciąga nas ku sobie.

Wieczorami zachodzimy często do pokoiku Paula i rozmawiamy o obrazach. Nasze poglądy na estetykę są sobie bliskie, często zgadzamy się w naszych opiniach. Wciąż próbuję namówić go, by wrócił do malarstwa, on jednak się nie zgadza.

— AL, boję się, że gdybym zaczął malować, znowu wróciłbym do picia. Poczucie siły, jakie mnie ogarniało, kiedy piłem, było bardzo podobne do tego, co czułem, malując, nawet kiedy obraz nie był zbyt dobry, a to jest dla mnie niebezpieczne. Ograniczam się do biernej przyjemności oglądania obrazów w muzeach, obserwowania, jak ty i kilku twoich kolegów z wydziału dojrzewacie i przelewacie swoje wnętrza na obrazy. Mnie to wystarczy. Ale, AL, może weźmiesz udział w wielkiej wiosennej wystawie organizowanej przez bractwo Delta Ypsilon?

— Masz na myśli stowarzyszenie sztuk pięknych?

— Zgadza się, co prawda konkurs z komisją sędziowską jest okropny, ale to bardzo dobra wystawa, a co z twojego punktu najważniejsze, ludzie kupują tam obrazy. Nie powinieneś przegapić takiej okazji.

— Nie jestem pewien, czy moje stopnie są dostatecznie dobre, bym nadawał się na członka Delta Ypsilon. To stowarzyszenie sztuk pięknych, a nie jakieś tam bractwo. Sam nie wiem. Na ogół nie zostawiam nawet koperty ze znaczkiem, żeby przystali mi wyniki egzaminów, tak niewiele dla mnie znaczą, ale pewnie mam średnią B z plusem, coś koło tego. Ale gdyby mi się udało, rozwiązałyby to moje obecne problemy finansowe. Nie jestem wcale pewien, jak długo jeszcze mogę liczyć na pożyczki dla weteranów. Wydajemy pieniądze na nasz dom w błyskawicznym tempie. Gdyby tylko robota chciała posuwać się równie szybko.

— Chciałbyś poznać swoje stopnie ze wszystkich przedmiotów za siedem semestrów, a do tego ze szkoły letniej?

Wbijam w niego wzrok. Na jego wargach pojawia się buddyjski uśmiech. Odwraca się i sięga za siebie do szafy. Otwiera mały zamek i wyjmuje ze środka kopertę.

— Jeśli zapytasz mnie „jak”, odpowiedź będzie prosta, my, stróże, jesteśmy wszędzie. Na pytanie „dlaczego” trudniej mi będzie odpowiedzieć. Przekonywałem siebie, że zrobiłem to dlatego, że chciałem dowiedzieć się wszystkiego na wypadek, gdyby Clinton albo ktoś do niego podobny próbował narobić ci kłopotów. Oto całe twoje akademickie życie na UCLA. Należy do ciebie. Przepraszam, że to zrobiłem, postąpiłem niewłaściwie. Zapewniam cię, że bez trudu dostaniesz się do Delta Ypsilon. Wystarczy, że poinformujesz ich, że chcesz zostać członkiem. Powinni sami wystąpić do ciebie z propozycją, a skoro tego nie zrobili, prawdopodobnie

odpowiedzialny jest za to Adams lub któryś inny wykładowca, któremu się naraziłeś swoim sposobem bycia, ktoś jednak na pewno maczał w tym palce. Stowarzyszenie powinno kontaktować się ze wszystkimi potencjalnymi kandydatami na członków wśród studentów. Czy starałeś się o członkostwo?

— Wiesz, że nie. Nawet o tym nie pomyślałem. Chciałbym, żeby pozwolili mi pokazać płótna bez ram. Pokaz nie ma dla mnie szczególnego znaczenia, więc nie powinno to nikomu przeszkadzać. Rama oddziela tylko obraz od zgiełku zewnętrznego świata. Założę się, że się zgodzą, oczywiście, jeśli w ogóle przyjmą moje obrazy na wystawę. Może, jeśli okleję krawędzie płócien taśmą samoprzylepną, żeby płótno i pluskiewki nie raziły, wszystko będzie w porządku. Taśma zastąpiłaby ramy, przynajmniej dla mnie, i nie będę musiał wydawać pieniędzy, których i tak nie mam.

— To świetny pomysł, AL, lepszy nawet niż przybijanie listewek. Ile kosztuje udział w wystawie?

— O ile wiem, studenci i członkowie Delta Ypsilon nie płacą nic. Spróbuję dowiedzieć się tego na pewno.

— A ile obrazów może wystawić jedna osoba?

— Tego też nie wiem. Nie interesowałem się tym, dopóki nie wspomniałeś o całej sprawie. Dowiem się tego od Billa Bowne'a, mojego ulubionego wykładowcy na wydziale. A co ty o tym sądzisz, Paul?

— Powinieneś móc zgłosić tyle obrazów, ile zechcesz, pod warunkiem że będą dobre. Kłopot polega na tym, że członkowie komisji nie wiedzą już tak naprawdę, co jest dobre. Będziesz musiał ich jakoś przekonać.

— No cóż, zawsze warto spróbować. Wchodzę w to. Będę teraz musiał malować jak wariat. Kiedy dokładnie odbywa się ta wystawa?

— O ile wiem, około połowy maja. Dam ci znać.

Kupuję całą rolę płótna. Kosztuje fortunę i dziewczyna ze sklepu musi najpierw zadzwonić do działu administracji weteranów, czy zgadzają się pokryć koszty takiego zakupu.

Zamawiam także po trzy ćwierćlitrowe tuby farby wszystkich kolorów, których używam, w sumie piętnastu, a do tego pięć tub tytanowej bieli. Kiedy dorzucam trzy litry terpentyny i litra oleju lnianego okazuje się, że muszę zrobić dwie rundy, żeby zanieść wszystkie zakupy na strych. Kupuję także blejtramy na dwadzieścia obrazów, tyle właśnie powinienem uzyskać z roli płótna długości sześciu i szerokości dwóch metrów. Czuję się jak prawdziwy malarz, już nie student. Same pędzle, które także kupuję, kosztują sto dolarów. Mam nadzieję, że administracja działu weteranów uzna, że sensownie wydałem te pieniądze.

Dwa dni i dwie noce zajmuje mi zbijanie blejtramów i naciąganie płótna. Zużywam do tego cztery pudełka pluskiewek. Rozkładam naciągnięte płótna po całym strychu, przesuwając gipsowe rzeźby, żeby mieć więcej miejsca. Gotuję rybi klej na małym kocherze i rozprowadzam go piętnastocentymetrowym pędzlem. Kiedy zamawiałem ten pędzel, obsługująca mnie dziewczyna ze sklepu w końcu odważyła się zadać pytanie.

— Wybrałeś już temat dostatecznie wielki na takie ogromne płótno? Mam szczerą nadzieję, że w dziale administracji nikt nie przygląda się zbyt uważnie tym rachunkom. Ciągłe przychodzi mi na myśl, że kiedyś poskładają je do kupy, a potem oboje znajdziemy się w niezłych opałach.

— Nie martw się, Marsha, mają u mnie dług wdzięczności. Przechodzę na kolanach od jednego płótna do drugiego, pokrywając je klejem. Biedna Althea prawie się tu nie pojawia, klej tak okropnie śmierdzi. W końcu jednak uczy się spać w miejscu, które śmierdzi jak stary rybacki kuter.

Następnie przygotowuję cztery porcje podkładu. Robi się go z kwaśnego mleka, ma więc



specyficzny zapach. Posługując się tym samym pędzlem, rozprowadzam tę papkę po płótnach. Kiedy wysycha, nakładam drugą warstwę. Uzyskuję w ten sposób dwadzieścia naciągniętych i zagruntowanych płócien gotowych do pracy. Znoszę teraz na dół do jednej z pracowni po jednej tubie farby z każdego koloru i pierwsze płótno. Zastanawiałem się nad możliwością kupienia nowych sztalug, ale uznałem, że to już mogłoby zwrócić uwagę jakiegoś księgowego, korzystam więc nadal ze sztalug w pracowni. Czasami wydaje mi się, że na uczelni musi być cała armia studentów wydziału sztuk pięknych, którzy nigdy nie malują, nigdy nie pracują z płótnem. Jakoś jednak sobie radzą i nikt nie próbuje ich wyrzucać, więc chyba wszystko jest w porządku.

Nie jestem pewien, czym kierują się wykładowcy w swoich ocenach, szczerze mówiąc, bardzo rzadko widuję ich w pracowniach malarskich. Ale czy powinienem się na to skarżyć?

Zaczynam od martwych natur, maluję głównie kwiaty, naczynia kuchenne i garnki albo owoce. Kiedy kończę malować kolejny obraz, Al i ja zjadamy owoce na obiad. Potem przechodzę do warzyw, je także następnie zjadamy. Maluję cebule, warkocz czosnku, pory, kapustę białą i czerwoną, a także rzodkiewki, marchewki i inne jarzyny o ciekawych barwach i kształtach, jakie tylko mogę znaleźć. Jest to o wiele ciekawsze niż malowanie krowich czaszek albo kawałków porcelany.

Taka jest moja rozgrzewka. W trzecim tygodniu pracy wstaję wcześniej rano, zabieram Al, trzy płótna i dostateczną ilość farb i rozpuszczalnika na cały dzień pracy. Ustawiam się koło naszego domu. Ze szczytu wzgórza maluję widoki bliskie i odległe, zawsze podkreślając krzaki, fragmenty odsłoniętej ziemi w tle i potężne kamienie. Ostatni obraz przedstawia gigantyczną skałę, którą musimy wymijać na Horseshoe Drive.

Al spędza ze mną cały ten dzień, a kiedy maluję skałę na Horseshoe, schodzi niżej, żeby ostrzec mnie, kiedy ktoś będzie nadjeżdżał. Nikt jednak się nie pojawia, a obraz należy do najlepszych moich płócien.

Zapada już zmrok, kiedy się pakujemy. Zostawiam pudło i pędzle razem z terpentyną i olejem lnianym. Myję pędzle w terpentynie. Ustawiamy ukończone obrazy wewnątrz domu. Nawet w mroku wyglądają wspaniale, bije z nich tajemnicze światło, jak gdyby żyły. Na swój sposób przecież żyją.

Jestem potwornie niechlujny, cały śmierdzą terpentyną, której używałem do mycia pędzli i rąk. Althea jest bardzo podekscytowana, ale chyba nie ma ochoty na to, bym i ją poplamiał farbą.

Jakoś docieramy do domu. Po drodze kupujemy meksykańskie jedzenie, które zabieramy ze sobą razem z dwiema butelkami coli. Zасыpiam nad jedzeniem, Al jakoś udaje się sprawić, bym wsunął się w śpiwór. Pamiętam tylko, że zasnąłem, a potem śniły mi się moje obrazy. We śnie obrazy malują mnie. Nie jest to jednak żaden koszmar, unoszę się rozkosznie w wielobarwnej i wielokształtnej mgłę, która wraz ze mną staje się czymś nowym.

Następnego ranka budzę się nieco nieprzytomny, ale chcę już zabrać się na nowo do malowania widoków z Topangi. Spoglądam w stronę Al, już nie śpi. Przysuwam się do niej i wspólnie cieszymy się swoim ciepłem i radością, nie spieszy się nam, ja zaś wiem, że wcale już się jej nie boję. Czuję się tak naturalnie, kiedy jej ciało zbliża się do mojego. Mam nadzieję, że i ona zdoła pokonać swoje lęki.

Jest niedziela, więc w kampusie panuje spokój. Stołówka studencka jest otwarta dla studentów mieszkających na miejscu. Jemy tu nasze śniadanie i kupujemy na obiad kanapki i colę.

Zabieram ze sobą następne trzy płótna. Stopniowo zużywam cały zapas. Jeśli udałoby mi się tak właśnie żyć, gdyby siłę dawała mi nadzieja, a radość spełnienie, z pewnością mógłbym uznać, że dokonałem właściwego wyboru.

Kiedy jadę do kanionu, bardziej jeszcze niż zwykle czuję, że staję się jednością z życiem, przyrodą, oceanem, suchą zielonością wzgórz. Niebo jest tak błękitne, bez jednej chmurki, że

wydaje mi się, że wpadło mi do oczu kilka kropel ultramaryny. Wyczuwam, że Althea podziela przynajmniej część moich uczuć. Niewiele rozmawiamy, ale bardzo chciałbym móc podzielić się z nią tym, co mnie teraz wypełnia.

Wyładowuję płótna i prowianty, Althea staje obok mnie i przez kilka minut przygląda się naszemu domowi. Wiem, że to, co dzieje się teraz ze mną, na swój sposób dotyka także jej. Patrzymy sobie w oczy, a ona przytula się do mnie. Jesteśmy tacy szczęśliwi.

Mam zamiar namalować następny obraz przedstawiający skały. Tym razem będzie to formacja skalna wyrastająca ze zbocza po lewej stronie, jest to właściwie jedna skała, ale przecina ją wielka szczelina, dostatecznie szeroka, bym mógł włożyć w nią dłoń. Czuję chłód nocy w tym pęknięciu.

Przynoszę z domu cały sprzęt malarski. Zawsze zaskakuje mnie, jak wiele rzeczy musi ciągać ze sobą malarz, kiedy zabiera się do pracy nad płótnem. Sam akt malowania wydaje się tak wolny, nie ograniczony przez rzeczywistość, ale w końcu wszystko sprowadza się do rozsmarowywania pigmentów zmieszanych z olejem lnianym na kawałku materiału.

Rozstawiam nogi francuskich sztalug odkupionych od kolegi ze studiów, który uznał, że powinien studiować filozofię, a nie malarstwo. Podjął tę decyzję po zaledwie trzech semestrach. Kiedy rozmawialiśmy o jego motywach, czułem się tak, jak gdybym słuchał samego siebie. Przede wszystkim nie jest w stanie szanować wykładowców z wydziału.

— Do jasnej cholery, ile obrazów któregośkolwiek z nich widziałeś? Zachowują się tak, jak gdyby obawiali się, że dowiemy się, że nic nie wiedzą o malarstwie. Czy zdarzyło się kiedyś, by któryś z nich naprawdę malował, zademonstrował to, o czym ciągle mówi? Wydaje mi się, że wszyscy tylko pieprzą. Zmywam się stąd. Ukończyłem już dwa kursy na filozofii, tam też wszystko jest niejasne, ale oni przynajmniej potrafią wyrazić to na piśmie, więc mogę to w mniejszym lub większym stopniu zrozumieć.

Żał mi go było, ale ucieszyłem się, że dorobiłem się w ten sposób przenośnych sztalug. Nie używałem ich do tej pory, bo nigdy nie mieliśmy zajęć w plenerze. Wszystko odbywało się w pracowniach, malowanie martwych natur, które wędły, owoców, które wysychały, i modelek z jakiejś agencji, które od razu przyjeżdżały zwiędłe i wyschnięte.

Proszę bardzo, stoi przed nami naga kobieta, a zupełnie nie ma się czym podniecać. Prawdopodobnie jest to część moich osobistych problemów, ale rozmawiałem o tym z kolegami i ich odczucia były identyczne. Nic nie czują. Jeden z nich zacytował słynne polecenie, które Cezanne wydał ponoć swojej żonie: „Siedź jak jabłko!!!” Być może Paul Cezanne tyle tylko oczekiwał od swojej żony, ale żaden z nas nie ma podobnego stosunku do kobiet i jabłek, a przynajmniej żaden z chłopaków, z którymi o tym rozmawiałem. Ja chciałbym poczuć ich nagość, odsłanianie najbardziej intymnych części ciała. Modele są prawie tacy sami. Jedni są starzy i tłuści, nie można dostrzec w ich ciałach kości i rysunku mięśni. Młodzi zaś są głównie zainteresowani sobą nawzajem albo innymi obecnymi na sali mężczyznami, którzy ich malują.

Mężczyźni muszą nosić przepaski, ale to też nie ułatwia pracy. Kobiety pozują nago, jak gdyby nic nie miały do ukrycia, tak też często właśnie jest. Cała ta sytuacja jest niezdrowa. Odkrywam, że wszystkie obrazy namalowane w czasie takich zajęć uznaję za nieudane. Nie wiem, czy przyczyną są modele, sytuacja czy ja sam.

\* \* \*

Stoję na drodze, niedaleko od domu, by obraz obejmował większą przestrzeń. Najpierw szkicuję węglem, to wystarcza, bym mógł przejść do malowania. Nie sądzę, bym potrzebował dużo czasu na zagłębienie się w malowanych skałach.

Al przygotowuje kolejny referat z literatury, tym razem o Jane Austen i jej związkach z siostrą. Nie wydaje mi się, by naprawdę ją to interesowało, to tylko kolejny temat wymyślony przez wykładowcę.

Pracuję przez cały ranek i przechodzę do impastu, mniej lub bardziej zadowolony ze swego dzieła, kiedy czuję, że Al staje obok mnie.

— To wygląda świetnie, AL. Stanowczo jesteś lepszy w malowaniu krajobrazów niż martwych natur. Ale czy kiedy malujesz skały, można to jeszcze nazywać krajo- czy już raczej skałobrazem?

— Jestem malarzem od wszystkiego, Al, skałobrazów, niebobrazów, skórobrazów. Wystarczy, że powiesz, czego sobie życzysz.

Odrywam się od płótna. Kiedy wspomniałem o niebie, zauważyłem, że na moim obrazie nie ma wcale nieba. Skały opanowały mnie, sprawiły, że oślepiłem na wszystko poza nimi. Niebo potrafi być ładne, ale skały to dopiero coś wspaniałego.

— AL, umieram z głodu. Czy mógłbyś przerwać na chwilę? Nakryłam już do stołu.

Wycieram dłonie i myję pędzle odrobiną terpentyny. Kiedy skończę na dzisiaj, umyję je porządnie wodą z mydłem. Razem schodzimy po naszych magicznych schodach do naszego magicznego domu.

Jak na gotowe, kanapki nie są wcale złe. Na deser jemy ciastka. Wyciągam się na podłodze. Jednym z trudnych elementów pracy malarza jest konieczność ciągłego stania. Nigdy nie zdaję sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem spięty, dopóki nie skończę pracować i nie spróbuję się odprężyć. Teraz jestem jednak gotów wrócić do roboty. Nie dokończony obraz sprawia, że wciąż jeszcze kręci mi się w głowie.

— Wiesz, AL, będę naprawdę szczęśliwa, kiedy będę mogła dla ciebie gotować. Naszemu życiu brakuje bardzo ważnego elementu. Potrzebujemy prawdziwej kuchni, najlepiej z piekarnikiem, a przede wszystkim chciałabym mieć lodówkę.

— A nie wystarczy przenośna? Nie potrzeba do niej prądu. Powinniśmy się zastanowić, jak doprowadzić tutaj elektryczność. Nie będzie to chyba zbyt trudne, założę się, że moglibyśmy podłączyć się do linii, którą przeprowadzono właśnie nad nami.

— Jak uważasz, AL, jeśli tylko będę wtedy mogła dla ciebie gotować. Powinniśmy skompletować wyposażenie kuchni: noże, widelce, kilka garnków i patelni...

Widzę, że mówi poważnie. Nie chciałbym jej rozczarować, ale wcześniej musimy załatwić wiele innych spraw. Obejmuję ją.

— Wszystko w swoim czasie, AL Róbnymy wszystko po kolei, ty zajmiesz się teraz swoją Jane, a ja moim obrazem. Jeśli będziemy patrzeć za daleko w przyszłość, sparaliżuje nas strach. Spróbujmy cieszyć się tym, co już mamy, zgoda?

— Oczywiście, trochę mnie poniosło. Ale naprawdę tak myślę. Chcę naprawdę zostać twoją żoną. To chyba nie jest nic złego?

— Nie potrafię sobie nawet wyobrazić niczego lepszego, tylko że teraz potrafię myśleć tylko o skale, którą staram się namalować, i czterech innych obrazach, które chcę skończyć. Mam zamiar okleić je taśmą i powiesić na ścianie w Delta Ypsilon, a wreszcie sprzedać kilka, żebyśmy mieli pieniądze na dokończenie tego domu tak, jak sobie tego życzymy. Wtedy będziemy mogli się wprowadzić i... — zawieszam głos — ...i może mieć dzieci. Co o tym sądzisz?

— Wydaje mi się, że to ciekawa propozycja, lepsza nawet niż moje garnki, talerze czy nóż i widelec.

Stoję nieruchomo. Czasami sam nie wiem, jak coś powiedzieć, a potem okazuje się, że powiedziałem zbyt wiele. Jestem znowu gotów pozwolić swemu umysłowi zagłębić się w szczelinę w skale, podróżować wraz z pędzlem po jej powierzchni. Staram się podkreślić kontrast

gładkiej powierzchni skały z chropawą fakturą ściany ziemi i kamieni, która ją otacza. Paleta barw nie jest zbyt bogata, głównie barwy ziemi modulowane tu i tam przez błękity i fiole. Po trzech kolejnych godzinach malowania dochodzę powoli do wniosku, że już skończyłem. Plecy bolą mnie tak, że muszę zrobić kilka przysiadów, parę pompek, a potem rozciąganie, tak jak nauczyli mnie w szpitalu.

Schodzę do domu, widzę, że Althea pisze wiecznym piórem na żółtych kartkach z notesu. Nie pamiętam, by od czasów college'u zdarzyło mi się używać wiecznego pióra. Podnosi wzrok, kiedy stoję w drzwiach. Siedzi z podwiniętymi nogami na desce położonej na dwóch cementowych blokach, która służy nam zwykle za stół.

— Jak ci idzie, AL?

— Wydaje mi się, że skończyłem, jestem wykończony. Dzisiaj malowało mi się o wiele trudniej niż wczoraj. Ale wydaje mi się też, że o wiele lepiej.

— Świetnie, wyciągnij się na podłodze obok mnie i połóż głowę na mojej piersi.

— Cały bym cię wysmarował farbą, AL. Próbowałem zmyć z siebie plamy, kiedy myłem pędzle, a miałem farbę dosłownie wszędzie. Używałem kobaltowego błękitu na niebo i mam teraz wrażenie, że potrafi się samorzutnie rozmnażać. Nie panuję nad nim wcale.

— Chyba masz rację, AL, pokaż mi kark, zobaczę, co tam masz. Nie, nic takiego. Możesz się odprężyć.

— Jak tam Jane i Charlotte Austen? Jeśli dobrze pamiętam to, co czytałem i co mi opowiadałaś, były sobie bardzo bliskie jak na siostry.

— Charlotte naprawdę chroniła Jane. Nie tylko ją chroniła, zachęcała ją do pracy i wygląda na to, że była całkiem niezłym krytykiem. Takie właśnie podejście przedstawiam w swoim referacie, próbuję wykazać, jak ważna była Charlotte dla pracy Jane. Wydaje mi się, że Charlotte sama powinna była zostać pisarką.

— A nie została? Czy to nie ona napisała *Jane Eyre*?

— AL, mówisz o siostrach Brontë. Jane Austen i Emily Brontë to zupełnie inne osoby. To jakbyś mylił Moneta i Maneta.

— Wielu ludzi myli Moneta z Manetem, sam popełniłem kiedyś ten błąd, a przecież studiuje malarstwo. W pewnym stopniu nawet malowali podobnie, choć pod wieloma względami są bardzo różni. Wydaje mi się, że Emily Brontë przyszła mi na myśl dlatego, że, jeśli dobrze pamiętam, ona także miała ukochaną siostrę, która również pisała. Czy nie miała przypadkiem na imię Charlotte? Głupi malarzyna wszystko pokręcił. Dobrze, że nie potraktowałem serio rad doktora Worthama i nie przeniosłem się na anglistykę. Wywaliliby mnie po dwóch semestrach.

— Posłuchaj, AL, a wszystko zrozumiesz. Emily Brontë i Jane Austen różni o wiele więcej niż Moneta od Maneta, a jednak wydaje mi się, że nie jesteś jedyną osobą, która je myli.

— Byłaby z ciebie dobra nauczycielka. Potrafisz nawet usprawiedliwić moje błędy. Powinnaś wrócić do pracy.

— Jeszcze tylko chwila i skończę brudnopis. Możesz położyć się i odpocząć.

Gładzi dłonią moje czoło, wydaje mi się, że uspokaja w ten sposób moje rozwichrzone myśli. Tylko to niepokoi mnie w malarstwie. Wydaje mi się, że kiedy pracuję nad obrazem, tracę kruchy kontakt z tym, co ludzie z uporem nazywają rzeczywistością. Wychodzę z siebie, a powrót nie jest łatwy. Zastanawiam się, czy powinienem tak bardzo fascynować się motylami, może się to skończyć następnym załamaniem nerwowym w stylu Ptaśka. Nie, chyba nie. Nie chcę wcale latać jak motyl ani przechodzić przeobrażenia. Malowanie mi wystarczy.

Chyba zapadam w sen. Kiedy Al mnie budzi, jest już o wiele ciemniej.

— Jezu, AL, naprawdę byłeś zmęczony. Tak dobrze było trzymać twoją głowę na piersi, czułam się, jakbym miała dziecko.

— Niezły pomysł, Al, ale jeszcze nie teraz.

Przeciągam się. Dzisiaj nic już nie namaluję. Spoglądam na zegarek. Już prawie wpół do piątej.

— Pójdę złożyć sztalugi, podpisać obraz, spakować się i zniosę wszystko na dół. Gdzie chciałybyś zjeść dzisiaj kolację?

— Może na strychu? Pomyślałam, że moglibyśmy kupić coś na wynos w meksykańskiej restauracji, a może poszlibyśmy na żeberka do Kelbo's, gdzie można potańczyć?

— Obie propozycje są całkiem niezłe. Pomyśl, co wolisz, a ja w tym czasie zlikwiduję moje „studio”.

Kiedy docieram na górę, obraz wydaje mi się jeszcze lepszy, niż kiedy go zostawiłem. Może te same skrzaty, które ochlapały mnie całego farbą, trochę mi pomogły. Wycieram pędzle w najbardziej poplamioną szmatkę, a potem małym pędzelkiem podpisuję obraz i opatruję go datą. To — nawet bardziej niż samo malowanie — sprawia, że czuję się jak prawdziwy malarz. Przyczepiam obraz do przenośnych sztalug, wkładam całość do jeepa i schodzę do Althei.

Ona wita mnie okrzykiem:

— Jedziemy do Kelbo's!!!

\* \* \*

Okazuje się, że kupienie taśmy samoprzylepnej jest niemożliwe. Dowiaduję się, że mógłbym coś takiego znaleźć w pewnym zakładzie introligatorskim. Używają takiej taśmy do wzmacniania grzbietów oprawianych książek, ale jest bardzo droga. Jestem gotów zainwestować nawet sto dolarów w taśmę i wygląda na to, że tyle będę musiał zapłacić. Nie jestem pewien jednak, czy stać mnie na taką inwestycję. Dowiaduję się w dziale administracji, gdzie facet od rachunków mówi mi, że nie pokryją kosztów. Próbuję wyjaśniać, do czego mi potrzebna, ale on żyje w innym świecie, ma inne priorytety. Nie sądzę, by w ogóle aprobował fakt wydawania pieniędzy z paragrafu szesnastego na malowanie obrazów, nie mam więc co wspominać o taśmie. Wyklócanie się nie ma żadnego sensu.

Wyruszam więc Motylkiem i po dłuższych poszukiwaniach i wypytywaniu po sklepach znajduję mały zakład niedaleko stacji kolejowej Chinatown. Zabrałem ze sobą sto dolarów, które właśnie wyciągnąłem z banku. Wciąż jednak się waham.

\* \* \*

Przez następny tydzień, między zajęciami, oklejamy obrazy, które postanowiłem wystawić. W sumie ograniczyłem się do dwudziestu. Pięć bardzo chcę zatrzymać, opatrzę je więc od razu tabliczkami „Sprzedane”. Następną dziesiątkę zamierzam wystawić na sprzedaż za bardzo wysokie ceny.

Prawda jest taka, że nie jestem wcale pewien, czy komisja konkursowa przyjmie którykolwiek z nich, ale czuję, że jeśli nie cenię ich dostatecznie wysoko, by przystąpić do konkursu, oznacza to, że może źle wybrałem zawód.

Wspólnie oklejamy obrazy taśmą. Al pomaga, przycina, a potem przytrzymuje ją. Postanawiamy, że taśma może zachodzić na trzy milimetry na powierzchnię płótna. Przydaje to obrazom solidności. Wyglądają, jakbym oprawił je w złoto albo srebro, tylko takie taśmy udało mi się kupić. Dziesięć obrazów oklejamy złotą, a dziesięć srebrną taśmą. Introligator nie miał większego zapasu żadnego z kolorów. Był wyraźnie zdziwiony tym, co zamierzam zrobić z taką

ilością kolorowej taśmy samoprzylepnej. Próbowałem wyjaśniać wszystko dokładniej, ale gapił się na mnie, jakbym był kolejnym świrem, który próbuje się wedrzeć do jego starannie uporządkowanego świata. Może ma rację, ale za późno już, bym mógł się wycofać. Uśmiechnąłem się do niego i uciekłem.

Kiedy wszystkie obrazy są już gotowe, ponownie rozwieszamy je po całym strychu. Mamy prywatny wernisaż dla dwóch osób. Po raz pierwszy mam możliwość oglądać tak wiele moich prac.

Przewożę obrazy do sali gimnastycznej dla chłopców, gdzie ma się odbyć część konkursowa. Organizatorzy każą mi wrócić za dwa dni, wtedy poznam rezultaty. Nie patrzą nawet na obrazy, które wyładowuję z jeepa. Ogarnia mnie wrażenie, że nie mam żadnych szans na wygranie czegoś, by nie wspomnieć nawet o sprzedaniu choćby jednego płótna.

Al ma zupełnie przeciwne wrażenie. Jest zaskoczona, jak wiele obrazów wisi już na wystawie, uważa, że moje są o wiele lepsze. Ale w końcu nie jest obiektywna. Nie rozglądałem się zbyt wiele i muszę przyznać, że patrzyłem raczej na ramy niż na obrazy. Jednak z tego, co widziałem, nie wyglądały zbyt dobrze, nawet w pięknych ramach. Malowanie i oglądanie obrazów jest sprawą bardzo osobistą, trudno zastosować osobistą estetykę do pracy innego twórcy. Już teraz czuję, że najtrudniejsze dla mnie będzie to właśnie, że jako malarz będę musiał oceniać cudze prace i nauczyć się żyć z tym, co sam robię, a jednocześnie nie zamykać się na twórczość innych.

W następnym tygodniu wracamy do naszych zwykłych zajęć. Dowiaduję się o różne możliwości naprawy naszego dachu. Zaciekawia mnie możliwość pokrycia dachu specjalnym kamieniem, który jest bardzo biały i dobrze odbija światło, zapewnia przy tym maksymalną izolację. Dzwonię tu i tam i w końcu znajduję zakład, który specjalizuje się właśnie w takich pokryciach dachów.

W sobotę jedziemy Sepulveda Pass i dalej Ventura Boulevard, żeby znaleźć ten zakład. Położony jest w North Valley, miejscowość nazywa się Northbridge, w końcu trafiamy na miejsce. Właścicielami są dwaj chłopcy mniej więcej w moim wieku. Wyjaśniam im, czego mi potrzeba, a oni przekonują mnie, że powinienem zatrudnić ich do tej roboty.

— Najlepiej będzie, jeśli weźmiecie nas do tej pracy. To zaoszczędzi wam kłopotu z topieniem smoły, układaniem kamienia, no i z transportem. Mamy nawet materiały, które zostały po dużym zamówieniu, wystarczą w zupełności na dach, o jakim mówicie.

Siada i zaczyna pisać na jednym z wielkich worków kamienia, które trzymają na podwórzu swojego zakładu. Píše i mamrocze coś pod nosem. Kiedy wypisuje ostateczną cenę, widzę, że jest ona do przyjęcia, a praca zostanie wykonana profesjonalnie. Spoglądam na Al.

— Co o tym sądzisz?

— Martwiłam się, że mógłbyś zabrać się do czegoś takiego sam, AL. Widziałam już przecież, jak chodzisz po dachu.

I tak zapada decyzja. Mają zabrać się do pracy następnego dnia. Wpłacam połowę należności, resztę ureguluję po zakończeniu pracy. Uściskiem dłoni przybijamy umowę i umawiamy się na jutro, żebym mógł z nimi pracować. Chcę im pomóc, żeby samemu nauczyć się czegoś i nadal mieć wrażenie, że jest to mój dom, który sam sobie zbudowałem.

Rozmawiamy o tym przez całą drogę powrotną, jedziemy przez Walnut Hills. Przejeżdżaliśmy tędy tylko raz. Z mojego punktu widzenia nie jest to szczególnie piękne miejsce, ale na pewno robi wrażenie. Odkrywamy, że mamy do wyboru dwie drogi, Topanga Canyon Boulevard i równoległą drogę Old Topanga Canyon Boulevard. Żadnej z nich nie nazwałbym bulwarem, to wąskie, kręte drogi, ale przywykliśmy już do takich.

Kiedy docieramy do Fernwood Pacific, a potem do Horseshoe Drive, czujemy się jak prawdziwi odkrywcy. Przyglądamy się naszemu domowi i próbujemy wyobrazić sobie, jak

będzie wyglądał z lśniącym, białym dachem z kamienia. Oboje jesteśmy podekscytowani.

Następnego dnia sadowię się na dachu w roli komitetu powitalnego, kiedy dekarze wjeżdżają wyładowaną ciężarówką w Horseshoe Drive. Dokładnie opisałem im trasę, ale z dachu mogę zobaczyć, czy nie pomylili zakrętu. Schodzę na dół, zanim docierają do domu.

Włożyłem dzisiaj najbardziej zniszczone ubranie, które zwykle zakładam do malowania. Domyślam się, że czeka mnie ciężki dzień. Wychodzę do nich po schodach, wymieniamy uściski dłoni na powitanie.

— No cóż, muszę przyznać, że ten dach rzeczywiście wymaga sporo pracy — mówi jeden z mężczyzn.

Przywieźli ze sobą wszystko, co potrzebne: drabiny, butlę gazową, beczkę, smołę i papę. Od razu zabieramy się do roboty. Proszę ich, żeby mówili mi po imieniu, oni także mi się przedstawiają. Jeden ma na imię Butch, drugi Duke. Razem zaczynamy smołować dach.

Przypomina mi się dzieciństwo w Filadelfii, kiedy kręciłem się koło ekip pokrywających ulice asfaltem i zebrałem o kawałek smoły. To była taka nasza guma do zucia. Prawdopodobnie przeżerała nam wnętrzności, by nie wspomnieć o zębach. Nam jednak podobało się, że są czarne, i chociaż moja mama ostrzegała, że od smoły powypadają mi wszystkie plomby, dla nas był to smakołyk.

Butch i Duke świetnie się rozumieją. Widać, że pracują razem od bardzo dawna. Staram się nie wchodzić im w drogę. Rozwijają rolki papy i Butch przycina ją specjalnym nożem. Potem znów smarują smołą następny kawałek dachu i pokrywają go papą — I tak bez przerwy do czasu, aż Butch ogłasza fajrant.

Mają ze sobą termosy z kawą i drugie śniadanie. Tylko ja nic nie mam. Postanawiam zjechać na dół i kupić coś do jedzenia.

Kupuję kilka bułek, dwa plastry szynki i coca colę. Jadę od razu z powrotem. Kiedy docieram na miejsce, już skończyli jedzenie, przenoszą właśnie wielkie płócienne worki z kamieniem. Mówią, żebym najpierw coś zjadł, i tak muszą jeszcze przygotować dach do następnego etapu.

— Następny etap nie jest tak męczący — mówi Butch — ale trochę bardziej skomplikowany. Zaczniemy od pokrycia papy grubszą warstwą smoły. Następnie posypimy smołę kamieniami. Tajemnica polega na tym, że trzeba je rozsypać równo, dostatecznie grubą warstwą, by całkowicie pokryły smołę. Musimy pracować szybko, żeby smoła nie zastygła, kiedy będziemy rozprowadzać kamień.

Pracujemy na maksymalnych obrotach, dokładnie tak, jak zapowiadał Butch. Duke biega po zboczu z kolejnymi wiadrami smoły. Odbieram od niego wiadro i rozprowadzam smołę po dachu najszybciej, jak potrafię.

Butch rozsypuje kamień małą szufelką i pokrywa nim świeżo rozprowadzoną smołę. Później deską wygładza powierzchnię.

W tym czasie Duke już biegnie z następnym wiadrem smoły, które podaje mi ze szczytu drabiny, ja znowu przechodzę w miejsce wskazane przez Butcha i rozprowadzam ją po dachu, by mógł wysypać następną porcję kamienia. Robota jest ciężka i wykonujemy ją w błyskawicznym tempie. Zastanawiam się, jak mogą robić to codziennie. Wydawało mi się, że jestem w niezłej formie, ale to już stanowczo zbyt wiele dla mnie.

W pewnym momencie Butch mówi:

— Świetnie sobie radzisz. Może zaproponuję ci u nas robotę. A tak przy okazji, czym się właściwie zajmujesz?

— Jestem malarzem. Maluję obrazy.

Spoglądamy na siebie i wybuchamy śmiechem. Śmiejemy się wciąż, kiedy Duke wraca z następnym wiadrem smoły.

— Co jest grane, Butch, facet dostał ataku hysterii?

— Nie. Właśnie mi powiedział, że jest malarzem. Wyobraź sobie tylko, pacykarz na dachu. Pomysł jak z filmu o Flipie i Flapie.

W miarę jak posuwamy się naprzód z robotą, widzę, że artystyczna część przedsięwzięcia zdecydowanie należy do Butcha, który rozsypuje i wyrównuje kamienie.

Kończymy jedną stronę dachu i zaczynamy tę samą procedurę na drugiej. Widok naprawdę robi spore wrażenie. Dach wygląda zupełnie jak nowy.

Kiedy Duke schodzi ze wzgórza z ostatnim workiem na uginających się nogach, wygląda jak żywy trup. Czy naprawdę można pracować tak ciężko każdego dnia i przeżyć? Przy tych facetach czuję się jak kompletny mięczak.

Butch i ja rozprowadzamy smołę i kamień do końca. Butch dociska jeszcze butem kamienie, które nie przykleiły się do smoły. Ostrożnie chodzimy po całym dachu, szukając takich. Wszystko wygląda jak należy. Szczerze mówiąc, dla takiego amatora jak ja wygląda to wprost fantastycznie. Nie mogę już doczekać się chwili, kiedy będę mógł spojrzeć na całość z góry.

Schodząc na dół, z ledwością utrzymuję się na nogach.

Widzę, że Duke wszystko posprzątał i zapakował cały sprzęt na pakę ciężarówki. Sięga pod siedzenie w szoferce i wyciąga przewoźną lodówkę, z której wyjmuję trzy piwa. Otwiera je swoim szczyrykiem. Podaje po butelce Duke'owi i mnie. W takich chwilach piwo naprawdę smakuje wyśmienicie. Prawie już o tym zapomniałem. Wszyscy trzej opróżniamy nasze butelki jednym długim łykiem. Robi się coraz ciemniej i chłodniej.

\* \* \*

Muszę teraz nadrobić zaległości w szkole, gdzie nie pojawiałem się przez kilka dni. Próbuję też ustalić listę swoich priorytetów.

Staram się wyjaśnić tę kwestię Althei.

— Postuchaj, Al, kiedy pracowałem z tymi facetami na dachu, doznałem prawdziwego objawienia. Zapomniałem, jak wielu ludzi na świecie, nie tylko w Ameryce, pracuje bardzo ciężko, do granic wytrzymałości, a ich praca nie kończy się aż do śmierci. Nam wszystko przychodzi tak łatwo, ostatnie dni, tygodnie, miesiące, a nawet lata były jak sen. Czuję się winny, ogarnia mnie poczucie odpowiedzialności. Wiem, że dlatego, że jesteśmy razem, mieszkamy razem, a ty dajesz mi odwagę i siłę, jakich nigdy dotąd nie miałem. Tego właśnie szukałem przez większą część swojego życia, często okłamując samego siebie, że różnię się od innych ludzi.

— Daj spokój, AL, wiesz, że jesteś inny, lepszy. Myślę, że jesteś po prostu cudowny. Wiem, że powiesz mi to, co zwykle, że moja opinia się nie liczy, bo cię kocham, ale właśnie dlatego cię kocham, dlatego, że jesteś taki cudowny i inny.

Rozmawiamy tak na naszym strychu, już po zgaszeniu światła. Oboje leżymy w jej śpiworze. Minęły już trzy dni od tego, co nazywam moim „dniem na dachu”. Wiem, że moje przemyślenia wynikają z próby ustalenia hierarchii wartości, wiedząc to, chciałbym uzyskać od Al potwierdzenie, że nasze priorytety są podobne. To jednak nie wszystko.

Martwię się, ponieważ nie kontaktowało się jeszcze ze mną jury konkursu. Rozmawiałem o tym z kilkoma kolegami z wydziału, z nimi również nikt się nie kontaktował i oni także są zaniepokojeni. Tak wiele od tego zależy.

— Al, lista moich priorytetów jest następująca. Pierwszy jest nasz związek. Druga jest moja kariera malarska. Następna jest twoja kariera, twoje życie. Ale właściwie tak niewiele o tobie wiem... Martwi mnie to. Powiedz, a zrobię wszystko, co będę mógł, żeby ci pomóc.

— AL, jestem taka jak ty, i dla mnie to ty jesteś w życiu najważniejszy. Moje życie dzieli na



dwie części PA i OA: przed ALem i od ALa. Nie mam żadnych zdolności twórczych jak ty. Jestem inteligentna, lubię poezję, literaturę, dają mi wiarę i nadzieję, że życie może być dobre tak jak nasza miłość. Mam nadzieję, że znajdę sobie miejsce w świecie, jestem pewna, że potrafię to zrobić. Prawdopodobnie razem osiągniemy takie życie, o jakim marzymy, jeśli zdołamy zachować zdrowie i spokój w tym zwariowanym świecie.

Milknie. Przytulam ją mocniej do siebie, a ona odpowiada uściskiem. Po raz pierwszy czuję ogarniające mnie podniecenie. Odsuwam koszulę, w której sypia Al, i biorę w dłoń jej pierś. Całuję ją mocno. Leżymy tak, wydaje mi się, że oboje jesteśmy szczęśliwi, zadowoleni, że jesteśmy tak blisko siebie.

— Nie masz nic przeciwko temu, Al? Tak bardzo chcę być blisko ciebie. Nie przeszkadza ci to?

— Oczywiście, że nie. Jestem częścią ciebie i mój opór zaczyna słabnąć. Leżmy tak, aż się pozbiaram. Wciąż czuję dawny lęk, podejrzliwość, wątpliwość, niepewność, ale kiedy jesteś tak blisko mnie, te uczucia słabną. Wydaje mi się, że oboje tego chcemy i potrzebujemy. Trudno mi o tym mówić, ale chyba nadchodzi odpowiednia chwila. Nie zepsujmy jej.

Przysuwa ku mnie twarz, ma rozchylone usta. Czuję, że moje podniecenie narasta. Odchyła głowę, a ja całuję jej szyję. Skóra jest jedwabista, zagłębiam nos w jej uchu. Jej ciało to sztywnieje, to się rozluźnia. Ja czuję to samo, przyjmuję przyływy i odpływy naszego wzajemnego podniecenia. Moje genitalia reagują w identycznym rytmie. Przysuwam się blisko, tak że musi zdawać sobie sprawę z tego, co dzieje się z moim członkiem, kiedy wciskam go między jej nogi. Z żadną kobietą nie czułem jeszcze takiej bliskości, nawet w młodości, wtedy szukałem u dziewcząt jedynie zaspokojenia, miałem na uwadze jedynie własne potrzeby.

Ściągam bokserki, wkopuję je na koniec śpiwora. Althea ponownie sztywnieje. Wszystko to dzieje się tak, jak gdyby żadne z nas nie panowało nad sytuacją, ulegamy sile, która popycha nas naprzód. Czuję, że zbliża się orgazm, właściwie dochodzi do niego, zanim zdążę zorientować się, co dzieje. Przypomina mi to gorącą smołę spływającą z dachu. Znowu czuję się tak, jak gdybym nad niczym nie panował, był jedynie instrumentem jakiejś potężniejszej siły. Oddech Al jest przyspieszony. Całuję ją po twarzy, kiedy przychodzi kolejny wytrysk. Próbuje odsunąć się ode mnie, ale leżymy pomiędzy legarami, jej całe ciało drży podobnie jak moje. Mam nadzieję, że nikt nie próbuje nasłuchiwać, co dzieje się na strychu. Na pewno by nas usłyszał.

Wyczerpani, leżymy obok siebie w ciemnościach, zaspokojeni, uspokojeni. Chciałbym zobaczyć twarz Althei, sprawić, by mogła zobaczyć moją twarz, byśmy mogli podzielić się tym, czym podzieliły się nasze ciała, nie chcę jednak niszczyć magii tej chwili. Wydaje mi się, że oboje zasypiamy na chwilę.

Budzę się, czując bardzo delikatne pocałunki Al na swojej twarzy. Łagodnie pieści mój sutek. Chwytam jej dłoń.

— Wiesz, która jest godzina?

— Nie i wcale nie chcę wiedzieć. Pragnę, żeby ta chwila trwała jak najdłużej.

— Ja też. Jest nam ze sobą tak, jakbyśmy stanowili jedność. — Chciałbym jednak po tej zmysłowej przerwie wrócić do naszej rozmowy. Po rytmie jej oddechu wyczuwam, że czeka. Biorę głęboki wdech. — Naprawdę chciałbym się przekonać, czy zdołam nas utrzymać ze swego malarstwa. Wiem, że nie chcę robić nic komercyjnego, nie chciałbym nawet malować portretów na zamówienie. Zdaję sobie sprawę, że wielu dobrych malarzy tak właśnie zarabiano na życie, prawdopodobnie nawet większość.

— Co zatem zrobisz, AL? Ja też się nad tym zastanawiałam, ale nie doszłam do żadnych konkretnych wniosków. Może w naszych czasach są malarze, którzy zarabiają dostatecznie dużo przez rok, może pięć czy dziesięć lat, ale rynek sztuki zmienia się tak szybko, że trudno nawet

wyobrazić sobie kogoś, kto mógłby utrzymywać się wyłącznie z malowania. Oczywiście, zawsze można uczyć, ale nie byłbyś szczęśliwy, gdybyś musiał robić to dla pieniędzy. To uczciwe zajęcie, ale prawdopodobnie za mało satysfakcjonujące dla ciebie.

Czuję, że ona naprawdę rozumie, o co mi chodzi, i bardzo się z tego cieszę.

— Myślę, że powinniśmy dalej robić to, co już robimy, budować dla siebie gniazda jak ptaki, małe gniazdzka, w których będę mógł pracować, a ty zamieszkaż ze mną i będziesz robić to, co uznasz za ważne dla siebie. Pragnąłbym też, żebyśmy mieli dzieci, choć nie są one moim celem samym w sobie, chciałbym, abyśmy byli gotowi na ten moment, kiedy już nadejdzie. Chciałbym malować otoczony przez dzieci. Niewiele wiem o takim życiu, ale wydaje mi się, że obecność dzieci miałaby na mnie dobry wpływ jako na artystę. Czuję, że w każdym prawdziwym artyście tkwi dziecko i jego szczególny sposób widzenia, jego wyjątkowość i świeżość wymagają wzmocnienia.

Althea kładzie głowę na mojej piersi. Przesuwa palcem dookoła moich sutków. Wywołuje to przyjemne uczucie na szyi poniżej uszu.

— Chciałbym zatem malować to, co pojawia się w moim życiu i wydaje ważne, czy będą to motyle, ziemia, skały, piasek, krzaki porastające kanion, słońce, cień, powietrze, niebo, może nawet zwierzęta czy niezwykle błogosławieni albo przekłęci ludzie, którzy staną na mej drodze. Chcę malować wszystko to, co mnie porusza, sprawia, iż czuję, że żyję i jestem tego częścią. Rozumiesz?

Czuję, że nie podnosząc głowy z mojej piersi, kiwa nią potakująco.

Milknę. Al wciąż słucha. Ja też słucham sam siebie. Gadam jak wariat, ale to przecież oczywiste w moim wypadku. Mówię o moim malowaniu, o tym, jak zamierzam sprzedawać moje płótna, jakie techniki stosować. Mógłbym tak mówić i mówić, Althea słucha mnie i wiem, że mnie rozumie. Może nigdy nie będę musiał robić niczego wbrew sobie. Al wymyśliła wspaniały system sprzedaży moich obrazów. Ma zamiar sporządzić katalog moich płócien, który byłby co roku aktualizowany. Rozsyłalibyśmy go tym osobom, które już wcześniej kupiły jakiś mój obraz. Płótna wysyłałibyśmy na konkretne zamówienia. Jest pewna, że dzięki temu uda mi się sprzedać mnóstwo obrazów. Mam nadzieję, że ma rację.

## ROZDZIAŁ XX

Z tą chwilą rozpoczyna się moja kariera malarska. Pokaz organizowany przez Delta Ypsilon okazuje się, przynajmniej dla mnie, ogromnym sukcesem. Pierwszego dnia, podczas wernisażu, sprzedaję wszystkie obrazy za cenę, z jaką je wystawiłem. Co więcej, trzy osoby odnajdują mnie po wystawie i kupują prawie wszystko, co zgadzam się sprzedać.

Niezadowolonym mogę powiedzieć tylko na pocieszenie, że to wina kupujących, jeśli w ogóle mogę ich o coś winić.

Mamy teraz pieniądze, więcej niż kiedykolwiek. Mam jednak także wrogów. Wywodzą się przede wszystkim z kadry profesorskiej. Według nich to niewybaczalne, że zdominowałem wystawę, mimo że w ich konkursie nie zdobyłem żadnej nagrody.

Idąc za radą Paula, milczę, nie próbuję się bronić. Kiedy ktoś, student albo wykładowca, skarży się, uśmiecham się tylko, podaję nazwiska kupców i życzę im powodzenia. Dostajemy pieniądze, w sumie ponad pięć tysięcy dolarów, co wystarczy na wykończenie naszego domu i zakup tego, czego jeszcze w nim brakuje: toalety, zlewów, elektrycznego grzejnika i, cudu nad cudami, ogromnej lodówki, która kosztuje trzysta do — larów. Uznajemy ją za naszego cadillaca.

W Armii Zbawienia kupujemy biurko dla Al, by miała gdzie trzymać swoje papiery i notatki. Zaczyna prowadzić listę osób, które kupiły moje obrazy, w ten sposób wprowadza w życie swój program sprzedaży. Jak na anglistkę, byłaby z niej całkiem niezła księgowa.

Kupujemy także zestaw mebli z klonowego drewna do jadalni, której właściwie nie mamy. Szuwaksem zasmarowuje — my wszelkie ubytki i rysy i meble wyglądają jak nowe, przy — najmniej dla nas, a w końcu tylko to się liczy. Al twierdzi, że możemy wykorzystać jako jadalnię przejście pomiędzy pokojem a kuchnią. I tak oto ten fragment mieszkania nadaje się na godne miejsce dla naszej wspaniałej lodówki.

Wariuję kompletnie i ciągle ssę kostki lodu. Lodówka, którą mieliśmy w domu w Filadelfii, nie miała zamrażalnika, a ja zawsze lubiłem ssać lód. Teraz możemy nawet robić sobie własne lodowe lizaki ze słodkiej oranżady, nalewamy ją do kubków i wtykamy patyczki.

Kiedy nasz dom nadaje się już do zamieszkania, coraz częściej zdarza mi się myśleć o mamie i Mario, o tym, jak bardzo spodobałoby im się to miejsce. Wolałbym jednak nie zapraszać tutaj taty, który na pewno skrytykowałby wszystko, co kocham, a tego mi nie potrzeba.

Mama nie potrafi dostatecznie dobrze czytać i pisać, bym mógł z nią korespondować. Pisałem do niej przez całą wojnę, ale nie była to prawdziwa korespondencja, bo nie potrafiła odpowiedzieć na moje listy. Postanawiam w końcu poczekać trochę, zanim przywiozę tutaj mamę, może wybiorę moment, kiedy tato będzie w pracy.

W Armii Zbawienia kupujemy przedmioty, które zdaniem Al są niezbędne w prawdziwym domu: sztućce, noże kuchenne, komplet sześciu talerzy ozdobionych kolorowymi kwiatkami, garnki i inne naczynia, a także brytfannę, która przyda się do pieczenia potraw w piekarniku naszego piecyka, także kupionego w Armii Zbawienia za jedyne pięćdziesiąt dolarów.

Dzięki Al kupujemy najróżniejsze rzeczy, na przykład firanki, o których ja nigdy bym nie pomyślał. Chce je powiesić również w naszym wielkim oknie, ja jednak się temu sprzeciwiam.

— Ależ, AL, ludzie będą mogli zaglądać nam do środka, kiedy tylko zechcą, nie będziemy mieli ani odrobiny prywatności.

— Szczerze mówiąc, ilu widziałas z tego okna ludzi, którzy mogliby do nas zajrzeć?

— Mogą mieć teleskopy albo lunety, coraz więcej ludzi będzie się osiedlało w okolicy, mogą być wśród nich jacyś podglądacze.

— Jakoś sobie z tym poradzę, Al, przede wszystkim dlatego, że najprawdopodobniej nigdy do tego nie dojdzie. Ale jeśli cię to uszczęśliwi, możesz powiesić po obu stronach kawałki materiału, które będą wyglądać jak odsunięte zasłony. Możemy uszyć je sami, zgoda?

Zgadza się, a niby — zasłony wyglądają znakomicie. Tworzenie domu sprawia mi wiele radości. Buduję także półki na książki po obu stronach naszych „zasłon”. Przewozimy jeepem wszystkie książki z naszego strychu. Motylek ciężko znosi przewodzkę, wykorzystujemy go w bezwzględny sposób. Dochodzę do wniosku, że dawno nie zajmowałem się motylami. Może skoro znalazłem partnerkę i gniazdo, nie mam już tak silnej potrzeby metamorfozy. Czuję, że staję się całością. Mam nadzieję, że to się już nie zmieni, że nie wrócę nigdy do dawnego stanu. Gdyby do tego doszło, byłbym naprawdę nieznośny i na dłuższą metę straciłbym wszystko, co dotychczas osiągnąłem.

Naszą drugą wielką inwestycją jest dywan ze szmatek, oczywiście tak naprawdę nie jest wcale zrobiony ze szmatek, tylko tak się nazywa i wygląda. Znajdujemy go w domu handlowym Sears Roebuck i nie potrafimy mu się oprzeć, ma owalny kształt i jest tak duży, że ledwo mieści się w naszym pokoju. Choć płacimy za niego sporo pieniędzy, właśnie ten dywan, bardziej niż cokolwiek innego, sprawia, że nasza chatka wygląda jak prawdziwy dom.

Oboje kończymy studia w czerwcu. Al, jak przepowiadała, z wyróżnieniem jako członkini Phi Beta Kappa. Moje nazwisko znajduje się na liście pod C. Jestem naprawdę dumny z Al, kiedy wstaje i odbiera swój dyplom ze wszystkimi dodatkowymi nagrodami, na które sobie zasłużyła. Mam na sobie zwyczajną wypożyczoną togę, cieszę się, że ten eksperyment się zakończył. Zdobyłem dzięki niemu Al, a to wszystko, czego chciałem i potrzebowałem.

Brakuje mi moich obrazów, które sprzedałem w tak szaleńczym tempie podczas wystawy. Zatrzymałem sobie dziesięć, ale bez reszty czuję się tak, jakby obcięto mi nogi na wysokości kolan. Powinienem chyba teraz zakupić większe ilości materiałów malarskich, które mógłbym zachomikować, zanim dział weteranów odetnie mnie od źródła.

Idę do tej samej sprzedawczynie, u której kupiłem płótno i farby przed moim „szaleństwem” związanym z wystawą w Delta Ypsilon. Pamięta mnie, poszła nawet na wystawę, żeby zobaczyć, jak wykorzystałem swoje nieuczciwie zdobyte łupy. Wyjaśniam jej, co zamierzam zrobić tym razem, a ona postanawia mi pomóc.

Kupuję dwie duże bele płótna. Powinny mi wystarczyć na jakiś czas. Kupuję też dziesięć zestawów deseczek na blejtramy, dziesięć sześćdziesięciocentymetrowych i dziesięć dziewięćdziesięciocentymetrowych. Kupuję także dwie trzyipółlitrowe puszki podkładu oraz dwa i pół kilograma kleju rybnego. Postanawiam zdejmować z blejtramów obrazy, których nie uda mi się sprzedać, i zwijać płótna. Jeśli to konieczne, może ono leżeć zwinięte nawet trzy lata. A do tej pory, jeśli sądzić z tego, co dzieje się obecnie na świecie, może nas już w ogóle nie być. Ludzkość niczego się nie uczy na swoich błędach.

Odczekuję jeden dzień i idę kupić pędzle, cały zestaw, od najmniejszych do największych, wszystkie marki Windsor Newton. Zupełnie się rozpuściłem, ale może w ten sposób uda mi się sprzedać więcej obrazów, kto wie? Plan jest otwarty, więc mogę wybierać, co będzie mi potrzebne na dłuższą metę, jednocześnie uzupełniając pojawiające się braki. Wkrótce mam zapas farb, który powinien wystarczyć na rok.

Althea nie ma już żadnych zajęć. Jedyne kursy, który zajmuje jej czas, nie jest umieszczony w żadnym uniwersyteckim katalogu. Jest to kurs prowadzenia samochodu pod kierunkiem Alfonsa Carmen Columbato. Przez całe lato wieczorami, kiedy kończymy pracę, jeździ po krętych drózkach w okolicach naszego domu. Okazuje się urodzonym kierowcą, po kilku pierwszych dniach jeździ równie dobrze, jak ja, jeśli nie lepiej. Jeśli chodzi o zatrzymywanie się na stoku,

zaciąganie ręcznego hamulca i ruszanie bez zsuwania się z górki, jest wprost cudowna.

Po zaledwie tygodniu nauki zawożę ją do wydziału komunikacji w Santa Monica, aby otrzymała „prawo jazdy ucznia”. Musi w tym celu zdać egzamin pisemny. Teraz, aby przygotować się do właściwego egzaminu, ma przed sobą dziewięćdziesiąt dni na naukę jazdy pod opieką doświadczonego kierowcy, to jest moją. Kiedy odbieramy dokument, Althea przepycha się do biurka faceta z wydziału komunikacji. — Czy mogłabym od razu przystąpić do egzaminu? Facet uśmiecha się i rozsiada się wygodniej na krześle. Właśnie skończył ocenianie jej testu pisemnego, trzyma go w ręku, ani jednego błędu. A przecież nie podejrzewam, by Al przynajmniej raz przeczytała kodeks drogowy.

— Nie może pani. Przepisy to przepisy, teoretycznie nigdy nie siedziała pani za kierownicą.

Robię krok w tył. Mogą przyczepić się do mnie, a jeśli stracę prawo jazdy, znajdziemy się w kłopotach. Moje prawo jazdy będzie ważne jeszcze przez rok, więc na razie wszystko jest w porządku. Powinienem był pomyśleć, zanim przyprowadziłem tutaj Altheę, która do wszystkich spraw podchodzi z tym samym nastawieniem „cała naprzód”.

— Potrafię prowadzić. Przyznaję się — mówi. — Mam najlepszego nauczyciela w okolicy, mojego męża.

Już widzę jego morderczy uśmiech.

— Potrafisz parkować, kochanie? Czy potrafiłabyś zaparkować na stoku i ruszyć tak, by samochód nie stoczył się z górki?

Teraz ja zaczynam się uśmiechać. Facet sam nie wie, w co się pakuje.

— Oczywiście, że potrafię. Czy mogłabym podejść do egzaminu? Jestem pewna, że zdam.

Naprawdę zaczyna naciskać. Al nie potrafi się wycofać, kiedy znajdzie się w takiej sytuacji. W jakiś dziwny sposób wciąż próbuje coś udowodnić, wypróbować ludzi.

— Dobrze, słoneczko, sama tego chciałaś.

Sięga po podkładkę z wytartymi kartkami i wychodzi zza biurka. Althea posyła mu uśmiech. Powinien był się zastanowić, zanim nazwał ją „słoneczkiem”. Ja już się tego nauczyłem. Prowadzi nas na zaplecze biura, gdzie zaparkowałem Motylka. Kiedy facet go widzi, staje jak wryty. Althea wskakuje za kierownicę. Ja siadam z tyłu.

— Czy właśnie tym samochodem chce pani jeździć podczas egzaminu? — Egzaminator podnosi wzrok i wpatruje się w Al. — Jest pani pewna, że umie prowadzić ten samochód? Te potwory potrafią być nieprzyjemne.

Al kiwa głową. Facet obchodzi samochód i poleca Al, by włączyła reflektory, kierunkowskazy, a potem nacisnęła hamulec, żeby sprawdzić światła stopu. Dzięki Bogu, wygląda na to, że jest zadowolony. Wsiada. Odwraca się do mnie i zauważa stolik zamontowany na ogryzku podstawy karabinu. Zdjąłem płócienną osłonę, ponieważ o tej porze roku jest właściwie niemożliwe, by w południowej Kalifornii spadł deszcz. Poleca, bym wysiadł z jeepa.

— Pan tu zostaje. Ta pani zdaje egzamin, a w czasie jazdy egzaminacyjnej nie wolno przewozić pasażerów. Wystarczy, że ja ryzykuję życie, skoro dam się wozić kobiecie takim wozem, pan niech się lepiej odsunie.

Zeskakuję na ziemię. Na znak egzaminatora Al włącza silnik i wrzuca bieg, poprawia jeszcze lusterko wsteczne. Kiedy ruszają, w duchu szepczę kilka życzeń, prawie modlitw. Macham im na pożegnanie, jak gdyby wybierali się na morską wyprawę. Al, skoncentrowana, nie zwraca na mnie uwagi.

Nie ma ich przez ponad pół godziny. Zaczynam się już martwić. Nagle jeep zatrzymuje się obok mnie; Althea zaciąga ręczny hamulec, jak gdyby nie robiła nic innego przez całe życie.

Facet notuje coś na swojej podkładce. Wydaje się zrelaksowany. Odczepia kartkę i podaje ją Althei.

— Świetnie, Altheo. Sądzę, że jesteś dobrym kierowcą, pamiętaj tylko, by zawsze odwrócić się, kiedy chcesz zmienić pas ruchu, nawet jeśli w lusterku nic nie widać. Lusterka kłamią. Powodzenia i bezpieczeństwa na drodze. Zaniesz tę kartkę do okienka czwartego. Nie pokazuj daty na prawie jazdy ucznia. Musisz przejść kontrolę wzroku, ale jestem pewien, że z takimi oczami nie będziesz miała problemów.

To ostatnie to prawie próba podrywu, ale wszyscy wymieniamy uściski ręki. Al podchodzi do okienka numer cztery, przechodzi badanie wzroku i oddaje zdjęcie, ostatnie z czterech zrobionych do legitymacji; wystawiają jej tymczasowe prawo jazdy, którego ma używać, dopóki nie przyślą pocztą właściwego dokumentu.

Al ponownie wskakuje za kierownicę, posyła mi swój zabójczy uśmiech i odwozi mnie do domu. Dwa razy ostrzegam ją, kiedy przekracza sześćdziesiątkę. Uznaję, że ta zasada będzie dotyczyła nas obojga. Nie mam ochoty zbierać z asfaltu czyjś ciało ani ponosić ogromnych kosztów naprawy samochodu.

Śpiewamy przez całą drogę, Althea z łatwością, jak gdyby nie było to nic trudnego, skręca w Horseshoe Drive, parkuje, wrzuca luz i zaciąga ręczny hamulec. Obchodzi samochód i ścisza mnie, kiedy wysiadam z Motylka.

— Dziękuję, AL. Bez ciebie nigdy by mi się nie udało.

— Jesteś świetnym kierowcą i dobrze o tym wiesz. Ja nic takiego nie zrobiłem. Mam już ochotę zapisać cię na następny wyścig w Indianapolis.

\* \* \*

Przez całe lato pracujemy w suchym upale. Coraz częściej słyszymy o niebezpieczeństwie pożaru w kanionach, objamy więc nasz dom azbestowymi płytkami, które kupujemy w składzie na Sepulveda.

Motylkiem kierujemy na przemian. Al, kiedy prowadzi, naprawdę cieszy się z uczucia wolności i niezależności. Ja zaś cieszę się, mogąc spokojnie oglądać kanion lub wybrzeże oceanu.

Al zajmuje się sprawami, które, jej zdaniem, są niezbędne, by nasz domek stał się prawdziwym domem: kupuje pościel, ręczniki, następne wazoniki do kwiatów. Przywozimy fotel znaleziony na chodniku w Santa Monica. Bez przerwy w małych księgarenkach wynajdujemy książki, które wypełniają nasze półki. W porównaniu z nią czuję się jak analfabeta.

Rezygnujemy z moskitier, zasłaniałyby tylko widok, a niewiele tu komarów, myślę, że pewnie za sucho dla nich. Podejmujemy także wielką decyzję. Dochodzimy do niej pewnego wieczoru, kiedy jemy kolację na schodach przed domem.

— Wiesz, Al, nadal chciałbym hodować motyle, niewiele jednak ich tu widzę, kilka szlaczekoni, żółtych i białych, czasami monarch i kilka rusałek kratkowców, ale nic więcej.

— Wiem. To właśnie twoja fascynacja motylami sprawiła, że zwróciłam na ciebie uwagę. Ale ostatnio wcale o nich nie wspominałeś.

— Powiem ci więc, co planuję zrobić. Chciałbym wylać betonem kawałek ziemi przed domem i dobudować nad nim dach.

Patrzę na nią, by zobaczyć, jak zareaguje na to, że będziemy musieli wrócić do prac budowlanych, w chwili kiedy wydawało się już, że będziemy mogli odpocząć. Martwię się, ale mówię dalej.

— W ten sposób powstałby taras, na którym moglibyśmy jeść na powietrzu, a nawet sypiać na zewnątrz w upalne noce. Co o tym sądzisz?

— Co to wszystko ma wspólnego z motylami, AL?

— Wiedziałem, że o niczym nie zapomnisz. Chciałbym pozbierać kokony i przenieść je w to piękne miejsce.

— Tylko czy znajdą tu dość pożywienia? I czy chcielibyśmy mieć mnóstwo gąsienic na tarasie, na którym mielibyśmy spać?

Okazuje się to trudniejsze, niż sądziłem, ale mówię dalej.

— W ogrodzie, który chciałbym urządzić na stoku, posadziłbym rośliny, którymi żywią się motyl i gąsienice.

— Czy naprawdę tego chcesz?

— Tak sądzę. Wydaje mi się, że tobie też się to spodoba, AL Mam także inne plany. Będzie to wymagało mnóstwa pracy, ale wydaje mi się, że warto.

Milknę. Zapada cisza. Al czeka. Wiem, że jeśli posunąłem się tak daleko, muszę iść dalej. Biorę głęboki wdech. Oboje zapomnieliśmy o jedzeniu. I tak posiłek zbliżał się już do końca. Chciałbym założyć na stoku skalny ogródek. Powinniśmy obsadzić go sukulentami, które zarosłyby całe zbocze, pokrylibyśmy je specjalną siatką. Gdyby udało nam się kupić sukulenty, jakie oglądaliśmy w parkach, mielibyśmy całe wzgórze porośnięte barwnymi kwiatami. Takie rośliny nie potrzebują zbyt wiele wody, a stanowią dobrą ochronę przed ogniem, a także zabezpieczałyby stok w razie ulewnych deszczy.

— Skończyłeś już, AL?

— Prawie, nie powiedziałem ci jeszcze o płotku, który chciałbym zbudować na krawędzi zbocza. Nadal też planuję budowę zagrody dla kóz, klatek dla królików i wybiegu dla kurczaków, możemy jednak porozmawiać o tym później.

— A więc teraz moja kolej. Moje marzenia nie są aż tak piękne jak twoje. Uważam, że najpierw powinniśmy postarać się o łazienkę z toaletą, umywalką i prysznicem. Wiem, że to wiele pracy, ale powinniśmy umieścić łazienkę na początku naszej listy spraw do załatwienia.

— Zgadzam się, Al. Mówiłem tylko o moich marzeniach, nie o rzeczywistości. Wiem, że potrzebujemy łazienki, w przeciwnym razie nasza chata nigdy nie stanie się prawdziwym domem. Mów dalej, proszę.

— Przydałyby mi się też jakieś szafki w kuchni, szafa na ubrania, a przynajmniej choćby kawałek zasłonki, żeby chronić je przed kurzem. Na rybiki i mole wystarczą nam pewnie kulki naftaliny. Potrzebujemy jeszcze szafki na rzeczy, których nie da się powiesić na wieszakach, na przykład swetry.

— Masz rację, jak zwykle. Co jeszcze?

— Prosty w obsłudze system ogrzewania. Wystarczy piecyk albo przenośny elektryczny grzejnik. Wiem, że prąd jest tutaj drogi, ale w końcu mówimy o marzeniach, prawda?

— Prawda.

— A moje największe marzenie to kominek. Wiem, że to nie jest zbyt bezpieczne, wokół pełno suchej roślinności, ale byłoby to takie miłe w chłodne noce i ranki. Zgodziłabym się nawet wstawać i palić w nim co rano.

Klękam przed nią.

— Obiecuję, że będziemy mieli to wszystko.

Postanawiamy sporządzić listę spraw do załatwienia. Decydujemy, że łazienkę umieścimy na prawo od drzwi wejściowych.

Najpierw zabieram się do budowy ścian. Płyty ze sklejki obijam panelami z drewna. Ściany kabiny prysznicza wykładam plastikiem imitującym kafelki. Podłączam odpływ i instaluję muszlę ze zbiornikiem, które kupiłem w Armii Zbawienia.

Po kilku eksperymentach udaje mi się podłączyć klozet do zbiornika, a zbiornik do wody. Następnie montuję muszlę. Uszczelniam ją według porad sprzedawców ze sklepu z armaturą.

Podłączenie się do zbiornika okazuje się łatwiejsze, niż się tego spodziewałem. Muszę przyznać, że czuję satysfakcję, kiedy czwartego lipca proszę Al, by nacisnęła spłuczkę i spuściła wodę. To nasz prywatny cud, jeden z kamieni węgielnych cywilizacji, miłowy krok na drodze do demokracji i tak dalej.

Wciąż nie mamy drzwi do łazienki, więc wieszamy obok drzwi wejściowych zasłonkę, identyczną jak ta przy prysznicu. Al nie jest szczęśliwa z takiego rozwiązania.

— Przyzwyczaisz się, poza tym mamy prawdziwy klozet ze spłuczką. Założę się, że twoja babcia nawet tego nie miała. I pamiętaj, wszystko to zrobiliśmy sami — mówię jej.

Staję koło klozetu i po raz kolejny ustawiam zawór na rurze dopływowej, Al podchodzi do mnie i obejmuje mnie od tyłu.

— Przepraszam, AL. To takie cudowne i naprawdę nasze, bo sami wszystko zrobiliśmy. To ważne. Po prostu czasami o tym zapominam.

\* \* \*

W następnej kolejności układam płytki na podłodze w łazience i montuję umywalkę. Łazienka zaczyna wyglądać całkiem nieźle.

Posuwam się nawet do instalacji kranu (mam nadzieję, że odpowiednio rozmieściłem kurki z ciepłą i zimną wodą). Problemem staje się teraz ogrzewanie wody. Czuję, że kupowanie czegoś z drugiej ręki nie jest tutaj najlepszym rozwiązaniem. W końcu decyduję się na zakup małej elektrycznej termy. Sprawdzam natężenie prądu w naszym domku, powinna działać.

Nasz dom ma coraz więcej „miejskich” luksusów. Brakuje nam już tylko garażu na dwa samochody. Tylko gdzie miałbym go umieścić i po co?

\* \* \*

Wszystkie prace wewnątrz domu kończymy przed początkiem sierpnia. Dni robią się naprawdę upalne. Althea i ja ucinamy sobie drzemki w najgorszy skwar. Teraz dopiero zaczynam naprawdę doceniać wielkie wygodne łóżko z czystą pościelą i miękkimi poduszkami. Podczas gdy ja walczyłem z łazienką, Althea przygotowała dla nas prawdziwe łożo małżeńskie. Jestem gotów, by z niego skorzystać.

— Altheo, czy nadal chciałbyś mieć dzieci? Długo czekam na odpowiedź.

— Niczego bardziej nie pragnę, ale wydaje mi się, że nie jestem na to gotowa. Wiesz przecież o moich problemach, niczego przed tobą nie ukrywałam. Wydawało mi się, że oboje to rozumiemy.

Biorę ją w ramiona. Mamy kolejne upalne popołudnie, jesteśmy więc nago. Przytulam ją do siebie i po chwili mam erekcję. Jestem coraz bardziej podniecony, wystarczy, że myślę o Althei, o tym, jaka jest cudowna. Wiem, że kocham ją głęboko, i chcę jej to okazać w sposób fizyczny, ale powstrzymuje mnie jej stosunek do mężczyzn i seksu. Nie potrafię jej zmusić, pogwałcić jej uczuć i ciała. Sam pomysł jest odrażający. W palącym upale, kiedy słońce chowa się wreszcie za wzgórzem na zachodzie, zaczynamy w końcu rozmawiać o tej sferze naszego życia, która może wpłynąć na jego resztę, jeśli nie zdołamy sobie z nią poradzić. Oboje czujemy narastającą napiętość i blokadę, jaką dla naszego związku stanowi obecna sytuacja.

— Altheo, czuję, że jeśli naprawdę się nad tym zastanowimy i zaakceptujemy nasze emocje czy impulsy, jakoś sobie z tym poradzimy, a nasze życie stanie się jeszcze lepsze niż dotychczas.

— Czy chciałbyś iść do jakiegoś seksuologa, żeby nam pomógł?



— Nie, wydaje mi się, że zgadzamy się oboje, że to nasza osobista sprawa, i potrafimy sami sobie poradzić, ale jestem przekonany, że musimy się do tego przyłożyć. Tylko od czego mamy zacząć?

— AL, ja też nie chcę, żeby jakiś obcy człowiek wkraczał w nasze życie. Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby zachować całą sprawę między nami. Zgadzam się na wszystko. To takie szalone. Wygląda na to, że dla wszystkich seks jest najważniejszą rzeczą w życiu; książki, filmy, nawet malarstwo, wszystko przesyczone jest seksem. Czy wiesz, dlaczego? Gdybyś pomógł mi to zrozumieć, byłabym ci wdzięczna.

— Pamiętaj, że pod pewnym względem jestem w podobnej sytuacji jak ty. Moja przewaga jest dla mnie kulą u nogi. Tak bardzo się bałem i czułem się zagrożony, że porzuciłem wszelką miłość, ale ty pomogłaś mi wrócić do ludzi. Jednak teraz to już przeszłość. Zapewniam cię, Altheo, choć pewnie już to wiesz, że kocham cię do szaleństwa i to powinno usunąć nasze problemy. Szczerze mówiąc, wiem, że już się tak dzieje, staję się szczęśliwszym człowiekiem. Jestem twój, Al, wszystko zależy od ciebie. Jestem pewien, że i ty mnie kochasz. Czy mam rację? Czy coś pominąłem, czy próbowałaś dać mi do zrozumienia coś, co zlekceważyłem?

— Wiesz, że to niemożliwe, AL. Kocham cię całym sercem. Czuję, głęboko w sercu, że niczego nie chciałabym bardziej, niż dzielić się z tobą moim ciałem, moim życiem, całą sobą. Tylko że naprawdę bardzo się tego lękam. Ale kocham cię.

Rozmawiamy, trzymając się za ręce. Wstaję i podchodzę do niej. Al staje również i przytulamy się, oboje drżymy bliscy łez. Czuję, że miękną mi kolana. Siadam na krześle, a Althea na moich kolanach. Robi to po raz pierwszy. Zarzuca mi ramiona na szyję.

— Będziesz musiał przejąć nade mną kontrolę, zgoda? Nic nie wiem i jestem gotowa cię słuchać.

Wracam do siebie. Słońce, które zawisło nad wzgórzem, oblewa wszystko złotą poświatą, a może tylko ja tak to postrzegam.

— Ja też nie jestem ekspertem w tych sprawach, Al. Kiedyś uprawiałem seks. Skupiałem się na tym, by udowodnić, że naprawdę jestem mężczyzną i by przekonać o tym kobiety. Nigdy jednak nie rozmawiałem o tym z nimi. Nie wiem nawet, czy zdołałem kiedykolwiek zaspokoić choćby jedną z nich; nigdy o to nie pytałem. Z drugiej strony to chyba dobrze, że nigdy nie rozmawiałem o seksie z żadnym mężczyzną, może miałem po temu niewłaściwe powody, ale tak właśnie było.

Urywam. Althea bierze moją głowę w dłonie, przesuwając kciukami po moich policzkach, zanurza je w brodzie. Płacze. Po chwili płacemy oboje. Patrzymy sobie w oczy tak, jak jeszcze nigdy tego nie robiliśmy.

— Może powinniśmy iść do lekarza, Al. Może coś jest z nami nie tak, może jest coś, co nas dzieli, a z czego nie zdajemy sobie sprawy.

— Znasz takiego lekarza? Raz do roku przechodziłam badania lekarskie w przychodni studenckiej, nic więcej. Zawsze mówili, że jestem zdrowa. Nigdy nie byłam u ginekologa, bo nie było mi to potrzebne. Późno miałam pierwszy okres, teraz miesiączkuję nieregularnie. Słuchałam, jak dziewczyny z akademika rozmawiały o miesiączkowaniu, to jeden z tematów, które często poruszały, ale nigdy nie włączałam się do tych rozmów, bo są sprawy, o których nie chciałam mówić.

Milczę przez chwilę, próbując wszystko to zrozumieć. Czy jestem już gotów? Czy mogę przyjąć na siebie taką odpowiedzialność?

— Masz rację, AL. Powinnaś zajrzeć do przychodni studenckiej. Nie wiem, czy teraz, kiedy ukończyliśmy studia, mamy jeszcze prawo do korzystania z przychodni, ale przynajmniej powinniśmy spróbować.

Kiwa głową. Zsuwa się między moje nogi. Całujemy się głęboko, chyba bardziej namiętnie niż zwykle.

— Mogę wziąć jeepa czy chcesz jechać ze mną? Następna decyzja.

— Możesz wziąć jeepa, AL. Wszystko, co mamy, jest wspólne. Pojadę jednak z tobą. Może we dwójkę będzie nam różnie.

Jest już za późno, by gdziekolwiek jechać, wracamy więc do łóżka. Próbujemy się pieścić nawzajem, aby wywołać erotyczne zatracenie, ale bez powodzenia. Po godzinie Althea podnosi się.

— Przygotuję coś do jedzenia, AL. Jeszcze nigdy dla ciebie nie gotowałam. Wydaje mi się, że jeśli będę dla ciebie gotowała, inne sprawy także przyjdą nam łatwiej.

Całuje mnie i zaczyna się ubierać — wkłada biustonosz, majteczki i halkę.

— Wiesz, uwielbiam gotować. Kiedy mieszkałam w domu, prawie zawsze gotowałam sama. Moja mama była dobrą kucharką, ale pracowała razem z ojcem w barze i nigdy nie miała czasu ani ochoty, żeby przygotowywać w domu prawdziwe posiłki. Rzadko widywałam tatę przy jedzeniu. Jego życie było tak oddalone od mojego, rzadko zdarzało się nam wspólnie siadać do stołu. Czasami chodziliśmy do restauracji, ale nigdy nie były to rodzinne posiłki, na których tak bardzo mi zależało.

Przechodzi do wnetki, którą nazwaliśmy kuchnią. Właściwie teraz jest to już prawdziwa kuchnia, trudno mi tylko przywyknąć do tej myśli.

Wyciągam się na łóżku i nasłuchuję. Słyszę, jak otwiera lodówkę. Wyjmuje garnki spod zlewu, rozkłada na stole serwetę, którą kupiliśmy za pięćdziesiąt centów, a potem stawia na niej talerze.

Leżę z zamkniętymi oczami. Wydaje się, że nie jest już tak gorąco. Zerwał się lekki wietrzyk i z okienka we wschodniej ścianie ciągnie chłodem. Zaspiałam beztrósko, jak gdyby ten wietrzyk uniósł ze sobą wszystkie moje zmartwienia.

Kiedy się budzę, Al pochyla się nade mną. Narzuciła na siebie bluzkę i pachnie wprost cudownie. Czuję też jakąś smakowitą woń napływającą z kuchni. Siadam na łóżku.

— Mam nadzieję, że nie będziesz zły, ale przejechałam się Motylkiem na targ i kupiłam trochę smakołyków. Wyjęłam pieniądze z twojej kieszeni.

— Wszystko, co dla mnie ugotujesz, będzie mi smakowało. Umieram z głodu.

— Ubierz się i siadajmy do stołu.

Staję jak wryty w progu jadalni. Nawet serwetki są ułożone jak w eleganckiej restauracji, a na środku stołu palą się dwie świece. Widzę też duży przykryty półmisek i drugi z makaronem, ale bez sosu pomidorowego. Do stołu siadamy jednocześnie. Chyba powinienem odsunąć jej krzesło, ale za późno o tym pomyślałem. Teraz dopiero zauważam butelkę wina. Jest chłodne, prosto z lodówki. Al podaje mi korkociąg i butelkę.

— Zajmij się winem. Pobawmy się.

Po chwili kieliszki pokrywają się mgiełką. Al podnosi w górę kieliszek, ja też.

— A zatem, AL, za szczęście i długie życie. Za resztę naszego życia.

Uśmiecham się i stukamy się kieliszkami.

— Za najcudowniejszą osobę, jaką w życiu poznałem, kobietę, którą kocham.

Pijemy wino, patrząc sobie w oczy. Al odstawia kieliszek i przez serwetkę zdejmuje pokrywkę z półmiska. Nie do wiary, żeberka, nasze ulubione danie.

— Jak to zrobiłaś? Pojechałaś aż do Kelbo's?

— Sama je przygotowałam. Bardzo się cieszyłam, że tak długo spałeś, bo było dość czasu, by udusiły się, jak należy. Bierzmy się do jedzenia. Makaron nie jest pewnie taki jak u mamy, ale myślę, że będzie ci smakował.

Czuję się teraz jak prawdziwy pan domu, z żoną, lodówką, stołem z klonowego drewna, talerzami na podkładkach, nożami i widelcami. Mamy też gorącą wodę, toaletę ze spłuczką i niewielki kredyt do spłacenia. Wkrótce wszystko będzie należało do nas. Mamy do tego prawo.

Powinienem powiedzieć to wszystko na głos, ale z jej uśmiechu widzę, że Al wie, o czym myślę, i że myśli o tym samym.

Wiem, że tak właśnie powinno być w małżeństwie. Lękam się tylko tego, że wszystko to kiedyś się skończy. Staram się o tym nie myśleć. To tylko „dawny AL” próbuje się do mnie dobrać. Następnego dnia dzwonimy do przychodni studenckiej w UCLA. Dowiadujemy się, że dla studentów przychodnia jest czynna, umawiamy się z lekarzem na dziesiątą. Jest dziesiąta trzydzieści, musimy więc się pospieszyć.

— Jezu, AL, nie jestem odpowiednio ubrana, żeby iść do lekarza. Dobrze chociaż, że wzięłam prysznic, myślisz, że dżinsy i bluzka wystarczą?

— Dla mnie wyglądasz świetnie, AL. Przecież jedziemy tylko do lekarza, a nie na wielki bal. Chodź, jeśli mamy zdążyć na czas, musimy zaraz ruszać. Niedługo zacznie się ruch.

Kiedy parkuję jeepa w kampusie UCLA, dzwony wybijają dziesiątą. Idziemy prosto do przychodni. Już na nas czekają. Latem nie ma tutaj tłoku, inaczej niż w czasie zajęć. Recepcjonistka prosi, żebyśmy usiedli, i daje nam ankiety do wypełnienia. Na większość pytań odpowiadałem już, kiedy wstępowałem na uniwersytet. Dotyczą głównie stanu zdrowia i chorób, które przeszedłem. Al wypełnia swoją ankietę, jest wyraźnie zdenerwowana.

— Czy powinniśmy powiedzieć lekarzowi, że jesteśmy małżeństwem?

— Jak chcesz. Nie musisz kłamać. Jesteśmy małżeństwem, ale powiesz, co zechcesz.

Posyła mi tylko „zabójcze” wzruszenie ramionami. Nie patrzę na to, co pisze. Kończymy równocześnie. Pielęgniarka wzywa nas do gabinetu. Lekarz jest kobietą. Zaskakuje mnie to, nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z lekarką. Uśmiecha się i wskazuje nam krzesła, jest młoda, nie ma jeszcze trzydziestki.

— Co was do mnie sprowadza, wydaje mi się, że jesteście zdrowi, tak przynajmniej wynika z waszych ankiet. Czy któreś z was obawia się, że zaraziło się chorobą weneryczną? Może jesteście w ciąży albo chciałybyście otrzymać środki antykoncepcyjne? Studenci przychodzą do mnie zazwyczaj z takimi problemami, zwłaszcza jeśli są we dwoje, jak wy.

Chcę przejść do sprawy, ale lekarka jest tak oficjalna, że czuję się zakłopotany.

— Nie, nic podobnego, prawdę powiedziawszy, nasz problem jest dokładnie odwrotny. Mamy kłopoty z odbywaniem stosunków seksualnych.

— Jesteście małżeństwem? — zwraca się do AL

— Uważamy się za małżeństwo. Mamy własny dom i mieszkamy razem od ponad dwóch lat.

— Na czym zatem polega wasz problem?

— Tego właśnie chcemy dowiedzieć się od pani.

Althea milknie. Lekarka i ja czekamy. Po raz pierwszy widzę, jak Althea się rumieni.

— Do tej pory nie mieliśmy stosunku. Kiedy byłam małą dziewczynką, przydarzyło mi się coś okropnego, i lękam się mężczyzn. Nie boję się mojego męża, ale nie potrafię się z nim kochać.

— Może jest ci potrzebny psychiatra albo psycholog. Czy próbowałaś już z kimś takim rozmawiać?

Czuję, że dla Althei staje się to za trudne. Zbieram się na odwagę i włączam do rozmowy.

— To nie tylko wina Althei, ale także moja. — Postanawiam powiedzieć o wszystkim. — Podczas wojny odniosłem obrażenia zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Przez dwa lata przechodziłem kurację w szpitalu wojskowym w Kentucky.

Pochyla się ku mnie, wyraźnie zainteresowana. Nie sądzę, by jej próg przekraczało wielu ludzi z problemami podobnymi do moich.

— Zostałem w końcu zwolniony z siedemdziesięcioprocentowym inwalidztwem, głównie ze względu na stan psychiczny. Diagnoza brzmiała: psychopatia ze skłonnością do socjopatii. Nic z tego nie rozumiem. Jeśli to potrzebne, mogę sprowadzić moje dokumenty ze szpitala, ale nie podejrzewam, by na coś się przydały. Świetnie sobie radzę, ograniczenia zaś, które były efektem urazu, zanikają. Przez trzy lata bez żadnych kłopotów na podstawie paragrafu szesnastego studiowałem na UCLA, jestem w stałym kontakcie z działem weteranów. Może pani skontaktować się z doktorem Wileym, jeśli pani sobie życzy. Ma moje dokumenty medyczne i wojskowe.

Althea pochyla głowę, ale nie płacze. Nigdy nie mówiłem o swoich sprawach w taki sposób.

— Pani doktor, wydaje mi się, że nasze kłopoty wynikają z dwóch spraw: tego, że Althea została w dzieciństwie zgwałcona przez dorosłego mężczyznę, i z mojego unikania odpowiedzialności społecznej wynikającej z traumatycznych przeżyć wojennych, których doświadczyłem, zanim skończyłem dwadzieścia lat. Choć to smutne, nasze problemy nakładają się i nie jesteśmy w stanie sobie poradzić sami. Ja boję się posuwać zbyt daleko, a Althea obawia się moich zalotów. Co pani może nam poradzić?

Opiera łokcie na biurku i podbródek na dłoniach.

— Chyba powinnam powtórzyć to, co już powiedziałam. Wydaje mi się, że oboje potrzebujecie pomocy psychologa. Nie jestem pewna, czy mam odpowiednie kwalifikacje. Jeśli jednak chcecie o tym porozmawiać, proszę. Są już wakacje, mamy więc czas. Czy chcecie coś jeszcze powiedzieć?

Althea unosi głowę.

— Po to tu jesteście. Potrzebujemy pomocy, aby zrozumieć, co jest nie tak, co możemy na to poradzić.

— Wydaje mi się, że powinniśmy zacząć od badania krwi, nie przechodziliście próby Wassermana. Powinnam także cię przebadać, Altheo, żeby się przekonać, czy twój stan nie wynika z jakichś przyczyn fizycznych. — Zwraca się do mnie: — A ty, Alfonso, nie masz żadnych problemów z erekcją i ejakulacją?

— Wydaje mi się, że wszystko w porządku. Przed wojną uprawiałem seks jak każdy nastolatek. Zawsze lubiłem i ceniłem towarzystwo kobiet, ale nigdy w żadnej nie zakochałem się tak jak w Althei. Choćby dlatego tak trudno mi uwierzyć w to, co się dzieje. ‘

— Wyjdź, proszę, do poczekalni, a ja przebadam Altheę. Altheo, przechodziłaś kiedyś badanie ginekologiczne? Jestem ginekologiem, czy zgadzasz się na badanie?

Althea kiwa potakująco głową. Podnoszę się. Lekarka sięga do szuflady i wyjmuję biały fartuch, jeden z tych, które tak dobrze poznałem.

Całuję Altheę i wychodzę do poczekalni. Lekarka woła mnie z powrotem. Wypisuje mi coś na recepcie z bloczku.

— Proszę, Alfonso, idź z tym skierowaniem do laboratorium. To skierowanie na badanie krwi. Laboratorium jest na dole, skręć w lewo i zobaczysz wywieszkę. — Uśmiecha się. — Nie wierzę, że należysz do tych, którzy mdleją na widok krwi. Zapewniam cię, że laborantka jest bardzo dobra w swoim fachu. Każdego dnia wysysa tyle krwi, że nadawałaby się na wampira.

Odrywa receptę z bloczku i podaje mi ją nad biurkiem. Uśmiecham się do niej i wychodzę.

Al wchodzi do niewielkiej przebieralni, wskazanej przez lekarzkę.

Bez problemu znajduję laboratorium. Pobierają mi krew do pięciu różnych próbek, najpierw z żyły, zawiązawszy najpierw gumkę na przedramieniu, a potem jeszcze z czubka palca. W szpitalu zawsze patrzyłem na to, żeby udowodnić sobie, że nie jestem tchórzem. Raz sierżant wbijał mi igłę cztery razy, zanim udało mu się pobrać krew, łatwiej mógłby zebrać mi pot z czoła. Nie wiem, po co właściwie wojsku były potrzebne te badania, nigdy o to nie pytałem.

Byłem wtedy w takim stanie, że nie chciałem im niczego dawać za darmo, ale wiedziałem, że mają nade mną władzę.

Wracam na górę, pukam do drzwi, ale recepcjonistka prosi, bym został w poczekalni, Althea wyjdzie za kilka minut. Znajduję „Life” i oglądam zdjęcia.

Kiedy drzwi gabinetu otwierają się, staje w nich lekarka i gestem zaprasza mnie do środka. Wskazuje mi to samo krzesło, na którym wcześniej siedziałem. Siada za biurkiem. Odczekuje pół minuty, zanim zacznie mówić, przekłada papiery, jak to zwykle lekarze.

— Alfonso, czy wiedziałeś o tym, że Althea ma nietkniętą błonę dziewiczą? Jak na młodą zamężną kobietę w naszych czasach to bardzo rzadkie. Najwyraźniej podczas gwałtu, o którym wspominaliście, nie doszło do penetracji. Czy odbyliście kiedykolwiek stosunek seksualny?

— Wydawało mi się, że już o tym mówiłem, pani doktor. Nie, nie odbyliśmy. Tak naprawdę nawet nie próbowaliśmy. Oboje czuliśmy, że Kochamy się i nie musimy sobie tego udowadniać w ten sposób. Wiem, że to dziwaczne, ale oboje tak uważaliśmy. Żadne z nas nie chciało umniejszać naszej miłości przez wymuszanie fizycznego dowodu. Szanuję uczucia Al, może dlatego, że sam czuję to samo. Czy jest w tym coś złego?

Słyszę, że Althea porusza się w przebieralni. Mam nadzieję, że jeszcze nie wyjdzie. Znając jej intuicję, wiem, że tego nie zrobi.

— Tak, rozumiem, co mówisz. Chyba tego nie apróbuję, ale moja praca nie polega na aprobowaniu postaw pacjentów. Jeśli jednak chcecie mieć dzieci, współzycie jest niezbędne.

— Chcemy wiedzieć, czy powinniśmy dalej próbować, czy też czeka nas niepowodzenie, które stanie na drodze naszej miłości.

— To rzeczywiście sytuacja odwrotna do tych, z którymi mam zwykle do czynienia. Na ogół dziewczęta przychodzą do mnie, bo zaszły w ciążę i chcą, żebym poleciła im kogoś, kto ją usunie. Albo dlatego, że obawiają się, że zaszły w ciążę z kimś, kogo nie chcą poślubić, albo nawet nie wiedzą z kim. Zdarza się też, że dziewczyna przychodzi ze swoim chłopcem i chcą się dowiedzieć, czy jest w ciąży, żeby mogli zdecydować o ślubie. Wasz przypadek jest stanowczo nietypowy.

Althea wychodzi z przebieralni. Jest blada jak ściana, podchodzę do niej. Przytulamy się i Althea wybuch płaczem. Lekarka nie wtrąca się. Cieszę się, że trafiliśmy na kobietę. Nie jestem pewien, czy chciałbym przechodzić przez to wszystko z lekarzem mężczyzną, a przynajmniej z tymi kilkoma lekarzami, kapitanami i majorami, których poznałem.

Althea siada naprzeciwko lekarki, przysuwam bliżej swoje krzesło, trzymamy się za ręce.

— Co mamy zrobić, pani doktor? Jestem skłonny, i jestem pewien, że tak samo myśli Althea, pozostawić wszystko bez zmian. Jest nie tylko moją żoną, jest moją ukochaną i najlepszą przyjaciółką, może nawet jedyną przyjaciółką. Jak już mówiłem, mam kłopoty z kontaktami z ludźmi. Althea jest cudownym wyjątkiem. Kochamy się, a wzajemne towarzystwo daje nam wiele szczęścia i radości.

Althea kiwa głową i uśmiecha się przez łzy.

— Alfonso, czy kiedykolwiek próbowałeś zmusić Altheę do stosunku?

— Nie mógłbym czegoś takiego zrobić.

— Obawiam się, że nie możesz jej zapłodnić, nie przerywając błony dziewiczej.

— Mówi pani o defloracji, doprowadzeniu do krwawienia? Nie mógłbym zrobić czegoś takiego. Dostyc już naoglądałem się krwi w swoim życiu. Nie mógłbym zrobić czegoś takiego Althei.

— A ty, Altheo? Co ty o tym sądzisz? To nie boli, mogę dać ci środek do znieczulenia miejscowego. Większość dziewcząt w twoim wieku nie ma już błony dziewiczej, straciły ją albo przez erotyczne zabawy, albo podczas stosunku. Gdybyś się zgodziła, mogłabym dokonać

defloracji chirurgicznej. To stosunkowo drobny zabieg. Mogłabym dokonać tego od razu tu, w gabinecie.

Althea i ja spoglądamy na siebie.

Próbuję odepchnąć od siebie obrazy z młodości, romantyczne księżniczki, które wywieszają skrwawioną pościel z okna średniowiecznego zamku, by dowieść swego dziewictwa. Przyglądam się AL Najwyraźniej jest zakłopotana.

— Co o tym myślisz, AL? Może to najlepszy sposób. Może jest to rozwiązanie, od tego moglibyśmy zacząć.

Mówi serio. Biorę głęboki oddech. To ogromne wyzwanie dla nowego ALa.

— Jestem z tobą, Altheo. Wiesz, co robisz, czego chcesz. Jak długo będzie to trwało i czy potem będę mógł ją od razu odwieźć do domu? Czy jeszcze długo potem będzie czuła ból? Czy taka operacja nie jest nielegalna?

— Nie proponowałabym jej, gdyby była nielegalna. Na pewno nie jest tak bolesna, jak obrzezanie u mężczyzny.

— Szczerze mówiąc, wolałbym tego uniknąć. Sądzi pani, że problemem mogą być rozmiary mojego członka?

— Uspokój się, Alfonso, wspomniałam o obrzezaniu wyłącznie dla porównania z operacją, jaką zasugerowałam Althei.

Al ściska moją dłoń.

— Wszystko w porządku, AL. Chyba wiem, co robię. Czuję, że będzie to dobre dla nas obojga.

Lekarka spogląda na Altheę. Widzę wyraźnie troskę w jej spojrzeniu i nabieram nieco pewności siebie. Lekarka uśmiecha się.

— Potrzebuję tylko oświadczenia Althei, że zgadza się na ten zabieg, ale to jedynie formalność.

Sięga do biurka, wyjmuje plik formularzy i znajduje odpowiedni druk. Raz jeszcze podnosi na nas wzrok.

— Czy oboje jesteście pewni, że tego chcecie?

Althea odpowiada skinieniem głowy, ja też kiwam głową na znak, że się zgadzam. Al bierze dokument od lekarki. Widzę, że drżą jej dłonie. Myślę o tym, żeby zrezygnować, ale Al uśmiecha się do mnie z pewnością siebie. Boże, jaka ona jest dzielna.

— Alfonso, czy chciałbyś towarzyszyć Althei w czasie operacji? Znajdę dla ciebie jakiś kitel.

Althea odzywa się pierwsza.

— Nie, AL, zostań tutaj. Za chwilę wrócę, nie chcę, byś myślał o mnie jako o kawałku mięsa, które trzeba przykroić.

Jestem wstrząśnięty tym porównaniem.

— Dobrze. Ale pamiętaj, że w każdej chwili możesz zrezygnować. Krzyknij tylko albo powiedz choć słowo, a będę przy tobie.

— Nie martw się, Alfonso. Nie proponowałabym tego, gdybym nie uważała, że to najlepsze rozwiązanie. Chodź, Altheo, dam ci znieczulenie miejscowe, nic nie poczujesz.

Po tych słowach spogląda na zegarek i prosi mnie o opuszczeniu gabinetu. Zostaję na krześle. Ręce mi drżą. Kręci mi się w głowie, nie wiem sam, czy postąpiliśmy właściwie. Czuję się tak, jak gdybym zmusił moją ukochaną do aborcji i sam pono — sił za wszystko winę. Minie jeszcze wiele czasu, zanim na najdrobniejszą zmianę zareaguję inaczej niż paranoją.

Siedzę w napięciu, nic nie słyszę. Wychodzą po około półgodzinie. Althea znowu jest biała jak ściana. Lekarka trzymając za ramię, ale Al uśmiecha się. Podrywam się z krzesła.

— Wszystko w porządku, Al?

— Nic mi nie jest. Nie bolało bardziej niż skurcz przy miesiączce. Pani doktor jest cudowna.

— Co jesteście pani winni oprócz podziękowań, pani doktor?

— Nic. Zabieg pokrywa wasza polisa uniwersytecka. Chciałabym tylko, żebyście posłuchali o paru sprawach, które, jak sądzę, mogą wam pomóc.

Wchodzimy do gabinetu. Znowu biorę Al za rękę. Teraz bardziej niż kiedykolwiek czuję się jej mężem. Patrzę na panią doktor.

— Pochwa Althei ma w tej chwili rozmiary pochwy dwunastoletniej dziewczynki, ale we dwójkę możecie to zmienić. Wypiszę wam receptę na maść, która jest środkiem jednocześnie nawilżającym i łagodnie przeciwbólowym. Co ważniejsze, zapiszę wam zestaw przyrządów wyglądających jak małe członki. Popatrzcie.

Z drugiej szuflady wyjmuje pudełko. Wewnątrz znajduje się osiem małych, czarnych przedmiotów różnych rozmiarów wyglądających jak penisy. Podnosi w górę najmniejszy.

— Althea mogłaby to robić sama, ale dla was obojga lepiej będzie, jeśli ty będziesz to robił, Alfonso. Najpierw zwilż jej pochwę swoim palcem, wskazującym lub środkowym, jak wolisz, uważaj, by nie robić tego zbyt szybko i nie naciskać za mocno. Później, kiedy Althea się odpręży, ostrożnie wsuń do jej pochwy ten najmniejszy model, zrób to bardzo ostrożnie. Prawdopodobnie będzie odczuwać lekki ból, ale nie powinniście przerywać. Byłoby idealnie, gdybyś mógł wsuwać i wysuwać przyrząd jak podczas normalnego stosunku. Wiesz już, o co w tym wszystkim chodzi?

Kiwam głową. To wszystko wydaje mi się gorsze, niż się spodziewałem, ale Althea i ja postanowiliśmy przecież, że musimy coś zrobić.

— Byłoby najlepiej, gdybyście puścili jakąś cichą muzykę i wypili przedtem po kieliszku wina. Ważne, byś jej nie skrzywdził i abyś starał się sprawić, by było to dla niej jak najprzyjemniejsze. Mów jej, jak bardzo ją kochasz i że chcesz być w jej wnętrzu, że chcesz być jej kochankiem.

Oboje się rumienimy. Wiem, że lekarka najpewniej ma rację, ale jest to tak odległe od tego, co dotychczas nas łączyło. Postanawiam, że porozmawiamy o tym później, na zewnątrz. Nie chcę omawiać podobnych spraw przy obcej osobie. To bardzo osobiste kwestie. Jeśli ta rozmowa jest taka trudna dla mnie, to jaka musi być dla Al.

Lekarka żegna się z nami, upewnia się, że wziąłem receptę, i mówi mi, gdzie w Westwood Village mogę ją zrealizować. Jest bardzo troskliwa, lecz mimo to z radością opuszczamy jej gabinet i schodzimy do Motylka. Al idzie powoli, jej twarz jest wykrzywiona bólem.

— Wszystko w porządku, Al?

— Nic mi nie jest. Czuję się tylko tak, jakby coś miało za chwilę ze mnie wypaść. Nie sądzę, by było to coś poważnego, to tylko takie dziwne uczucie. Zwolnijmy trochę. Chyba znieczulenie przestaje działać.

Pomagam jej wsiąść do wozu. Jadę wolno jak zwykle, spoglądając co chwila na Al. Ogarnia mnie poczucie winy. Jedziemy do Westwood, znajduję aptekę, której adres zapisała na receptie lekarka.

— Zostań tutaj, Al. Zaraz wracam.

Parkuję wóz i wysiadam, zanim Al zdąży zaprotestować. Za ladą stoi mężczyzna, pokazuje mu receptę. Spodziewam się jakiejś reakcji czy pytań, ale nic się nie dzieje. Może nasz problem nie jest tak wyjątkowy, jak nam się wydaje. Przynosi pudełko identyczne jak to, które widzieliśmy u lekarki.

— Dwadzieścia pięć dolarów.

Nawet okiem nie mrugnął. Nie jestem wcale pewien, czy mam tyle przy sobie. Sięgam po portfel, wyciągam dwie dychy i piątkę. Dzięki Bogu, nie musieliśmy płacić za wizytę. Nie

powiem jej, ile kosztowały te czarne torpedy, chyba że zapyta, a wiem, że tego nie zrobi.

Prowadzę bardzo ostrożnie. Kiedy zatrzymujemy się koło naszego domku, kładę dłoń na jej biodrze, żeby ją powstrzymać, wyskakuję z wozu i obiegam go dookoła.

— Och, daj spokój, AL. Nie jestem inwalidką, mogę wsiąść sama.

Ale kiedy wysuwa nogę, by wsiąść, krzywi się i łapie mnie za rękę. Boże, nie chcę patrzeć, jak cierpi. Przychodzi mi do głowy, że jeszcze nigdy nie widziałem jej chorej. Schodzimy po naszych schodach, każę jej położyć się do łóżka, podczas gdy sam przynoszę szklankę lodowato zimnej wody z kostkami lodu. Nie sprzeciwia mi się.

Siadam obok niej; przekonuję się, że nie nadawałbym się na lekarza, nie potrafię czuć przy chorym. W końcu zaczynam opowiadać o swoich planach związanych z ogrodem, sałacie, pomidorach, cukinii, rzodkiewce, cebuli i ziemniakach, botwince, marchewce i fasoli, które chciałbym uprawiać. Mówię też o klatkach dla królików. W końcu opowiadam o studiu, które chciałbym postawić w dole stoku, na końcu naszej działki. Mógłbym tam malować w deszczowe dni i przechowywać obrazy. Wspominam też o hodowli kurczaków.

Ta rozmowa powoli odsuwa w cień przeżycia całego dnia.

Przez kilka następnych dni sadzimy wraz z Al sukulenty wzdłuż dolnej krawędzi naszego wzgórza. Trawa, którą posiałem na zbiorniku, zaczyna już się zielenić. Możliwe, że to jedyny trawnik wśród wzgórz Topanga. W sklepie Armii Zbawienia znajdują kosiarkę do trawy, chcą za nią dwa dolary. Dobrze już nas tu znają. Sprzedawca wyciąga kosiarkę ze stosu narzędzi ogrodniczych od motyk do grabi.

— Ten maluch wymaga ostrzenia, od razu mówię. Ale nie powinno to być szczególnie trudne, potrzebny ci tylko będzie drobnoziarnisty pilnik do metalu, przejedziesz nim po ostrzach od siebie. Naoliw nieco łożyska i będzie cięła trawę jak nóż masło.

Sadzenie sukulentów przez otwory siatki jest nużące, ale kiedy pracujemy wspólnie, jakoś się posuwa. Ciągłe pytam Al, jak się czuje, ale zapewnia mnie, że bardzo dobrze. Po pracy jadę na dół, podczas gdy Al bierze prysznic. Kupuję hamburgery i bułki, a do tego butelkę wina. Kupuję także trzy kolby młodej kukurydzy, prosto z farmy w dolinie. Czuję się jak żigolak próbujący poderwać panienkę. Ale przecież taka jest prawda!!! Mam przynajmniej nadzieję, że robię to w dobrej sprawie.

Kiedy wracam, widzę, że Al też zabrała się do pracy. Na stole ponownie pojawiły się świece, położyła nasze najlepsze talerze i kieliszki do wina. Upiekła nawet bułeczki. Są jeszcze w piecu, ale już czuję ich zapach. Nastawiła radio na stację KFAC nadającą utwory klasyczne; wyczuwam też woń perfum. Planujemy wzajemne uwiedzenie.

Hamburgery smakują jak steki, pomidory i cebule są wyśmienite, to na nie sezon. Kukurydza jest nawet lepsza od tej, którą kupowaliśmy w New Jersey. Oto kolacja godna monarszego stołu albo pary młodej podczas miodowego miesiąca. Tak właśnie się teraz czuję.

Rozpakowuję torpedy i zgodnie z poradą lekarki, wybieram najmniejszą. Nakładam masło. Althea podchodzi do wszystkiego z wielką odwagą. Połączenie całodziennej pracy, wspaniałego posiłku, muzyki i naszej miłości sprawia, że czujemy się, jak gdyby naprawdę był to nasz miesiąc miodowy. Powoli, ostrożnie wsuwam czarnego minipenis. Al podrywa się nieco, ale chwyta mnie za rękę, kiedy próbuję wsunąć go głębiej.

Może budzi się we mnie Włoch, ale zaczynam nucić na melodię z Vivaldiego fragment piosenki Nareszcie — „Nareszcie miłość ma znalazła mnie, skończyły się samotne noce i samotne dni”. Tak naprawdę znam tylko trzy pierwsze wersy, więc śpiewam je w kółko. Spoglądam na Al, wydaje mi się, że płacze, ale po chwili przekonuję się, że się śmieje.

— To cudowne, AL. Jesteś wspaniała i masz śliczny głos, ale nic na to nie poradzę. Jestem taka zdenerwowana i czuję, że jesteśmy ze sobą tak blisko, a tu nagle do mojej sypialni wkracza



Frank Sinatra. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. To tak cudownie pasuje, że wydaje mi się wręcz, że ułożyłeś te słowa specjalnie dla nas. Proszę, śpiewaj dalej, tego właśnie mi potrzeba. Teraz wreszcie rozumiem, dlaczego takie piosenki nazywają „pościelówami”.

Cudownie jest sprawiać, że Althea przeżywa coś zupełnie nowego. Twierdzi, że po raz pierwszy zaczyna rozumieć, co kobiety mają na myśli, kiedy mówią o orgazmie. Czuje, jak mogą doświadczać tego cudownego uwolnienia się od własnego ciała i poznawać je na nowo, ale sama nie jest jeszcze na to gotowa. Przypomina sobie chwilę, kiedy próbowała nauczyć się jazdy na nartach. Stała na szczycie wzgórza i wszystko w dole wyglądało cudownie, ale narty ciągle się ześlizgiwały i bała się, że się przewróci. Lękała się stracić panowanie nad sobą, a kiedy tylko o tym pomyślała, przewróciła się. Nie chciała wracać na górę, odpięła narty i zeszła ze wzgórza.

— Tak właśnie się teraz czuję, AL, ale nie chcę drugi raz schodzić ze wzgórza na piechotę, chcę jechać, chcę ślizgać się w dół razem z tobą.

— Tak się stanie, Al. Marny ze mnie narciarz, ale z tobą skoczyłbym nawet w przepaść.

W końcu po prostu zasypiamy, śpię tak głęboko, jak nie zdarzało mi się to od lat. Żadnych snów, żadnych koszmarów. Nic nie pamiętam, kiedy się budzę. Al przygotowuje śniadanie w kuchni.

— No, wreszcie zmartwychwstałeś. Nie pamiętam, byś kiedyś spał tak mocno, AL. Nawet chrapałeś, jak prawdziwy niedźwiedź. Nie wstawaj, chcę podać ci śniadanie do łóżka, a potem do ciebie dołączyć.

Wchodzi do sypialni boso, ubrana w moją starą koszulę. Układam kilka poduszek i wciągam w nozdrza aromat kawy. Poranna kawa staje się naszym nowym zwyczajem. Dawniej nie lubiłem kawy. Przez wiele lat wystarczył jeden łyk, by wywołać biegunkę.

W czasie wojny, kiedy byłem tak bardzo nieszczęśliwy i przerażony, nauczyłem się kojarzyć smak kawy z tymi właśnie uczuciami, a zwłaszcza z ciągłym rozwolnieniem. Rzadko mieliśmy czas, by kopać latryny, miałem więc zawsze pod ręką saperkę, chociaż aż nazbyt często nie starczało mi czasu, by zrobić z niej użytek. Każdy skrawek papieru miał z góry założone przeznaczenie.

Teraz zaś poranna kawa wypita w łóżku razem z Al staje się naszą wspólną rozkoszą. Dodatkową rozkoszą jest ciało Al, jej pieczyoty pełne miłości. Przesuwam wolną ręką po jej jędrnym, ale uległym ciele. Althea sięga do leżącego na stole pudełka z plastikowymi penisami i podaje mi drugi co do wielkości.

— Jesteś tego pewna, Al? Obawiam się, że możemy stracić wszystko, co dotychczas osiągnęliśmy, jeśli będziemy się za bardzo spieszyć.

— Spróbuj, AL. Jestem gotowa.

I tak rzeczywiście jest. Wiem, jak intensywnie przeżywa pieczyoty, obserwuję jej oczy i usta, słucham przyspieszonego, płytkiego oddechu. Zwalniam, kiedy pieczyoty stają się zbyt mocne. Jej twarz jest bladoróżowa. Mnie również ogarnia podniecenie i czuję erekcję, ale nie chcę przerywać. Al jednak także zdaje sobie z tego sprawę. Po raz pierwszy sięga do mojego członka i obejmuje go dłonią. To już wystarczy. Wytryskam na świeżo wypraną pościel. Al śmieje się. Czarny penis wypada z jej pochwy.

Odtąd tak właśnie wyglądają nasze poranki. Wydaje mi się, że oboje ich oczekujemy. Jesteśmy sobie tak bardzo bliscy, zaczynamy pojmować, jak ważny jest dla ludzi popęd płciowy. Jesteśmy gotowi, by dołączyć do reszty ludzkości.

\* \* \*

Przystępujemy do realizacji naszych planów. Najpierw postanawiamy założyć ogród. Ma on

schodzić tarasami w dół zbocza. Kiedy wreszcie udaje nam się ukończyć tarasy, wzmacniamy ich brzegi kamieniami.

Tarasów jest dwanaście, każdy ma około piętnastu metrów długości.

Sadzimy rośliny, które nie wymagają zbyt wiele zachodu.

Zaczynamy od rzodkiewek, marchewek, fasolki, cukinii, pietruszki i kilku kukurydzy. Będziemy musieli postarać się o drugi ogród, by uprawiać w nim ziemniaki albo pomidory, naprawdę mamy na to ochotę, ale jest już zbyt późno na te rośliny, a i my nie jesteśmy jeszcze gotowi porwać się na podobny eksperyment.

Oboje świetnie bawimy się przy tej pracy. Jest zresztą znacznie łatwiejsza od zabójczych robót, jakimi zajmowaliśmy się wcześniej.

Przymierzamy się do hodowli królików. Al co prawda protestuje. Twierdzi, że nie będzie jadła ślicznych, małych królików. Przekonuję ją jednak, że powinniśmy hodować jakieś zwierzęta na mięso, bo oboje je jadamy, a nie stać nas na to, by je kupować. W końcu postanawiamy spróbować.

Dowiadujemy się wszystkiego na wydziale rolniczym pobliskiego Pierce Junior College. Wykładowca Andy Stodel udziela nam kilku porad, jak budować klatki, i obiecuje, że da nam kilka królików na rozpoczęcie hodowli.

— Tak, będziecie mieć mnóstwo króli, możecie je spokojnie karmić trawą z ogrodu.

— Mieszkamy w kanionie Topanga, tam nie ma zbyt wiele trawy.

— W takim razie możecie kupować karmę. Nie kosztuje zbyt wiele. Wystarczy dodać trochę chwastów i wody i będziecie mieli mięso. Chodźcie, pokażę wam, jak się zabija króliki. To bardzo proste.

Zanim zdążę się poruszyć i zanim Al zdąży zasłonić oczy, sięga do jednej z klatek i wyciąga z niej królika. Najpierw pokazuje mi, jak mam sprawdzić, czy to samiec, czy samiczka, a potem obejmuje kark zwierzęcia kciukiem i palcem wskazującym, a drugą ręką szarpie mocno za nogi. W jednej chwili, bez żadnego oporu, królik zmienia się w porcję mięsa.

— Proszę, upieczcie go albo usmażcie, przekonacie się, że to znakomite mięso, o wiele lepsze od kurczaka.

Podaje mi martwego królika. Żałuję, że kiedykolwiek w ogóle wpadłem na taki pomysł.

— Ale jak mam zdjąć z niego skórę? Nie mam żadnego pojęcia, jak oprawia się króliki.

I tym razem zanim zdążę się poruszyć, nabija królika na hak wystający z drewnianej ściany klatki, wyciąga nóż i błyskawicznie oprawia zwierzę, zdejmując skórę, ucina głowę i patroszy. Wszystko to nie trwa nawet trzech minut i już trzymam w rękach miękkie ciało „byłego królika”. Sięga po gazetę, owija w nią tuszkę i podaje mi ją jeszcze ciepłą. Althei już przy nas nie ma. Wyszła. Czuję pustkę w środku, jak gdyby zbliżał się jeden z moich „ataków”. Wystarczy tylko, by ktoś powiedział: „No to start”, ja jestem gotowy.

Doganiam Altheę przy samochodzie. Nic nie mówi. Kładę królika na stoliku. Ruszamy w stronę Topanga Canyon Road.

— Czy nadal poważnie myślisz o hodowaniu królików?

— Nie tak poważnie, jak dotychczas. To było dość ponure doświadczenie. Zawsze chciałem mieć króliki, ale nie myślałem wcale o tym, by je zabijać. Przypomina to małą wojnę, ludzie przeciwko zwierzętom. Wiem, że takie jest życie, ale nie jestem pewien, czy chcę brać w tym udział.

W drodze do domu podejmujemy decyzję, jednak że zbudujemy klatki. Al podchodzi do tego z wielką wyrozumiałością.

— Rośliny też żyją, AL. Jaka to różnica, czy zabijamy króliki, czy rośliny? Taka tylko, że nie słyszymy krzyków roślin.

Przygotowałem sobie listę potrzebnych materiałów, zatrzymujemy się przy składzie w Topanga, by je kupić. Zostało nam jeszcze trochę siatki, na której sadziliśmy sukulenty. Postanowiłem postawić klatki na palach, żeby lisy nie dobrały się do królików.

Od razu zabieramy się do pracy. Wsadzam naszego królika do lodówki i postanawiam pokroić go tak, by wyglądał jak kurczak. Tchórz zawsze znajdzie jakieś rozwiązanie.

Budowa klatek zajmuje nam dwa dni. Przypomina to trochę budowę domu dla lalek. Wyrównuję kawałek terenu poniżej ogrodu. Wylewam nawet betonową podłogę.

Czuję, że nadeszła pora na jakieś bezkrwawe zajęcie, naciągam więc kilka płócien. Chcę namalować portret Al, ale ona odmawia, może kiedy indziej, mówi, może kiedy zajdzie w ciążę. Ustawiam swoje sztalugi niedaleko klatek dla królików, maluję widok rozciągający się w dół. Malowałem go już kilka razy, teraz więc obniżam nieco punkt widzenia, by uzyskać nowe spojrzenie. Maluję trzy obrazy, za każdym razem z bliższej perspektywy. Następnie naciągam czwarte płótno i z pamięci maluję zabitego królika. Nigdy nie malowałem nic, co tak bardzo przypominałoby wojnę.

Jestem już gotów zabrać się do budowania zagrody dla kóz i studia. Mam jeszcze dwa worki cementu, które zamierzam wykorzystać.

Al chce tylko wiedzieć, czy chcę zabijać kozy i jeść ich mięso. Co właściwie mam zamiar z nimi robić?

— Będę je doił, Al. Litr koziego mleka ma tyle wartości odżywczych co trzy litry krowiego, jest także naturalnie homogenizowane. Kiedy będziemy mieli dzieci, będą dostawały najlepsze mleko.

— A co z moim mlekiem, AL? Pozwolisz im pić moje mleko?

— Oczywiście, jeśli będziesz grzeczna. Sam może będę chciał spróbować twojego mleka, jeśli mi pozwolisz. A jak nie pozwolisz, będę pił kozie, może prosto z wymienia.

— Jesteś niemożliwy. Z każdym dniem robi się z ciebie coraz większy wariat. Nie będziesz musiał pić koziego mleka, możesz pić moje, jeśli tylko będę je miała. Ostrzegam, że jestem już gotowa próbować z następnym plastikowym penisem.

— Naprawdę? Ja też jestem już na to gotów. Chyba zbliżamy się do tego, by spróbować naprawdę, jak sądzisz?

Rumieni się. Ja chyba też. Wciąż raczej nie rozmawiamy o tych sprawach. Oboje zabieramy się do pracy, wyrównujemy teren, na którym zaplanowałem zagrodę. Ogrodzimy też wybieg, na którym będą pasły się nasze kozy. Zaczynam o nich marzyć. Chcę mieć nubijskie, które dają najpożywniejsze mleko. Szwajcarskie są ładniejsze, ale ich mleko jest gorszej jakości.

W tym samym czasie posuwamy się również odrobinę z naszym drugim przedsięwzięciem. Pewnej nocy udaje mi się wsunąć żołądzk mojego członka do pochwy Al. Wysuwam się z niej natychmiast, ponieważ nie może opanować krzyku i zaciska pochwę. Jestem wstrząśnięty tym, jak mocno potrafi ją zacisnąć. Al płacze.

— Nie chciałam zrobić ci krzywdy, AL. Nic ci się nie stało? To po prostu odruch. Może gdybyś użył więcej maści i pieścił moje sutki? Chyba byłoby mi dobrze, gdybyś zechciał spróbować.

Przysuwam głowę do jej piersi. Wydaje mi się, że stały się pełniejsze, odkąd podjęliśmy nasze wysiłki. Al twierdzi, że czasami stają się bardziej wrażliwe na dotyk.

Czuję, że pod każdym względem stajemy się sobie coraz bardziej bliscy. Zastanawiam się, czy inni ludzie mają podobne kłopoty z czymś tak naturalnym. Nie sądzę. Nasz problem jest niezwykle, ale nie skarżymy się. Czuję, że również we mnie coś pęka. Przeżywamy wielką przygodę i jestem pewien, że wyjdziemy z niej lepsi. Al i ja niewiele o tym rozmawiamy, ale

czuję, że oboje to wiemy. Nawiedzają mnie dwa dobre sny, śni mi się, że mamy dziecko. Niewiele miałem w życiu do czynienia z dziećmi, ale te sny są piękne, wręcz magiczne. Opowiadam o tym Al, a ona mówi mi, że jej również dwa razy śniło się dziecko.

Budowa zagrody powoli się posuwa. Codziennie po pracy kąpiemy się razem, baraszkujemy w strumieniach wody. Potem oboje zapadamy w sen.

Nawet bez pomocy plastikowych penisów udaje mi się teraz wprowadzić członek do jej pochwy, nie sprawiając jej przy tym bólu. Muszę jednak opanować impuls i leżeć na niej nieruchomo, wsłuchując się w jej przyspieszony oddech. Jakoś sobie z tym radzimy, każdy sukces jest w końcu krokiem naprzód do ostatecznego zwycięstwa.

Pewnego dnia jedziemy na zakupy do składu materiałów budowlanych przy Sepulveda Boulevard. Potrzebujemy drewna sekwojowego, lakieru i pokostu, a także blachy aluminiowej na dach.

Nie planuję żadnych okien, jedynie dwoje drzwi, każde wysokie na metr osiemdziesiąt. Jedne będą stanowiły wejście od strony wzgórza, drugie wychodzić będą na łąkę, gdzie będą się pasły kozy. W ten sposób będą miały różnorodną dietę i utrzymywały w ryzach roślinność, która ją porasta.

Po zakupach wybieramy się poszaleć, na kolację z żeberkami, dzbankiem piwa i tańcami w Kelbo's. Nie tylko uczymy w ten sposób budowę zagrody, ale także sprzedaż dwóch obrazów, które przywozłem do domu ze strychu. Zauważyłem pewne zainteresowanie moimi płótnami, ale oczywiście nie mogę pokazywać ich na strychu. Paul zaproponował, że mi pomoże, ale byłoby to dla niego zbyt ryzykowne, i przekonałem go, by tego nie robił.

Wywożę w sumie dwadzieścia obrazów, kiedy pewien klient zdaje się poważnie myśleć o zakupie. Za pierwszym razem nic z tego nie wychodzi, ale za drugim para jest naprawdę zainteresowana. Sprzedaję obrazy za ceny, które uznaję za bardzo dobre. Za jeden, piękne zbliżenie ziemi i roślinności przypominającej miniaturowy las, dostaję dwieście dolarów. Drugie płótno to jedna z moich „motylich” prac, przedstawia zwinięte czułki motyla na żółtym tle. Sprzedaję je za trzy stowy. W pierwszej chwili kupujący myślą, że to obrazy abstrakcyjne, ale wyjaśniam im, co przedstawiają.

Próbuję to wyjaśniać wszystkim, którzy chcą mnie słuchać; krzepnie we mnie przekonanie, że malarstwo w ogóle jest, ze swej natury, abstrakcyjne. Kiedy próbuje się przedstawić trójwymiarowy świat na niewielkiej płaskiej powierzchni, efektem musi być abstrakcja. Malarz stoi pośrodku, jako tłumacz i obserwator. Przedstawia, co wie i czuje na temat, w który sam się angażuje do granic swoich umiejętności.

Zawiesiłem obrazy na wszystkich wolnych ścianach naszego domku. Kilka wetknąłem między łóżko a ścianę. Nie jest to może najlepsze rozwiązanie, ale to wszystko, na co mnie w tej chwili stać. Dostrzegam powoli nie kończącą się kwestię logistyki, problem magazynowania gotowych prac. Jesteśmy szczęśliwi, że sprzedaliśmy obrazy. Brakowało nam zarówno pieniędzy, jak i miejsca. Jeśli dalej będę malował w takim tempie, będziemy musieli sypiać na dworze, bo dom wypełni się obrazami.

Cudownie nam się tańczy. Dzięki Al mogę prowadzić, a ona jest wprost wymarzoną partnerką. Suniemy w takt muzyki po prawie pustym parkiecie, niewiele myśląc, ciesząc się rytmem i ruchami naszych ciał. Jest dość ciepło, my zaś jesteśmy rozgrzani, w równym stopniu od emocji i ciężkiej pracy. Wsłuchuję się w muzykę i wyobrażam sobie chłodną wodę oblewającą nasze ciała. Al zmusza mnie nawet, bym zatańczył własną wersję jitterbuga. Śmiejemy się i tańczymy, nasze ciała stają się jednym. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że kiedyś poczuję się tak wolny, chociaż ramiona bolą mnie od pracy z łopatą i motyką.

Materiały zamówione w Hull docierają na miejsce wcześniej rano. Jak zwykle najpierw słyszymy ciężarówkę objeżdżającą skałę na Horseshoe Drive. Wychodzimy na drogę, kiedy wóz zatrzymuje się na wysokości naszego domu. Dwaj kierowcy są wdzięczni za pomoc przy wyładowywaniu, w zamian znoszą materiały na dół.

Wyjaśniam im, że chcę hodować tutaj kozy.

— Znam jednego faceta w dolinie, który hoduje kozy — mówi jeden z mężczyzn. — Nazywa się Ward. Założę się, że mógłbyś kupić od niego kozę. Sprzedaje mleko w starym kanionie. Jedno z moich dzieci ma alergię na krowie mleko. Mała piła kozie mleko i wyleczyła się na tyle, że teraz krowie mleko jej nie szkodzi.

Milknie. Gapię się na niego. Czy naprawdę chcę mieć kozę? To cały ja. Podniecam się jakimś pomysłem, a kiedy mogę go zrealizować, zamieram. Facet wyciąga portfel, a z niego pogniecioną wizytówkę, którą mi podaje.

— Tam kupowałem mleko. Sprzedaje je u siebie w domu. Ma pełno kóz w obejściu, czasami włązą mu nawet na dach. Jest chyba także malarzem, mieszka tu od bardzo dawna.

Biorę od niego wizytówkę.

— Wielkie dzięki. Jakie kozy hoduje?

— Chyba wszystkie, jakie tylko istnieją. Ma na ich punkcie świra, sprzedaje mleko, bo i tak musi je doić dwa razy dziennie. Uważajcie z kozami, mogą zapanować nad waszym życiem. Ciągłe uciekają albo trzeba je stale doić, a hałasują o wiele bardziej od krów.

Drugi facet zaczyna się wyraźnie spieszyć, pewnie mają jeszcze kilka dostaw do załatwienia. Al częstuje ich zimnym piwem. Piją je pospiesznie, wskakują do ciężarówki i ruszają w drogę.

— Więc jak, nadal zamierasz kupić sobie kozę, AL?

— Zastanowię się nad tym później. Jeśli zmienię zdanie, zawsze mogę przerobić tę budowlę na studio. Mógłbym postawić na wybiegu magazyn na obrazy, co rozwiązałoby kolejny problem. Najpierw jednak skończmy budowę zagrody.

— Jesteś szalony. Ale im bardziej jesteś szalony, tym bardziej cię kocham, więc pewnie ja też jestem szalona.

Pochyla się ku mnie i całuje mnie, ku mojemu wielkiemu szczęściu.

Teraz już budowa posuwa się błyskawicznie. Nie jest to może najbardziej fachowo wykonana robota, ale cóż, nie będzie stać wiecznie.

Po kolejnej rozkosznej chlapaninie pod strumieniem wody z węża dotaczamy się jakoś do domu. Na początku jesteśmy rozgrzani od palących promieni słońca, potem jednak powietrze się ochładza, w kanionie szybko robi się zimno jak w studni. Jesteśmy nadzy, zrzuciliśmy przepocone ubrania i wypraliśmy je pod bieżącą wodą. Przekonuję Al, by położyła się na chwilę do łóżka i odpoczęła, podczas gdy ja pojadę kupić coś na kolację. Nie opiera się. Pracowała dzisiaj jak prawdziwy zuch. Wciążam parę czystych dżinsów i zjeżdżam Motylkiem do doliny. Nigdy wcześniej nie czułem się tak zadowolony z siebie.

Kupuję mrożoną pizzę, którą chyba uda mi się upiec w naszym piecyku, oraz kilka dojrzałych pomidorów i kukurydzę. Uzupełniam też zapas pepsi, która dosłownie nam wyparowuje. Kiedy wracam do domu, Al śpi.

Wyciągam się obok niej, czekając, aż pizza się upiecze. Staram się nie zasnąć, ale nie udaje mi się zapanować nad sennością. Na szczęście budzę się na chwilę przed tym, jak pizza zaczyna się przypalać. Podrywam się z łóżka i budzę Altheę.

— Kolacja będzie za chwilę gotowa, nie musisz się spieszyć, zjemy sobie przy oknie, mamy wspaniały zachód słońca.

Układa się z powrotem i zasypia, a ja wkładam trzy kolby kukurydzy do gorącej wody, kroję pomidory na plasterki, wsypuję do szklanek trochę lodu i nalewam pepsi. Kiedy woda zaczyna

wrzeć, budzę Al.

— Pepsi, kukurydza w kaczanach i dojrzałe, soczyste pomidory w plasterkach — szepczę jej do ucha.

Pomagam jej podnieść się z łóżka. Uśmiecha się z wielkim zadowoleniem.

— Nie wiem sama, czy to zjawą, czy to tylko ciąg dalszy moich snów, AL.

Kukurydza jest miękka jak marzenie, pomidory jędrne, ale nie twarde, czuję w nich prawdziwy smak lata. Wydaje mi się, że częściej powinienem rezygnować z posiłków, wszystko smakuje później tak wyśmienicie.

Wspólnie wypijamy ostatnią butelkę pepsi i patrzymy, jak słońce znika za wzgórzami. W głowie już układam sobie plan pracy na jutro.

\* \* \*

Bez wielkich problemów montujemy dach, od razu z markizą domowej roboty, tniemy, dopasowujemy i przybijamy sekwojowe deski na ściany i przykręcamy zawiasy. Kilka razy otwieramy i zamykamy drzwi na próbę, poprawiamy i cieszymy się naszą pracą.

Zostawiliśmy otwór, w którym chciałbym umieścić ruchomy żłób. Chcę ustawić go na zawiasach w taki sposób, by koza mogła jeść z niego z zewnątrz albo z zagrody. Al jest podekscytowana moim wynalazkiem. Jest gotowa kupić kozę, choćby po to tylko, byśmy mogli go wypróbować.

Dzwonię do pana Warda, a on zaprasza nas do siebie. Wyjeżdżamy wcześniej i ruszamy Old Canyon Road. Jego dom i zagroda wciśnięte są pod potężne skały o iście antropomorficznych kształtach. Wsiadamy z jeepa i zamieramy w miejscu, całe obejście pełne jest kóz wszystkich możliwych ras. Kiedy przeciskamy się między nimi, zaczynają skubać nasze ubrania. Pan Ward, potężny mężczyzna z rudą brodą, schodzi z krzywego drewnianego ganku, również pełnego kóz. Podaje nam wielką dłoń, silną i miękką.

— Mam na imię Ralph. Nie do końca zrozumiałem, w jakiej sprawie dzwoniście. Chcecie kozę czy tylko mleko?

— Dzwoniliśmy ze sklepu Clarence’a, panuje tam taki hałas, że czasami trudno zrozumieć, co się mówi. Przepraszam. Ja mam na imię AL, a to moja żona, także Al. Może trudno się w tym trochę połapać, ale nam się tak podoba. Chcielibyśmy kupić porządną mleczną kozę, najlepiej nubijską.

Puszcza moją dłoń i dopiero teraz przygląda mi się naprawdę uważnie.

— Znasz się na kozach? Nie wyglądasz mi na hodowcę. — Dopiero zaczynam. Właśnie odbudowaliśmy dom koło Fernwood i chcemy hodować kozę na mleko. Niewiele jeszcze o nich wiemy. Facet ze składu Hull powiedział, że pan je hoduje i mógłby nam jedną sprzedać. Postawiliśmy małą zagrodę i oczyściliśmy pastwisko.

— Doiłeś kiedyś kozę?

— Kiedyś trzeba zacząć.

— Macie dzieciaka, który nie może pić krowiego mleka, czy co?

— Nie. Nie mamy jeszcze dzieci. Ale mamy nadzieję, że już niedługo będziemy mieli.

Odwraca się i chodzi przez chwilę, robiąc trzy razy kółko o średnicy około metra. Spogląda na mnie kilka razy.

— Sam nie wiem. Kozy to nie są zwierzęta domowe jak pies czy kot, nie można ich tak po prostu mieć. Ja je lubię, ale większość ludzi uważa, że cuchną. Właściwie tylko kozły śmierdzą, jak każde zwierzę żywiące się trawą, najbardziej chyba przypomina to woń jelenia. Ale kiedy w stadzie jest kozioł i ociera się o kozy, wszystkie zaczynają śmierdzieć. Macie płot, żeby wam nie

uciekła? Są w tym wyjątkowo dobre i diabelnie trudno je połapać. Powinniście o tym wiedzieć.

— To samo powiedział nam tamten facet.

— W takim razie chodźcie, pokażę wam coś, co może wam się spodobać, taką jedną kozę.

Schodzimy za nim po stoku. Ma kilka zagród i małych obór. Prowadzi nas do jednej z porządniej wyglądających obór.

Kozy idą w ślad za nim, podobnie jak my, a za nami następne kozy. Wygląda to jak jakiś dziwaczny pochód. Kilka razy spoglądam na Al, ale ona nie patrzy na mnie. Facet zatrzymuje się i wskazuje nam na zwierzaka, który wygląda jak mu — lak, ten sam kolor, te same rozmiary, ale jest to z pewnością koza.

— Oto Gertruda, jedna z moich najlepszych kóz. To krzyżówka Szwajcarki i nubijki, wygląda na Szwajcarce, ale jej matka była jedną z najlepszych dójek, jakie miałem, i była czystej krwi nubijką.

Spogląda na Al, zanim odezwie się znowu, jakby miał jakieś wątpliwości.

— Właśnie się grzeje. Popatrzcie tylko, jak drży jej ogon, to pewny znak. Ale próbowałem już poprzednim razem dopuścić do niej kozła, bez powodzenia. Mam dobrego nubijskiego kozła, który zająłby się tą robotą, ale w ogóle nie dopuściła go do siebie. Kozy miewają takie humory.

Wchodzi do zagrody, Gertruda cofa się. Wchodzimy za nim. Pewnym ruchem ręki — jestem przekonany, że to efekt długiej praktyki — łapie ją za krótki róg. Drugą ręką sięga między jej nogi, łapie za wymiona.

— Popatrzcie, założę się o ostatniego centa, że przy każdym dojeniu będzie dawać co najmniej dwa litry mleka. Spójrzcie na te wymiona, ma wszystko, czego potrzeba. Tylko, jak już mówiłem, nie dopuszcza do siebie kozła.

Al podchodzi do niego.

— Ile pan za nią chce?

Wpatruje się w Al. To potężny facet, ma metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i pewnie ze sto trzydzieści kilogramów wagi.

— Nie mogę wam jej sprzedać. To byłby zwykły szwindel. Koza, która nie daje mleka, nie jest warta ani centa. Proszę mi wybaczyć, panienko, ale taka jest prawda. Ta śliczna kózka zjadłaby i was, i wasz dom. Ale jeśli potrafiłaby ją pani nakłonić, żeby dopuściła do siebie kozła, dałaby pewnie niezłe potomstwo i dużo mleka. Posłuchajcie. Nie sprzedam wam Gertrudy, dam wam ją za darmo. Jeśli się złamie i dopuści starego Salomona, tak nazywa się ten nubijski kozioł, koza jest wasza, jeśli będzie miała młode, chcę dostać jedno, nie pierwsze, to będzie wasze, ale drugie. Interes dla wszystkich, ale nie daję żadnej gwarancji. No, co powiecie?

Al spogląda na mnie. Uśmiecha się. Oboje myślimy dokładnie to samo. Kiwa głową potakująco. Ja też.

— Ale nasza zagroda jest za mała, żeby umieścić ją tam razem z Salomonem. Co mamy zrobić?

— Powiem wam, co ja zrobię. Zaprowadzę ją od razu do Salomona. Może tym razem będzie miała większą ochotę. Poczekamy, zobaczymy.

Znowu kiwamy głowami. Ward wyciąga Gertrudę za róg, a potem podnosi ją, choć zwierzę się szarpie. Przechodzimy za nimi do zagrody na końcu obory, gdzie stoi najczarniejszy kozioł, jakiego kiedykolwiek widziałem. Jest ogromny i włochaty, wygląda raczej jak niedźwiedź. To właśnie jest Salomon. Facet kiwa do nas i wpycha Gertrudę do środka. Salomon to odpowiednie imię. Od razu podbiega do Gertrudy. Ona jest ostrożna, cofa się, ale on rusza za nią, a potem kładzie jej swoją głowę na kark, jak gdyby ją obejmował. Gertruda się wyrzywa. Kozioł wspina się na nią, choć wciąż kopie, i całym ciężarem zmuszają, by uklęknęła. To po prostu gwałt, brutalny i skuteczny. Gertruda wydziera się wniebogłosy. Al odwraca głowę. Nie spodziewaliśmy się

czegoś podobnego. Salomon zabiera się do roboty, Gertruda się poddaje.

— No cóż, nie wiem, co takiego wydarzyło się od zeszłego roku, ale stawiam dolary przeciwko zgniłym orzechom, że zrobił, co do niego należało. Z tego, jak będzie się teraz zachowywać, dowiemy się czegoś więcej. Ja muszę zabrać się do porządków, ale wy możecie tu zostać i popatrzeć przez chwilę.

Ralph odchodzi, ciągnąc za sobą płócienny worek. Patrzymy jak zaczarowani, kiedy Salomon i Gertruda powtarzają kilka razy swój pełen namiętności taniec. Martwi mnie, jak zareaguje na to Al. Możliwe, że jest to dla niej ucieleśnienie wszystkich jej lęków. Czuję, że sam boję się tego potężnego, czarnego, włochatego kozła.

Ralph wraca i pyta nas, co się wydarzyło. Opowiadamy mu o tym „gwałcie”.

— Wygląda na to, że trochę za szybko straciłem wiarę w Salomona. Ale umowa to umowa. Jeśli chcecie wziąć Gertrudę, należy do was, aleja dostanę pierwszą kózkę, którą urodzi.

Nie pamiętam, by przedtem wspominał o pierwszej kózce, ale jestem tak zaskoczony, że prawie w ogóle nic nie pamiętam. Zgadzam się podobnie jak Al.

Podjeżdżamy Motylkiem tak blisko, jak się da. Ralph wchodzi do zagrody, odpędza Salomona kijem, łapie Gertrudę za róg i wyprowadza. Wspólnie wciągamy kozę do jeepa, zawiązuję jej na szyi sznurek, który mocuję do postawy karabinu. Al siada z przodu i ruszamy. Wydostaję się jakoś z koziego stada i wyjeżdżam na drogę, Al macha na pożegnanie Ralphowi.

Teraz dopiero widzę, że cały się trzęsę. Było to dla mnie naprawdę poruszające doświadczenie. Al płacze. Zatrzymuję się przy krawężniku.

— Czy to dla ciebie zbyt wiele, Al? Przyznaję, że dla mnie też było to trudne. Widziałem kopulujące psy, ale to było życie i śmierć w najczystszej postaci.

— Nie, AL. Nie wiem czemu, ale wszystko to było bardzo naturalne, Gertruda była taka dzielna. Nie czułam się tak dobrze od wielu lat. Sama nie mogę w to uwierzyć, ale taka jest prawda. Czuję, że jestem jednym ze wszystkich stworzeń tej ziemi, kobietą. Ogarnia mnie prawie wstyd, że robiłam z tego tak wiele szumu przez tak wiele lat. Gwałt wśród ludzi jest czymś poniżającym, ale to dlatego, że jesteśmy ludźmi. Nie ma w tym nic szczególnego. Mężczyźni i kobiety powinni po prostu wiedzieć, co robią. Coś takiego nie powinno się zdarzyć. Teraz pojmuję sercem to, co pojęłam już umysłem. Wydaje mi się, że teraz my również możemy mieć dzieci.



## ROZDZIAŁ XXI

Powrót do domu z Gertrudą jest nieco zwariowany. Koza, co oczywiste, ze wszystkich sił próbuje uciec. W końcu jednak się uspokaja. Pokrywa tylko całą podłogę Motylka drobnymi, czarnymi bobkami, a potem zaczyna sikać.

W końcu wjeżdżamy w Horseshoe Drive. Odwiązuję Gertrudę i próbuję wyciągnąć ją z biednego, uświnionego Motylka. Koza w straszliwym przypiływie energii wyskakuje i próbuje uciec, ale jakoś udaje mi się ją zatrzymać.

Ostrożnie sprowadzamy ją po schodach i miejsce na dół do zagrody. Przywiązuję sznurek do jednego ze słupów. Wydaje się, że Gertruda się poddała, ale wiem też, że zbiera siły na ostatnią rozpaczliwą próbę ucieczki. Mam nadzieję, że gdy zacznie się paść, trochę się uspokoi. Althea próbuje ją pocieszać, ale otrzymuje tylko kilka tryknięć rogami i nieudanych kopniaków kopytkami.

Robię błyskawiczną wycieczkę do sklepu ze zbożem i paszami, który mieści się u wylotu kanionu, i kupuję tam lucernę.

Przecinam druty, wyciągam kilka garści słodkiej, zielonej lucerny i rozsypuję ją wokół kopyt Gertrudy z nadzieją na jakieś objawy wdzięczności. Niczego jednak się nie doczekałem. Wracam więc do pracy. Al pomaga mi, ale co pewien czas próbuje uspokoić Gertrudę. Koza je lucernę, ale co chwila na nas popatruje.

Kiedy przybijam ostatnią deskę, jest już ciemno. Powinienem jeszcze pomalować płot, ale nie zamierzam się do tego zabierać po zmroku. Zostawiam Gertrudę przywiązaną do palika. Nie chcę, żeby waliła w nowy płot, próbując go przeskoczyć. Wiem, że w jej rogatej głowie kłębią się jeszcze inne pomysły na odzyskanie wolności.

Uprzątam narzędzia. Teraz możemy wrócić do domu i wziąć wspólnie prysznic, a potem wsunąć się do łóżka. Jesteśmy śmiertelnie zmęczeni. Dwa razy wstaję w nocy, żeby zobaczyć, co się dzieje. Gertruda śpi pod niewielkim daszkiem, który przybiłem nad żłobem, była to jedna z najrozsądniejszych rzeczy, jakie dzisiaj zrobiłem. Za każdym razem Althea budzi się wraz ze mną.

— Wygląda na to, że zaczyna się przyzwyczajać.

— Mam nadzieję. Już widzę, jak przez cały czas pilnuję kozy i nie mam czasu na malowanie. Nie chcę nawet myśleć o tym, co będzie, kiedy urodzi młode i będę ją musiał codziennie doić.

Postanawiam za bardzo się nad tym wszystkim nie zastanawiać, w przeciwnym razie musiałbym od razu zapakować Gertrudę do Motylka i zawieźć z powrotem do Ralpha, choćby i po ciemku, by mogła powrócić do swego dawnego życia, podobnie jak ja.

Następnego dnia przekonuję się, że beton zastygł już dostatecznie mocno. Wychodzę na pastwisko razem z Gertrudą. Koza ignoruje mnie. Odwiązuję ją, ale wciąż na mnie nie reaguje. Wsympuję trochę lucerny do żłobu, a koza zachowuje się, jakby było to coś najzwyczajszego na świecie, zabiera się do jedzenia, wciąż nie zwracając na mnie uwagi. Cały poranek zajmuje mi instalacja automatycznego poidła, które umieszczam obok żłobu. To prosta sprawa, podłączam wąż do kranu na górze, woda spływa wolno do garnka, który wkopałem obok żłobu. Gertruda szybko uczy się, jak z niego korzystać. Dochodzę do wniosku, że może ma trudny charakter, ale na pewno jest inteligentna. Chyba to dobrze.

Pozostałą część dnia zajmuje mi budowa stanowiska do dojenia, które zaopatruję w niewielkie nóżki i montuję na ścianie zagrody. Buduję też zapadkę, którą mogę ustawić, kiedy Gertruda wystawi głowę, by jeść ze żłobu. Urządzenie działa na tej samej zasadzie co gilotyna. Mam

nadzieję, że Al nie będzie miała o to pretensji. Czekam, aż koza dostrzeże siano i wsadzi głowę do żłobu. Teraz opuszczam zamknięcie i jest już uwięziona w środku. Kiedy ją wypuszczam, posyła mi obrażone spojrzenie, ale z wdziękiem wychodzi przez otwarte drzwi. Wygląda na to, że mój pomysł działa.

Po południu zabieram się do naciągania płócien. Teraz, kiedy problem kozy jest mniej więcej rozwiązany, postanowiłem wykorzystać to doświadczenie i namalować cykl obrazów przedstawiających kozy. Rysuję Salomona i kilka wstępnych szkiców przedstawiających kopulujące zwierzęta. Planuję co najmniej cztery obrazy, na jednym z nich chcę przedstawić nas jako widzów, w następnym skupię się na namiętności i entuzjazmie Salomona, skontrastowanych z oporem Gertrudy. Mam nadzieję wyrazić to wszystko w swoim malarstwie. Nie będzie to łatwe. Na koniec zaś chcę namalować kozy wędrujące swobodnie po domu, polu i ganku Ralpha. Mam nadzieję, że pozwoli mi malować u siebie. Jeśli będzie to możliwe, chciałbym także namalować jego portret, nie chodzi mi o szczegóły i podobieństwo, chciałbym raczej uchwycić bijącą od niego spokojną siłę.

Naciągam cztery płótna z jednej z bel, które kupiłem na koszt działu weteranów. Dobrze się czuję, kiedy mam przed sobą cztery czyste płótna, a głowie ciekawy temat. Czyszczę paletę i myję pędzle. Nie obchodzę się z nimi zbyt starannie, ale chyba taką już mam naturę. Jednak kiedy będę musiał zacząć płacić za materiały, pewnie się zmienię. Mam też kilka w litrów terpentyny. Przygotowałem się, jakbym wybierał się na niedźwiedzia, a czekają mnie tylko kozy.

Znoszę materiały do zagrody i zabieram się do malowania. Widzę teraz, że naprawdę mogę tu mieć niezłe studio. Mógłbym tu przechowywać swoje materiały i ukończone obrazy. Na środku miałbym miejsce do pracy. Wielkie studia, jakimi dysponuje UCLA, zepsuły mnie doszczętnie i chciałbym nadal tam malować, ale ciągle przeszkadzanie i hałas zaczynają mnie już męczyć. Jakoś sobie z tym poradzę. Najprawdopodobniej jednak będą mnie po prostu musieli wyrzucić. Tymczasem postanawiam wywieźć do Topangi wszystkie obrazy, które zgromadziłem na strychu, aby mogły odetchnąć powietrzem i światłem.

Tego wieczoru opowiadam Althei o swoich planach. Mówi, że będzie tęskniła za naszym gniazdem, ale że mam rację, potrzebuję spokoju i koncentracji, aby wprowadzić w życie swoje projekty. Al ma teraz własne spojrzenie na sztukę. Dostrzega w obrazie ideę i koncepcję. Jestem prawdziwym szczęściarzem, że znalazłem sobie taką kobietę.

Sama tworzy wspólny katalog moich prac z komentarzami, opatrzone zdjęciami, które zrobiłem aparatem pożyczonym od mojego przyjaciela Scotty'ego. To moje prace, ale katalog to jej królestwo i staram się do niego nie wtrącać. Nie znam nikogo równie bezpośredniego i szczerego jak AL. Jedynym źródłem naszych konfliktów są ceny. Te, które proponuję, nie stanowią nawet połowy tego, czego żąda AL. Nie chodzi tu wcale, że dyktuje wygórowane ceny, które mają tylko podnieść potencjalną wartość płócien. Postrzega obrazy inaczej niż ja. Dochodzę do wniosku, że jeśli nie uzyskamy za nie zaproponowanych cen, zawsze możemy je obniżyć.

Chce, żeby pierwszy katalog zawierał co najmniej siedemdziesiąt prac. Przygotujemy go, wklejając fotografie. W żadnym wypadku nie byłoby nas stać na wydrukowanie go z ilustracjami. Po wystawie w Delta Ypsilon i kilku spotkaniach z klientami mam teraz znowu prawie siedemdziesiąt płócien. Przypomina mi się dowcip o człowieku, który tak bardzo lubił naleśniki, że miał ich pełne szuflady.

Malowanie kóz daje mi wiele zadowolenia. Pierwsze płótno przedstawia kozy zamieszkujące gospodarstwo Ralpha. Wygląda jak arka Noego, który postanowił uratować wyłącznie kozy. Ralph uznaje, że to najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu widział. Ciągle do mnie podchodzi, udziela mi rad dotyczących poszczególnych kóz i wyjaśnia, co robią. Postrzega swoje pupilki

jako mikrospołeczeństwo rządzące się sztywnymi regułami. Piję tak dużo koziego mleka, że w końcu myślę, że odpłynę. Ralph ciągle namawia mnie, bym spróbował mleka jakiejś kolejnej kozy. Przypomina to degustowanie wina, tylko że tu chodzi o mleko. W końcu jednak udaje mi się polubić jego smak i zapach.

Wydaje mi się, że pobyt u Ralpa pomaga mi trochę zrozumieć Gertrudę. To aroganka, pewna siebie bestia o własnych poglądach. Jest bardziej przekorna niż chętna do współpracy. Zastanawiam się nad tym, czy nie zmienić jej imienia na Kleo, miałyby to być skrót od Kleopatry, ale Al się sprzeciwia. Między Al i Gertrudą nawiązała się nić porozumienia. Czuję, że kiedy dojdzie co do czego, to Al prawdopodobnie nauczy się doić. Nie zamierzam się sprzeciwiać. Skupiam się na malowaniu.

Zaczynam malować okoliczne wzgórza, szczególną uwagę zwracam na ziemię. Czasami gubię się w tym bogactwie konturów i barw. Wystarczy ich, by doprowadzić świętego do szaleństwa, ale także, by uświęcić prostego malarza. Jeżdżę Motylkiem, ścigając zmienne i ruchome niebo, śledząc chmury i ich cienie pomykające po ziemi. A jednak wciąż trwam przy ziemi, zachwycony jej kolorami, szukając czegoś, co czuję, ale czego nie jestem w stanie wyrazić.

Althea jednak posiada ten dar, widzi i czuje to, co staram się pokazać. Chociaż sama nie próbuje malować ani rysować, sprawia, że wiem, co robię, sama wie to wcześniej ode mnie. Wieczorami stara się wykształcić mój słuch. Wierzy, że w ten sposób zrobi ze mnie lepszego malarza. Czyta mi na głos wiersze swoich ulubionych poetów, ja zaś leżę z głową na jej brzuchu, wsłuchując się w jej oddech, nasłuchując dźwięków dobiegających z jej wnętrza.

Ma rację. Widzę coraz lepiej, coraz bardziej pojmuję, czego szukam, potrafię to rozpoznać. Malarstwo staje się dla mnie coraz bardziej otwieraniem mrocznych przestrzeni światłem i zamykaniem świetlistych cieniem i mrokiem. Szum drzew jest teraz dla mnie muzyką, a nie jedynie efektem powiewu wiatru. Mam nadzieję, że moje obrazy są dla niej jak czyste, szerokie okna, jak jej wiersze dla mnie.

Próbuję usłyszeć dziecko, które, jak twierdzi, nosi w swoim łonie, ale nic nie słyszę. Dni mijają, zmieniają się w tygodnie, później miesiące, aż pewnego ranka Althea budzi mnie z płaczem, pokazując, że tej nocy dostała okres. Przytulam ją do siebie i przysięgam, że wkrótce zajdzie w ciążę. Althea potrząsa głową, a ja przytulam ją mocniej.

— Założę się, Al, że przed końcem roku będziesz nosić w swoim łonie śliczne dziecko i będziemy mogli cieszyć się nim wspólnie. Obiecuję.

Uśmiecha się tylko. Są rzeczy, które ona tylko może wiedzieć.

— Czy zauważyłeś, AL, że u Gertrudy widać już ciążę? Pozwala mi przykładac dłonie do swego brzucha, a wtedy czuję ruchy koźlątka. Może masz rację. Może za szybko się poddaje.

Zabieram się do budowy półek na moje obrazy. Przykręcam do betonowej podłogi drewnianą belkę, drugą zaś umieszczam dokładnie nad nią, mocując ją do krokwi. Na całej długości wbijam w nie co pięć centymetrów duże spinacze i przeplatam między nimi nylonową żyłkę. Przypomina to prawdziwe tkanie. Mam teraz dwa poziomy podzielone pośrodku, miejsce na prawie sto obrazów. Wypełnienie tego magazynu powinno zająć mi trochę czasu. Kiedy przesuwam palcami po naciągniętych żyłkach, wydają głęboki, gardłowy dźwięk, prawie jak harfa.

Myślę o kurczakach, które miały tu zamieszkać, o jajkach wypadających na podłogę, które nigdy nie zostałyby okryte ciepłymi piórami, aby mogły wykluć się z nich kurczęta. Dziękuję Al, że powstrzymała mnie przed realizacją tego pomysłu.

Znalazłem kobietę, która hoduje kury naturalnymi metodami; jajka, które od niej kupuję, są duże, prawie okrągłe i wszystkie brązowe, ciemnobrązowe. Często zdarza się, że mają dwa żółtka. Kupuję po dwa tuziny, jeśli tylko ma tyle na sprzedaż, i wracam do domu, przyciskając je do serca jak poszukiwacz złota, który natrafił na złote samorodki.

Wracam do klatek dla królików i kupuję najzwyczajniejsze brązowe króle. Mam nadzieję, że kiedyś będę mógł wypuścić je na wolność. Gdybym wybrał czarno-białe, które proponował nam pan Stodel, mogłyby z łatwością paść ofiarą dzikich kotów albo jastrzębi, których pełne jest niebo nad Topangą. Nie miałyby żadnych szans na przetrwanie. A właśnie przetrwanie staje się dla mnie coraz ważniejsze, pojmuję teraz, że malowanie jest moim własnym sposobem na przetrwanie.

Zapraszam Altheę do zagrody. Przynosimy ze sobą krzesła i razem obserwujemy, jak młody królik daje dowody swego temperamentu. Samiczki są siostrami, nie faworyzuje żadnej z nich. Nie podejrzewam, by któraś ze stron była rozczarowana. Robi szybki numerki i za każdym razem pada na bok jak martwy. Samiczki pieszczą go, aż przyjdzie do siebie, co za każdym razem następuje w iście błyskawicznym tempie. Wszystkie dowcipy o królikach znajdują potwierdzenie w Piotrusiu. Nazwaliśmy go tak na cześć królika z bajki.

Tej nocy czujemy się z Altheą wolni i dzielimy się rozkoszą. Śmiejemy się z własnej niezgrabności, a jednocześnie znajdujemy coraz bardziej wyrafinowane sposoby na osiągnięcie zaspokożenia, których nam dotychczas brakowało. Próbuje sprawić, by ta noc trwała jak najdłużej, ale za naszym oknem niebo jaśnieje, a księżyc i gwiazdy przesuwają się po nim skapane w blasku. Nic nie możemy na to poradzić. W końcu zapadamy w sen sprawiedliwych, a może niesprawiedliwych. Niesprawiedliwych dlatego, że oboje jesteśmy przekonani, że wszystkich innych ludzi omija to, czego właśnie doświadczyliśmy. Aż tak bardzo jesteśmy niewinni i niedoświadczeni. Ogarnia nas poczucie winy z powodu poczucia wyższości, które wynika z naszej niewiedzy. Teraz naprawdę jesteśmy przedstawicielami rodzaju ludzkiego.

W moich obrazach zajmuję się teraz naturą przestrzeni, która nie jest jedynie miejscem, złudzeniem głębi zwanym perspektywą. Można ją uzyskać przez stopniowanie ostrości rysunku lub koloru, grę kolorów agresywnych i pasywnych w powietrzu, pozornych odległości; wszystkie elementy tej perspektywy stają się teraz dla mnie rzeczywiste, w równym stopniu jak miriady rzeczy, które, jak mi się wydaje, widzę.

Odkrywam, że mój pędzel skacze i ślizga się po przestrzeni, którą stworzyłem, i często sam nie wiem, jak to osiągnąłem. Może to właśnie miał na myśli Paul, kiedy mówił, że powinienem przestać starać się tak bardzo, przestać próbować zdominować płótno albo temat i pozwolić prowadzić się farbie i światłu. Wydaje mi się coraz bardziej, że tak właśnie jest, malarstwo zaś staje się coraz ważniejsze w moim systemie przetrwania, a może odrodzenia.

Wychodzę w plener między wzgórze i zbocza Topangi. Zużywam większą część pozornie niewyczerpanych zapasów płótna i farb. Althea pracuje równie ciężko jak ja nad naszym katalogiem. Wieczorami czyta mi na głos wiersze i śpiewa, ja próbuję wyjaśnić, co według mnie dzieje się z moim malarstwem, a ona stenografuje tę „poezję”.

W końcu mam sto obrazów, jak chciała Althea. „Przetłumaczyliśmy” także stenograficzne notatki, których część wraz z fotografiami dołączamy do katalogu. Odwiedzamy kilka zakładów drukarskich w Santa Monica i Los Angeles, szukając kogoś, kto zgodziłby się wydrukować nasze skomplikowane przedsięwzięcie. Ostatecznie udaje nam się znaleźć drukarza, który stracił nogę na wojnie i nauczył się nowego fachu dzięki temu samemu paragrafowi, dzięki któremu ja nauczyłem się malować i odzyskałem zdrowie psychiczne.

Rozmawiamy. Drukarz ma na imię Adrian, jest pewien, że potrafi wydrukować wszystko, czego potrzebujemy, nawet stenografię Al, ale będziemy musieli wykonać odbitki fotografii i sami wkleić je do wszystkich katalogów. Oznacza to konieczność wklejenia dziesięciu tysięcy zdjęć. Cena, którą nam podaje, jest bardzo szlachetna, ale to i tak na granicy tego, na co możemy sobie pozwolić. Następnym problemem będzie wysłanie gotowych katalogów.

Pracujemy nad nimi wspólnie i udają się znakomicie. Pokazuję jeden Paulowi, który

stwierdza, że spodobałby się każdemu buddiescie. Postanawiamy wykonać dwieście egzemplarzy, dwa razy więcej, niż początkowo planowaliśmy, ale katalog jest tak piękny, że nie potrafimy się powstrzymać.

W każdym katalogu umieszczam osobisty komentarz, Althea wkłada je do kopert, a następnie swoim ślicznym charakterem pisma wypisuje nazwiska i adresy. Wszystko wygląda bardzo profesjonalnie. Znaczek na każdy taki list kosztuje sześćdziesiąt centów, wysłanie ich kosztuje nas w sumie sto dziesięć dolarów. Paul podsuwa nam nazwiska ludzi, z którymi się kontaktował, kiedy pracował w agencji, i wszyscy razem zaklejamy koperty i naklejamy znaczki. Rozprowadzamy wszystkie katalogi. Wspólnie jedziemy później do tajskiej restauracji, którą polecił nam Paul. Nie mam pojęcia, jak tu dotarł. Tajskie potrawy bardzo nam smakują, a przy tym okazują się niewiele droższe od meksykańskich. Po obiedzie odwozimy Paula i przy okazji zabieramy kilka obrazów, które jeszcze zostały w Moore Hall.

Zabieram się od razu do naciągania płócien, podczas gdy Althea czuwa przy telefonie. Telefon to kolejny luksus, na który pozwoliliśmy sobie w nadziei, że dzięki niemu uda nam się zarobić jakieś pieniądze.

Zaczynamy zatem czekać. Trzeciego dnia kontaktują się z nami pierwsze osoby — młoda para zainteresowana zakupem jednego z płócien przedstawiających zbliżenie ziemi. Althea i ja jesteśmy bardzo podekscytowani. Czekając na kupców, robię porządki w zagrodzie. Althea, rozsądna jak zawsze, przygotowała od razu mapki przedstawiające drogę do naszego domu. Po jej naleganiach stawiam kierunkowskaz w miejscu, gdzie Horseshoe Drive odbija od Fernwood Pacific. Na kawałku płótna maluję strzałkę. Przyczepiam ją do słupka, na którym zamocowaliśmy skrzynkę pocztową. Naprawdę stajemy się pełnoprawnymi obywatelami.

Telefon dzwoni bez przerwy, ludzie pytają, kiedy można oglądać moje prace. W większości telefonują buddiesi, przyjaciele Paula, jeden nawet wysłał do nas telegram. Przez dwa tygodnie mamy korki na Horseshoe Drive. Nie potrafię w to wprost uwierzyć. Okazuje się, że ludzie, których stać na obrazy, są nimi zainteresowani i faktycznie kupują, to bardzo często osoby starsze. Nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiałem.

Trzymam się cen ustalonych przez Altheę i polityki „żadnego targowania”. Zmniejsza to stres. Przyczepiam następną wywieszkę do słupka z naszą skrzynką, że przyjmujemy gości wyłącznie między dziesiątą rano a piątą po południu. Mimo to w ciągu dwóch tygodni sprzedajemy wszystkie obrazy. Althea notuje starannie, kto kupuje, jakie i ile obrazów, zbiera dane do następnych katalogów, które już planuje. Dwie osoby kupiły po pięć lub więcej płócien. Al wpłaciła pieniądze do banku w Santa Monica. Kontroluje wszystko, a ja nie pytam, ile dokładnie mamy pieniędzy. To jej działka.

Kiedy sprzedajemy ostatnie obrazy, czuję się kompletnie wyczerpany. Zastanawiam się nad tym, co powinniśmy zmienić następnym razem. Althea pokazuje mi wyniki finansowe. Na koncie w banku mamy ponad trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Al upiera się, że jedną trzecią powinniśmy odłożyć na podatki i zakup nowych materiałów. Pomoc działu weteranów już się skończyła, teraz jestem naprawdę niezależny. Nie potrafię przyzwyczaić się do tej nagłej zmiany. Obawiam się, że i sprawi to, iż malarstwo przestanie być dla mnie zabawą.

Althea uważa, że powinienem kupić tacie samochód, znaleźć dla rodziców dom w Santa Monica, płacić za nich czynsz. Sądzi, że moglibyśmy też dać trochę pieniędzy Mariowi i Claudii na dom w Ocean Park.

— Wiesz, Al, czuję się teraz jak mafiozo. *Cosa nostra*, nasza rodzina. Nie jestem wcale pewien, czy mi się to podoba.

— Sądzę, że im się spodoba, a tylko to jest ważne.

Rodzinie Al wysyłamy czek na dziesięć tysięcy dolarów, które mogą wydać, jak zechcą. Al

jest przekonana, że wydzierżawia za nie bar — restaurację. Jej ojciec zawsze o tym marzył. Ma nadzieję, że jej mama zrezygnuje z pracy jako kelnerka w barze.

Wiemy, że wtrącamy się w ich życie, ale chcemy podzielić się z nimi naszym szczęściem.

W samym środku tego szaleństwa Gertruda uznaje, że nadszedł już czas na dzieci. Pierwsze jest czarne jak Salomon, ale to kózka. Drugie, brązowe jak Gertruda, to koziołek. Śpimy właśnie, kiedy słyszymy, że nasza koza beczy głośniejsze niż zwykle. Schodzimy na dół z latarką i znajdujemy Gertrudę ze zwisającym łożyskiem. Brązowy koziołek leży na ziemi, Gertruda właśnie go wylizuje. Napęlam garnek ciepłą wodą, a Gertruda stoi cierpliwie, kiedy próbuję ją umyć. Niespodziewanie pojawia się drugi noworodek, patrzymy bezsilni, jak wydostaje się z łona matki. Gertruda przewraca się na bok i koziołek zaczyna ssać jej sutki. Gertruda zjada część łożyska, nie wiemy, czy to normalne, ale wolimy się nie wtrącać. Przynoszę nową porcję ciepłej wody. Kiedy wracam, widzę, że kózka dołączyła do braciszka, a Gertruda wylizuje swoje młode. Jest spokojna.

Dochodzimy do wniosku, że to rzeczywiście cudowne wydarzenie. Napęlamy żłób lucerną i dodajemy trochę karmy dla królików. Gertruda zabiera się do jedzenia jak gdyby nigdy nic. Jest wyniosła jak zawsze.

Od tego dnia nie jestem już pewien, czy ludzie przychodzą po to, by zobaczyć moje obrazy, czy nasze małe kózki. Sprzedajemy jednak kolejne jedenaście obrazów. Al bardzo się cieszy, że jej katalog odniósł taki sukces. Pewien znajomy Paula proponuje jej pracę w agencji zajmującej się sprzedażą garnków i naczyń Revere Ware. Al opowiada mi o wszystkim.

— Jak chcesz, Al, ale nie sądzę, by to było konieczne. Wystarczy, że pracujesz dla mnie. Ja będę malował, a ty będziesz sprzedawała.

— Tak właśnie pomyślałam. Tak też mu odpowiedziałam. Czegoś jednak mu nie powiedziałam.

— O co chodzi, Al?

— Nie powiedziałam mu o najważniejszym, o tym, co naprawdę chcę robić. Wiesz przecież.

— Wiem. Wszystko w swoim czasie, tak jak było z Gertrudą. Wszystko wokół nas owocuje, musimy tylko poczekać. Zobaczysz.

Tak się jednak nie dzieje.

Zaczynam malować Gertrudę, Sonię i Saszę, maluchy z zagrody. Al czyta mi ostatnio Dostojewskiego i w głowie pełno mam rosyjskich imion. Malowanie stworzeń, które poruszają się, a nie pozują, okazuje się kolejnym wyzwaniem. To trudniejsze nawet niż malowanie kóz Ralph Warda, ponieważ maluchy mnie znają i wciąż próbują lizać moje farby i ciągle muszę je odganiać. Udaje mi się jednak namalować kilka dobrych obrazów, oddających wzajemne stosunki między kózkami, kiedy walczą o wymiona matki, odchyłoną głowę Gertrudy, która przygląda się swoim dzieciom, dziecięce zabawy, podskoki i radosne uganianie się.

Sprzedaję obrazy, które maluję na bieżąco. Postanawiam nie pozbywać się rysunków. Większość z nich to szkice, na których maluję. Jako malarz traktuję rysunek jako swego rodzaju aborcję, coś, co zaczęło się i zostało porzucone. Lubię rysować i patrzeć na rysunki, ale w ostateczności zawsze sięgam po farby. To jeden z wielu moich kaprysów. Mam tak niewiele rysunków, że postanawiam zatrzymać je wszystkie.

Jadę do Westwood, by dokupić materiały. Zabieram ze sobą magiczną książeczkę czekową. Kupuję dwie bele średnio gęstego płótna, komplet pędzli, terpentynę i blejtramy różnych rozmiarów, które powinny wystarczyć na dwadzieścia obrazów. Staram się tak planować zakupy, by marnować jak najmniej materiału przy naciąganiu płótna. Kupuję także pudełko miedzianych pinezek. Nie ulegam dziewczynie, która proponuje mi spinacze. Chyba jestem staromodny. Moje zakupy wypełniają tył jeepa, nie są może ciężkie, ale mają sporą objętość. Czuję się tak, jakbym

włamał się do Fort Knox i uciekał z łupem. Przyjemne uczucie — sprawia, że krew szybciej krąży mi w żyłach.

Postanawiam zacząć teraz malować strumień. Jego brzegi porośnięte są starymi, powykręcanymi drzewami. Na środku powstają piaszczyste wysepki. W zimie strumień przybiera i potężny prąd podcina brzegi, obalając drzewa, i niszczy fragmenty drogi. W miarę jak zbliża się do oceanu, brzegi stają się coraz wyższe, a strumień coraz głębszy. W pewnych porach roku roślinność porastająca brzegi zwiesza się nad wodą i przypomina dżunglę. Zszedłem wzdłuż strumienia nad ocean, przeskakując z kamienia na kamień, a czasami omijając małe wodospady. Al twierdzi, że dla niej to miejsce jest zbyt straszne, ale mi się wydaje, że to właśnie ta niepokojąca atmosfera mnie wabi i sprawia, że chcę tutaj malować.

Jest tu parking dla samochodów wjeżdżających w najbardziej stromą część kanionu, tu właśnie zostawiam jeepa. Muszę schodzić trzy razy, żeby przenieść wszystkie potrzebne rzeczy na miejsce, gdzie chcę malować.

Smaruję się środkiem odstraszającym owady w nadziei, że w ten sposób uniknę kontaktu z muszkami i osami. Przypomina to wyprawę do dżungli Ameryki Południowej. Uwielbiam udawać, że jestem w niebezpieczeństwie, to takie romantyczne. Wziąłem też ze sobą środek przeciwko jadowi węży, ale nie spodziewam się, bym mógł spotkać tutaj jakieś gady oprócz tysięcy jaszczurek. Może powinienem zastanowić się nad namalowaniem obrazu przedstawiającego jedną z nich.

Kończę właśnie podkład, mocując się z różnymi odcieniami zieleni drzew, odmianami sjeny pni drzew i piasku, połączeniem błękitów i fioletołów z zieleniami cieni. Kiedy spoglądam na zegarek, przekonuję się, że nadeszła już pora na obiad. Zostawię wszystko tutaj. Moje rzeczy będą bezpieczne, a zamierzam wrócić w to samo miejsce po południu i pobawić się z cieniami.

Kiedy wychodzę na drogę, czuję dym. Cały ten teren poznaczony jest znakami zakazu palenia i rozpalania ognia. Jest jak beczka z prochem, która czeka tylko na iskrę. Z miejsca, w którym stoję, nic nie widać, ale słyszę jakiś dziwny dźwięk. Wsiadam do jeepa i zauważam, że na drodze nie ma żadnych świadków. Kiedy wjeżdżam w Fernwood Pacific, zatrzymuje mnie szeryf.

— Dokąd pan jedzie?

— Do domu, szeryfie. Gdzie się pali?

— To ja tu zadaję pytania.

— W kanionie?

— Pożar zaczął się u szczytu, prawdopodobnie na drugiej stronie, ale po raz pierwszy zauważono go na szczycie. Ruch z doliny jest zamknięty. Prawdopodobnie wkrótce zamknijemy też drugą drogę. Nie słyszał pan ciężarówek?

Próbuję powiedzieć mu, że malowałem w korycie strumienia, ale milknę.

— Mam dom koło Fernwood Pacific, tam jest moja żona. Ona nie ma samochodu.

— W takim razie ruszaj pan gazem. Pana jeszcze przepuszczę, ale pan będzie ostatni. Zamykamy ten teren do kanionu Las Tunas. Ruszaj pan!

Zaczynam wspinać się na wzgórze. Widzę tylko samochody zjeżdżające na dół wyładowane sprzętami domowymi. Stale łamię swoją zasadę nieprzekraczalną sześćdziesiątki. Wciąż jeszcze nie widzę ognia, ale czuję dym, wydaje mi się też, że upał narasta z każdą chwilą.

Kiedy docieram do naszego domu, widzę, że Al stoi na dachu z węzem. Biegnę do niej i wdrapuję się na górę.

— Ogień chyba się zbliża, AL. Tak się cieszę, że już jesteś. Jest bliska łez. Przez chwilę mocno ją przytulam. Ale czas nagli. Widzę, że z węża nie leci woda. Odkręcam kurek i zaczynam spryskiwać dach. Polewam ściany, drewnianą fasadę, wszystko. Słyszę, że Gertruda beczy w swojej zagrodzie.

Sam bliski jestem łoż. Biorę kilka głębokich wdechów. I wtedy zaczynam coś słyszeć. Samochód szeryfa jedzie drogą, a szeryf przez głośnik wzywa wszystkich do natychmiastowej ucieczki. Patrzę na Al. W głowie mam pustkę.

— Na pewno chciałabyś zabrać coś z domu, Al. Jeśli tak, lepiej biegnij po to od razu.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, że musisz stąd uciekać, póki jeszcze możesz. Droga jest już zamknięta, więc nikt tutaj nie przyjedzie. Miałem pro — bierny, żeby się tutaj dostać.

— Nie wyjadę bez ciebie, AL, nie ma mowy!!!

— Nie mamy wyboru, Altheo. Za chwilę cała ta okolica może się zmienić w piekło. Nie kłóćmy się.

— Nie pojedę. Nie zmusisz mnie.

— Wiem, że nie mogę cię zmusić, ale błagam cię. Kocham cię, Al, nie mógłbym żyć, gdybyś się spaliła razem z naszym domem.

— Więc to rozkaz, sierżancie Columbato?!

— Nie, Al. To prośba. Proszę, dopóki jest jeszcze czas. Obiecuję, że nic mi się nie stanie.

— Chcesz porzucić mnie... i nasze kozy? Jak możesz?

— Bo muszę. Wiesz, że tego nie chcę. Jakoś przeżyję i obiecuję, że nasz dom nie spłonie. Jakoś powstrzymam pożar.

— Przecież to głupie, i sam dobrze o tym wiesz. Takiego pożaru nie powstrzymasz. Spójrz tylko.

Wskazuje ponad moim ramieniem i rzeczywiście, teraz widać nie tylko dym i popiół unoszący się w powietrzu, ale i jęzory płomieni.

— Więc co zamierzasz zrobić, Al? Chcesz, żebyśmy oboje zginęli razem z kozami, a może także z naszym nie narodzonym dzieckiem, którego tak bardzo chciałaś, a w którego istnienie zaczynam wreszcie wierzyć?

Milknie, oddycha ciężko. Łzy rozmazują się po jej twarzy, czarne od unoszącej się w powietrzu sadzy.

— Skąd wiedziałeś, AL? Ja sama dopiero się dowiedziałam. Chciałam odczekać kilka dni, żeby się upewnić.

Przytulam ją do siebie i oboje płaczemy, drżąc w swoich objęciach. Kusi mnie, by ją zanieść do jeepa i zwieźć na dół.

— Proszę cię jeszcze raz, Altheo, zrób to dla mnie, a przede wszystkim dla dzieciątka, które nosisz w swoim łonie. Proszę, jedź.

Patrzy mi prosto w oczy.

— Dobrze, AL, pojedę. Ale posłuchaj! Jeśli spłoniesz w tym pożarze, zatańczę na twoim grobie, jeżeli w ogóle znajdę coś, co będę mogła pochować. Znajdę najfajniejszego faceta, jaki mi się trafi, i razem zatańczymy na twoim grobie. A na nagrobku każę napisać:

*Tu spoczywa Alfonso Columbato  
Najdzielniejszy i najgłupszy człowiek na Ziemi  
Niech spoczywa w pokój*

I po tych słowach odwraca się, schodzi do zagrody, wiąże sznurek na karku Gertrudy i mija mnie, wchodząc na górę do jeepa, koźleta idą posłusznie za nimi. Jestem w szoku! Stoję. Nie mogę się poruszyć. Nie potrafię uwierzyć, że naprawdę to zrobiła. Zbiegam za nią po zboczu. Szeryf mija ją, wjeżdżając na wzgórze, i krzyczy do niej przez megafon:

— PROSZĘ SIĘ POSPIESZYĆ. NIE MA CZASU!!!



\* \* \*

Zostaję sam. Ponownie wspinam się na dach. Próbuję oblać go wodą, ale z węża nie wypływa nawet kropla. Wchodzę do domu. Al napełniła wodą wszystkie zbiorniki. Prawdę powiedziawszy, to ona powinna była zostać tu, żeby ratować nasz dom. Nie, tego nie potrafiłbym zaakceptować. Wciąż wracają lęki Alfonsa — „faceta z wielkimi mięśniami, ale bez jaj”. Może nigdy z nich nie wyrosną.

Obchodzę dom, wycinam wszystkie krzaki, a potem wracam znowu na dach. Obserwuję ogień, który próbuje opanować wzgórze na zachód od naszego domu. Strażacy z wężami robią wszystko, co w ich mocy, ale to bez skutku.

Robi się coraz goręcej. Chyba powinienem sam oblać się wodą. Schodzę na dół i wylewam sobie na głowę zawartość jednego z garnków. Wchodzę na dach z następnym garnkiem. Moczę rękawice do łokcia i wciągam je na dłonie. Patrzę, jak płomienie obejmują kilka domów położonych poniżej, przypomina to eksplozje. Później widzę kule ognia, płonący gaz pędzi po zboczach huraganowymi falami płomieni.

Kiedy dochodzę do siebie, leżę na plecach, wydaje mi się, że płonę. Wylewam garnek wody na swoją głowę i ubranie. Zdeptuję płomienie pojawiające się na dachu. Zsuwam się na dół po drabinie i biegnę do Horseshoe Drive, próbując wydostać się z wzgórze. Tu jednak dotarł już pożar, droga jest odcięta. Biegnę z powrotem do Fernwood Pacific. Szukam jakiegoś samochodu, którym mógłbym zjechać na dół, ale nie ma tu nikogo, żadnych samochodów. Biegnę dalej Fernwood Pacific Hill. Tracę dech. Powietrze robi się tak gorące, że pali mi gardło. Docieram do miejsca, gdzie przeszedł już ogień. Schodzę z drogi i wpadam do kanału wyżłobionego przez deszcze. Pełno tu szurów, wiewiórek i innych drobnych zwierząt szukających schronienia. Nie sądzę, by było to bardzo bezpieczne miejsce, ale przysiadam na chwilę, by złapać oddech. W jakimś wgłębieniu znajduje trochę stęchłej wody, moczę w niej rękaw koszuli i zawiązuję go sobie na twarzy, zasłaniając usta. Wspinam się na drogę. Wszędzie wokół widzę płomienie. Puszczam się biegiem w górę. Nie oglądam się w stronę domu. Biegnę najszybciej, jak potrafię. Ogień posuwa się równo ze mną, nie obejmuje jednak drogi. Pędzimy w takim samym tempie.

Docieram do szczytu po biegu, który zdaje się trwać wiele godzin, choć na pewno nie było to aż tak długo. Patrzę w dół na wzgórze i widzę w oddali ocean, ale na stoku pełno jezorów ognia. Ponownie rzucam się do ucieczki. Nie wierzę, bym jeszcze był w stanie biec szybciej od pożaru, ale teraz pędzę w dół, a bryza od oceanu wieje mi prosto w twarz, więc z wyjątkiem kilku miejsc, kiedy tracę przewagę, ponieważ muszę trzymać się krętej drogi, udaje mi się wyprzedzić ogień. Do oceanu jest jednak aż piętnaście kilometrów. Sprawdziłem to już później. Kiedy dobiegam do Pacific Coast Highway, przebiegam przez szosę i rzucam się w cudowną, chłodną, słoną wodę. Po dłuższej chwili wychodzę na piasek. Moje ubranie jest osmalone albo wręcz popalone. Wydaje mi się, że rękawice ochroniły dłonie i przedramiona, ale ze stopami nie miałem tyle szczęścia, sznurowadła są nadpalone, pękają, kiedy próbuję je rozwiązać. Zdejmuję buty i skarpetki. Na szczęście ubrałem się specjalnie grubo do malowania w korycie strumienia. Zazwyczaj nie noszę takich ciężkich butów. Wreszcie się podnoszę. Muszę teraz odnaleźć Al.

Staję na poboczu drogi i próbuję złapać okazję, jakiś facet w półciężarówce zatrzymuje się i zabiera mnie. Zastanawiam się, dokąd mogła pójść Al. Z pewnością nie do domu moich rodziców. Nie poszła też pewnie do Hilgard. Nagle zgaduję. Najpewniej poszła ukryć się w naszej kryjówce, w naszej norze na strychu. Ma klucz, a Paul na pewno jej pomógł. Mój zegarek stanął. Może i jest wodoodporny, ale najwyraźniej nie ognioodporny. Myślę o naszym domku. Na pewno nie przetrwał pożaru. Kierowca półciężarówki proponuje, że zawiezie mnie do samego

uniwersytetu. Mam ze sobą swoją kartę stowarzyszenia studentów i kartę parkingową, więc pozwalają nam wjechać do kampusu. Zegnam się z nim i dziękuję. Dopiero teraz czuję, że moje dłonie jednak są poparzone i nie mogę nawet uścisnąć mu ręki na pożegnanie.

Odjeżdża z rykiem silnika, a ja idę do Moore Hall, na wydział sztuk pięknych, gdzie znajduję Paula.

— Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę, AL. Słyszałem w radiu, że cały kanion spłonął. Jak się wydostałeś? Jak wasz dom?

— To ty mi powiedz, jak się czuje Al? Domyśliłem się, że tu przyjedzie, ale nie wiem, jak poradziła sobie z kozami.

— Och, Al ma się świetnie. Martwi się o ciebie i już chciała jechać jeepem do kanionu, żeby zobaczyć, co się stało, ale nie pozwolili jej wjechać. Nie wpuszczają tam nikogo, dopóki nie wypalą się wszystkie pożary.

— Dzięki Bogu, że nic jej się nie stało. Wiedziałem, że sobie poradzi, ale pomyślałem sobie, że będzie chciała wrócić na górę, taka już jest.

— Masz rację, to niezwykła młoda kobieta. A tak przy okazji, załatwiliśmy też kwestię kóz. Przejechała przez ochronę, prosto na parking. A później z całą trójką przeszła przez kampus do mnie. Uwierzyłybyś w to?

— Paul, uwierzę we wszystko, co dotyczy Al. Ale gdzie są teraz kozy?

— Dogadała się z Janem Stussym i twoje kozy zarabiają na życie jako modelki. Pozują studentom na zajęciach z malarstwa. To pierwsza ciekawa rzecz, jaką dostali do namalowania. Stussy płaci im stawki jak wszystkim modelom. To naprawdę niezwykła kobieta.

Dziękuję Paulowi i pędzę do naszej kryjówki. Al rzeczywiście tu jest, siedzi na zwiniętym materacu, nad jej głową kołysze się lampa. Słyszy moje kroki i podnosi się, tańczy między legarami.

— AL, naprawdę ci się udało! Mój Boże, jesteś cały poparzony!!! Opowiedz mi, jak udało ci się uciec, ale najpierw przytul mnie i pocałuj.

— Dłonie bołą mnie za bardzo, żebym mógł cię ścisnąć, ale usta mam w porządku.

Całujemy się długo i namiętnie. Ten pocałunek przywraca mnie do życia. Padam na podłogę, dobrze znaleźć się znowu w domu. Być może od dzisiaj znowu będzie to nasz dom.

Chaotycznie opowiadam Al o wszystkim. Zadaje mnóstwo pytań o dom, o zagrodę, a ja nie umiem jej nic powiedzieć.

— Al, po prostu rzuciłem się do ucieczki na wzgórze. Nie mogłem nawet myśleć, uciekałem tylko, próbując wyprzedzić płomienie. Nie uwierzysz, ja sam prawie w to nie wierzę, ale przebiegłem przez szczyt wzgórza, płomienie lizały mnie przez całą drogę, płuca prawie mi pękały, a potem pędziłem na dół, nie wiem, jak długo, wreszcie rzuciłem się do oceanu, gdybym nie oprzytomniał, pewnie bym się utopił, ale wtedy nie wydawało się to takim złym pomysłem. Naprawdę straciłem zmysły.

— AL, przecież tak naprawdę właśnie je odnalazłeś!

— Co masz na myśli?

— Odnalazłeś siebie, cudownego, dzielnego, kochającego, troskliwego siebie, AL. Nie musisz już martwić się o swoją odwagę. Odnalazłeś ją, zawsze miałeś ją w sobie. Na żadnej wojnie nie można by wymagać od ciebie więcej.

Milczę. Pozwalam jej tak sądzić, jeśli tego właśnie chce. Tak naprawdę odkryłem, że mogę żyć bez odwagi, że nie było mi pisane zostać bohaterem. Jestem wciąż ALEM Columbato, gotowym do ucieczki, kiedy to konieczne, i do tego, by walczyć o życie, kiedy trzeba. Dla mnie jednak to wystarczy. Tego właśnie się dowiedziałem i mam nadzieję z tym żyć.

Chwilę później zapadam w sen. Kiedy się budzę, Al nie ma przy mnie. Zасыpiam znowu, a

kiedy ponownie się budzę po pewnym czasie, jest już noc, Al ma dla mnie pączki i colę. Sądząc z roztopionego lodu w kubkach, czekała na mnie przez dłuższy czas. Kładzie sobie moją głowę na kolanach i karmi mnie kawałkami pączka i poi colą.

Poszła do przychodni studenckiej i dostała maść na moje oparzenia. Lekarka chciała mnie zobaczyć, gdy Althea opowiedziała jej, jak uciekłem przed pożarem. Wydaje mi się, że trochę to upiększyła. Powiedziała także lekarce o ciąży. Oczywiście, pani doktor chciała ją zbadać. Al obawiała się, że badanie wykaże, iż się myli. Ale badanie potwierdziło, że jest w ciąży. Lekarka stwierdziła, że to drugi miesiąc, ciąża znakomicie się rozwija.

To przywraca mnie do rzeczywistości.

— Czy to prawda, Al?

— Pani doktor jest tego pewna. Ja też czuję, że to prawda.

— To cudowne, powinniśmy to jakoś uczcić.

— Powiedziała mi coś jeszcze. Próbowwała się z nami skontaktować przez telefon, ale nie mogła się dodzwonić. Nie jest to dobra wiadomość. Połóż głowę na moich kolanach, AL. Wyjaśnię ci wszystko tak, jak ona mi to wyjaśniła. — Bierze głęboki wdech. — Okazuje się, że mam Rh minus, a ty Rh plus. Gdybyśmy oboje mieli minus albo plus, nic by się nie stało, ale tak istnieje poważne zagrożenie dla dziecka.

Mam zamknięte oczy, jej łza spada mi na nos. Dlaczego nas właśnie to spotyka? Nie potrafię powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.

— Na dodatek, AL, ja mam grupę krwi AB a ty 0. Tu też istnieje niezgodność. Nie może już być gorzej.

Teraz płacze już na cały głos, zanosi się łkaniem. Podnoszę się i biorę ją w ramiona. Patrzymy sobie w oczy.

— Jesteś pewna, Al? Kiwa głową.

— Lekarka sądzi wręcz, że może nawet pojawić się konieczność przerwania ciąży. Bardzo wiele grozi naszemu dziecku i wszystkim naszym ewentualnym dzieciom.

— Nie wierzę. Wiem, że mam grupę krwi 0. Tak było napisane na moich blaszkach identyfikacyjnych. Starali się, aby w każdym oddziale był jeden żołnierz z grupą krwi 0, nazywali nas uniwersalnymi dawcami. Z początku myślałem, że to zero oznacza zerowy poziom odwagi, że odkryli, iż jestem tchórzem, i to był medyczny sposób zapisu tego faktu. Musimy od razu skontaktować się z innym lekarzem.

— To samo powiedziałam tej pani doktor. Twierdzi, że jeśli chcemy, powinniśmy tak zrobić, ale grupa krwi jest czymś stałym, jak wzrost, kolor oczu i tak dalej. Szansę błędu są niewielkie.

— A więc co możemy zrobić?

— Powiedziała, że muszę pozostawać pod stałą kontrolą, przynajmniej raz na dwa tygodnie przechodzić badania, które miałyby wykazać, czy powstaje konflikt między krwią dziecka a moją. Jest pięćdziesiąt procent szans, że dziecko będzie miało taki sam czynnik Rh jak ja, a wtedy wszystko będzie w porządku. Konflikt grup krwi nie jest tak poważny jak Rh. Uważam, że powinniśmy zaryzykować. Na razie czuję się świetnie, nie mam nawet porannych nudności. Powiedziałam pani doktor, że chcę zaryzykować, że naprawdę chcemy tego dziecka.

— Jesteś pewna, Al? Nie chcę, by coś ci się stało. Oczywiście, pragnę tego dziecka, ale ty jesteś dla mnie ważniejsza. Wybraliśmy siebie nawzajem, przecież to coś znaczy, może nawet więcej niż te wszystkie symbole. Wydaje mi się, że warto próbować, ale decyzja tak naprawdę nie należy do mnie.

Al przysuwa się do mnie bliżej. Unoszę głowę, byśmy mogli się pocałować. Trzymam ją lekko za dłonie, kiedy wmasowuje w moją skórę maść.

— W takim razie decyzja została podjęta, AL. Czy warto próbować? Jestem o tym przekonana

i byłam pewna, że ty także będziesz tak uważał. Nie potrafię wręcz powiedzieć, jaka jestem przy tobie szczęśliwa. W naszym życiu nic nie przychodzi łatwo, a przecież spójrz, za każdym razem nam się udawało. Jeśli lekarka zechce, bym poddawała się testom krwi codziennie, zgodzę się. Będziemy mieli to dziecko, a jutro pojedziemy do naszego domu i zobaczymy, czy mamy jeszcze dla niego dom. Wiem, że to też nam się powiedzie, niezależnie od wszystkiego. Liczy się tylko to, by naprawdę chcieć.

Ostrożnie wsuwamy się do śpiwora. Właściwie to Al wszystko robi, bo moje dłonie wciąż za bardzo bolą. Zасыpiamy od razu, tak szybko, że nie mam nawet możliwości zrobić tego, co zawsze sprawia mi największą przyjemność — popatrzeć na Al pogrążoną we śnie.

Rano idę na salę gimnastyczną i biorę prysznic. Myję się dokładnie, omijając poparzone miejsca. Kiedy wracam, Althea kończy właśnie ścielić nasze łóżko. Smaruje maścią moje poparzenia. Stopy bolą mnie nadal, ale nie mam tam poważniejszych oparzeń. Idziemy razem do lekarza. Lekarka ma na imię Monica. Ogląda mnie i stwierdza, że żadne z oparzeń nie jest trzeciego stopnia, mam skórę grubą jak słoń. Przekazujemy jej naszą decyzję, a ona ścisza najpierw Al, a potem mnie.

— Uważam, że to bardzo odważna decyzja, i powinnam chyba prosić was, byście poważnie się nad nią zastanowili, ale naprawdę jestem bardzo szczęśliwa, że tak podeszliście do sprawy.

Wracamy do jeepa. Althea zachodzi po drodze do pracowni malarskiej po Gertrudę i jej małe. Staramy się być optymistami.

Przy wjeździe do Topanga Canyon zatrzymuje nas policja. Althea pokazuje swoje prawo jazdy, a ja papiery zwolnienia do cywila, i pozwalają nam przejechać. Prawo jazdy Althei wystawiono na adres Horseshoe Drive 10816 i to przeważało. Wjeżdżamy na wzgórze gdyby nie zapach spalenizny i wozy policyjne i strażackie, wszystko wyglądałoby prawie tak samo jak zwykle.

Musimy ponownie okazać dokumenty, zanim pozwolą nam wjechać w Fernwood Pacific. Spychacze oczyszczają właśnie ścieżkę. Wszystko jest tu białe prócz kilku czarnych kikutów drzew, przypominających wbite w ziemię włócznie. Krajobraz wygląda wprost upiornie, jak skamieniały las, który zwiedzałem w czasie wyprawy przez kraj. Brakuje kilku ważnych elementów krajobrazu, głównie domów, pozostał po nich jedynie pokrywający wszystko biały popiół, jak gdyby nigdy ich nie było.

Dojeżdżamy do Horseshoe Rock. Skała jest czarna, lekko złuszczone, ale prócz tego nic się jej nie stało. Objeżdżamy ją ostrożnie. Napięcie jest tak ogromne, że nawet Gertruda i jej małe zachowują się cicho. Widzimy teraz drogę, aż do ostatniego zakrętu, wszystko jest białe od popiołu. Serce prawie przestaje mi bić. Wreszcie dojeżdżamy do miejsca, z którego widać nasz dom. Stoi. Nawet trawnik ocalał, choć jest pokryty sadzą. Kamień na dachu nie jest już taki biały. Leżą na nim czarne, popalone gałęzie. Nawet zagroda dla kóz — moje studio — stoi, jak stało, choć jest osmalona. Strażacy polali dach wodą i aluminium zbieleło.

Wysiadamy z jeepa. Ziemia jest wciąż gorąca, tak że nie mogę po niej chodzić poparzonymi stopami. Przyglądamy się budynkowi, kiedy drogą nadchodzi strażak w żółtym kombinezonie. Nie wiem, dlaczego wydaje mi się groźny.

— Hej, wy tam, macie zezwolenie, by się tutaj kręcić? Raz jeszcze pokazujemy dokumenty. Przegląda je.

Al pokazuje mu adres na swoim prawie jazdy, a potem osmalony dom.

— To nasz dom. Sami go zbudowaliśmy.

— A to jest zagroda dla naszych kóz. Te kozy, które mam na wozie, tam właśnie mieszkają.

— Niech mnie diabli porwą. Musicie być największymi szczęściarzami na świecie. Próbowałem właśnie ustalić, jak to miejsce ocalało, i chyba w końcu do tego doszedłem.

Najważniejszy był ten kamień na dachu. Jak widzicie, wylądowało na nim kilka gałęzi i wszystkie się dopaliły. Trawnik też się przydał, niedługo odrośnie. Wszystko to razem, a także to, że wycięliście krzaki, uratowało wasz dom. Mieliście cholerne szczęście. Płomienie przeszły tędy bardzo szybko, a temperatura była tak wysoka, że ogień sam zgasł z braku powietrza, kiedy front pożaru poleciał dalej. Ale widzę, że jesteś trochę poparzony. Jak do tego doszło?

— Byłem na tyle głupi, że pozwoliłem, by ogień mnie tu złapał, na Horseshoe już się paliło, więc pobiegłem na górę Fernwood Pacific, tylko tamtędy mogłem się wydostać.

— Więc co, do diabła, zrobiłeś?

— Pewnie pan nie uwierzy, ale biegłem przed ścianą ognia aż do szczytu. Później zbiegłem do oceanu. Na szczęście, od tamtej strony wiał wiatr, który zwolnił tempo przesuwania się płomieni i dał mi szansę.

— Jesteś maratończykiem?

— Nie. Byłem tylko śmiertelnie przestraszony i jeszcze nie gotowy na śmierć. Moja żona czekała w mieście razem z kozami. Martwiłem się o nią.

— Co teraz zrobicie z kozami?

— Mamy przyjaciela w Starym Kanionie, który powinien się nimi zająć. Zaraz tam pojedziemy. Kiedy będziemy mogli wprowadzić się z powrotem do domu? Ziemia jest tak rozgrzana, że nie można po niej chodzić, zwłaszcza ja z tymi poparzonymi stopami. Jednak jeżeli pozwolicie nam tu zostać, będziemy gasić mniejsze pożary, gdyby się jeszcze pojawiły. Czuliśmy się o wiele pewniej.

— Ale linie elektryczne spłonęły i nie ma wody.

— Och, bez tego już sobie radziliśmy. Spoglądam na Al, a ona uśmiecha się do strażaka.

— Chcemy wrócić do domu. Może dojść do rabunków.

— Och, z tym już my sobie poradzimy. Nie macie się co martwić. Możecie zostać, jeśli tylko chcecie. My zajmiemy się też ubezpieczeniami.

— Nie mamy żadnego ubezpieczenia, oprócz obowiązkowego, które musieliśmy wykupić, kiedy braliśmy pożyczkę w Bank of America w ramach paragrafu szesnastego. To kredyty dla weteranów wojennych.

— Powinniście skontaktować się z nimi jak najszybciej. Doszło tutaj do potwornych strat, nie potraficie sobie tego nawet wyobrazić. Ściągnijcie jak najszybciej waszego agenta ubezpieczeniowego.

— Dobrze, zajmiemy się tym. A tak przy okazji, czy straż pożarna rozwiązała sprawę bieżącej wody?

— Tak, mamy tu beczkowóz. Będzie nam potrzebny do dogaszania małych pożarów, które mogą wybuchnąć w ciągu kilku najbliższych dni.

— Przywieźliśmy ze sobą kozy, które uratowałam przed pożarem. Czy moglibyśmy dostać trochę wody, żeby je napoić? Chcielibyśmy też zjechać kanionem nad ocean i kupić dla nich siano. Małe kózki potrzebują mleka, a ich matka musi pić wodę i jeść siano, by dawać mleko.

— Al, Ralph nam w tym pomoże.

— Czy w Starym Kanionie jest woda?

— Słyszałem, że tak.

— W takim razie pojedziemy tam od razu, żeby to sprawdzić. Będziemy mogli się tam dostać?

— Wypiszę wam przepustkę pożarową. Nie powinniście mieć żadnych kłopotów. Wydaje mi się, że możecie wrócić do domu, kiedy chcecie. Wy, ludzie z Topangi, jesteście naprawdę nienormalni, żeby martwić się o kozy, kiedy wszystko dookoła spłonęło.

— Tak, ale to są jakby nasze dzieci.

— Nie zapomnijcie skontaktować się jak najszybciej z agencją ubezpieczeniową.

Rusza, tupiąc ciężkimi butami. Zawracamy i zjeżdżamy do Topanga Canyon Road. Mamy znowu kłopoty z przejazdem do Starego Kanionu, ale dokumenty i kozy w końcu przekonują policjantów.

Stary Kanion wygląda lepiej, niż się tego spodziewałem. Najwyraźniej ogień przeszedł głównie drugą stroną Topanga Canyon Boulevard. Sprawdzam poziom paliwa i ruszamy krętym kanionem. Nawet nie czuć tutaj za bardzo spalenizny.

Ralph zauważa nas już z daleka i podchodzi do jeepa.

— Kurczę, myślałem już, że spaliliście się na popiół. I nawet udało wam się wyciągnąć z tego Gertrudę i jej dzieciaki. Jak wasz dom?

— Stoi wśród popiołu, wygląda tak, jakby przysypał go śnieg.

— Tak właśnie słyszałem. Ogień musiał być naprawdę potężny.

— To prawda. Uciekliśmy w ostatniej chwili.

— Widzę. Chcecie, żebym zajął się waszymi kozami, dopóki nie dojdziecie ze wszystkim do ładu?

— Bylibyśmy wdzięczni. Nie mamy ani wody, ani prądu. Zabiorę się do napraw, kiedy podleczę trochę oparzenia.

— Nic ci się nie stało?

— Nie, tylko ziemia zaczęła mi się w pewnej chwili palić pod stopami.

Ralph łapie sznurek zawiązany dookoła szyi Gertrudy.

W drodze powrotnej zastanawiamy się, co mamy teraz zrobić. Zatrzymuję się jeszcze, by zabrać sztalugi i farby z koryta strumienia. Wygląda na to, że ogień tutaj nie dotarł. Stawiam wóz w miejscu, gdzie wcześniej parkowałem. Wydaje mi się, że minęło dziesięć lat, choć było to wczoraj.

— AL, bolą cię stopy, zejść sama na dół po twoje rzeczy. Powiedz tylko, gdzie mam ich szukać.

— Nie, możemy zejść razem, nie jestem przecież inwalidą. Zostawiłem sztalugi i wszystko, łącznie z pędzlami wetkniętymi w paletę. Myślę, że razem sobie poradzimy. Warto przynajmniej spróbować.

Spoglądamy na siebie i uśmiechamy się.

— „Warto próbować” staje się naszą mantrą. Będziemy musieli porozmawiać o tym z Paulem. Nie brzmi to chyba zbyt buddyjsko, o ile się na tym znam.

Niepewnie schodzimy do koryta strumienia. Nic się tutaj nie zmieniło, trudno nawet uświadomić sobie, jak blisko szalał pożar. Wciąż bolą mnie dłonie, więc sztalugi składam z pomocą Al. Są ciężkie, ale to ja je biorę. Al niesie obraz i zapasowe pudełko z terpentyną i werniksem. Z trudem wspinamy się po stoku do jeepa.

— Co teraz zrobimy, AL?

— Najpierw powinniśmy zrobić to, co radził nam strażak, skontaktować się z agencją ubezpieczeniową.

Al spogląda na mnie poważnie.

— Już się tym zajęłam. Zabrałam ze sobą polisę ubezpieczeniową i wszystkie ważne dokumenty, także te, które dotyczą sprzedaży obrazów. Nie wściekaj się na mnie, ale kiedy zaczęliśmy sprzedawać obrazy, wykupiłam na nie krótkoterminowe ubezpieczenie. Na szczęście nie było nam potrzebne.

— Czy mnie też ubezpieczyłaś, spryciaro?

— Nie, nic by mi ciebie nie zwróciło, AL. Agent powiedział, że przyjedzie ocenić straty w czwartek, czyli pojutrze. Pojedźmy teraz nad ocean. Potrzebuję spokoju, wody i trochę słońca.

Myślę, że teraz jeszcze bardziej będziemy sobie cenili to, czego nie straciliśmy. Możemy zjeść śniadanie tam, gdzie czasem się zatrzymywaliśmy, koło Malibu.

— Nie w Kelbo's?

— Tam nie serwują śniadań.

Po drodze Al prosi, żebyśmy zatrzymali się przy źródle. Wsiadamy z wozu i pijemy chłodne wino ziemi, uśmiechając się do siebie wprost wariacko. Pijemy do dna. Życzę nam obojgu zdrowia, i życzenie zostanie spełnione.

\* \* \*

Dwa tygodnie zajmuje nam sprzątanie. Zaskakujące, jak szybko to poszło i jak niewielkie w sumie ponieśliśmy straty. Aluminiowy dach na zagrodzie zmienił się zupełnie, pod dotknięciem kruszy się i rozsypuje w biały proszek. Zdejmujemy jego pozostałości i jedziemy jeepem do działającego nadal składu materiałów budowlanych. Wiedzą już, że nasz dom ocalał z pożaru i wszyscy gratulują nam szczęścia. Takie wieści szybko się rozchodzą.

Mają na składzie panele z falistego aluminium, wymieniamy więc dach zagrody.

— AL, czy powinnam zdrapać spaleniznę ze ścian zagrody? Wydaje mi się, że teraz wyglądają ładniej niż wcześniej.

— To samo przyszło mi do głowy. Wydaje mi się, że aluminiowy dach ochronił przez pożarem farby i płótno, które było w środku. To wspaniałe, że płótno nie spłonęło. Było tu pewnie tak gorąco, że właściwie powinno samo się zapalić. Niektóre tuby z farbą trochę stwardniały, inne się podtopiły, ale ogólnie wszystko jest w porządku. Martwię się tylko o króliki. W ostatniej chwili przed ucieczką otworzyłem drzwiczki klatek, ale nie miałem już czasu i traściłem zmysły ze strachu.

Słyszymy, że na nasze wzgórze wjeżdża jakiś samochód. Już wcześniej zatrzymywało się koło nas kilku turystów. Al mówi, że pójdzie zobaczyć, kto to. Ja zostaję, dalej sprawdzam zapasy materiałów. Terpentyna i werniks eksplodowały, ale nie narobiły zbyt wiele szkody.

Samochód zatrzymuje się koło naszej działki. Al nie wraca dość długo i idę zobaczyć, co się dzieje.

— AL, ten pan jest z agencji ubezpieczeniowej, przyjechał oszacować straty. Czy mógłby pan powtórzyć mężowi to, co powiedział mi pan przed chwilą?

Stoimy na drodze, facet nie wysiadł jeszcze nawet z samochodu. Na kolanach trzyma dużą księgę, w której coś notuje. Spogląda na mnie.

— Proszę pana, mieli państwo fatalnie niedoszacowane ubezpieczenie. Z moich obliczeń wynika, że wypłacimy państwu dziesięć tysięcy dolarów odszkodowania. Czy państwo się zgadzają?

— Oczywiście, to więcej, niż kosztował nas ten dom.

Uśmiecha się, spogląda na nas, jesteśmy czarni od stóp do głów. Biały pył pokrywający wszystko staje się czarny w zetknięciu ze skórą.

— No dobrze, to tak między nami, zgoda? Rozmawiałem ze strażą pożarną, twierdzą, że poprą takie rozwiązanie waszej sprawy, jakie proponuję.

Odrywa dolną część strony, na której pisał. To czek. Podaje go Al przez okno samochodu. Nie możemy w to uwierzyć.

— No to ja już będę się zbierał. Spłonęło ponad siedemdziesiąt domów, a większość była ubezpieczona. Niełatwo wam będzie załatwić następne ubezpieczenie po tym pożarze, przynajmniej od ognia.

Nawet nie wyłączył silnika. Wrzuca bieg i rusza w dół stoku. Na pożegnanie macha nam

jeszcze z okna.

Al i ja łapiemy się za ręce i tańczymy na drodze. Nie miałem nawet pojęcia, że tak łatwo mogę zdobyć takie wielkie pieniądze.

— AL, możemy odtąd żyć w luksusie!

— Ty na pewno nie musisz już szukać pracy. Pomyśl tylko, możesz dalej mieszkać w naszym domu i opiekować się dzieckiem. Karmione mlekiem twoim i Gertrudy, będzie najzdrowszym dzieckiem na zachodniej półkuli.

Byliśmy tego absolutnie pewni. Tak pewni, że wkrótce dobudowaliśmy między fundamentami dwie małe sypialnie. Z wykopanej ziemi usypaliśmy małe podwórko za domem.

Nasza córka, Kathy rodzi się dwa tygodnie przed terminem, okazuje się, że ma moją krew, zarówno pod względem czynnika Rh, jak i grupy 0. Nasza lekarka twierdzi, że to tak, jakby nie miała wcale matki. Dochodzimy do wniosku, że był to nasz prywatny cud.

Ciągle jeżdżę do źródła w kanionie i przywożę świeżą wodę w starych butlach, które montujemy w kuchni, byśmy mogli pić wyłącznie ten czarodziejski napój.

Największą niespodzianką jest to, że, jak się okazuje, nadal mamy króliki. Musiały znaleźć sobie jakieś schronienie, zanim burza ognia przeszła nad naszą działką. Wykładam im siano i wodę, świetnie dogadują się z kozami. Nie potrafię odróżnić naszych króli od ich dzikich krewniaków, wyglądają tak samo, ale przecież nigdy wcześniej nie widzieliśmy tu żadnych dzikich królików.

Al i ja jesteśmy tak szczęśliwi, jak tylko ludzie mogą być. Kochamy się coraz bardziej, a różnice między nami tylko wzmacniają naszą miłość. Czasami przywożę na górę mamę, by mogła zobaczyć dziecko, ale tata nie chce przyjechać. Nie jest to zbyt wielka strata, chyba że dla niego. Mario i Claudia spodziewają się następnego dziecka, Al uwielbia rozmowy o niemowlakach z Claudią. Kupiliśmy ponton ratunkowy z demobilu. Nadmuchujemy go i napełniamy wodą. Nasza mała Kathy uwielbia się w nim pluskać, podobnie jak inne dzieciaki. Gertruda daje prawie trzy litry mleka dziennie, a ja nauczyłem się robić z niego kozi ser i, co chyba bardziej imponujące, polubiłem go. Al także.

Tak właśnie wyglądało nasze życie. Muszę wam powiedzieć coś jeszcze: **WARTO BYŁO PRÓBOWAĆ!!!**

22. 04. 1998\_\_\_\_\_

---

---

---